

WENDY

HOLDEN



# Jak miło w Cannes



# Holden Wendy

## Jak miło w Cannes

Kate Clegg – dziennikarka w lokalnym tygodniku, spec od relacji z prowincjonalnych konkursów. Mieszka z rodzicami i za wszelką cenę pragnie wyrwać się ze Slackmucklethwaite. Marzy jej się wielki świat i prawdziwa kariera dziennikarska. Kiedy tygodnik wpada w ręce magnata prasowego i zamienia się w bezwartościowe pisemko pełne reklam, Kate grozi zwolnienie. Szansą wydaje się być przystojny i czarujący syn nowego szefa. Nat uwodzi Kate i namawia na wyjazd do Cannes. Ale stolica Lazurowego Wybrzeża nie okazuje się wymarzonym rajem, zaś Nat nie pojawia się na lotnisku. Czy dziewczyna poradzi sobie sama w zupełnie nowej sytuacji?

## Rozdział 1

— Więc jak właściwie określiłaby pani postać „gwiazdy”? — Kate z długopisem wycelowanym w reporterski notatnik spojrzała na nową właścicielkę Miodowni. — I kiedy zaprosi pani zespoły do swoich „Nocy muzyki na żywo”?

Ponieważ był dopiero ranek, pubu jeszcze nie otwarto, ale uchylono drzwi, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Jak na razie powietrze nie skorzystało z zaproszenia. Nozdrza Kate wypełniała mieszanina piwa, stęchłego dymu papierosowego i starego tłuszczu. Niezależnie od tego, jak świetlana miała być przyszłość Miodowni — a Kate siedziała już niemal godzinę, słuchając szczegółowych wyjaśnień na ten temat — pub wyglądał i pachniał tak samo jak zawsze. Nic się nie zmieniło — nawet ta sama co zwykle czarna tłusta mucha obijała się o przysłonięte ponurymi firankami okna.

Mimo planowanego przez nową właścicielkę generalnego remontu wydawało się mało prawdopodobne — przynajmniej na razie — żeby Miodownia przestała być znana jako Mordownia. To czułe przezwisko wynikało z jej lokalizacji — stała na samym końcu długiego ciągu pubów znajdujących się przy Southgate, głównej ulicy miasteczka, i stanowiła ostatni przystanek niesławnej pijackiej trasy zwanej „serpentyną Southgate”.

Kiedy klienci do niej docierali, zwykle byli już w bojowych nastrojach.

Nawet wyjątkowo słoneczny dzień nie poprawiał wyglądu wnętrza pubu. Jasny promień ukazał ohydny wzór na dywanie, leżącym tam od niepamiętnych czasów, rozblęsnął bezlitośnie w tłustych plamach na stołach i rozświetlił kurz unoszący się z czerwonych pluszowych kanap, których porozrywane siedzenia krwawiły brudną żółtą gąbką. Podobno wszystko to wkrótce miało zostać zastąpione mosiężnymi relingami i wentylatorami w kolonialnym stylu, miało też być „orientalno-kontynentalne menu”. Jolene Shaw marzyło się, aby Mordownia stała się miejscem lansującym lokalnych artystów. I chodziło raczej o prawdziwych muzyków, a nie amatorów, którzy wytaczali się z pubu po godzinie zamknięcia, rycząc na cały głos *Four and Twenty Virgins*.

— Gwiazdy? — powtórzyła Jolene, nie tracąc pewności siebie, i zaciągnęła się papierosem.

Była blondynką o szerokim nosie, w średnim wieku. Miała na sobie krótką spódniczkę, odsłaniającą akry nagich ud, które wyglądały, jakby można było o nie zapalić zapalniczkę. Należała do tego rodzaju kobiet, o których ojciec Kate mówił — nie do końca z dezaprobatą — że są „wielkie, ostre i trochę zużyte”.

— Jestem mistrzynią w wyłapywaniu talentów — zapewniła reporterkę. — Od razu wiem, czy ktoś się nadaje, czy nie.

Kate poczuła się zaintrygowana.

— Naprawdę? Więc co jest tym magicznym składnikiem?

W Slackmucklethwaite było niewiele łowców talentów, przynajmniej nikt jeszcze nie uznał Kate za dziennikarskiego geniusza. Ciekawe, co według Jolene Shaw czyniło z człowieka gwiazdę.

— Dobra prezencja? — dopytywała się Kate. — Ciekawe teksty? Hmm... niefałszowanie?

Jolene uniosła brwi.

— Tutaj? Żartujesz sobie, skarbie, prawda?

— Oryginalność?

Kate pomyślała o rockowej kapeli młodszego reportera Darrena. To byłoby dobre określenie dla tego zespołu. I chyba jedyne dobre.

Jolene pokręciła swoją postrzępioną blond fryzurą — plasującą ją gdzieś pomiędzy Antheą Turner a Joanną d'Arc na stosie.

— Nie. Wszystko sprowadza się do tego, czy stoją, czy nie. Ołówek wypadł z dłoni Kate.

— Stoją?!

— Zgadza się. Zespoły, które siedzą, sprawiają wrażenie nudnych i trudno je w pubie zauważyć. Więc zanim jeszcze się dowiem, jaką muzykę grają, najpierw pytam, czy potrafią stać.

Człowiek musi umieć zachować poczucie humoru w każdych okolicznościach, pomyślała Kate, wychodząc z Mordowni. W końcu taki wywiad nie był niczym niezwykłym. Rzadko kiedy dzień w „Tygodniku Slackmucklethwaite”, znanym w okolicy jako „Wychodnik”, upływał bez jakiegoś niedorzecznego incydentu. Na przykład tytuł *Zwierzęca miłość* w wydaniu z zeszłego tygodnia sprowokował czytelników do oskarżenia gazety o obsesyjne zainteresowanie seksem, podczas gdy artykuł miał pozyskać ochotników do współpracy z pobliskim schroniskiem dla psów.

Zamiar Jolene Shaw, aby stworzyć lokalny odpowiednik „Idola”, już sam w sobie był niepokojący.

Ale *Rytmowi sztuki*, kulturalnej kolumnie „Tygodnika”, kontrowersje nie były obce. Dopiero co zaczęła cichnąć wrzawa z powodu relacji Kate / *Romea i Julii* w wykonaniu Trupy ze

Slackmucklethwaite. Fakt, że czternastoletnią Julię grała pięćdziesięcioparoletnia Gladys Arkwright, aktorka, która w tym zespole zawsze brała główne role, wywołał pewną sensację wśród publiczności.

„Ta Gladys Arkwright może i nie jest Gwyneth Paltrow, ale z pewnością cholernie dobrze wie, jak wychylać się z balkonu”, zauważył z uznaniem radny Bracegirdle. To właśnie zdanie zamykało recenzję Kate i miało katastrofalne skutki. Niezależnie od tego, jak wyjątkowe były balkonowe umiejętności Gladys Arkwright, diwa nie słynęła z poczucia humoru. A wydawca

„Tygodnika" również chwilowo je stracił, kiedy aktorka zażądała w sądzie zadośćuczynienia za zniesławienie.

Kiedys jednak gniew Gladys przysłużył się Kate. Jakiś czas temu, gdy trupa grała *Chicago*, pani Arkwright zagroziła, że się poskarży komisji skarg prasowych, ponieważ „Tygodnik" napisał, że „pyszczy na scenie". To tylko błąd w druku, tłumaczył się starszy reporter, gdy został wezwany na dywanik do wydawcy. Miało być „błyszczący". Niestety nie była to jedyna wpadka tego dziennikarza. Kiedy napisał w recenzji filmu o „Bradzie Pitcie — mojej wielkiej mdłości", pożegnano się z nim, a na jego miejsce przyszła Kate. Czasem myślała, że powinna podziękować Bradowi za umożliwienie jej kariery w prasie.

Wsiadając do swojego poobijanego peugeota, doszła do wniosku, że wymyślona przez panią Shaw zasada to dobra nowina dla Darrena. Wystarczy żeby jego zespół, który z trudem zdobywał nędzne chałtury, opanował trudną sztukę balansowania na dwóch nogach. Tyle chyba potrafią.

Ostatnie słowa Jolene zgrzytały jej w uchu. „Spodziewam się pochlebnej recenzji w »Wychodniku«, rozumie pani. Proszę nie zapominać o reklamie na ćwierć strony, którą wykupiłam dla Miodowni". Szkoda, że nie mogę o tym zapomnieć, pomyślała Kate. Odkąd gazetę przejął magnat finansowy Peter Hardstone, wyjątkowo bogaty i wyjątkowo nieprzyjemny facet, który najwyraźniej zamierzał zaciskać pasa liczącemu dwieście czterdzieści dziewięć lat „Tygodnikowi", aż wydusi z niego wszystko do ostatniej kropli, reklamy stały się ważniejsze od artykułów. Właściwie nawet felietony zamieniły się w reklamy — były to teraz panegiryczne kawałki wspierające ogłoszenia wykupione przez lokalnych biznesmenów, takich jak Jolene Shaw. Albo sprawa świeżo otwartej Makaroniarni, „największej chińskiej restauracji na świecie", która rozstawiła swoje woki w jednej z dawnych kaplic metodystów w Slackmucklethwaite.

Chociaż nowy lokal natychmiast zdobył ogromną popularność wśród bywalców pubów, przekształcenie pięknej świątyni o palladiańskim froncie w pałac pekińskiej kaczki ze stolikami nakrytymi różowymi obrusami nie spodobało się starszym czytelnikom. A ich uwagi nie spodobały się Peterowi Hardstone'owi. Tygodnie nieprzychylnych uwag na kolumnie z listami od czytelników wreszcie się skończyły, tyle że nie zwycięstwem niezadowolonych, lecz zlikwidowaniem całej rubryki. Forum, na którym pierwsi czytelnicy potępiali ciemne lochy Kalkuty, zostało zamknięte z powodu równie ciemnego sosu sojowego.

Kate poszukała w śmieciach na siedzeniu pasażera notesu, który pełnił funkcję jej reporterskiego kalendarzyka. Za chwilę miała lunch w Instytucie Kobiet, a po nim — o radości — spotkanie z radnym Ernestem Fartownem, prezesem lokalnej Izby Handlowej.

Westchnęła. „Wychodnik” nie był miejscem pracy, o jakim marzyła. Dawno temu, gdy zdała maturę z francuskiego z drugim wynikiem w hrabstwie, chciała zostać tłumaczem symultanicznym w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jednakże opłacenie czterech lat nauki, umożliwiających zdobycie wymaganego dyplomu, nie wchodziło w grę. Nie mogła narazić rodziców na długi rząd tysięcy funtów, mimo że staruszkowie nie próbowali wpływać na jej decyzję. W końcu wybrała „kurs medialny” w pobliskim college'u i zaczęła pracować w „Tygodniku”. Starła się nie zaniedbywać francuskiego, chociaż nie bardzo się przydawał w Slackmucklethwaite. Ani w „Tygodniku”, skoro już o tym mowa.

Na początku była podekscytowana faktem, że przyjęto ją do gazety. Prasa — prawie jak ONZ — wydawała się oferować ogromne możliwości. Była bramą do szerszego, ciekawszego świata. Ale cztery lata później Kate nadal tkwiła w tym samym miejscu. Mogłaby teraz przeprowadzać wywiad z prezydentem Stanów Zjednoczonych, a nie z prezesem Izby Handlowej. Albo pracować w ogólnokrajowym dzienniku. O to przecież chodziło, gdy podejmowało się pracę w prowincjonalnych

gazetach, prawda? Człowiek uczy się fachu, a potem wykorzystuje to w stolicy. Mnóstwo młodych prowincjonalnych dziennikarzy zdobyło w ten sposób sławę.

Niestety Kate nie zdołała pójść w ich ślady. Niewiele londyńskich gazet, do których się zgłosiła, zechciało w ogóle odpowiedzieć, a te, który raczyły, powiedziały „nie”. I to pomimo faktu, że opisana przez nią wstrząsająca historia o tym, co odsłonięto w czasie kanalizowania szkoły, kwalifikowała ją do nagrody dla „najbardziej dociekliwego dziennikarza roku w prasie (lokalnej)”. Reportaż o dzieciach, które przyszły do klasy, wymachując kośćmi udowymi z zapomnianej części pobliskiego cmentarza, był jak na razie jej największym triumfem zawodowym. I zapewne stanowił doskonałe podsumowanie jej kariery.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i spojrzała przez ramię na Mordownię. Jolene Shaw wyglądała przez brudne firanki i machała rękami jak wariatka. Kate pomachała do niej i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że tamta próbuje tylko zatłuc tłustą czarną muchę. Znowu przekręciła kluczyk. Suchy zgrzyt i nic. Spróbowała ponownie. Nic. Samochód — podobnie jak jej kariera — nie zamierzał ruszyć z miejsca.

Nieco po drugiej wynurzyła się z ratusza, wyposażona w notatki z newsami od radnego Fartowna oraz głównymi punktami wykładu pana Arnolda Mildgoose'a, wygłoszonego podczas lunchu w Instytucie Kobiet. Referat poświęcony był „wędrowaniu”. „Pokazano slajdy, a słuchacze byli zaskoczeni rozmaitością typów przełazów prowadzących do dróg. Prezes instytutu, pani Soreen Bracegirdle, podziękowała panu Mild-goose'owi za bardzo ciekawą prezentację...”.

Światło słoneczne zniknęło i miasteczko spowił cień. Liczba słonecznych godzin w Slackmucklethwaite może i nie była najniższa w kraju, ale tak się to odczuwało. Zwłaszcza jeśli człowiek próbował usmażyć jajka na chodniku.

Każdego lata, odkąd Kate zaczęła pracę w gazecie, w „Tygo-



dniku" ukazywał się ten sam „zabawny” reportaż, w którym dziennikarz — zawsze była to ona — próbował usmażyć jajko w centrum miasteczka w dniu letniego przesilenia. Jajka kupowano w miejscowym sklepiku „Tanio a dobrze” i ostrożnie tłuczono jedno po drugim na wyznaczonym kawałku chodnika. A potem na oczach rozchichotanego tłumu Kate kompletnie się ośmieszała, próbując przekonać kleistą maź, że powinna zacząć skwierczeć.

Kiedy ponownie wsiadła do swojego stojącego przed Mordownią auta, silnik wreszcie ożył. Kate zacisnęła palce stóp na pedałach na myśl o konieczności powtórzenia rytuału z jajkami także i w tym roku. Musi do tego czasu znaleźć sobie inną pracę. Bez wątpienia Hardstone, aby przyciągnąć reklamodawców — lokalnych producentów jaj — zmusi ją, żeby tym razem dodatkowo przebrała się za kurczaka. Świadomość, że na początku swojej kariery Brad Pitt „wielka mdłość” też nosił taki kostium, nie była wielkim pocieszeniem. On przynajmniej nosił go w Ameryce, prawdopodobnie w Nowym Jorku — mieście, które nigdy nie zasypia. Ona zaś włoży go w Slackmucklethwaite — mieście, które nigdy się nie budzi.

Była sfrustrowana, ale czuła się też trochę winna. Nie chodziło o to, że nie lubiła miejsca swojego urodzenia. Była nawet z niego dumna. To niegdyś rozkwitające, żyjące z wełny miasteczko szczyciło się kilkoma pięknymi budynkami w stylu wiktoriańskiego gotyku, a ratusz był pomniejszoną wersją Pałacu Dożów w Wenecji. Kate zawsze robiło się cieplej na sercu, kiedy go mijała. Odrobina włoskiego renesansu w środku północnego zagłębia wełny! Szalony pomysł, który przypominał o wspaniałym świecie, znajdującym się gdzieś tam daleko. A jednak ten kawałek północy również miał własne cuda — dzikie wrzosowiska i zielone doliny, których malowniczość sprawiała, że za każdym razem, gdy Kate trafiała na szczególnie pięknie położone miejsce, gardło zaciskało jej się ze wzruszenia

i dumy.

I nie chodziło też o to, że nie kochała swojej rodziny. Mama może była odrobinę nadopiekuńcza, ojciec zawsze się z nią

droczył, a im mniej mówiło się o sweterkach, które dla Kate robiła na drutach babcia, tym lepiej. Ale mimo to cała czwórka była ze sobą mocno związana. Być może za mocno. Fakt, że wszyscy mieszkali w maleńkim bliźniaku, niewątpliwie stanowił wyzwanie, a to, że Kate w dalszym ciągu zajmowała swój dziecinny pokój, jeszcze bardziej utrudniało sytuację. Ale to jej wina, nie rodziny. Im szybciej znajdzie lepszą pracę, tym szybciej się wyprowadzi. Z dala od bliźniaka, z dala od Slack-mucklethwaite i z dala od tego hrabstwa.

Bo główny problem polegał na tym, że Kate przez całe życie mieszkała w jednym miejscu. Jej szkoła, dziennikarski college i „Tygodnik” znajdowały się w odległości kilku kilometrów od siebie, co sprawiało, że bardzo pragnęła się stąd wyrwać. Niechby to było nawet hrabstwo samego Chrystusa, ale pewnie i on czasem chciałby z niego wyjechać.

Biura „Tygodnika” zajmowały parter dawnego sklepu rzeźniczego. Chociaż tasaki, maszynki do mielenia i pieńki rzeźnicze dawno zniknęły, czasem czuło się dziwny zapach, zwłaszcza w upalne dni. Inną pozostałością po dawnym sklepie były napisy, których nie dało się zmyć z wielkiej szyby wystawowej. „Podgardla, cynaderki i świńskie łby” oraz reklama wszelkich możliwych rodzajów flaków. Nazwy tych wieprzowych smakołyków zakrywały teraz wypłowiałe od słońca zdjęcia o zawiązujących się brzegach, ukazujące mieszkańców Slackmucklethwaite i lokalne wydarzenia. Zrobił je weteran gazety, fotograf Colin, i były zamieszczane w różnych numerach „Tygodnika”. Każde zdjęcie w gablotce opatrzone numerkiem identyfikacyjnym — na wypadek gdyby ktoś chciał któreś z nich kupić. Ale nikt nigdy nie chciał.

Kiedy Kate weszła do redakcji, zobaczyła chudą sylwetkę Darrena, zgarbionego nad biurkiem. Podskoczył lekko, grzechocząc biżuterią, którą nosił na niemal każdej części ciała — w uszach, na szyi, na nadgarstkach, w nosie. Kolczyki zabrzęczały jak dzwonki wietrzne.

— To tylko ja — zaśmiała się Kate i rzuciła skórzaną kurtkę w stronę wieszaka.

Ucieszyła się jak głupia, gdy kurtka zaczęła o wieszak.

— Cześć, ślicznotko — odparł z uśmiechem młodszy reporter. Kate wątpiła, czy rzeczywiście jest dla niego ślicznotką —

preferencje seksualne Darrena były zazdrośnie strzeżonym sekretem. Ale miło, że tak powiedział.

Zwłaszcza że ostatnio zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zapuszczając włosy i przestając je rozjaśniać. Po latach farbowania trudno odzwyczaić się od bycia blondynką.

— Nie, serio, zostaw je tak. Naturalny wygląd pasuje do ciebie — stwierdził Darren, kiedy mu o tym powiedziała. — Masz piękną cerę i wspaniałe, wielkie, niebieskie oczy. Jasny brąz włosów dobrze z nimi harmonizuje. Może są trochę mysie, ale to olśniewająca myszowatość.

— Olśniewająca myszowatość?

— Aha. Właściwie nie potrzebujesz makijażu: wystarczy odrobina tuszu na te długie rzęsy, trochę szminki i już jesteś gotowa.

Ale on sam nie był dobrym obrońcą naturalnego wyglądu. Miał dziś mocno umalowane oczy i mnóstwo szminki na ustach. Co więcej, pomadka była czarna. Jego włosy uformowane były w błyszczące fioletowo-czarne kolce, mocno kontrastujące z trupio bladą twarzą. Przy każdym ruchu z jego obcisłych czarnych dżinsów i koszulki rozchodził się zapach paczuli. Nosił wielkie czarne buty, tak samo jak pasek nabijane srebrnymi ćwiekami i ozdobione łańcuchami.

Chodzenie po mieście w pełnym gotyckim rynsztunku było czymś, na co mógł się odważyć tylko ktoś, kto uwielbiał teatralność i wierzył, że okazja, która pozwoli mu zostać gwiazdą, czeka za rogiem. Ale na Darrena za rogiem zwykle czekała grupa wyrostków wrzeszczących: „Dziwadło!”.

Dobry stary Darren. Pracowity, mądry, z poczuciem humoru i w przeciwieństwie do swoich poprzedników chętnie dorzucający się do biurowego funduszu na herbatę ekspresową.

Kate uśmiechnęła się do niego.

— Co przegapiłam? Co się stało, kiedy mnie nie było?

— Możesz mi wierzyć lub nie, ale tym razem rzeczywiście coś się wydarzyło.

— Niech zgadnę: wstrzymaliście druk pierwszej strony, bo właśnie zmieniono rozkład jazdy autobusów?

— Coś znacznie lepszego. Nasze Beverly Hills zniknęło w wielkiej dziurze.

— Co takiego? Mówisz o Slack Palisades? — zdziwiła się Kate.

To rzeczywiście była niespodzianka. Luksusowe osiedle Slack Palisades, piętnaście kilometrów na zachód od Slackmuckleth-waite, z ceglanymi podjazdami, plastikowymi portykami, „starodawnymi” lampami powozowymi i lądowiskami dla helikopterów, pojawiło się niemal z dnia na dzień. To, że równie nagle zniknęło, wydawało się właściwe, chociaż dość niesamowite.

— Ale tam mieszka Peter Hardstone — przypomniała sobie Kate. Przeszedł ją dreszczyk na myśl, co to może znaczyć. — Nie wpadł przypadkiem do tej dziury, co?

Darren pokręcił głową.

— Obawiam się, że nie. To dziwne, ale nie było żadnych ofiar. Poza zranionym ego i utraconą własnością. Napisałem reportaż na ten temat, właśnie go skończyłem.

Podsunał Kate tekst. Wzięła kartki i zaczęła czytać.

**JAKIE TO UCZUCIE, GDY TRACI SIĘ GRUNT POD NOGAMI**

**POCZĄTEK HISTORII:** Kiedy wściekli mieszkańcy ekskluzywnego osiedla Slack Palisades przygotowywali się do noclegu w miejscowym hotelu Ramada Inn, wielu z nich wciąż przeżywało przerażającą chwilę, podczas której ich ogrody na tyłach domów znikły w siedem-nastometrowej dziurze. Thomas Greville, 50-letni aktor, znany widzom jako lubieżny dziedzic Thirkettle z serialu *Timmerdale*, w wyniku obsunięcia ziemi stracił cały trawnik i jacuzzi. „Na szczęście byłem wtedy w domu na... ehm...

masażu — powiedział. — Moja dziewczyna stwierdziła, że poczuła, jak ziemia zadrżała, ale myślałem, że to mnie miała na myśli".

### KOSZMAR

Gwiazdor muzyki pop, Julian Bridgeman, który wrócił właśnie ze wspominkowego tournée po krajach nadbałtyckich, odkrył, że frontowe drzwi przesunęły się w zawiasach i nie chcą się otworzyć. „Pomyślałem, że pewnie moja sprzątaczką zatrzasnęła się w sraczu na dole i nieźle się nakręciła — powiedział były wokalista Computeroidu, zespołu, którego singel *Budapest* doszedł do piątego miejsca na listach z 1983 roku. — A potem usłyszałem potężny huk, odwróciłem się i zobaczyłem, że moje studio nagrań przy domu zniknęło w tej megadziurze. Razem z oryginalnymi nagraniami hitów Computeroidu, które właśnie zamierzałem zmiksować z Fatboy Slimem. To był naprawdę cholerny koszmar".

### SZCZURY

Całe luksusowe osiedle zostało opuszczone przez mieszkańców. Ci, którzy nocują obecnie w Ramada Inn, mówią, że nie zamierzają wracać do swoich ekskluzywnych, nowoczesnych domów i będą ścigać sędownie firmę budowlaną Fantasia Ltd. Rzecznik Fantasier zaprzecza plotkom, jakoby zamożne szczury uciekały z tonącego statku. „Wielu mieszkańców wyjechało teraz na urlopy i dlatego ich nie ma — stwierdził, ale nie chciał podać swojego nazwiska. — To chwilowe trudności, i tyle. Nic nie sugerowało, że coś takiego może się wydarzyć".

— Chwilowe trudności! — wykrzyknęła Kate, podnosząc wzrok. — Chciałabym zobaczyć, jak mówią to Peterowi Hardstone'owi.

— Pewnie wszystko się w nim gotuje — mruknął Darren. Kate wróciła do artykułu.

## MYSZ, KTÓRA RYKNEŁA

Freya Ogden, 41-letnia prezes Towarzystwa (O)chrony Zabytków w Slackmucklethwaite, pracująca na pół etatu jako połykaczka ognia, podważyła twierdzenie, że nic nie zapowiadało obsunięcia ziemi.

„Wszyscy wiedzą, że pod Slack Palisades są stare kopalnie — oświadczyła. — Ten teren znajduje się pod ochroną właśnie ze względu na dawne szyby kopalniane. A właściwie znajdował. Jeszcze przed rozpoczęciem budowy ostrzegałam Fan-tasię oraz radę, że coś takiego może się wydarzyć”.

— No proszę! — Kate uniosła brwi. — Z tego wynika, że ta szalona hippiska miała jednak rację.

Wiedziała, że w większym mieście Frei Ogden prawdopodobnie nie uznano by za szczególną ekscentryczkę. Jednakże w Slackmucklethwaite ta zdumiewająca wegetarianka metr osiemdziesiąt parę wzrostu i chroniąca przyrodę połykaczka ognia wzbudzała pewien niepokój. Kate osobiście odczuła siłę ostrego języka Frei w czasie jej rutynowych protestów przeciwko Corocznym Mistrzostwom Kaszanki. Freya walczyła wtedy ze sklepami rzeźniczymi i uniemożliwiła Kate przeprowadzenie wywiadu z uczestnikami zawodów. Trudno było nie podziwiać pasji, z jaką broniła swoich przekonań, ale też nie sposób nie uznać jej za lekko stukniętą.

Jako prezes i jedyny członek miejscowego Towarzystwa Ochrony Zabytków Freya równie dużo serca wkładała w próby ochrony okolic miasteczka. Zapewne to właśnie zniechęcało innych do przyłączenia się do niej. Pragnienie zachowania zabytków Slackmucklethwaite i chronienia jego okolic niewątpliwie podzielali wszyscy mieszkańcy miasta, ale bali się, że zostaną skojarzeni z kobietą, która miesza magię z ekologią. Kate zastanawiała się jednak, czy Freya rzeczywiście jest taką

wariatką. W końcu miała rację co do Slack Palisades. A kiedy Peter Hardstone włączy się do akcji, ten, kto ponosi odpowiedzialność za katastrofę, z pewnością zostanie publicznie napiętnowany. Można się spodziewać, że właśnie na stronach „Tygodnika”. Serce zabiło jej mocniej. Darren trafnie to ujął: w końcu mieli sensację. Ta historia naprawdę zasługiwała na pierwszą stronę.

— Freya z pewnością miała rację — stwierdził ponuro młodszy redaktor. — I chętnie wysłuchałbym paru innych jej uwag, żeby dogrzebać się dna tej historii. Jestem pewny, że chodzi o coś więcej.

— Powinniśmy zdążyć zamieścić to w wydaniu z tego tygodnia — ekscytowała się Kate.

— Już to wysyłam. — Darren podszedł do faksu. — To historia z podwórka Hardstone'a. Nawet całkiem dosłownie, ha, ha.

Kate pomyślała, że byłaby to prawdziwa ulga — zrobić wreszcie coś, co rzeczywiście przypadłoby do gustu właścicielowi gazety. Jak na razie było tylko zastraszanie i krytyka. Od pierwszego dnia, gdy Hardstone przejął gazetę.

Ledwo atrament — albo krew, jak zauważył Darren z upiornym uśmiechem — wysechł na kontraktach zatwierdzających przejęcie, a już złote ferrari z przyciemnianymi szybami zajechało pod siedzibę „Tygodnika”. Od razu poczuli zmianę stylu w zarządzaniu. Pulchne, upierścienione ręce Hardstone'a zamierzały trzymać wszystko mocno w garści. „Mówię wprost — huknął z miejsca, gdy pracownicy się zebrali, aby go powitać. — Mówię, co mi się żywnie podoba, i podoba mi się to, co mówię”.

Opalony na skwarę, z zębami jak wiewiórka, agresywny, pulchny i noszący tupecik Hardstone spędził resztę popołudnia, tupiąc głośno butami na wysokim obcasie, ziejąc siarką — dosłownie i w przenośni — i przekazując swoją wizję pisma Denysowi Wemyssowi, redaktorowi naczelnemu „Tygodnika”. „Cholera, nie proszę cię, tylko ci każę! — ryczał, gdy Wemyss próbował zasugerować inne rozwiązanie niż hurtowe wylanie personelu. — Zamknij się, dziadku, i lepiej się z tym pogódź”.

Jakimś cudem Denys Wemyss, Kate, Darren i Joan, matkująca wszystkim kierowniczką sprzedaży, zostali na pełnych etatach. Zmniejszono im jednak pensje o jedną trzecią i pouczono, że sześćdziesiąt procent „Tygodnika” mają teraz zajmować reklamy. W przeciwnym wypadku i ludzie, i strony będą bezlitośnie wycinani. Pierwsza wypadła strona ze wstępniakiem, na której Wemyss zabierał głos w lokalnych kontrowersjach, takich na przykład jak odpalanie profesjonalnych sztucznych ogni w prywatnych ogródkach podczas Bonfire Night\*. („Co się stało z niewinnością? Co się stało z pudełkami fajerwerków, które z takim podnieceniem kupowaliśmy w kioskach i które nieodmiennie przynosiły słodkie rozczarowanie? Z wilgotnymi rzymskimi ogniami? Ze „słoneczkiem”, które nigdy nie mogło odlecieć i zaraz po odpaleniu znikało w krzakach?”). Żaden z tych artykułów nie zainteresował Hardstone'a.

— To gównu o gównie! — ryknął, wymachując przed We-myssem wstępniakiem, w którym naczelny ostro protestował przeciwko czemuś, co nazywał „po-psimi osadami” w parku Memoriał. — Wywal to. W następnym tygodniu chcę zobaczyć w tym miejscu cholernie dobrą reklamę sklepu zoologicznego!

Astrolożka Wilga szczególnie źle zniosła zwolnienie.

— To musiało być jedno wielkie chrzanie, bo inaczej sama by przewidziała, co ją spotka — odparował Hardstone na prośbę Wemyssa o łaskę.

Zniknęły również strony ze sportem. Jaki to ma sens, oświadczył wydawca, poświęcać Slagheap \*\* United tyle darmowego miejsca, skoro można te strony wykorzystać do reklam. W końcu „Żuźle”, jak ich zwykle nazywano, mogli sobie wykupić pół strony, jeśli tylko chcieli. Tak samo jak Athletico Osmotherly, Sporting Grimsdyke i reszta drużyn, których zmienne koleje losu ze szczegółami przedstawiano na ostatnich stronach „Tygo-

\* Bonfire Night — święto z okazji rocznicy udaremnienia spisku prochowego wymierzonego przeciwko królowi Jakubowi I w 1605 roku. \*\* Slagheap (ang.) — dosł. hałda żużlu.



dnika". Tłumaczenia Wemyssa, że niemal wszystkie kluby /. trudem wiążą koniec z końcem i nie stać ich na taki wydatek, nic przekonały nowego właściciela gazety. „Nie po to zajmuję się biznesem, żeby dotować nieudolnych kierowników — warknął. — W klubach piłki nożnej czy gdziekolwiek indziej” — dodał lodowatym tonem.

— A tak przy okazji — odezwał się Darren, wracając od faksu. — Chcesz usłyszeć nową piosenkę mojego zespołu?

— Co masz na myśli, mówiąc „nową”?

Zespół Darrena grał covery, chociaż w niezbyt tradycyjny sposób. Ich nazwa „Denholme Velvet” wzięła się od nazwy miejscowej tkalni, obok której Darren przejeżdżał autobusem dwa razy dziennie i która w końcu zawładnęła jego wyobraźnią. W czasie jazdy z pracy i do pracy stworzył koncepcję zespołu specjalizującego się w największych przebojach The Velvet Underground, „przerobionych”, jak to określał, w specjalny północny sposób. Stąd *Gladys in Furs*, *Sunday Morning (Chapel)*, *Halifax (Will Be the Death of Me)* i *Uncle Ray* \*. A teraz najwyraźniej napisał następną.

— Nosi tytuł *Waiting for the Bus* \*\* — wyjaśnił.

Stanął pośrodku poprzecieranego dywanu, zmrużył oczy, zaczął wybijać szybki rytm dłonią o udo i zanucił do zwiniętej w pięść drugiej ręki:

*Czekam Na autobus*

*Dwadzieścia sześć pensów W mojej dłoni...*

Cate zaklaskała.

— Fantastyczne!

\* Są to tytuły nawiązujące do przebojów The Velvet Underground: *Venus in Furs*, *Sunday Morning*, *Heroin* oraz *Sister Ray*.

\*\* Tytuł i tekst nawiązują do piosenki The Velvet Underground *I'm Waiting for the Man*.

*Nigdy nie za wcześnie, zawsze spóźniony*  
*Pierwsze, czego się uczysz to, że zawsze trzeba czekać*  
*Och, czekam*  
*Na autobus...*

Urwał nagle, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie. Zjawił się naczelny.

— Co tu się dzieje? — zapytał. — Wiem, że ekscytujesz się sprawą Slack Palisades, ale to nie znaczy, że nie ma roboty do zrobienia.

— Redaguję właśnie rubrykę *Z takim nazwiskiem*, panie Wemyss. — Darren z brzękiem bransoletek skoczył do biurka. — Przed chwilą przyszła kopia i pokazywałem Kate, jakie nazwisko jest na tapecie w tym tygodniu. Wie pan, że ona nigdy nie może się doczekać tego kawałka.

Wemyss z zadowoleniem kiwnął głową i przeszedł do swojego biura wielkości budki telefonicznej. *Z takim nazwiskiem* było kolumną poświęconą historii miejscowych nazwisk, w każdym tygodniu innego. Jednym z powodów, dla których ten dział przetrwał cięcia Hardstone'a, był fakt, że jak to określał dość pompatycznie Wemyss, stanowił wstęp do *Zapowiedzi dla gawiedzi*, drobnych ogłoszeń w „Tygodniku”, i miał wzbudzać dodatkowe zainteresowanie. Poza tym ostał się przede wszystkim dzięki temu, że teksty pisał za darmo emerytowany nauczyciel interesujący się etymologią. Kolumna ta była przedmiotem nieustannych żartów Darrena i Kate z powodu nieodmiennej oczywistości „wyjaśnień”. „Nazywasz się Kowalski? Jeśli tak, to istnieje pewne prawdopodobieństwo, że jeden z twoich przodków pracował jako kowal lub w inny sposób był związany z kowalstwem”.

Kate usiadła i z niechęcią zabrała się do najmniej lubianej przez siebie czynności redakcyjnej: opracowywania terminarza pikników dla emerytów, zebrań członkiń Związku Matek i innych ekscytujących wydarzeń, które czytelnicy „Tygodnika” regularnie znajdowali na kolumnie zatytułowanej *W nadchodzącym czasie*. Lista tych spotkań, zawsze obszerna, za rządów

Hardstone'a wydłużyła się jeszcze bardziej, ponieważ nowy właściciel gazety uważał, że w ten sposób można zachęcić kluby i puby do kupowania reklam.

— No to zaczynamy — ponaglił ją Darren. — Mów, co najważniejsze.

— Hmm... w następny piątek metodyści ze Slack Bottom organizują turniej wista w domu kultury. Darren zachichotał.

— Już pędzę, lecę.

— Sześćdziesiąta dziewiąta drużyna skautów z Grimsdyke ma szukać boberków.

— O, w to nie wątpię — parsknął Darren.

— Następne spotkanie Słabo Słyszających odbędzie się czternastego...

— E? Co?! — wrzasnął Darren, przystawiając rękę do ucha.

— A od piątku odbywać się mają regularne „Noce muzyki na żywo” w... Chryste, zapomniałam ci powiedzieć! Zrelacjonowała mu swoje spotkanie z Jolene Shaw. Twarz Darrena poróżowiała z radości pod białym makijażem.

— Myślisz, że nas zaprosi?

— Z pewnością.

— A dokąd?

— Do Mordowni.

— Do Mordowni?! — Radość Darrena nieco przygasła. — Żartujesz sobie? Zawsze myślałem, że najlepsza rozrywka na żywo w tym lokalu to zlanie na kwaśne jabłko kibiców Manchester United.

— Już nie. Podobno. Jolene Shaw planuje zamienić to miejsce w coś bardziej eleganckiego i chce, żeby występowały u niej lokalne zespoły.

Chude, upierścienione dłonie Darrena zanurzyły się w wyże-lowanych, natapirowanych, czarno-fioletowych włosach. Umalowane na czarno oczy rozblęły.

— Super. To coś w sam raz dla nas. Zadzwońię do niej. Dziś Slackmucklethwaite — dodał, szczerząc zęby — a jutro cały świat.

— Gdzie jest Joan? — zapytała Kate.

Dopiero teraz zauważyła, że zawsze uporządkowane biurko kierowniczki sprzedaży jest jeszcze bardziej uporządkowane niż zwykle. Właściwie to było całkiem puste.

— Ach. O tym ja z kolei zapomniałem ci powiedzieć. — Darren przygryzł czarne wargi. — Zrobiło się trochę paskudnego zamieszania z *Zapowiedziami dla gawiedzi*...

— Serio?

Nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić — nawet pamiętając

o nieobliczalnym właścicielu gazety—jakie zamieszanie mogło wyniknąć w związku z rubryką ogłoszeń o narodzinach i zgonach, nie wspominając już o drobnych ogłoszeniach, proponujących na przykład komplet kul do gry (właściciel zmarł) albo zachęcających czytelników, aby „pozbyli się akcentu ze Slackmucklethwaite”. Spojrzała wyczekująco na Darrena.

— Wiesz, że Hardstone bardzo naciskał Joan, aby rozbudowała tę stronę, nie?

Kate pokiwała głową.

— Strasznie się wtedy zdenerwowała i nie zapisywała niczego jak trzeba. Zadzwoiła kobieta, która powiedziała, że ma dwadzieścia osiem lat i wyszła za trzydziestoletniego rolnika...

— I co z tego?

— ...kłopot w tym, że w *Zapowiedziach dla gawiedzi* napisano, że ma pięćdziesiąt osiem i wyszła za osiemdziesięcioletniego rolnika. — Ach. O rety.

— Hardstone się wściekł. Wiesz, jaki on jest. Przy pierwszym zagrożeniu prawnymi konsekwencjami i potencjalnymi wydatkami...

— Ale Joan nie popełnia takich błędów.

— Martwiła się. Nie spała ostatnio. Tak mi powiedziała.

I wiesz, jak się zachowywała po spotkaniu z Hardstone'em na temat planu zbytu.

Kate przypomniała sobie, że kiedy Joan wróciła od nowego szefa, jej zwykle zaróżowione policzki były szare jak siwa trwała.

Darren nerwowo przekręcił kolczyk w nosie.

— Joan nigdy nie słyszała o planie zbytu. Myślała, że zbyt jest wtedy, gdy trzeba przespać całą noc w kolejce na leżaku przed Harrodsem. I lepiej nawet nie myśleć, jak sobie wyobrażała arkusz kalkulacyjny. W każdym razie znowu została wezwana dziś po południu do Hardstone'a i szczerze mówiąc, nie spodziewam się, żeby wróciła. Biorąc pod uwagę to, co stało się z jego domem, pewnie nie był najłaskawiej usposobiony.

Kate ze smutkiem bawiła się spinaczem do papieru. Trudno wyobrazić sobie „Tygodnik” bez Joan. Nie była wybitną osobowością: przeciwnie, siedziała cicho jak mysz pod miotłą, ale jej promienna twarz, niewinna obsesja na punkcie rodziny królewskiej i zdumiewające wiśniowe ciasta stanowiły część zespołu od wielu lat. Zwłaszcza wiśniowe ciasta. Sposób, dzięki któremu owoce nigdy się nie rozpadały i zawsze były idealnie rozmieszczone na biszkopcie, stanowił pilnie strzeżony sekret kierowniczkę sprzedaży.

— Będę tęsknił za przejęzyczeniami Joan — stwierdził ze smutkiem Darren. — Uzbierałem już całkiem ładną kolekcję jej wpadek. Pamiętasz, jak kiedyś przez całą przerwę na lunch szukała w sklepie octu piwnego?

Kate pokiwała głową, przypominając sobie też „prokreacyjne meble” oraz niecierpliwość, z jaką jej starsza koleżanka czekała na zbliżający się urlop, który miała spędzić na greckiej wyspie Patos. Ciekawe, czy teraz będzie mogła tam pojechać?

## Rozdział 2

Kiedy następnego dnia zjawiała się w biurze, od razu zauważyła, że Darren jest wściekły.

— Co się stało?

— To.

Rzucił jej „Tygodnik”. „Nowy rozkład jazdy autobusów przyczyną chaosu wśród emerytów” — oznajmiał tytuł na pierwszej stronie.

— Miała być liczba mnoga, „emerytów”. Kate wbiła wzrok w gazetę.

— Ale co się stało z historią o Slack Palisades? Za późno dotarła do drukarzy?

— Nie — warknął Darren. Kate rzadko kiedy widywała go aż tak złego. — Mieli mnóstwo czasu.

— Więc dlaczego nie poszła? To przecież niesamowita historia.

— To samo Hardstone powiedział Denysowi. Wiesz, że teraz sprawdza wszystkie teksty z pierwszej strony.

Kate pokiwała głową. Wiadomość, że wydawca zamierza to robić, przyszła faksem dzień wcześniej.

— Ale skoro przyznał, że jest niesamowita...

— Oficjalnie uznano, że jest trochę zbyt niesamowita — prychnął Darren.

Zaintrygowana Kate zmrużyła oczy.

— Co to znaczy „oficjalnie”?

— Zła prasa dla tego regionu, zwłaszcza dla inwestycji budowlanych, źle wpłynie na rozwój biznesu.

— Więc Hardstone nie chce, żebyśmy się w ogóle do tego zabierali?

— Nie.

— Ale to w jego interesie. Przecież jego własny dom zniknął w wielkiej dziurze.

— Okazuje się, że jego dom zbytnio nie ucierpiało. Hardstone nadal w nim mieszka.

— No dobrze — westchnęła poirytowana Kate. — Ale to miał być początek kampanii ujawniającej nieuczciwość Fantanii i wszystko, co było nie tak z osiedlem Slack Palisades, a to dobrze zrobiłoby regionowi. I zwiększyłoby świadomość środowiska. Freya miała powiedzieć nam o wszystkim, co wie.

— Właśnie. I w tym sęk.

— O czym ty mówisz? W czym problem? Chodzi o to, że hreya snuje szalone teorie spiskowe czy coś takiego? Zawsze istniało takie ryzyko.

— Nie całkiem. Problem polega właśnie na tym, że Freya ujawniła mnóstwo naprawdę niesamowitych faktów. Przede wszystkim w sprawę uwikłana jest rada miejska. Radny Brace-girdle siedzi w tym po uszy.

— Serio? — Kate wytrzeszczyła oczy. — Rada?

— Jak się nad tym zastanowisz, sama dojdiesz do wniosku, że musiało tak być. Nie ma mowy, żeby to było załatwione całkiem uczciwie. Slack Palisades zbudowano nad starymi kopalniami... w dodatku obok Slack Top, osiemnastowiecznej wioski tkaczy, która ma status zabytku. Łapówki dla rady to pewnie dopiero wierzchołek góry lodowej. Ta sprawa mocno śmierdzi.

— Tym bardziej Hardstone powinien pozwolić nam zająć się tą historią — powiedziała Kate. Serce zaczęło jej szybciej bić z podniecenia. — To może być coś na ogólnokrajową skalę.

— Tyle że nie będzie — stwierdził beznamiętnie Darren.

— Ale takimi właśnie sprawami powinien zajmować się „Tygodnik”. Tak, jak jest napisane na pierwszej stronie: „Toczymy batalie w imieniu mieszkańców naszego miasteczka”. — Kate złapała egzemplarz „Tygodnika” i zmarszczyła brwi. — Och. Zrobili błąd. Napisali: „Dostarczamy mieszkańcom naszego miasteczka informacji”.

— To nie błąd. Od tej chwili tak właśnie ma być. Skończyły się dni batalii.

— Więc to dlatego nie możemy pociągnąć historii Slack Palisades? — zapytała Kate.

— Nie. Prawdziwy powód jest taki... — Darren wziął głęboki wdech — ...że kiedy sprawdziliśmy z Freyą w oficjalnym rejestrze firm, kim są dyrektorzy Fantasia Ltd, okazało się, że jeden z nich to niejaki P. Fłardstone.

— Co? To on zbudował Slack Palisades?

— Obawiam się, że tak. Jest jeszcze paskudniejszy, niż myśleliśmy.

— To nie może być prawdą. Jesteś pewny?

— Tak.

— Ale nigdy nic o tym nie mówił. Chociaż, jak się nad tym zastanowić, to napisaliśmy dla Slack Palisades sporo reklamowych tekstów. Sama machnęłam kilka takich notek, co było o tyle trudne, że nigdy tam nie byłam.

— Właśnie. Posłużył się gazetą, żeby wypromować to osiedle. Cała ta historia jest tak śliska, jak to tylko możliwe. Parszywa historia o chronionej ziemi, zabytkowych kopalniach i łapówkach większych niż w finałach Wimbledonu.

Kate spojrzała na niego z powątpiewaniem. Brzmiało to trochę zbyt dramatycznie. Kłamstwa i korupcja na taką skalę rzadko zdarzały się w tym regionie. Ostatni wielki skandal w mieście dotyczył osoby, która uciekła z wpływami z funduszu emeryckiego na rzecz walki związanej z doroczną wyścigką do Blackpool. Czy walka miała być prowadzona za czy przeciw wyjazdom, tego nigdy właściwie nie ustalono. Jeśli chodzi o Hardstone'a, Kate nie zdziwiłaby się, gdyby Darren trochę przesadzał.



— A co na ten temat mówi Denys? — zapytała ostrożnie.

— Że to bardzo skomplikowane i nie warto ryzykować.

— Trochę go rozumiem — stwierdziła Kate. — Przykro mi to mówić — dodała po chwili — ale nawet jeśli to prawda, I lardstone i tak ma nas w kieszeni. Jeśli nie masz zapewnionej pracy w innej gazecie, to najlepiej zapomnij o tej sprawie.

Darren pofolgował sobie, wrzucając swój egzemplarz „Tygodnika” do kosza.

— To jeszcze nie wszystko. Nie tylko zaniknie nam usta, ale także, do cholery, prawie zrówna nas z ziemią.

— He?

— Joan powiedziała, że Hardstone kazał zmniejszyć o połowę rachunki za farbę drukarską. Litery będą tak słabo widoczne, że nikt nie da rady czytać „Wychodnika”. Każdy ostry młody dziennikarz powinien zrozumieć, że czas stąd spadać, Kate.

Czas spadać. Kate wiedziała, że Darren ma rację. Pytanie tylko dokąd. Darren nie miał tego problemu — i tak zostanie gwiazdą rocka. Gorąco w to wierzył, a to już stanowiło połowę sukcesu. A ona? Miasto nie tryskało możliwościami.

— Zawsze zostają jeszcze zakłady bieliźniarskie Slack Nylons — droczył się z nią Darren.

— Bardzo śmieszne — warknęła.

Dobrze wiedział, że to jej czuły punkt. Kiedyś pracowała latem w Slack Nylons. Wspomnienie wakacji spędzonych w fabryce majtek przy wszywaniu klinów we wzmacniane rajstopy nadal prześladowało ją w koszmarach sennych. Jedyną dobrą rzeczą w tej fabryce było wysłanie królowej z okazji koronacji zapasu najlepszej bielizny w kolorze cielistym. Prawdopodobnie obłudnie oszczędna królowa nadal ją nosi. Ale nawet praca w Slack Nylons była satysfakcjonująca w porównaniu z innymi wakacyjnymi zajęciami Kate. Na przykład pracą w pizzerii „Włoska robota”. Pizzę robili tam „szefowie kuchni”, którzy chyba nigdy przedtem nie widzieli pomidora, a Kate podawała ją klientom, którzy dopiero co wyszli z pubu i nie zauważyliby różnicy, nawet gdyby zjedli

kawałek starego dywanu. Właściwie w kategoriach wartości odżywczych stary dywan byłby pewnie ciut lepszy.

Jednakże najgorszą wakacyjną pracą była ta na fermie kurczaków. Kate oddała białe gumki, biały fartuch oraz siatkę na włosy i zrezygnowała z karmienia biednych, skazanych na śmierć kurczaków za marną płacę tego samego ranka, kiedy zaczęła. Nadal zdarzało jej się płakać w poduszkę z ich powodu. Tuż przed przejęciem gazety przez Hardstone'a, w imię hasła „Toczymy batalie w imieniu mieszkańców naszego miasta” przekonała Denysa Wemyssa, że powinien pozwolić jej napisać artykuł, który ujawniałby okrutne praktyki stosowane w szopach pełnych ogłupiających ptaków. Teraz jednak ferma Slack Country Chickens była poważnym klientem gazety. Niedawno Kate została zmuszona — pod groźbą nie tyle może rozstrzelania, co po prostu zwolnienia — do napisania pięciuset pochlebnych słów na temat fermy w dziale *Spojrzenie na lokalny biznes spożywczy*. Tak więc miała świadomość, że mimo żałosnych warunków praca w „Tygodniku” nadal była jedną z najlepszych propozycji w Slackmucklethwaite. Spadanie, dopóki nie miała dokąd spadać, w ogóle nie wchodziło w grę.

— Ehm...

Kate i Darren odwrócili się natychmiast. Ze swojego akwarium dla złotej rybki wyszedł Wemyss i teraz stał za nimi.

— Proszę na słówko — powiedział z typową dla siebie kurtuazją. — W moim biurze.

Wyglądało na to, że zamierzał przekazać im coś, co wymagało pewnej celebry. Ceremonialne zachowanie było jego domeną. Kate pomyślała, że może i jest starym, coraz bardziej zwariowanym i beznadziejnie zdanym na łaskę Hardstone'a facetem, ale mimo to ma w sobie coś romantycznego. Doceniała upór, z jakim obstawał przy używaniu właściwej dziennikarskiej terminologii: „adiustacja” o przygotowaniu tekstu do druku, „przeskład” o tekście, w którym wprowadzono większe zmiany, „czołówka” jako określenie historii z pierwszej strony i tak dalej. Chociaż drukarze nie mieli pojęcia, o czym Wemyss

mówi, Kate dzięki temu czuła, że coś ją łączy z pulsującym, ekscytującym światem prasy, do którego nie należała ich gazeta.

Jego wygląd był równie osobliwy jak język. Szpiczasta siwa bródka, kapelusz homburg i jedwabny krawat przypominały romantyczny okres dziennikarstwa. Kate w czasie rozmowy kwalifikacyjnej słuchała jak urzeczona, gdy Wemyss z nostalgią mówił, że starsi stażem dziennikarze w „Timesie” mieli własne biura z dębową boazerią i piecykami na węgiel, a po południu miłe panie z wózkami serwowały herbatę i ciasteczka.

Na wyjątkowość naczelnego składał się też fakt, że jego nazwisko należało wymawiać „Wims”. Peter Hardstone uważał to za okropnie pretensjonalne i zwracał się do niego „Wymysł”. „Skoro tak się to pisze, dlaczego do diabła nie czytasz tego jak trzeba? — zapytał. — Ciekawe, jak ci się w ogóle udało dostać do dziennikarstwa”.

Trzy osoby sprawiły, że gabinet redaktora był zatłoczony do niemożliwości. Poza biurkiem Wemyssa mieścił się tam tylko jeden mebel: małe chwiejne krzeselko, na którym Kate przysiadła jeszcze bardziej niepewnie niż zwykle i niespokojnie spojrzała na Darrena. Zauważyła, jak porusza mu się jabłko Adama, i wiedziała, że myśli o tym samym co ona. Na pewno zaraz usłyszą, że nie tylko Joan wylano, ale ich wszystkich. W końcu nadeszła ta chwila. Znaleźli się tu, aby pożegnać swoje kariery zawodowe.

Wemyss poprawił musztardowy jedwabny krawat. Przeczesał pokrytą wątrobowymi plamami dłonią rzadkie siwe włosy. Kate ścisnęło się gardło ze strachu. Kiedy naczelny przygotowywał się do przemowy, w wyobraźni ujrzała zakład pończoszniczy, wielki i ciemny, przesłaniający całe światło. I wtedy padły nieoczekiwane słowa.

— Wspaniałe nowiny — ogłosił Wemyss i rozpromienił się. — Dobre wieści.

Kate i Darren rzucili sobie zdziwione spojrzenia.

— Dobrze? — odważyła się powtórzyć Kate.

— „Tygodnik” spotkał ogromny zaszczyt — Wemyssowi

drżał głos, a jego oczy błyszczały ze wzruszenia. — W naszych progach zjawi się członek królewskiej rodziny. — Co, królowa przyjeżdża? — sapnął Darren.

Biedna Joan, pomyślała Kate. Tyle lat w „Tygodniku” i tylko Sophie Wessex przejechała w pobliżu. Ale Wemyss pokręcił siwą głową.

— Nie tej rodziny królewskiej. Tej bliższej nas. Przyjeżdża do nas Nathaniel Hardstone, żeby spędzić trochę czasu w „Tygodniku”!

— Nathaniel Hardstone? — zdumiała się Kate. — Masz na myśli syna Petera Hardstone'a?

— Tego samego! Syna naszego właściciela. Syna i dziedzica, co ważniejsze. Cudowna nowina, prawda?

— Po co? — zapytał Darren.

— Po co? — powtórzył Wemyss.

— Tak, po co? — Darren bawił się srebrnym krzyżykiem na rzemyku, wiszącym na jego chudej piersi.

— Po co miałby tu przyjeżdżać?

Wemyss rozpromienił się.

— Żeby od podstaw uczyć się biznesu, rzecz jasna! W końcu pewnego dnia to wszystko przejmie. — Głos znowu mu zadrżał. Kate pomyślała, że Denys traktuje przyjazd młodego Hardstone'a jako wyraz szczególnego uznania. — Ze wszystkich gazet w całym imperium Hardstone'a — dodał poważnym tonem naczelny — Nathaniel wybrał właśnie... „Tygodnik”!

— Kate?

Pięści mamy zabębniły w cienkie drewno drzwi do sypialni.

— Do diabła, co ty jeszcze robisz w łóżku? Dochodzi ósma. Rusz się!

Kate popędziła do łazienki pod letni prysznic. Jak zwykle gorącą wodę dawno już zużyto, ale wiedziała, że lepiej nie narzekać: „A czego się spodziewasz, kobieto, skoro wstajesz o takiej porze?”

— kwitował sprawę tata. Ubrała się pospiesznie

i poszła do kuchni, w której z kolei — jak zawsze rano — panowała temperatura niczym w kuźni. Od skwierczącego grilla i nieustannie gotującego się czajnika bił żar.

Kate westchnęła, sięgając po tost. Na tym etapie kariery, na tym etapie życia powinna elegancko usiąść nad śniadaniem przy stole, z łyżką od Matthew Williamsona w porcelanowej miseczce Jade Jagger, spoglądając na lśniącą podłogę z jasnego drewna w modnym mieszkaniu, za którego zajmującymi całą ścianę oknami płynęłaby spokojnie Tamiza.

Ale nie usiadła. I zawdzięczała to faktowi, że niezmiennie pod koniec pieniędzy zostawało jej jeszcze bardzo dużo miesiąca — zwłaszcza od pojawienia się Petera Hardstone'a. Dlatego siedziała teraz z mamą, tatą i babcią w bliźniaku, który nazywał się Meszuga.

Trzeba oddać rodzicom sprawiedliwość — dom nazywał się tak, gdy go kupili. Kate wiedziała, że żadne z nich nie zwróciło uwagi na nazwę ani się nią nie przejęło. Nie wprawiała ich w zakłopotanie tak jak ją. Kiedyś, lata temu, zasugerowała tacie, żeby zmienił nazwę na numer, ale on odpowiedział — i musiała przyznać, że było w tym coś na rzeczy — że jeśli nie ma innych zmartwień prócz tej nazwy, to jest szczęśliwą kobietą. Jediną osobą, która miała paskudniej szy adres, był Darren — nazwa jego rodzinnej siedziby, Muiyey, upamiętniała fakt, że jego rodzice kupili dom wspólnie. Upamiętniała też fakt, że oboje palili: od tytoniu ściany i sufity przybrały żółtawobrazowy kolor, a wszystko przesiąkło kwaśnym zapachem starego dymu papierosowego. Darren zawsze mówił, że w ogóle nie widział rodziców, dopóki nie dorósł na tyle, że sięgnął im nad kolana, bo wcześniej przesłaniały ich chmury dymu z superkingów.

— Herbaty, kochanie? — zapytała mama, podsuwając tacie wielki brązowy imbryk i rozlewając wszędzie jego zawartość.

— Dziękuję, kochanie.

Tata wyciągnął kubek i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kate nigdy nie widziała, żeby rodzice się ze sobą kłócili.

— Och, właśnie schowałam mleko do lodówki — przypomniała sobie mama.

Tata poszedł, żeby je wyjąć.

— Kto to kupił? — zapytał, z niesmakiem podnosząc karton. Mama spojrzała na mleko.

— Nasza Kate. A co? Zepsuło się?

— Gorzej — burknął ojciec. — Jest odtłuszczone. — Rzucił córce szelmowskie spojrzenie. —

Cholerne złodziejstwo. Trzeba nalać dwa razy tyle, żeby herbata zbielała.

Kate zaczerwieniła się. Ojciec uwielbiał przekomarzać się z nią z powodu zakupów. Kiedy pewnego razu, próbując podwyższyć jakość domowych deserów, wróciła ze sklepu z tubką „*creme anglaise* z dodatkiem prawdziwej wanilii”, stwierdził, że kupiła krem z farfocłami.

Z tostem w ręku poszła do salonu, gdzie jej babcia, jak zwykle, robiła na drutach i zerkąła w telewizor, który tata zostawił włączony. On sam nigdy, o żadnej porze dnia, nie siadał, żeby pooglądać telewizję

— wolał stać i robić wrażenie, że zajmuje się właśnie czymś ważnym.

— Cześć, babciu.

— Witaj, kochanie.

Babcia siedziała w fotelu przy oknie. Z myślą o starszych osobach specjalnie go podwyższono, aby ułatwić wstawanie; był przykryty elastycznym nylonowym pokrowcem, na którym brązowe jesienne liście wirowały na brązowym tle. Babcia miała go w domu opieki, gdzie mieszkała z dziadkiem aż do jego śmierci, a potem razem z fotelem przeprowadziła się do rodziców Kate. Towarzyszyła mu cała flotyła bibelotów, w tym popielniczka z Southsea, figurka mosiężnego aniołka wprawiana w ruch przez powietrze podgrzewane świeczką, triumwirat plastikowych małpek i oprawione w ramki zdjęcie ślubne dziadków. Wszystko to ustawiono na parapecie obok fotela, z wyjątkiem plastikowego zegara z obrazkami ptaków zamiast cyfr, o każdej godzinie dnia i nocy wydającego inny „ornitologiczny” odgłos. Zegar bowiem wisiał na ścianie.

— Co oglądasz? — Kate zmrużyła oczy, patrząc na ekran. Rozczochrana blondynka o wielkich zębach zakładała ogró-

dek bonsai na wielkim kamiennym grobowcu i obkładała go deseczkami.

— „Dodaj trochę życia do miejsca wiecznego odpoczynku twoich bliskich” — powiedziała, uśmiechając się do kamery.

— Och, nie wiem, kochanie. Jakieś głupoty. Tak naprawdę wcale nie patrzę — odparła babcia i skupiła się na dzierganiu.

Ledwo było widać druty, tak szybko się poruszały. Kate nigdy nie widziała, żeby babcia nie dziergała, poza chwilami, kiedy jadła, ale nawet wtedy udawało jej się zrobić parę ściągów między kęsami.

„Beczynnym ręką diabeł wymyśla zajęcie”, mawiała, machając drutami w łóżku, w kolejce po emeryturę, i nawet na przystanku autobusowym. „Powinna dziergać swetry dla całej Anglii”, śmiała się mama, a Kate żałowała, że tak nie jest naprawdę. David Beckham był jedyną osobą, jaką potrafiła sobie wyobrazić, która odważyłaby się nosić dzieła babci.

Chociaż nawet dla niego byłoby to wyzwanie. Kate zerknęła z lękiem na jasnożółtą i landrynkowopomarańczową nylonową robótkę zwieszającą się z drutów babci. Przez cały tydzień miała nadzieję, że to otulacz na imbryk albo pokrowiec na wieszak, ale żółta jak żółtko jajka lamówka robótki niepokojąco przypominała otwór na szyję. Boże, błagam, niech to nie będzie jeszcze jedna bluzeczka. Albo jeszcze gorzej: poncho. W dolnej szufladzie jej komody było pełno jednego i drugiego. Z pewnością niedługo nawet babcia, która miała już jedno szklane oko, a stan drugiego gwałtownie się pogarszał, zauważy, że Kate nigdy nie nosi tych rzeczy.

— Będzie ci to pasować. — Babcia machnęła drutami i obrzuciła Kate spojrzeniem zdrowego oka. — Będziesz wyglądała jak z obrazka.

Pytanie tylko, jakiego rodzaju ma to być obrazek. Pomarańczowy i żółty nie poprawią wyglądu jej rąk i nóg, tak białych, że aż niebieskawych.

— Ładne letnie kolory — dodała z satysfakcją babcia.

— Zajrzę później. — Kate pochyliła się i pocałowała babcię, wciągając woń mydła Camay, którym pachniała skóra staruszki.

Idąc przedpokojem, zerknęła w lustro. Wyglądała niemodnie czy nie? A może Darren miał rację?

— Wróc na herbatę, dobrze? — W głosie mamy pobrzmiwała nadzieja.

Zdaniem matki powinna być o tej porze na randce z chłopakiem. Albo jeszcze lepiej: powinna siedzieć z mężem i dziećmi, jak większość jej rówieśnic ze szkoły. Ale Kate widziała aż za dużo koleżanek z klasy popychających wielkie, podwójne spa-cerówki w dzielnicy handlowej i dawno temu postanowiła nie iść w ich ślady. Gdzieś musi istnieć szansa na lepsze życie.

— Tak — odpowiedziała, patrząc mamie w oczy. — Wrócę na herbatę.

Mama ze smutkiem pokręciła głową.

— Taka szkoda, że ci nie wyszło z tym uroczym Nigelem Herringiem.

Kate poczuła ostre ukłucie złości. Kilka tygodni temu, ku wielkiemu rozczarowaniu matki, w końcu rzuciła Nigela Herringa. Byli na tym samym roku w college'u i spotkali się ponownie, kiedy „Tygodnik” wysłał ją, żeby napisała artykuł o firmie adwokackiej ojca Nigela. Zaczęli się umawiać, a ich związek opierał się na czymś, co jak początkowo sądziła Kate, było wspólnym pragnieniem ucieczki z miasteczka.

— Taki miły chłopiec — westchnęła mama.

Mama zachwycała się Nigelem i mówiła, że to „właściwy mężczyzna”. Innymi słowy, z dobrą pracą i perspektywami. Dziedzic firmy z dyplomem i służbowym fiatem punto. Książę William nie byłby lepszym kandydatem.

— I taki grzeczny dla swojej matki. Urocza kobieta, ta pani Herring.

— To druga Hyacinth Bucket \* — mruknął ojciec.

Tata uwielbiał opowieści Kate o matce Nigela, która miała osobne serwisy do kolacji i śniadania, i ten drugi zawsze rozstawiała w jadalni przed snem. Jeszcze bardziej rozbawiła

\* Hyacinth Bucket — główna bohaterka brytyjskiego serialu komediowego *Co ludzie powiedzą?*, przysłowiowa snobka.



go jej obsesja na tle pary stareńkich jamników, których częste i głośne pierdnięcia tłumaczyła faktem, że „mają bardzo obcisłą skórę, biedactwa”.

Ale nie z tego powodu ich związek się skończył. I nie dlatego, że Nigel Herring nie był seksowny, ani nie dlatego, że za każdym razem, gdy ją całował, ich zęby się zderzały, a jego okulary plątały się w jej włosach. Jeśli chodzi o wieczór, podczas którego obmacywali się w zatoczce samochodowej, to nie miała pojęcia, że nadal sprzedaje się taką bieliznę, już nie mówiąc o tym, że ktoś ją nosi. Nie, śmiercionośnym ciosem było odkrycie, że ambicje Nigela nie sięgają poza odziedziczenie firmy Herring & Co, Kancelaria prawna. Przyszłość z mężczyzną, który będzie przyjmował wszelkie zaprzysiężone zeznania, jakie ktokolwiek zechce złożyć w Slackmucklethwaite, nie była czymś, co Kate zamierzała brać pod uwagę.

— Och, Margaret, przestań wreszcie gadać o Nigelu Herrin-gu. — Babcia, szurając nogami, weszła do kuchni. — Powtarzasz się, jakby ci się płyta zacięła.

Kate rzuciła jej pełne wdzięczności spojrzenie. W takich chwilach prawie wybaczała staruszce, że uparła się nadać wnuczce imię Kathleen Ferrier, swojej ulubionej piosenkarki. Tata, który ostro wyśmiewał wszystko, co uważał za pretensjonalne, zawsze przekomarzał się z córką, kiedy wypływała sprawa zmiany imienia na Kate. Jednak ona obstawała przy swoim i teraz ojciec — podobnie jak reszta rodziny — zwracał się do niej prawdziwym imieniem tylko w rzadkich chwilach gniewu.

— Nie twierdzę, że nie był miły, ale naprawdę... — dodała babcia — ...naszą Kate stać na więcej.

— Więcej? — Mama uniosła brwi. — Nie w tej okolicy.

— Nie mówię o tej okolicy — odparła staruszka. — Moim zdaniem Kate powinna wyjechać.

Odrobina przygody, tego jej trzeba. Uwierz mi, wiem, co mówię.

— Nie wiedziałem, że miałaś tak ekscytujące życie — wtrącił się ojciec.

— Och, przeżyłam swoje.

Kate zastanawiała się, co takiego babcia przeżyła. Z tego co wiedziała, jej życie było całkiem spokojne. Może chodziło o dziadka. Ich małżeństwo, tak samo jak małżeństwo rodziców Kate, było wyjątkowo szczęśliwe. Co prawda dziadek nie żył już od pięciu lat, ale babcia każdego dnia tęsknie polerowała czarno-białą ślubną fotografię dłonią, na której prosta, złota, zniszczona po latach noszenia obrączka wbiła się tak mocno w zaczerwieniony palec, że już nie dałoby się jej zdjąć. Niezależnie od tego, jaki związek był jej pisany, Kate miała nadzieję, że okaże się choć w połowie tak szczęśliwy.

— Wcale się nie starasz — narzekała matka, obrzucając córkę krytycznym spojrzeniem od stóp do głów. — Masz takie śliczne oczy i taką ładną, czystą cerę. A kiedy chcesz, potrafisz porządnie się ubrać.

Kate, która zawsze uważała, że wygląda zwyczajnie, była przekonana, że tego ranka daleko jej nawet do tego. Od jej najlepszego wydania dzieliło ją w tej chwili przynajmniej parę kontynentów. Miała poobgryzane paznokcie, nie zrobiła sobie pasemek i na dodatek nie umyła włosów.

Wybór stroju zajął jej kilka sekund. Czarne spodnie i czarna koszulka polo z kolekcji monochromatycznych rzeczy w jej szafie. Jeśli chodzi o makijaż, to nie potrzebowała zachęty Darrena. Coraz rzadziej widziała sens w malowaniu się. Po co odstawiać się dla Slackmucklethwaite? Nie było dla kogo się wysilać.

— Nie rozumiem, dlaczego wieszcznie nosisz spodnie — dodała mama. — Masz przyzwoite nogi. Ale nikt o tym nie wie. Nikt ich nigdy nie widzi.

Kate spojrzała na swoje długie nogi, które stanowiły jedyne zadośćuczynienie dla braku talii i jej zdaniem za dużych piersi. Wzięła z parapetu kluczyki do samochodu. Ale mama jeszcze nie skończyła.

— Można by się spodziewać, że właśnie dzisiaj trochę się postarasz — powiedziała. — Przyjeżdża syn szefa, prawda? Przynajmniej tak mówiłaś wczoraj wieczorem.

— Nathaniel Hardstone?

Skrzywiła się. Prawie o tym zapomniała. Perspektywa przyjazdu Nathaniela może i ekscytowała Wemyssa, ale na niej nie robiła żadnego wrażenia.

— Ej, zostaw dziewczynę w spokoju, Margaret — włączyła się babcia, wychodząc z kuchni. — Kiedy przyjdzie czas, znajdzie sobie właściwego faceta.

— Tylko żeby jej nie przeciekł przez palce — mruknęła ponuro mama.

— Kto, czas czy chłopak? — zadrwił tata.

— Bardzo śmieszne — prychnęła Kate.

— Ten syn szefa może okazać się całkiem miły — zasugerowała babcia. — Nigdy nic nie wiadomo.

Kate zgrzytnęła zębami. Tak się składa, że to akurat wiedziała. Przede wszystkim Nathaniel było idiotycznym imieniem. Kojarzyło się z kimś pulchnym i nadąsanym, przywodziło na myśl niosącego welon panny młodej chłopca w czerwonym aksamitnym ubranku i małego lorda Fauntleroya.

Zdecydowanie nie było to imię dla przystojniaka, chociaż i tak Kate nie spodziewała się ujrzeć atrakcyjnego faceta. Pewnie syn tak samo jak ojciec będzie niski, rumiany i podły.

Popędziła w deszczu do samochodu. Promieniała, rozmyślając o swoim cudownym sekrecie. Ani mama, ani nawet babcia nie wiedziały, że w jej życiu pojawił się jednak mężczyzna. I to nie po prostu jakiś mężczyzna. Mark był powalająco przystojny, seksowny ponad wszelkie wyobrażenie, sympatyczny i podobnie jak ona przekonany, że prawdziwe życie toczy się gdzieś indziej.

To właśnie on sprawiał, że od pewnego czasu Kate spóźniała się na śniadanie. To on kazał jej wcześniej zamykać się w sypialni, to jego czar, uroda i nieskończona pomysłowość erotyczna nie pozwalały jej zasnąć przez pół nocy. Z Markiem był tylko jeden problem — nie istniał naprawdę.

Był wymyślonym bohaterem powieści, którą Kate pisała pod osłoną nocy i kołdry.

Opracowała już z grubsza zarys fabuły. Nie wysiliła jednak za bardzo wyobraźni.

„Mark, reporter lokalnej gazety, z powodów finansowych mieszka z rodzicami i babcią. Jest śmiertelnie znudzony. Pragnie

przeżyć coś ekscytującego i wspaniałego, marzy o kobietach, pieniądzach i szybkich samochodach...". Ta historia przyszła jej do głowy podczas śmiertelnie nudnego zebrania w Instytucie Kobiet, które prowadziła jeszcze mniej porywająco niż zwykle Doreen Bracegirdle. Kate zamierzała opisać ucieczkę Marka z duszących przedmieść, pokazać, jak zaczynając od zaspokajania znudzonych gospodyń — tego jeszcze nie opracowała — kończy na zaspokajaniu znudzonych właścicielek rezydencji w Knightsbridge. Potem jak burza przeleci przez kilka wspaniałych miejsc za granicą — oczywiście przede wszystkim przez południową Francję.

Zarówno ze względu na powieść, jak i dla zaspokojenia własnej przyjemności i ciekawości, marzyła o tym, żeby pojechać na Lazurowe Wybrzeże — w miejsce, w którym pojawiają się wszystkie znane osobistości i które kojarzy się ze zbytkiem i luksusem. Co roku bez specjalnej nadziei nękała Denysa Wemyssa, aby pozwolił jej zrobić dla „Tygodnika” reportaż z festiwalu filmowego w Cannes. Tego roku jakimś cudem — kiedy zapewniła, że pokryje wszystkie koszty — prawie jej się udało go przekonać, ale wraz z nadejściem ery Hardstone'a cofnięto zezwolenia na wszelkie tego typu wyjazdy. Nadzieje Kate na wyśnioną podróż — a także na własny dom i niezależność — coraz silniej przebijały w powieści. Jej największym i najbardziej skrywanym marzeniem było to, że „Żigolak z północy” stanie się bestsellerem — nawet Darren nic o tym nie wiedział. On miał Denholme Velvet, ona miała Marka.

Gdy silnik w końcu zapalił, Kate przebiegła w myślach akapity napisane tego ranka. Kiedy już podpisze wyśnioną umowę z wydawnictwem, będzie musiała zmienić kilka nazwisk. Zerkając w lustro toaletki, Mark przeczesał dłonią ciemnozłote włosy. Były gęste i sprężyste w przeciwieństwie do rzadkich siwych pasm, przyklejonych do niekształtnej głowy radnego i wiceprezesa izby handlowej.

Nic dziwnego, że Doreen Bracegirdle wołała Marka od męża.

— Aaach. O tak, właśnie, chłopcze. Oooch. Leżąca pod nim na łóżku Doreen Bracegirdle uniosła w ekstazie ciężkie biodra. Mark patrzył, jak jedna z obwisłych, pokrytych błękitnymi żyłkami piersi zsunęła się na bok jej tłustej klatki piersiowej. Chryste, ile jeszcze tych sflaczałych, starych worów będzie musiał oglądać, zanim wreszcie ucieknie? Zamknął oczy i pomyślał o jędrnych piersiach wszystkich trzecich żon miliarderów, o pięknych kobietach wylegujących się na pokładach jachtów przycumowanych w Cannes. Cały świat — a przede wszystkim jego przyszła żona — czekały na niego. Ale jak ma do nich dotrzeć?

— Jesteś piękna — mruknął do Dor...

W tym momencie matka załomotała w drzwi sypialni i Kate musiała przerwać pisanie. Cóż, rozmyślała jadąc, taki już los literatów. Coleridge miał swojego „człowieka z Porlock”, a ona Margaret Clegg z Meszuge.

(idy skręciła w ulicę, przy której mieściła się siedziba gazety, ze zdziwieniem zobaczyła, że nie przyjechała pierwsza. Ktoś siał pod szyldem „Tygodnika” — mężczyzna z ogromnym parasolem, którym osłaniał się przed ulewnym deszczem. Kate ruszyła pospiesznie lśniącem chodnikiem.

Oczywiście mogła się mylić. Z pewnością nie był niską i pulchną osobą, jakiej się spodziewała. Był wysoki. Nawet bardzo. Jego długi ciemny płaszcz wyglądał naprawdę elegancko. Mężczyzna z ciekawością — a może raczej z przerażeniem — wpatrywał się w okno ze zdjęciami. Ponieważ padał deszcz, musiał tak stać nie bez powodu. Nikt, nawet przy pięknej pogodzie, nie kręci się dla zabawy przed biurem „Tygodnika”.

Kate zaczęła biec. Woda z kałuż ochlapывała jej spodnie.

— Pan Hardstone?

Wysoka postać odwróciła się. Pod ponurym parasolem mignęły brązowe włosy i proste brwi.

— Jestem Kate — przedstawiła się i zaczęła szukać w torbie kluczy, mrugając, bo deszcz skapywał jej z włosów do oczu.

— A ja jestem przemoczony do suchej nitki.

Wcale nie przesadzał. Mimo parasola był cały mokry. Deszcz kapał mu z włosów i strumykami spływał po nosie. Z eleganckiego i pewnie drogiego płaszcza niemal się lało.

Kate wprowadziła mężczyznę do biura i dyskretnie mu się przyjrzała, podczas gdy upstrzona przez muchy świetlówka rozgrzewała się z dygotem. Oceniała, że Nathaniel Hardstone ma ponad metr osiemdziesiąt. Jego oczy były duże i bardzo niebieskie. Gęste rzęsy pozlepiał deszcz.

Poczuła mrowienie w dłoniach, a do jej szyi podpłynął rumieniec. To miał być syn Petera Hardstone'a? To zjawisko... ten młody bóg... był synem niskiego, brzydkiego, znęcającego się nad słabszymi właściciela gazety?

Ogromnie żałowała, że odpuściła sobie makijaż. Czowała, jak woda spływa jej po twarzy. Każdy atom jej ciała drżał—jak by to ujął Wemyss — porażony bliskością takiej urody.

Pełne, czerwone usta Nathaniela lśniły od wody. Miał prosty nos o delikatnych nozdrzach i gładkie opalone policzki. Nie chodziło o to, że Kate nigdy nie widziała nikogo tak przystojnego w Slackmucklethwaite. Absolutnie nigdzie nie widziała nikogo tak przystojnego.

### Rozdział 3

Uświadomiła sobie, że się zagapiła, więc ulżyło jej, gdy zadzwonił telefon na biurku należącym niegdyś do Joan. Ulga szybko zniknęła.

— To „Wychodnik”?

— Tak, „Tygodnik”.

— Myślę, że jednak to ja mam rację — rzucił kwaśno mężczyzna po drugiej stronie słuchawki. — Mówi Adrian Grimshaw.

Zanosilo się na kłopoty. Kate zerknęła z lękiem na Nathaniela I lardstone'a. Rozwiesiwszy przemoczony płaszcz na wieszaku, przysiadł na brzegu biurka Darrena i smukłą opaloną dłonią przygładził przemoczone deszczem włosy.

— Witam, panie Grimshaw. W czym mogę pomóc? — zapytała Kate.

— Żona właśnie urodziła synka, który waży dwa kilogramy i siedemset gramów, a na imię ma Joseph.

— Moje gratulacje — odparła Kate, zastanawiając się z pewną obawą, dlaczego ją o tym poinformowano.

— Co pani powiedziała?

— Powiedziałam „moje gratulacje”. To wspaniała nowina.

— Cóż, to byłaby cholernie wspaniała nowina — przerwał jej ze złością Grimshaw — tyle że w waszych *Zapowiedziach dla gawiedzi* napisano, że nazywa się Jacob.

— Jacob to też bardzo ładne imię — stwierdziła uspokajająco Kate.

— Ale nie dla niego. Dlaczego miałbym nazwać syna jak herbatniki?

Wyglądało to na kolejną wpadkę Joan w ogłoszeniach personalnych. Kate zauważyła, że rozbawiony Nathaniel wykrzywił usta w uśmiechu. Jego włosy powoli schły i zaczynały nabierać barwy ciemnego złota. Kiedy ich kosmyk opadł mu na oczy, odrzucił je beztróskim gestem supermodela, odsłaniając kości policzkowe, które prawdopodobnie były widoczne nawet z księżyca.

— Ehm... jasne... Sprawdzę wszystko i oddzwonię do pana. Znowu obrzuciła Hardstone'a spojrzeniem. Jej serce zabiło

mocniej z niepokoju. Nathaniel nie tylko obserwował ją z ewidentnym zainteresowaniem, ale też słuchał tego, co mówiła. Coś w jej głosie przykuło jego uwagę. Prawdopodobnie strach.

— Jasne. — Kate usiłowała sprawiać wrażenie, że właśnie zostały jej przekazane jakieś cenne i poufne informacje z wiarygodnego źródła. — Świetnie. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i zmusiła się do uśmiechu.

— To jeden z naszych miejscowych niezależnych dziennikarzy — wyjaśniła. — Jak zwykle ma mnóstwo sensacyjnych wiadomości, ha, ha.

— Skąd? — zapytał Nathaniel.

— Ehm... Ze Slack Palisades — odparła Kate, wymieniając pierwszą nazwę, jaka jej przyszła do głowy.

— Tak? — Hardstone zmrużył oczy. — Serio'? — Z sykiem przeciągnął „s”. — Nie wiedziałem, że ktoś tam teraz mieszka poza tatą.

— Ach... — wykrztusiła Kate.

A niech to, pomyślała. Ale ze mnie kretynka! Zupełnie wyleciało jej z głowy, że osiedle zapadło się pod ziemię, a właściwie do kopalni. Może jednak związek Petera Hardstone'a z Fantasią jest tylko wytworem rozgorączkowanej wyobraźni Darrena i Frei.



— Nie, czekaj. — Twarz Nathaniela rozjaśnił uśmiech. — Zapomniałem, że rzeczywiście ktoś tam mieszka. Po sąsiedzku, prawda?

Uratowana. Kate pokiwała głową.

— Jakiś piłkarz — powiedział Nathaniel. — Nazywa się Igor Blavatsky i gra w Union.

Kate uśmiechnęła się enigmatycznie, jakby to właśnie on był jej niezależnym dziennikarzem.

— Ale ten piłkarz ani w ząb nie zna angielskiego — dodał z szelmowskim uśmiechem Nathaniel.

Otworzyły się drzwi i wszedł Darren. Ociekał wodą, a sprzączki jego butów dzwoniły jak dzwonki reniferów Świętego Mikołaja.

Uśmiech Nathaniela zbladł. Zagapił się na plastikową torbę, którą Darren wsadził na głowę, żeby uchronić swoją natapiro-waną fryzurę przed deszczem. Mimo tych środków ostrożności jego makijaż całkiem się rozmazał, tusz po prostu spływał, a szminka tak zbieła, że wyglądał jak po zawale.

— To Darren — przedstawiła go Kate. — Mój kolega.

Darren skinął głową Hardstone'owi, podbiegł do Kate i zamknął ją w radosnym niedźwiedzim uścisku. Jego przemoczony zielony płaszcz z demobilu mocno pachniał kreozotem, a rozmazane oczy błyszczały z podniecenia.

— Velvets będą mieli koncert! Hura!

— Zadzwońeś do Jolene? Darren ma zespół — wyjaśniła Nathanielowi Hardstone'owi Kate.

Syn właściciela gazety wzruszył ramionami.

— Fajnie — mruknął. Darren rzucił mu złe spojrzenie.

— Ta Jolene Shaw — powiedział do Kate — zadała mi naprawdę dziwne pytanie.

— Jakie?

Darren ostrożnie zdjął plastikową torbę z włosów i przeczesał je dłonią.

— Hmm, sprzedawałem jej całą nawijkę, no wiesz, że Velvets to kapela na poziomie, grająca piosnki i takie tam, ale ona

weszła mi w słowo i oświadczyła, że nic jej to nie obchodzi. Chce tylko wiedzieć, czy Velvets potrafią, hmm... — urwał i spojrzał zakłopotany na swoją koleżankę.

— Stać? — Kate z trudem pohamowała śmiech. Na twarzy Nathaniela pojawiło się niedowierzenie.

— Aha. — Darren zamrugał zaskoczony. — Skąd wiedziałaś? Tak, po prostu stać. Na nogach. Dziwne.

— I co jej odpowiedziałeś?

— Ze jasne, Velvets potrafią stać. Kurczę, naprawdę umiemy stać. Stoimy prościej i lepiej od wszystkich innych w tym biznesie. No i gramy w piątek. — Darren zamachnął się pięścią.—Do boju!

— Co o tym myślisz? — zapytała Darrena Kate. Przyjechał już Denys Wemyss i rozgorączkowany zgarnął

Nathaniela Hardstone'a do swojego maleńkiego gabinetu.

— Myślę, że został jeszcze kawałek ciasta, które biedna stara Joan przyniosła w zeszłym tygodniu z okazji urodzin księżniczki Eugenie — odparł Darren. — Jedząc ciasto, możemy pomilczeć przez dwie minuty na jej cześć. To znaczy Joan, nie księżniczki Eugenie.

— Nie mówię o cieście z wiśniami. — Kate przewróciła oczami i zerknęła na biuro Wemyssa. — Mówię o nim. O Na-thanielu, synu Hardstone'a.

— Ach. — Darren pokręcił jednym z kolczyków w nosie i zrobił mądrą minę. — Mówisz o Panu Przystojniaku?

— Skoro już o tym wspomniałeś, to rzeczywiście wygląda całkiem nieźle. Chyba.

Darren rzucił jej kpiące spojrzenie.

— Aha. Akurat wyglądasz na kogoś, kto ma wątpliwości. Kate obruszyła się.

— Przystojny, ale oślizgły z niego typek, jeśli chcesz znać moje zdanie — dodał Darren. — Jest w nim coś, co mi się zdecydowanie nie podoba.

— Czy to ma coś wspólnego z faktem, że nie był pod wrażeniem koncertu Denholme Velvets?

— Chyba mnie mylisz z kimś, kogo obchodzi, co ten gościu myśli. — Oczy Darrena gniewnie rozbłysły. — Daj spokój, Kate, na pewno zauważyłaś, że to dupek.

— Ma śliczny tyłek, jeśli to masz na myśli.

— Nie, nie to — warknął Darren.

Kate uznała, że nie ma sensu drażyć tematu, kiedy kolega jest w takim nastroju. Wróciła do rubryki *Pięćdziesiąt lat temu tego dnia*, zestawienia, którego wykonanie w tym tygodniu jej przypadło w udziale. Pięćdziesiątka była wyjątkowo starym i zużytym weteranem „Tygodnika”, a jej przygotowanie wymagało zejścia po chybionych schodach do zawilgoconej piwnicy pod biurem, gdzie trzymano wielkie, ciężkie, oprawne w skórę archiwa gazety. Równie dobrze mogłyby znajdować się pod wodą.

Tam, przy słabym świetle gasnącej latarki dziennikarz próbował wybrać najmniej nudne wydarzenie sprzed pięciu dekad, po czym zataczając się, wychodził na górę i rozkładał wielki tom na kserokopiarce.

W Pięćdziesiątce regularnie pojawiały się informacje o kładzeniu kamieni węgielnych albo sepiowe fotografie bladych, uczesanych z przedziałkiem piłkarzy, wymachujących pucharami z autobusu bez dachu do tłumu w homburgach. Kolejny ulubiony temat to ludzie, którzy znajdowali niewypały: „Nasi starsi czytelnicy zapewne pamiętają wiadomość o bombie...”.

Och, nuda. Ale nigdy nic nie wiadomo. Sięgając do minionych wydarzeń, czasem można było znaleźć naprawdę ciekawe rzeczy. Dwadzieścia lat temu reporter z „Tygodnika”, grzebiąc w piwnicy, dokonał zdumiewającego odkrycia, że w miasteczku mieszkają przodkowie prezydenta Stanów Zjednoczonych. W efekcie tego odkrycia owa rodzina stała się *cause célèbre*, temat podjęła ogólnokrajowa prasa, a reporterowi zaproponowano pracę w londyńskiej gazecie. Wprawdzie nigdy więcej o nim nie słyszano, ale to już było mało istotne.

Kate przytargała tom na górę, zastanawiając się, czy żona zastępcy burmistrza kładąca kamień węgielny pod dworzec

autobusowy to lepszy temat od odsłonięcia estrady dla Coronation Bandstand.

Droga do kapryśnej starej kserokopiarki oznaczała konieczność przejścia obok gabinetu naczelnego, w którym złocista głowa Nathaniela Hardstone'a opierała się ze znużeniem o szybę.

Kate zobaczyła, że Darren podnosi wieczko puszek z ciastem.

— Hura, mnóstwo zostało. Chcesz kawałek?

— Nie, dzięki.

Posługując się nożem, który zawsze leżał w puszcze, Darren odkroił sobie spory kawał. Uniósł go chudymi białymi palcami o poobgryzanych i pomalowanych na czarno paznokciach.

— Niesamowite — westchnął, podziwiając idealne rozmieszczenie kandyzowanych wisienek. —

Ciekawe, jak Joan to robi. Teraz już nigdy się tego nie dowiemy.

Po wzniesieniu herbatą w kubkach z Izby Handlowej Slack-mucklethwaite toastu za poległych towarzyszy usiedli do pracy.

— Co robisz? — zapytała Darrena Kate.

— „Znam to jak swoje pięć palców”.

— Słucham?

— Kolejny genialny pomysł naszego wspaniałego patriotycznego przywódcy — burknął Darren. — Żeby udowodnić, że to stare powiedzenie nie jest prawdziwe, Hardstone kazał Colinowi sfotografować dłonie mnóstwa ludzi, pomieszać je i kazać ludziom rozpoznać własne. Nie sądzę, żeby im się udało. — Super. To na pewno przebije się do wiadomości ogólnokrajowych.

— Aha. Oczywiście tak naprawdę chodzi o zachęcenie do umieszczania reklam ludzi zajmujących się dłońmi: manikiurzystki, chiromantów, właścicieli ekskluzywnych saun tylko dla panów...

podejrzewam, że głównie chodzi o to ostatnie.

Kate skrzywiła się.

— A kiedy skończę z dłońmi, będę rozplanowywał specjalny dodatek do „Dywanomanii”.

— Nie podejrzewałam, że można mieć fioła na tle dywanów. Oboje zapatrzyli się w przestrzeń.

— Nie wiem jak ty — zastanawiał się na głos Darren — ale ja tęsknię za tymi szalonymi historiami, które kiedyś pisaliśmy. Przynajmniej o czymś opowiadały.

— Na przykład o tym, że na Southgate widziano UFO? Darren zaśmiał się.

— Właśnie... obcy z innej galaktyki, mając do wyboru wszystkie miejsca na tej planecie, wybrali akurat to miasteczko.

— Ale były niepodważalne dowody — przypomniała mu Kate. — Siedemdziesięcioletnia babcia widziała ogromne kłęby chmur opadające z nieba, a ktoś wracający z Mordowni, tak, wracający, zobaczył jasne światło i dziwną mgłę.

— A co z tą kobietą, która w biały dzień została zaatakowana laserem przez obcych, gdy wychodziła z targu pod arkadami? Albo z historią o latającym spodku, nakręconym kamerą wideo przez gospodynię domową ze Slack Bottom, „osiem i pół minuty niesamowitego materiału filmowego”?

Oboje wyszczerzyli zęby, znowu pogodzeni. Kiedy Darren postanowił zrobić sobie porządną przerwę na herbatę i sięgnął po „Mirror”, Kate jeszcze raz zerknęła w stronę biura naczelnego. Widziała, że rozgorączkowany Wemyss stara się przekazać swojemu gościowi pięćdziesiąt lat doświadczeń w prasie, lecz na pięknej twarzy Hardstone'a malowała się śmiertelna nuda.

Jaki on był przystojny. Ale nie ma się czym podniecać. Nie trzeba być Darwinem, żeby wiedzieć, że byłoby to wbrew naturze, gdyby mężczyzna, który wygląda jak Nathaniel, leciał na kobiety, które wyglądają jak ona. Blondynki o jędrnych ciałach, których zdjęcia wypełniały strony kolorowych czasopism, zdecydowanie bardziej do niego pasowały. Piękne, kosztowne kobiety o szerokich śnieżnobiałych uśmiechach i idealnych pasemkach. Nie niechlujne dziewczyny z trzydziestocen-tymetrowymi myszowatymi odrostami.

— Jezu Chryste... — mruknął Darren.

— Co?

— Champagne B. Oska.

Pomachał gazetą. Fioletowe szpikulce na jego głowie zatrzęsły się z obrzydzenia.

— Ta laska? — Kate nie była specjalnie zainteresowana. — Modelka, aktorka, materac czy za kogo robiła w...

Urwała, nie chcąc się przyznać nawet przed Darrenem, że oglądała *Cześć, żeglarzu, jestem gwiazdą*, chociaż całą winę spokojnie mogła zwalić na babcię. Jako zagorzała wielbicielka wszystkich programów podróżniczych, pilnie śledziła tę nową wersję Big Brothera, tym razem ze sławami. Grupa popularnych postaci, w tym Champagne, wyruszyła w podróż dookoła świata. Po drodze eliminowano z programu kolejnych uczestników. Niegrzeczne zachowanie Champagne wobec pozostałych żeglarzy błyskawicznie rozślawiło program, chociaż ona sama nie uczestniczyła w zabawie zbyt długo. Jako że pierwsza została skazana na odejście, musiała przejść po trapie do łodzi pełnej kamerzystów już w pobliżu portu Dieppe. Jednak kilka dni jej pobytu na pokładzie, a raczej paru jej ciuszków, cieszyło się ogromnym zainteresowaniem telewidzów. W efekcie notowania aktorki były po tym programie wyższe niż kiedykolwiek w ostatnich latach.

— Ta, która była w *Cześć, żeglarzu, jestem gwiazdą* — podsunął Darren. — Właśnie ta. Będzie tu mieszkać. — Tu? W Slackmucklethwaite? Po co?

— Bo spotyka się z Igorem Blavatskym.

— Serio?

Oczy Kate rozszerzyły się ze zdumienia. Blavatsky, który cieszył się reputacją cichego piłkarza, „ostrożnej pary nóg”, jak to ujął menedżer United, nie wyglądał na kogoś, kogo można by wyobrazić sobie w szponach notorycznej łowczyni gwiaz-dorskich skalpów w typie B. Oskiej.

— Igor cierpiał ostatnio z powodu nadwreżenia pachwiny — zastanawiał się na głos Darren. — Stracił przez to parę ważnych meczów. Nie sądzisz chyba, że to ma z nią jakiś związek, co? Nigdy nie słynęła z przesadnego ubierania się. W ogóle z noszenia ubrań.

Pokazał Kate „Mirror”. Na rozkładówce leżała tyłem do czytelnika piękna blondynka i spoglądała ponad ramieniem,

wydymając wargi. Jej pośladki, pomiędzy którymi błyskał cieniutki złoty pasek stringów, były krągłe, pełne i brązowe jak dwie świeżo wypieczone bułeczki. „Do schrupania” — mówił nagłówek.

W tekście towarzyszącym jej pośladkom „modelka i aktorka” wypowiadała się na temat Slackmucklethwaite i jego mieszkańców. „Czy kiedykolwiek byłam na północy? — rozważała na głos najpopularniejsza uczestniczka programu *Cześć, żeglarzu, jestem gwiazdą*. — Boże, nie, chyba żartujesz sobie. Po co miałabym tam jechać? Szkoda, że nie widzieliście tej dziury. Weźcie choćby samą nazwę: Slackmucklethwaite! Sklepy są beznadziejne, jedzenie ohydne, chłopci sąbrzydzy i głupi, i nie rozumiem ani słowa z tego, co mówią. Ale ten magnetofon nie jest włączony, prawda?”

- Niewiarygodne. — Kate pokręciła głową, a jej oczy rozbłysły z wściekłości. — To rozpęta burzę wśród miejscowych.

Zacisnęła gniewnie pięści. Jak ktokolwiek, a zwłaszcza ta Champagne B. Oska z ptasim mózdzkiem, śmie mówić w ten sposób o jej mieście? Nagle poczuła, że musi stanąć w obronie Slackmucklethwaite, jego ratusza w stylu Pałacu Dożów, jego miłych, ciężko pracujących mieszkańców i pięknych okolic. Ze wszystkich głupich, zarozumiałych, snobistycznych... — Jej głos zadrżał ze złości.

Spokojnie. Kogo właściwie obchodzi, co myśli taka głupia zdzira?

- Wiem, ale... — Kate sapnęła gniewnie. Darren wstał.

- Muszę już iść. Mam wywiad na wyłączność z właścicielem sklepu z urządzeniami elektrycznymi, który wykupił reklamę na pół strony w „Tygodniku”. Podejrzewam, że „Pod napięciem” pojawi się na pierwszej stronie. Wywiad na pewno będzie elektryzujący, a facet bez wątpienia spodziewa się neonu reklamowego zamiast tekstu.

Gdy Kate wróciła z toalety, dzwonił telefon Joan. Zacisnęła kciuki i dopiero wtedy odebrała.

— Słucham? — zapytała ostrożnie.

— Cholera, wreszcie ktoś ruszył tyłek! — warknął głos po drugiej stronie. — Dlaczego, do cholery, w tym pieprzonym biurze nikogo, cholera, nie ma?!

— Dzień dobry, panie Hardstone.

— Nie widzę, co, do cholery, jest w nim takiego dobrego. Gdzie, do cholery, byłaś? Wydzwaniam od wieków, jasna cholera!

— Byłam...

— Nie chcę słuchać tych wykrętów — natychmiast zgromił ją właściciel. — Chcesz mieć tę pieprzoną robotę czy nie?

— Oczywiście, że chcę, panie Hardstone. — Kate zmusiła się do słodkiego tonu mimo zaciśniętych zębów. — W czym mogę pomóc?

Może kilka proszków uspokajających? Zastrzyk? Kaftan bezpieczeństwa?

— Czy ten bezużyteczny łajdak, mój syn, już tam jest?

— Tak. To znaczy Nathaniel już jest. Zawołać go?

— Nie, do cholery, nie. Chcę rozmawiać z tym starym jełopem Wymysłem. On też tam jest, jak przypuszczam. — Tak.

— Kiedy ostatnim razem dzwoniłem, wziął sobie całe pieprzone popołudnie wolnego.

— Zgadza się. Pan Wemyss miał pogrzeb matki.

— Co to za usprawiedliwienie? Ta stara pudernica i tak by nie wiedziała, czy się zjawił.

Trudno było na to coś odpowiedzieć.

— A kim ty właściwie jesteś? — dopytywał się Hardstone. — Jak się nazywasz?

— Kate Clegg. — Aha. Dziennikarka z wielkimi cyckami. Kate zamruwała.

— Ehm... Jestem dziennikarką, zgadza się...

— Aha. Całkiem w porządku z ciebie dziewczyna. Byłoby na czym oko zatrzymać, gdybyś straciła parę kilo.



Gardło Kate zacisnęło się ze złości.

— Spróbuję — mruknęła.

Po drugiej stronie Hardstone ryknął:

— Nie pogrywaj sobie ze mną, do cholery, to ja jestem ten cwany.

— Przepraszam.

— Połącz mnie z tym pieprzonym, bezużytecznym redak-torkiem. Ale już.

— Ma spotka...

— Powiedziałem JUŻ!! — wrzasnął Hardstone.

— Proszę poczekać minutkę, panie Hardstone.

Gdy odkładała słuchawkę na biurko, wyleciał z niej potok pomysłów.

— Dzwoni Peter Hardstone — szepnęła, uchylając przeszklone drzwi do gabinetu Wemyssa i wsuwając głowę.

Unikała wzroku Nathaniela, ale czuła, jak przesuwa się po jej ciele niczym zimna, bardzo zimna woda z prysznica. Z trudem się powstrzymała od wzdrygnięcia.

Twarz naczelnego wykrzywiła się w panice.

— Ech, tak... Lepiej go przełącz, moja droga. Wiesz co? Może zabierzesz Nathaniela na jakąś przekąskę? Pokażesz mu Irochę miasto. Zabierz go gdzieś na lunch. — Spojrzał na sfatygowany złoty zegarek. — Już... no, właściwie prawie... pora na lunch.

Kate spojrzała na swój zegarek. Była za kwadrans dwunasta.

— Cóż... Dobrze. Zabiorę go do Billy'ego. Wemyss zaniepokoił się.

— Jesteś pewna?

Kate rozumiała jego obawy. Kafejka Billy'ego z pewnością nie była *beau monde*. Ale jakie miejsce miało tu klasę? A tam przynajmniej serwowano tanie gorące jedzenie, no i była blisko biura.

Kafejka Billy'ego zajmowała róg krytego miejskiego targu. Jej właściciel — pięćdziesięcioletek z zaczesanymi do góry włosami, którego czerwona twarz zdradzała nadmiar alkoholu

lub stresu, albo jednego i drugiego — urzędował za ladą, na której z trzaskiem lądowały frytki oraz kanapki z bekonem i fasolą. Wzdłuż wnętrza kafejki biegła półka pełniąca funkcję stołu, a pod nią stały niskie taborety. Siadywali na nich stali klienci Billy'ego. Starsze panie, które pozwalały odpocząć nogom po zakupach. Młode mamy i ich wierzące się, piszczące dzieci. Znużone nastolatki, dymiące na wszystkich.

Nathaniel Hardstone wpatrywał się w wiszącą na ścianie tablicę, zachęcającą do zjedzenia „śniadanka u Billy'ego”: bekon, pomidory, kiełbaska, smażone ziemniaki, fasola, grzyby, jajko i tost. Gwizdnął.

— To wcale nie wygląda jak małe śniadanko, tylko jak obietnica zawału serca.

— Na twoim miejscu wzięłabym kanapkę z bekonem.

— Może być.

Złożyła zamówienie u Billy'ego i wróciła na swoje miejsce, świadoma tego, że Nathaniel przez cały czas jej się przygląda.

— To miejsce jest jakieś nierzeczywiste — mruknął, rozglądając się wokół.

Zdaniem Kate to właśnie on był najbardziej nierealny. Jego uroda i wyraźne uprzywilejowanie rzucałyby się w oczy w każdych okolicznościach, a tutaj wręcz szokowały. Jakby nagle ujrzało się anioła w kolejce do autobusu.

— Kafejka Billy'ego? — Uśmiechnęła się. — Jest jedyna w swoim rodzaju, zaręczam.

— Nie, nie mówię tylko o tym. Chodzi mi o cały ten kram. Całe to cholerne Slackmucklethwaite. — Potarł oczy. — Nie wierzę, że muszę zostać w tej dziurze.

Rozdrażniło to Kate.

— Myślałam, że chcesz zająć się „Tygodnikiem” — warknęła. — Powiedziano nam, że sam go wybrałeś.

Uniósł głowę. Jego oczy zapłonęły kpina jak błękitne płomienie gazu.

— Ups, przepraszam. Nie wiedziałem, że lubisz tu mieszkać.

— To moje miasto — broniła się Kate. Całe życie tu mieszkałam.

— Jasne. Jasne.

Jego twarz spoważniała. Pokiwał ze zrozumieniem głową, potrząsając lśniącymi włosami. Spojrzał na nią ze skruchą.

— Przepraszam. Nie przejmuj się mną. Nie cierpię swojego domu, więc myślę, że wszyscy inni też.

— Nie lubisz Slack Palisades? Nie lubisz mieszkać z ojcem?

Starła się nie okazać, jak mocno ją to zaintrygowało. Wiedziała, że neutralna obojętność bardziej sprzyja zwierzeniom niż twarz pełna zaciekawienia.

— Aha. Z tego wszystkiego jego najbardziej nie cierpię. Nathaniel Hardstone nie cierpiał ojca! Chyba nie powinna

się dziwić. Już sama praca dla tego tyrana była dość okropna. Mieszkanie z Peterem Hardstone'em musiało być koszmarem. A o pokrewieństwie z nim nie sposób nawet myśleć. Nie tyle zaskoczyły ją słowa Nathaniela, co sam fakt, że w ogóle coś na ten temat mówił.

— Mój ojciec to łajdak, który nad wszystkimi się znęca — powiedział z przekonaniem i spojrzał na nią wyczekująco.

Uśmiechnęła się dyplomatycznie. Nie była jeszcze pewna, czy może mu zaufać.

Zmrużył oczy i zniżył głos do intymnego szeptu:

— Czy to prawda, że próbował cię namówić na rozbierane zdjęcia? Kate skrzywiła się.

— Co takiego?

— Och, może coś źle zrozumiałem. — Obdarzył ją wspaniałym uśmiechem. — Mów mi Nat, dobrze?

— zamruczał. — Wszyscy przyjaciele tak do mnie mówią. Mam nadzieję... — pochylił się do niej — że zostaniemy przyjaciółmi. Kate poczuła, jak jej serce tłucze się po całej klatce piersiowej.

Usłyszeli dwa głośne stuknięcia w ladę.

— Dwie kanapki z bekonem! — wrzasnął Billy.

— Ja przyniosę — powiedział Nat i wyprostował się na całe swoje metr osiemdziesiąt z kawałkiem.

Wracając, wziął jedną kanapkę z talerza i zniesmaczony

przyjrzał się grubym białym klinom chleba, przedzielonym tłustym różowym boczkiem.

— Więc co tu robisz — zapytała Kate, kiedy wrócił — skoro tak naprawdę nie chcesz pracować w „Tygodniku”?

— Wyrzucili mnie z Oksfordu. Wgryzł się w chleb.

— Oksfordu?

Odłożyła swoją kanapkę, nawet jej nie tknąwszy. Była głodna, ale ryzyko, że zapaści sobie „brodę Billy'ego” — jak nazywano w „Wychodniku” strumyk tłuszczu spływający po podbródku—powstrzymało ją przed zareagowaniem na ponaglenia ze strony żołądka.

— Przyjechałeś z... Oksfordu?

— Zgadza się.

Spojrzała na niego zdumiona, próbując sobie wyobrazić, jak to jest odrzucić taką szansę.

— Co się stało? — zapytała.

Uniósł jasne brwi i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Parę rzeczy się na to złożyło. A konkretnie kokaina i marihuana, które znalazł w moim pokoju opiekun studentów.

— Narkotyki?! Zachichotał drwiąco.

— Widać, że jesteś dziennikarką. Umysł bystry jak rzeka. — Uniósł ręce, gdy zobaczył, że Kate krzywi się z wściekłości. — Przepraszam! Żartowałem, dobra? W każdym razie — ciągnął z uśmiechem — nasz opiekun strasznie się na mnie wkurzył. Chyba nie wkurzyłby się bardziej, gdyby się dowiedział, że obracałem jego żonę — dodał.

— Och... pewnie tak — mruknęła Kate, starając się, żeby w jej głosie brzmiała dezaprobata, a nie fascynacja.

— Właśnie dlatego tu jestem. To moja kara. Skazano mnie na zamieszkanie w tym cholernym Slack Palisades i zmuszono do pracy w „Wychodniku”. To mój ojciec, sukinsyn, tak mnie uziemił.

— Smażone oczy! — krzyknął Billy, trzaskając talerzami o ladę.

— To żart... — Kate uśmiechnęła się szeroko na widok przerażonej twarzy Nata. — Tak Billy nazywa smażone na oleju jajka.

— Bardzo zabawne — powiedział i uśmiechnął się do niej. Był to taki intymny uśmiech, że Kate znowu zmięła. Pochylił się do niej i dotknął jej dłoni.

— Powiedz mi — odezwał się cicho — co naprawdę chciałabyś robić, gdybyś mogła wybrać? Zawahała się.

— To nie tak, że nie lubię pracować w „Tygodniku”... Pokiwał głową.

— Jasne, jasne.

— Ale nie miałabym nic przeciwko temu, żeby kiedyś przenieść się do innej gazety.

Twarz Nata była poważna i zachęcała do mówienia.

— Pewnie, że tak. Kto by cię za to winił.

- Gdzieś... w Londynie?

Ze zrozumieniem pokiwał głową. - Jasne. To dość oczywisty wybór, nie?

Jeszcze jedno... — Kate, zwykle małowówna, mięła widząc jego współczucie — z przyjemnością zaczęłabym pisać... hmm... bardziej interesujące teksty. Zanim twój ojciec przejął gazetę, miałam jechać do Cannes i pisać o festiwalu li linowym...

Poczuła, jak skrywane marzenie poruszyło się w głębi jej umysłu.

Nie spodziewała się, jaka reakcję wywoła to skromne wyznanie.

- Pisać o festiwalu filmowym? Dla zapyziałego „Wychod-nika”? To znaczy dla „Tygodnika”? — W głosie Nata pobrzmiwało niedowierzenie.

„Tygodnik” był mi tak naprawdę potrzebny tylko dla akredytacji prasowej. — Kate nie potrafiła powstrzymać się przed dalszymi zwierzeniami. — Szczerze mówiąc, chciałam po prostu pojechać i zobaczyć, jak wygląda festiwal. I wyrobić sobie nazwisko. Gdybym miała szczęście i zrobiła wywiad

z jakąś gwiazdą, może udałoby mi się go wysłać do Londynu albo coś takiego. — Zarumieniła się. — Dobrze kombinujesz. — Niebieskie oczy znowu rozbłysły, a Kate zadrżała z rozkoszy w ciepłe spojrzenia Nata. — Wiesz, to niesamowity zbieg okoliczności — dodał po chwili.

— To znaczy?

— Ten festiwal filmowy. Powiniennem tam pojechać w przyszłym tygodniu. W willi na Cap Ferrat ma być impreza, na której będzie się roić od reżyserów i agentów filmowych.

— I aktorów? — zapytała Kate, zastanawiając się, co takiego ekscytującego jest w agentach filmowych.

— Jasne. Same gwiazdy.

— Och. — Kate spojrzała na niego z zazdrością. — Ojciec pozwoli ci tam jechać?

Nat wsadził papierosa w swoje piękne, nadasane usta supermodela, zapalił zapałkę, a potem ją zgasił, machając smukłą opaloną dłonią, i zaciągnął się głęboko.

— Ten stary pijak nie zdoła mnie powstrzymać. A zwłaszcza nie przeszkodzi mi grać.

— Rozumiem. Chcesz być aktorem?

Jak zawsze gdy mówiono o artystach, Kate przypominała się Gladys Arkwright w roli Julii.

— Wszyscy w college'u byli przekonani, że jestem następnym Hugh Grantem. Dopóki ten pieprzony opiekun nie wetknął w to swojego nosa. A zaraz po nim mój kochany ojczulek.

— Ojej. — Więc nie tylko jej karierę Hardstone zahamował. To samo zrobił swojemu potomkowi. — Jaka szkoda.

— A co do twojego wyjazdu do południowej Francji... — Pochylił się nagle do niej. — Kto miał za to zapłacić? Przecież nie mój ojciec.

— Chyba kpisz sobie ze mnie... ehm... to znaczy nie.

— Więc kto wykladał kasę? — zapytał ponownie, przyglądając się jej uważnie.

— Oczywiście, że ja — odpowiedziała z dumą Kate. Przez Petera Hardstone'a jej niezależność była dość mocno ograniczona, ale mimo wszystko jeszcze istniała. — Z własnych oszczędności.

Mama była przerażona kosztami, które Kate zamierzała sama pokryć. Uważała, że córka powinna oszczędzać pieniądze z myślą o własnym domu — kiedyś, w odległej przyszłości. Babcia jednak namawiała wnuczkę, żeby wydała je na przyjemności.

— I tak ich nie zabierzesz ze sobą do grobu. W całunie nie ma kieszeni — stwierdziła.

— W całunie! — wykrzyknęła mama. — Nasza Kate jeszcze go nie potrzebuje, prawda?

— Tak uważasz? To pewne jak diabli, że zostanie tu pogrzebana żywcem. Nigdy nie zapominaj — powiedziała staruszka do wnuczki — że przygoda to kwiat życia.

Kate pomyślała ponuro, że pewnie nigdy tego kwiatu nie zobaczy. Ani nie powącha. Ani nie zerwie. Spojrzała smutno na Nata Hardstone'a, uśmiechającego się do niej. Od tego uśmiechu drżały jej kolana i ścisnął się żołądek. Rozświetlał obskurną kafejkę Billy'ego jak słońce, które nagle wyszło zza chmur.

Odpowiedziała Natowi uśmiechem. Może jednak myliła się w sprawie tego kwiatu, o którym mówiła babcia.

## Rozdział 4

Przy śniadaniu babcia pochyliła się nad stołem do Kate.

— Bardzo ładnie dziś wyglądasz, kochanie. — Jej zdrowe oko błyszczało za szkłem okularów. — Poznałaś kogoś?

— Niezupełnie — odparła Kate z kawałkiem tostu w ustach.

— O rety, tylko patrzcie na nią—powiedział tata, wchodząc do kuchni. — Wystroiła się jak stróż w Boże Ciało.

— Zostaw ją w spokoju — skarciła go babcia, furkocząc drutami. — Wyglądasz wspaniale, kochanie. Lala jak z żurnala. — Mrugnęła do wnuczki.

Kate zmusiła się do słabego uśmiechu. Nie zamierzała wyglądać ani jak stróż, ani jak z żurnala.

Chodziło jej raczej o subtelny seksapil. Czowała się wykończona. Pół godziny szukała krótkiej, obcisłej czarnej spódniczki, którą nosiła jakieś trzy kilogramy temu, a potem przez następne pół godziny ponownie zapoznawała się z zawartością kosmetyczki. Ostatecznie porzuciła wszelkie nadzieje na szybką sesję z „Żigolakiem z północy”, gdy zaczęła gorączkowo szukać właściwego odcienia szminki. Czy czerwień to jej kolor?

— Jest herbata? — zapytała.

Matka chlusnęła strumieniem ciemnobrazowego płynu do kubka z obrazkiem „Slackmucklethwaite w rozkwicie”. Kate zauważyła, że to końcówka z imbryka — taka herbata wydaje



się jakby sucha i jeszcze bardziej chce się po niej pić. I miała dokładnie ten sam kolor — Kate zerknęła pod kuchenny stół — co zapobiegające żyłakom rajstopy babci.

— Czy mogę przyjąć, że łazienka w końcu jest wolna? — zapytał zgryźliwie tata.

Kate spiorunowała go wzrokiem. Czy to jej wina, że odżywkę należy trzymać na włosach przez piętnaście minut? Zresztą wykorzystała ten kwadrans, goląc nogi i pachy.

— Nie przejmuj się nim — szepnęła uspokajająco babcia. — Powinien uważać się za szczęściarza.

Kiedy ja byłam młodą dziewczyną, w ogóle nie mieliśmy łazienki. Był tylko rondel z wodą; myliśmy dół, ile się dało, i myliśmy górę, ile się dało. — Pochyliła się ku niej i zachichotała. — A potem, jak wszyscy wyszli, myliśmy to, co się daje.

Kate parsknęła w herbatę.

- Och, babciu. Przez ciebie rozmazałam sobie szminkę. — Zegar brytyjskich ptaków głosem sikorki obwieścił dziewiątą. — Lepiej już pójde. Jestem spóźniona.

Kiedy wychodziła, rzuciła ostrożne spojrzenie na robótkę babci. Bluzeczka — to już nie mogło być nic innego — wyglądała na niepokojąco bliską skończenia.

— Wczoraj musiałam czterdzieści minut czekać na autobus — oświadczyła babcia, wymachując drutami. — Zrobiłam całe plecy.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Kate syn właściciela nie czekał przed wejściem, gdy dotarła do siedziby „Tygodnika”. Westchnęła i otworzyła sobie biuro. Minęło pół godziny, nim drzwi ponownie się otworzyły. Kate odwróciła się, ale zamiast eleganckiego, zadbanego i seksownego Nata ujrzała Darrena, jeszcze bardziej gotyckiego niż zwykle. Oprócz niebieskich kolców na głowie miał na ustach niebieską metaliczną szminkę, paznokcie w kolorze krwi i ciemnofioletowe cienie na powiekach.

— Masz niesamowite cienie — zauważyła Kate.

— To nie makijaż, ale nieporozumienie w kwestiach mody z jakimiś piłkarzami przed nocnym klubem.

— Co, śmiali się z waszych ciuchów?

— Nie. My śmialiśmy się z ich. — Potarł elżbietańsko blade czoło dłonią ozdobioną pierścionkami w kształcie czaszek. — Byliśmy zalani w pestkę. Boże, ale jestem szochrany.

— Kac?

— Przynajmniej sześć w skali Richtera. Autobus prowadzi nowy kierowca, który bierze każdy zakręt, jakby to była Monza. Pod koniec masz nerki w gardle. — Z kim byłeś?

— Z Velvets. Świętowaliśmy koncert w Mordowni.

— Trochę przed czasem to świętowanie, nie? Koncert dopiero w piątek.

Darren pokiwał głową i skrzywił się.

— Auć...

— Dlaczego nie poczekaliście z tym do koncertu?

— Wiesz, jaka jest Mordownia: jeśli pójdzie nam dobrze, będą rzucać w nas kuflami w dowód uznania, a jeśli wypadniemy kiepsko... — Przełknął nerwowo ślinę. — Cóż, pomyśleliśmy, że lepiej wcześniej wypić sobie piwko. — Och, weź się w garść, Darren. — Kate uśmiechnęła się szeroko. — Przecież sława jest ci pisana, przynajmniej wciąż mi to powtarzasz.

— Aha, już wiem. To pewnie trema przed wyjściem na scenę.

— Nie martw się. Jeśli ktokolwiek potrafi zapanować nad bywalcami Mordowni, to właśnie Jolene Shaw. Ma czarny pas w karate. Była to jedna z bardziej niezwykłych osobistych informacji, jakich udzieliła jej właścicielka pubu. — Ale bywalcy mają czarne pasy w chlaniu i wywoływaniu bezsensownych burd. — Cóż, sam sobie nieźle radzisz w tej dziedzinie, chociaż dałeś się pobić piłkarzom.

— Dla twojej informacji: nie zostaliśmy pobici przez piłkarzy, to oni dostali wycisk. A skoro mowa o ciuchach...

Przyjrzał jej się uważnie. — Rety! Nie widziałem cię tak wystrojonej, odkąd Richard Whiteley zapalał bożonarodzeniowe światełka.

Kate zarumieniła się.

— To tylko spódnica, i tyle.

— Ale za to jaka krótka. Jestem zaskoczony. Nie pomyślałem, że postanowisz przyjąć nowe dyrektywy naszego Wszechwładnego.

— Jakie nowe dyrektywy?

— Te, z którymi zadzwonił wczoraj. Kiedy byłaś na dłuuu-gim lunchu ze swoim kochasiem.

— To nie jest mój kochaś...

— Może jeszcze nie, ale najwyraźniej chciałybyś, żeby był — stwierdził kwaśno Darren.

— Nieprawda.

— Właśnie że tak.

— Nie... — Och, jaki to miało sens? Darren i Nat najwyraźniej znienawidzili się od pierwszego wejrzenia. Poza tym wszystko, co powiedział Darren, było prawdą. — Co mówił I lardstone?

— Że nie udało się zwiększyć dochodów większą ilością reklam.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego z moją spódnicą.

— Chce, żebyśmy wypróbowali inną taktykę. Chce, żeby gazeta była bardziej... ehm... atrakcyjna.

— Atrakcyjna? — powtórzyła podejrzliwie Kate.

— Powiedział Wemyssowi, że aby przetrwać, musimy radykalnie zwiększyć nakład albo „zwiększyć zainteresowanie naszym organem”, jak to ujął... bez żadnego podtekstu. — Darren przewrócił ironicznymi oczami. — Konkluzja z tego taka, że potrzebujemy więcej seksu.

— Więcej seksu? — zdziwiła się Kate.

Próbowała przypomnieć sobie cokolwiek związanego z seksem w „Tygodniku”, ale jej się to nie udało. Jednego razu Wemyss — było to pamiętne wydarzenie — usunął słowo „sutek” z artykułu na pierwszej stronie dotyczącego skandalu

związanego z mlekiem kobiecym. Ale to było w czasach, gdy gazeta dostarczała prawdziwych wiadomości.

— Nasz wielki patriotyczny przywódca przysłał ci coś — dodał Darren. — Chyba leży u ciebie. Kate rzuciła się do swojego biurka, na którym, na stosie reklam supermarketów i innych śmieci, leżały dwie złożone strony wyrwane z dodatku do gazety. Wyprostowała je. *Bezwstydny szyk* — krzyczał nagłówek. Przeleciała pierwszych kilka akapitów i spojrzała z furią na Darrena.

— To o tym, dlaczego striptiz jest modny — wyjaśnił. — Napisała to jakaś dziennikarka, która zrobiła kurs w londyńskiej szkole striptizu.

Czyżby właśnie o tym mówił wczoraj Nat? Zaczerwieniła się, gdy w końcu zrozumiała.

— Hardstone chce, żebym uczyła się striptizu?

— Aha.

— A potem napisała artykuł na ten temat do „Tygodnika”? Spojrzała znowu na wyrwane z gazety strony. Wyglądało na

to, że w striptizie chodziło o znacznie więcej niż tylko rozbieranie. Przede wszystkim obowiązkowe było rzucanie „lubieżnego spojrzenia”. Razem z tym, co w artykule określano jako „pracę biodrami”.

— Może cię to trochę pocieszy, że mnie z kolei kazano dać ogłoszenie do *Zapowiedzi dla gawiedzi*. Mam przedstawić się jako superogier i opisać potem seksowne randki z kobietami, które odpowiedzą na mój anons. Modlę się tylko, żeby to nie była Gladys Arkwright.

— Co za upokorzenie! — Kate zgrzytnęła zębami. — Co za policzek!

— Można to obejść, rzecz jasna.

— To znaczy?

— Postaraj się, żeby twój nowy najlepszy przyjaciel, Nat Hardstone, pogadał z tatusiem.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie, a potem zerknęła na zegar. Już dziesiąta. Gdzie Nat się podziewa?

— Och, zaraz przyjdzie — powiedział Darren, bez trudu

odgadując jej myśli. — Podejrzewam, że jest teraz trochę zajęty. Pewnie wyciąga się na szezlongu w otoczeniu niewolników obierających winogrona i przegląda najnowszy katalog porsche.

— Ha, ha.

Zapadła krępująca cisza, którą w końcu przerwał Darren, proponując filiżankę herbaty.

Kate odchyliła głowę do tyłu, żeby ulżyć napiętej szyi.

— Tak. Poproszę. I kawałek ciasta z wiśniami. Myślę, że zasłużyłam sobie na nie.

Twarz Darrena przybrała zielonkawy odcień.

— Nie jadłbym go na twoim miejscu.

— Dlaczego?

— Bo wpadłem wczoraj na Joan i w końcu powiedziała mi, co robi, żeby wiśnie się nie rozpadały.

Stwierdziła, że skoro już tu nie pracuje, może mi wreszcie zdradzić swój sekret.

— Więc na czym on polega?

— Nie chcesz wiedzieć. — Niebieskie usta Darrena wykrzywiły się z niesmakiem.

— Co takiego ohydneho robiła? Darren z trudem przełknął ślinę.

— Ma taką teorię, że wiśnie rozpadają się, bo mają za dużo syropu. Więc zanim położy je na ciasto... bierze do ust i wysysa.

Kate z wrażenia zamilkła.

— A ja jadłam jej ciasta od tylu lat — wydusiła w końcu z siebie słabym głosem.

— Właśnie. I myślałaś, że to lekcje striptizu są straszne.

W końcu usiedli do pracy. Darren jęknął, grzebiąc w stosie fotografii do nowego wydania.

— Hardstone nalega, żebyśmy to wykorzystali. Pomachał lśniąca fotką, której raczej nie zrobił Colin. Co to?

— Komitet organizacyjny charytatywnego quizu w Soddington Hall.

— Dlaczego to puszczaamy? Myślałam, że wszystkie relacje z imprez charytatywnych są zakazane, bo nie zarabiają na siebie.

— Dobre pytanie. Może to ma jakiś związek z tym, że żona naszego nowego właściciela to nuworyszka? Wśród nazwisk na zdjęciu jest niejaka pani Hardstone.

— Pani H.? Och, zobaczmy!

Kate złapała fotkę. W rzędzie dużych dam w małych czarnych trzecia od lewej była drobna blondynka w bardzo małej czarnej.

— To ona?!

Aktualna, trzecia żona właściciela gazety stała się obiektem fascynacji Darrena i Kate, odkąd Darren odkrył, że nie tylko tańczyła niegdyś przy rurze w Stringfellow, ale też była aktorką, której największe osiągnięcie stanowiła rola w całkowicie rozbieranej biografii żon Henryka VIII pod tytułem *Seksekucja*. Ten ostatni kasek znaleźli, gdy przy okazji zawodowych poszukiwań Darren grzebał na pornograficznych stronach w miejskiej bibliotece (nowy właściciel natychmiast odciął „Tygodnikowi” Internet). Dalsze poszukiwania stały się niemożliwe, bo personel biblioteki wyprosił młodego reportera. — We własnej osobie. Jeśli ją ładnie poprosisz, może udzieli ci paru wskazówek dotyczących pracy biodrami.

— Spadaj.

— Podczas tej nocy z quizami udało im się zebrać tylko pięćset funtów. — Darren pomachał fotografią i odszedł tanecznym krokiem. — Trochę to żałosne, zważywszy na to, że zgromadzili pod jednym dachem ludzi mających koncesje na sprzedaż samochodów z napędem na cztery koła i bandę dzianych kwok. Moim zdaniem to jakiś szwindel. Kate uniosła brwi i wróciła do *Jedzenia poza domem*. Rubryka ta była kiedyś jednym z przywilejów, o który najbardziej zabiegano w redakcji „Tygodnika”. Dawała możliwość napisania zwięzłego, subiektywnego i zabawnego kawałka, a do tego dochodził jeszcze darmowy posiłek, który opłacała gazeta, żeby zachować niezależność. Od przybycia Hardstone'a porzucono wszelkie marzenia o niezależności prasy. Każda jadłodajnia, która

kupowała reklamę, nawet jeśli groziło jej zamknięcie przez sanepid, nagradzana była entuzjastycznymi recenzjami. Te zaś, zważywszy na to, że brak subtelności stał się cechą charakterystyczną gazety, znajdowały się obok reklam.

Restaurację, o której pisano w tym tygodniu, Kate doskonale знаła i wiedziała, że serwowane w niej jedzenie jest najgorsze nie tylko w okolicy, ale prawdopodobnie w całym kraju. „Włoska robota”, niegdyś miejsce jej zatrudnienia, wykupiła w tym tygodniu reklamę na pół strony.

„Powiew z Włoch w naszym mieście”, zaczęła Kate. To będzie dość prawdziwe. Oczywiście jeśli ma się na myśli cuchnący zgnilizną powiew z ust jakiegoś genuńskiego włóczęgi.

„Gotowanie z historią...” to też prawda. Większość potraw rzeczywiście miała swoją historię — zazwyczaj dość długo czekały pod pleksiglasem, nim podawano je gościom. Niektóre *tiramisu* były już pokryte kurzem.

Kate przygryzła koniec ołówka. Co jeszcze może napisać?

„Obsługa z charakterem”. Na szczęście problemy z ordynarnym zachowaniem personelu rozwiązały się już same, choć część obsługi wypuszczono za kaucją, a część uciekła.

„Niezapomniany wieczór...”. Bez wątpienia, wieczór spędzony we „Włoskiej robocie” pozostanie w pamięci na długo. O ile się go przeżyje.

Od czasu do czasu Kate zerkała tęsknie na drzwi, mając nadzieję, że wejdzie przez nie Nat.

Po drugiej stronie pokoju Darren mrucał coś do siebie.

— Co jest? — zapytała Kate.

— Słownik ortograficzny w moim komputerze głupiej. Dziwne. Jeszcze wczoraj rano działał.

Spojrzał na nią podejrzliwie. Kate pamiętała wszystko, co dotyczyło wczorajszego popołudnia — że Nat siedział przez chwilę przy biurku Darrena, gdy tamtego nie było. Młodszy reporter wściekł się, gdy po powrocie go tam zobaczył.

— Może to wirus. Darren prychnął.

- Och, daj spokój — syknęła Kate.

To zaczynało być naprawdę śmieszne. Darren, ewidentnie zazdrosny o przystojnego księcia prasy, najwyraźniej szukał pretekstu, żeby go oskarżyć. Najprawdopodobniej jego komputerowe problemy wiązały się ze zużyciem sprzętu. A przy obecnych restrykcjach budżetowych nie można było nic z tym zrobić.

— Och, wybacz. — Wymalowane oczy Darrena rozszerzyły się w parodii przerażenia. — Dotknąłem drażliwego tematu, tak?

— Mówię tylko, że to nie musi być jego wina. Zapadło niezręczne milczenie.

— Masz jakieś plany na weekend? — zapytał w końcu Darren.

— Nie sędzę.

Twarz Darrena pociemniała pod warstwą białego podkładu.

— Zapomniałaś!

— O czym?

— Piątek.

Kate spojrzała na niego bezmyślnie.

— Piątek?

— Naprawdę zapomniałaś! — rzucił oskarżycielskim tonem Darren. — Odkąd zjawił się Lord Snob, nie myślisz o niczym innym.

— To nieprawda — upierała się Kate, chociaż wiedziała, że kolega ma rację. — Po prostu powiedz mi, o co ci chodzi. Co takiego jest w piątek?

— Denholme Velvets, rzecz jasna! W Mordowni.

— Och. Aha. No tak.

— Przyjdiesz? — Darren spojrzał jej w oczy. — Musisz. To ty załatwiłaś nam występ...

— Chwileczkę — przerwała mu Kate. — Powiedziałam ci tylko, że Jolene Shaw szuka muzyków.

— ...i jesteś moją przyjaciółką — dokończył Darren. — Musisz mnie wesprzeć. Walczyć o mnie, jeśli będzie trzeba. Wiesz, jaki jest ten pub.



— Ale przecież z piłkarzami sobie poradziłaś — zauważyła Kate.

— To pestka w porównaniu z Mordownią. Tam jest naprawdę ostro. — Spojrzał na nią błagalnie. — Powiedz, że przyjdiesz. Proszę.

— Ehm...

Kate ścisnęło się serce. Już w zwykły piątek w Mordowni było wystarczająco strasznie. Wizja piątkowego wieczoru, podczas którego Darren śpiewa swoje dowcipne piosenki przed pozbawionymi poczucia humoru bywalcami, wystarczyła, żeby pęcherz Kate skurczył się jak posolony ślimak. Darren miał rację: było bardziej niż prawdopodobne, że umiejętności Denholme Velvets zostaną poddane surowej ocenie: będą osądzone przez publiczność, którą w biznesie określa się jako trudną. Nic dziwnego, że się martwił. Kate zacisnęła zęby i zaakceptowała nieuniknione. W końcu był jej przyjacielem. Musiała go wesprzeć.

— Oczywiście, że przyjdę, ty wariacie. Spróbuj mnie powstrzymać.

— Nie przesadzaj. — Darrenowi wyraźnie ulżyło. — Przyrowadź tyle osób, ile zdołasz.

Niby kogo? — chciała zapytać Kate, ale się powstrzymała. Kiedy później tego popołudnia odebrała telefon, ku swojemu zaskoczeniu i zachwytowi usłyszała głos Nata.

— Och, cześć — powiedziała, starając się mówić takim tonem, jakby zapomniała o jego istnieniu.

Jakby dziedzice milionowych fortun dzwonili do niej dzień w dzień. — Jak leci?

— Gównianie — burknął Nat. — Ojciec miał kolejny telefon oil tego cholernego opiekuna. Ta zdzira, jego żona, powiedziała mu wszystko, więc teraz nawet nie mogę wyjść z domu. Czuję się, jakbym był Człowiekiem w Żelaznej Masce. A nawiasem mówiąc, wyglądałbym w tym o niebo lepiej niż Leonardo DiCaprio.

Kate zerknęła na Darrena, który ostentacyjnie pracował nad wieczorem quizowym, ale widać było, że podsłuchuje. Ulżyło jej, kiedy dzwonek przy wejściu oznajmił nadejście listonosza i Darren niechętnie poczłapał otworzyć drzwi.

— Może wpadniesz w piątek wieczorem? — zaproponował

Nat. — Za dnia Slack Palisades wygląda okropnie, ale wieczory bywają tu nastrojowe. Nie widać wtedy tych cholernych ogromnych kraterów.

Kate zagryzła usta.

— Ehm... Mam randkę.

— Serio?

Próbowała nie poczuć się urażona nieskrywanym zdziwieniem w jego głosie.

— Z kim?

— Pięćdziesiątką pijanych facetów w pubie. To też nastrojowe miejsce.

— Chyba nie mówisz poważnie — prychnął Nat. — Chodzi o ten gotycki koncert? Odpuść sobie.

— Ale obiecałam.

— Obiecałaś? Dorośnij. Serio mówisz, że wolisz patrzeć na Eryka Nożycorekiego obrzucanego butelkami niż wyjść gdzieś ze mną? A właściwie zostać u mnie? — dodał kwaśno.

— Oczywiście, że nie — odparła.

Ale nie miała wyboru. Darren nigdy by jej nie wybaczył, gdyby się nie zjawiała. A niech to! Nie powinna w ogóle zbliżać się do Jolene Shaw i jej cholernego pubu.

— Do zobaczenia — rzucił chłodno Nat i rozłączył się.

Piątkowe popołudnie upływało bez żadnych wieści od Nata. Kiedy Kate wróciła do domu, dowiedziała się, że babcia nie tylko skończyła ohydną bluzeczkę, ale jeszcze w ostatniej chwili postanowiła doszyć do niej zrobionego na szydełku żółtego motyla, dzięki czemu top wyglądał jeszcze wstrętniej. Kate rzuciła wyzwanie spodniom, które już ścisnęły ją w pasie jak imadło — podjadając na pocieszenie, pochłonęła całą paczkę biurowych herbatników — i nałożyła sobie wielką porcję maminego gulaszu z knedlami. Był wyjątkowo dobry tego wieczoru — gęste morze sosu wokół wysepek kruchego mięsa.

Tarta z jabłkami, którą podano później, okazała się równie pyszna. Kate wzięła więc też dokładkę deseru, mówiąc sobie,

że potrzebuje czegoś konkretnego, aby znieść widok łomotu, jaki niewątpliwie dostaną tego wieczoru Denholme Velvets.

Kiedy w końcu odłożyła łyżeczkę, mama wróciła do tematu bluzki zrobionej na drutach przez babcię. — Nie przymierzysz? Twoja babcia zaharowywała się, żeby ją zrobić dla ciebie.

Kate spojrzała na jaskrawy pomarańczowożółty ciuch, wiszący na kuchennych drzwiach. Bluzeczka wyglądała jak wypadek w fabryce obróbki cytrusów. Kate niechętnie wstała i zdjęła ją z wieszaka.

W zaciszu łazienki spojrzała zrozpaczona w lustro. Bluzka była zbyt obcisła i nieprzyjemnie ciepła — czyżby babcia dodała do niej azbestu? Zbyt wąska w biuście, opinała się na obfitych piersiach. Kate musiała zdjąć stanik, żeby ją w ogóle wciągnąć na siebie, a kiedy to zrobiła, jej piersi zostały zepchnięte w dół i sutki znalazły się gdzieś w okolicach pępka.

Na domiar złego żółty szydełkowany motyl wisiał jakieś dziesięć centymetrów powyżej miejsca, gdzie powinny być piersi. A najgorsze było to, że babcia oceniała wymiary wnuczki na oko i bluzka wcale nie zasłaniała jej pulchnych ramion, u wściekle kolory podkreślały niemal niebieskawą bladość skóry. Kate z ponurą miną uniosła ramiona i przyjrzała się krytycznie szczątkowym rękawom.

— Kate? — Matka zabębniła pięściami w drzwi. — Kate!!

— Próbuję założyć tę bluzkę.

Obciągnęła zbyt krótki dół, grając na zwłokę. Nie ma co się spieszyć z prezentacją najgorszego jak dotąd dzieła babci.

— Ktoś do ciebie przyszedł. Czeka przy drzwiach — syknęła mama przez podwójną warstwę płyt MDF.

Kate spojrzała w lustro — jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Ktoś do niej? To na pewno Darren z ciężkim atakiem scenicznej tremy. Od początku się na to zносиło. Kiedy wychodziła dziś z biura, na jej pożegnalne „powodzenia” odpowiedział jękiem.

Drzwi z matowego szkła były uchylone. Za nimi rysowała się ludzka sylwetka. Czując nieprzyjemny dotyk nylonu na

swoich nagich piersiach, Kate otworzyła drzwi i aż jej dech zapało. To nie był Darren. Chłodne, oceniające spojrzenie Nata przejechało w górę i w dół po potwornej bluzce, a Kate zaczerwieniła się gwałtownie. Jego oczy z niedowierzaniem zatrzymały się na szydełkowanym motyłu.

— Wow! Szalony ciuch.

O nie. To nie mogło się dziać naprawdę. Nie teraz. Nie, kiedy ma na sobie to coś!

Za to on wyglądał jak reklama firmy Gap. Bez garnituru prezentował się jeszcze przystojniej niż zwykle: jego łądzwie opinały sprane dzinsy, a na głowie miał wełnianą dzianą czapkę, która prawdopodobnie wyglądałaby kretyńsko na kimś mniej pięknym. Miał też wyrefinowane buty sportowe, które bez wątpienia robiły furorę przy Hoxton.

Dlaczego, do cholery, nie zadzwonił? Mógł ją uprzedzić, najlepiej tydzień wcześniej. Kate kręciła się w progu, nie wiedząc, co robić, a za nią rozległa się muzyczka puszczana w połowie opery mydlanej *Coronation Street*, po której ryknęły reklamy.

— Też się cieszę, że cię widzę — stwierdził Nat. — Właściwie to myślałem, że mamy randkę. Edward Nożycoręki, zapomniałaś?

— Ale... myślałam, że masz areszt domowy. Jego twarz rozbłysła triumfalnym uśmiechem.

— Szczerze mówiąc, mam. Tata ustawił na mnie wszystkie kamery telewizji przemysłowej. Ale na szczęście jestem niezły w komputerach, więc włamałem się do centralnego systemu domu i wyłączyłem bramki elektroniczne. Kilka rozłączonych drutów połączę później, a teraz jestem wolnym człowiekiem.

— Nie myślałam, że chcesz zobaczyć Darrena — sapnęła Kate.

— Nie chciałem, ale zapowiada się to ciekawiej od telewizji.

— Kate! — wrzasnął ojciec z korytarza. Jest diabelnie zimno. Zatkaj tę dziurę!

Nat uniósł brew.

— Co on powiedział?

— Żeby zamknęła drzwi — wymamrotała Kate, wiedząc, że ojciec specjalnie wybrał najbardziej niezrozumiały sposób przekazania komunikatu, jej na złość. — Wejdz.

Kiedy Nat wszedł do środka, rozejrzył się uważnie. Kate wyobraziła sobie, jak musi odbierać to wnętrze. Dywan axmin-ster z wzorem, od którego kręciło się w głowie, duża kolekcja ozdobionych wizerunkami zwierząt talerzy z niedzielnych dodatków, rozwieszona na ścianach korytarza razem z wybranymi egzemplarzami fotografii szkolnej. Nat wykrzywił z rozbawieniem usta, kiedy oglądał zdjęcia, a Kate ze wstydu podkurczyła palce stóp.

— Tu jesteśmy, kochanie! — zawołała mama z salonu. — Przyrowadź swojego przyjaciela.

Babcia natychmiast do niej dołączyła:

— Och, Kate, chodź tu, żeby zobaczyć, jak leży bluzeczka.

— To ona go zrobiła — wyjaśniła Natowi Kate.

— Szczerze mówiąc, raczej nie podejrzewałem, że to robota .Julien MacDonald — odmruknął, zatrzymując się w progu salonu.

— Wejdz! — krzyknął do niego tata. — Stoisz tam jak dodatkowy deser, który wylądował na brudnej szmacie. Słyszac ten epitet, którym ojciec obdarzał wszystkich nie-zajmujących się akurat czymś użytecznym, Nat uniósł brwi tak wysoko, że prawie podjechały do gęstej czupryny.

— Co to, do diabła, ma znaczyć? — zapytał szeptem. — Nic — odszepnęła Kate.

Wbiła obgryzione paznokcie w dłonie. Najwyraźniej tata nie był pod wrażeniem Nata. Nigel Herring został podobnie potraktowany. Ale jakoś to znieśie, póki ojciec będzie panował nad sobą i nie zwróci się do niej jej prawdziwym imieniem. — To Nat — powiedziała, rzucając ojcu ostrzegawcze spojrzenie. - W porządku? — zapytał Nat, naśladowując londyńską gwarę.

- Nat, he? — rzucił ojciec lekkim tonem. — A co to za imię? Od Nathaniel — warknęła rozdrażniona Kate. — Pracuje razem ze mną w „Tygodniku”.

— Śliczna czapka — stwierdziła babcia, zerkając na Nata przez swoje dwuogniskowe okulary. — Jaki to rodzaj wełny?

Nat spojrział na nią i odparł krótko:

— Nie wiem.

— Chodź i usiądź, Nat — zaproponowała mama. Nat wyglądał na poirytowanego. Popatrzył na Kate.

— Hm, chyba właśnie mieliśmy wyjść, prawda?

— Co? — prychnął tata. — Z naszą Kate... to znaczy z naszą Kate w czymś takim?

— O co ci chodzi? Wygląda wspaniale w tej bluzce — oburzyła się babcia. — Prawda? — zapytała Nata. Gość odchrząknął.

— Wygląda... ehm... interesująco.

Kate spojrzała na podłogę, pragnąc zapaść się pod ziemię.

— Lala jak z żurnala — westchnęła z zadowoleniem babcia. Kate jęknęła z rozpacz. Teraz już tylko brakowało, żeby

tata stwierdził, jak to zawsze robił, gdy chciał wprawić ją w zakłopotanie, że jest dość zimno, aby założyć dwie siatki na włosy, i ciemno jak w zadku krowy.

— Z przytupem — dodała babcia, obrzucając swoje dzieło spojrzeniem pełnym zachwytu i niedowierzania. Tymczasem mama skrzyżowała pulchne ręce i zaczęła poddawać Nata przesłuchaniu trzeciego stopnia. — Czym zajmuje się twój ojciec?

— Hmm... sprzedaje gazety.

— Jest kioskarzem? — Mama była wyraźnie rozczarowana.

— Zajmuje się prasą — wyjaśnił Nat. — Jest właścicielem „Tygodnika”.

— Właścicielem „Wychodnika”?

— Pójdę się przebrać — oświadczyła Kate.

Nie mogła już nawet przez sekundę dłużej patrzeć na podekscytowaną twarz matki i podejrzliwą minę ojca. Miała też dość ohydny topu babci.

W pokoju natychmiast zerwała z siebie znieawidzoną nylonową bluzeczkę, która podrapała jej ramiona i wczepiła się w twarz niczym żywe stworzenie. Kilka minut później z wytu-

szowanymi rzęsami, umalowanymi ustami, w nowej białej koszuli i w dżinsach, które po gwałtownych negocjacjach cudem się dopięły, dołączyła ponownie do rodziny. Nat nie chciał przyjąć kawałka ciasta, który próbowała mu wcisnąć mama.

— To bardzo dobre ciasto — powiedział urażonym tonem ojciec.

— Jestem pewien, panie... ehm...

— Clegg.

— ...panie Clegg, ale ja naprawdę nie jadam ciast. A poza tym — zobaczył Kate i na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga — chyba powinniśmy już iść. — Gdy wyszli do przedpokoju, mruknął:

— A ja zawsze myślałem, że Arnold Bennett zmyślał.

— Są w porządku — obruszyła się Kate.

— Gderliwy staruszek, ten twój ojciec.

— Po prostu martwi się o mnie — powiedziała lojalnie Kate. Pomyślała, że jeśli chodzi o gderliwość, ojciec Nata bije

wszystkich na głowę. Ale nie zamierzała tego mówić. Nie chciała się sprzeczać, nie teraz i nie z Natem. Ze zdenerwowania wszystko przewracało jej się w żołądku — z powodu rodziny, jej samej, Nata, babcinej bluzki i nawet Darrena, który o tej porze na pewno był już w Mordowni. Wyobraziła go sobie, chudego, delikatnego i przerażonego, jak staje przed wygwiz-dującymi go bywalcami lokalu.

— Dobrej zabawy! — krzyknęła za nimi mama.

Tata odprowadził ich do drzwi i zerknął w czarną noc na zewnątrz.

— Ciemno jak w krowim zadku — stwierdził.

Kate zgrzytnęła zębami, ale na tym się nie skończyło. Gdy Nat odwrócił się i popatrzył na nią, jakby zastanawiał się, czy pan Clegg jest przy zdrowych zmysłach, ojciec pochylił się i zapytał córkę z udawaną troską:

— Na pewno nie zmarzniesz? Jest dość zimno, żeby założyć dwie siatki na włosy.

## Rozdział 5

Był późny poniedziałkowy ranek, kiedy Darren w końcu zjawił się w biurze. Wyglądał na tak samo zszokowanego jak wtedy, gdy Kate widziała go na ostatnim koncercie Denholme Velvets. Zgodnie z jej przypuszczeniami wieczór okazał się niezapomniany.

Patrzyła, jak ciska swój przemoczony wojskowy płaszcz w kierunku wieszaka. Skrzywił się, gdy mokry ciuch upadł ciężko na klawiaturę komputera.

Panowała cisza, przerywana jedynie pluskiem wody kapiącej przez dziurę w suficie do ustawionej na podłodze pustej puszkę po cieście.

— Jak to oceniłaś? — zapytał Darren, rzucając jej niespokojne spojrzenie. — W porządku, prawda?

— W porządku?! — Kate podbiegła do niego. — W porządku? Byliście fantastyczni! — pisnęła, obejmując Darrena tak mocno, że coś mu strzeliło w plecach. — Och, przepraszam...

— Nie szkodzi. — Darren wyglądał na zadowolonego. — Zaczynam się przyzwyczajać do tego, że oblegają mnie wielbicielki. Tego ranka na przystanku autobusowym rozpoznały mnie dwie różne kobiety.

— To miałaś szczęście. Lało jak z cebra.

— Nie mówię, że mnie podwoziły. — Darren wyszczerzył



zęby. — Sława rośnie stopniowo. Pewnie nawet Beatlesów nie od razu podwożono z przystanków autobusowych. Ale było wspaniale. Zwłaszcza wtedy, gdy wszyscy razem... w każdym razie kiedy śpiewaliśmy *Czekamy na autobus...* Uderzył w struny wymyślonej gitary:

*Nigdy nie za wcześnie, zawsze spóźniony Pierwsze, czego się uczysz to że zawsze trzeba czekać Och, czekam Na autobus...*

Kate roześmiała się, przypominając sobie ryki zachwytu, kiedy pod koniec koncertu przy dzikim aplauzie Denholme Velvets zagrali ten kawałek jako drugi bis.

Podobnie jak resztę publiczności zadziwiło ją doskonale zgranie zespołu i nienaganne wykonanie wszystkich kawałków. No i sam Darren. Nie dość, że wyglądał jak prawdziwa gwiazda popu, to jeszcze zachowywał się na scenie Mordowni, jakby był w swoim żywiole, i nawet całkiem seksownie wyglądał.

Darren uśmiechnął się szeroko.

— Nie było źle, prawda?

— Było genialnie!

— *Gladys in Furs* też się podobała.

— To był triumf.

— *Uncle Ray* też.

— I wszyscy tańczyli.

— A zrobiło się jeszcze lepiej, kiedy dzięki Aleksowi, naszemu basiście, zjawili się studenci ze Stowarzyszenia Andy Warhola — dodał Darren z błyszczącymi oczami. — Chłopak zajmuje się inżynierką na uniwersytecie, chociaż nie bardzo wiem, czy robi tam dyplom, czy tylko naprawia rury. W każdym razie to on im powiedział o naszym koncercie.

— Tak, oni naprawdę rozkręcili imprezę. Wyglądali niesamowicie, wszyscy tacy wymalowani i zrobieni na blond. Z pewnością zrobili Jolene konkurencję. Pamiętaj, że ona też dała niezłe przedstawienie.

Właścicielka pubu była tak zachwycona sukcesem pierwszej „Nocy muzyki na żywo”, że weszła na bar i wykonała zaimprovizowanego kankana. Tańczyła z takim zacięciem, że rozlała kilka kufli piwa i rozdeptała mnóstwo paczek chrupek wieprzowych.

— Początkowo trochę się ich obawiałem — przyznał Darren. — Wiesz, przecież to fani Velvet Underground, te klimaty. Myślałem, że mogą im się nie spodobać nasze przeróbki.

— Ale byli zachwyceni. Przy *Farm Fatale* tańczyli na stołach — odparła Kate i zanuciła: *Cały ten gnój lepiej uważaj, jak idziesz Bo złamie ci nogę w pół Och, taaaaaak.*

— Uwielbiam ten kawałek. Jest prześmieszny — stwierdziła.

— Cały pub oszalał — powiedział z radością Darren. — Ludzie pod koniec rzucali majtkami. Niektóre z nich — dodał — były naprawdę duże. Na moje oko wyglądały jak specjalny wyrób Slack Nylons.

Kate pobladła lekko.

— A Lord Snob dobrze się bawił? — zapytał jakby nigdy nic Darren, ale jego usta wykrzywił kpiący uśmiezek. — Widziałem, że go ze sobą wzięłaś.

— Ehm...

Nat dobrze się bawił na początku wieczoru, gdy wszystkie kobiety w Mordowni gapiły się na niego z niepohamowanym pożądaniem, a wszyscy faceci patrzyli na niego z niepohamowaną zazdrością. Kiedy jednak Darren i reszta Denholme Velvets zajęli scenę i znaleźli się w centrum uwagi, zainteresowanie Nata wyraźnie zmalało. Właściwie przez całą drugą połowę wieczoru odpowiadał tylko na wiadomości na komórce.

— Musiał, bo było naprawdę wspaniale — zapewniła Darrena. — Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego w tej okolicy.

Kiedy oboje wychodzili, Mordownia rozbrzmiewała podnieconymi okrzykami. Ale oni wsiadali do srebrnego MX5 Nata w milczeniu. Kate nerwowo próbowała rozładować atmosferę, lecz Nat ledwo słuchał tego, co mówiła, i trzymał obciążoną czarną skórą kierownicę tylko jedną ręką, prawie tracąc kontrolę nad samochodem, gdy weszli w niebezpieczny zakręt.

— Cholera! — syknęła Kate.

Nat spojrział na nią zirytowany, a ona wbiła wzrok w podłogę. Mogła tylko siebie winić za ten katastrofalny wieczór. Pomysł, żeby zabrać Nata do Mordowni, był przejawem skrajnego zidiocenia. Najwyraźniej z trudem wytrzymał każdą minutę siedzenia w pubie i z pewnością nigdy więcej się z nią nie umówi. Chciała skopać sobie tyłek, ale uniemożliwiły jej to rupiecie i resztki jedzenia w nogach przy siedzeniu pasażera. Stare gazety, para zniszczonych, cuchnących trampek, paczki po papierosach i batoniki czekoladowe — nie wiadomo dlaczego bez opakowania.

Prawie przez wieczność jechali bez słowa. Kiedy Kate podniosła wzrok, zobaczyła, że podjeżdżają pod jej dom. Więc to pożegnanie, pomyślała. Do zobaczenia w biurze, być może. Rozciągnęła usta w parodii wesołego uśmiechu, zdecydowana stawić czoło sytuacji.

Nat pochylił się do niej. Poczula zapach drogiej wody po goleniu, zmieszany z wonią piwa i papierosowego dymu.

— Wpadnij do mnie na herbatę w poniedziałek — mruknął. Kate kurczowo chwyciła brzeg skórzanego siedzenia. Kolejna randka!

— Świetnie — odparła, starając się opanować podniecenie. — Mówisz, że w poniedziałek?

— Tata powinien już wtedy wyjechać.

— Wyjechać?

— Jedzie do Londynu, żeby spotkać się ze swoimi księgowymi. Będzie próbował wykopać się z tego szamba, w którym wylądował.

— Naprawdę?

Próbowała nie sprawiać wrażenia podekscytowanej i nie

pokazać po sobie, że wie, o co chodzi. Czyżby Darren i Freya dogrzebali się czegoś? Nie może zdradzić się przed Natem, że coś wie.

— Wylądował w niezłym gównie. Po uszy. Nie wiedziałaś? Wzruszyła ramionami.

— Owszem. Ale kogo to obchodzi? — dodał Nat. — Ten głupek i tak wyjeżdża. Szkoda tylko, żeby dom stał pusty. Jest tam prywatne kino, basen... wszystko. — Oczy rozbłysły mu szelmowsko. — Nie wspominając już o herbacie. Jestem pewien, że gdzieś znajdzie się też jakieś ciasto.

Kate zauważyła, że w salonie Meszuge poruszyły się zasłony. Natychmiast włączył jej się alarm w głowie — pomyślała o ojcu, który zaraz wyjdzie na chodnik z latarką.

— Lepiej już pójdę.

— Aha, zanim ten twój straszny tatuś wyjdzie i zatłucze mnie na śmierć kaszanką.

— Bardzo śmieszne — mruknęła Kate, mając nadzieję, że Nat w końcu zostawi jej ojca w spokoju. Uśmiechnął się szeroko. Jego zęby błysnęły w świetle tablicy rozdzielczej.

— Przyjedź koło czwartej. Powiedz temu żalosnemu staremu redaktorowi, że będziesz polować z fretkami albo coś w tym stylu.

Usłyszała jakieś brzęczenie przed nosem. Po chwili dotarło do niej, że to obwieszona bransoletkami ręka Darrena.

— Halo? Halo! Jest tu ktoś?

— Och, przepraszam — wymamrotała, wracając myślami do biura i poniedziałku. — Odplynęłam kilometry stąd.

— Z pewnością. Nie zareagowałaś, kiedy powiedziałem ci o najbardziej niesamowitej rzeczy, która wydarzyła się w piątkowy wieczór.

— To znaczy?

— Chyba muszę powiedzieć ci to jeszcze raz. — Darren westchnął. — Może zauważyłaś wczoraj niedużego gościa w czarnym T-shircie, który stał na tyłach sali?

— Nie, a powinnam?

— Okazało się, że to łowca ze Smażalni.

— Możesz mi to przetłumaczyć na ludzki język? Darren przewrócił oczami.

— Łowca talentów z tej nowej wytwórni płytowej. Szukali jeszcze jednego zespołu do trasy po Europie. Facet był tutaj tylko dlatego, że rozwalił się, jadąc do jakiegoś zespołu z lat osiemdziesiątych z Blubberhouses, który znowu zaczął działać. I wiesz co? — Darren tak mocno walnął pięścią w stół, że zaklekotała jakaś część komputera, która się odłączyła. — Smażalnia chce z nami podpisać kontrakt! Z Denholme Velvets! Uznali, że nadajemy się na gwiazdy!

Kate poczuła, że ogarnia ją podniecenie, ale zaraz potem zastąpiła je zazdrość. Złapała Darrena za ramiona.

— To fantastycznie! O Boże, będziesz bogaty i sławny!

— Pewnie nie tak od razu — odparł Darren. — Pieniądze nie są znowu takie wielkie, a wytwórnia całkiem nowa. Ale przynajmniej to jakiś początek. — Jego oczy płonęły radością. — Za to trasa zapowiada się naprawdę świetnie. Włochy, Hiszpania i Francja... na koniec parę koncertów na Riwierze.

Zadzwoił telefon. Darren odebrał, a Kate poczuła kolejną lalę zazdrości. Południowa Francja. Och, to niesprawiedliwe.

Ale w końcu nadejdzie szansa i dla niej. Musi. Zawsze przychodzi do tych, którzy czekają.

Przynajmniej teraz mogła się cieszyć perspektywą spotkania z Natem o czwartej. Nigdy w życiu tak bardzo nie czekała na filiżankę herbaty.

Dojechała do miejsca, gdzie domki Slack Top przysiadły na wzgórzu, u podnóża którego spotykało się kilka dolin. Wioskę otaczały ciemnozielone wąskie poletka, oddzielone od siebie czarnymi kamiennymi murkami bez zaprawy. Kate pomyślała, że może temu krajobrazowi brakuje nieco przestrzenności, jaką mogły się poszczycić inne rejony na północy, ale było w nim coś szczególnego, coś, co jednoznacznie kojarzyło jej się z domem i zawsze ją poruszało.

Zaparkowała na obrzeżach wioski i przeszła przez nią, wdychając świeże, rześkie powietrze i podziwiając idealnie zachowane osiemnastowieczne chaty tkaczy z rzędami wysokich okien, zapewniających światło potrzebne do pracy. Zajrzała w zacienione zaułki, odchodzące od brukowanej uliczki. Mijając elegancki pub, spojrzała na jego szyld. Była to Jenny Prządka. Ponieważ oparła się wielokrotnym namowom na wykupienie reklamy w „Tygodniku”, znajdowała się poza zasięgiem długopisu i — co gorsze — żołądka redaktora, któremu akurat przypadła w udziale rubryka *Jedzenie poza domem*. Zresztą i tak przeciętny czytelnik „Tygodnika” nie byłby raczej właściwym odbiorcą reklamy, sądząc po lśniących jaguarach i be-emkach stojących przed wejściem do pubu. Obnoszący się ze swoim bogactwem mieszkańcy okolicy, „milionerzy za dychę”, jak lubił ich nazywać ojciec Kate, najwyraźniej upodobali sobie to miejsce.

Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest za dziesięć czwarta. Herbata miała być o czwartej. Kilka minut później wbiegła przez ogromną pozłacaną bramę, nad którą umieszczono ozdobny napis z kutego żelaza: „Slack Palisades”. Osiedle było opustoszałe i z bliska okazało się jeszcze brzydsze, niż się spodziewała. Za wielkimi, automatycznymi bramami, między przerośniętymi żywopłotami z cyp-rysowców wiły się podjazdy z jasnożółtej cegły. Każdy dom miał doczepioną plastikową oranżerię i wielkie wykuszowe okna z ogromnymi zasłonami. W każdym ogrodzie stały fałszywe gołębniki i betonowe podobizny heraldycznych zwierząt, a na patio były piece do grillowania. Standardem były też wyglądające jak stajnie garaże na kilka samochodów i wiatrowskazy w elżbietańskim stylu.

Kate zobaczyła, że obsunięcie spowodowało naprawdę duże zniszczenia. Na większości podjazdów ziały wielkie dziury, nad którymi jak rozchybotane żółte zęby wisiały oberwane kawałki cegieł. Jeśli wszystko, co powiedział Darren, było prawdą, to Hardstone sam się wyrolował, pomyślała Kate i uśmiechnęła się do siebie.

— Nie wiem, z czego jesteś taka zadowolona — burknął ktoś za nią.

Zaskoczona Kate natychmiast wróciła na ziemię. Zza cyprysów wyszła wysoka, szeroka i trochę przerażająca kobieta o lśniącej czerwonej twarzy, w wielkich okularach w czerwonej oprawce, o najeżonych, farbowanych henną włosach, odziana w kilka warstw luźnych ubrań w kolorze oberżyny, i spojrzała na nią złowrogo. Kate rozpoznała w niej Freyę Ogden, której Darren pomagał w prowadzeniu dochodzenia.

— Cześć, Freya — powiedziała.

Dłonie wegetarianki, połykaczki ognia i konserwatorki Slack-mucklethwaite, obleczone w wielobarwne pasiaste rękawiczki, dzierżyły drewniany kij, na którego końcu umocowany był afisz, obwieszczający jasnozielonymi jaskrawymi literami: PETER HARDSTONE MUSI ODEJŚĆ.

Widząc, że Kate jej się przygląda, kobieta z rozdrażnieniem odwróciła tablicę, odsłaniając napis po drugiej stronie: PODSTĘPNY PETER OSZUKAŁ DZIAŁ PLANOWANIA.

— Tu nie ma się z czego cieszyć, wiesz? — wycedziła. — Przez pozbawionych skrupułów inwestorów budowlanych zostały zniszczone wspaniałe tereny o wielkiej wartości historycznej. Machnęła z irytacją tablicą.

— To wielka szkoda — przyznała Kate.

Nie zamierzała dać się wciągnąć w dyskusję, a przynajmniej nie w sprawy, które dotyczyły właściciela gazety. Nadal nie była pewna, czy uwierzyła w zarzuty Darrena. Nerwowo rozejrzała się wokół. Gdyby zjawił się Hardstone i zobaczył ją z Freyą, mogłyby na tym ucierpieć jej perspektywy zawodowe — jakiegokolwiek by one były. W tym momencie z ulgą przypomniała sobie, że Hardstone wyjechał.

— Pewnie, że szkoda — odparła Freya. — Takie tereny! Tylko popatrz!

Machnęła ręką, na której było jeszcze więcej bransoletek niż u Darrena. Do tego nosiła jeszcze długie kolczyki, wyciągające płatki uszu. Jej biżuteria podzwaniała jak jednoręki bandyta przy wygranej.

— Cała biologiczna różnorodność została zniszczona! Peter Hardstone jest większą katastrofą ekologiczną niż palący na okrągło gość w czarnym płaszczu ze skóry nosorożca z cygarniczką z kości słoniowej, siedzący na pokładzie ciekącego tankowca z ropą. — Znowu zamachała tablicą. — Ale w końcu się doprosił. Wygrzebałam więcej brudów na jego temat, niż on wykopał ziemi, żeby postawić tutaj to gówno.

— Darren mówił mi o tym. — Kate zastanawiała się, jak najskuteczniej mogłaby się wymiksować z tej rozmowy i odejść. — Rozumiem, że pracujecie nad tą sprawą razem.

— Pracowaliśmy — poprawiła ją Freya. — Powiedział, że wyleją go, jeśli będzie się tym dłużej zajmował. Mięczak. Ale mnie to nie powstrzyma, o nie! Prędzej czy później wszyscy dowiedzą się, co się tu stało. Ten dupek Hardstone nie zatka mi ust. Poleci na łeb na szyję, prosto do jednej z tych swoich cholernych dziur. — Walnęła w tablicę.

— Freya, przepraszam, ale muszę już iść. Spóźnię się.

— Wszyscy jesteście dokądś spóźnieni — zagrzmiała eko-łożka. — Na przykład do ratowania planety. Możemy za to podziękować takim ludziom jak Hardstone.

Kiedy znowu uderzyła drągiem w chodnik, Kate szybko odeszła. Czuła się winna. Oczywiście Freya miała rację. To nie do pomyślenia, że coś tak prostackiego i bezczelnie wulgarnego jak Slack Palisades zbudowano o rzut kamieniem od prześlicznej wioski Slack Top. W dodatku na chronionej ziemi, podziurawionej historycznymi szybami kopalnianymi. Ale teraz ta ziemia wzięła odwet.

Kate miała inne kłopoty na głowie. Na przykład to, że zapomniała zapytać Nata, w którym domu mieszka. Ale znalezienie właściwego budynku nie powinno być zbyt trudne. Mało kto tu mieszkał.

Dość szybko wypatrzyła dom Hardstone'a. Za najeżoną szpikulcami bramą w intensywnym odcieniu złota znajdował się największy i najbardziej brzoskwiniowy budynek w całym Slack Palisades, mający więcej szklanych narośli niż pozostałe. Słupki bramy — każdy zwieńczony betonowym jednorożcem —



jeżyły się od takiej ilości zabezpieczeń, jakby w domu odbywała się jakaś międzynarodowa konferencja z udziałem przywódców państw z całego świata. Ostatecznym potwierdzeniem był sportowy samochód na podjeździe; dom musiał być zamieszkały.

Pośrodku ogromnej złotej bramy umieszczono wielki herb. Z jakiegoś powodu był zwęglony, ale Kate rozpoznała bezkształtną grudę przedzieloną czymś, co — choć wydawało się to nieprawdopodobne — przypominało but na wysokim obcasie. Nie miało to sensu i pewnie nie uzyskało oficjalnej aprobaty jako herb.

Wykończone mosiądzem kamery obróciły się podejrzliwie w jej kierunku. Przycisnęła guzik na słupie.

— Spieprzaj! — wrzasnął damski głos.

Kate zamarła. Czy Nat nie mówił, że będzie sam? A może to jakaś służąca? Powinna była się domyślić, że Peter Hardstone ma mnóstwo służby, która dba o jego wygody. Nie było to jednak przyjemne powitanie.

— Przepraszam, ale jestem umówiona z Natem! — odkrzyknęła.

Kamery się obróciły, coś pstryknęło i brama otworzyła się z większym dygotem, niżby można się spodziewać, biorąc pod uwagę jej wyrafinowanie techniczne. Omijając rozpadliny, Kate ruszyła ceglany podjazd do domu.

W niewielkich półokrągłych niszach po obu stronach frontowych drzwi stały dwa popiersia — jedno męskie, drugie kobiece. Męska głowa była wyidealizowaną podobizną bez-rozumnych rysów Petera Hardstone'a. Niesamowite, pomyślała Kate, bo nie wierzyła, że taką twarz można upiększyć. Po popiersiu kobiety spływały kaskady włosów, a jej usta nawet w betonowym odlewie wyglądały na wyjątkowo pełne. Białe drzwi były obwieszane mosiężnymi ozdobami. Kiedy Kate próbowała zlokalizować wśród nich dzwonek, otworzyły się nagle. Owionął ją potężny podmuch perfum, a zaraz za nim pojawiła się chuda, mocno opalona blondynka, która już jakiś czas temu pożegnała się z młodością. Jej włosy wyglądały,

jakby je przysmażono. Miała na nogach pantofle z wysokimi obcasami i była ubrana w różową koszulkę z cekinami, którą rozpychały ogromne piersi. Liczne łańcuszki i naszyjniki miały prawdopodobnie ukrywać niezbyt młodą szyję. Ciężki makijaż był zbyt mocny jak na spokojne poniedziałkowe popołudnie.

Dzięki fotografii znalezionej przez Darrena Kate wiedziała, że to trzecia pani Hardstone, była tancerka przy rurze ze Stringfellow i gwiazda *Seksekucji*. I chociaż rozwiało to jej nadzieję na spotkanie z Natem sam na sam, widok tak legendarnej postaci nieco wynagrodził jej rozczarowanie.

Trzecia pani Hardstone obrzuciła Kate spojrzeniem od stóp do głów.

— Witam! — rzuciła śpiewnym, dziewczęcym i zdecydowanie nowobogackim tonem. — Myślałam, że jesteś tą śmieszną wegetarianką, która chce podpalić naszą bramę.

— Chodzi pani o Freyę Ogden?

Kate próbowała nie czuć się urażona faktem, że pomyłono ją ze zdecydowanie większą zwolenniczką ochrony środowiska. Być może pani Hardstone ma wyjątkowo słaby wzrok. Jeśli tak, to niezdolność ujrzenia męża w całej jego odpychającej okazałości z pewnością wspomagała rozkwit szczęścia małżeńskiego. — Znasz ją?! — zapytała wzburzona kobieta. Nozdrza jej nosa po operacji plastycznej rozděły się gniewnie. — Ehm... nie całkiem — skłamała pospiesznie Kate. Blondynka obrzuciła ją podejrziwym spojrzeniem spod grubo umalowanych rzęs.

— Więc kim jesteś?

— Znajomą Nata.

Pani Hardstone skrzyżowała na piersi chude brązowe ręce.

— Nie wspominał, że kogoś się spodziewa. Czego właściwie ta kobieta od niej oczekiwała?

— Zaprosił mnie na herbatę — odparła ze znużeniem.

— No proszę. — Pani Hardstone wykrzywiła lśniące usta w drwiącym uśmiechu. — Herbatę. Więc tak to się teraz nazywa.

Kate popatrzyła na nią ostro, ale pani Hardstone nie dała się zbić z tropu.

— A mogę zapytać, skąd znasz mojego pasierba?

— Poznaliśmy się, kiedy zaczął pracę w „Tygodniku” — wyjaśniła Kate. — Jestem tam starszą reporterką. Kate Clegg.

— Więc pracujesz dla mojego męża? — Kobieta uśmiechnęła się lekko. — Jestem Brogan Perks-Hardstone — dodała, wyciągając zwiotczałą opaloną dłoń, na której błysnęło kilka wielkich kosztownych kamieni. — Żona Petera Hardstone'a. Chyba lepiej wejść do środka.

Kate weszła do holu, patrząc na umięśnione łydki idącej przed nią gospodyni.

— Rety! — wyrwało się jej.

— Cieszę się, że ci się podoba — zaszczębiotała pani Brogan. — To wszystko jest nowiusieńkie. Niespodzianka dla męża. Wyjechał na kilka dni, więc pomyślałam, że zmienię wystrój domu i zaskoczę go. Odcisnę tutaj własną osobowość.

Niektórych osobowości lepiej na niczym nie odciskać, pomyślała Kate.

— Niesamowite, prawda? — powiedziała pani Brogan. Niesamowite to właściwe słowo, stwierdziła Kate. Pasowały też określenia „kicz”, „efekciarski” i „kompletne bezguście”. Nigdy w życiu nie widziała równie groteskowego wnętrza.

Wzdłuż ścian pod samym sufitem biegły ciemnoczerwone aksamitne lambrekiny, ciężkie od frędzelków i chwościków. Spod nich wylewały się metry fioletowego aksamitu podwianego czerwonymi jedwabnymi sznurami, aby odsłonić warstwy złotego brokatu i lamparciej skóry. Na skórach wisały ozdobne podwójne kinkiety w kształcie złotych świec, między którymi znajdowały się lustra w pozłacanych, pokrytych rzeźbami ramach. Pod dwiema przeciwległymi ścianami, oddzielone od siebie dywanem w paski, stały dwa ogromne, obite fioletową satyną pozłacane trony, ozdobione frędzlami i jedwabnymi chwościkami i zarzucone stosem jaskrawych poduszek. Wszędzie stały maleńkie stoliki nakryte jedwabiem lub satyną, zastawione udziwnionymi naczyniami z chińskiej porcelany.

— Rety... — powtórzyła znowu Kate. — To jest...  
— Barock and roli — zagruchała pani Brogan.  
— Słucham?  
— Tak to nazywa mój dekurator. Skrzyżowanie siedemnastego wieku ze stylem gwiazd rocka.  
— Rozumiem. — Zachowanie powagi stało się prawdziwym wyzwaniem; z każdą sekundą Kate coraz trudniej było powstrzymać chichot.  
— Zrobił też salon, to znaczy bawialnię.  
Machając na Kate, żeby szła za nią, gospodyni wkroczyła do pokoju, którego sufit wyłożono ametystowym aksamitem przytwierdzonym wielkimi guzikami obciążniętymi takim samym materiałem. Efekt był taki, jakby patrzyło się na siedzenie gigantycznego stołka do fortepianu.  
— Obicie sufitowe to specjalność mojego dekuratora — powiedziała pani Brogan. — Jego popisowy numer. Niektóre z tych ram są z dwudziestoczworokaratowego złota.  
Wskazała na jeszcze ozdobniejsze lustra, wiszące na ścianach pokrytych czerwonym brokatem. Przechylały się pod niebezpiecznym kątem, umocowane na ogromnych perłowych łańcuchach.  
— Niewiarygodne... — mruknęła Kate, patrząc na grupę obitych satyną otoman i brokatowych sof rozstawionych na dywanie w lamparcie cętki.  
— To meble z charakterem — oświadczyła z dumą gospodyni. — Wszystkie wykonano specjalnie dla mnie. Naprawdę? — pomyślała Kate.  
— Kim jest ten dekorator?  
— Kim? Kim?! To Marc de Provence, rzecz jasna. Przecież to oczywiste. Nie czytasz „Tapety”?  
— Marc de Provence?  
— To najsłynniejszy obecnie dekurator — powiedziała pani Brogan. — Francuski arystokrata z bardzo starej i bardzo bogatej rodziny, który wzoruje wszystkie swoje projekty na cudownym *château*, w którym dorastał. Naprawdę o nim nie słyszałaś?  
— Nie.

Gospodyni próbowała unieść brwi, ale nie udało jej się to, miała zbyt wybotksowaną twarz.

— Przecież on słynie na wszystkich siedmiu kontynentach! Kate zamruwała. To jest ich siedem?

— Och, jasne.

— Cóż, chyba tacy jak ty nie należą do jego klienteli — stwierdziła współczująco pani Brogan i zachichotała. — No bo skoro kinkiety kosztują osiemdziesiąt tysięcy funtów, łóżka sto, a każdy kawałek materiału, który tu widzisz na ścianach, ponad tysiąc funtów za metr, Marc nie może należeć do twojej ligi.

— Raczej nie. — Kate próbowała powiedzieć to z odpowiednim żalem, jednocześnie usiłując pohamować śmiech.

Ta kobieta zapłaciła za kinkiety ponad pięć razy więcej, niż wynosiła roczna pensja Kate. Zważywszy na to, na jak krótkiej smyczy finansowej Fłardstone trzymał swoich pracowników, wydatki jego żony wcale nie były zabawne. Były cholernie denerwujące.

Pani Brogan najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z nietaktu, jaki popełniła. A nawet jeśli tak, miała to gdzieś.

— Hollywoodzkie gwiazdy go kochają—mówiła. — Prawie każda z nich ma jego popisowy tron z satyny. Tam właśnie po raz pierwszy zobaczyłam jego prace.

— W Hollywood?

*Seksekucja* musiała być większym sukcesem, niż oboje z Darrenem sobie wyobrażali.

— W jednym z odcinków mojego ulubionego programu *Domy gwiazd*. Od razu wiedziałam, że muszę go mieć. Raptem w dwa dni całkowicie odmienił wystrój domu!

Kate musiała przyznać, że dwa dni to coś niezwykłego. I rudno uwierzyć, że tyle śmiecia udało się sprowadzić w czterdzieści osiem godzin. Poczowała, że ogarnia ją irytacja, i to nie tylko z powodu wystroju. Gdzie podziewał się Nat? Dlaczego jeszcze nie przyszedł jej przywitać?

I wtedy właśnie jego wysoka postać pojawiła się w drzwiach do pokoju. Miał na sobie piżamę w niebiesko-czerwone paski.

Oparł się o złoconą framugę, ziewnął, przeciągnął się i najwyraźniej musiał dwa razy przyjrzeć się Kate, nim ją poznał.

— Nat!

Poczuła mieszaninę ulgi i oburzenia. Przecież nie zapomniał. Na pewno nie.

— Dopiero co wstałeś, kochanie? — zapytała pani Bro-gan. — To dość niegrzeczne z twojej strony. Zwłaszcza że zaprosiłeś na herbatę tę... jak jej tam, zapomniałam.

Zanim Nat, który już oprzytomniał i uśmiechał się przymilnie, zdążył odpowiedzieć, trzasnęły wejściowe drzwi.

— Jest ktoś w domu? — ryknął nieprzyjemnie znajomy głos. Kate zamarła. Czy Nat nie powiedział, że jego ojciec jest w Londynie? Spojrzała w stronę drzwi. Ale czerwono-niebieska piżama już zniknęła. To znaczy zniknęła razem z właścicielem. I w tym momencie do salonu wkroczył Peter Hardstone.

## Rozdział 6

Nie był sam. Zaraz za nim wszedł szofer ubrany w szary uniform i czapkę z monogramem PH.

— Ty pieprzony pajacu! — wydzierał się na niego Hardstone. — Ty fajtłapo, ty dumny łajdaku!

— Kochanie! — zaszczębiotała pani Brogan i podbiegła zaniepokojona do męża. — Miałeś wrócić dopiero jutro! Jaka wspaniała niespodzianka!

Hardstone spojrział na nią z pogardą i znowu odwrócił się do nieszczęsnego kierowcy.

— Ślepy jesteś czy jak?! — ryknął. — Dlaczego, do kurwy nędzy, nie patrzyłeś, gdzie jedziesz?!

Kate zrobiło się żal biedaka. Rzuciła mu współczujące, braterskie spojrzenie jak jeden znękany pracownik Hardstone'a drugiemu. Nie odwzajemnił go.

Pani Brogan położyła dłoń na ramieniu męża, najwyraźniej chcąc pokazać, jak łatwo potrafi obłaskawić bestię.

— Chyba nie rozbijeś ferrari? — zapytała, piorunując wzrokiem kierowcę. — W końcu to nie byłby pierwszy wypadek tego rodzaju, prawda? Pamiętasz, jak wrzuciłeś wsteczny, gdy przechodziłam za wozem? Omal mnie nie przejechałeś.

Było coś w zbuntowanej minie szofera, co sugerowało, że to „omal” jest dla niego źródłem nieskończonego żalu.

Hardstone stracił rękę żony z ramienia.

— Nie, z ferrari wszystko w porządku.

— Więc co się stało, skarbie? — zasepleniła pani Brogan, trzepocząc rzęsami. — Co zrobił ten okropny kierowca, że tak zdenerwował mojego słodkiego mężusia-pączusia?

Mimo przerażenia, jakie ogarnęło ją na widok pracodawcy, Kate omal nie parsknęła śmiechem, słysząc te słowa.

Słodziutki mężus-pączus milczał przez chwilę, a potem prychnął pogardliwie:

— Po prostu nie udało mu się rozjechać tej cholernej durnej hippiski, która krąży tu przez cały dzień z tą swoją pieprzoną tablicą.

Pani Brogan złożyła ręce, rzucając jednocześnie szoferowi triumfalne i zarazem szydercze spojrzenie. Najwyraźniej mieli ze sobą na pieńku.

— Stała dokładnie przed maską — złościł się Hardstone. — A co on zrobił? Po prostu ostro skręcił, żeby ją wyminąć. Mogliśmy ją rozjechać! — wrzasnął z udręką. — Do cholery, nikt nas nie widział! Mogliśmy ją rozjechać na placek! — ryknął jak trafiony harpunem słoń.

— Ale to nie byłoby do końca zgodne z prawem, prawda? — mruknął kierowca.

Na tłustej szyi Hardstone'a nabrzmiały żyły.

— Niezgodne z prawem?! A kogo, do cholery, obchodzi prawo?! Prawo jest dla mięczaków! Prawo jest dla maluczkich! Szofer wzruszył ramionami.

— Nie chciałem pana urazić — odpowiedział tonem, który sugerował coś całkiem przeciwnego.

— Mam nadzieję — warknął Hardstone, przysuwając swoją wielką czerwoną twarz do jego twarzy.

— Bo jak wiesz, nie jestem gwałtownym człowiekiem. To tylko ludzie, którzy wchodzą mi w drogę, mają skłonność do... — zniżył głos i syknął: — ...nieszczęśliwych wypadków.

Zapadło niezręczne milczenie.

— Ty! — rzucił Hardstone, kierując swoje mętne oczka na Kate. — Poznają cię. Jesteś dziewczyną z „Tygodnika”, tak?



Kate pokiwała głową.

— Więc jak ten mój bezużyteczny, cholerny synalek sprawuje się jako chłopak na posyłki?

— Nat jest bardzo pomocny — zapewniła go Kate, czując, że ogarnia ją wściekłość.

Jak on mógł zostawić ją samą ze swoim ojcem?

— Wobec tego zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu — stwierdził Hardstone, gapiąc się na jej biust. — A przy okazji, jak ci idzie striptiz?

Uśmiechnął się do niej — ten pożądlivy uśmiech sprawił, że ją przeszły ciarki.

Kate spojrzała na niego w zamyśleniu. Przez jedną wspaniałą chwilę wyobrażała sobie, że mówi mu, co naprawdę o nim myśli. Rzecz jasna byłby to odważny gest, ale i samobójstwo zawodowe.

— Pracuję nad tym — odparła.

Mruknął coś z zadowoleniem, a potem ryknął:

— Dlaczego do cholery nie jesteś w biurze?!

— Przyszłam na herbatę do Nata.

— Herbatę? — zachnął się Hardstone. — To właśnie mój syn robi całymi dniami? Siedzi i siorbie earl grey jak jakaś pieprzona stara damulka? Mam nadzieję, że nie lecisz na niego ani nic w tym stylu.

Kate spojrzała z oburzeniem na pusty próg, na którym wcześniej stał Nat. Zniknął na dobre czy tylko schował się za rogiem? Nie odpowiedziała Hardstone'owi.

— Lepiej, żebyś nie leciała — warknął. — Bo chociaż to nierób, i tak jest za dobry dla ludzi twojego pokroju. Chcę, żeby moja synowa miała cholerny tytuł szlachecki, przynajmniej tyle.

Kate poczuła, że traci nad sobą panowanie, i wtedy w drzwiach znowu pojawił się Nat.

— Och, na miłość boską, tato — powiedział — nie bądź takim cholernym snobem.

— Snobem! — ryknął Hardstone. — Ja? Snobem? — Podszedł do syna i szturchnął go w odzianą w pasiastą piżamę pierś. Każde słowo podkreślał kolejnym dźgnięciem. — Jak.

Ja. Mogę. Być. Snobem. Jeśli. Mam. To. Gdzieś. Z. Jakiej. Klasy. Jestem! — wrzasnął. — Nie jestem ani z klasy robotniczej, ani ze średniej, ani wyższej. I mam to w dupie! Wiesz dlaczego?! — To pytanie skierował do Kate. Pokręciła głową.

— Bo należę do jedynej klasy, która się liczy — oświadczył Hardstone. — Klasy bogaczy. Stojąca za jego plecami pani Brogan zachichotała, ale szeroki, pełen zadowolenia uśmiech Hardstone'a już zgasł. W miarę jak ogarniał spojrzeniem wnętrze salonu — te wszystkie lambrekiny, frędzle i draperie — jego małe oczka rozszerzały się, a usta powoli rozdziawiały. Gapił się na leopardzie cętki, kinkiety, satynowe trony i dziwaczne naczynka z porcelany.

Zapadło nieprzyjemne milczenie. Słyszał tylko zgrzytliwe dyszenie Hardstone'a.

Pani Brogan odrzuciła włosy i poprawiła bluzkę. Jej oczy lśniły. Najwyraźniej przygotowywała się na chwilę triumfu. Otworzyła usta, ale jej słowa utonęły w potężnym ryku Hardstone'a.

— Co to jest, do kurwy nędzy!!!

Odwrócił się rozwścieczony do swojej małżonki. Pani Brogan uśmiechnęła się niepewnie.

— Cudowna niespodzianka dla ciebie, mężusiu-pączusiu. Pomyślałam, że temu domowi przyda się mała odmiana. Coś nieco bardziej... stylistycznego?

— Tu jest teraz zupełnie jak w tej cholernej szufladzie z majtkami Eltona Johna!

Kate zobaczyła, że pani Brogan gwałtownie zamyka usta i oczy. Nie pokochała żony właściciela gazety, ale trudno było jej nie współczuć w obliczu tak haniebnej klęski. Chociaż szofer, uśmiechający się z przekąsem, najwyraźniej potrafił wyzbyć się tego uczucia.

— Kto to zrobił? — zapytał niskim, groźnym głosem Hardstone. — Kto to zrobił?!

— Znany dekurator wnętrz, Marc de Provence — wyszeptała jego żona. — Słynie na siedmiu kontynentach ze swojego barock and roila.

— Barock and roli?! — Ślina trysnęła z ust właściciela.

— Tak jak rock and roli — powiedziała cicho pani Brogan.

Hardstone podszedł do futer udrapowanych na ścianie i huknął w nie tłustą pięścią z taką siłą, że aż przesunął mu się tupecik. Po chwili wszyscy ujrzeli, jak kinkiet wart osiemdziesiąt tysięcy funtów roztrzaskuje się na podłodze. W ślad za nim poszło jedno z luster: odchyliło się od ściany, trzymający je perłowy łańcuch pękł, zwierciadło spadło z hukiem i roztrzaskało się na tysiące kawałków.

— Kimkolwiek jest ta francuska ciota, dobrze wiedział, jak cię wydymać — warknął na żonę Hardstone. — Chociaż ci, którzy oglądali twoje filmy, też to wiedzą — dodał z brutalną szczerością. Pani Brogan wybuchnęła płaczem i cisnęła w męża jednym z uduwnionych porcelanowych naczyń, a Kate zauważyła, że Nat daje jej rozpaczliwe znaki, żeby poszła za nim. Okazja do wymknięcia się z salonu nadarzyła się, gdy zgodnie z zasadą efektu domina zniszczenie zapoczątkowane przez Hardstone'a przeniosło się dalej i w rogu salonu odpadł kawałek obicia — pas czerwonego brokatu po tysiąc funtów za metr. Pinezki mocujące barockandrollowe draperie jedna po drugiej zaczęły z brzękiem wyskakiwać ze ścian, boleśnie uderzając obecnych w twarze. W końcu z głośnym szumem materiał ześlizgnął się na podłogę, pociągając za sobą cały dział pasmanterii: czarną satynę, fioletowy aksamit i jaskraworóżowe chwościki. Wszystko to spłynęło na stojącego pod samą ścianą Petera Hardstone'a.

Nat i Kate zostawili panią Brogan samą, aby stawiała czoło konsekwencjom, szybko przebiegli korytarz, wbiegli schodami na piętro i wylądowali bezpiecznie w pokoju Nata, zamykając za sobą drzwi na zamek. Gdzieś w oddali słychać było ryki wściekłego niedźwiedzia, którym towarzyszył brzęk tłuczonej porcelany.

— Prawie mi żal twojej macochy — stwierdziła Kate. Usiadła na stosie małych twardych poduszek, które w każdej chwili mogły wyslizgnąć się jej spod pupy.

— Nie warto — odparł Nat.

Wyciągnął się na plecach na łóżku i skrzyżował długie nogi w kostkach. Miał zaciętą twarz, a w jego oczach błyszczała złość.

— Popatrz, co zrobiła z moją sypialnią. Czuję się jak cholerna Barbie.

Miał rację. Na ścianach udrapowano jaskraworóżowy gnieciony aksamit, a nad okrągłym różowym łóżkiem wisiał wielki biały baldachim ze zwiewnego muślinu. Nad tym wszystkim królował ogromny żyrandol ozdobiony porcelanowymi kwiatami. Przy ścianach w regularnych odstępach stały wysokie kadzielnice, między którymi przysiadło pół tuzina bladolilio-wych satynowych puf.

— Mimo to chyba i tak powinienem być jej wdzięczny — mruknął Nat. — Przynajmniej nie włożyła mi do wanny szklanych kulek.

— Kulek?

— W ich łazience jest wanna pełna śliskich od balsamu kulek. Lepiej nie pytaj, do czego miały służyć.

— Nawet nie śmiem. — Kate wzdrygnęła się.

— Nie twierdzę, że wcześniej ten dom wyglądał świetnie. Właściwie to był brzydki jak cholera. Wszędzie były poroża, dywany w szkocką kratę i zbroje. Nie dziwię się Brogan, że chciała się tego pozbyć. Ale dokonała czegoś, co zawsze uważałem za niemożliwe. Zamieniła to na coś jeszcze gorszego.

— A kto powiesił poroża? Myślałam, że to całkiem nowe domy.

— Bo są nowe. Poroża były tu jakieś dwa tygodnie. Moja ostatnia macocha, Angie, recepcjonistka z klubu Spearmint Rhino, miała fioła na punkcie Szkocji. Nazwała ten dom Brae View, ale że jej ortografia nie była najlepsza, więc...

Kate wytrzeszczyła oczy

— Bra View \*?

Nat wyszczerzył zęby.

\* Brae (szkoc.) View (ang.) — widok na wzgórze; Hra View (ang.) — widok na stanik.

— Angie miała obsesję na punkcie cycków, więc tak czy inaczej człowiek ciągle natykał się na jej bieliznę. — Westchnął. — Całkiem dobrze się z nią dogadywałem, chociaż wiecznie siedziała w Los Angeles na poprawkach buforów. W końcu nawet tata miał dość. Więc teraz jest Brogan. — Ze smutkiem popatrzył na jasnoróżowy dywan z owczej skórki.

— Czy to jej popiersie stoi przy drzwiach?

— Tak. Ale zmiany następują tak szybko, że nie wiem, po co ojciec zawraca sobie głowę tymi odlewami. Biała szpilka na tarczy herbowej też jest jej zasługą. To taki żart taty. Brogan pochodzi z Essex, ale wstydzi się do tego przyznawać. Desperacko próbuje wymusić na tacie, żeby załatwił jej, jak to ona mówi, „ślacheństwo”.

— Widziałam herb. — Kate uśmiechnęła się. — A o co chodzi z tą grudą?

— To kamień. No wiesz, jak w nazwisku Hardstone. — Spojrzał na nią jak na głupią. — Ale ja uważam, że to raczej powinien być skręt. Chyba bardziej pasuje.

— Och, racja.

Przypomniała sobie o Oksfordzie i uznała, że Nat pewnie ciągle jeszcze myśli o narkotykach.

Trach! Bach! W oddali nadal trwała bitwa.

— Nie sądzę, żeby ojciec dał jej zrobić z tego domu jakiś cholerny pałac — mruknął Nat. — Rzucił żony z błahszych powodów. Pewnie rano złoży pozew.

— Rozwodowy?

— Oczywiście. Różnice w gustach nie do pogodzenia, taki będzie tym razem powód. Bo ja nie mam nic przeciwko jego panienkom. Brogs na pewno dostanie jacuzzi. Jest tam taki wodotrysk... nazywają go włoskim ogierem. Moja macocha za nim przepada. — Nat pogrzebał w kieszeni piżamy, wyjął papierosa i przypalił go. — Lubisz swoich rodziców, prawda? — zapytał niespodziewanie.

— Cóż, tak... Tak.

— Serio? Ojca też?

Zaskoczenie w jego głosie było wręcz nieprzyjemne.

— Tak — odparła, natychmiast zdając sobie sprawę, że to zła odpowiedź. — Oczywiście czasem mu odbija, jak każdemu.

— Nikomu tak nie odbija jak mojemu ojcu — stwierdził Nat. Kate przygryzła usta.

— Widzę, że to trochę skomplikowane...

— Skomplikowane!

— Może macie... nie wiem... jakieś trudności w porozumiewaniu się.

— Trudności w porozumiewaniu się? — Oczy Nata zapłonęły.

— Może gdybyście więcej rozmawiali... Sama nie wiem — przyznała Kate.

Nat z wściekłością wciągnął powietrze.

— Chcesz usłyszeć, co się stało, kiedy ostatni raz próbowałem porozmawiać z moim ojcem?

— Ehm... tak — odpowiedziała nerwowo Kate.

— Pzez całe pół godziny przedzierał pięćdziesięciofuntowe banknoty. Bez przerwy.

— Dlaczego?

— Żeby mi pokazać, jak cenny jest jego czas. Miłe, prawda? Wspaniała metoda wychowawcza, no nie?

— A twoja matka? — Kate nie mogła się doczekać, kiedy będzie miała okazję o to zapytać.

Nat wydmuchnął pióropusz dymu.

— Moja śliczna matka, była modelka — powiedział ironicznie — mieszka obecnie w Nowym Jorku ze swoim dziesiątym byłym mężem.

— Dziesiątym byłym mężem?

— Wkrótce też będzie „byłym”. Matka zmienia ich jeszcze szybciej niż mój ojciec żony. I jeszcze bardziej ma mnie gdzieś — odparł, rzucając Kate spojrzenie z rodzaju tych „smutnych, ale starających się ukryć cierpienie”. — Założę się, że twoi rodzice są z ciebie dumni — mruknął. — Prawda, że są?

— Ehm... Czasem chyba są.

Uśmiechnęła się niepewnie. Wiedziała jednak, że są. Zeszyt z wycinkami, do którego wklejała swoje artykuły, stał na etażerce babci wciśnięty między egzemplarze „People's Friend” i robótkę, tak żeby zawsze mogła go szybko wyciągnąć i olśnić nieoczekiwanego gościa.

— Widzisz? — rzucił z goryczą Nat. — Twój rodzice są z ciebie dumni, chociaż nigdy nie zrobiłaś niczego, o czym warto by krzyknąć.

— Cóż... — Kate zamrugnęła z oburzeniem.

— ...podczas gdy moich nie obchodziło nawet to, że dostałem się na Oksford. Może zainteresowałiby się mną, gdybym otrzymał którąś z nagród sportowych, ale z jakiegoś głupiego powodu nie dają ich za granie w filmie. Ani za wspinaczkę, drugą rzecz, w której jestem naprawdę dobry.

— Wspinaczka? To znaczy po skałkach i takich tam?

— W pewnym sensie. — Uśmiechnął się szelmowsko. — Trzeba być dobrym we wspinaczkach, jeśli chcesz wchodzić i wychodzić z różnych sypialni, no nie? Ale przynajmniej — dodał z filozoficzną zadumą — jestem jedynakiem.

Kate entuzjastycznie pokiwała głową.

— No to masz pewność, że przejmiesz rodzinny interes. Uniósł głowę i rzucił jej chłodne spojrzenie.

— Miałem na myśli to, że przynajmniej żadne inne dziecko nie musiało mieć takiego parszywego życia jak ja.

— Ach, racja. Przepraszam.

— A dla twojej informacji, z pewnością nie będę prowadzić tego cholernego rodzinnego interesu. — Zaciągnął się głęboko papierosem. — Ja?! Chyba żartujesz.

— Pewnie jeszcze nie jesteś gotowy, ale z czasem się wciągniesz.

— Jestem jak najbardziej gotowy, wielkie dzięki. — Oczy Nata były jak dwie grudki lodu. — Ale kiedy patrzę, jak idzie ojcu, przypuszczam, że sam niedługo przestanie go prowadzić. — Prychnął. — Ten stary tłusty dupek wcale nie jest taki bogaty, jak by chciał, żeby wszyscy myśleli.

— Co masz na myśli? Dlaczego?

Leżąc na plecach, znowu wydmuchnął dym, który uniósł się nad nim jak fontanna wody nad wielorybem.

— Myślałem, że to oczywiste. Chyba zauważyłaś cięcia w gazecie.

— Nie dałoby się ich nie zauważyć, były dość radykalne.

— Musiały być. Cała firma idzie na dno. Ojciec próbuje wszystkiego, żeby zebrać pieniądze. Wszyscy jego redaktorzy naczelni, nawet ci w Londynie...

Podeksytowana Kate aż podskoczyła. Hardstone miał redaktorów w Londynie?

— ...nowy pomysł ojca to wywalić ich wszystkich, chyba że dadzą własne domy pod zastaw, żeby utrzymać gazety. Problem polega na tym, że wtopił ogromne pieniądze w Slack Palisades i teraz siedzi w długach po uszy. Banki zaczną przejmować długi, jeśli nie przedstawi jakiegoś programu ratowania firmy.

Kate przełknęła ślinę. Poczwała, że traci grunt pod nogami. Wzięła głęboki wdech.

— Nat... czemu właściwie mówisz mi to wszystko? Nie zapominaj, że pracuję dla twojego ojca.

Spojrzał na nią. Jego oczy pod przymkniętymi powiekami hipnotyzowały, rzucały czar.

— Tak, ale go nienawidzisz, prawda? — zapytał cicho. Kate pobladła. Znowu poczuła strach przez utratą pracy

i majaczącą na horyzoncie fabryką majtek. Spojrzała bezradnie na Nata.

Uśmiechnął się.

— Wszyscy normalni ludzie go nienawidzą. Ten facet jest kompletnie po...

— Przestań — rzuciła pospiesznie, wstając. Nat usiadł prosto.

— Ej, wyluzuj, skarbie. Jestem po twojej stronie, ślicznotko, uwierz mi. Serdecznie nie cierpię ojca.

To tyran, łajdak i oszust. Nikt nie może być bardziej ode mnie wniebowzięty z powodu gówna, w którym wylądował. A czemu ci to mówię? Jesteś przecież moją przyjaciółką, prawda? Tak samo jak ja pragniesz



uciec z tej dziury... Och, wiesz, co mam na myśli — dodał szybko, widząc ostre spojrzenie Kate.

Oparła się o ścianę i osunęła na poduszki. Wiedziała, o co mu chodzi. Aż za dobrze.

— Mogę ci pomóc — dodał. Jego głos brzmiał szczerze i był pełen zapału.

Spojrzała na niego wyczekująco.

Przekreślił się na bok i oparł na łokciu, a potem pochylił się i zgasił papierosa w przesypującej się już popielniczce stojącej na barokowej szafce nocnej obok dwóch brudnych kieliszków od szampana.

— Tata po prostu przesadził. Próbował oszukiwać z podatkami, obejść cła i akcyzy, fałszował dochody w księgach firmy. Niegrzeczny, oj niegrzeczny chłopczyk — powiedział i po chwili dodał:

— Wiesz, jak się tego wszystkiego dowiedziałem?

Dobrze odczytał spojrzenie Kate.

— No właśnie.

— Oczywiście włamałem się do jego komputera. — Wyszczrzył zęby. — Pamiętaj, że jestem niezły w komputerach.

Kate pamiętała. Nagle przypomniały się jej też narzekania Darrena na automatyczną korektę.

— Słyszałaś pewnie, jak ojciec mówił, że prawo jest dla idiotów. To tylko połowa prawdy. Uważa też, że wypłacalność jest dla idiotów.

— Dokładne przeciwieństwo moich rodziców — mruknęła Kate, gdy Nat zamilkł, a ona nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. — Uważają, że długi to ósmy grzech śmiertelny.

— O! Stara dobra zapobiegliwość typowa dla północy, co? — rzucił kpiąco Nat. — No i dobrze. To tacy ludzie jak twoi rodzice poręczają pożyczki taty.

Kate milczała. Myśl, że rodzina Cleggów mogła subsydiować Petera Hardstone'a, nadawała zupełnie nowe znaczenie cnotie pozostawiania na dodatnim saldzie, nawet jeśli ona sama mogła poczuwać się tylko do małej części tych pieniędzy. Babcia miała rację. Nie ma sensu kurczowo trzymać się forsy. W całunie nie ma kieszeni.

— A to nawet nie jest połowa wszystkiego — ciągnął Nat.

— Chodzi ci o sprawę terenów pod ochroną? Oczywiście Nata rozbłysły.

— Aha. Więc jednak wiedziałaś. Kate popatrzyła na niego.

— Cóż, trochę się mówiło o problemach z wydziałem planowania rady miejskiej — odparła, próbując zminimalizować szkody.

— Ojciec przekupił ich wieki temu. Cała sprawa była co najmniej śliska. Boże, Kate, wiesz, dobrze móc z tobą pogadać. — Nat przeczesał włosy. — Zrzucić to wszystko z serca przed kimś, kto naprawdę rozumie, co mam na myśli. Czuję, że mógłbym ci wszystko powiedzieć. Masz takie rozumiejące — jego spojrzenie przesunęło się po jej piersiach — oczy.

Kate przełknęła ślinę.

Nat poklepał łóżko obok siebie.

— Chodź tu — szepnął.

Modląc się, żeby kolana się pod nią nie ugięły, Kate wstała. Usadowiła się na łóżku z pewną trudnością, bo kapa z gnieczonego karmazynowego aksamitu z frędzelkami czepiała się jej spodni.

— Napijmy się, dobrze, skarbie? — Nat sięgnął jedną ręką za łóżko i wyciągnął spośród muślinów butelkę szampana. Otwartą, jak zauważyła Kate.

— Wolałabym nie. Mówiąc wprost, powinnam być teraz w pracy.

— Chciałbym usłyszeć, jak mówisz wprost — rzucił uwodzicielsko Nat.

Pomachał butelką. Krug. Zawsze się zastanawiała, jak smakuje taki szampan.

— Nie daj się prosić. Wypij odrobinę. To ci pomoże się rozluźnić.

— No dobrze.

W końcu jak często w czasie normalnego dnia pracy proponowano jej kruga? A Nat — czyżby leżał tu cały ranek i popijał?

Wziął z nocnej szafki brudne kieliszki i wyszczerzył do niej zęby w łobuzerskim uśmiechu.

— Szczerze mówiąc, nie jest tak zimny, jak powinien, i chyba troszkę zwietrzał, ale mam coś, co go nieco podkreśli.

Pogrzebał wśród śmieci na podłodze i wyciągnął z nich srebrne pudełeczko. Otworzył je i dodał szczyptę proszku do słabo musującego szampana. W butelce natychmiast zabuzowało od bąbelków.

— To anadin?

— W pewnym sensie. — Uśmiechnął się krzywo i podał jej klejący się kieliszek. — W każdym razie lek.

— Mmm — mruknęła Kate, rozkoszując się drożdżowym posmakiem. Krug to naprawdę niesamowita rzecz. Ogarnęła ją ciepła beztraska. Problemy wydawały się znajdować milion mil od niej, niemal jakby nie istniały. Czowała się inną osobą. Bardziej seksowną, bardziej szaloną, bardziej fascynującą. Osobą, która pija kruga po południu w łóżkach przystojnych milionerów.

— Zdrowie! — powiedziała i znowu pociągnęła z kieliszka.

— Zdrowie. — Nat przyglądał jej się uważnie. — Czy ktoś — zapytał nagle — mówił ci już kiedyś, że jesteś piękna? Kate zaśmiała się ironicznie.

— Och, cały czas mi to mówią.

Ale Nat się nie uśmiechał. Podniósł się i na czworaka ruszył w jej kierunku, a każdy jego ruch zdradzał, że myśli tylko o jednym. Kate doskonale wiedziała, co się święci.

— To dobrze. Bo jesteś.

Zaczął ją całować. Jego usta były gładkie i żarliwe.

Poczuła, że wsuwa dłoń pod jej koszulkę i rozpina guziki. Ogarnęła ją panika. Aach... Jakie to ma znaczenie? Co z tego, że dopiero co się poznali? Co z tego, że odsłonięto jej blade, pełne obfitych zaokrąglenia ciała, poprzecinane śladami od gumek? Liczyło się tylko tu i teraz. Babcia miała rację.

Przygoda to kwiat życia. A tu — Kate uśmiechnęła się do siebie, przesuając dłonie w dół — jest jego łodyżka.

Zamknęła oczy. Jego głos wydawał się płynąć z odległości wielu mil, musiał przebijać się przez szum w jej uszach i burzę w żołądku.

— Boże — powiedział. — Pragnę cię. Zawsze cię pragnąłem.

— Znasz mnie raptem pięć minut.

— Ale pragnąłem cię przez każdą sekundę tego czasu. Jego dłonie były już między nogami Kate.

Poczuła mrowienie

w biodrach i promieniujące na zewnątrz podniecenie, które sprawiało, że jej kolana zaczęły drżeć. Jej oddech się rwał, zaczęła ciężko dyszeć, a każda cząstka ciała skupiła się na jedynej rzeczy, która liczyła się na tym świecie: mieć Nata w sobie, nim pożądanie ją rozerwie.

I wtedy sobie przypomniała. Jej rozpalone ciało nagle zapomniało o żądzy.

— Ehm... Nat...

— Spokojnie, tygrysku — wymruczał. Dopił resztki szampana i odwrócił się do niej.

— Ehm... chodzi o to...

Czując jego gotowość — a nawet więcej niż gotowość — przemogła własną słabość i odsunęła się.

— Co?! — Jego głos był ostry i pełen złości. — Na miłość boską, to doskonały moment, żeby wyskoczyć z tekstami o dziewictwie.

— To nie to — szepnęła Kate z zakłopotaniem. — Chodzi o... no wiesz... o bezpieczny seks...

— O cholerną prezerwatywę? O to ci chodzi? — Przeturlał się na plecy i przeczesał włosy dłońmi. — Nie ufasz mi? — Był wyraźnie urażony.

— Ehm... — Kate poczuła się niezręcznie i zaczęła pocić się ze wstydu.

Przecież mężczyźni powinni rozumieć takie rzeczy, no nie? To była rozsądna prośba.

— Co ty sobie wyobrażasz, na miłość boską? — zapytał ostro Nat.

— Nie chodzi o ciebie... — szepnęła z udręką.

Ale była zdecydowana obstawać przy swoim. Kto wie, z kim się zadawała żona opiekuna, pozwalająca każdemu wackowi szturmować swoją cytadelę?

— Przykro mi... ale gdybyś jednak miał jakąś...

Sturlał się z łóżka, a jego napęczniały członek podskoczył jak sekcja dęta zespołu swingowego. Ze złością przetrząsnął komodę, po czym znowu opadł na plecy. Rozdarł folię i kilkoma fachowymi ruchami znowu doprowadził Kate do gorączkowego wyczekiwania. Po chwili ich ciała ogarnął spazm, krzyknęli jednocześnie, a potem padli wyczerpani na łóżko.

— No, no. — Kate zamknęła oczy, delektując się serią rozkosznych gasnących wibracji. — To było niesamowite.

Zapalił papierosa.

— Charlie jest świetna w łóżku, prawda?

— Charlie?

Wprawdzie trochę się zapomniała, ale nie aż tak, żeby nie zauważyła kogoś jeszcze w łóżku.

— Aha. Stara dobra C siedemnaście H dwadzieścia jeden NO cztery.

— Słucham? — Żołądek ścisnął się jej ze strachu.

— Alkaloid — wyjaśnił. — Otrzymywany z liści i młodych gałązek krzewu kokainowego.

— Mówisz o kokainie? Pokiwał głową.

— Bogu dzięki, że wreszcie dotarła. Przez cały tydzień paliłem zioła prowansalskie z kuchni.

Spojrzała na niego oskarżycielsko, przypominając sobie srebrne pudełeczko.

— Dodałeś kokainę do szampana?

— Tylko po to, żeby pomóc biegowi spraw. Chyba nie jesteś tym zszokowana, co?

— Powinieneś był mi powiedzieć.

— Chyba żyłaś pod kloszem. Tego nawet nie da się przedawkować.

— Nie o to chodzi — odparła Kate. — Powinieneś był mi o tym powiedzieć. To jak gwałt na randce.

— Och, daj spokój — burknął Nat. — Prawie nic nie wsypałem. I z pewnością cię nie zgwałciłem. Kate wbiła wzrok w muslinowy baldachim, walcząc z uczuciem, że ją zdradzono. Czy naprawdę robiła z igły widły? Guziki w tapicerce łóżka wbijały jej się w plecy.

— Przepraszam. W porządku? To się więcej nie zdarzy.

— Nie mam nic przeciwko temu, żeby pozostałe z tych rzeczy jeszcze się wydarzyły. Ale już bez narkotyków. A przynajmniej nie bez uprzedzenia.

— Umowa stoi.

— Dobrze — odparła sztywno Kate.

— Wiesz, jesteśmy tacy sami — stwierdził po minucie Nat, szturchając ją nosem w szyję. — Ty i ja.

— Tak?

Znowu odsłonił zęby w śnieżnobiałym uśmiechu.

— Aha. Jesteśmy tacy sami w tym sensie, że oboje tu ugrzęźliśmy. I obydwójce pragniemy uciec.

Prawda?

Kate westchnęła i poddała się.

— Prawda — przyznała z żalem. Przypomniała sobie wcześniejszą rozmowę. — Powiedziałeś, że twój ojciec ma redaktorów w Londynie?

— Teraz tak. — Nat ziewnął. — Niedawno przejął parę gazet. „Obserwatora z Eakling”, „Kronikę King Cross” i „Strażnika Islington”. Kate mocniej zabiło serce. Czy miałyby szansę na wymianę między gazetami? Na tak długo oczekiwaną możliwość ucieczki do stolicy?

— Bardzo chciałabym pracować w Londynie — powiedziała i spojrzała na niego z nadzieją. W końcu teraz on był jej winien przysługę. — Jasne. — Nat uśmiechnął się i przesunął długim palcem po jej policzku. — Słuchaj, skarbie, chyba nie mogę nic zrobić dla twojej kariery, ale zastanawiałem się, jak mogę ci pomóc. — Tak? — Przełknęła ślinę.

— Aha. Mam plan, dzięki któremu wyniesiesz się stąd raz na zawsze. Właściwie to obydwójce się wyniesiemy.

Zapominając o kokainie, Kate zarzuciła mu ramiona na szyję.

— To znaczy, że obydwójce wyjedziemy do Londynu?

— Hmm, nie całkiem.

— Więc co? — pisnęła Kate, gdy palce Nata znowu zaczęły badać jej ciało.

— Później ci powiem — mruknął, pochylając się nad nią.

## Rozdział 7

— Widziałaś dzisiejszą prasę? — zapytał Darren, który wparował do biura, wymachując naręczem gazet.

W związku z nowym reżimem codzienne dostarczanie krajowej prasy do biura uznano za zbyteczny luksus, a nie za zawodową konieczność. Kate i Darren musieli więc sami kupować sobie gazety, żeby wiedzieć, co się dzieje na świecie.

— Jeszcze nie. Co się stało?

— Jest mnóstwo paskudnych artykułów na temat Champagne B. Oskiej i jej obraźliwych uwag o północy.

— To dobrze. Mam nadzieję, że rozerwą ją na kawałki.

— Jasne, nie musisz się o to martwić. Pojawiły się nawet pogrożki.

— Jeszcze lepiej. Grożono jej śmiercią?

— Chyba nie. Ale ludzie z Wyzwolenia Północy mówią, że będą puszczać z głośników przed jej domem orkiestrę dętą i rzucać w nią gumiakami za każdym razem, kiedy wyjdzie z domu, jak się tu przeprowadzi.

— Niesamowite, że zachowali poczucie humoru po tym wszystkim, co o nich powiedziała.

— Och, myślę, że mówili to całkiem poważnie. Dla United to też nie zabawa. Wściekli się. Przez coś takiego Blavatsky może stracić wielu fanów.



Zapisał telefon.

— Dział reportaży! — zażądała energicznym tonem kobieta, której głos brzmiał, jakby jej struny głosowe przetarto papierem ściernym.

Kate uśmiechnęła się do siebie. To, że niektórzy z dzwoniących zakładali, że „Tygodnik” nadal ma wielu pracowników, już nie wspominając o kilku działach, było wzruszające. Chyba czas na zagrywkę pod tytułem „Tysiące pracowników”.

— Reportaże? — odpowiedziała głosem Moneypenny, jednocześnie machając do Darrena. — Proszę poczekać, zaraz panią przełączę do redaktora działu reportaży.

— Reportaże — warknął do słuchawki Darren swoim popisowym tonem w stylu „lepiej, żeby to było ważne”.

Kilka sekund później jego twarz spoważniała. Zaczął notować. — Rozumiem — mruknął. — Wywiad. Dobra. Tak, jestem pewien, że da się to załatwić. Oddzwonię.

Odłożył słuchawkę. Pod jego białym makijażem gejszy malowało się niedowierzanie.

— Niewiarygodne. Dzwonił ktoś, kto nazywa się Xanthippe.

— Xanthippe? To rzeczywiście niezwykle nazwisko.

— Bardziej niezwykle jest to, że ten człowiek pracuje dla firmy kreującej wizerunki, „Szybki i ostry”. To ludzie od PR Champagne B. Oskiej. Chce udzielić nam wywiadu. „Wychod-nikowi”!

Kate wytrzeszczyła oczy. — Champagne B. Oska? Dlaczego?

— Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia — odparł Darren, kręcąc najeżoną głową.

Kate zastanawiała się przez chwilę.

— Och, chyba rozumiem, o co jej chodzi. Po prostu potrzebuje miłego artykułu w lokalnej gazecie, w którym poprosi o wybaczenie i stwierdzi, że wyrwano jej słowa z kontekstu, źle zacytowano i tak dalej. Nażelowane kolce na głowie Darrena zafalowały.

— Więc mamy wziąć udział w kampanii promującej Champagne, tak? Trochę dobrej prasy na temat północy?

— Właśnie. Ale czy naprawdę chcemy jej pomóc uciec z haka?

— To zależy — uniósł brwi — co możemy dzięki temu zyskać. Zważywszy na całe zamieszanie, jakiego ostatnio narobiła, inteligentny, pozbawiony historii wywiad może przyciągnąć uwagę kilku krajowych redaktorów. A naprawdę dobrze napisany kawałek mógłby doprowadzić do...

— .. .najróżniej szych rzeczy — dokończyła podekscytowana Kate. — Do pracy na zlecenie, a może nawet etatu!

Zamilkła, przypominając sobie Nata, jego obietnice i plan ucieczki. Na razie jednak nic z tego wszystkiego nie wynikło. A teraz nadarzyła się możliwość wzięcia losu we własne ręce.

— Więc kiedy Champagne chce udzielić wywiadu?

— Dziś po południu, damy radę. W domu Blavatsky'ego w Slack Palisades.

Slack Palisades! Podekscytowana Kate zacisnęła pięści. Od tamtego rozkosznego popołudnia nie miała żadnych wieści od Nata. Ostrzegł ją, że przez kamery ojca może mieć problemy z wyrwaniem się do miasta. Rozmowy telefoniczne też nie były możliwe, bo ojciec skonfiskował mu komórkę. Kate stawiała na głowie, żeby wymyślić pretekst, który pozwoliłby jej ponownie odwiedzić luksusowe osiedle. A teraz ten pretekst sam wpadł jej w ręce.

— To super! — krzyknęła podekscytowana.

— Pewnie, że super — odparł spokojnie Darren. Spojrzeli sobie w oczy. Nie było mowy o rywalizacji. Kate wiedziała i Darren wiedział, że wywiad powinien jej przypaść w udziale, bo była starszym reporterem. Ale z drugiej strony spotkania z gwiazdami — nawet tak małymi jak Champagne — były w ich gazecie równie częste jak zaćmienia słońca. Jedynymi ludźmi srebrnego ekranu w Slackmucklethwaite byli faceci, którzy naprawiali telewizory. Zważywszy na to, wykorzystywanie wyższej pozycji byłoby nie na miejscu.

— Losujmy — zaproponowała.

Darren wygrzebał jednofuntową monetę z kieszeni swoich opiętych do granic wytrzymałości czarnych dżinsów.

— Orzeł — powiedziała Kate, patrząc z bijącym sercem, jak moneta wiruje w powietrzu, i przypominając sobie, że nigdy w życiu nie wygrała w takim losowaniu.

— I jest orzeł.

Podeksytowana Kate złapała telefon i wybrała numer do firmy „Szybki i ostry”. A potem jeszcze tego samego popołudnia znowu triumfalnie weszła na teren osiedla Slack Palisades.

Ku jej zaskoczeniu okazało się, że Igor Blavatsky mieszka w brzoskwiniowym pałacu obok Petera Hardstone'a. Przechodząc, zagapiła się przez złocone bramy na dom właściciela gazety. Gdyby tylko mogła dać znać Natowi, że jest w pobliżu... Gdyby miała komórkę... Ale Hardstone, poza tym, że skonfiskował komórkę swojego syna, dawno odebrał Kate aparat, którego używała w pracy. Uznał to za zbyt drogi luksus. A rzeczywiście był to zbytek, gdy trzeba było zapłacić za niego samej z pensji w „Tygodniku”.

Kiedy nacisnęła klawisz domofonu Blavatsky'ego, z głośnika dobiegł dziwny hałas. Brzmiało to, jakby powarkowało jakieś zwierzę. Albo raczej...

— Halo! — zawołała Kate.

Usłyszała trzask, a potem serię orgiastycznych jęków. Nie pozostawiały żadnych wątpliwości, co się tam dzieje.

— Champagne! — odezwał się głos mężczyzny. — Chyba ktoś przyszedł.

Po chwili usłyszała jeszcze głośniejsze jęki.

Najwyraźniej plotki o nienasyceniu tej aktorki-modelki nie były przesadne. Zapewne to właśnie Igora Blavatsky'ego tak katowała, sądząc po odgłosach przy ścianie z interkomem. Najwyraźniej pachwina już mniej dokuczała piłkarzowi.

— To tylko ktoś z tego cholernego „Wsiowego tygodnika” — zadudnił gardłowy głos. — Niech sobie poczekają. Jesteśmy zajęci. Och, zrób to jeszcze raz...

„Wsiowy tygodnik”? Pięknie. Spokojny, neutralny wywiad, na który zgodziła się Xanthippe z „Szybki i ostry”, najwyraźniej będzie prawdziwym wyzwaniem.

Dom Blavatsky'ego był jeszcze gorszy od „Bra View”, jak Kate nazywała teraz rezydencję Hardstone'a. Przed brzoskwiowym frontem rozciągał się wielki błękitny basen. Zbudowano go prawdopodobnie nie tylko nonszalancko ignorując przepisy budowlane, ale też typową dla Slackmucklethwaite pogodę.

Na wyłożonym kamiennymi płytami tarasie przy basenie stał wyłożony białymi poduszkami wyplatany leżak. Wokół niego rozrzucone były egzemplarze „Heat”, „Hello!” i „OK!”, które kartkował żądny ploteczek o gwiazdach wiatr. Obok leżały wielkie okulary przeciwsłoneczne, przy których stał kubełek do chłodzenia szampana z pustą butelką włożoną do góry dnem. Najwyraźniej mieszkańcy Slack Palisades piją szampana jak herbatę, pomyślała Kate.

Nagle z za rogu domu wyszła dumnym krokiem ubrana na fioletowo postać. Wysoka, smukła, mocno opalona, w obłędnie obcisłych spodniach. Fioletowa marynarka od kompletu przykrywała liliową koszulę z satyny z rozcięciem odsłaniającym pierś gładką jak marmur. Twarz — z trudem można było rozpoznać, że należy do faceta — była jeszcze gładsza, o ile to w ogóle możliwe. Mężczyzna był ciemnym blondynem, miał krótkie, wyželowane i zaczesane do góry w grzebień włosy.

— Pan Blavatsky?

Zabawne, wyobrażała sobie, że będzie bardziej muskularny. I nie spodziewała, że to typ lubiący fioletowe garnitury.

— Nie pan Blavatsky. Kate zaczerwieniła się.

— Och, przepraszam.

Blavatsky prawdopodobnie nadal był w domu i kończył sprawę, w której przeszkodziła mu, dzwoniąc. Facet w fioletach wzruszył ramionami, wydał wargi, oparł ręce na biodrach i spojrzał na Kate spod zmrużonych powiek.

— *Bonjour.*

— *Bonjour, monsieur.* — To było podniecające, móc popisać się zaniedbanymi umiejętnościami językowymi. — *Comment ça va?*

Wyglądał na zaskoczonego.

— Ty jesteż ta dziennikarka? Kiwnęła głową.

— Kate Clegg z „Tygodnika Slackmucklethwaite”.

— *Bonjour*, Kate Clegg. Jestem — zrobił pauzę na tusz — Marc de Provence.

— Dekorator wnętrz?

To ten człowiek odpowiadał za spustoszenia w rezydencji Hardstone'ów.

Irytacja wykrzywiła wyrazistą twarz Marca de Provence'a.

— Raczej ktoś wiedziej. — Pociągnął nosem. — Nie jezdem zwykłym dekorrrratorem. Jezdem wizjonerem. Pozwól, że ci opowiem wszystko na swój temat.

— Doskonale — odparła Kate, zerkając nad ramieniem w stronę domu. — Ale chodzi o...

— Wywiad? Champagne jezd teraz zajęta — zapewnił ją wizjoner. — Proziła, żebym powiedział pani, aby poczekała, aż się przygotuje.

— *Ce n'est pas un problème* — mruknęła Kate. Przestał przeżuwać. Chyba nie był zbyt zachwycony jej próbami mówienia w jego ojczystym języku. Ale Kate wiedziała, że Francuzi potrafią być bardzo grymaśni, jeśli chodzi o obcokrajowców mówiących w ich języku.

— Mój akcent jest aż tak zły? — zapytała. — Nie rozumie mnie pan?

Pokręcił swoją wymuskaną główką.

— Lepiej, żebyż mówiła po angielski.

Kate pomyślała, że najwyraźniej brak praktyki zemścił się na jej akcencie. Kiedy znowu będzie miała jeszcze okazję porozmawiać po francusku?

— Chodź, usiądź — zaproponował jej Marc de Provence. Ruszył szybkim krokiem przez patio przy basenie, stukając

butami w paski. Wyciągnął dwa wyplatane krzesła, obejrzał ich siedzenia, usiadł na jednym z nich, skrzyżował nogi, złożył ręce i spojrzał wyczekująco na Kate.

— Możeż w tym czasie zrrrobić wywiad ze mną. Barrrdzo

chcę, żeby miejscowe bogate damy wiedziały, że zatrzymam się tu na parrrę dni. Mógłbym przyjąć jakież zlecenie, o ile cena będzie odpowiednia.

— Nie jestem pewna, czy powinnam...

Wiedząc, jak Peter Hardstone ocenił wizję Marca de Provence'a, domyślała się, że wywiad z dekoratorem raczej nie zachwyci właściciela gazety.

— Nie jesteś pewna! — Marc de Provence usiadł prosto w krześle, zacisnął usta i spojrzał na nią oczami, które miały nienaturalny szmaragdowy kolor. — Zdajesz sobie sprawę, jaką właśnie tracisz szansę? Wyłącznie na wywiad z *moi* Pisma zajmujące się wystrrojem wnętrz dałyby się pokroić za taką możliwość!

Kate przypomniała sobie, że w oczach Hardstone'a pojawiły się mordercze błyski, zanim przesłoniły je draperie ścienne za tysiąc funtów od metra.

— Wyjaśnię ci *mon philosophie* — oznajmił wspaniałomyślnie Marc. — To, co robię, to *haute couture* dla domu. Barock and roli, wiesz? Kate pokiwała głową. Doskonale wiedziała.

— Specjalizuję się w podszywaniu. To też było prawdą.

— Wiesz, to bardzo zpecyficzny wizerrunek. Drrraperrrie, tkaniny, ozdobne meble. Wizerrunek zbytku, luksusu. Piękne dla dotyku, piękne dla oka.

Och, na miłość boską.

— A co powiedziała pan — rzuciła śmiało Kate — tym, którzy uważają pana wizje za nieco... tandetne?

Zielone oczy rozbłysły ostrzegawczo.

— To nie jezt tandeta, to luksus.

— I to bardzo drogi — prowokowała Kate, przypominając sobie kinkiety w domu Hardstone'a.

— Drrrogi? — Marc de Provence skrzyżował liliowe ramiona, odsłaniając zegarek o bardzo skomplikowanym wyglądzie. — Ej, paniusiu, ładne rzeczy kożtują. Za pięć tyzięcy funtów nic nie zrrrobię. Co najwyżej odłożę złuchawke, ha, ha.

Nawet nie wychodzę z łóżka dla zamówienia za dziesięć tysięcy funtów.

— Naprawdę? Pokiwał blond główką.

— Nie warrto się wysilać. Zresztą *mes* klienci nie obrrrażają mnie tak nędznymi sumami. Wiedzą, że jestem prawdziwym artystą.

— Więc to, co pan robi, to sztuka? Jego nozdrza się rozszerzyły.

— *Mais ouil Mes* podszywanie się to coś niezpotykanego!

— Widziałam — mruknęła Kate, przypominając sobie, jak wyglądały wszystkie tkaniny upięte w domu Hardstone'a.

Marc de Provence natychmiast się rozpromienił.

— Widziałas moje dzieła? W programie o gwiazdach?

— Ehm... nie. — Kate pokazała kciukiem za siebie. — Tam. Po sąsiedzku.

Projektant wyglądał na wniebowziętego.

— Ach, tak. Brrrogan. Stworzyłem dla niej pałac z bajki. Przygotowałem dla niej moją specjalność: tapicerkę sufitową oraz popisowe trony z satyny! — Z entuzjazmem wyrzucił w górę ramiona. — Spodobały jej się. To idealna klientka. Nigdy nie pyta o cenę.

Najwyraźniej żył w błogiej nieświadomości, jeśli chodzi o zdanie męża Brogan. Kate zerknęła w stronę domu Igora Blavatsky'ego. Czy będzie musiała siedzieć tu całe popołudnie i słuchać o popisowych satynowych tronach?

— Bardzo lubi pan fiolet.

— *Mais oui*. To kolor lawendy, kwiatu *la belle* Prowansji. — Wykrzywił twarz w szerokim uśmiechu.

— *A moi...* jestem *beau Provence*]

Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, Kate zapytała:

— Gdzie pan się kształcił? Skończył pan studia związane z dekoratorstwem?

De Provence popatrzył na nią z oburzeniem.

— Czego mogłaby nauczyć *moi* jakaś szkoła? Oczywiście,

że nie studiowałem — wykrzywił pogardliwie usta — żadnego dekoratorstwa.

— Więc co właściwie skłoniło pana, żeby zająć się... ehm... wnętrzami?

Zamrugął gwałtownie.

— Forrrsa, rzecz jasna.

— Och... — Kate była zafascynowana zadziwiającą chciwością i szczerością Francuza. — I mówi pan o tym tak otwarcie? Że chodzi panu głównie o pieniądze?

— Oczywiście, a czemu nie?

Można by oskarżyć go o wiele rzeczy, ale nie o brak ukierunkowania, uznała Kate. Zastanawiało ją jednak, czemu kręci się po ogrodzie Igora Blavatsky'ego.

— Interrrsy — wyjaśnił wizjoner. — Skoro skończyłem z domem Brogan, szukam nowych prrropozycji. To osiedle było dla mnie *parfait* miejsce, pełno ludzi z forrrsą, ale wtedy zrrobiły się te dziurrry. — Spojrzał z obrzydzeniem na mały krater przy basenie. — I teraz jedyni ludzie tutaj to Champagne i ten piłkarz. — Ostatnie dwa słowa wypowiedział z grymasem obrzydzenia.

— Pracuje pan dla Champagne?

Powoli wszystko zaczynało nabierać sensu. Tak jakby.

— *Oui*. Rrrazem przygotowaliśmy cudowny prrprojekt. Cały dom w tkaninach. Jesteśmy gotowi zaczynać, wszystko już ustawione. Ale teraz mamy prrproblem. — To znaczy?

De Provence skrzywił się i pochylił do niej.

— Chłopak Champagne — syknął. — Mówię ci, to kosz-marrrr. Krytykuje mojąpracę, ma własne propozycje. — Klepnął się z gniewem w kolana. — A ja nie jestem zainteresowany jego pomysłami! Jestem zainteresowany tylko jego pieniędzmi.

Opadł zdenerwowany na oparcie krzesła. Wyjął wizytownik i wsunął jej w dłoń niewielką fioletową wizytówkę. Kate spojrzała na nią. *Marc de Provence. Styl francuskich châteaux dla angielskich zamków.*

— Dlaczego nie robisz notatek? — zapytał de Provence,



wskazując na zamknięty notatnik Kate. — Nie mówię ci inter-rresujących rzeczy? Nie chciałabyś ujrzyć w gazecie takiego rreporrrtażu?

Kate pomyślała, że najbardziej chciałaby ujrzyć, jak projektant znika z patio. Spojrzała z nadzieją na przeszklony front domu Blavatsky'ego. Powinna zapukać do drzwi, żeby przyspieszyć bieg spraw? A jeśli w środku — zwłaszcza w okolicach domofonu — sprawy nadal się toczyły?

— Myślisz, że nie jestem dość sławny, żeby być w tej twojej głupiej gazetce?

— Nie ukrywam, że mogą być problemy z tym wywiadem. Łatwiej by było, gdyby wykupił pan reklamę.

— Reklamę! — Marc de Provence wyprostował się z lodowatą wyniosłością. — Reklamę?! Zrozum, że jestem arrrtystą. Geniuszem. Zrozum, że arrrtyści i geniusze nie kupują reklam. Czy Picasso musiał wykupić ćwierć strony w... jak się nazywa ta twoja gazeta?

— „Tygodnik”. Nie, z tego co wiem, nie musiał.

— *Exactement.*

Gdzieś z zakamarków ubrania de Provence'a dała się słyszeć cichutka elektroniczna wersja *Przybycia królowej Saby*. Projektant wyjął spośród fałd błyszczącej karmazynowej podszewki garnituru małą fioletową komórkę.

Kiedy wyrzucił z siebie do słuchawki potoki egzaltowanych słów — prawdopodobnie do klienta —

Kate w zamyśleniu popatrzyła na dom, zastanawiając się, czy nie powinna do niego pobiec.

Wizjoner z trzaskiem zamknął telefon. Jego opalona twarz promieniowała jeszcze większym zadowoleniem niż dotychczas.

— To była Victoria Beckham. Właśnie kupiła moje autorskie, pikowane różowe łożo.

Kate wlepiła w niego oczy.

— Co? Ta Victoria Beckham? Victoria od tego Beckhama?

— *Bien sûr.* — De Provence wzruszył ramionami. — Dużo dla niej prrracuję. Wiecznie kupuje domy, wiecznie rodzi dzieci. Powinnaś zobaczyć mieszkanie, jakie zrrrobiłem dla Romea.

Nie chciało jej się wierzyć w jego przechwałki, ale czy to takie całkiem nieprawdopodobne? Przecież pracował dla Igora Blavatsky'ego. Być może rozeszły się wieści wśród piłkarzy. W końcu Aderlye Edge nie znajdowało się tak daleko stąd. A ekstrawagancki liliowy styl Marca de Provence'a, już nie wspominając o jego fioletowych tronach, nie był znowu taki daleki od fiołkowego ślubu Beckhamów.

— Widzę, że wreszcie się zainteresowałaś — stwierdził projektant. — Teraz możemy zacząć wywiad. *Bon*. Co chciałabyś wiedzieć?

— Wszystko. — Kate uśmiechnęła się. — Proszę opowiedzieć mi o swoich słynnych klientach.

— Ach! — Pogroził jej żartobliwie palcem. — Barrrdzo trudno jezt mi mówić o moich sławnych klientach, sama rrrro-zumiesz.

Kate poczuła, że ogarnia ją rozpacz.

— Proszę posłuchać, panie Provence...

— De Provence. *Monsieur de Provence*.

— ...wie pan, że może mi pan zaufać. Pokażę panu tekst przed drukiem, i w ogóle.

Wizjoner uniósł rękę.

— Gdybym tylko — westchnął melodramatycznie — dostawał jeden wasz angielski funt za każdego dziennikarza, którrry mi to mówił.

Kate spojrzała na niego ostro. Biorąc pod uwagę jego pazerność, dziwne było, że nie skorzystał z takiej okazji.

— No wiesz... — westchnął de Provence — z przyjemnością opowiedziałbym ci o Beckhamach...

— Więc proszę mówić.

— ...ale nie śmiem — dokończył projektant. — *Mes* klienci wściekliby się.

— Wobec tego chyba skończymy ten wywiad — stwierdziła Kate, chowając długopis.

— Ale z drrrrrugiej strrrrony...

— Tak?

— Z przyjemnością opowiedziałbym ci o moich interrrresach.

Kate z trzaskiem zamknęła notatnik.

— Obawiam się, że to nie wystarczy, *monsieur* de Provence.

— Mów mi Marc, dobrze?

— Słuchaj, nie mam nic przeciwko temu, żeby zafundować ci darmową reklamę w mojej gazecie, ale za to ty opowiesz mi kilka anegdotek o filmowych sławach. Tak to jest w prasie.

— Przysługę! — obruszył się de Provence. — Wyświadczam ci przysługę, trrracąc z tobą czas! To zaszczyt przebywać w moim towarzystwie!

Kate popatrzyła na niego.

— Słuchaj, Marc, chodzi o to, że...

— Dla ciebie jestem *monsieur* de Provence! — Projektant zacisnął pięści i zatupał stopami w pasiastym obuwiu. — Dość już powiedziałaż.

— Ehm...

— Jeżeli ty mnie nie chcesz, to ja z pewnością nie chcę ciebie! Filistyni! *Faisan!*

Kate zamrugła. Nazwał ją bażantem? A może chciał powiedzieć *paysan*... czyli wieśniak? W tym momencie im przerwano.

— Ej, ty z „Wsiowego tygodnika” czy skąd tam jesteś! — dobiegł ich wrzask z okna domu Blavatsky'ego. Niewątpliwie była to Champagne B. Oska. — Robisz ze mną ten wywiad czy nie? Nie mam całego dnia dla ciebie. Po chwili okno zamknęło się z hukiem.

— Halo?

Kate pchnęła frontowe drzwi i zajrzała do pełnego filarów holu prowadzącego do olbrzymiej klatki schodowej.

— Halo? — powtórzyła, ale usłyszała tylko, że Marc de Provence zwiększył obroty silnika w samochodzie i z rykiem odjechał podjazdem. — Halo? — zawołała jeszcze raz.

Rozległo się szalone ujadanie.

— Aaaa! — wrzasnęła Kate, gdy coś ostrego wbiło się w jej kostki.

Spojrzała w dół i zobaczyła małe kudłate kulki wiszące u jej obu nóg.

— Złazcie ze mnie, łajdaki! — krzyknęła, czując pulsujący ból w łydkach.

— Nie mów tak do nich — warknął ktoś w progu. — Są bardzo wrażliwe.

— Moje nogi też, wielkie dzięki.

Kate, która zanurzyła już dłonie w natapirowanej psiej sierści, żeby oderwać zwierzaki od swoich kostek, podniosła wzrok. Z bólu miała oczy pełne łez.

— Naprawdę? — powiedział kobiecy głos. — Zaskakujesz mnie.

W drzwiach stała oszałamiająco piękna dziewczyna, ubrana tylko w męską koszulę, z papierosem w napuchniętych wargach, patrząca na Kate spod długich rzęs.

Kate natychmiast poczuła do niej nienawiść, która tylko częściowo wypływała z nieuzasadnionej zniewagi. Ta młoda kobieta była tak elegancka i piękna, że Kate od razu poczuła się o trzysta kilo za ciężka i modna jak wór po kartoflach.

Nogi Champagne, smukłe i brązowe, ciągnęły się aż do samej szyi. Jasne włosy, proste i lśniące, spływały jak jedwab po szczupłych ramionach — jedno z nich było całkiem odsłonięte. Prawie całkiem odsłonięte były też jej opalone piersi, pełne i zuchwale sterczące.

— Auuuu! — wrzasnęła Kate, gdy psy jeszcze głębiej zatopiły zęby w jej kostkach. — Puszczajcie!

— Powiedziałam, żebyś tak do nich nie mówiła. — Zielone oczy Champagne rozbłysły. — Ranisz ich uczucia. Biedne aniołeczki.

— Ale one ranią moje nogi! — krzyknęła Kate, z trudem łapiąc oddech.

Champagne spojrzała na jej spodnie.

— Szczerze mówiąc, dziwię się, że cokolwiek czujesz przez coś takiego. Gucci! Prada! — zaszczebotała, pochylając się do psów.

Jej koszula rozchyliła się, odsłaniając napięty brzuch oraz zdradzając fakt, że nie nosiła fig. Zwierzaki zacisnęły szczęki tak mocno, że z oczu Kate popłynęły łzy, po czym puściły jej kostki i rzuciły się do swojej pani.

— Biedne piesiulki! — wykrzyknęła Champagne, całując łebki z kokardkami. — Biedy Guccinek i Praduniek.

Kate rozmasowała nogi. Jej myśli kłębiły się chaotycznie wokół wścieklizny i tężca.

— A więc — rzuciła Champagne wyniosłym tonem — jesteś z „Wsiowego wychodnika”, tak?

— „Tygodnika Slackmucklethwaite”.

Champagne odrzuciła głowę i zaśmiała się drwiąco. Chyba ta kampania, mająca na celu podbicie serc północnych czytelników przez tę głupią modelkę-aktorkę, nie zaczęła się w najlepszy sposób, pomyślała kwaśno Kate.

Rzuciła ostrzegawcze spojrzenie ujadającym psom. Champagne czy nie Champagne, jeśli jeszcze raz ją ugryzą, zatłucze je na śmierć tym, co jej w ręce wpadnie. Albo własnymi butami, jeśli będzie trzeba. Najwyraźniej psy to wyczuły, bo zachowały dystans.

— Naprawdę to ty przeprowadzasz wywiady z gwiazdami? — Champagne spojrzała na Kate z powątpiewaniem.

— Robię wywiady na każdy temat. Champagne potrząsnęła głową.

— Nie jestem przyzwyczajona do udzielania wywiadów — powiedziała wyniosłym tonem.

— Widzę. — Kate uśmiechnęła się słodko. — Czekałam tu dłuższą chwilę. Ale jestem pewna, że kiedyś uda ci się zdążyć na czas. Jak nabierzesz trochę wprawy w udzielaniu wywiadów.

Champagne wytrzeszczyła zielone oczy.

— Nie to miałam na myśli. Jestem pierwszorzędną gwiazdą, jasne? Ten szmatławiec ma naprawdę dużo szczęścia.

Pierwszorzędną gwiazdą, prychnęła w myślach Kate. Notowania Champagne może i trochę podskoczyły dzięki programowi *Cześć, żeglarzu, jestem gwiazdą*, ale daleko jej do Madonny.

— Gdzie fotograf? — warknęła Champagne.

— W drodze.

Najwyraźniej autobus się spóźniał. Colin, którego Hardstone nie odstrzelił, ponieważ okazał się mało kosztowny — nigdy nie robił więcej niż kilka ujęć i używał najtańszych dostępnych filmów — podróżował wszędzie autobusem na emeryckiej legitymacji. Zajął się fotografią stosunkowo późno, dzięki wieczorowemu kursowi, na który zaczął chodzić na emeryturze. Jego wyobrażenie o technicznych sztuczkach sprowadzało się do zachęcania modeli do pozowania — „uśmiechnij się ładnie, kochaniutka”. A ostatnio, kiedy trzymał aparat, ręce trzęsły mu się znacznie bardziej niż zwykle. Żaden z niego Mario Testino, ale Darren stwierdził, że rozmyte zdjęcia to typowa północna szkoła fotografii — szkoła „oszczędnej ostrości”.

— Myślałam, że najpierw zrobimy wywiad — powiedziała Kate.

— Lepiej więc skończmy go szybko — burknęła Champagne. — Chodź do salonu.

Ruszyła przez korytarz do ogromnego pokoju pełnego białych sof ze złotymi poduszkami.

Ponieważ zaproszenie do siadania nie nadchodziło, Kate przejęła inicjatywę. Biała sofa, na którą opadła, wciągnęła ją jak ruchome piaski. Będzie potrzebowała wyciągarki, żeby wstać.

— Zaczniemy od powodów, dla których tak się cieszysz z faktu, że mieszkasz na północy — zaczęła zgryźliwie. — W ten sposób wyjaśnimy nieporozumienia wynikające z tego nieszczęsnego kawałka, który niedawno ukazał się w pewnej krajowej gazecie.

Na twarzy Champagne nie pojawiła się nawet najmniejsza oznaka zakłopotania.

— Nieszczęsny! Nieporozumienia! — zachnęła się. — Pewnie to jedyny raz w moim życiu, kiedy dokładnie mnie zacytowano. Coś chyba było nie tak ze scenariuszem tego spotkania. Przecież Champagne spotkała się z Kate, żeby ugłaskać fanów Blavatsky'ego i mieszkańców północy, prawda?

— Wracając do Slack Palisades — spróbowała znowu — wiem, że masz wiele planów co do tego miejsca. Spotkałam przed domem twojego... hmm... wizjonera od wewnątrz. To wszystko zapowiada się bardzo ekscytująco.

Champagne ze złością wzruszyła ramionami.

— Ale za to cholernie nudne jest to, że Igor tak strasznie skąpi pieniędzy. — Westchnęła z rozdrażnieniem. — No bo w końcu co znaczy te parę milionów, kiedy się jest piłkarzem? Ale on mówi, że nie widzi nic złego w wystroju tego domu.

Kate przyjrzała się rozległemu salonowi z białymi sofami, kremowym dywanem i ogromnymi szklanymi stolikami do kawy. Wprawdzie dominujący styl był kosmopolityczny i nieco tandetny, lecz wszystko było nowiutkie, kosztowne i w porównaniu z ekstrawagancjami w „Bra View” wydawało się dość przyjemne. Pomyślała, że chyba powinna współczuć Igorowi.

— Cholerny Igor! — piekliła się Champagne. — Jest kompletnie nieużyty. Zupełnie nie wiem, co ja z nim robię... nie, właściwie to wiem... w końcu zarabia pięćdziesiąt kawałków tygodniowo. Ale żebym chociaż cokolwiek z tego widziała... — dodała z goryczą. — Takie z niego skapiradło. Został tutaj tylko dlatego, że zdołał wynegocjować niższy czynsz po tym, jak inne domy powpadały w dziury.

Kate już wcześniej zastanawiała się, dlaczego Blavatsky zdecydował się zostać. Jej zdaniem podszedł do sprawy całkiem rozsądnie — zakładając, że na osiedlu nie pojawi się więcej dziur.

— Jest jak wrzód na tyłku — mówiła rozgoryczona Champagne. — Zwłaszcza teraz, kiedy rzeczywiście ma obolały cały tyłek.

— A jak z jego pachwiną?

Champagne szyderczo wykrzywiła piękne usta.

— Pieprzony inwalida z niego, nie do użytku.

— Biedactwo — powiedziała współczująco Kate. — Uraz pachwiny to prawdziwy koszmar dla piłkarzy, prawda? Czasem na kilka miesięcy wypadają z gry. Pewnie całkiem oklapł.

— Oklapł to właściwe słowo, cholera. Że też musiałam

związać się z dwudziestoparoletnim multimilionerem, któremu nie może stać.

Kate była zdezorientowana. Jeśli to prawda, jakim cudem Blavatsky tak szalał z Champagne przy ścianie z domofonem?

— Jest w domu? — zapytała ostrożnie. — Jeśli tak, to zdjęcia razem z nim byłyby rewelacyjnym pomysłem.

Champagne pokręciła przecząco głową.

— Zabawia się gdzieś indziej, Bogu dzięki.

W takim razie, pomyślała Kate, piłkarz nie jest jedynym kochankiem Champagne. Ale kto jest drugim? Marc de Provence? Raczej mało prawdopodobne. Jej zdaniem dekorator zdecydowanie był — jak to lubił mawiać tata — „z drugiej drużyny”.

Pospiesznie zadała modelce następne pytanie:

— Wyobrażam sobie, że spotkanie się z rosyjskim sportowcem pozwoliło pani poznać inną kulturę.

— Pewnie pozwoliłoby, do cholery, gdybym rozumiała cokolwiek z tego, co on mówi.

Kate zmarszczyła brwi. Champagne nie tylko w ogóle nie starała się wyjść z dziury, w której wylądowała przez obraźliwe uwagi, ale robiła wszystko, żeby jeszcze bardziej się pogрузić. Jaki właściwie jej zdaniem był cel tego wywiadu? Albo nie miała pojęcia, po co jej ludzie od prasy zorganizowali to spotkanie, albo zwyczajnie miała to gdzieś. Kate postanowiła dać jej ostatnią szansę.

— A co najbardziej podoba się pani w Slackmucklethwaite — zapytała.

Champagne spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Podoba?

— Może lubi pani tutejszych mieszkańców, bo są przyjaźni i bezpośredni? — podsunęła Kate.

— Skąd do cholery mam to wiedzieć? O tak, na pewno są. Słuchaj — powiedziała Champagne, wstając z sofy i prostując swoje długie, zgrabne ciało — najwyraźniej masz dryg do tego, więc może sama to wszystko napiszesz? A ja się przygotowuję dla fotografa. Oszczędzisz nam czasu.

Kate patrzyła, jak szczupłe plecy znikają w korytarzu.



Chociaż bardzo ją kusiło, załatwienie Champagne mogło być ryzykowne. Wprawdzie jako autorce reportażu przyniosłoby jej to krótkotrwały rozgłos, ale podpadłaby wszystkim gwiazdom jako dziennikarka, która obsmarowuje ludzi. Potem żadna sława nie pozwoliłaby jej się do siebie zbliżyć. A ponieważ o wywiady z gwiazdami najbardziej zabiegają wszyscy naczelni, szanse, że taka strategia doprowadzi ją do lepszej pracy, były nikłe. Poza tym na pewno przysporzyłoby jej to kłopotów z Peterem Hardstone'em.

Te rozmyślenia przerwała jej Champagne, która wpadła do salonu, wrzeszcząc:

— Jakiś obrzydliwy staruch kręci się przy domu! Zagląda we wszystkie okna. O, już tu jest!

Kate spojrzała w kierunku, który wskazywał dygocący wy-manikiurowany palec i ujrzała rozczochranego, przygarbionego brodatego mężczyznę, nieśmiało zagładającego do salonu.

— Sądząc po wyglądzie, to włóczęga. — Champagne rzuciła się do telefonu. — Dzwonię na policję.

— Nie dzwoń — powiedziała Kate i zaczerwieniła się. — To Colin. Mój fotograf.

## Rozdział 8

Champagne głośno i pogardliwie wyraziła swoje zaskoczenie faktem, że Colin nie ma reflektorów, srebrnych parasolek i pełnego zespołu od garderoby i makijażu, po czym wzburzona wybiegła z salonu, by się przebrać. Wróciła w srebrnym bikini, srebrnych szpilkach i futrze, ale zdecydowanie odmówiła pozowania w sposób, w jaki zawsze ustawiał swoich modeli fotograf „Tygodnika”.

— Fotografowali mnie najwięksi w tym biznesie! — wrzasnęła. — Bailey, Demarchelier, Testino, wszyscy. I żaden z nich nigdy nie prosił mnie o pieprzony ładny uśmiech!

Wyciągając się i wypinając w taki sposób, aby odsłonić jak najwięcej rowka między piersiami, rzuciła Kate wyzywające spojrzenie. Z przodu jej cieniutkich fig od bikini wystawała mała srebrna komórka.

— No? — zapytała.

— Wyglądasz bardzo... ehm... ładnie — powiedział Colin.

— Nie do ciebie mówię. — Spojrzała pogardliwie na fotografa, kręcącego się z aparatem przy brzegu basenu, i odwróciła się do Kate. — Co on właściwie ma, do cholery? Jakiegoś przedpotopowego kodaka?

Szczera odpowiedź powinna brzmieć „bardzo możliwe”. O ile w ogóle nie była to jednorazówka.

— Nie zamierzasz mnie zapytać? — warknęła Champagne.

— O co?

— O powód tego całego wywiadu, rzecz jasna — wycodziła. — Powód, dla którego w ogóle zwlokłam się z łóżka.

— Och, racja. Ale myślałam, że już to ustaliłyśmy. Czy nie chodziło o to, żebyś miała okazję powiedzieć coś miłego o północy?

— Chyba sobie żartujesz. Xanthippe wydaje się, że mogłam urazić paru miejscowych wieśniaków, ale powiedziałam jej, że myli mnie z kimś, kto się tym przejmuje. Chętnie jednak opowiem coś o mojej karierze aktorskiej. — Twojej karierze aktorskiej?

Kate była przekonana, że to raczej uśpiona sprawa od czasu głośnych wydarzeń dwa lata temu, kiedy Champagne wykopano z filmu za niestosowne zachowanie. Albo niestosowną grę — nigdy tego do końca nie wyjaśniono. Ile jeszcze zbrodni ma na sumieniu program *Cześć, żeglarzu, jestem gwiazdą* — poza tym, że odsłonił nowe dno telewizji i przekonał Champagne, że powinna uszczęśliwić świat swoimi aktorskimi talentami?

— No więc? Zapytaj mnie o grę.

— Hmm... Kto jest twoim ulubionym aktorem? Champagne rzuciła jej oburzone spojrzenie.

— A skąd do cholery mam to wiedzieć?

— Większość aktorów ma kogoś, kogo podziwia i kto ich inspiruje, tego typu rzeczy.

— Nie wiem, w porządku? Dlaczego miałabym interesować się tym, jak grają inni?

Kate wzięła głęboki wdech.

— W takim razie jakiego rodzaju gra aktorska interesuje cię najbardziej? W teatrze na West End? Pewnie nastawiała się na triumf porównywalny z tym, jaki osiągnęła Nicole Kidman w *The Blue Room*, pomyślała Kate. Albo sukcesy Kevina Spacey czy Gwyneth Paltrow. Zielone oczy Champagne były pełne pogardy.

— Nie chcę grać w sztukach. Nędzne małe teatrzyki, tryliony linijek do wyuczenia na pamięć, jaki głupek chciałby to robić?

Raptem połowa gwiazd z Hollywood, pomyślała Kate. Ale co oni tam wiedzą.

Champagne odrzuciła włosy w kolorze platynowego blond.

— Nie ja, jasne? Będę grać w filmie.

— Więc dostałaś rolę?

Czyżby jakiś lekkomyślny reżyser pozwolił jej wrócić na plan?

— Pewnie.

Triumfalnie wypinając piersi, Champagne ułożyła futro wzdłuż uda i rzuciła gniewne spojrzenie fotografowi.

— Nie ruszaj się — powiedział Colin.

— Cholera, nie ruszam się. To twoje ręce się trzęsą.

— Chyba masz rację — mruknął Colin. — W każdym razie jest świetnie. Może jeszcze troszkę się cofnę. Kiedy zrobił krok do tyłu, przymierzając się do zdjęcia, Kate zauważyła, że znalazł się blisko brzegu basenu. — No dalej — zachęcał modelkę. — Uśmiechnij się ładnie. Champagne obnażyła zęby w pogardliwym uśmiešku. — Cudownie! — rozpromienił się Colin. — Ślicznie. Naprawdę ładnie i szczerze. — Ta rola — odezwała się Kate. — Opowiedz mi o niej. Co to za film?

Champagne milczała przez chwilę, a potem odpowiedziała z zadowoleniem:

— Nowy James Bond.

— James Bond?! — Taka wiadomość wystarczyłaby, żeby Kate spadła z krzesła, gdyby zaproponowano jej jakieś.

— Właśnie. — Champagne wyciągnęła się jeszcze wygodniej na miękkim leżaku i zaczęła oglądać swoje paznokcie. Kate popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Kształty tej dziewczyny były jak prosto z castingu 007. A program *Cześć, żeglarzu* bez wątpienia podniósł jej notowania. Ale żeby aż tak?

— Więc jesteś nową dziewczyną Bonda? Champagne dumnie zadarła brodę.

— Nawet więcej. Gram błyskotliwego fizyka nuklearnego, który ratuje świat. To bardzo skomplikowana postać.

— Na to wygląda.

— Oczywiście fakt, że jest błyskotliwa, to pestka. Ale będę musiała pozakuwać fizykę. To dla mnie wielkie wyzwanie. Jako artystka będę musiała niemal wyjść ze skóry.

Kate miała nadzieję, że dosłownie. Może w czasie kręcenia jednej z tych okrutnych scen tortur, typowych dla filmów z Bondem, coś się popsuje i tragedia gotowa...

— To niezależna, twarda kobieta, która wie swoje i ma gdzieś zdanie innych. Jest wyemancypowana, inteligentna i... takie tam. — Champagne ziewnęła.

— Wygląda na zupełnie inną od wcześniejszych dziewczyn Bonda.

— Aha. Jest.

— Więc wreszcie skończyły się te żenujące, seksistowskie kawałki z Mary Goodnight, Plenty OToole i resztą? — zapytała Kate.

Musiała przyznać, że to dobra historia. Może jednak coś wyniknie z tego wywiadu.

— Są martwe jak dodo.

— Koniec z głupimi wątkami i znaczącymi imionami?

— To już przeszłość, przeterminowana sprawa. Moja postać to bohaterka nowego tysiąclecia. Ta bezwartościowa kobieta naprawdę miała diabelne szczęście. Że też właśnie ona miała zapoczątkować nowy typ dziewczyny Bonda.

— Jak nazywa się twoja postać? — zapytała Kate, podnosząc wzrok znad notatnika.

— Panna Sencja.

Nienaganne, szanowane nazwisko, pasujące do zmian w Bondzie.

— A jak ma na imię? — Tola.

Kate zdusiła chichot.

— Tola Sencja?

Champagne spojrzała na nią zielonymi oczami, nawet nie mrugnawszy.

— A w co tym takiego cholernie śmiesznego? Bardzo się cieszę, że będę mogła ją zagrać. A Pierce aż wychodzi z siebie na myśl, że będzie ze mną pracował.

W to akurat Kate wierzyła.

— Czy pisano już, że grasz Tolę Sencję?

Nie było sensu robić z tego sensacji, jeśli napisano o tym w każdej gazecie w całym kraju. A ponieważ nie kupowano już prasy w „Tygodniku”, nie miała szansy tego sprawdzić.

Champagne spojrzała na nią.

— Nie całkiem. Jeszcze tego oficjalnie nie ogłoszono. Masz to na żywo i na wyłączność dla tego twojego małego „Szmatel-makel” czy jak tam się nazywacie.

— Jeszcze jedno. Jaki tytuł ma ten film? — zapytała spokojnie Kate, pstrykając długopisem.

— *Riwiera albo nie Riwiera.*

— To mi się kojarzy z *Jak wam się podoba* Szekspira — mruknęła Kate.

— Jakiego Szekspira? Tak się nazywa film, jasne? *Riwiera albo nie Riwiera.* Będą go oczywiście kręcili na Riwierze.

— Och, rozumiem.

Ale Champagne skupiła się już na czymś innym. Patrzyła na Colina, który cofając się, znalazł się jeszcze bliżej brzegu basenu i przykucnął, żeby zrobić kolejne zdjęcie trzęsącymi się rękoma.

— Cofnij się jeszcze — powiedziała do niego Champagne. — Moja skóra nie wygląda teraz najlepiej.

Kiedy Colin cofnął się posłusznie, Kate zauważyła, że skóra Champagne jest nieskazitelnie promienna i gładka. Pełne, różowe usta modelki — które wyglądały idealnie nawet bez makijażu — wykrzywiły się w lekkim uśmiechu, gdy rozległo się cichutkie brzęczenie. Champagne sięgnęła do srebrnego trójkąta i wyjęła wibrującą komórkę. Kate nie mogła nie słyszeć jej rozmowy.

— Och, cześć mój olbrzymie. Nie, bez skutku. Nie da mi nawet centa, ten skąpy łajdak. A co z twoim planem szybkiego wzbogacenia się? Tak? To dobrze.

— Nie ruszaj się — rzucił drżącym głosem Colin, stojąc na krawędzi basenu.

Champagne spojrzała na niego.

— Spadaj! — krzyknęła. — Nie, nie ty — pisnęła do słuchawki. — Cholera! — wrzasnęła, potrząsając komórką. — Halo? Halo?!

Kate spojrzała z niepokojem na Colina. Po ostatnim okrzyku Champagne cofnął się jeszcze bardziej i teraz już naprawdę stał na samej krawędzi basenu.

— Słuchaj, skończmy wreszcie ten cholerny wywiad — zirytowała się aktorka-modelka. — Lepiej pomówmy o filmie, dobra? Będą go kręcili na Lazurowym Wybrzeżu. W przyszłym tygodniu jadę na plan. I na festiwal filmowy.

Kate zazgrzytała zębami. Dlaczego wszyscy — Darren, Champagne, nawet jej wymyślony żigolak z północy, jeśli jeszcze kiedyś będzie o nim pisać — jadą na Riwierę? To znaczy wszyscy poza nią i Natem. Pewnie niedługo babcia oznajmi, że też się tam wybiera.

— A festiwal zaczyna się — dodała Champagne, wyciągając swoją opaloną łydkę i podziwiając ją — od wielkiego przyjęcia na Cap Ferrat. Nie będzie można się nudzić.

Kate gwałtownie poderwała głowę. Czy Nat nie wspomniał o przyjęciu na Cap Ferrat w czasie lunchu u Billy'ego? Oczywiście, że tak. Każde słowo, które do niej wypowiedział, zostało pieczołowicie zawinięte w pachnącą bibułkę i schowane w jej pamięci.

„Nie będzie można się nudzić”. Niech szlag trafi te zielone błyszczące oczy. Kate z przyjemnością wrzuciłaby tę arogancką blondynkę do basenu. Kiedy usłyszała spanikowany wrzask i głośny plusk, przez chwilę miała wrażenie, że jej marzenie się spełniło.

Ale to wrzasnął mężczyzna. Był to głos starego człowieka i zdecydowanie należał do Colina.

Kate popędziła do basenu. Fotograf kołysał się na wodzie,

a długie pasma czesanych na pożyczkę włosów ciągnęły się za nim jak szare wodorosty, odsłaniając gładką jak jajko czaszkę. Dobiegające z tyłu spazmy triumfalnego śmiechu sugerowały, że właśnie do tego zmierzała Champagne.

Minęły kolejne dni bez znaku życia od Nata. Nie zajrzał do biura ani nie zadzwonił. Kate była już niemal przekonana, że wymyśliła go sobie — a zwłaszcza ich ostatnie spotkanie — albo że był to tylko numerek dla rozrywki i Nat wyjechał z miasta, nie powiadamiając jej o tym. Może nawet pojechał na południe Francji — w końcu wszyscy się tam wybierali. Za każdym razem na myśl o tym robiło jej się niedobrze ze wstydu i rozczarowania. A co z obiecaną ucieczką? Nie mogła uwierzyć, że już nie będzie miała z nim kontaktu.

Darren nijak jej nie pomagał.

— Och, na miłość boską, Kate. Niech sobie idzie z Bogiem, jeśli chcesz znać moje zdanie. — Zmrużył oczy tak, że widać było tylko obwiedzione czarną kredką szparki. — Chyba się w nim nie zakochałaś, co?

— NTPI. Nie twój pieprzony interes.

— Jak chcesz. — Darren odgarnął do tyłu najeżone kolce włosów (dzisiaj z ciemnofioletowymi końcami), zabębnił długimi palcami w biurko i zaczął nucić własną wersję *Sister Ray*:

— „Jak mawia wuj Ray...”.

Kate wiedziała jednak, że jej kolega ma własne kłopoty. Dochodzenie w sprawie łapówek i nadużyć w związku z budową Slack Palisades — które potajemnie i z doskoku pomagał prowadzić — w końcu utknęło na mieliźnie. Głównie dlatego, że coś twardego i szybko się poruszającego trafiło we Freyę Ogden. Aktywistka została potrącona w tajemniczym wypadku samochodowym i teraz dochodziła do siebie w szpitalu. Było to bardzo kłopotliwe dla Darrena — i to nie tylko ze względów zawodowych. Ponieważ zdaniem Frei szpitalnym posiłkom daleko było do makrobiotycznego ideału, spędzał przerwy na lunch w sklepie ze zdrową żywnością lub przy szpitalnym łóżku.



Oczywiście podejrzewał, że za wypadek odpowiada Hard-stone. Pamiętając scenę z szoferem, Kate także była przekonana, że stał za tym ich szef. Więcej: pewnie nawet sam siedział za kółkiem. Bardzo chciała powiedzieć Darrenowi wszystko, co wie, ale wtedy musiałaby mu też opowiedzieć o Nacie i wyjaśnić, co właściwie robiła w domu Hardstone'a. Darrenowi na pewno by się to nie spodobało. Jednak dopóki Freya leżała na wyciągu, raczej nie groziło mu wplątanie się w poważne kłopoty. Sytuacja prezentowała się dość ponuro, a pogłębiały to jeszcze nieustanne pytania babci i mamy, kiedy znowu odwiedzi ich ten „wspaniały chłopiec”. Na szczęście tata nie brał w tym udziału. Popatrzyła ze skrucą na kolegę. Wszystko wyglądało wystarczająco kiepsko i bez kłótni.

— Darren?

Uniósł ostrzegawczo dłoń.

— Słuchaj, spodziewam się, że w każdej chwili może zadzwonić Smażalnia w sprawie organizacji trasy. Powiedz mi, co powinienem trzymać w garderobie: szampana Cristal czy nudnego starego moeta? Wystarczą jakiegokolwiek pachnące świece czy muszą być świece Jo Malone?

Czyżby sława — czy nawet tylko jej bardzo odległa zapowiedź — już uderzyła mu do głowy? Kate niepewnie spojrzała na Darrena i wtedy zauważyła, że jego ramiona drżą od powstrzymanego śmiechu.

— Przepraszam. Ale miałaś minę! — Wyszczrzył zęby. — Chyba w to nie uwierzyłaś, co? Cristal, wolne żarty. Będziemy mieli szczęście, jeśli dostaniemy syrop z czarnej porzeczki, sądząc z tego, jak to wszystko się zapowiada. Ale nie narzekam.

— Kiedy wyjeżdżasz? — zapytała Kate, starając się mówić z radością, nie z zazdrością.

Rozpromienił się cały.

— W ten weekend. Udało mi się załatwić sobie wolne u Denysa, kiedy mu zwróciłem uwagę, że nie brałem w tym roku urlopu.

Niedługo zostanie gwiazdą rocka, pomyślała ponuro Kate. Na początku na małą skalę, ale z pewnością szybko zdobędzie sławę. A tymczasem ona...

Tymczasem ona nadal niczego nie dokonała — oczywiście jeśli nie liczyć jednej piątej powieści. Kanalizowanie frustracji podczas porannych sesji z „Żigolakiem z północy” było zawiłym procesem, opisywanie przygód fikcyjnego bohatera często przerywały długie chwile gapienia się w przestrzeń i myślenia o prawdziwym bohaterze. Teraz, kiedy Nat ją opuścił — chociaż Kate nadal nie potrafiła się z tym pogodzić — książka nabrała nowego znaczenia. Wydawała się jedyną drogą ucieczki. Tego wieczoru Kate znowu zamknęła się w sypialni i pisała zawzięcie.

Pomiędzy napiętymi udami Marka buzował strumień wody w jacuzzi...

Wielkie fioletowe sutki, twarde od pożądania, ocierały się o jego muskularną pierś, gdy Doreen Bracegirdle przyciągała go do siebie. „Mark! Jesteś taki duży...”.

Kate westchnęła. Mimo natchnienia, jakie zawdzięczała włoskiemu ogierowi Brogan, Meszuga w deszczowy wieczór nie było idealnym miejscem do pisania powieści erotycznej. Zwłaszcza gdy po drugiej stronie cieniutkiej ściany tata spłukiwał toaletę. Ale tak samo jak jej żigolak z północy, była zdecydowana nie szczędzić wysiłków.

...przy każdym D<sup>h</sup>nięciu Doreen gwałtownie rzucała głową na boki, smagając kochanka długimi włosami...

Może za bardzo naginała fakty? Prawdziwa Doreen miała przycięte po męsku siwe włosy oraz chroniczne problemy z plecami. I mało prawdopodobne, żeby miała jacuzzi, chociaż zważywszy na wielkość łapówek, jakie Hardstone dawał jej mężowi, Bracegirdle'owie mieli już pewnie pełne wyposażenie łazienki. W każdym razie powinna zmienić nazwiska. Doreen na przykład mogłaby stać się Dorian.

Mark wchodził w Dorian coraz mocniej i mocniej, biorąc ją z podniecającą brutalnością. Jej pośladki uderzały o kafelki. Klap! Klap!

Bracegirdle'owie mogą mieć masaż wodny lub nie mieć, ale na pewno mają w łazience kafelki.

Prawdopodobnie w kolorze awokado.

Klap! Klap! „O Boże!” — wysapała Dorian. Bum! Bum!

— O Chryste! — krzyknęła Kate.

Tak się przestraszyła, że jej długopis wyskoczył w powietrze, gdy cienkie drewno drzwi do sypialni zdrzało pod uderzeniami pięści mamy.

— Kate! Herbata!

Pospiesznie zamknęła zeszyt i schowała go pod materac.

— Już, już! — zawołała, kradnąc następną kwestię Dorian Bracegirdle, i spuściła nogi z łóżka.

— Twój młody przyjaciel niedługo nas odwiedzi, prawda? — zapytała mama znad kielbasy i purée.

— Nie jest moim młodym przyjacielem — odparła Kate, biorąc kopiasty talerz.

Przez ostatnie tygodnie brała codziennie połowę porcji, ale do cholery, jakie to ma teraz znaczenie?

— Moim zdaniem to dobrze — stwierdził tata.

— Nie pytałam cię o zdanie — mruknęła Kate.

Z bijącym sercem spojrzała na zielony nylon zwieszający się z drutów babci. Jej wyszkolone oko mówiło, że prawdopodobnie powstanie z niego kolejna bluzeczka polo. Boże, niech to nie będzie dla niej. Nadal bolały ją uszy po ściąganiu przyciasnego topu z motylem.

— Nieważne, w porządku — powiedział tata, oblewając sosem cebulowym górę ziemniaków wysoką jak Himalaje. — W morzu jest mnóstwo ryb.

Kate prawie udławiła się kielbaską. Czy on żartował? Jeśli

chodzi o mężczyzn, tutejsze morza były tak odłowione, że ekolodzy wpadliby w panikę. Choć z pewnością nie brakowało planktonu.

Kiedy zaczęła drugą dokładkę domowego przekładanica mamy, rozległo się pukanie do drzwi.

Mama podniosła wzrok.

— Och, to pewnie pani Towned.

— Ja otworzę — ochoczo zaproponowała Kate, chcąc uciec od taty choć na kilka minut.

— Powiedz jej, że jeszcze nie przejrzałam katalogu, ale myślę o czymś z aromaterapii dla moich nóżek.

Kate przeszła po barwnym dywanie w korytarzu. Przemknęła jej przez głowę niejasna myśl, że postać widoczna za szkłem w drzwiach jest wyższa i szczuplejsza od pani Towned, dostawczym kosmetyków.

— Nat! — Spanikowana złapała się framugi drzwi. — Gdzieś ty był?

Spojrzał jej w oczy. Wyglądał jeszcze bardziej powalająco, niż pamiętała.

— Przepraszam. Mówiłem, że trudno nam będzie się kontaktować. Ale teraz jestem.

Oczywiście należały jej się porządniejsze przeprosiny. W końcu wcale się nie odzywał. Ani słowem. I to przez całe wieki. Mimo to wyszczerzyła zęby jak idiotka.

— Nie zaprosisz mnie do domu?

— Ehm... właśnie piliśmy herbatę... to znaczy jedliśmy kolację...

Za jej plecami coś się poruszyło. Usłyszeli charakterystyczny stukot drutów.

— Rany Julek! — wykrzyknęła z zachwytem babcia na widok Nata.

Nat popatrzył na nią ze zdumieniem.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że ludzie naprawdę tak mówią.

— Wchodzisz? — Babcia zatrzymała się w progu salonu. — Właśnie pędziłam na drugą część *Emmerdale farm*.

— Nie wiem, po co to w ogóle oglądasz! — wrzasnął z kuchni tata. — Nie ma tam już ani jednej postaci z farmy. Sami handlarze narkotykami, prostytutki i piromaniacy.

— Dlatego właśnie lubię ten serial! — zawołała babcia.

— A kto przyszedł?! — ryknął tata.

— Młody przyjaciel naszej Kate! — odkrzyknęła babcia, zanim Kate zdołała ją powstrzymać.

Ale Nat tylko się zaśmiał i zawstydzenie Kate zamieniło się w zachwyt.

W kuchni zapadło niezadowolone milczenie, a potem rozległ się gniewny pomruk taty:

— ...trzeba mieć źle poukładane w głowie.

— Wejdz i siadaj z nami! — zawołała mama.

Kate zmobilizowała się do działania. Nie może pozwolić, żeby Nat wszedł do salonu i został przesłuchany przez mamę i babcie.

— Będziemy u mnie, gdyby ktoś mnie szukał! — zawołała.

— Dobrze, kochanie — powiedziała babcia, uśmiechając się znacząco. — Ale nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła.

— Niezły charakterek, ta twoja babcia — zauważył Nat, kiedy Kate pociągnęła go schodami na górę.

— I widzę, że dzierga następne arcydzieło.

Lody zostały przełamane. Kate zachichotała i klepnęła go w plecy.

W małym pokoiku usiedli na brzegu łóżka. Kate czuła, jak kolana jej się trzęsą, uderzając o kaloryfer. Nie miała wątpliwości, co się zaraz stanie.

Nat pchnął ją delikatnie na łóżko i wsunął chłodną dłoń pod jej bluzkę. A potem jego dłoń zaczęła powoli zsuwać się w dół. — Nat... nie. Nie tu. Nie możesz...

— Nie mogę? — Uniósł się lekko. Jego palce nadal badały jej ciało. — Nie taki komunikat odebrałem na dole. — Nie możesz! Naprawdę nie możesz!

Kiedy to mówiła, pomyślała, że niepotrzebnie się wysila. Natowi nie sposób było się oprzeć i dobrze o tym wiedział. Co więcej, osiągnął nieosiągalne, bo sprawił, że jej rodzice i babcia

zostawili ich w spokoju i oglądali na dole serial. Już za samo to na coś sobie zasłużył. Zmrużył oczy, powstrzymując śmiech, gdy zręcznie rozpinał rozporek. Nie było słycać szelestu folii ani nie strzeliła guma. Czy znowu musi go powstrzymać? Po chwili wezglowie łóżka zaczęło walić w ścianę. Rodzina, nawet oglądając film, mogła ich usłyszeć. Zamknęła oczy, wiedząc, że zaraz całkiem się zatraci.

— Poczekaj — powiedział nagle Nat.

Kate otworzyła oczy. Pochylał się nad nią, klepiąc bok materaca.

— Jak księżniczka na cholernym ziarnku groszku — wymruczał.

— Co jest?

— Coś pod spodem trzeszczy i mnie rozprasza. Wyciągnął rękę, zamierzając wsunąć ją pod materac.

O Boże! Książka. Jej najpilniej strzeżony sekret.

— Nie szukaj tam niczego! — zawołała Kate głośniejszym głosem, niż zamierzała.

Jej twarz i szyję oblał rumieniec, kiedy pomyślała, że Nat mógłby przeczytać opisy scen miłosnych z Doreen... to znaczy z Dorian Bracegirdle.

Na szczęście w tej samej chwili pisnęła jego komórka.

— Wybacz, to pilne — mruknął i zaczął pospiesznie odpisywać.

— Nie przejmuj się — uspokoiła go Kate, wykorzystując tę chwilę, by sięgnąć pod materac, wyjąć zeszyt i wrzucić go pod łóżko.

— Przepraszam cię. — Nat wstał i wciągnął spodnie. — Muszę iść.

— Przecież dopiero zaczęliśmy.

— Wiem. Przykro mi. Co robisz jutro wieczorem?

A co zwykle robiła? Albo pracowała nad „Żigolakiem”, albo siedziała przed telewizorem, oglądając z mamą i babcią *To nie powinno się zdarzyć w szkole jazdy dla gwiazd*.

— Nic specjalnego.

— Super. Wobec tego zapraszam cię do restauracji.

W oczach Kate pojawił się strach. Nie mógł mieć na myśli „Włoskiej roboty”, prawda?

— Do tej w Slack Top — ciągnął Nat. — Jedynej w okolicy, która wygląda z grubsza normalnie.

— Do Jenny Prządki?

— Tak.

Kate ogarnęła radość i zarazem obawa.

— Ale tam jest dość drogo. Machnął ręką.

— Nie martw się. Ja stawiam, skarbie.

— Och, dzięki! — zawołała Kate. — Zawsze chciałam tam pójść.

Kolacja w towarzystwie milionerów za dychę — wiedziała, że tata by tego nie pochwalił, ale nie zamierzała mu o tym mówić.

— Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

— To znaczy?

— O planie, o którym wspomniałem. Wyciągnięcia cię z tego bagna... to znaczy ze Slackmucklethwaite.

Uśmiechnęła się do niego, gdy patrząc w lustro, wprawnymi palcami artystycznie mierzwił włosy. Zauważył ją w końcu i uśmiechnął się do niej olśniewająco.

— Więc jak? Do zobaczenia jutro o ósmej?

— Dobra.

— Mogłabyś zrobić rezerwację? Bo nie mogę dzwonić /, domu., no wiesz...

— Jasne — odparła Kate, kiwając głową.

## Rozdział 9

Uśmiechnęła się do Nata ponad oświetlonym świecami stołem. Skończyli już całą butelkę szampana, w efekcie czego Kate, która cały czas zastanawiała się, kiedy zaczną rozmawiać o planie ucieczki, przestała się martwić, czy ubrała się stosownie albo czy używa właściwego talerza. W trakcie niekończącego się gorzkiego narzekania, jak to jego ojciec rujnuje mu karierę aktorską, Nat zdołał pochłonąć tuzin ostryg, a teraz poprawił to ogromnym stekiem. Kate, pamiętając o dobrych manierach i nie chcąc wykorzystywać faktu, że to on płaci, poprzestała na skromnym talerzu makaronu. Wyobrażając sobie reakcję babci: „Pięć funtów za talerz cholernego zielska!”, oparła się także namowom kelnerki, która próbowała jej wcisnąć sałatkę ze szczawiu i mleczu. Ponieważ w Jenny Przędce stawiano na modną prostotę, stały tu ciasno ustawione malutkie drewniane stoliki. W połączeniu z ponurymi kelnerkami krążącymi po sali przypominało to Kate egzaminy. Rozejrzała się, szukając milionerów za dychę. To pewnie ci zadbani, zamożnie wyglądający mężczyźni dobrze po pięćdziesiątce, z delikatną opalenizną i modnie przyciętymi siwymi włosami, siedzący naprzeciwko wytapirowanych kobiet z uma-



lowanymi na czerwono ustami, owiniętych w luźne beże. Od czasu do czasu klimatyzacja przy wiewała w stronę Kate smugę zapachu mocnego płynu po goleniu albo perfum.

— Więc — zagadnął Nat, uśmiechając się do niej — jak tam „Wychodnik”?

Kate, która już traciła nadzieję, że zostanie o cokolwiek zapytana, jęknęła szyderczo.

— Cudownie. Dzisiejszy wielki temat to nowa brama na plebanii. Colin poszedł ją sfotografować i dzwonił do mnie w tej sprawie ze cztery razy. Czy chcę, żeby była otwarta, czy zamknięta? Z pastorem czy bez?

— Więc nadal chcesz uciec?

— Rozpaczliwie. — Spojrzała na niego wyczekująco. Złożył dłonie przy twarzy i zerknął na nią ponad czubkami palców.

— Nie wiem, co o tym pomyślisz, ale pamiętam, że wspomniałaś o festiwalu filmowym w Cannes i mówiłaś, jak bardzo żałujesz, że nie możesz zrobić reportażu dla „Wychodnika”... to znaczy „Tygodnika”. Kate wyprostowała się gwałtownie.

— Tak?!

— Rozmawiałem o tym z tatą.

— Serio? — Zmarszczyła brwi. — Ale myślałam, że wy nie... no wiesz...

— Nie rozmawiamy ze sobą? Cóż, nie za dużo. Musiał mnie jednak zapytać, czy będę jego świadkiem na rozwodzie, czy też uważam, że nowy wystrój domu był gówniany i takie tam.

— Rozwód? Więc pozbywa się Brogan?

— Aha. Miałem rację. I rzeczywiście ona chce jacuzzi...

— No dobra. Mów dalej. Rozmawiałeś z ojcem? O mnie?

— Yhm. Zawsze chętnie rozmawia o wszystkim, co dotyczy interesów. O tym, co dotyczy jego spraw

— mruknął z goryczą. — Inni ludzie wcale go nie interesują. Patrz, co chce zrobić mnie i mojemu aktorstwu...

— Więc co powiedziałeś? — przerwała mu Kate, próbując

skierować rozmowę ku bardziej palącym kwestiom jej przyszłości.

— Że trochę, hmm, straciłaś motywację...

— Coś ty powiedział?

— Poczekaj, spoko. — Uśmiechnął się do niej. — Zaufaj mi, słonko. Wiem, co robię.

Z jego słów wynikało, że tylko zabawia się jej karierą. Kate zaczęła panikować.

— Powiedziałem mu — rzucił lekko Nat — że jesteś znakomitym reporterem, którego gazeta nie może stracić.

— Naprawdę?

Z zachwytem zacisnęła dłonie na serwetce.

— Jasne. I że uszczęśliwi cię zezwolenie na reportaż z festiwalu w Cannes.

— Nie wierzę! — Radość zapłonęła w niej jak ogień. — A co on na to?

Nat uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Zgodził się. Był całkiem wyluzowany. Nawet stwierdził, że to dobry pomysł.

Kate opadła na oparcie drewnianego, twardego, szkolnego krzesła.

— Och, Nat — szepnęła z wdzięcznością. — Dziękuję! Zamknęła oczy i natychmiast zobaczyła błękitne morze,

lśniąca w słońcu białe hotele, palmy i więcej gwiazd spacerujących po deptaku Croisette, niż można zobaczyć na rozdaniu Oscarów.

Otworzyła oczy.

— Festiwal jest w przyszłym tygodniu, prawda? Lepiej powiem Denysowi.

— Nie zwracaj sobie tym głowy — rzucił szybko Nat. — Tata sam z nim to załatwi. Jeśli mam być szczery, Wemyss nie był przekonany do tego pomysłu. Trzeba go przekonać.

— O Boże. Wiedziałam.

Darren wybiera się w trasę, a jeśli ona też zniknie na tydzień lub dwa, naczelny zostanie bez pracowników. Spojrzała w panice na Nata.

— ...więc lepiej mu o tym nie wspominać — dokończył. — Właściwie to najlepiej nic mu nie mów. Zakładaj, że wszystko jest załatwione. Zostaw to mnie i tacie, dobra?

— Cóż, skoro tak mówisz.

Ulżyło jej, że uniknie rozmowy z naczelnym, i pogрузzyła się w rozkosznych myślach.

— Załatwisz też sprawę akredytacji? — zapytała po chwili. Nat spojrział na nią zdziwiony.

— Na festiwal filmowy! Wiesz, chodzi o takie śmieszne kolorowe przepustki, które mają dziennikarze.

— Och, racja. — Nat pokiwał głową. — Jasne. Pewnie. Wszystko załatwię.

Kate pochyliła się nad oświetlonym świecami stolikiem i podekscytowana uścisnęła go.

— Jesteś genialny, Nat! Jesteś fantastyczny.

— Ej, uważaj. Spalisz sobie włosy... Aha, jest jeszcze jedna rzecz — dodał, gdy z lekko przypalonymi włosami z powrotem usiadła prosto. — Obawiam się, że tata nie zamierza bulić ani za hotel, ani za samolot. Umowa wygląda tak jak wcześniej: płacisz za siebie.

Kate pokiwała głową.

— W porządku.

Miała dość oszczędności, żeby starczyło jej na bilet w obie strony w klasie turystycznej oraz na kilka noclegów w tanim hotelu i ostrożnie dobrane posiłki. Ale nagle do niej dotarło, że przecież Nat jest uziemiony przez ojca. Miała pojechać bez niego? — A co z tobą, Nat?

— Co? — Zmarszczył brwi. — Oczywiście, że jadę, do cholery. Ale to ty — dodał szybko — napiszesz o festiwalu.

— Więc twój ojciec nie ma nic przeciwko temu? Mimo tej sprawy z narkotykami?

— Już się trochę uspokoił.

— I nie ma nic przeciwko, że jedziesz ze mną... Och! Coś wsuwało jej się pod spódnicę i dotykało wnętrza uda.

Coś, co przypominało nagą stopę.

Westchnęła i spojrzała na Nata.

— Po tym wszystkim, co powiedział o kobietach z tytułami... aaach.

Zduśła okrzyk. Stopa przesunęła się wyżej. Między jej udami przepływały fale podniecenia.

Rozejrzała się pospiesznie. Na szczęście wszyscy milionerzy za dychę byli pogrążeni w lekturze karty win.

W końcu jechała na Riwierę. Zupełnie jakby wreszcie runęły mury, który otaczały ją przez te wszystkie lata. Zalało ją światło nieskończonych możliwości, oślepiając barwami i radością. Festiwal filmowy w Cannes. Wspaniała willa na Cap Ferrat pełna gwiazd. Bo oczywiście Nat zabierze ją ze sobą. Spojrzała na niego błyszczącymi oczyma.

Stopa dotarła do celu. Kate oddychała szybko i płytko. Miała szeroko otwarte oczy. Duży palec zaczął się zginać delikatnie, lecz pewnie.

— Słuchaj więc... — Nat szczyrzył do niej szelmowsko zęby. — Musisz teraz tylko zająć się zorganizowaniem naszej podróży. Wyjedźmy stąd tak szybko, jak się da.

— Jasne, wpadnę jutro do Fair Fare, kiedy tylko otworzą — pisnęła Kate.

— Na pewno? — Oczywiście.

Próbowała skupić się, ale przeszkadzały jej w tym fale rozkoszy, które wstrząsały jej ciałem.

— I pożyczysz mi na samolot?

Ups. Kate spojrzała na niego. Wstrząsy ustały. On, syn multimilionera, prosił ją, żeby mu pożyczyła pieniądze?

— Załatwiłem za ciebie sprawę z ojcem i Wemysem, prawda? — powiedział Nat, zwiększając rozkoszny ucisk. — Poprosiłbym ojca o trochę kasy, ale on nie zdaje sobie sprawy z tego, że już wydałem kieszonkowe, i wściekłby się, gdyby się o tym dowiedział. Pewnie zmieniłby zdanie na temat całej tej wyprawy.

— Och, nie, nie wolno ci go o to prosić — sapnęła Kate. Na jej twarzy rozbłysły rumieńce. — Oczywiście, że pożyczę ci trochę pieniędzy, jeśli mi wystarczy.

Nat rozpromienił się.

— Nie będę potrzebował zbyt dużo. Tyle, żeby starczyło na bilet powrotny do Nicei klasą biznesową, dobra?

Jego palec znowu zaczął się poruszać.

— Tak... tak... tak... taaaak!

Stara jak świat rodzinna walizka, którą rodzice mieli w podróży poślubnej i w każdej następnej, leżała zapakowana na łóżku Kate. Kiedy matka zmusiła ją do spakowania paru milionów majtek, balsamów i leków na wszelką ewentualność oraz najnowszego dzieła babci „na wypadek gdyby zrobiło się chłodno”, właściwie nie zostało miejsca na nic innego.

Nadludzkiem wysiłkiem Kate zdołała upchnąć w niej żelazne punkty garderoby: dzinsową kurtkę, czarne spodnie, białe T-shirty, czerwoną letnią sukienkę, kilka koszulek i parę dzinsów. Szarpnęła się też na eleganckie sandałki z kwiatkami, dość dużymi, żeby zasłonić najgrubsze odcinki palców stóp. Nic w jej szafie nie miało tego zwiewnego wdzięku rzeczy, które wkłada się na wywiad z Leonardem DiCaprio na tarasie przy basenie w hotelu Eden Roc. Ale z drugiej strony plan spotkań DiCaprio z prasą zapewne nie przewidywał trzydziestu minut dla „Wychodnika”. A eleganckie przyjęcie Nata to zupełnie inna historia.

Nie dało się go zmusić, aby powiedział coś na temat ubrań czy czegokolwiek innego związanego z tym przyjęciem. Ale Kate miała nadzieję, że zielonkawożółta lniana marynarka i spodnie, które kupiła na wyprzedazy w Whistles z myślą o ślubie kuzynki, ujdą w tłoku. Musiała się tym zadowolić, bo nie miała czasu na szukanie czegoś innego. Ani pieniędzy.

Zagwarantowała jej to kolacja w Jenny Prządce.

Powaliwszy ją sensacyjną wiadomością o Cannes, Nat postanowił uczcić to wielkim kawałkiem cytrynowej tarty, roque-fortem i kawą z koniakiem. Kiedy pojawił się rachunek, przesunął go w jej stronę.

— Możesz to wrzucić w koszty?

Kate nie mieściło się to w głowie.

— W pracy nie zwracają mi takich wydatków. Myślałam...

— Że ja płacę, tak? Miałem na myśli to, że tata płaci, poprzez gazetę. — Nozdrza rozszerzyły mu się z niezadowolenia. — W porządku, zwrócę ci potem, dobra?

Nie oddał jej do tej pory. Ani za bilet powrotny klasą biznesową British Airways. Był bardzo stanowczy, jeśli chodzi o datę odlotu oraz fakt, że mają wylatywać z Londynu.

Najtańszy bilet, jaki zdołała znaleźć dla siebie Kate, był na lot dzień później, za czterdzieści funtów.

— Jasne, to straszna szkoda, słonko — mruknął Nat, kiedy mu o tym powiedziała. — Ale im szybciej tam doleczę, tym szybciej zacznę wszystko dla ciebie załatwiać, prawda?

Kate pomyślała, że to chyba dobrze. Jej brak kontaktów wśród hollywoodzkiej śmietanki zaczynał ją trochę martwić. Jeśli miała nadzieję na reportaże, to z pewnością brak znajomości był sporym utrudnieniem. Skoro jednak Nat zamierzał przygotować jej grunt, zwłoka z przyjazdem mogła okazać się korzystna.

— Do zobaczenia na lotnisku w Nicei, jasne? Będę na ciebie czekał. *Ciao*, słonko.

To powiedziawszy, złapał bilety, musnął ją w usta i odszedł.

Rodzice byli mocno zaniepokojeni jej nagłym wyjazdem, ale uspokoili się, kiedy im powiedziała, że ma zgodę Denysa Wemyssa. Była też dość przewidująca, żeby nie wspomnieć

o udziale Nata w wyprawie. Obietnica zdobycia autografu Mela Gibsona pomogła nieco uśmierzyć obawy mamy — w końcu może się zdarzyć, że pojawi się na festiwalu, pomyślała Kate, czując, że gryzie ją sumienie. Nigdy nic nie wiadomo, jak lubiła mawiać mama. Teraz znowu się zjawiała, zamierzając upchnąć w pękającej w szwach walizce ręcznik kąpielowy — „bo nigdy nic nie wiadomo” — oraz rolkę papieru toaletowego

i paczkę herbaty.

— Nie jadę na obóz, mamo!

— Daję ci to na wszelki wypadek. Spójrzmy prawdzie w oczy: „Wychodnik” nie zarezerwuje ci pięciogwiazdkowego hotelu.

Nie, ale może Nat to zrobi, pomyślała Kate. Załatwienie hotelu oraz akredytacji należało do niego. Nie martwiła się tym, czy sobie poradzi. Albo on, albo jego ojciec poradził sobie z Denysem Wemysem tak zręcznie, że naczelny nawet nie wspomniał o jej wyjeździe. Darrena, który z pewnością dokładnie by to z nią omówił, nie było już w mieście, ponieważ wreszcie zaczął trasę organizowaną przez Smażalnię.

Następnego ranka, gdy wyszła na pierwszy z autobusów jadących na lotnisko, babcia złapała ją za rękę.

— Wykorzystaj ten czas jak najlepiej, kochanie — powiedziała.

Kate skrzywiła się, kiedy mocne palce, wyrobione latami dziergania, wbiły jej się w miękkie ciało.

— Wykorzystam.

Po raz milionowy pomyślała o Cannes i uśmiechnęła się radośnie. Teraz wszystko mogło się wydarzyć. Upór w połączeniu z odrobiną szczęścia może ją zaprowadzić na ścieżki największych sław Hollywoodu i zaowocować wspaniałym wywiadem, który rozśławi jej nazwisko. Potem już nie będzie powrotu. Nie do Slackmucklethwaite. Oczywiście Kate nawet się nie śniło, żeby powiedzieć coś tak okrutnego kochanej rodzinie, która stała na podjeździe i machała na pożegnanie. Z trudem przełknęła gulę rosnącą jej w gardle.

Na lotnisku wylądowała w kolejce tuż za głośną grupą paniczyków, którzy — jak zorientowała się Kate z ich roz-wrzeszczanej rozmowy — wybierali się na jakiś elegancki ślub. Wszyscy mieli pewnie około trzydziestki, ale wyglądali na czterdzieści. Najgłośniejszy i największy z nich wyglądał nawet na pięćdziesiątkę. Ze względu na biedną pannę młodą Kate miała nadzieję, że nie był panem młodym. Był naprawdę paskudny i miał na sobie letni garnitur z gnieczonego lnu,

beżowe spodnie jeszcze bardziej poszerzały jego i tak szerokie biodra. Tłusta czerwona twarz była okrągła jak zachodzące słońce. Nad nosem wyskoczył mu czyrak, który wyglądał, jakby mężczyźni strzelono prosto w czoło.

Dziewczyna od odprawy monotonicznie powtarzała proceduralne formułki:

— Pakował się pan sam? Czy ktoś panu coś dał?

— Jakiś Arab z brodą dał mi budzik doczepiony do takiego czegoś dziwnego... — oświadczył facet o czerwonej twarzy.

Jego towarzysze ryknęli śmiechem, a dziewczyna spojrzała na niego chłodno.

— Bardzo zabawne, proszę pana — powiedziała spokojnie. Podszedł do niej kolejny goguś z rozwrzeszczanej grupy.

— Jest jakaś szansa na lepsze miejsce? Dziewczyna nawet nie podniosła wzroku.

— Nie, proszę pana. Nie ma żadnej.

W poczekalni z obiciami siedzeń w kolorze limonki Kate rozejrzała się po pozostałych podróżnych. Różne znudzone typy ostentacyjnie ziewały do komórek albo — jak mężczyzna z opadającymi włosami — kartkowali „Hollywood Reporter”. Jedzie na festiwal, pomyślała Kate. Jak ja. Serce zabiło jej mocniej.

Pozostali pasażerowie nie wyglądali zbyt ciekawie. Rodziny próbujące zapanować na gromadką dzieci. Turyści kartkujący przewodniki po Riwierze. Opaleni tetrycy czytający „Daily Telegraph”.

Blondynki w białych spodniach, z walizkami od Vuittona i naręczami „Vogue”.

Zaczęła przeglądać „Heat”, lecz jej uwagę przyciągnęło nagłe zamieszanie przy wejściu. Do poczekalni wparowała wysoka elegancka blondynka. Kate natychmiast ją rozpoznała. W końcu raptem parę dni temu przeprowadzała z nią wywiad.

Żałowała trochę, że w związku z wyjazdem przegapi wydanie „Tygodnika” z Champagne. Ale artykuł na pewno trafi do



zeszytu z wycinkami. Zdjęcia Colina po namoczeniu w chlorze trzeba było spisać na straty, więc zamówili fotki z agencji — Champagne wyciągnięta kusząco w obcisłym, skąpym T-shircie, ze sterczącymi wyzywająco sutkami — i wreszcie ich gazeta wyglądała tak, jak to sobie wymarzył Peter Hard-stone. Jediną gwiazdą wypinającą cycki, jaka pojawiła się w „Tygodniku” w ciągu dwustu czterdziestu dziewięciu lat jego istnienia, była maciora z ogromnym miotem prosiąt, do której Kate dokopała się kiedyś, szukając czegoś do *Pięćdziesiąt lat temu tego dnia*.

— To jakiś cholerny koszmar! — krzyczała Champagne do srebrnej komórki, którą ostatnio Kate widziała wsuniętą za figi od bikini. — Igor odmówił płacenia za pierwszą klasę, więc muszę lecieć razem z kozami!

— Czarujące — stwierdziła arystokratycznym głosem pulchna kobieta siedząca obok Kate. — Rozumiem, że my wszyscy robimy za kozy.

— Oczywiście, że próbowałam zamienić miejsce na lepsze, do cholery! — ryczała Champagne, miotając się po poczekalni. Miała na sobie jasnoniebieską koszulkę z czerwonymi cekinami. — Tak, ta krowa przy odprawie doskonale wiedziała, kim jestem, ale i tak wsadziła mnie do tej beczki śledzi. Suka.

Podziw Kate dla dziewczyny od odpraw wzrósł jeszcze bardziej.

— Naprawdę nie chciałam tego mówić — odezwała się sąsiadka Kate, patrząc na smukłe, brązowe nogi Champagne — ale czy to nie jest ta potworna zdzira z *Cześć, żeglarzu, jestem gwiazdą?*

— Obawiam się, że tak — odparła Kate.

Jej sąsiadka była bladą blondynką, dość niską — z pewnością nie miała więcej niż metr sześćdziesiąt. Chyba jest starsza ode mnie, pomyślała Kate. Pod czterdziestkę?

— Mam nadzieję, że nie siedzi obok mnie. Chociaż mój mąż nie posiadałby się z radości.

— Tylko przez jakieś pięć minut — odparła Kate. — Więcej nie zniesie żaden normalny człowiek.

— Nie rozumiesz. Mój mąż nie jest normalnym człowiekiem. Ani w ogóle człowiekiem.  
Kate przyjrzała się twarzy kobiety, szukając jakichkolwiek oznak, że to żart. Niczego takiego jednak nie znalazła.

— Pisz do rubryki z plotkami — rzuciła pogardliwie kobieta. — Do jednej z gazet. — Wskazała mężczyznę czytającego „Hollywood Reporter”. — To on. Wstrętny typ, prawda?  
Ale przystojny, stwierdziła Kate. Seksowny, choć w jakiś gadzi sposób: pociągła twarz, błyszczące ciemne oczy, tłustawe oklapłe włosy. Zastanawiała się, dlaczego jej nowa sąsiadka nadal z nim jest, skoro go tak nie lubi. Ale jeśli chodzi o tego typu sprawy, życie rzadko kiedy jest proste.

— Jesteś sama? — Kobieta pokręciła głową. — Szczęściara. Wiele bym dała, żeby pojechać gdzieś bez tego cholernego Lance'a. A najlepiej, żeby znowu być samej.

— Właściwie to ktoś na mnie czeka w Nicei — odparła Kate.

— Może aktor? — zapytała jej nowa znajoma. — Większość z nich to aktorzy.  
Rzuciła pogardliwe spojrzenie ludziom w poczekalni.

— Tak podejrzewałam — odparła podekscytowana Kate. — Wszyscy lecą na festiwal, prawda?  
— Jakby to miało jakiś sens, żałośni frajerzy. Z odległości stu kroków potrafię rozpoznać każdego nieudacznika z telewizji, który ma nadzieję zostać gwiazdą filmową. To jedna z tych rzeczy, jakich można się nauczyć, będąc żoną dziennikarza od show-biznesu. Widzisz tego napakowanego faceta? To Bruce Goose z *Firel Firel A ten*, co trzyma „Hollywood Reporter” do góry nogami, to Mandy Moran z *Surgeon, surgeon*. Rozpaczliwie chce dostać się do filmu, ale biedaczek nie wie, że najpierw trzeba nauczyć się czytać.

— Chyba nie przepadasz za Cannes — zauważyła z uśmiechem Kate.  
Jej nowa znajoma najwyraźniej miała jakiś problem ze sobą, ale była zabawna.

— Tak? Nie mam pojęcia czemu. Lepiej wsiadajmy już do samolotu.

Miejsce Kate znajdowało się prawie na samym końcu, przy oknie. Żeby się tam dostać, musiała przejść obok kilku paniczyków, którzy marudzili, że wiezie się ich trzecią klasą. Gapili się ostentacyjnie na jej biust, kiedy przeciskała się do swojego miejsca.

Samolot zaczął kołować i po chwili wystartował. Kate zwalczyła pokusę, żeby warknąć na dziecko za nią, które bawiło się kieszenią jej fotela od momentu, kiedy usiadła. Jej rozdrażnienie zamieniło się w rozbawienie, gdy samolot przebił chmury, a dziecko przyglądające się pierzastej scenerii zapytało:

— A gdzie jest Bóg?

Kate również wyglądała przez okno. Białe klify Dover ustąpiły mglistemu błękitowi kanału, a potem łąciatym polom północnej Francji. Od czasu do czasu błyskało srebro, gdy słońce odbijało się w rzecznych zakolach. Stopniowo teren zamieniał się w rozległe, kamieniste, brązowe płaskowyże, doliny i góry. Niektóre z nich pokrywał śnieg — tak biały, że aż błękitnawy. W końcu Kate zasnęła. Gdy obudziła się z drzemki, usłyszała, że kapitan zapowiada lądowanie. Podekscytowana przycisnęła nos do okna, żeby po raz pierwszy spojrzeć na Lazurowe Wybrzeże.

Najpierw na wzgórzach pojawiły się wille o czerwonych dachach, z basenami, lśniącymi w ogrodach jak akwamaryny. Potem biała masa budynków ciągnących się od podnóży wzgórz do wybrzeża.

Morze było jasnoniebieskie, usiane olśniewająco białymi łodziami.

Samolot zakołysał się nad wodą, opadając tak nisko, że Kate widziała cytrynę w szklankach z dżinem i tonikiem, które trzymali właściciele jachtów. Przekonana, że zaraz zobaczy przepływające obok okna ryby, zamknęła oczy.

— *Mesdames et messieurs. Bienvenue à l'aéroport Nice Côte d'Azur. L'heure locale est midi et demi*

— ogłosiła spokojnym głosem stewardesa, najwyraźniej nieświadoma, że spadają do wodnego grobu.

— Panie i panowie, witamy na lotnisku w Nicei na Lazurowym Wybrzeżu. Miejscowy czas to dwunasta trzydzieści.

Kate przez cały czas mocno zaciskała powieki.

— Proszę pani... —warknął jakiś głos obok jej ucha — ...to właściwie dość bolesne.

— O Boże, przepraszam — sapnęła Kate, zabierając palce, które zatopiła w ramieniu sąsiadki.

Od czubka głowy aż do koniuszków palców stóp zalała ją euforia. Żyła. Była na Lazurowym Wybrzeżu. A gdzieś po drugiej stronie drzwi hali przylotów czeka na nią Nat.

Nat jednak nie przygotował dla niej miłej niespodzianki. Rozradowana Kate wyszła do hali przylotów, lecz nie zobaczyła go wśród tłumów oczekujących. Nie zostawił też dla niej wiadomości. Żaden z korpulentnych mężczyzn w ciemnych okularach nie trzymał kartki z jej nazwiskiem.

Zdenerwowana i zdana na własne siły stała wśród lśniących marmurów hali przylotów. Już samo to było złe, ale zrobiło się jeszcze gorzej, gdy do hali wpadła Champagne, odpychając ją gwałtownie i trąbiąc głośno do komórki, a za nią pędzili zdenerwowani tragarze, objuczeni walizkami od Vuittona. Kate popatrzyła na nią z nienawiścią.

Paniczykowie również wyszli z samolotu i stanęli obok Kate. Najwyraźniej czekali na kogoś.

— Kupowałaś z listy, Caractacus? — zapytał jeden z nich. — Muszę przyznać, że kusił mnie automat do piłek tenisowych, ale tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć funtów to trochę za ostro. Tak naprawdę to chciałem im kupić skórzanego słonia za osiemset, ale jak zadzwoniłem, już go nie było. Kate zatkało. Dla jej rodziny nawet komplet bawełnianej pościeli był ekstrawaganckim prezentem. Co to w ogóle za automat do piłek tenisowych, który kosztuje tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć funtów? Pewnie Tim Henman we własnej osobie. A jeśli chodzi o skórzanego słonia za osiemset, to za taką cenę wołałaby prawdziwego.

— Tu są kryształowe kieliszki do szampana — powiedział trzeci, ostrożnie pukając w pudełko stojące na walizce. — Albo były — dodał smętnie, gdy ze środka odpowiedział mu brzęk.

— O, witam. Miło cię znowu widzieć.

Kate podskoczyła. To była kobieta, którą poznała przed wejściem do samolotu.

— Więc nie zjawił się? Pokręciła gniewnie głową.

— Ale wkrótce się pojawi.

Ze złością zauważyła, że kobieta spogląda na nią współczująco.

— Chyba drink dobrze by ci zrobił. Tam jest bar. — Kobieta wskazała na ruchome schody.

— Ale...

— Stamtąd widać całą halę, więc go nie przegapisz. Jeśli się zjawi.

— Zjawi się — odparła ponuro Kate. — Nie martw się. Lepiej, żeby się zjawił. Pomijając wszystko inne, był jej

winien sporo pieniędzy.

— Nie będę, kochana, jeśli ty się nie będziesz martwić. A teraz chodźmy na drinka — nalegała kobieta. — Chciałabym mieć towarzystwo. Lance ma załatwić wynajem samochodu, ale widzę, że capnął jakąś trzeciorzędą gwiazdkę przy tylnym wyjściu. Pewnie robi wywiad z nową wielką nadzieją brytyjskiego filmu. To może trochę potrwać. A tak w ogóle, to nazywam się Celia Saint Louis. Chodź, pomogę ci nieść rzeczy. Cholera, co ty masz w tej walizce?

— Robisz reportaż z festiwalu filmowego dla... kogo? — zapytała w barze Celia, trzymając kieliszek wina.

— Dla „Tygodnika Slackmucklethwaite” — odparła Kate. Białe wino poprawiło jej chwilowo samopoczucie.

— Lance pracuje w sekcji show-biznesu w niedzielnej prasie. W porównaniu z twoją robotą to zwyczajne nudy. Jaki jest ten twój „Tygodnik”?

Kate opowiedziała jej o Gladys Arkwright i jej scenie balkonowej. Nawet Darren nie był tak wdzięczną publicznością. Po chwili Celia otarła łzy śmiechu i wypła łyk wina.

— Też jesteś dziennikarką? — zapytała Kate przy drugim kieliszku.

Celia pokręciła głową.

— Nie, przyjechałam tu jako osoba towarzysząca. Jesteśmy spłukani, a Lance to taki skąpiec, że ten wyjazd ma być jednocześnie naszym urlopem. Dzięki temu większość wydatków wliczy sobie w koszt. Właściwie to w tym roku jeszcze na tym zarobi. Nie tylko sprzedał bilety na klasę biznesową i wymienił na najtańsze, to jeszcze zlikwidował rezerwację w dobrym hotelu, którą załatwiła mu gazeta, i zameldował nas w jakiś zapomnianej przez Boga osadzie na wzgórzach. Mimo wszystko — westchnęła — niezależnie od tego, jak źle to brzmi, zawsze jest to jakąś odmianą po Streatham.

— St Reatham? Gdzie to jest? — Kate natychmiast wyobraziła sobie malowniczą senną wioskę.

— Streatham. Południowo-wschodni Londyn, kochanie.

— Och, no tak. Celia uśmiechnęła się.

— A gdzie ty się zatrzymałaś?

Mimo znieczulającego działania alkoholu Kate poczuła ukłucie paniki.

— Nat miał załatwić jakiś hotel — odparła, próbując nie okazywać strachu, jaki ją ogarnął. — Ale ponieważ nie mam komórki, nie może mnie złapać. Nie mam też francuskiej karty telefonicznej.

— Weź mój aparat. — Celia zaczęła grzebać w torebce. Kate z wdzięcznością wzięła jej komórkę i wybrała numer

Nata. Żadnej reakcji. Jej złość znowu zamieniła się w strach. A może miał jakiś wypadek? Wyobraziła sobie zmiądzony samochód, krew na zalanej słońcem drodze, wycie karetki...

— Może mu się rozładowała. — Starła się mówić spokojnie, oddając telefon. — Sporo jej używa.

— Najwyraźniej — mruknęła Celia.

— Ale na pewno niedługo się zjawi. — Sama już słyszała panikę w swoim głosie. — Ma moje przepustki na festiwal,

wszystko. I miał mnie zabrać na niesamowite przyjęcie na Cap Ferrat.

— Też się tam wybieramy — powiedziała bez entuzjazmu Celia. — Będą tam wszyscy, którzy się liczą. A także wszyscy, którzy się nie liczą.

Kate przyszła do głowy pewna myśl. Oczywiście Nat zaraz powinien się zjawić i na pewno się zjawi, ale gdyby jednak nie i wszystko by zawiodło, spotka się z nim na przyjęciu. W końcu to *raison d'être* jego podróży.

— Więc na pewno tam się z nim spotkam — stwierdziła z ulgą.

— Oczywiście... zakładając, że masz zaproszenie.

— Ehm... no cóż...

— Nie masz?

— Chyba Nat je ma. A potrzebuję zaproszenia? Nie mogę po prostu tam pójść i spotkać się z nim? Celia parsknęła.

— Wątpię, kochanie. Tam przyjdzie mnóstwo gwiazd. Obstawa będzie lepsza niż u prezydenta. A niech to. Kate poczuła, że żołądek ścisną jej się z rozpacz. Jak ma się spotkać z Natem bez zaproszenia? Czyżby jej lazururowy sen skończył się, zanim jeszcze się zaczął?

## Rozdział 10

Bezradnie spojrzała na swoją nową przyjaciółkę. Z każdą sekundą sprawy się pogarszały.

— Nawet gdybyś miała zaproszenie — dodała Celia — nie miałabyś się gdzie przebrać, bo w tej chwili w ogóle nie wiesz, gdzie mieszkasz. Mam rację?

Kate pomyślała, że najwyraźniej Celia ma zwyczaj natychmiast przechodzić do sedna sprawy, odpuszczając sobie dyrdymały.

— O Boże. To takie żenujące. Pewnie myślisz, że jestem żalosna. Ale zwykle nie jestem aż tak beznadziejna, naprawdę.

— Wierzę. — Celia poklepała ją po ramieniu. — To nie twoja wina, kochana. Dałaś się kompletnie omotać...

Kate pokiwała głową.

— ...łajdakowi, który cię zawiódł. Kate gwałtownie uniosła brodę.

— Nie, to nieprawda, on wcale taki nie jest! Celia uciszyła ją machnięciem ręki.

— Uwierz mi, znam te objawy... też mi się to zdarzyło. Kiedy poznałam Lance'a, rozpieszczał mnie komplementami i szampanem. — Jej oczy zabłyśły. — Ale chodziło mu o pieniądze mojego ojca, a nie o mnie. Jaką idiotką byłam!



Kate poczuła, że powinna się bronić. Czyżby Celia sugerowała, że dała się Natowi ogłupić? Na pewno miał poważny powód i dlatego się nie pojawił. To, że po prostu zostawił ją na łodzi, było nie do uwierzenia. Nie do pomyślenia.

Wyraz jej twarzy sprawił, że Celia zamilkła, a potem dodała pośpiesznie:

— Ale nie w tym rzecz. Chyba jednak — położyła obie ręce na stoliku, jakby chciała zaakcentować swoje słowa — znalazłaś się w kłopotliwej sytuacji.

Kate skrzywiła się. Trudno było nie zgodzić się, że jej sytuacja nie wyglądała zbyt różowo.

— To się da jakoś załatwić — oznajmiła po chwili Celia. — Oto co zrobimy...

— O, jesteś — odezwał się ktoś nagle. — Już złapałaś za kieliszek, powinienem był zgadnąć.

— Witaj, Lance. — Celia uśmiechnęła się do męża. — Dobrze się bawiłeś w czasie intelektualnej dyskusji z przedstawicielką brytyjskich talentów aktorskich?

Lance zacisnął usta.

— Tak się składa, że Champagne powiedziała mi wiele interesujących rzeczy na temat nowego filmu o Bondzie. Obiecała mi wyłączność za kulisami.

— Na pewno. — Celia ziewnęła. — Słyszałam, że dużo takich rzeczy obiecuje. Lance, to jest Kate Clegg. Wybiera się z nami na przyjęcie na Cap Ferrat.

— Co?! — wykrzyknął zaskoczony Lance.

— I tak miała tam być — oświadczyła Celia. — Jest reporterką, a jej chłopak to aktor. Zgadza się? — zapytała. Kate pokiwała głową. W końcu stała za nią potęga „Wy-chodnika”, prawda? A Nat z pewnością zostanie aktorem. — Dla jakiej gazety pracujesz? — zapytał Lance.

— Lokalnej. Nie słyszałeś o niej.

— Sprawdź mnie.

Kate wzięła głęboki wdech.

— „Tygodnik Slackmucklethwaite”.

— Co takiego? Cholera, masz rację, w życiu nie słyszałem.

— Więc to już uzgodnione — powiedziała Celia. — Kate jedzie z nami. I znajdziemy jej pokój w naszym hotelu.

— Aleja nie potrzebuję pokoju — zaprotestowała Kate. — To znaczy przyda mi się tylko do przyjęcia. Nat załatwił nam nocleg. Muszę go tylko znaleźć.

— Taaak. — Celia uśmiechnęła się. — Ale zarezerwujemy coś dla ciebie, dobrze? Na wszelki wypadek.

— To rzeczywiście wygląda na groźny wypadek — mruknął Lance, z pogardą zerkając na wielką brązową walizkę Kate. — Już sam ten majdan potrzebuje dla siebie całego cholernego apartamentu. Sainte Jeanne, miścina, o której Celia mówiła z taką niechęcią, dla Kate prezentowała się całkiem w porządku. Nawet więcej niż w porządku. Kiedy nadąsany Lance prowadził wynajętego trzydrzwiowego citroena saxo, na widok osady Celia rzuciła z ironią: „Och, kochanie, rozpieszczasz mnie”, ale skulona na tylnym siedzeniu Kate była zauroczona.

— Tu jest prześlicznie — westchnęła.

Sainte Jeanne należało do tego typu miasteczek, które zachwycają redaktorów gazet podróźniczych wydawanych w dużym formacie. Malownicze skupisko domów z bladeżłoteżo kamienia zwieńczonego pomarańczowymi i morelowymi dachami, ukoronowane dwoma dzwonnkami. Brukowana ulica prowadząca do serca osady wiła się stromo pod górę, pod starymi tarasami domów o ścianach jak łupinki orzechów ziemnych. W najbardziej stromym miejscu przechodziła pod łukiem umocnień — sama brama już dawno temu zniknęła. Niegdyś obronne wieże porastały teraz kępy kwiatów, zwieszających się w słońcu niczym kolorowe brody. Chociaż wiekowe, wszystkie domy były wesołe i zadbane — solidne spadziste dachy, okna z firaneczkami, okolone pastelowymi okiennkami i ozdobione skrzynkami z pelargonią i bugenwillą. Jeszcze więcej roślin wysypywało się z ogromnych glinianych donic stojących przy wejściach.

— Nieżle, prawda? — W głosie Celi pojawiła się nutka zdziwienia. — Na pewno się nie pomyliłeś, kochanie?

— Zamknij się i wyglądaj, czy gdzieś widać Hôtel des Tours — warknął Lance.

Jechali wolno główną ulicą.

— Rue du Midi — powiedziała Celia, zerkając na znaki. Po obu stronach ulicy było mnóstwo restauracji, sklepów

i markiz. Ludzie gawędzili albo spacerowali. Minęli wesoły rynek z fontanną z jasnego kamienia, z której ciurkała woda do okrągłego basenu, również okolonego jasnym kamieniem. Nad wszystkim rozciągało się bezchmurne, błękitne niebo.

— Tu jest napisane, że to Place de l'Eglise — oznajmiła Celia, kiedy rue du Midi przeszła w plac otoczony arkadami.

— A tu mamy Hôtel des Tours. — Kate wskazała miejsce, gdzie pomiędzy dwoma łukami stały nakryte niebieskimi obrusami stoliki. Ludzie siedzieli i niespiesznie pili kawę oraz patrzyli z ciekawością na nowo przybyłych.

— Ale według szyldu to jest Café de la Place — rzucił Lance.

— Och, rzeczywiście.

— Więc gdzie, do cholery, jest hotel? — Lance zerknął na zegarek. — Mamy tylko dwie godziny do rozpoczęcia imprezy.

— To tu? — Kate wskazała na zaniedbany budynek naprzeciwko Café de la Place.

Pod burzą dzikiego wina stało kilka sfatygowanych drewnianych stołów, przy których nikt nie siedział. Pusty zardzewiały hak od szyldu wskazywał, że minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz ktoś tu bywał. — Cóż, są tu jakieś *tours*... — Celia wskazała na dwie wieże kościelne. — Ale hotel wygląda na zamknięty. Więcej, na całkiem martwy.

— Niemożliwe. — Lance zerknął na Celię. — Rozmawiałem z nimi przedwczoraj.

— Przyśniło ci się to, kochanie — westchnęła Celia. — Musiało. Nie znasz francuskiego na tyle, żeby zapytać o drogę, nie wspominając już o zarezerwowaniu pokoju.

— Tylko w jeden sposób możemy się o tym przekonać —

stwierdziła rozsądnie Kate. Miała już dość jazdy na zapchanym bagażami tylnym siedzeniu i coraz bardziej czuła się jak pięciolatka na wakacjach z kłóiącymi się rodzicami. — Chodźmy i zobaczymy. Bez wątpienia Hotel des Tours był niezwykłym miejscem. I bynajmniej nie został zamknięty. Za zasłoną z dzikiego wina kryły się ogromne drewniane drzwi. Były lekko uchylone i przez szparę widać było mały ponury bar.

Wyjątkowo ponury, pomyślała Kate, kiedy Lance, ryzykując, że dostanie przepukliny, pchnął drzwi. I wyjątkowo pusty, co nie było wielkim zaskoczeniem. W porównaniu z jego nielicznymi gośćmi klientela Mordowni wydawała się tryskać pozytywną energią.

Przy jednym ze stolików dwóch mężczyzn o dość przerażającej aparycji pomrukiwało coś do siebie półgłosem; obaj mieli szerokie piersi i bary, chociaż jeden z nich był wyraźnie niższy od drugiego. Wyższy miał czerwoną twarz, okrągłe czarne oczy i był ubrany w biały fartuch. Szef kuchni hotelowej, pomyślała Kate, chociaż nie dało się odgadnąć, gdzie jest restauracja. Na żadnym ze stolików ani na zewnątrz, ani w środku nie znajdowała się nawet solniczka, nie wspominając już o menu. Obok szefa kuchni siedziała mroczna, krzepka i przysadzista postać, która wyglądała dokładnie tak, jak Kate wyobrażała sobie mieszkającego pod mostem trolla z *Trzech koźlątek*. Pod stołem leżał ogromny owczarek o wrogich żółtych oczach. Gdy pochwycił ostrożne spojrzenie Kate, odsłonił zęby. Obaj mężczyźni w ogóle nie dostrzegli, że ktoś się pojawił. Jeszcze bardziej nieświadomy ich wejścia wydawał się szczupły szpakowaty mężczyzna w nieokreślonym wieku. Siedział przy barze na wysokim drewnianym stołku i pracowicie opróżniał stojącą obok butelkę. Jego stare białe spodnie były pochłapane czerwonym winem, tak samo jak równie stara niebieska koszula. Karmazynowe żyły ciągnące się wzdłuż nosa

i policzków sprawiały, że wyglądał jak trójkolorowa flaga w ludzkiej postaci.

— Cholerny alkoholik — powiedział Lance, nawet nie zniżając głosu.

— Hipokryta! — warknęła Celia. — Widywałam cię w o wiele gorszym stanie.

— Ale nie po rozpuszczalniku. Nie schodzę poniżej Veuve.

— Szkoda — odgryzła się jego żona. — Może mielibyśmy odrobinę mniejsze długi, gdybyś trzymał się jakiegoś taniego białego wina. Jak myślisz, kto tu jest kierownikiem? — zwróciła się do Kate.

— Ehm...

Kobiety w barze wyglądały jeszcze bardziej — o ile to w ogóle możliwe — przerażająco od mężczyzn. Świdrujące spojrzenie, które paliło Kate w plecy, należało do skrzywionej wiedźmy, która w zamyśleniu wodziła pomarszczonym palcem z długim czerwonym szponem po brzegu kieliszka czerwonego wina. Papieros, który kopcił się w popielniczce, zdradzał, skąd w jej siwych włosach wzięło się żółte pasemko.

Przy drugim stoliku siedziała kobieta, której wytrzeszczone oczy, szerokie usta i zdziwiony wyraz twarzy nadawały wygląd martwej makreli. Jej siwe włosy związane w luźny kok okalały pomarszczoną twarz, żółtą jak karmiony kukurydzą kurczak. Wielkie niczym łopaty dłonie leżały wyciągnięte na czymś, co przypominało wielki zeszyt.

Nieco bardziej zachęcająco i o niebo atrakcyjniej prezentowała się młoda kobieta o pełnych ustach i wyrazistych kościach policzkowych, która stała za barem, gapiąc się na Trolle. Kate zauważyła, że mężczyzna patrzy na nią głodnym, pełnym nadziei wzrokiem. Barmanka posłała mu pogardliwe spojrzenie i odrzuciła na plecy czarne włosy, które spłynęły w dół jak oliwa. Zwijając pasemko w długich palcach, przyjrzała się trójce nowo przybyłych wielkimi brązowymi oczami, w których nie było radości.

— Jak tam twój francuski? — spytała Celia, gdy podeszli do baru.

— W miarę — odparła skromnie Kate.

— Więc w takim razie lepiej ja z nią porozmawiam — stwierdziła Celia. — Bo Lance jest beznadziejny.

— Wielkie dzięki — warknął jej mąż.

Francuski Celi był idealny, ale mimo to barmanka najwyraźniej miała trudności ze zrozumieniem. Jej ciemne oczy patrzyły bezmyślnie, a kąciki pełnych ust opadły bezradnie. Dziewczyna pokręciła ciemną głową.

— Musisz ty — mruknęła Celia do Kate. — Może to mój akcent. Spędziłam dwa lata w Paryżu po skończeniu uniwersytetu.

Kiedy Kate zaczęła mówić, dziewczyna pochyliła się i pomajstrowała przy czymś pod kontuarem. Po chwili bar wypełniła rozrywająca bębenki francuska muzyka pop i Kate musiała zapytać o pokoje, wrzeszcząc na całe gardło. Nagle muzyka ucichła, a Kate wrzeszczała w ciszy niczym sierżant na musztrze. Ktoś się zaśmiał. Barmanka zatrzepotała długimi rękami i z miną niewiniątka wyjaśniła, że radio jest *en panne*. Kate i Celia spojrzały na siebie.

— Niemożliwe, żeby było zepsute. Zrobiła to specjalnie. Co za krowa — syknęła Kate.

Za późno się zorientowała, że powiedziała to po francusku. Oczy barmanki błysnęły groźnie.

— W sprawie pokojów zapytajcie *madame* — warknęła. Okazało się, że to właśnie Makrela. Ku wielkiej uldze Kate

*madame* rozumiała ją doskonale, chociaż nie przesadzała z uprzejmością. Westchnęła głęboko i przekartkowała powoli zeszyt — była to księga rachunkowa — jakby pytanie Kate było niewyobrażalnie kłopotliwe. Tak, ma rezerwację dla pana i pani Saint Louis. Tak, jest jeszcze jeden wolny pokój, jeśli Kate chce go dla siebie. Kate wzięła klucze. Miała wrażenie, że w hotelu nikt poza nimi nie mieszka.

Kiedy barmanka znowu włączyła muzykę, siedzący przy barze mężczyzna o czerwonej twarzy odstawił kieliszek z anyżówką.

— Szłuchaj... — powiedział powoli pijackim głosem z angielskim akcentem. — Szłuchaj — powtórzył z trudem, próbując podeprzeć się o bar, ale natychmiast ześlizgnął się z powrotem. Kate skrzywiła się, gdy uderzył podbródkiem o blat. — Była-bysz tak uprzejma i wyłączyłabysz ten potworny ryk...

Zakołysał się na boki na barowym stołku. Wiadomo było, co się zaraz stanie. Pochylając się gwałtownie najpierw na jedną stronę, a potem na drugą, w końcu spadł ze stołka i runął na podłogę jak wór kartofli. Ręka, którą wyciągnął, żeby powstrzymać upadek, przejechała po barze, ściągając na dół wodospad butelek i popielniczek. Jego spotkaniu z podłogą towarzyszył deszcz szkła. Zaraz potem o podłogę huknął stołek.

Celia spojrzała jadownicę na męża.

— To najbardziej romantyczne miejsce, w jakim kiedykolwiek się zatrzymałam.

Pokój Kate — na ostatnim piętrze hotelu — prezentował się znacznie lepiej, niż się spodziewała. Stało w nim wielkie mosiężne łóżko i przestronna szafa, a „wygody” — toaletę, umywalkę i kabinę z prysznicem — umieszczono pod przeciwległą ścianą. Ale największa jego zaleta znajdowała się za oszklonymi drzwiami, na których wisiały białe żaluzje.

Otworzywszy je, Kate wyszła na maleńki, wyłożony czerwoną terakotą i obramowany pomalowaną na biało balustradą balkonik. Stał tam stolik z marmurowym blatem i białe plastikowe krzesło. Płytki promieniowały ciepłem, grzejąc stopy Kate, gdy przechyliła się przez barierkę i wdychała pachnące ziołami powietrze.

Z balkonu roztaczał się wspaniały widok na Place de l'Eglise. Kate przyjrzała się dwóm wieżom kościelnym — jedna z dzwonem, druga z zegarem, obie pomalowane na wesoły brzoskwinowy kolor. Potem przyjrzała się domom. Okna były umieszczone w tak przypadkowy sposób w wiekowych murach, że trudno było powiedzieć, gdzie jeden budynek się kończył, a drugi zaczynał. Ciemne od winorośli lub rozjaśnione bugen-willami domy różniły się bardzo pod względem wysokości. Niektóre miały cztery piętra, inne, z krytymi balkonami na

ostatniej kondygnacji, nawet pięć. To zróżnicowanie sprawiało, że linia dachów przypominała krzywe zęby.

Tylko jeden dom przy placu, zajmujący cały jego bok naprzeciwko kościelnych wieży, wyglądał inaczej. Wspanialszy i bardziej regularny w kształcie od pozostałych, mógł się poszczycić wielkimi rzeźbionymi drzwiami zwieńczonymi kamiennym herbem, imponującymi schodami oraz wie-łodzielnymi oknami, zamkniętymi na cztery spusty. Kate przyglądała mu się z zaciekawieniem. Było oczywiste, że dom należy — a raczej niegdyś należał — do kogoś ważnego.

Dłuższe boki prostokątnego placu otaczały grube mury z arkadami. Podzielone przez potężne filary, otwierały się na plac niczym krużganki. Pod łukami biegł chodnik, na który wychodziły drzwi domów stojących przy placu — wiekowy ciąg przypadkowych kształtów i wysokości.

Zauroczona Kate patrzyła w dół, na głowy i ramiona przechodzących poniżej ludzi. Spojrzała na ludzi siedzących w Café de la Place. Uśmiechnęła się na widok pięciu staruszek w kwiecistych fartuchach, siedzących w słońcu na ławce przed kościołem. Z wyrazu ich twarzy wynikało jasno, że mijający je świat, który tak uważnie obserwowały, nie spełnia ich oczekiwań.

W końcu Kate wróciła do pokoju. To prawdziwy pokój z widokiem, pomyślała. Szkoda, że będzie musiała go opuścić, gdy spotka się z Natem. Aż podskoczyła, gdy za jej plecami zadzwonił telefon. — Gotowa? — zapytała Celia. — Lance już świruje. Musisz być na dole za dziesięć minut.

Pędzili drogą wzdłuż wybrzeża citroenem Lance'a. Kate patrzyła oczarowana na lśniące morze.

Zbliżającą się Niceę zapowiadał rząd jasnych hoteli z ozdobnymi balkonami, rzeźbami i kopułami, lśniącymi w wieczornym słońcu. Uwagę Kate przyciągnęła wyjątkowo piękna fasada zwieńczona kopułą w łososiowym kolorze.



Lance wściekł się na światła, przez które musiał się zatrzymać. Pogrzebał niecierpliwie w kieszeni, wsadził do ust ręcznie zwijanego papierosa i przyłożył do niego zapalnik. Kiedy ciężki ziołowy zapach zaczął wypełniać samochód, Kate rozpoznała woń marihuany.

Na zewnątrz był ciepły wieczór, ale w samochodzie panował upał. Kate, roztapiając się w swoim musztardowym lnianym kostiumie, czuła, że jej kostki i stopy puchną jak rosnące ciasto. Smród skręta przyprawiał ją o mdłości.

Musiała się zbierać w takim pośpiechu, że zdążyła jedynie złapać notatnik, przetrząsnąć walizkę i upiąć wysoko włosy, mając nadzieję, że ukryje w ten sposób nie tylko brak zdecydowanego koloru, ale w ogóle jakiegokolwiek stylu. Teraz jednak czuła, jak powoli rozsypują się i opadają na kark. W końcu Celia i Lance przestali się kłócić. Właściwie to przestali się do siebie w ogóle odzywać. Celia wyglądała bardzo ładnie i modnie w lejącej się kremowej sukience z jedwabiu, blad różowej paszminie i przyprawiających o zawrót głowy szpilkach, które sprawiły, że urosła niemal o głowę. Jej jasne włosy lśniły w głębokim wieczornym świetle, a wielkie okulary w stylu Jackie O. dodawały całości wyrafinowania.

— Dymka? — zapytał nagle Lance, podsuwając Kate skręta. Wzięła go. Podobno marihuana działa uspokajająco. Włożyła skręta do ust.

I wtedy przez otwarte okno wpadł powiew powietrza znad morza i zdmuchnął kawałek żaru prosto na jej lnianą marynarkę. Nim zdążyła go strzepnąć, wypalił w materiale obrzeżoną na czarno dziurę wielkości pięciopensówki. Kate jęknęła przerażona. Marynarka była do wyrzucenia. A pod spodem miała tylko stanik, i to nie najpiękniejszy. Dziury nie sposób było nie zauważyć, bo znajdowała się dokładnie na sutku. Kompletna klapa. Co pomyślą sobie ci wszyscy olśniewający goście na tym olśniewającym przyjęciu? Nie wspominając już o Nacie.

Celia odwróciła się.

— O cholera.

— Nie przejmuj się. — Lance wyszczerzył zęby w uśmiechu i zmrużył z rozbawienia oczy, zerkając we wsteczne lusterko. — I tak nikt na ciebie nie spojrzy.

Już z daleka widzieli wielką różową willę, w której się odbywało przyjęcie. Znajdowała się na samym końcu półwyspu Cap Ferrât, a światła i ruch widoczne były już z głównej drogi. Lance zaparkował citroena za rogiem, paręset metrów od wejścia.

— Nie chcę, żeby mnie zastawili — wyjaśnił, kiedy wysiedli.

— Samochodami wartymi setki razy więcej, chciałeś powiedzieć — przycięła mu Celia, wciskając się na obsadzone żywopłotem pobocze, gdy mijał ich strumień limuzyn o przyciemnionych szybach. — Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś. — Spojrzała z żalem na buty. — Te szpilki nie zostały stworzone do tego, aby w nich chodzić.

Lance popędził przodem, a Kate pomagała idącej chwiejnym krokiem i przeklinającej Celi. Nastrój jej się nieco poprawił, kiedy zobaczyła wejście na przyjęcie: bramę zwieńczoną dwoma wazami, w których tańczyły żółte płomienie, wyraźnie widoczne na tle pogłębiającego się błękitu wieczornego nieba. Tłum gapiów obserwował lśniąca procesję samochodów, zaglądając przez przyciemniane szyby do środka, żeby zobaczyć, kto jedzie. Czasem rozlegały się brawa. Przy bramie grupka lokajów w perukach i kostiumach z czasów Mozarta pochylała się do okien samochodów i sprawdzała zaproszenia.

Za bramą Kate ujrzała czerwony dywan, wzdłuż którego stali przepychający się fotoreporterzy, i długi, obsadzony palmami podjazd. Ci, którzy wysiadali z limuzyn, witani byli błyskami fleszy i entuzjastycznymi okrzykami.

— Leonardo! Tutaj! Hugh! Renée! Uśmiechnij się do nas! Z napiętymi z podniecenia mięśniami brzucha Kate gapiła

się na płonąca bramę, odbijającą się w lśniących limuzynach. Nie mogła uwierzyć, że się tu znalazła. Była półprzytomna z przejęcia, ale po chwili cichy głos przywołał ją do rzeczywistości, przypominając, że nie wiadomo, czy w ogóle uda jej się wejść do tego zaczarowanego świata.

Ten głos należał do jej nowej przyjaciółki.

— Chodź — syknęła Celia do Lance'a, który wyraźnie miał opory. — Musisz wprowadzić Kate, nie zapomnij!

Ponaglany gniewnym spojrzeniem żony, Lance machnął zaproszeniem przed kamiennymi twarzami lokajów i zaczął im wyjaśniać obecność nadprogramowej osoby. Kate wstrzymała oddech. Na twarzach służących malowało się powątpiewanie. Obejrzeliby zaproszenie, plakietki i notatki Lance'a — Kate zauważyła, że jest ich cała teczka — i zaczęły naradzać się ze sobą.

Nagle rozległ się ogłuszający ryk. Oczy wszystkich powędrowały do wielkiego czarnego motocykla, który pojawił się przy bramie.

— Anioły Piekła! — sapnęła podekscytowana Celia, gdy przysadzisty brodaty motocyklista zdjął kask, odsłaniając przetłuszczone włosy, opadające wąsy i groźną twarz.

Jego pasażerka, smukła postać w obcisłej, lśniącej czerni, również zdjęła kask i odrzuciła do tyłu długie jasne włosy.

— Raczej aktorka z piekła — mruknęła Kate.

Patrzyła, jak Champagne B. Oska przerzuca długą, obleczoną w plastik i uzbrojoną w ostry obcas nogę nad motocyklem i staje na ziemi. Widząc, jak aktorka rozpina się prawie do pępka, pomyślała, że pewnie zaspawano ją w tym kocim kostiumie. Nie dość, że przylegał bez najmniejszej zmarszczki, to jeszcze nie odsłaniał ani grama zbędnego ciała.

— Z pewnością opanowała pierwszą zasadę bycia gwiazdą — zauważył z podziwem Lance, kiedy ochroniarze, zagapieni na Champagne błyskającą do aparatów zębami i rowkiem między piersiami, przepuścili bez słowa ją i jej towarzysza. — Wie, jak zrobić wielkie wejście. Pojawiła się na motorze, podczas gdy wszyscy inni przyjeżdżają w limuzynach.

— Albo w citroenie — przypomniała mu zjadliwie Celia, kiedy zbliżali się do czerwonej dywanowej rzeki. — Nie zapomniała też o drugiej zasadzie. Cycki miała prawie przy szyi.

— Cycki to dobry start — odparł Lance, zerkając znacząco

na niezbyt obfite piersi żony. — Ta dziewczyna dobrze wie, jak przyciągnąć uwagę — dodał.

Idącej po karmazynowym dywanie Champagne towarzyszyły błyski fleszy.

— O, ty najlepiej o tym wiesz — rzuciła kwaśno Celia.

— Ale to nie jej robią zdjęcia. — Kate wyciągnęła szyję. — Za nią idzie Sharon Stone. Champagne wygląda na wściekłą.

Jej serce załomotało gwałtownie, gdy sama również weszła na czerwony dywan. Szkoda, że babcia jej teraz nie widzi. Nawet tata byłby pod wrażeniem. Z przejęcia zapomniała o zniszczonym żakiecie — dopóki Lance nie wskazał na pochodnie płonące pomiędzy palmami i nie zaczął się z niej podśmiewać, mówiąc, żeby lepiej uważała.

— Zamknij się — warknęła Celia. — Nie widzisz, że Kate się martwi?

— Och, wybacz — odparł, szczerząc zęby. — Ale na szczęście mam coś, co to zakryje. — Zatrzymał się, pogrzebał w kieszeni i podał coś Kate. — Proszę. Ktoś dał mi to przedwczoraj na przyjęciu promocyjnym w telewizji.

Kate spojrzała na znaczek w dłoni. Był na nim napis „Foczek na łyżwach” zrobiony neonoworóżowymi, dużymi literami na jaskrawożółtym tle.

— Chyba nie promowali nowego wizerunku „Newsnight”? — rzuciła sucho Celia.

— Jesteś zbyt uprzejmy — powiedziała Kate i oddała znaczek Lance'owi.

— Lepšie będzie to... — Nie zważając na obcasy, Celia schyliła się chybotliwie i zerwała dla Kate białą różę z pobliskiego krzewu.

Obie popędziły dywanem, a Lance szedł powoli za nimi, specjalnie trzymając się z tyłu.

Fotoreporterzy opuścili obiektywy i zaczęli rozmawiać ze sobą.

Długi, szeroki podjazd do willi wznosił się lekko. Pomiedzy rozłożystymi jak parasole sosnami otwierał się widok na błękitnoperłowe, jedwabiste morze. Powietrze było ciężkie od zapachu jaśminów. Kate wzięła przyprawiający o zawrót głowy głęboki wdech.

Lance, który już je dogonił, popsuł im nastrój. Pokazał wielki jasny budynek na wybrzeżu i powiedział, że to hotel, w którym zatrzymał się Michael Winner.

— Pewnie będzie na przyjęciu — dodał.

— Nie mogę się doczekać — mruknęła Celia.

Przy wejściu do willi kłębił się tłum. Kate, rozglądając się za Natem, rozpoznała szczupłego mężczyznę w białym garniturze, ze złotymi spinkami w mankietach oraz takimi samymi guzikami i oprawkami okularów przeciwsłonecznych. W rzeczywistości prezentuje się znacznie lepiej niż na zdjęciach, pomyślała.

— Więc jest tu także stary P. Diddy. — Lance wyszczerzył zęby i wyciągnął notatnik. — Ale to oczywiste, że musiał się zjawić, jego jacht jest właśnie w Monaco. Przyznam, że chętnie dałbym się na niego zaprosić. Ej! Puffy, ty stary łajdaku! To ja, Lance, pamiętasz? — wrzasnął jak kumpel do kumpla.

Mężczyzna w białym garniturze spojrzał na niego i natychmiast odwrócił się, wracając do przerwanej rozmowy. Lance zacisnął zęby ze złości. Zaraz się jednak rozluźnił.

— No proszę! — zawołał, podchodząc do grupy ludzi, którzy stali na końcu czerwonego dywanu. — Cały stary gang z Riwiery! David Coulthard, Ivana, lady Victoria Hervey... Victoria! — krzyknął do opalonej blondynki o końskiej twarzy, w bluzeczce wyglądającej jak duży naszyjnik.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem, a potem odeszła.

Ku rozczarowaniu Kate, Sharon Stone, Leonardo DiCaprio i Renée Zellweger zniknęli gdzieś. W przeciwieństwie do mnóstwa innych, wyglądających jak żaby mężczyzn i kobiet.

— To właściciele wytwórni filmowych — wyjaśniła Celia. — O wiele potężniejsi od aktorów.

Chociaż może nie tak mili dla oka.

— Kto to? — zapytała Kate, kiedy jej uwagę przyciągnął ogromny mężczyzna w czarnych jak smoła okularach, o ciemnej cerze i tłustych włosach. Obok niego stała chuda blondynka w sukience z cekinami.

— Marty St Pierre — odparła Celia. — I jego żona Mandi. Kate nie mogła przestać się gapić na wielkiego mężczyznę.

Było coś zdecydowanie nieprzyjemnego w jego garbatym nosie, brodzie przypominającej łopatę i lśniącem oberżynowym garniturze. Miała wrażenie, że wszystkie włosy, które już opuściły jego rzadko porośniętą głowę, zsunęły mu się za kołnierz.

— Czym się zajmuje?

— Ćśś! — Lance nerwowo rozejrzał się wokół. — Trzyma rękę na wszystkim. Głównie siedzi w nieruchomościach, ale robi też filmy. Te wszystkie filmy o mafii, no wiesz, *Krwawi łajdacy*, *Źli łajdacy*, *Okrutni łajdacy*... to on je wyprodukował. Wyłożył na nie sporo pieniędzy.

— Och. — Kate przypomniała sobie, że widziała te tytuły w lokalnym multipleksie.

— Ale wszyscy mówią, że tak naprawdę zainteresował się filmem tylko dlatego — dodała Celia — że mógł się bardziej zaangażować w castingi. Rozumiesz, co mam na myśli.

Kate rozumiała.

— Nie przypuszczałam, że wciąż jeszcze robi się castingi przez łóżko.

Celia spojrzała na nią ze zdziwieniem, a Lance zaśmiał się. Kate wzruszyła ramionami. Cóż, może rzeczywiście była naiwna. Ale trudno było jej wyobrazić sobie mężczyznę o gabarytach Marty'ego, szalejącego na szeszlangu. Jedyna konstrukcja, jaka mogłaby wytrzymać jego ciężar w trakcie akrobacji miłosnych czy innych, to most wiszący.

— W każdym razie jest naprawdę straszny — powiedziała Celia. — To właściwie gangster.

— Ćśś! — syknął znowu Lance, wymachując nerwowo rękoma.

— A te historie o jego pokerowych imprezach... — ciągnęła Celia, nie przejmując się mężem.

— Imprezy pokerowe? — zdziwiła się Kate. — Masz na myśli karty?

— A widziałas, żeby grano w pokera czymś innym? — prychnął Lance. — Celia! Chcesz, żeby mi przestrelili rzepki?

Jego żona skrzyżowała ramiona.

— Jest to jakiś pomysł.

\_ I co się dzieje na tych pokerowych imprezach? — zapytała zaintrygowana Kate.

— Zapytaj raczej, co się nie dzieje — odparła głośno Celia. W tym momencie Lance postanowił więcej się nie narażać i odszedł.

— Marty sprasza wszystkich, którzy trzymają w garści przemysł filmowy. Plus paru przyjaciół ze świata zorganizowanej przestępczości. Oraz garść potencjalnych aktorek, które robią za kelnerki.

— I grają w karty?

— Od czasu do czasu tak. Kiedy któryś chce kanapkę, wskazuje na talerz. Jeśli chce się napić, wskazuje na kieliszek. A jak chce, żeby mu obciągnąć, to wskazuje na swój...

— Nic nie mów! — krzyknęła Kate, patrząc z przerażeniem na Marty'ego St Pierre'a.

Rozmawiał teraz z przymilającą się do niego Champagne B. Oską. Niemal wpychała mu biust w twarz. - Biedna jest ta jego żona — dodała Kate, widząc, że pani

St Pierre patrzy na to z kwaśną miną. — Czy ona wie o tych... ehm... imprezach?

Celia spojrzała na nią.

\_ Pytasz mnie, czy Mandi wie o pokerowych spotkaniach?

Kate pokiwała głową.

— A jak myślisz, gdzie poznała Marty'ego?

— Och. Rozumiem.

— Chodź — ponagliła ją Celia. — Wejdziemy w końcu do środka czy nie?

Nawet z daleka willa robiła wrażenie, ale z bliska okazała się niezwykła. Zajmując najwyższy punkt przyłądka Cap Ferrat, wyglądała jak różowy baśniowy pałac, tak piękny, że chciałoby się go zjeść. W ścianach przypominających różany krem znajdowały się liczne okna okolone smukłymi skreconymi kolumnami w białym kolorze. Nad wejściem wznosiła się rzeźbiona fantazja zwieńczona delikatnymi wykończeniami.

— To wygląda jak drzwi do katedry — zauważyła oczarowana Kate.

— Zabawne, że pani ma takie skojarzenia — odezwał się ktoś z boku. — Bo rzeczywiście pochodzą ze średniowiecznego hiszpańskiego klasztoru.

Kate spojrzała w prawo. Była tak zajęta podziwianiem architektonicznych szczegółów, że dopiero teraz zobaczyła przy wejściu licznych kelnerów z tacami zastawionymi szampanem. Podobnie jak lokaje przy bramie, nosili białe peruki przewiązane czarnymi wstążkami, koronki przy szyi i nadgarstkach, satynowe spodnie do kolan, brokatowe kurtki i pantofle ze sprzączkami, wszystko w różnych odcieniach bieli, srebra i różu. Spodnie były bardzo obcisłe, a jedwabne pończochy podkreślały kształt smukłych, zgrabnych łydek. Mieli piep-rzyki w okolicy ust, lecz resztę twarzy ukrywali za czarną maską. Sądząc po ładnej brodzie i nosie, nie wspominając już

O ciemnych oczach, kelner, który z nimi rozmawiał przy drzwiach, musiał być przystojny.

Zaproponował im szampana ze swojej tacy.

— Dzięki. — Celia wzięła kieliszek i podała go towarzyszce.

— Z klasztoru? Jak to możliwe? — zapytała Kate.

— Kobieta, która wybudowała ten dom, była bardzo bogata — wyjaśnił kelner. — Była wielką kolekcjonerką. Handlarze antyków z całej Europy przywozili meble, obrazy i nawet rzeźbione drzwi kolejną na stację w Beaulieu. Przyjeżdżała tam i wybierała różne rzeczy od razu na peronie.

— Niesamowite.

— Najbardziej lubiła osiemnasty wiek. Większość mebli pochodzi z tego okresu. To dlatego nosimy takie ubrania. — Potrząsnął koronką przy nadgarstkach i uśmiechnął się.

Kate odpowiedziała mu uśmiechem, zastanawiając się, co jest bardziej godne podziwu: jego bezbłędna angielszczyzna czy może raczej umiejętność noszenia tak obcisłych spodni.

Stojąca obok nich Celia zaśmiała się głośno.

Kate odwróciła się do niej.

— Co się dzieje?



— Lance. Popatrz tylko, jak próbuje porozmawiać z Russellem Crowe'em.

Lance rzeczywiście skręcił gwałtownie w stronę australijskiego aktora, który rzucił mu podejrzliwe spojrzenie i szybko zniknął, gdy tylko tłum mu na to pozwolił.

— Russ! — krzyknął Lance. — Nie pamiętasz mnie? Panie Crowe!

— Chodź. — Celia chwyciła Kate za łokieć.

Potknęła się, gdy jednocześnie próbowała wejść po marmurowych schodach i upić łyk szampana.

— Spokojnie. — Kate złapała ją pod ramię. — Masz bardzo wysokie obcasy.

— Na imprezy trzeba takie zakładać.

— Dlaczego? Wyglądają jak narzędzie tortur.

— I takie właśnie są, ale jeszcze gorszą torturą jest tańczenie o trzeciej nad ranem z twarzą wtuloną w przepoconą pachę jakiegoś gościa, który skakał od ósmej. Dzięki obcasom ląduje się przynajmniej gdzieś na poziomie ramienia.

Kiedy szły, Kate rozejrzała się i dotknęła notatnika w kieszeni. Bardzo chciała znaleźć Nata, ale nie mogła zapominać, po co się tu zjawiała. Musi zacząć zbierać filmowe ciekawostki dla „Tygodnika”. Niektóre twarze rozpoznawała, innych nie, a co do wielu nie była pewna, czy są ważne. Na szczęście miała Celię, która wszystkich знаła.

— Kim oni są? — zapytała, wskazując kieliszkiem dwóch mężczyzn rozmawiających nieopodal.

— Jeden z nich to Ridley Scott.

— Ten od *Łowcy androidów*?

— A ten w okularach jak kujon to Slim Cortez, najmodniejszy obecnie reżyser. — Celia ziewnęła. — Zrobił film *Tyś Kant*, dzięki któremu filozofa jest teraz naprawdę na fali. Dokonał zwrotu w egzystencjalizmie czy czegoś w tym stylu.

Kate nadstawiła uszu, żeby usłyszeć, co Cortez mówi. Brzmiało to zadziwiająco pretensjonalnie.

— ...no tak, ale jeśli tak zwany „ja” wyreżyserowałem tak

zwany „film”... — perorował, a Ridley Scott patrzył na niego, mrużąc oczy.

Mrużył je coraz bardziej, aż znajoma postać przerwała im rozmowę:

— Ridleeee! A może raczej sir Ridley!! Moje gratulacje, stary! — zawołał Lance, próbując przybić piątkę ze Scottem.

Mrucząc coś, co nie brzmiało zbyt przyjaźnie, Ridley Scott zniknął w tłumie.

— Czy wiesz — zapytała Celia, biorąc sobie kolejny kieliszek szampana — że wino neutralizuje się w naszym organizmie w ciągu godziny? Wejdziemy do środka?

Wnętrze willi wyglądało jeszcze bardziej luksusowo i baśniowo. Hol, którego sufit wyłożono kasetonami z wizerunkami renesansowych głów, prowadził na marmurowe patio z małymi okrągłymi stolikami, na których stały migoczące świece, srebra i szkło. Jak na razie nikt jeszcze nie usiadł na otaczających je małych złotych krzeselkach.

Patio obiegała z czterech stron kolumnada, nad którą znajdowała się galeryjka z balustradą.

Roześmiane twarze gości były oświetlone pochodniami zawieszonymi u szczytów kolumn. Ale żadna z nich nie należała do Nata.

## Rozdział 11

Kate wzięła głęboki wdech, złapała z tacy kolejny kieliszek szampana i zmusiła się do zachowania spokoju. Nat musiał gdzieś być pośród tego falującego, błyszczącego tłumu. Pewnie w końcu na niego wpadnie. A do tego czasu powinna się rozluźnić. Dobrze się bawić. I obserwować.

Willa była pełna obrazów i rzeźb. Kate miała zamiar obejrzeć wszystkie rzeczy, które romantyczna, kochająca antyki właścicielka domu wybrała na peronie.

— Mówisz, że chciałabyś zobaczyć dzieła sztuki? — Celia pociągnęła ją z powrotem. — Kochanie, oglądanie obrazów na przyjęciu to towarzyska śmierć. Oznacza, że nie masz z kim rozmawiać.

— A co z galeriami i wystawami? Tam to też towarzyska śmierć?

— Zwłaszcza tam.

Gwar rozmów i kroki na marmurze odbijały się echem od migoczącego sufitu. W powietrzu fruwały strzępki zdań, ich słownictwo i stylistyka zdradzały przynależność mówiących do różnych warstw społecznych.

— ...ta sukienka jest taka obcisła, że zupełnie nie mogę oddychać.

— Nie tak obcisła jak spodnie Gwyneth. Niemal można jej czytać z warg...

Kate wyłowiła z kieszeni zakietu notatnik i ukradkiem zapisała w nim kilka uwag. Musi zebrać jak najwięcej ciekawostek z tego przyjęcia, szczegółów, które będą oddawały jego koloryt — jak nazywał to Wemyss — do reportażu dla „Wychodnika”. Ale sam koloryt to za mało. Zważywszy na to, że przyjechała na festiwal filmowy jako pierwszy od dwustu czterdziestu dziewięciu lat dziennikarz „Wychodnika”, Peter Hardstone — a co za tym idzie także Denys — będzie oczekiwał przynajmniej jednego wywiadu na wyłączność z prawdziwą gwiazdą.

To jasne, że tego rodzaju wywiad sam nie wpadnie jej w ręce. Nawet taki bezczelny pismak jak Lance miał duży kłopot z przyciągnięciem czyjejś uwagi. Musi znaleźć jakąś samotną gwiazdę i zaatakować. Na pewno w końcu trafi jej się okazja, bo ludzie przechodzili od grupy do grupy, ledwo zdążywszy zamienić parę słów.

— Dziwną rzecz zrobili z tymi krewetkami. — Celia przyglądała się nabitej na szpilkę kombinacji ze skorupiakiem i winogronem, którą wzięła z mijanej tacy. — Pewnie to szaszłyki z owoców morza. Widziałaś te różowe pieczone ziemniaczki?

Kate nie widziała. Wciąż rozglądała się za Natem. I wciąż nic, ani śladu.

— Podziwia pani obrazy? — Nagle znowu obok niej znalazł się znajomy kelner. — Tamten jest naprawdę wspaniały. To *Wenecki szlachcic* Carpaccia.

Kate z roztargnieniem zerknęła na blondyna ze szpadą, odsłoniętego właśnie przez Michaela Douglasa, który pochylał się, żeby ucałować Kate Beckinsale w oba policzki.

— Och. Racja. Tak, jest wspaniały.

Kelner spojrzał na nią poprzez otwory w masce. Ma dziwne oczy, pomyślała Kate. Głęboko osadzone, ciemne i śmiałe. Zastanawiała się, jak wygląda reszta jego twarzy, ale nagle spojrzała w bok, bo jej uwagę przyciągnął ktoś wysoki i przystojny, o ciemnozłoty włosach. Nie był to jednak Nat.

— Szuka pani kogoś? — zapytał kelner.

— Hmm... tak.

— Może męża?

— Ehm... nie całkiem. To raczej mój... hmm...

— Chłopak? — podsunął kelner lekkim, neutralnym tonem.

— W pewnym sensie — odparła Kate. Pokiwał głową.

— Może mógłbym pomóc. W końcu muszę krążyć wśród ludzi. Jak wygląda? Jest przystojny?

Szampan przyjemnie przelewał się po jej pustym żołądku i spłukiwał rozdrażnienie, przynosząc w zamian bez troskę i leciutkie zamroczenie.

— Och, tak! Jest bardzo przystojny — zachichotała.

— Ej, kelner! — wrzasnął ktoś po angielsku.

Kate odwróciła się. Nawet gdyby nie wiedziała, że to Brytyjczycy, i tak by się zorientowała. Tylko Anglik mógł uznać, że intensywnie czarne ray-bany pasują do szczęk białych i pulchnych jak surowe ciasto. Albo że rzadkie mysie włosy wyżełowane w czubek wyglądają dobrze. Tak samo jak karmazynowe spodnie w kwiaty, które włożył jeden z nich.

— Więcej szampana! I streszczaj się! — warknął facet w kwiecistych spodniach, z niebieskimi żyłkami na gołych nogach. Nosił mokasyny bez skarpetek.

Kate aż podkurczyła palce stóp, widząc, jak niegrzeczni są jej rodacy. Zaraz jednak je wyprostowała, gdy kelner, ignorując ich, odszedł w innym kierunku.

— Cholerne żabojady! — ryknęli Anglicy. — Nie zapominajcie o Agincourt!

— Ickeee!

Kate aż podskoczyła, gdy usłyszała za plecami ten świdrujący okrzyk.

Kiedy się obejrzała, zobaczyła kobietę wyglądającą jak pierwsza żona Jabby'ego Hutta, która usiadła na podłodze i zaczęła karmić piersią olbrzymie dziecko.

Obok Kate znowu pojawiła się Celia i wzięła sobie następny kieliszek różowego szampana.

— Najlepsza rzecz w tych wszystkich tłocznych przyjęciach to fakt, że niezależnie od tego, ile wypijesz, nie przewrócisz się — zauważyła. — Ścisk utrzymuje cię w pionie.

— Ickeee!

— Kto to jest? — zapytała Kate. Celia przewróciła oczami.

— Jacaranda Thwaites. Wyszła za Ichaboda Thwaitesa, aktora. Próbuje zachowywać się jak ktoś z cyganerii, ale wszyscy ją tolerują, bo teraz jej mąż jest naprawdę na fali.

Kate patrzyła, jak Jacaranda rękoma grubymi niczym słupy latarni ulicznej unosi swoje ogromne dziecko i wacha jego pupę.

— Ickee! — krzyknęła znowu.

Młody mężczyzna z kozią bródką, uginający się pod ciężarem wielkiej torby z rzeczami dla dziecka, niechętnie odszedł od łysego typu żującego cygaro — zapewne producenta, zdaniem Kate sprawiającego wrażenie naprawdę ważnego.

— Ickee! Szybko! Prospera ładuje!

— Czarujące — mruknęła Celia. Jej ciemne okulary zamigotały w świetle tysięcy świec. A raczej, biorąc pod uwagę, że był to najmodniejszy rekwizyt tego wieczoru, w świetle odbitym od tysięcy innych okularów. — Patrz, kochana, tam stoi Dora Skinner, aktorka, którą uważa się za nową Kate Winslet. — Która to? — Uwagę Kate na chwilę odciągnęła prawdziwa Kate Winslet, która właśnie ją mijała, odrzucając na plecy jasne włosy.

— Ta w brązowych spodniach, kończących się tuż nad rowkiem między pośladkami, z mężem jak żaba. Kate zaśmiała się.

— Mówisz o nich tak, że wszyscy sprawiają wrażenie bardzo interesujących.

— Naprawdę, kochana? Z pewnością nie taki był mój zamiar. Patrz, tam stoi lord Crisp.

— Kto to jest?

— Obrzydliwe bogaty angielski arystokrata, który wyobraża sobie, że jest producentem filmowym. A to jego narzeczona,

ehm... kalifornijska modelka erotyczna, Tiddles. Oczywiście związała się z nim, bo jest taki przystojny i czarujący.

Kate przyjrzała się gibkiej blondynce owiniętej wokół czegoś, co wyglądało jak potwór morski.

— A to Ziggy Spokes.

— Ach, tak... — Kate miała wrażenie, że skądś zna to nazwisko. — Ziggy Spokes.

— Nadzieja brytyjskiej literatury — przypomniała jej Celia. — Jego pierwsza powieść, *Pogrzeby złotych rybek*, była wielkim bestsellerem. Została sfilmowana przez Warner Bros.

Kate spojrzała na Ziggy'ego Spokesa z zazdrością. Jak na kogoś, kto utożsamiał wszystko, czego sama pragnęła od życia, wyglądał raczej niepozornie. Młody mężczyzna o potarganych włosach, w brudnej zamszowej marynarce, który nałożył sobie pełen talerz jedzenia i teraz pracowicie je pochłaniał. Może i nie wyglądał jak nadzieja angielskiej literatury, ale na pewno dobrze wróżył francuskiemu cate-ringowi.

Minął ich Lance. Jedną rękę trzymał na tyłku wysokiej zgrabnej blondynki, która sprawiała wrażenie, jakby się gdzieś spieszyła.

— A to kto? — zapytała z oburzeniem Kate. Blondynka przytrzymała wspaniały czerwony szal wokół

opalonych ramion. Wokół jej smukłych łydek szeleściła czarna szyfonowa suknia, a w perfekcyjnie zmierzwionych włosach kiwał się pęk różowych i pomarańczowych piór.

— Letitia Gardener-Driver-Cooke \*. Brzmi to jak ogłoszenie o pracy w „The Lady”, prawda?

— A kim ona jest?

— Reporterką wiadomości. Robi wszystkie kawałki z Hollywood dla BBC, czyli programu dla Blondynek Bardzo Cyca-tych — rzuciła kwaśno Celia.

Lance gapił się na piersi kobiety.

\* *Gardener* (ang.) — ogrodnik, *driver* (ang.) — kierowca, *cook* (ang.) — kucharz.

Kate poklepała współczująco rękę Celi. To okropne musieć patrzeć, jak mąż zachowuje się w ten sposób.

— Och, spójrz — rzuciła pospiesznie, żeby odwrócić uwagę przyjaciółki. — Kolacja!

Widok rzędów kelnerów niosących srebrne kopulaste przykrycia na tacach sugerował, że niedługo podadzą jedzenie. Mistrz ceremonii w czerwonej kurtce zaczął przywoływać wszystkich do stołów. Kate poprowadziła Celię w stronę najbliższego, odsunęła złocone krzeselko i zdecydowanym gestem posadziła na nim przyjaciółkę.

Szybko się zorientowały, że tylko one usiadły. Wszyscy pozostali czekają, aż sławy się zdecydują — wyjaśniła Celia. Dopiero wtedy będą wiedzieli, które stoły mają wzięcie i gdzie się coś dzieje. Kłopot w tym, że gwiazdy nie zamierzały się poddawać.

Do ich stolika podeszła chwiejnym krokiem Jodie Kidd, zerknęła na Kate i Celię i odwróciła się. Jakaś kobieta w sukience w leopardzie cętki usiadła trzy miejsca dalej, ale w końcu nie wytrzymała nerwowo i zerwała się. Zaraz potem do stolików podeszła rozchichotana grupa, rozkołysana szampanem, i opadła na krzesła. Kilkoro z nich powitało radośnie Celię.

— Kim oni są? — zapytała szeptem Kate.

— To dziennikarze z gazet — odszepnęła Celia. — Z „Telegraph”, „Daily Mail”, „Times”, „Mail on Sunday” i „London Evening Standard”. Jeśli zamierzasz zrobić z siebie idiotkę, to nie tutaj.

Dostaniesz w tyłek w każdej gazecie w Wielkiej Brytanii.

— Wyglądają na fajnych — stwierdziła Kate.

Patrzyła na pokrzykujące, roześmiane towarzystwo, przekomarzające się i wlewające w siebie ogromne ilości szampana. Dziennikarstwo nigdy nie było tak zabawne w „Wychodniku”. Do tej pory, rzecz jasna.

— Nie są źli — przyznała Celia. — Nawet w połowie nie tak pretensjonalni jak Lance. Ale z drugiej strony kto by się tak błąźnił jak on?



Siedzący przy stole dziennikarze ucichli, gdy gasnący gwiazdor koło sześćdziesiątki podszedł bliżej i obrzucił ich badawczym spojrzeniem. Nie zrobili na nim wrażenia.

— Chodź, kochanie — ponagliła gwiazdora jego towarzysza, smukła brunetka prawdopodobnie mająca jakieś dwadzieścia lat. — Usiądźmy.

Pokręcił głową.

— Nie ma tu nikogo, kogo bym znał — poskarżył się. — Wiesz, że nie mogę siedzieć z bandą ludzi, którzy są nikim.

Dziennikarze wybuchnęli śmiechem.

— No dobra. — Pulchny młody człowiek w okrągłych okularach zatarł ręce. — Rozbierzmy tego łajdaka na części pierwsze. Ja zajmę się jego farbowanymi włosami, a kto napisze o wkładkach do butów? Wszyscy ryknęli śmiechem. Kiedy ucichli, Kate znowu przyjrzała się mijającym ją ludziom. Nadal żadnej samotnej gwiazdy. Ani Nata.

— Idź — powiedziała Celia, biorąc kolejny kieliszek różowego musującego płynu od przechodzącego kelnera. — Idź i poszukaj go. Przecież widzę, że siedzisz jak na szpilkach.

Kate pokręciła głową.

— Dlaczego nie chcesz iść?

— Popatrz.

Skinęła głową w stronę Lance'a i Letitii. Dziewczyna obejmowała męża Celi i niecierpliwie patrzyła mu w oczy. A on niecierpliwie gapił się na jej piersi.

— Och, Lance — mówiła. — Naprawdę myślisz, że załatwisz mi wywiad na wyłączność z Russellem Crowe'em? — Bez problemu — czarował ją Lance. — Jesteśmy z Russem starzy kumple.

Kate zazgrzytała zębami.

— Po tym, gdy tyle dla mnie zrobiłaś, nie mogę cię zostawić samej, kiedy twój mąż zachowuje się w ten sposób wobec innej kobiety. Tylko popatrz na nią. To okropne.

— Masz rację — przyznała Celia. Kate napłynęły do oczu łzy współczucia.

— Gorzej nawet, to straszne.

— Ona nawet nie stara się za bardzo. No dalej, nie żałuj sobie — ponaglała szeptem Letitię Celia. — Zabierz mi tego oślizgłego typu raz na zawsze.

— Czy twoje małżeństwo aż tak źle się układa? — zapytała ostrożnie Kate.

Celia zerwała z twarzy okulary, odsłaniając fioletowy siniak przebijający przez makijaż wokół częściowo przymkniętego lewego oka.

— To dostałam dziś po południu za to, że chciałam zabrać cię na przyjęcie.

Kate ogarnął gniew. Spojrzała na Lance'a odchodzącego z owiniętą wokół niego blondynką z telewizji.

— Łajdak! Dlaczego go nie zostawisz? Zdrowe oko Celi błysnęło.

— Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałam?

— Więc co cię powstrzymuje?

— Łatwo ci mówić. Takie rzeczy — Celia wskazała na swoje oko — nie dodają pewności siebie. — Włożyła okulary i zgarbiła się nad stolikiem.

— Oczywiście wiem, że to nie moja sprawa... — zaczęła Kate.

Nie dokończyła, spodziewając się, że Celia zaprzeczy, ale przyjaciółka nie odzywała się. Ze złością wychyliła resztę szampana.

— Ale mogłabyś odejść, no nie? — dopytywała się Kate. — Nie macie dzieci, prawda?

— Chyba żartujesz! Lance byłby najgorszym możliwym ojcem. Zdałam sobie z tego sprawę, gdy wzięłam mojego pięcioletniego siostrzeńca Xerxesa na spacer za miasto. Kiedy byliśmy w lesie — Celia westchnęła — Lance zniknął i potem nagle wyskoczył zza drzew, warcząc przerażająco i udając, że jest niedźwiedziem. Tak sobie wyobrażał dobrą zabawę.

— Co?!

— Biedny Zerky tak bardzo się przestraszył, że się pochorował. Kiedy jego matka, moja siostra, powiedziała, że jej

synek pewnie będzie musiał chodzić na terapię, Lance tylko wzruszył ramionami i stwierdził, że skoro dzieciak pochodzi z takiej rodziny, to i tak by potrzebował leczenia.

— To rzeczywiście okropne! — wykrzyknęła Kate. — Ale co miał na myśli z tą rodziną?

Celia obracała pierścionki na palcach.

— Cóż, rodzice zawsze trzymali nas na dystans. Mieszkali kilometry od nas, na drugim końcu domu.

— To musiał być wielki dom.

— Był ogromny — przyznała Celia. — Prawdziwa rezydencja rodzinna. Chociaż bardziej rezydencja niż rodzinna.

Kate była zafascynowana. Jej matka uwielbiała rezydencje i Kate jako dziecko czasem zerkała zza aksamitnych sznurów na wspaniałe, rozbrzmiewające echem wnętrza i zastanawiała się, jak to jest mieszkać w takim miejscu. Podejrzewała, że mieszkańcy rezydencji nie byli równie ciekawi, jak się mieszka w Meszuge.

Celia spojrzała na nią.

— Nie daj się zwieść pozorom. W domu było koszmarnie zimno, nigdy nie mogłyśmy jeść chipsów i nigdy nie widywałyśmy rodziców między posiłkami. Zazdrościłam każdemu, kto miał miękki dywan i kołdrę. W końcu poślubiłam Lance'a, bo tęskniłam za miłością i ciepłem. — Pociągnęła nosem i zaczęła szukać chusteczki. — Ale to drań o zimnym sercu...

Kate pogłaskała ją pocieszająco po ramionach, a Celia ze złością przytknęła chusteczkę do błyszczącego, zaczerwienionego nosa.

— Przepraszam. Mogłabym przysiąc, że wzięłam ze sobą moją twardość, ale najwyraźniej zgubili ją przy przeładunku bagażu. Nie powinnam tak marudzić. To wszystko moja wina, poza tym tu jest naprawdę cudownie. — Uniosła okulary i wytarła oczy chusteczką. — Uwielbiam Francję, mogłabym w niej zamieszkać na stałe.

Kelner postawił przed nimi talerz pełen faszerowanych grzybów.

— *Chanterelles farcies* — oznajmił z dumą.

— Prawdziwe jedzenie. Nareszcie! — wykrzyknęła Celia z wymuszonym zachwytem i natychmiast spróbowała. — Fantastyczne — stwierdziła, chociaż jej głos nadal drżał. — To chyba jedyna przyjemność, jaka mi jeszcze została w życiu.

— E, tam. Nie wierzę w to, księżno.

Kate i Celia zagapiły się na niską, zwalistą postać z kieliszkiem w ręku, która zmaterializowała się za ich plecami.

— W porządziu, dziewczynki? — zapytał z brooklyńskim akcentem mężczyzna. — Mogę się przysiąc? Jestem Chłodny Wilk.

— Nie masz takich wielkich oczu ani zębów, i w ogóle... och, rozumiem. — Celia zarumieniła się. — To po prostu slang. Pewnie chciałeś powiedzieć, że jesteś głodny jak wilk. Przepraszam, ale ze mnie matoł.

— Skąd. — Nowo przybyły uśmiechnął się szeroko, odsunął sobie złote krzeselko i usiadł. — Nie matoł, tylko elegancka kobieta. Jak masz na imię?

— Celia. Nie jestem elegancka... nie bardzo. Podejrzewam, że kiedyś byłam, ale teraz już tego nie praktykuję. — Nie martw się. Lubię prawdziwe damy. Nie interesują mnie kobiety innego pokroju. — Obrzucił ją pełnym uznania spojrzeniem od stóp do głów. — Mam na imię Ken. — Opróżnił kieliszek. — Urodziłem się i wychowałem na Shoreditch High Street, więc wszyscy mówią na mnie Hight Street Ken \*, ha, ha. Celia zachichotała nerwowo, a Kate przewróciła oczami. W tym momencie wieczoru dowcipny londyńczyk był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowały.

— Niezłe, prawda? — powiedział Ken, pracowicie przeżuując *chanterelle farcie*.

— Pychota — przyznała Celia. — Nigdy nie uważałam, że życie jest za krótkie, żeby marnować je na faszerowanie grzybów.

Ken wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy przechodzący kelner napełnił mu kieliszek.

\* Hight Street Ken — popularne określenie Kensington High Street, jednej z ulic w Londynie.

— No dalej, lej od serca, kolego. — Wyciągnął niedużą stopę w bucie z krokodylej skóry z wstawkami z szarej plecionki i pokręcił nią.

— Ładne buty — mruknęła z podziwem Celia.

Kate uważała, że wyglądają jak buty alfonsa roku, ale zdusiła śmiech.

— Dzięki. To moje ślubne krokodyle. Noszę je na śluby, pogrzeby, bar micwy i wszystkie inne wielkie okazje pomiędzy. Chłapiasz coś jeszcze? — zapytał, wyjmując butelkę szampana z wewnętrznej kieszeni marynarki. — Tylko że nie jest zbyt zimny po tym, jak go tam trzymałem.

— To się nazywa zapobiegliwość. — Celia uśmiechnęła się. — Moja bratnia dusza.

Już nie wspominając o tym, że nawet w tym samym rozmiarze, pomyślała Kate. Z Kenem nie grozi jej syndrom spoconej pachy o trzeciej nad ranem. Mogłaby stać w dziurze, a i tak sięgałaby mu powyżej ramienia. Ken wyglądał na zadowolonego. Odślonił rząd ostrych kwadratowych zębów i zaczął nimi odwijać drut z korka.

— Niech to! — wykrzyknął, kiedy korek wystrzelił głośno. — Przydałby się do tego dziadostwa tłumik.

— Przyjechałeś na festiwal filmowy? — badała go Kate. Całkiem możliwe, że był aktorem charakterystycznym — jak

Ray Winstone.

— Skąd. Po prostu przyjechałem się rozejrzeć. A właściwie na poszukiwania.

— Poszukiwania? — zdziwiła się Kate. — A czego szukasz? Ken mrugnął i popukał się palcem po czerwonym, pękatym jak kartofel nosie.

— Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, bo gdybym to zrobił, musiałbym cię potem zabić, ha, ha.

Kate spojrzała na niego ze zdziwieniem. Mówił to serio?

Minął ich kelner, pchając wózek z serami. Ostry zapach wypełnił powietrze. Kate zauważyła, że niektóre kawałki wyraźnie szykują się do ucieczki z deski.

— Och, uwielbiam śmierdzące sery! — zawołała Celia. —

Może pan zatrzymać się na chwilę? — poprosiła kelnera. — Dziękuję bardzo.

— Co za cholerstwo. — Ken zatkał nos. — Ale smród.

— Rzeczywiście, trzeba się przyzwyczaić do tego zapachu — przyznała Celia.

— Nie mylisz się, kochaniutka. Zastanawiam się, jak coś takiego można polubić. — Ken szturchnął włochatym palcem ozdobionym sygnetem zakrzepłą masę na talerzu. — Ryzykowna sprawa, uwierz mi. Trochę zaszaleli. Ciekawe, jak to się ma do unijnych przepisów.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała poirytowana Kate. — Tu jest pełno największych gwiazd. Jedzenie musi być na najwyższym poziomie.

Ken rzucił jej pełne politowania spojrzenie.

— To właśnie będą próbowali ci wmawiać. Ale nie powinnaś im wierzyć. — Znowu popukał się w nos. — Ludzie wszystko ci wmówią. Dowcip polega na tym, żeby się nie dać nabrać. Nikomu nie ufać.

— Asekurancka filozofia — prychnęła Kate. — Nie wszyscy są nieuczciwi, wiesz?

Ken wyszczerzył zęby, w głębi jego ust błysnęło złoto.

— Jeśli mogę zacytować pana Bridgera z mojego ulubionego filmu *Włoska robota...* — Wziął głęboki wdech i powiedział głosem Noela Cowrada: — „Moja droga, każdego na tym świecie można przekupić”.

Kate znowu przewróciła oczami. Dzięki niekończącym się seansom bożonarodzeniowym, podczas których siedziała na sofie wciśnięta między babcią a tatę, знаła ten klasyk komedii kryminalnej niemal na pamięć. Ale ostatnio *Włoska robota* kojarzyła jej się z mniej zabawnym przestępczym gangiem — jej pracodawcami z najgorszej restauracji na świecie.

— To szczerą prawdą — stwierdziła Celia, patrząc jak Lance, który najwyraźniej skończył już z Letitią, rzucił się w pościg za kobietą tak skąpo ubraną, że powinno się ją aresztować.

— Ej! Chloe! — krzyczał. — Panno Sevigny! Jedno słówko, jeśli ma pani minutkę.

Jasne było, że panna Sevigny nie miała minutki.

— To twój chłopak? — zapytał Ken.

— Właściwie to mąż — odparła Celia. — Co za dupek.

Kiedy zaczęła ze wszystkimi szczegółami opowiadać o swoim małżeństwie, Kate pomyślała, że czas się ulotnić. Znalezienie Nata wśród tysięcy ludzi będzie wymagało pewnego wysiłku — nie może po prostu siedzieć na tyłku. Nie zapowiadało się też, że jakaś gwiazda uczynnie podejdzie do niej i poprosi, żeby zrobiła z nią wywiad.

— Nie mogę uwierzyć, księżno, że ktoś może tak cię traktować — powiedział zdumiony Ken. — Ja bym się w życiu tak nie zachował.

Celia rozpromieniła się.

— „Dalej! Umizgaj się do mnie, umizgaj się do mnie! Bo jestem w świątecznym nastroju i na wszystko przystać gotowa” \*. — zacytowała.

— Co to?

— Szekspir.

— Idę do toalety — oznajmiła Kate, uświadamiając sobie, że naprawdę powinna.

Ken i Celia zachowywali się jak dwoje nastolatków, co sprawiało, że robiło jej się niedobrze, zresztą szampan też miał w tym udział.

— Powodzenia — rzuciła Celia, przerywając swoją opowieść.

— A co, są zatłoczone czy jak?

— Nie miałam na myśli toalet, kochana, tylko twoje poszukiwania.

Po drodze rozglądała się za Natem. Nie brakowało tu zabójczo przystojnych ciemnych blondynów. Ale żaden z nich nie był tym, którego szukała. Gdy ruszyła za strzałką „toalety”, poczuła straszliwe zmęczenie.

\* Tłum. Leon Ulrich.

Lustra w łazience potwierdziły, że wygląda na równie zmęczoną, jak się czuje. Róża, którą dała jej Celia, odpadła, odkrywając wypaloną dziurę nad sutkiem. Kate szarpnęła mocno materiał w dół, a kiedy to robiła, zauważyła ciekawe spojrzenia grupki blondynek jak spod sztancy, które stały obok, sącząc drinki i zerkając ukradkiem na swoje odbicia.

— Czy mój makijaż jest w porządku? — zapytała szczuplutka dziewczyna z Kalifornii drugą, która myła stopy w umywalce.

— Wygląda doskonale, wcale nie widać blizn.

Kate wróciła na kryte patio, gdzie tłum nieco się przerzedził. Widziała teraz za Kate Winslet i Samem Mendesem salę, w której światło świec oświetlało kolumny otoczone różanymi girlandami wyrzeźbionymi w drewnie. Podeszła bliżej i stanęła w progu z otwartym notatnikiem, żeby zapisać rozmowę Mendesa i Winslet. Ale znacznie lepiej słyszeć było inne głosy:

— ...masz tylko trzymać tę serwetkę, a nie wycierać nią czoło...

— ...poszło ci znakomicie, moje gratulacje. Nie, naprawdę, to prawdziwy sukces. To dowodzi, że wcale nie trzeba dobrze wyglądać, żeby trafić do filmu.

— ...sztuczna krew, kochanie. Wetrzyj ją w kości policzkowe, to lepsze od każdego różu.

— Tak, ale komedia to najtrudniejsza rzecz do napisania. To znaczy kiedy się nie ma poczucia humoru tak jak on.

— Podoba ci się moja sukienka? To słodkie, że tak mówisz. W tym roku wzoruję się na Talicie Getty.

— ...najpierw nie podobał jej się kolor ręczników w hotelu. Potem musieliśmy załatwić termometr dla jej agentki, żeby mogła zmierzyć temperaturę wody do kąpeli. Potem potrzebowała dwóch oczyszczaczy powietrza obok siebie w samolocie, więc trzeba było zarezerwować dla nich osobne miejsce w pierwszej klasie...

Kate ze złością zabębniła w notatnik. Szampan przestawał działać — a może właśnie zaczynał — i czuła, że znowu ogarniają wściekłość naNata. Tylko niemal śmiertelny wypadek byłby w miarę rozsądnym usprawiedliwieniem tego, co właściwie wyglądało na porzucenie.



Jej wzrok powędrował do obrazów i mebli. Celia by tego nie pochwałała. Ale pokój był tak piękny, że nie podziwiać go wydawało się zbrodnią, chociaż większość obecnych ledwo zwracała uwagę na wystrój wnętrza. Delikatne, pokryte haftowanym jedwabiem krzesła o owalnych oparciach oraz eleganckie sofy wyglądały, jakby dopiero co wstała z nich madame de Pompadour. Wszędzie gdzie się spojrzało, stało coś pięknego. Z wyjątkiem miejsca, w którym stał lord Crisp.

— Wszystko pochodzi z czasów Ludwika XV — szepnął jej ktoś do ucha.

Kate odwróciła się i zobaczyła kelnera o dziwnych oczach — jej kelnera — uśmiechającego się do niej sponad tacy z szampanem.

— Znalazłaś już swojego chłopaka? Zapłonęły w niej gniew i wstyd.

— Ehm... nie. Ale na pewno gdzieś tu jest. Mówisz, że to Ludwik XV? — dodała, próbując zmienić temat.

Kelner kiwnął głową.

— Madame Ephrussi, która wybudowała tę willę, nie tylko uwielbiała francuski osiemnasty wiek, ale nim żyła. Wydawała eleganckie przyjęcia kostiumowe, na których witała gości ubrana jak Maria Antonina.

— To musiało być wspaniałe — mruknęła Kate.

Trochę się już uspokoiła i rozejrzała wokół po pięknych kobietach i przystojnych mężczyznach.

Wszędzie widać było lśniące włosy, idealnie równe zęby, brylanty i znane twarze.

— Tak samo chyba jest teraz — dodała. Widoczne przez otwory w masce oczy zabłysły.

— Tamto było o wiele lepsze niż to przyjęcie. To tylko targi pracy. Ci wszyscy filmowcy! Myślą, że to miejsce należy do nich. Jeżdżą limuzynami i zamiast Cannes mówią „Kanes”.

— Och. — Kate zwalczyła pokusę, żeby zachichotać. — Nie pochwalasz tego?

— Oczywiście, że nie — odparł z godnością. — Lazurowe

Wybrzeże to coś znacznie więcej. Wielcy artyści pojawili się tu na długo przed tym, zanim o tym miejscu usłyszeli aktorzy... — Skrzywił się.

— Naprawdę? — Oprócz tego, że było to najbardziej olśniewające przyjęcie, na jakie w życiu trafiła, okazało się też kształcące.

— Oczywiście. Renoir, Matisse, Picasso... oni wszyscy tu tworzyli. A tacy ludzie jak madame Ephrussi zgromadzili olbrzymie kolekcje i uczyni życie formą sztuki. Oczywiście nadal jest tu mnóstwo pieniędzy, ale dziś nikt nie potrafi ich dobrze wykorzystać. Nikt już nie buduje takich domów. Na przykład w pobliżu miejsca gdzie mieszkam, zbudowano naj-koszmarniejsze luksusowe osiedle świata. W życiu nie widziałś czegoś równie tandetnego. Gdyby ktoś spróbował przekazać to osiedle państwu, tak jak madame Ephrussi przekazała ten dom, z pewnością by go nie przyjęło.

— Ta rezydencja należy do państwa? Mężczyzna w białej peruce kiwnął głową.

— Madame Ephrussi przekazała ją państwu, kiedy już nie chciała tu dłużej mieszkać.

— Nie chciała? — Kate była zdumiona. — Ale dlaczego? To najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widziałam.

— To prawda, ale kilka lat po tym, jak zbudowała tę willę, zmarł jej mąż. Nie mogła tu potem mieszkać.

— Och, jakie to smutne. — Kate poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

— Widzę, że masz romantyczną duszę. — W spojrzeniu kelnera błyszczało rozbawienie. — Ale nie smuć się. Dzięki temu co roku tysiące ludzi mogą rozkoszować się tym domem...

— Kelner! — warknął ktoś za nimi.

Oboje odwrócili się i zobaczyli wielkiego grubego faceta z przydługimi włosami, patrzącego na nich ze złością. Obok niego widać było Champagne B. Oska.

— O wilku mowa — mruknął kelner.

— Co masz na myśli?

— Osiedle, o którym wspomniałem. Zbudował je ten facet.

— Chodź tu z tą cholerną tacą! — ryknął Marty St Pierre. — Nie widzisz, że pani chce się napić? Pani miała już jednak inne sprawy na głowie. Jej oczy drapieżcy skupiły się na Kate.

— Ty! — syknęła.

Światło latarni ogrodowych prześlizgnęło się po błyszczącym plastiku na jej udach, gdy odsunęła się od swojego towarzysza.

— Co tu robisz, do cholery? — syknęła.

— Piszę reportaż. — Kate była zaskoczona wrogością Champagne.

Nie można powiedzieć, że pokochały się w czasie wywiadu, ale pod koniec były wobec siebie zupełnie uprzejme.

— Do tego starego szmatławca? — Champagne uśmiechnęła się sarkastycznie. — Więc udało ci się tu dostać, he?

— Ehm, no tak... — odparła zaskoczona Kate. Czy Champagne wiedziała, że się tu wybiera?

— A kim jest ten książę? — Modelka obeszła kelnera i położyła dłoń z długimi pazurami na jego udzie. — Seksowne spodenki — stwierdziła.

Kate podejrzewała, że za chwilę jej nowy przyjaciel znajdzie coś, co spodoba mu się w ludziach filmu. Większość mężczyzn miękła, gdy Champagne tak się do nich przymilała. Nawet gdy tylko się uśmiechała.

Ale ku jej zaskoczeniu i zachwytowi kelner spokojnie cofnął się o kilka kroków. Champagne z wyciągniętą i zawieszoną w próżni ręką zachwiała się niebezpiecznie na swoich wysokich obcasach. Już sama waga jej piersi — pomyślała Kate — powinna wystarczyć, żeby poleciała na tę swoją wypindrzoną twarz.

Champagne udało się jednak uniknąć katastrofy. Obrzuciła Kate wściekłym spojrzeniem.

— Przepiękny kostium — zaszydziła. — W zeszłym tygodniu oddałam taki na kiermasz rzeczy używanych w swojej starej szkole.

— Jesteś bardzo hojna — odgryzła się Kate ze słodkim uśmiechem.

— Drinka! — ryknął Marty St Pierre.

— Przepraszam — powiedział do Kate kelner i wyjątkowo powolnym krokiem podszedł do niego z tacą.

Patrzyła, jak gruby facet chwyta dwa kieliszki w ogromne łapska. Kelner stał jeszcze obok, gdy Marty St Pierre opróżnił jeden po drugim, odstawił je z brzękiem i głośno beknął.

Kate odwróciła się z odrazą i postanowiła dalej szukać supergwiazdy. I Nata.

## Rozdział 12

Ponieważ Nata nie było widać nigdzie w willi, logika nakazywała poszukać go na zewnątrz. Kate przepchała się przez tłum do miejsca, gdzie jedno z wielkich łukowatych okien wychodziło na taras, oferując wspaniały widok na wybrzeże i morze.

Zapadał już zmrok, miękki i ciemny jak paszmina w kolorze indygo.

Ogród ciągnął się w nieskończoność. Fontanny, klomby, sadzawki i najrozmaitsze egzotyczne krzewy lśniły w blasku pochodni i ostatnich promieni zachodzącego słońca.

Tutaj też byli ludzie. Teatralny śmiech i uwodzicielskie pomruki, dym papierosowy mieszający się z mocnymi perfumami. Smukłe blade blondynki i niskie opalone brunetki. Niscy mężczyźni bez włosów i wysocy z podejrzanymi bujnymi fryzurami — wszyscy z tymi samymi niespokojnymi twarzami.

— Więc właściwie wszystko zależy od Cruise'a. Jeśli zrobi kasę, będziemy mieli zielone światło i weźmiemy się za produkcję...

— ...a potem chciała, żebym ubijaczką ubiła jej kąpiel. Mówię ci, skarbie, czułam się jak cholerna Delia Smith.

— ...mój scenariusz opowiada o zabawnych stronach wojny w Iraku. Nie, serio, spodoba ci się. Ci żołnierze mieli naprawdę

wspaniałe poczucie humoru. To trochę czarna komedia, zwłaszcza jeśli chodzi o tych, którzy zbierają kawałki ciał z drogi. No wiesz, znajdujesz czyjaś rękę między kołami...

— ...nawet projektant jej pochwy...

— Narzekał na ruch na drodze między Cannes i St Tropez. Powiedziałam mu wtedy: „Kochanie, a jak myślisz, do czego służą helikoptery?”

Kate odeszła nieco dalej. Na niebie wisiał księżyc jak z *Tysiąca i jednej nocy*, cieniutki niczym obcięty paznokieć, ostatnie promienie zachodzącego słońca złościły chmury. Wszędzie w ogrodzie rozblęły światełka, wspomagające pochodnie.

— Ej! Tu jesteś.

Kate zerknęła w mrok z boku ścieżki. Po drugiej stronie trawnika stał wysoki mur okalający ogród. Wbudowano w niego ozdobną altanę w orientalnym stylu, z której roztaczał się widok na morze. Z jej cienia wyszedł potargany mężczyzna i zataczając się, ruszył do Kate.

Patrzyła, jak idzie przez klomb pośrodku trawnika, a kiedy z bliska rozpoznała twarz sławnego młodego aktora, zaparło jej dech w piersi. „Wielka mdłość”, jak by mógł o nim napisać „Wychodnik”. Kate miała ochotę podskoczyć z radości. Gorączkowo namacała notatnik i długopis.

— Poznajesz mnie, prawda? — rzucił mężczyzna. Pokiwała bez słowa głową, zauważając mimo szoku, że

uroda, z której sływał, wcale nie prezentuje się tak olśniewająco. Jego ubranie było poplamione i brudne, a wystające spod postrzępionej wełnianej czapki włosy pozlepiały się w tłuste strąki.

Zastanawiała się, co on tu robi — oprócz tego, że zatacza się na klombie. Wyciągnęła notatnik.

— Mogłabym zadać ci kilka pytań?

— Śmiało. Ej, kociaku, to będzie wywiad na wyłączność, ha, ha.

— Doskonale. — To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Wzięła głęboki wdech. — Przede wszystkim chciałabym zapytać, jak się bawisz na tym przyjęciu?

Przewrócił oczami. Szeroko rozstawił nogi, żeby nie stracić

równowagi, ale mimo to cały się chwia! Najwyraźniej był zalany w pestkę.

— Przyjęcie? — Przyłożył palce do ust. — Chyba w porządku. Pełno dupków i kobiet z plastikowymi cyckami.

— A czy jakiś dupek albo cycki szczególnie wpadły ci w oko? Cóż, zawsze można spróbować.

Gwiazda obgadująca inną gwiazdę to też dobry materiał.

— Jasne. — Znowu się zaśmiał. — Ale nie powiem, kto to taki.

A niech to.

— Może wobec tego opowiesz mi o swoim najnowszym przedsięwzięciu.

— Jasne, ale po co tracić czas na te nudy?

Zataczając się, podszedł bliżej i jego twarz znalazła się tuż koło jej twarzy. Poczowała, że nie tylko ostro popijał, ale też nie skąpił sobie kanapek z czosnkiem. Od jego oddechu farba mogłaby się złuszczyć. Odsunęła się.

— Jak sądzisz, czym najbardziej mógłbyś zaskoczyć ludzi? — zapytała, myśląc jednocześnie, że pewnie cuchnącym oddechem.

Pisnęła, gdy aktor zacisnął nagle dłoń na jej piersi.

— Ej, skarbie — wybełkotał. — Świetna z ciebie dziewczyna. Wiedziałaś o tym?

— Ehm... dzięki — mruknęła Kate, próbując wyrwać się z jego uścisku.

Kiedy ją objął, uświadomiła sobie, że zamierza wciągnąć ją w krzaki.

— Wiesz — dyszał lubieżnie — przypominasz mi J-Lo.

— Bardzo dziękuję. Słuchaj, możesz mnie zostawić w spokoju?

Odpuściła sobie wywiad i całą energię poświęciła temu, żeby się uwolnić.

— Tyle że jesteś jej seksowniejszą i bardziej kobiecą wersją — dodał aktor. — Z większym... — położył gorące dłonie na pośladkach Kate — ...tyłkiem.

Znana na całym świecie twarz niemal dotykała jej twarzy. Strużka śliny sączyła się z kącika ust gwiazdy. Oddech aktora był ciężki i zgrzytliwy. Poza czosnkiem Kate czuła też odór spoconych pach. Rozejrzała się szybko. Najbliżsi ludzie znajdowali się na patio. Mało prawdopodobne, by ją usłyszeli, nawet gdyby wrzasnęła na całe gardło. Aktor był duży, znacznie większy od niej, a ziemia wilgotna i śliska. W każdej chwili może ją powalić. Cholera. Och, gdzie, do diabła, jest Nat?

„Wielkie mdłości” naparł na nią.

— Złaż ze mnie! — krzyknęła w jego śmierdzącą pierś. Ze wszystkich sił próbowała go odepchnąć.

Kiedy się z nim

szarpała, jej notatnik — jej bezcenny notatnik — upadł na ziemię i natychmiast zniknął w cieniu listowia. Kate jęknęła.

— Ej! — Jego twarz pochyliła się nad nią. — Jesteś zabawna. Uwielbiam dziewczyny, które lubią powalczyć. Grrr!

Pacnął ją dłonią w skroń, prawie ogłuszając.

Kate udało się znaleźć jego rękę i wgrzyła się w nią mocno. Puścił ją z wrzaskiem wściekłości, przewrócił się i wyładował w klombie, a ona skorzystała z okazji i uciekła.

Popędziła przez trawnik. Krew pulsowała jej w uszach. Płakała ze strachu. Dopiero gdy się uwolniła, strach znalazł ujście. Na brzegu trawnika zatrzymała się i obejrzała z żalem. Gdzieś tam leżał jej notatnik. Aktor rozwalił się na klombie twarzą do wschodzących gwiazd, rechocząc głośno.

— Ej, Skromnisiu! — wrzasnął. — Wolisz to zrobić pod dachem, tak? Chcesz zobaczyć mój hotel? Mam apartament w Eden Roc. Powiedz recepcjoniście, że mieszkasz ze mną w wielkim pokoju — wybełkotał.

Kate porzuciła myśl o odzyskaniu notatek. To by było na tyle, jeśli chodzi o wywiad na wyłączność ze sławą. Słyszała, że gwiazdy filmowe są jak primadonny i miewają humory, nie zdawała sobie jednak sprawy, że mogą być niebezpieczne. Ale ona była zawodowcem, zjawiła się tu jako dziennikarka. Nie powinna wyjść z tego przyjęcia bez niczego, nawet jeśli będzie



musiała bazgrać na serwetkach. Noc dopiero się zaczynała, jeszcze trafi się jakaś okazja. To znaczy kiedy się już pozbiera, trochę ogarnie i wypije kilka dużych kieliszków wina.

Zanurzyła się głębiej w chłodny, cienisty ogród. Na szczycie wzniesienia, pośród ciemnych sosen i cyprysów, zobaczyła lśniący w świetle pochodni wodospad. Nad nim stał krąg filarów — była to mała świątynka zwieńczona kopułą.

Ruszyła do niej wznoszącą się ścieżką. Obsadzono ją lawendą i kwitnącymi krzewami pomarańczowymi, których ciężki aromat, zmieszany ze słoną morską bryzą, wypełnił nozdrza Kate. W rozwidleniu ścieżki stał mały opuszczony barek, pełen kieliszków i butelek szampana w kubelkach z lodem. Wokół rozstawiono zapraszająco kilka krzesełek. Każdy mógł wypić romantycznego drinka w tym pięknym ustroniu pośród kwiatów. Gdyby tylko Nat... ale nieważne. Szkoda jednak.

Mała świątynia znajdowała się dokładnie nad nią. Budowla przysiadła nad skałami, które tworzyły szczyt wodospadu. Kiedy Kate wspięła się po stromych rustykalnych schodach, jej oczom ukazała się zatoka Villefranche z marszczącą się, migoczącą taflą wody. Wokół niej rozciągały się wzgórza z willami i osiedlami poznaczonymi wiązkami jasnych świateł. W oddali w morze wcinał się ciemny palec lądu — sądząc po rozbłyskach na dole i zniżających się w jego kierunku światłach, było to lotnisko. Czy to możliwe, że wylądowała na nim tego popołudnia?

Weszła do otoczonego kolumnami i zwieńczonego kopułą budynek. Pośrodku stał renesansowy posąg Wenus albo Diany. Świątynia miłości, pomyślała Kate, przypominając sobie ze smutkiem, jak zakończyła się historia dawnej właścicielki rezydencji.

Oparła się na chwilę o posąg bogini. Kamień wydawał się ciepły jak ciało, był jeszcze ciągle nagrany słońcem. Pod świątynią, po drugiej stronie wodospadu, rozmawiało ze sobą dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. W nieruchomym, pachnącym powietrzu słyhać było wyraźnie każde słowo.

— Tu zaczyna się twoja filmowa kariera, skarbie. Jedyna droga wiedzie do góry.

Kate rozpoznała charakterystyczny głos Champagne B. Oskiej.

— Też tak uważam — odparł mężczyzna.

Zdziwiona Kate wyprostowała się gwałtownie. Nat! To był Nat. Ale przecież — zmarszczyła brwi — to nie mógł być on. Gdyby tu był, poszukałby jej, prawda? Podeszła na palcach do bluszczu pełznącego po marmurowej podłodze świątyni i spadającego z małego cypla niczym wodospad. Kiedy wyjrzała, zatkało ją. Przycisnęła dłonie do ust, żeby nie krzyknąć z gniewu i zaskoczenia. Głowy rozmawiającej pary były bardzo blisko siebie, jakieś sześć stóp poniżej. Z jednej, zgodnie z oczekiwaniami Kate, na odziane w czarny plastik plecy spływała kaskada blond włosów. Druga, ciemniejsza, znajdowała się nad szerokimi ramionami i wyglądała zupełnie jak...

— Więc pogadasz z ludźmi od Bonda o roli dla mnie? — zapytał mężczyzna.

Kate złapała się obfitych kamiennych boków bogini. Poczowała nieprzyjemne poruszenia w żołądku i ogarnęły ją mdłości. Więc to był Nat. Najwyraźniej znajdował się tu już od jakiegoś czasu i nawet nie zadał sobie trudu, żeby jej poszukać. Siedział w tym uroczym zakątku z najokropniejszą kobietą na świecie i Kate domyślała się już, dlaczego to robił.

— Zapytam o to, gdy tylko jutro zjawię się na planie.

— Tylko nie spóźnij się, dobrze? Bo jeśli znowu przyjedziesz o wpół do piątej, załatwisz nas oboje.

— Słuchaj, zostaw to mnie, w porządku? I tak jutro spotykam się z producentem. Ten łajdak Brosnan...

— Wkurza cię?

— Jak cholera — syknęła Champagne. — Z jego powodu traktują mnie gorzej niż psa. Jego nazwisko będzie największe na plakacie. Dostanie też największą przyczepę. Można by pomyśleć, że to gwiazda całego tego cholernego filmu albo co.

— Ale przecież to on gra Jamesa Bonda.

— I co z tego? — wściekała się Champagne. — Albo on odejdzie, albo ja.

— Cóż, na twoim miejscu... no wiesz... nie posuwałbym się tak daleko. — W głosie Nata pojawiła się troska. — W każdym razie jeszcze nie teraz.

Nastąpiła przerwa w rozmowie, pełna jęków, posapywania i westchnień.

Kate czuła, że krew gotuje jej się w żyłach. Każda minuta była dla niej jak tortura, ale nie potrafiła się ruszyć z miejsca, zupełnie jak stojąca obok niej bogini. Głośne pulsowanie w uszach prawie zagłuszało słowa tamtych.

— Co masz na myśli, mówiąc, że ona jest tutaj? — zapytał wyraźnie zaskoczony Nat. — To niemożliwe.

— A jednak tu jest. Widziałam ją.

Spanikowana Kate schowała się za Wenus. Natychmiast wyczuła, że rozmawiają o niej. Ale jak mogli ją stamtąd zobaczyć?

— Słuchaj, Champagne, to niemożliwie, żeby ona tu była — powiedział nerwowo Nat. — Nie ma zaproszenia ani niczego. Zadbalem o to.

— To ona, wierz mi. Szczerze mówiąc, nie da się jej nie zauważyć, bo jest najgorzej ubraną osobą w promieniu kilku mil. I jeszcze ma wielką dziurę w żakiecie — zachichotała Champagne. — Słuchaj, kochanie, to naprawdę twoja przyja-ciółeczka z tej zapyziałej północy. Z tego Szmatelmakela czy jak to się tam nazywa.

Kate miała ochotę zdzielić ją prosto między te wielkie, piękne, zielone oczy.

— To nie jest moja przyjaciółka — burknął Nat. Kate złapała się posągu i wzięła głęboki wdech.

— Cóż, teraz już na pewno nią nie będzie. Nawet ten jej głupi, wyedukowany w państwowej szkole prowincjonalny łeppek wreszcie doda dwa do dwóch.

Kate tak mocno zmarszczyła czoło, że aż ją zabolalo. Jakie dwa?

— Twój genialny plan, żeby dostać się tu bez niej... — mruknęła Champagne.

— Był genialny, prawda? — powiedział z dumą Nat.

— Przekonać ojca, żeby dał jej urlop i wypuścił na festiwal filmowy...

— Nie mogłem tego zrobić — prychnął Nat. — Ojciec jest tak skąpy, że nie cierpi, jak personel odrywa się od pracy, żeby pójść do kibla.

— Więc wasz naczelny też nie ma pojęcia, że ona wyjechała? — Champagne klasnęła w ręce. — Genialne!

Kate aż się zgięła wół z przerażenia. Więc ani Denys, ani Hardstone nie wiedzieli, że wyjechała. A Nat zapewnił ją, że da im znać... kłamliwy, gruboskórny i arogancki bydlak. Co go obchodziło, że straci przez niego pracę? Nie interesowało go, czy będzie pracowała w „Wychodniku”, czy w fabryce majtek. Po tym wszystkim cholernie trudno będzie jej uciec przed fabryką.

Usłyszała, że któreś z nich zapala papierosa.

— Wiesz, co mnie najbardziej w tym wszystkim wkurza? — powiedział Nat. — To, że wcale nie musiało tak być. Naprawdę próbowałem dogadać się z ojcem. Ciągłe wymyślałem różne rzeczy do tej jego szmatławej gazetki. Na przykład zasugerowałem, żeby ją wysłać na kurs striptizu.

Kate wytrzeszczyła oczy. Więc to był jego pomysł, a nie ojca, jak jej powiedział.

— ...myślę, że należy mi się od ojca choć odrobina szacunku — mówił. — To o to tak naprawdę chodzi z całym tym graniem. Żeby był ze mnie dumny.

Mówił już nieco bełkotliwie. Szampan, jak zgadywała Kate, otworzył nigdy do końca niezamknięte drzwi do uzalania się nad sobą.

— ...żeby zobaczył we mnie coś więcej niż tylko maszynkę do seksu, która zjada pieniądze.

— A jest coś więcej? — W głosie Champagne zabrzmiało lekkie szyderstwo.

— Oczywiście — odparł z oburzeniem Nat.

— Tylko się upewniam — mruknęła Champagne. — W każdym razie udało ci się doprowadzić do tego, że ta, jak jej tam, zabuła za twój bilet. To było naprawdę genialne posunięcie z twojej strony. Urabiasz ją, jak chcesz.

— Cóż, całkiem ostro się we mnie zadurzyła — odparł z zadowoleniem.

— Oczywiście, że tak, kochanie. Przez całe życie mieszkała w tym pipidówku. Pewnie nigdy wcześniej nie widziała faceta z jedną głową.

Kate zrobiło się gorąco ze złości. Więc Nat od początku robił z niej idiotkę. Darren miał rację, że jest w nim coś śliskiego. Ale czy to możliwe, żeby to wszystko było tylko zwykłym „numerkiem”? To, jak ją całował... To, jak się...

— Musisz jednak przyznać — dodała nadąsana Champagne — że przespanie się z nią wykraczało poza twoje obowiązki. — Nie martw się. — W głosie Nata pobrzmiwał śmiech. — Wszystko służyło jednemu celowi. Nie miałem z tego przyjemności ani nic takiego.

Przełykając okrzyk wściekłości, Kate ze zgrzytem przeorała paznokciami bok kamiennej bogini, wyobrażając sobie, że drapie twarz Nata.

— Zabierz łapy, dobra? — pisnęła nagle Champagne.

— Jesteś taka seksowna... Chce cię wziąć tutaj i teraz.

— Ale nie możesz. Zanim wyjdę, muszę poplotkować z Har-veyem Weinsteinem i Stevenem Spielbergiem, a nie mogę tego robić z zielonymi plamami od trawy na tyłku.

— Wobec tego później, dobrze? — nalegał Nat.

— Zobaczymy. Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś też się ruszył i przycisnął parę osób. Jest tu parę grubych ryb, które bardzo chciałyby cię poznać. — Na przykład kto?

— Na przykład Marty St Pierre...

— Marty St Pierre? Jest tutaj? — W głosie Nata pojawiło się ożywienie.

— Wszyscy mówią, że to gangster. Ale dla mnie zawsze był słodkim kiciusiem. To jeden z najmilszych ludzi na świecie.

Właśnie z nim rozmawiałam, gdy spotkałam twoją przyjaciółkę.

— Powiedziałaś mu, że tu jestem? — wychrypiął Nat.

— Aha. Marzył o tym, żeby się ze mną zobaczyć, to jasne, ale teraz umiera z chęci poznania ciebie...

Kate odsunęła się od posągu. Dość już usłyszała. Teraz wszystko stało się jasne jak słońce.

Zainteresowanie Nata jej osobą było w rzeczywistości chęcią dobrania się do jej pieniędzy. Po odcięciu kieszonkowego szukał funduszy, żeby uciec od ojca i przyłączyć się do Champagne, która najwyraźniej obiecała mu załatwić rolę. Ale jak się poznali? Jak blisko byli ze sobą?

No cóż, przecież mieszkali po sąsiedzku — czy dom Blavatsky'ego nie stał tuż obok rezydencji Hardstone'a w Slack Palisades? To bez wątplenia tłumaczy, co Nat robił całymi dniami, gdy ojciec odizolował go od świata. Jęki słyszane przez domofon nie stanowiły już zagadki. Ani powód, dla którego Nat nie zjawił się na lotnisku. Gdy tylko dotarł do Francji, gdy już miał to, czego chciał, skończyła się rola Kate. Teraz wszystkie siły skupił na tym, żeby zdobyć dla siebie rolę.

Kelner miał rację, pomyślała Kate. To przyjęcie wcale nie było zabawne. Mimo obiecującego początku okazało się najgorszym przyjęciem w jej życiu. Wściekła i upokorzona, wyszła ze świątyni. Kiedy odzyskała przytomność, zobaczyła, że jest w swoim pokoju w Hotel des Tours — pokoju, który Celia uparła się dla niej zarezerwować. Bogu dzięki. To, że spodziewała się, iż Nat zapewni jej jakieś lokum, okazało się kolejną pomyłką.

Przyłożyła obie ręce do bolącej głowy i jęknęła, gdy przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru.

Nienawidząc wszystkich, a najbardziej siebie i Nata, ruszyła ze świątyni miłości prosto do baru i metodycznie zaczęła się upijać.

Kilka godzin później zaprzyjaźniony kelner znalazł ją zwiniętą w żalosny kłębek na końcu tarasu. Gdy schylił się, żeby ją

podnieść, kieliszek spadł mu z tacy. Kiedy ją rozpoznał, przykucnął przy niej i pogłaskał. Nie zadawał głupich pytań, co się stało. Pewnie było to dla niego równie jasne jak i dla niej, że nie ułożyło jej się z chłopakiem.

Jego pomoc miała bardzo praktyczny charakter. Pomógł jej się pozbierać i zapytał, gdzie się zatrzymała. A potem znalazła się na obitym skórą tylnym siedzeniu wielkiego, luksusowego samochodu.

— Nie martw się — powiedział, zamykając drzwi. — Taksówka zawiezie cię do domu.

Taksówka była o niebo lepsza od tych, z jakich Kate zwykle korzystała — rzęchów z ponurymi kierowcami, wyłączonym radiem, przyprawiającymi o ból głowy odświeżaczami powietrza i bez porządnego zawieszania.

Ale i tak wyskoczyła z niej, jakby skóra siedzenia ją parzyła.

— Nie stać mnie, żeby jechać takim samochodem aż do Sainte Jeanne!

— Po prostu wsiadaj — powiedział jej nowy przyjaciel i pchnął ją lekko z powrotem na siedzenie.

Kate znowu wyskoczyła.

— Czyj to samochód? Ktoś go zamówił, prawda?

— Owszem, Ritchiesowie. — Kelner znowu wepchnął ją do środka i próbował zamknąć drzwi. — Ale mogą zamówić sobie następną. I tak nie są jeszcze gotowi do wyjścia.

Kate znowu wyskoczyła z oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

— Ritchiesowie?!

— Wsiadaj. Zajmę się tym. — Zatrzasnął drzwi i poklepał dach auta.

Limuzyna ruszyła gładko i Kate odjechała. Wykręciła szyję, żeby zobaczyć światła przyjęcia przez tylną szybę.

Zapadła się z powrotem w pościel. Wdzięczność, jaką czuła dla kelnera, mieszała się z zakłopotaniem — co on musiał sobie o niej pomyśleć? Ale i tak pewnie już więcej go nie zobaczy. Nadszedł ranek, a ona z piekielnym kacem siedzi we francuskim odpowiedniku motelu z *Psychozy*.

*Leżała* i rozpamiętywała swoją porażkę. Podróż do Francji okazała się całkowitą katastrofą osobistą. Trudno też byłoby uznać ją za sukces zawodowy. Nie dość, że Nat ją zdradził, to jeszcze nie udało jej się zrobić dla „Wychodnika” żadnego wywiadu z gwiazdą. Zgubiła także swój notatnik. Ale nie miało to teraz znaczenia. Najgorszy był fakt, że prawdopodobnie straciła pracę. Poczucie klęski przygniotło ją straszliwym ciężarem. Czowała, że nic już nie podniesie jej na duchu.

Urywki rozmowy między Natem a Champagne wybuchwały jej w głowie jak fajerwerki. „Pipidówek”, „wyedukowany w państwowej szkole prowincjonalny łepiek”...

Nagle ogarnęła ją taka wściekłość, że prawie poczuła się lepiej. Właściwie co w tym złego, że człowiek uczył się w państwowej szkole? Albo że pochodzi z prowincji? To, że dorastała i kształciła się w Slackmucklethwaite, nauczyło ją, że trzeba zarabiać na życie, a nie kręcić się bez celu i żyć na cudzy koszt jak Nat Hardstone. Nauczyło ją traktować ludzi z szacunkiem, nie z pogardą, którą Champagne i Nat tak szczerze obdarzali swoich bliźnich. Nauczyło ją — a Nat na pewno się tego nie nauczył — że możliwość kształcenia się to przywilej i że najlepsze szkoły niekoniecznie muszą mieć średniowieczne kaplice i słynnych absolwentów. Nauczyło ją też — w tym największy udział miał tata — że snobizm to najnudniejszy sposób patrzenia na świat, który przecież potrafi być taki fascynujący i zabawny. A przede wszystkim nauczyło ją, jak ważne jest mieć kochającą rodzinę. Tego właśnie Natowi Hardstone'owi brakowało mimo całego bogactwa jego ojca. Ale już mu nie współczuła. Pewnie te wszystkie teksty o niekochanym synu to kolejne kłamstwo. W końcu był aktorem, prawda? A przynajmniej chciał nim być.

Z pękającą z bólu głową na zagłótku — co jest z tymi Francuzami i ich zagłótkami? — Kate uświadomiła sobie, że bardzo tęskni za domem. Wiele by dała, żeby być teraz w swoim pokoju w Meszuga, z tatą spuszcającym wodę w łazience za ścianą, z perspektywą dnia wypełnionego pisaniem zwariowanych historyjek do „Wychodnika”. Takich jak ta sprzed paru lat — Kate uśmiechnęła się do siebie — dotycząca bożonarodzeniowego oświetlenia kościoła parafialnego. Zainstalowanie świateł wymagało zezwolenia biskupa, a Gladys Arkwright w ramach



swoich obowiązków — tym razem związanych nie z aktorstwem, lecz funkcją administratora kościoła — nie zgłosiła prośby we właściwym czasie i zmiana na stanowisku biskupa spowodowała opóźnienie wydania zgody. Kiedy Boże Narodzenie było już tuż-tuż, „Tygodnik” poszedł na całość i stanął na czele kampanii na rzecz oświelenia, publikując artykuł, z którego Darren był bardzo dumny.

„Biskupie, zapal światełko w tunelu!” — wołał tytuł na pierwszej stronie gazety.

Kate zachichotała głośno, ale zaraz zamilkła i pociągnęła nosem. Tęsknota za domem stała się silniejsza od mdłości po przepiciu. Powinna poddać się i wrócić. Południe Francji przyniosło jej same rozczarowania, ale przecież zawsze może wrócić do Slackmucklethwaite. Przepelniła ją radość na myśl o domu — o malowniczych wzgórzach, ratuszu jak Pałac Dożów, a nawet — dobry Boże! — o robótkach babci. Wyjaśnienie Denysowi nieobecności w pracy może okazać się trudne, zwłaszcza że niczego się nie spodziewał. Ale jakoś go przekona. A co do Hardstone'a... Cóż, na razie nie będzie o nim myśleć.

Najpierw jednak musi zadzwonić do mamy. Jeśli wieści o dziwnych okolicznościach jej wyjazdu dotarły już do domu — Denys w końcu mógł zadzwonić i zapytać, dlaczego jego podwładna nie zjawiała się w biurze — mama na pewno wychodzi z siebie. Jak prawdziwy meszuga.

Wiedząc, że telefon z hotelu będzie kosztował fortunę, Kate wyszła poszukać karty i automatu.

Mama podniosła słuchawkę już po dwóch dzwonek. Kate wyobraziła sobie tę scenę — telewizja ryczy w salonie, a w maleńkiej kuchni jest pełno pary, unoszącej się nad stojącymi na ogniu garnkami.

— Mamo?

— Kathleen!

Nie poczuła ulgi, której się spodziewała po usłyszeniu głosu matki. Jak reszta rodziny mama mówiła do niej „Kathleen”

tylko wtedy, gdy była zła. Jej obawy się sprawdziły. Denys rzeczywiście zadzwonił i mama oszalała.

— Przepraszam.

— Przepraszam! — prychnęła gniewnie matka. Biedna mama, pomyślała Kate.

Gnębiły ją wyrzuty sumienia. Ale ma szczęście, że ktoś tak się o nią martwi. Zdusiła szloch.

— Przepraszam! — powtórzyła mama. — No myślę, że przepraszasz! Co ty, do licha, kombinujesz, młoda damo?

— Wszystko ci wyjaśnię.

Było gorzej, niż się spodziewała. Mama wściekła się nie na żarty.

— Nigdy bym się czegoś takiego po tobie nie spodziewała. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że jesteś do tego zdolna.

— Aleja myślałam, że wszyscy wiedzą—jęknęła Kate. — Myślałam, że wszyscy uznali, że tak będzie w porządku.

— „Uznali, że tak będzie w porządku”?! Co to ma znaczyć? Kate zaczęło ogarniać potworne wrażenie, że mówią o dwóch

różnych sprawach. Czyżby mama miała na myśli odwiedzinę Nata w ich domu?

— Nie tak cię wychowaliśmy — grzmiała po drugiej stronie matka.

Ale przecież tak naprawdę nic się wtedy nie stało, bo Natowi przeszkodził telefon komórkowy. Kate uświadomiła sobie, że wiadomość na pewno przysłała Champagne.

— Babcia prawie dostała zawału — oświadczyła mama. Ale co takiego babcia mogła zobaczyć, zastanawiała się Kate.

Przez cały czas oglądała telewizję. A zasłony w pokoju były zaciągnięte.

— Zabraliśmy się z babcią do wiosennych porządków — mówiła matka. — Chciałyśmy ogarnąć też trochę ten twój brudny pokój.

Całe ciało Kate zeszywniało i stało się zimne jak kamień, a na czoło wystąpił pot. W jej głowie zaczęło rozkwitać podejrzenie gorsze od wszystkich innych.

— Żadne z nas... żadne! — perorowała mama — już nigdy nie będzie w stanie spojrzeć Doreen Bracegirdle w oczy. Kate zacisnęła powieki. W czerwonym morzu tętniącej krwi pędziły pod nimi spanikowane mikrokosmosy. To nie mogła być prawda, a jednak była. Leżący pod łóżkiem „Żigolak z północy”, którego wepchnęła tam tego wieczoru z Natem, wpadł w ręce mamy.

\_ ...nigdy więcej. A jeśli chodzi o te kawałki o Instytucie Kobiet...

Kate przełknęła ślinę. Być może sceny związane z przekładańcem z biskopata też przekroczyły granice tego, co można zaakceptować.

\_ A te fragmenty o Jolene Shaw! Nawet jeśli jest, jaka

jest! \_ wściekała się mama. — Wstyd mi za ciebie, naprawdę. Zostawić takie... brudy pod łóżkiem. Każdy mógł to znaleźć.

I wygląda na to, że znalazł.

Po drugiej stronie wybuchła jakaś sprzeczka. Po chwili Kate usłyszała stukanie w słuchawkę i zadźwięczał w niej drugi głos.

- Daj mi z nią porozmawiać, Margaret. No już, wracaj do swojej kuchni.

Rozległo się trzaśnięcie drzwiami.

— Kate?

— Babcia?

— U ciebie wszystko w porządku, skarbie?

Kate zamrugała. Babcia mówiła ściszym głosem, niemal konspiracyjnym tonem. Nie wrzeszczała, jak można się byłoby spodziewać.

— Tak sobie — odparła ostrożnie.

— Twoja matka trochę się zdenerwowała, skarbie — szepnęła babcia.

— Zauważyłam.

— Nieważne. Przejdzie jej. Ta książka... — dodała staruszka z nagłym ożywieniem.

— Och, babciu, przepraszam. Naprawdę nie chciałam, żeby...

— Uważam, że była bardzo zabawna — pisnęła babcia. — To dopiero chłopak, ten młokos, o którym piszesz. I Doreen Bracegirdle. Hi, hi!

Kate rozdziawiła usta.

— Ale mama powiedziała, że miałaś atak.

— Chyba atak śmiechu.

Och, babciu... — Kate poczuła ogromną wdzięczność. — Jesteś cudowna. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. — Nie myślisz już o powrocie, prawda?

— Cały czas o tym myślę.

Łamał się jej głos, a do oczu napłynęły łzy.

— Po co? Chcesz wracać do pracy w „Wychodniku”? Najlepiej zostań tam, gdzie jesteś — odparła stanowczo babcia. — Daj matce szansę się uspokoić.

— Ale ja chcę wrócić do domu — jęknęła Kate. — I do pracy w „Wychodniku”.

— Cóż, nie sądzę, żeby cię tam chcieli — stwierdziła babcia. — Twój naczelny nie był zachwycony, słysząc, że wyjechałaś, nic mu nie mówiąc. To twoja mama musiała mu o tym powiedzieć.

— Ach. No tak. Racja. — Oczami wyobraźni Kate wyglądała już przez bramę fabryki majtek jak przez więzienne kraty. Było tam koszmarnie i ledwo dało się wytrzymać nawet przez jedno lato, a co dopiero mówić o stałym etacie. Chociaż i to miało pewne zalety. Przynajmniej zostanie w Slackmucklethwaite, a nie w tym krzykliwym, upalnym, niegodnym zaufania kraju, gdzie spotkało ją tyle nieprzyjemnych rzeczy. Ale ja i tak chcę wracać do domu — powiedziała.

— Nie bądź głuptasem.

— Z czego mam żyć, jeśli tu zostanę?

— A co będziesz robić, jak wrócisz do Slackmuckleth-waite? — zapytała babcia. — Poza tym nie zaszkodzi, jeśli będziesz trochę mniej jadła, skarbie. Gdzieś pod tymi fałdkami skrywa się wspaniała figura.

— Wielkie dzięki — nadała się Kate.

— Znajdź sobie pracę — nalegała babcia. — Taka zdolna dziewczyna jak ty na pewno coś znajdzie. Ciesz się wolnością. Zabaw się trochę, przeżyj przygodę. Zanim będzie za późno.

— Ale...

— Uwierz mi, skarbie, lepiej jeszcze nie wracaj — poradziła jej babcia tonem nieznoszącym sprzeciwu. — To nie jest najlepszy moment na powrót. Przynajmniej na razie.

— Ale...

— Możesz na przykład skończyć tę książkę — zarechotała babcia. — Nie mogę się doczekać, żeby przeczytać resztę... W każdym razie daj mi adres i telefon do siebie. Ktoś z nas musi wiedzieć, gdzie jesteś. Nie martw się, nie dam ich twojej matce.

Kate podała adres, a potem jęknęła „kończę” i patrzyła, jak znikają ostatnie impulsy z karty — niczym tonący na odpływającej łódź ratunkową.

— Wszyscy kończymy, niektórzy z nas szybciej niż inni — mruknęła babcia.

Kiedy w słuchawce zapadła cisza, Kate znowu ogarnął żal i miała ochotę się rozpłakać.

„Uwierz mi, skarbie, to nie jest najlepszy moment na powrót”. Tak desperacko marzyła o wyjeździe, a teraz nie mogła wrócić. Własna rodzina nie chciała jej wpuścić do domu.

Popłakawszy sobie w budce telefonicznej, wzięła się w garść. Kolejna żelazna zasada wychowania w Slackmucklethwaite mówiła, że płacz nad rozlanym mlekiem jest bezcelowy, w dodatku marnuje się wtedy dobre mleko. I niech Bóg ma w opiece tych, którzy brudzą czystą podłogę.

Wracała rue du Midi. Teraz, kiedy wiedziała, że przyjdzie jej tu pozostać na dłużej, miasteczko zaczęło wyglądać zupełnie inaczej. Kolorowy rząd wesołych sklepików, który wcześniej wydawał jej się taki malowniczy, przypominał o wydatkach i pustym dzięki Natowi koncie bankowym. Życie na Lazurowym Wybrzeżu musi być drogie. Czy starczy jej, żeby przetrwać miesiąc? Albo chociaż tydzień?

„Znajdź sobie pracę”. Łatwo babci mówić, ale jaką pracę? Co zwykle robią dziewczyny we Francji? Zostają opiekunkami

do dzieci? Pracują w szkołach? Dzięki Bogu wystarczająco dobrze mówiła po francusku, ale nie знаła żadnej tutejszej rodziny. Ani francuskich dyrektorów szkół. Oczywiście mogłaby pisać artykuły, tak samo jak tysiące francuskich dziennikarzy. Przygryzła usta i zmarszczyła brwi. „Taka zdolna dziewczyna jak ty...”. Zdolna do czego właściwie? Poza komplikowaniem wszystkiego?

Kojarzące się z dobrobytem sklepy tylko ją przygnębiały. Skręciła w boczny zaułek, biegnący równoległe do głównej ulicy w stronę Place de l'Eglise. W chłodnym wiekowym cieniu wzięła głębszy wdech i zwolniła kroku. Musiała się zastanowić, bo miała mnóstwo rzeczy do przemyślenia. Wyglądało na to, że podobnie jak jej żigolak z północy musi poszukać szczęścia na Riwierze. Miała nadzieję, że znajdzie je w inny sposób niż jej bohater.

Stara uliczka skręcała ostro. Wychodząc z za rogu, zamyślona Kate zauważyła, że coś leży na bruku. Ktoś coś zgubił? Wyglądało to jak stos ubrań. Zerknęła w górę na suszarki zwieszające się z prawie każdego okna. Może komuś spadło pranie?

Dopiero gdy podeszła bliżej, zorientowała się, że ten stos to człowiek, i nawet rozpoznała tę osobę. Była to jedna z hotelowych wiedźm — ta, która wykrzywiła się do niej w barze. Upadła niezgrabnie, z jedną ręką wyciągniętą. Nieopodal leżała torebka z czarnej lakierowanej skóry.

Stara kobieta miała zamknięte oczy, a jej pomarszczona skóra o żółtawym odcieniu wydawała się dziwnie krucha, jak stary pergamin. Nie poruszała się i Kate pomyślała, że chyba nie żyje.

Przykucnęła przy niej, ogarnięta chorobliwą ciekawością. Nigdy wcześniej nie widziała martwego człowieka.

— Nic pani nie jest? — zapytała po francusku, natychmiast uświadamiając sobie, że to raczej głupie pytanie.

Gdyby kobiecie nic nie było, nie leżałaby na ulicy.

Kate znowu podniosła wzrok na domy. Sądząc po odgłosach, wszyscy byli zajęci lunchem. Brzęk talerzy i rozmowy brzmiały głośniejsze w ciasnej uliczce, a to oznaczało, że nawet gdyby krzyknęła, nikt by jej nie usłyszał.

Ujęła wychudzony nadgarstek kobiety i z ulgą wyczuła kołaczące w starym ciele życie. Roztarła niemal przezroczyste dłonie.

— *Madame?* — szepnęła.

Głowa staruszki odwróciła się powoli. Z bliska Kate z zaskoczeniem odkryła, że to, co w barze wzięła za pogardliwe skrzywienie, było trwałym zniekształceniem. Jedna strona twarzy starej kobiety skłęsała jak pęknięty balon. Usta opadły, jedno oko było przymknięte przez kawałek ściągniętej w dół skóry. Druga strona wyglądała całkiem normalnie, a nawet ładnie, z wysokim łukiem brwi, wyrazistą kością policzkową i jasnym piwnym okiem. Ale oko to przyszpiliło Kate wściekłym spojrzeniem.

Staruszka usiadła i objęła rękami głowę. Potem zauważyła torebkę i natychmiast ją chwyciła.

— Boli panią głowa? — zapytała ostrożnie Kate.

— Trochę — odparła kobieta, krzywiąc się.

Kate pomogła jej wstać. Mimo że staruszka miała ręce i nogi cieniutkie jak patyki, najwyraźniej niczego sobie nie złamała.

— Co się stało? Przewróciła się pani?

— Najwyraźniej — odparła z irytacją staruszka.

Kate poczuła, że ogarnia ją złość. Czy ta kobieta musi być taka nieuprzejma?

— Nie poznałyśmy się jeszcze. Jestem Kate — przedstawiła się grzecznie.

— Dziewczyna z hotelu?

— Tak. Proszę się mnie złapać, zaprowadzę panią do domu. Ignorując tę propozycję, staruszka ze złością obejrzała swoją spódnice w kurzą stopkę.

— Tylko popatrz. To Chanel. Całkiem zniszczona!

— Jestem pewna, że w pralni... — próbowała ułagodzić ją Kate.

Staruszka gwałtownie poderwała głowę.

— Dać to tutaj do pralni? *Folie!* Nic nie wiesz na temat ubrań, co? — Błyszczące złością oko obrzuciło spojrzeniem jej pogniecioną czerwoną sukienkę i klapki.

Kate kusiło, żeby odejść i zostawić tę niewdzięczną starą wiedźmę samą sobie. Musi jednak okazać wyrozumiałość. Babcia na pewno oczekiwałaby, że Kate zrobi, co należy. Ta kobieta nie tylko była bardzo stara, przeżyła też szok. Potrzebowała odpoczynku w łóżku albo innego francuskiego odpowiednika filiżanki dobrej herbaty.

— Gdzie pani mieszka? — zapytała Kate, podejrzewając, że pewnie kilka kilometrów stąd, co będzie wymagało paru męczących kursów autobusami i spędzenia kilku godzin w towarzystwie starej choleryczki.

— Przy Place de l'Eglise — warknęła starsza pani.

— Och. — Kate była zaskoczona. Ale to przynajmniej tłumaczyło obecność kobiety w barze. Pewnie jest stałą klientką. — Chodźmy — powiedziała stanowczo. — Proszę wziąć mnie pod rękę.

Kobieta zerknęła na nią nieufnie. Kate spodziewała się, że kobieta odmówi, ale po chwili chude, kościste palce złapały ją za łokieć.

— To mój dom — oświadczyła staruszka, kiedy wyszły na słońce zalewające główny plac.

— Co, ten duży?

— Tak, ten duży — odparła niecierpliwie stara kobieta, idąc w stronę tajemniczego domu, który Kate widziała z balkonu.

Zauważyła ten intrygujący budynek już wczoraj, przed przyjęciem. Zanim świat, jaki znała, wywrócił się do góry nogami.

Pięć staruszek, które najwyraźniej większość wolnego czasu spędzały, siedząc na placu, spojrzało na przechodzącą Kate i starszą kobietę. Z szacunkiem skinęły swojej rówieśniczce głowami, a potem ze zdecydowaniem mniejszym szacunkiem popatrzyły na Kate.

— Możesz już iść — powiedziała stara kobieta, gdy doszły do imponujących schodów prowadzących do frontowych drzwi.

W porządku, nic nie mów, nakazała sobie Kate i odwróciła się.

— *Mademoiselle*, jeśli pani pozwoli... — dobiegł ją głos z tyłu.



— Tak?

Czyżby stara wiedźma przypomniała sobie o dobrych manierach? Może jej teraz podziękuje?

— Nie przedstawiłyśmy się sobie jak należy — oświadczyła wyniosłym tonem kobieta. — Jestem hrabina d'Artuby.

— Kate Clegg.

Kobieta nic na to nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i powoli zaczęła wchodzić po schodach. Żałosna stara wiedźma, pomyślała Kate, idąc do hotelu.

## Rozdział 13

Spędziła całe popołudnie na balkonie, drzemiąc i myśląc o swojej powieści. Praca i sposób jej zdobycia mogą poczekać do jutra. Jeśli chodzi o dzień dzisiejszy, czuła się wykończona. Ciągłe było jej niedobrze, a w głowie miotła się ekipa rozbiórkowa. Rozmyślenia na temat sytuacji finansowej raczej nie przyspieszą powrotu do zdrowia.

Przyciągnęła krzesło do brzegu balkonu, żeby lepiej widzieć Place de l'Eglise. Z jedną stopą opartą o marmurowy stolik, a drugą na wyłożonej terakotą podłodze, patrzyła na domy naprzeciwko.

W przerwach między budynkami rozciągał się wspaniały widok. Z wysokości Sainte Jeanne widać było spory kawał wybrzeża, aż do przystani, w której jak prosiaczki przy korycie stały rzędy jachtów. Za nimi błękitniało lekko zamglone morze.

Kate popatrzyła na koniec placu i imponujący dom starszej pani. Wyobraziła sobie ukrytą w cieniu kobietę, obserwującą miasteczko zza żaluzji.

Poczuła zapach jedzenia — bazylii, czosnku i jagnięciny. Od ścian domów stojących wokół placu odbijały się echem odgłosy ulicznego ruchu, jak pewnie działa się tu od wieków — wszędzie pełno było ludzi, psów i kotów.

Przez cały czas rozgrywały się tu ciekawe scenki. Kate patrzyła, jak krzepki policjant w jasnoniebieskiej koszuli podchodzi do źle zaparkowanego samochodu. Wywabiło to z domu jego właściciela, niskiego, szerokiego w barach mężczyznę, który wypadł z drzwi naprzeciwko, podbiegł do wozu i zabrał z siedzenia pasażera czarne kwadratowe pudełko. Było otwarte i policjant zainteresował się jego zawartością. Kate uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, że policjant ogląda komplet kul. Jakie to francuskie.

Wzięła notatnik ze stołu — była dość przewidująca, żeby spakować zapasowy — i powróciła myślami do powieści. Jednak kartkowanie notatnika rozpraszało ją: były w nim notatki z pracy, które natychmiast ożywiły wspomnienia o artykułach, jakie pisała dla „Wychodnika”. Znajdował się w nim też jeden z przepisów na tajemnicze biblijne „ciasta” metodystów z Slack Bortom: „Weź jedną szczyptę Księgi Rodzaju 2,4, dodaj łyżkę posiekanego Amosa 4,3, dopraw Aggeuszem 5,11...” itd. Teraz to wszystko wydawało się jak z innego świata, gdy wokół unosiły się zmysłowe śródziemnomorskie zapachy rozmarynu, pomidorów i czerwonego wina. Kate pomyślała ponuro, że mimo to dobrze wie, w którym świecie wolałaby się znaleźć. Babcia jednak jasno jej powiedziała, że musi tu zostać. Drzwi rodzinnego domu były dla niej zamknięte. Nie mogła wrócić. Na razie. Zauważyła, że właściciel Café de la Place obchodzi granice swojego terenu. A przynajmniej zakładała, że to właściciel: chudy, drobny mężczyzna z siwiejącymi włosami, pokrzykujący na zapędzonego kelnera. Kiedy nie krzyczał, kłaniał się i przymiłał do zamożnie wyglądających klientów, jednocześnie kopiąc zwierzaki, które przyszły tu w poszukiwaniu jedzenia. Po placu wałęsało się kilka kotów, które za każdym razem brutalnie wyrzucano z kafejki. Sam lokal był mocno zatłoczony. Kilka stolików zajęła grupa ludzi w żółtych baseballowych czapkach. Wyglądali jak wycieczka i Kate pomyślała, że to pewnie Anglicy. Siedzieli i sączyli piwo, ale sprawiali wrażenie, że na kogoś czekają. Na

placu pojawił się gitarowy duet w kamizelkach, wywołując niewielkie poruszenie wśród klientów kafejki.

Muzycy zatrzymali się naprzeciwko Café de la Place i zaczęli grać. Kate spodziewała się zwykłej wymęczonej *La Bamby*, więc zdziwiła się, gdy usłyszała jakiś hiszpański kawałek. Ci gitarzyści naprawdę dobrze grali. Mimo niezbyt zachęcającego wyglądu — przetłuszczonych włosów, twarzy bez uśmiechu i pewnej nieprzyjemnej szorstkości w obejściu — swoją muzyką potrafili w jednej chwili przywołać surowe wzgórza i wioski południowej Hiszpanii. Słuchała jak urzeczona, kiedy płaczące zawodzenia gitary szybowały do niej, przemieszane z okrzykami baseballowych czapek: „Ej, Doive, nie masz czegoś takiego u siebie w Dudloy, no nie?”. Gdy pieśń się skończyła, Anglicy zaczęli klaskać.

W połowie drugiego kawałka grajkowie puścili wśród klientów kafejki kapelusz. Kiedy członkowie wycieczki zaczęli go napełniać, właściciel lokalu, który zniknął wcześniej na zapleczu, wypadł stamtąd i zaczął wygrażać gitarzystom pięściami. Kate zorientowała się, że chodziło mu o to, żeby nikt poza nim samym nie zarabiał w jego kafejce.

Sekundę później duet odszedł, przeklinając i rzucając przez ramię wściekłe spojrzenia. Jaka szkoda, pomyślała Kate. Było jasne, że podział zysków byłby korzystny dla obu stron: muzycy, przyciągając i zabawiając klientów, zdecydowanie pomogliby kafejce. Jednak właściciel najwyraźniej uważał, że kawiarenka nie wymaga żadnej pomocy, a klienci nie potrzebują zachęty.

Rozmyślenia Kate przerwał telefon.

— Kochanie? To ty? — Głos Celi dobiegał z daleka, zagłuszany trzaskami na linii. — Bałam się, że się rozminęłyśmy, że mogłaś wyjechać.

— Nie, jeszcze tu jestem. Co słyhać w Londynie?

— Szaro i przygnębiająco jak zawsze. Tak przynajmniej sędzę.

— Hmm... a nie jesteś tam?

— Nie, kochanie, jestem tutaj. Piętro pod tobą.

Stąd to dziwne wrażenie stereofoniczności, pomyślała Kate. Gdyby odsunęła słuchawkę od ucha, usłyszałyby Celię przez podłogę. Właściwie w ten sposób znacznie lepiej się słyszało. Hotelowa linia telefoniczna była najwyraźniej w takim samym stanie rozkładu jak personel.

— Spotkajmy się w barze! — krzyknęła przez sufit Celia. — Mam ci mnóstwo do powiedzenia.

— Ale na pewno nie tyle, ile ja tobie! — odkrzyknęła Kate.

Bar był równie ponury jak wcześniej. Mała, ale dość wiekowa grupka stałych klientów kulila się za zasłoną gęstego dymu papierosowego. Siedząc przy stoliku pod ścianą, Kate patrzyła na Makrełę, która przycisnęła wielką dłoń do swojego szerokiego, ziemistego czoła; większa część jej twarzy kryła się za groteskowo wielkimi ciemnymi okularami. Przerzucała strony księgi rachunkowej, chociaż zważywszy na opłakany stan interesów, nie bardzo było wiadomo, jakie pocieszenie spodziewa się tam znaleźć. Obok niej siedział starszy mężczyzna o ponurej, pomarszczonej twarzy. Mimo upału miał na sobie gruby sweter z czerwonej wełny i przybrudzoną białą czapkę.

— Tutaj! — zawołała Celia, machając ręką w zadymionym powietrzu. Siedziała przy stoliku obramowanym otwartymi drzwiami baru i uśmiechała się do Kate. Wyglądała teraz jak zupełnie inna osoba — w niczym nie przypominała kobiety z przyjęcia w willi na Cap Ferrat.

— Miło cię widzieć — powiedziała Kate i objęła ją.

— Ciebie też, kochanie. Ale nic ci nie powiem, dopóki się nie napiję.

— Zostaw to mnie.

Brunetki, która wcześniej urzędowała za barem, nigdzie nie było widać. Snujący się przy wejściu Troll wyglądał jeszcze gorzej niż poprzednio. Kate spojrzała na niego z lękiem.

— Jeszt wkuszony — powiedział człowiek siedzący przy barze.

Był to blady mężczyzna w poplamionej różowej muszce

i panamie, która wyglądała, jakby ktoś po niej skakał. Na klapie przybrudzonej białej marynarki miał żółtą plakietkę z napisem „Zwiedzaj z nami”. To właśnie on spadł poprzedniego dnia ze stołka.

— Wkuszony?

— Wkuszony, bo pani jego serca nie pszysła dziś do pracy.

— Masz na myśli barmankę? To jego dziewczyna?

— Chciałby! Ha, ha. Nie, ona nie jest nim zainteresowana. Uważa, że może znaleźć kogosz lepszego. Ale lubi być w centrum uwagi, więc go zachęca. Nazywam *jajemmfatale*. — Po raz pierwszy udało mu się zogniskować wzrok na twarzy Kate. — A tak w ogóle to nazywam się Crichton. Crichton Porterhoushe.

— Kate Clegg.

— Clegg, hę? — Pokiwał głową z aprobatą. — Dobre północne nazwisko.

— Zgadza się — odparła Kate, czując, że rośnie z dumy.

— Czy myszmy się już nie szpotkali? Mam wraszenie, że jusz cię gdziesz widziałem.

— Zajrzałam tu wczoraj. Crichton speszył się.

— Byłem zalany? — Przycisnął dłoń od ust.

— Hmm... spadłeś ze stołka.

— Ach. — Skrzywił się. — No tak. O rety. — Nalał sobie następny kieliszek i szybko go osuszył.

Kate obejrzała się na Makrelę i siedzącego z nią starego mężczyznę. Oboje pogrążeni byli w prywatnej żałobie i nie sprawiali wrażenia, że zamierzają obsłużyć nowych gości. Zastanawiała się, czy towarzysz Makreli to jej mąż i czy kiedykolwiek zdejmował czapkę.

— Na twoim miejscu szam bym się obsłużył — poradził jej Crichton, widząc jej spojrzenie. — Ja zawsze tak robię. Chyba nie mają nic przeciwko temu.

— Poczekam.

— Jak chcesz. — Crichton chwiał się już nieco na stołku. — O rety — mruknął. — Chyba powinienem ograniczyć picie.

— Myślałeś o tym — Kate starała się ująć to delikatnie — żeby poszukać pomocy?

— Kochana jesteś, że mi to proponujesz — westchnął Crichton. — Próbowałem kiedyś chodzić na spotkania AA w Kensington. Ale spotkałem tam tylu miłych ludzi, że chciałem ich po prostu zaprosić na kielicha.

— Więc przeprowadziłeś się do Francji?

— Tak jakby. Angielski to teraz mój drugi język. Po pijackim bełkocie. Słuchaj, naprawdę na twoim miejscu sam bym się obsłużył.

Spojrzał na właścicieli lokalu, którzy nadal siedzieli w ponurej zadumie.

Kate wzięła z kontuaru do połowy opróżnioną butelkę wina, złapała dwa kieliszki i wróciła ze swoim łupem do Celi.

— Nie jestem pewna, co to takiego — mruknęła, wlewając purpurowy płyn do kieliszków.

— Zdrowie — powiedziały jednocześnie, stukając się szkłem.

— Pychota — oznajmiła Celia.

Jej blade usta zrobiły się fioletowe po pierwszym łyku.

Kate ostrożnie spróbowała wina. Było zaskakująco dobre i miało smak jeżyn. Mogłaby je pić i pić bez końca. I pewnie tak zrobi, skoro ma przy sobie Celię. Wyobrażała już sobie z niemal bolesną przyjemnością, jak przyjaciółka będzie jej współczuć i wściekać się na Nata.

— Nie wracam do Londynu — zaczęła. Celia pokiwała głową.

— Ani ja.

— Co takiego?!

Zaskoczona Kate odstawiła kieliszek.

— Odchodzę od Lance'a — oświadczyła Celia. Kate zatkanęła.

— A właśnie, gdzie on jest?

Było to pierwsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy. Popatrzyła na otwarte drzwi, jakby spodziewała się, że przystojny, choć oślizgły mąż jej przyjaciółki zaraz wejdzie do baru.

Celia spojrzała na zegarek.

— Wykopałam go.

— Ale dlaczego tak nagle?

— Tak nagle? — Celia uśmiechnęła się szeroko. — Dlaczego właśnie teraz, skoro wytrzymałam z nim tyle lat? — No cóż... zachowywał się naprawdę okropnie na przyjęciu. Flirtował z tą kobietą w obcisłych spodniach, i w ogóle. Celia opróżniła swój kieliszek i nalała im obu.

— Tak, kochanie, ale nie dość ostro z nią flirtował, więc musiałam wziąć sprawy we własne ręce.

— Co masz na myśli? — zapytała zdziwiona Kate. — Gdy cię ostatni raz widziałam, byłeś z tym dziwnym facetem...

— High Street Kenem. — Celia uśmiechnęła się radośnie. — Mówię ci, nikt nigdy w życiu tak się o mnie nie troszczył. Prawdziwy z niego dżentelmen. Traktował mnie jak królową. — Roześmiała się.

— To cholernie przyjemne, gdy ktoś docenia twoje okrągłości nawet o trzeciej nad ranem.

Kate zatkąło. Arystokratyczna Celia i ten jak najdalszy od szlachectwa — chyba że uznać go za królewskiego błazna — śmieszny człowieczek? — Ale...

— Co, kochanie?

— Nie uważasz, że on jest trochę dziwny?

— Skąd. Zapomniałaś chyba, że od dziesięciu lat jestem żoną Lance'a. Dla mnie próg dziwności jest o wiele wyższy niż dla innych ludzi.

— No dobrze, ale co on właściwie robił na tym przyjęciu? Dowiedziałaś się?

— Powiedział nam przecież. Szukał kogoś.

— Ale kogo?

Celia wzruszyła ramionami.

— Jego sprawa. Nie mogę powiedzieć, żeby za bardzo mnie to interesowało. Były ważniejsze rzeczy, którymi należało się zająć. — Ponad brzegiem kieliszka rzuciła gapiącej się na nią Kate pełen zadowolenia uśmiech. — Nie podoba ci się, bo jest niski i łysy — rzuciła oskarżycielsko.



— Ehm... cóż, nie ujęłabym tego w ten sposób, ale...

— A co jest takiego wspaniałego w przystojnych facetach? Zakładam, że nie udało ci się spotkać z tym swoim, co? Właściwie to wiem prawie na pewno, że ci się nie udało: przez większą część wieczoru trzymał język w paszczy Champagne. Lance napisał na ten temat cały esej do swojej gazety.

— Dzięki za tę informację. — Kate przygryzła usta, a w środku wszystko jej się zagotowało.

Celia natychmiast pożałowała swoich słów.

— Och, kochanie, tak mi przykro. Niepotrzebnie ci o tym powiedziałam. Ale Nat Hardstone to łajdak. O wiele lepiej ci będzie bez niego.

Łatwo Celii to mówić, bo jej na pewno już całe lata temu byłoby lepiej bez Lance'a, pomyślała kwaśno Kate.

— Opowiedz mi o Kenie. Co się działo, kiedy wyszłam? Celia westchnęła ekstatycznie.

— Natychmiast się dogadaliśmy. Kiedy opowiedziałam mu o moim małżeństwie, nagle pojawił się Lance. Kompletnie zalany. Zachował się wobec mnie naprawdę podle i chciał mnie zmusić, żebym razem z nim wyszła. Ken oświadczył wtedy, że zostaje, i powiedział mu, co myśli na jego temat.

— Bardzo dobrze.

— I trochę go szturchnął. Pewnie wywiązałyby się bójka, gdyby Lance był w stanie zachować równowagę. A tak od razu wylądował w sadzawce. Co nie poprawiło jego wizerunku w oczach gwiazd, a oglądał nas spory tłum. Także dziennikarze, którzy siedzieli przy stoliku obok.

Kate zachichotała.

— Szkoda, że mnie tam nie było.

Albo gdziekolwiek indziej, pomyślała. Byle nie w miejscu, w którym wtedy stała — w świątyni miłości, skąd podsłuchiwała rozmowę Nata i Champagne B. Oskiej.

— Ken powiedział mi, że jeśli kiedykolwiek mnie uderzy, to zaprzyjaźni się z rybkami. Albo będzie musiał włożyć betonowe buty. Zapomniałam, jak to dokładnie brzmiało.

— A nie jedno i drugie?

— Możliwe, kochanie. W każdym razie Lance wyczołgał się z sadzawki i wybiegł, krzycząc, że dostanę wiadomość od jego prawników. Odparłam, że najpierw on dostanie wiadomość od moich. I wtedy wydarzyła się najbardziej zabawna rzecz... — powiedziała zachwycona Celia.

— Co?

— Otrzymaliśmy brawa! To było niesamowite. Wszyscy klaskali i krzyczeli. Pewnie myśleli, że to próba do jakiegoś filmu.

— Niemożliwe!

— Och, jak najbardziej możliwe. Ludzie kina mają obsesję na ten temat. Myślą, że wszystko kręci się wokół filmu. Słyszałam, jak ktoś powiedział, że Ken ma umowę na trzy filmy z Warner Bros.

— Nie!

Celia pokiwała głową, uśmiechając się z zadowoleniem. Kate przypomniała sobie, jak kelner powiedział, że ludzie filmu uważają się za centrum wszechświata. To dlatego Nat tak desperacko chce do nich dołączyć. Szkoda, że to nie jego Ken uderzył i wrzucił do stawu. A potem nie przytrzymał pod wodą.

Celia poklepała Kate po ręce.

— Och, wiem, co sobie myślisz.

— Nie, nie wiesz.

— Nie jestem głupia. Wiem, że cała ta sprawa z Kenem może się rozplątać. W końcu spotkałam tego faceta tylko raz i nic o nim nie wiem. Ale to nieważne. — Jej oczy lśniły. — Najważniejsze, że wreszcie postawiłam się Lance'owi. Chociaż nie mam pojęcia, co teraz zrobić. — Uśmiechnęła się. — Wiem tylko, że nie wracam do Londynu.

— Wspaniale — odparła Kate, starając się, aby zabrzmiało to szczerze.

W końcu to nie jej sprawa, jakich Celia wybiera sobie mężczyzn. Sama też nie była najlepszą znawczynią męskich charakterów.

— Gdzie jest Ken? Też się tu zatrzymał? Celia pokiwała głową.

— Powinien zaraz wrócić. Wyjechał rano. Chyba chodziło o osobę, której szuka.  
Kate nie mogła się powstrzymać, żeby znowu nie spróbować przywołać przyjaciółki do porządku.  
— To cię nie niepokoi? Te jego dziwne poszukiwania? Celia wyciągnęła rękę nad głowę.  
— Jak już mówiłam, moja kochana, to jego sprawa. Kate zauważyła, że przyjaciółka cała promienieje i tryska energią. Wczorajszą zmęczoną i cyniczną kobietę przepędził niski łysy facecik w błyszczącym garniturze.  
— Oczywiście muszę poszukać sobie pracy — dodała Celia. — A co ty będziesz robić?  
— Pisać powieść. Celia klasnęła w ręce.  
— Naprawdę? No tak, oczywiście! Jak każdy dziennikarz! Lance ciągle gadał o swoim arcydziele. Miała to być książka opisująca życie gwiazd dziennikarstwa.  
— Tak? — bąknęła Kate. Nie była zachwycona tym porównaniem.  
— Nigdy nie zobaczyła światła dziennego. Ale dobrze, że piszesz. Dostałaś już zaliczkę?  
— Ehm... jeszcze nie — przyznała się Kate. — Na razie będę musiała znaleźć inną pracę, żeby mieć pieniądze na opłacenie pokoju i tak dalej. Ale staram się o tym nie myśleć.  
— Może razem coś znajdziemy?  
— Może.  
Przy barze Crichton próbował ostrożnie odstawić pusty kieliszek po anyżówce.  
— No tak — mruknął do siebie.  
Kate patrzyła, jak dzieje się to, co nieuchronne: Crichton wyciągnął rękę, która ześlizgnęła się z lady, i zaraz potem rozległ się łoskot i brzęk szkła.  
Ciszę, która zapadła w barze, zakłócił tylko odgłos spłuczki w toalecie. Potem usłyszeli kroki i w drugim końcu salki otworzyły się ciężkie drzwi.  
— Niech to diabli, myślałem, że nigdy w życiu nie urucho-

mię tej spłuczki. Och, Boże, a ten znowu na podłodze — powiedział niski mężczyzna, zatrzymując się przy leżącym Crichtonie.

— Ken! — zawołała Celia.

Uśmiech miał szeroki na miłę, a jego błyszczące buty zamigotały, kiedy popędził do niej po kamiennej posadzce. — Jak się miewasz, niegrzeczna dziewczyno? — mruknął, całując ją w szyję.

— Zgłodniałam, skoro o to pytasz. — Celia uśmiechnęła się. — A ty, Chłodny Wilku?

Kate patrzyła na to zdumiona. Jej przyjaciółce najwyraźniej odbiło na punkcie tego małego śmiesznego człowieczka. Wydawało się to absolutnie niezrozumiałe, nawet biorąc poprawkę na wyczyny Lance'a.

— Ja też — odparł Ken. — Muszę coś zjeść. Rozejrzał się po lokalu. Troll poderwał już Crichtona na nogi i oparł go o ścianę.

— Może coś zjemy tutaj, w hotelu Zacisze?

Kate z pewną obawą przypomniała sobie ponurą twarz szefa kuchni. Celia też miała pewne wątpliwości.

— Jedzenie jest tu dobre?

— Nie mam pojęcia, ale chyba możemy zaryzykować. Ej, człowieku — zawołał Ken do Trolla — chcielibyśmy prosić o menu. Co on powiedział? — zapytał, kiedy tamten coś mu odburknął.

— Że nie mają menu — przetłumaczyła Celia. — Boże, co za dziwaczna restauracja. Powiedział, że przyjdzie i powie nam, co gotują, jak będzie miał chwilę.

— Jak będzie miał chwilę? — powtórzyła Kate. — Przecież on nic nie robi, tylko siedzi gdzieś w kącie i robi żalosne miny.

— Tak, kochanie, ale robienie żalosnych min też może bardzo zmęczyć.

W końcu Troll znalazł chwilkę. Jego metoda kelnerowania obejmowała podejście do stolika, spojrzenie spode łba na klienta, uderzenie włochatymi dłońmi o blat stołu i oznajmienie groźnym warknięciem, jakie dania są dostępne. Jego zachowanie

wyraźnie mówiło, że mogą wziąć, co dają, albo się wynosić. Niewypowiedziana sugestia podsuwała to drugie rozwiązanie.

— Na początek *pâté*, a potem jagnięcina — zdecydował Ken, gdy kilka razy z irytacją powtórzono mu menu.

Troll niczego nie zapisał. Rzucił Kenowi pogardliwe spojrzenie i odwrócił się do Celi.

— Poproszę to samo — pisnęła.

— A ja dziękuję — odparła pospiesznie Kate. — Muszę za minutę wyjść.

Kiedy Troll wrócił do nich, rzucił garść sztucców na stół.

— Wspaniała obsługa — Ken wyszczerzył zęby. — Nic tego nie przebije, co? Bóg jeden wie, jakie będzie to żarcie.

Po chwili pojawił się przed nim talerz wielkości umywalki.

— Ale ja przecież zamawiałem *pâté*, a nie zupę — wyjęczał Ken do szerokich, całkowicie obojętnych i oddalających się już pleców Trolla.

Ta zupa wygląda przepysznie, pomyślała zaskoczona Kate. Kremowobiała fasolka wymieszana z zielonymi kawałkami cukinii i pomarańczowymi płatkami marchewki, przyprawiona zieloną oliwą z bazylią. — *To pistou*, prawda? — zapytała, rozpoznając popularną prowansalską potrawę.

— Och, nie wiem. Jak dla mnie, smakuje doskonale.

Ken wziął serwetkę, żeby zetrzeć smakowitą strużkę spływającą po brodzie. Kate patrzyła na nitki sera topniejącego w parującej zupie, rozciągające się i pękające pod wpływem szybkich ruchów łyżki. Celia podniosła wzrok znad talerza cukinii w śmietanowym sosie.

— To też jest przepyszne.

Przez kilka minut ciszę zakłócał tylko szczeł sztucców i pomruki aprobaty.

W końcu Ken wytarł pusty talerz kawałkiem świeżego chleba i spojrzał na Kate.

— Co taka miła dziewczyna jak ty robi w takim miejscu?

— Piszę powieść — odparła zadziornie.

— Powieść?

— Zgadza się.

— A jakiego rodzaju? Kryminalną? O zbrodniach?

— Nie. To raczej romans.

Czy „Żigolak z północy” opowiadał o miłości? Raczej o chuci. Ale nie zamierzała mówić tego Kenowi. Wyglądało na to, że nie potrzebuje żadnych dodatkowych zachęt. Jego włochata łapa już zawędrowała na udo Celi. Kate uznała, że wystarczająco długo robiła za przyzwoitkę. Wstała.

— Powieści... — mruknął pogardliwie Ken. — Nie mam czasu ich czytać. Przeczytałem raz książkę przyrodniczą. Wiesz, co mam na myśli?

Kate pokiwała głową. Doskonale wiedziała, co miał na myśli. W końcu jej książka też zaliczała się do „przyrodniczych”.

## Rozdział 14

Gdy wyszła z hotelowego baru, skwar uderzył ją w twarz. Błękitne parasole Cafe de la Place po drugiej stronie placu, mimo że ich właściciel był taki paskudny, kusiły cieniem i śpiewały syrenią pieśń o kawie. A także o smacznym posiłku i spoglądaniu na świat znad niespiesznego lunchu. Ani jeden stolik w kafejce nie był wolny. Brytyjczycy w żółtych czapkach zajęli przynajmniej połowę miejsc. Najwyraźniej nadal na coś czekali.

Pozostałe stoliki zajmowały pary zamożnych turystów, które prawie wcale się do siebie nie odzywały. Kate stanęła z boku, odsuwając się z drogi, gdy mijał ją udreńczony kelner z zastawioną talerzami tacą, wielką jak koło wozu.

— *Pardon* — pomrukiwała co chwila. — *Pardon*.

Od jednego ze stolików z przodu podniósł się brunet w czerwonej koszuli.

— Przepraszam — powiedział do Kate. — Jeśli chcesz usiąść, to ja zaraz idę.

Ku jej zaskoczeniu odezwał się po angielsku. Czy to, że jest cudzoziemką, aż tak bardzo widać? Najwyraźniej. Błada cera. Zaczerwieniony nos. Myszowate włosy. I bez wątpienia najbardziej charakterystyczny angielski rys — niepewność w ruchach i na twarzy.

Brunet był dobrze po dwudziestce, miał brązowe oczy, potargane włosy i szczupłą, zmęczoną i nieogoloną twarz.

— Dzięki.

Usiadła naprzeciwko niego i wzięła menu.

— Głodna? — zapytał.

— Umieram z głodu.

— Wobec tego wybrałaś złe miejsce. Kawa to jedyna rzecz, którą można tu zamówić, a i to tylko dlatego, że podają ją szybciej niż tam. — Skinął głową w stronę Hotel des Tours.

— To przecież kawiarnia, prawda? Wzruszył szerokimi ramionami.

— Ale jedzenie podają tu okropne. Jest zupełnie bez smaku. Tosty są rozmiękłe, a sałatki nieświeże. Powinnaś sobie wziąć coś do jedzenia z piekarni na rogu.

Kate przypomniała sobie, co widziała na wystawie piekarni, kiedy obok niej przechodziła. Pizze z pomidorami, grube kwadraty jajecznej tarty ze szpinakiem, złociste placki lotaryńskie, zupełnie inne od tych, które pamiętała z dzieciństwa — bladych i niezbyt zachęcająco pachnących.

— Ale skoro jedzenie jest tutaj takie okropne, to skąd tylu klientów?

Popatrzył znowu w stronę hotelu.

— Nie ma konkurencji.

Wiedziała, o co mu chodzi. Choć dawno już nadeszła pora lunchu, na żadnym z drewnianych hotelowych stołów rozstawionych pod cienistymi arkadami nie pojawił się obrus. W przeciwieństwie do Cafe de la Place na zewnątrz nie stała tablica z menu. Nikt z personelu nie roznosił talerzy zjedzeniem. Tutaj wprawdzie było inaczej, ale roznoszone przez kelnera dania wyglądały ohydnie. Nie umywały się do tego, co Ken i Celia jedli w barze hotelu Zacisze, jak nazwał to miejsce Ken. Przy sąsiednim stoliku siedziała chuda kobieta, która bez entuzjazmu grzebała w zwiędłej sałatce. Pewnie specjalnie tu jada, żeby nie przytyć, uznała Kate.

— Obsługa tutaj też jest okropna — dodał mężczyzna w czerwonej koszuli.



W Hotel des Tours wcale nie wygląda to lepiej, pomyślała Kate, porównując obydwa lokale. Ale bez wątpienia paskudny właściciel Cafe de la Place wygrywał w przedbiegach, jeśli chodzi o wizerunek. Kafajka rzucała się w oczy i wyglądała bardzo atrakcyjnie: niebieskie parasole, kwiaty, obrusy, serwetki. I mieli menu oraz kelnera, który chociaż poniewierany, przynajmniej akceptował fakt, że tu usługuje. Zauważyła, że jej towarzysz nie spieszy się z odejściem. Przeciwnie: gotów był sączyć swoją kawę tak długo, jak się da.

— Jestem Fabien — przedstawił się z uśmiechem.

— A ja mam na imię Kate. Doskonale mówisz po angielsku.

— Powinienem. Przez pięć lat uczyłem się w angielskiej szkole. Mój ojciec jakiś czas pracował w Londynie. — Naprawdę?

— W służbach dyplomatycznych.

— Wytworne zajęcie.

— Owszem. Ale jak widzisz, ja sam nie jestem zbyt wytworny.

— Ehm... Mieszkasz w Sainte Jeanne?

— W okolicy. Tutaj tylko pracuję. Jestem artystą. Maluję. Zaskoczyło ją, że tak zwyczajnie to powiedział. Jakby zajmował się naprawianiem traktorów.

— To musi być pasjonujące.

— Owszem. Zwłaszcza kiedy można to robić właśnie tutaj. Ta miejscowość ma ciekawą historię.

— Wiem. — Kate natychmiast wykorzystała okazję, aby pokazać mu, że chociaż jest czerwono nosą Angielką, to nie zalicza się do głupich turystek. — Tworzyli tu Renoir, Matisse i Picasso.

— To prawda — odparł, kiwając głową z aprobatą.

— I są tu wspaniałe zbiory dzieł sztuki, takie jak kolekcja madame Ephrussi na Cap Ferrat.

Fabien smukłymi palcami zakrył uśmiechnięte usta.

— Bardzo dobrze. Jestem pod wrażeniem. Widać, że sporo wiesz o tych okolicach.

— Trochę — odpowiedziała.

Uśmiechnął się szeroko.

— A ty? Czym się zajmujesz?

— Jestem pisarką.

— Ach, więc też jesteś artystką?

— Tak jakby.

Nie była jednak pewna, czy „Żigolaka z północy” można zakwalifikować do sztuki.

— Wiesz, ten region słynie także z pisarzy. F. Scott Fitzgerald, Graham Greene, Katherine Mansfield... — Urwał i znowu się uśmiechnął.

— Czy na malowaniu dobrze się zarabia? — zapytała po chwili.

Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

— Malarze są zawsze bez grosza.

— Zupełnie jak pisarze — mruknęła Kate.

— Dopiero kiedy artysta umiera, jego dzieła stają się cenne. Ale ponieważ dla mnie wtedy już będzie za późno, pracuję dorywczo. Trochę w ogrodnictwie, trochę przy budowach, czasem kelneruję... takie tam. Znowu zapadła cisza, jeśli nie liczyć warkotu samochodów i rozmów ludzi na placu. Kate rozejrzała się za kelnerem, ale nigdzie nie było go widać. Fabien miał rację, narzekając na obsługę.

— Piszesz w Hotel des Tours?

Pokiwała głową, myśląc z dumą, jak romantycznie to brzmi. Pisarka tworząca w hotelu na Riwierze. To trochę w stylu Agathy Christie. Chociaż tak naprawdę nawet nie dotknęła jeszcze papieru długopisem.

— Piszę na balkonie. Od frontu, na samej górze, wychodzi na plac. — Wskazała swój balkon. — Tylko nie wiem, jak długo jeszcze będę mogła tam mieszkać.

— Dlaczego?

— Pieniądze — westchnęła Kate. — Muszę sobie znaleźć jakieś dorywcze zajęcie, żeby opłacić pokój.

Fabien pokiwał głową. Pół sekundy później zerwał się i spojrzał z przerażeniem na zegarek.

— Muszę iść.

Kate popatrzyła na niego. Nie przesadzał, kiedy mówił, że nic wygląda zbyt wykwintnie. Wypłowiałe bawełniane spodnie, zwisające luźno z jego szczupłych bioder, były poplamione lurbą i gliną. Plecy koszuli pokrywały smugi od wybielacza. Całe ubranie było pomięte, niechlujne i najwyraźniej nie wiedziało, co to proszek do prania. A mimo to Fabien nosił je ze swoistą gracją.

— Pewnie myślisz, że jestem niechlujny — powiedział cicho.

Kate aż podskoczyła, uświadamiając sobie, że od dłuższej chwili gapi się na niego.

— Nie, skąd. Zresztą ja też... — Przesunęła dłonią po swojej pogniecionej sukience i pokazała mu zniszczone klapki.

Patrzył na nie odrobinę dłużej, niż to było konieczne. A potem spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się.

— Muszę już iść. Ale miło było znowu cię spotkać, Kate. Kiedy jego ciepła, sucha ręka przesunęła się po jej dłoni, poczuła przyjemny dreszcz. A potem rozległy się w jej głowie dzwonki alarmowe. Miło było cię spotkać — znowu?!

— Och. Jeszcze jedno. — Fabien odwrócił się. — Wino w tym lokalu jest równie kiepskie jak jedzenie. Nie dostaniesz tu różowego szampana.

To powiedziawszy, odszedł. Kate patrzyła, jak jego mocne, długie nogi w zniszczonych butach pokonują susami plac. Różowy szampan! Uświadomiła sobie nagle, co to oznacza, i obiema rękami zakryła usta. To on! Kelner z wczorajszego przyjęcia. Kochający sztukę i niecierpiący aktorów mężczyzna w masce, który z taką troską się nią zajął. Kiedy z zakłopotaniem i wdzięcznością spoglądała na jego oddalającą się postać, zjawił się kelner, żeby przyjąć zamówienie.

W tej samej chwili z hotelu wynurzył się Crichton Porterliouse i ruszył w stronę kawiarni. Jego nadejście powitał chór głosów za plecami Kate.

— Croyton! Patrzcie, to Croyton! Wrócił.

Kate obejrzała się i zobaczyła, że żółte czapki odwracają się

w stronę przybysza. Dopiero teraz zauważyła, że na każdej czapce nad daszkiem, tak jak na plakietce Crichtona, znajduje się napis „Zwiedzaj z nami”. Choć wydawało się to niewiarygodne, najwyraźniej właśnie na niego czekali. A co jeszcze bardziej niewiarygodne, Crichton sprawiał wrażenie jakby nieco trzeźwiejszego.

— Przepraszam, że się trochę spóźniłem — mruknął. — Długa kolejka na poczcie. A nie uwierzycie, w jakiej kolejce musiałem stać w banku.

Nie, pomyślała Kate, uśmiechając się pod nosem, ja na pewno bym nie uwierzyła.

— Dostaniemy jakieś żarcie czy nie? — dopytywała się korpulentna brunetka w koszulce Aston Villa.

— Kanapki, które zamówiliśmy, wciąż się nie pojawiają. Mógłbyś to wyjaśnić, Croyton?

Crichton zauważył Kate i uśmiechnął się do niej.

— Witam ponownie — powiedziała, szczerząc zęby. — Więc to tym się zajmujesz? Pilotujesz wycieczki? — zapytała.

Crichton podszedł do jej stolika i przesunął dłoń po zmęczonych oczach.

— Tak, to jedno z moich zajęć — odparł. — Orowadzanie turystów z Birmingham po Croisette i włączenie się z nimi po wioskach na wzgórzach. — Przewrócił oczami. — Robię co mogę, żeby zainteresować ich średniowieczną francuską architekturą, ale oni tak naprawdę chcą tylko jeść i siusiać.

Kate podskoczyła, gdy coś z hukiem wylądowało na stoliku.

— *Votre un demi* — powiedział jakiś głos. Nie należał do znękanego, zadyszanego kelnera.

Piwo wyglądało na zwietrzałe, jakby zbyt długo czekało na kontuarze baru. Kate podniosła wzrok.

Przed jej stolikiem stał właściciel kafejki. Z bliska sprawiał jeszcze bardziej nieprzyjemne wrażenie niż z balkonu. Ze swoimi rzadkimi siwymi włosami i małymi wściekłymi oczkami przypominał łasicę.

— Mam nadzieję, że nie zamierza pani siedzieć tu z tym

piwem przez całe popołudnie — warknął po francusku. — Zajmuje pani cały stół dla czterech osób, a jest pora lunchu. Tacy ludzie jak pani kosztują mnie fortunę.

Świadoma, że gapi się na nią cała grupa żółtych czapek, Kate zaczerwieniła się. Ogarnął ją gniew.

— Nie wiedziałam — odparła lodowatym francuskim — że jest jakiś limit czasowy na wypicie szklanki piwa.

— Moja kawiarnia, moje reguły — warknął właściciel. — Proszę wypić i wychodzić. Uniemożliwia pani czterem osobom zjedzenie lunchu.

— Sądząc po tym, jak wygląda pańskie jedzenie, robię im przysługę.

Właściciel kawiarni wytrzeszczył na nią oczy. Stojący za jego plecami Crichton odchrząknął.

— Przepraszam — wtrącił się ostrożnie — przykro mi, że przeszkadzam, ale skoro mowa o jedzeniu, może zamiast krzyczeć na tę miłą młodą damę, mógłby pan sprawdzić, co się stało z naszym zamówieniem? Czterdzieści minut temu zamówiliśmy dwadzieścia *croquette*.

Łasicowaty właściciel kafejki spojrzął na niego z pogardą, u potem znowu odwrócił się do Kate.

— Wypij i więcej tu nie wracaj — burknął.

Odszedł, kiwając się na krzywych nogach, i po chwili zdumiona Kate zobaczyła, jak cały w uśmiechach wylewnie wita jakąś rodzinę.

— Jaki to uprzejmy człowiek — powiedziała żona do męża.

— Dzięki — mruknęła Kate do Crichtona przez zaciśnięte zęby.

— Nie ma sprawy — odparł przewodnik. — Zrobiłbym wszystko, byle dopiec temu człowiekowi. Jest prawie tak samo okropny jak jego jedzenie — dodał, gdy umęczony kelner zaczął roznosić blade kanapki, które miały zaledwie przelotną styczność z grillem. — To naprawdę okropne miejsce, ale nie mam gdzie zabrać mojej wycieczki.

Spojrzał z żalem na drugą stronę placu.

Kate pożegnała się z nim i powędrowała na rue du Midi. Na

jej końcu znajdowało się biuro „Gazety Riwiery” — lokalnego tygodnika.

Z naklejek na oknie wywnioskowała, że „Gazeta” to tygodnik przeznaczony dla miejscowej anglojęzycznej społeczności. Zupełnie jak „Wychodnik”. Chociaż można by się spierać, czy niektóre z dialektów dalszych regionów północy należy uznać za język angielski.

Westchnęła, po raz kolejny przypominając sobie, co zostawiła. „Tygodnik” był gorszy nawet od konkursu piosenki Eurowizji, ale teraz, zdana na własne siły w obcym kraju, pamiętała tylko jego dobre strony.

Zajrzała z ciekawością przez wielkie okno. Przybrudzone żaluzje zasłaniały większą część pomieszczenia, dostrzegła jednak, że nikogo w nim nie ma. Pewnie wszyscy pojechali szukać materiałów. Zastanawiała się, jakie to mogły być materiały. Przy drzwiach wisiał druciany koszyk z napisem: „Weź sobie darmowy egzemplarz”. Wzięło go już jednak tyle osób, że nic nie zostało i Kate nie mogła ocenić treści gazety.

Przemknęło jej przez głowę, że może dostałaby tu pracę. Ale z pewnością będą z tym problemy. Nawet jeśli pominąć skomplikowane przepisy dotyczące zatrudniania obcokrajowców we Francji, jej dziennikarskie doświadczenia prawdopodobnie okazałyby się tu bezużyteczne. Pewnie trudno znaleźć jakieś podobieństwa między gazetą, która pisała o zabawach bogaczy, a gazetą opisującą zabawy szkolne w Slackmucklethwaite.

Jej wygląd też by tu chyba nie pasował. Naczelnym „Gazety” to pewnie jeden z tych eleganckich Francuzów, noszących marynarki z lodenu i palących cygara, w niczym nieprzypominający Denysa. Jego wytworni pracownicy z pewnością bez problemu mogli pojawić się na kolacji w willi miliardera albo na jachcie jakiejś gwiazdy. Nawet jeśli w tym tygodniku istniała rubryka podobna do *Pięćdziesiąt lat temu tego dnia*, to pewnie zamieszczano w niej zdjęcia Humphreya Bogarta na przyjęciach w Cannes, a nie radnego Silsdena w czasie otwarcia nowych toalet w ratuszu.

Ogłoszenia też musiały być inne. Na pewno nie zamieszczali w „Gazecie” żalonych ofert: *Suknia ślubna, beżowy nylon,*

*noszona dwa razy, rozmiar 18, typowych dla „Tygodnika”. Dotyczyły pewnie jachtów i wili oraz szoferów, sprzątaczek i czyścicieli basenów, poszukiwanych przez żyjących w luksusach mieszkańców Lazurowego Wybrzeża. Były to sprawy niespecjalnie interesujące obywateli w Slackmucklethwaite. Tam z czyszczeniem basenów miała do czynienia tylko salowa w szpitalu. Kate bolała głowa. Nawet bez kaca jej perspektywy prezentowały się ponuro. A z kacem to już była czysta desperacja. Wymarzona ucieczka do Francji zaczęła się naprawdę bajecznie. Wystarczył jeden zdradziecki, podstępny, manipulujący ludźmi syn milionera. Stracona praca w „Tygodniku”. Rodzina, która ją odrzuciła. Obca na obcej ziemi. W ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin od przybycia sprowokowała cały łańcuszek zawstydzających sytuacji.*

Kim właściwie była? Tak zwaną pisarką z ledwie zaczęłą książką. Ale teraz przynajmniej mogła coś z tym zrobić. Skoro już nic jej nie rozpraszało, mogła przestać gadać o powieści i ostro wziąć się do roboty.

Gdzie znalazłaby lepszy bodziec do pracy niż w miejscu, do którego zamierzała wysłać swojego żigolaka z północy? Nieważne, że oryginalny rękopis leżał teraz pewnie pod stosem kartoflanych obierek w kuchennym koszu na śmieci. I tak musiała zacząć od początku. Każda scena wymagała poprawek. Nienawidziła Nata za jego oszustwa, ale przynajmniej nauczył ją, co to znaczy prawdziwy seks. Nie musiała już sobie wyobrażać, co Mark robił z Doreen — nie, Dorian — Bracegirdle. Teraz już wiedziała. I Dorian Bracegirdle też już wiedziała.

Następnego ranka usadowiła się na balkonie i zabrała się do pracy.

Mark siedział w głębi sali w Instytucie Kobiet i patrzył, jak Dorian Bracegirdle wstaje, żeby podziękować swemu przedmówcy, który wygłosił „fascynujący wykład na temat oszczędzania energii”.

Nagle cudowny błękitnozłoty dzień wybuchł ogłuszającym hałasem, kiedy kilka samochodów jednocześnie strzeliło z gaźnika.

Chwilą potrwało, zanim Kate znowu udało się skupić.

Oszczędzanie energii, pomyślał zmęczony Mark. Niewiele jej zaoszczędził ostatniej nocy. Dorian była jeszcze bardziej nienasycona niż zwykle — pięć razy, w tym jeden z polewą czekoladową — a nadal nie było śladu kabrioletu MX5, który mu obiecała. Nadszedł czas, by odebrać nagrodę.

Bzzzzyyyyy — ktoś włączył maszynę do przycinania glazury. Zdesperowana Kate potarła oczy. Na miłość boską, przecież próbuje pracować. Ale skupienie się przy tych wszystkich hałasach było niemożliwe.

Skoro już tu jestem — powiedziała Dorian — chciałabym ogłosić zwycięzcę naszego konkursu na najlepszą radę dotyczącą oszczędzania energii. To Mandy Bolsover, która proponuje, żeby nadmiar zagotowanej w czajniku wody odlewać do termosu.

W tym momencie wszystkie psy na placu zaczęły szczeekać zgodnym chórem. Kiedy wreszcie przestały, natychmiast rozdarł się jakiś kot. To właściciel Cafe de la Place znowu bawił się w świętego Franciszka z Asyżu — i Kate ujrzała nieszczęsnego kocura lecącego w powietrzu. Była pora śniadania, ale nawet z balkonu można było zobaczyć, jak żałośnie wygląda posiłek. Kawę podawano w małych kubeczkach, a croissanty były blade i prawie na pewno stęchłe.

Mark rzucił leniwe spojrzenie na Mandy Bolsover. Zadbana ptaszyna, pomyślał. Była to nowa mieszkanka Slackmucklethwaite. Z tego co Mark słyszał, wynikało — o ile dobrze kojarzył — że miała męża, który dorobił się



fortuny dzięki sieci doskonale prosperujących sklepów optycznych. Spojrzał na jej drobne, ale krągłe piersi. Z pewnością miała ładną figurę. Uznał, że byłoby błędem przepuścić taką okazję bez jej dokładniejszego zbadania...

Tuż pod balkonem rozpoczęła się jakaś bardzo głośna rozmowa. Kate doszła do wniosku, że jej wysiłki nie mają sensu. Rzuciła notatnik i długopis na stolik, po czym zeszła do baru, zamierzając zjeść śniadanie.

Kiedy otworzyła drzwi, aż się cofnęła, niemal odepchnięta siłą hałasu. Toczyła się tu zaciekle kłótnia. Pośrodku pomieszczenia stała barmanka, wrzeszcząca histerycznie na starego mężczyznę, który także i dziś miał na sobie czerwony sweter i wełnianą czapkę. W pomarszczonych żółtawych rękach trzymał dwie trzęsące się plastikowe torby z papierem toaletowym — najwyraźniej był bardzo rozgniewany. — Jak śmiesz, Pappy! Pracowałam tu od siedmiu lat! — krzyczała dziewczyna, wypinając pierś jak dziki koń.

Obok nich stał Troll, który wyglądał, jakby chciał uspokoić obie strony, ale nie wiedział jak.

— Pracowałam — odparł Pappy. — Ty nawet nie wiesz, co to znaczy praca, Nicole.

Ciemne oczy barmanki zapłonęły z oburzenia. Złapała spodek stojący na barze i cisnęła nim w oskarżyciela. Nie trafiła. Pocisk przeleciał obok niego i roztrzaskał się o ścianę nad jeszcze bardziej wiekowym staruszką, który obracał w dłoniach wielki kieliszek koniaku.

— Wiesz co? — powiedział do Nicole, wyjmując kawałek spodka z kieliszka. — Jesteś piękna, kiedy się złości.

— A ty jesteś brzydki przez cały czas!

— I jeszcze jedno... — dodał Pappy, po czym wymienił nie jeden, ale kilka obszarów, w których jego zdaniem barmanka zupełnie sobie nie radziła.

W odpowiedzi Nicole cisnęła ślicznym zielonym dzbankiem z anyżówką. Kate odchyliła się i usłyszała, że naczynie roztrzaskuje się na ścianie nad nią.

Starszy pan sięgnął do swoich toreb i zaczął obrzucać Nicole rolkami papieru. Okazał się jednak jeszcze gorszym strzelcem od barmanki i zdołał tylko rozwalić stosiki paczek z papierosami, ułożonych porządnie na półkach nad końcem baru, tuż przy drzwiach. Na podłogę posypały się tęczową kaskadą gitane'y, marlboro, gauloise'y i camele.

Przeciwnicy znowu zaczęli na siebie wrzeszczeć tak głośno, że bębunki mogły popękać.

— Mam dość pracy dla ciebie, ty żałosna stara ropucho! — wściekała się Nicole. — Idę, słyszysz? Odchodzę, słyszysz? Odchodzę, rzucam to!

Zaciskając gniewnie usta, wymaszerowała z baru, zatrzymując się tylko po to, żeby spoliczkować Pappy'ego. Uderzyła go tak mocno, że Troll aż się skrzywił, ale położył wielką dłoń na ramieniu dziewczyny, próbując ją zatrzymać. Nicole z pogardą straciła jego rękę, szarpnęła drzwi i wypadła na zewnątrz.

Zapadła cisza. Przez kilka minut nikt się nie poruszył. Pierwszy zrobił to Troll. Jego przygarbione ramiona jeszcze bardziej się zgarbiły. Sprawiał wrażenie mocno przybitego. Po chwili jednak uniósł brodę, wyprostował potężne plecy i podszedł do Pappy'ego.

— Patrz, co zrobiłeś! — jęknął z udręką. — Teraz ona już nigdy nie wróci!

— I bardzo dobrze — odparł starszy pan. Na jego delikatnym jak pergamin policzku widać było czerwony odcisk palców Nicole.

Odwrócił się w stronę drzwi i dostrzegł Kate.

— Ty! — krzyknął, wyciągając w jej kierunku trzęsący się palec. — Ty!

Kate nerwowo przełknęła ślinę. Teraz w nią zaczniesz rzucać rolkami papieru?

— Co? — zapytała z niepokojem.

Z oczami płonącymi jak węgle Pappy ruszył do baru, schylił się, wyjął coś spod lady i podał Kate.

— To — burknął. — Przyszło dziś rano.

Wręczył jej małą kopertę z logo firmy kurierskiej przesyłającej rzeczy w ciągu jednego dnia. Kate spojrzała na adres zwrotny — Meszuge, Slackmucklethwaite — i zamarła.

Wysłanie listu kurierem nie wróżyło niczego dobrego. Oznaczało to, że mama chciała jej coś przekazać, nim dojdzie do głosu bardziej racjonalna i wyważona myśl. Kate poczuła, że robi się jej słabo. Może rodzice się jej wyparli?

Na pergaminowej twarzy Pappy'ego malowała się ciekawość, ale Kate nie zamierzała otwierać przy nim koperty. Trzymała list za sam brzeżek, jakby była w nim bomba. Kiedy wspinała się po nierównych schodach, usłyszała, że w kopercie coś szeleści. Co mama jej przysłała? Spopielone resztki „Żigolaka z północy”?

Na balkonie rozerwała tekturowe opakowanie firmy kurierskiej, z bijącym sercem otworzyła kopertę i wyjęła jej zawartość. Nie było niczego od mamy. W kopercie znajdował się list napisany ręką babci, zwitek euro oraz spora garść ziemi.

„Przesyłam ci trochę ziemi z północy — napisała babcia kaligraficznym pismem. — A teraz przestań jęczeć, zakasuj rękawy i bierz się do roboty”.

Słowa listu zafalowały przed oczami Kate, które nagle wypełniły się łzami. „Nie chcę, żebyś mi dziękowała, ale masz do mnie pisać — dodała babcia w ramach postscriptum. — Więc pamiętaj, żeby mi coś przysłać”.

Kate wygładziła banknoty, czując jednocześnie ulgę i wyrzuty sumienia. Wiedziała, że babcia ma niewiele pieniędzy. Taki prezent oznaczał dla niej poważne ograniczenia przez kilka miesięcy. Wyobraziła sobie, jak starsza pani prosi na poczcie — na pewno tak było — żeby wypłacili jej emeryturę w tych „eurowych” pieniądzach. Kurier był dla Kate zaskoczeniem — nie miała pojęcia, że babcia wie o istnieniu takich usług. Być może w załatwieniu obu tych rzeczy pomógł jej jakiś życzliwy urzędnik.

„Ciesz się wolnością”, powiedziała jej babcia przez telefon. Kate uświadomiła sobie, że właśnie odzyskała tę wolność. Po raz pierwszy od lat jej czas należał do niej, nie musiała sprzeda-

wać go za nędzne wynagrodzenie Peterowi Hardstone'owi albo fabryce majtek.

Przechyliła się przez balustradę i spojrzała na plac. Nawet w hotelu Zacisze nie było tak źle, jak można by sobie wyobrażać. Na przykład miała tu ten cudowny balkon.

Istniały gorsze miejsca od tego. Nawet perspektywa szukania pracy wydawała się teraz mniej przygnębiająca. Jutro zacznie szukać, może w hotelu potrzebują pokojówki? Dzięki matce po latach praktyki osiągnęła mistrzostwo w sztuce pedantycznego upychania prześcieradła pod materacem. Ale może nie był to najlepszy moment, żeby myśleć o mamie i ścieleniu łóżek. Wyobraziła sobie, jak podchodzi do Makreli i mówi: *Madame, je peux faire les coins d'hôpital...*

Zostanie pomywaczką, jeśli będzie trzeba. W końcu zmywanie miało literackie tradycje — weźmy choćby Orwella i jego reportaże *Na dnie w Paryżu i Londynie*. Poza tym, skoro Nicole odeszła w tak spektakularny sposób, być może jest do wzięcia jej posada.

A być może istniały też inne możliwości.

Spisała „Gazetę Riwiery” na straty, nawet nie próbując wejść do biura. Na pewno warto spotkać się z naczelnym. Do odważnych świat należy, jak mawiał tata za każdym razem, gdy wysyłała kolejny list do któregoś z londyńskich dzienników. Cóż, wprawdzie świata nie podbiła, ale wszystko przed nią.

Srebrzyste dźwięki dzwonów przy Place de l'Eglise jeszcze bardziej podniosły ją na duchu. Dostała w skórę, lecz nie została pokonana.

## Rozdział 15

Kiedy obudziła się następnego dnia, ujrzała przepiękny poranek. Wyszła na balkon, żeby podziwiać promienie słoneczne kładące się na bruk i winorośle. Wieża kościelna wyglądała jak brzoskwiniowy płomień. Jedynym mankamentem tej scenerii był właściciel kawiarenki naprzeciwko, który już podlizywał się zamożnie wyglądającym, ubranym na biało rodzinom. Z obrzydzeniem zauważyła, że nawet połaskotał jakieś dziecko pod brodą delikatnie uszczypnął drugiego malucha w rumiane, pucołowate policzki. Jednak maluch nie dał się zwieść i zaczął histerycznie wrzeszczeć.

Nie ma co zwlekać, upomniała się w myślach Kate. Musi sobie zorganizować życie od podstaw i znaleźć pracę. Zacznie od wizyty w „Gazecie Riwiery”. Zastanawiała się, czy powiedzieć o swoich planach Celi, ale jej przyjaciółka pewnie jeszcze wisiała na Kenie i mogłaby nie być zachwycona tym, że ktoś im przeszkadza. Po prysznicu i zrobieniu małej przepierki Kate rozwiesiła T-shirty i parę sztuk bielizny na poręczy balkonu, a potem wyruszyła na rue du Midi.

Tłum przed piekarnią potwierdzał narodowe uzależnienie Francuzów. Z pewnością im to nie szkodzi, pomyślała Kate, patrząc na smukłe kobiety, wychodzące ze sklepu z pękami cienkich jak gałązki bagietek. Najwidoczniej jedzący „szczupłe” pieczywo ludzie też byli szczupli.

Zatrzymała się przed małym butikiem i tęsknie popatrzyła na wystawę. Przydałoby jej się nowe ubranie na rozmowy o pracę. Różowy, wykończony koronką sweter, który dzisiaj włożyła, był zniszczony wielokrotnym praniem i noszeniem, gryzł się też z czerwoną letnią sukienką oraz jej karmazynowym nosem.

Ale tak samo jak potrzebne jej były ubrania, potrzebne też były pieniądze na ich zakup. Poza .tym w Sainte Jeanne najwyraźniej sprzedawano ubrania tylko dla chudych, wymoczkowatych kobiet, gustujących w płóciennych sukienkach bez rękawów w kolorze złamanej bieli. Ruszyła dalej.

— Kate! — zawołał nagle ktoś wysoki i ciemnowłosy. Artysta i kelner w jednej osobie... Fabien.

Uśmiechnięty, rozczochrany, z błyszczącymi, lekko zmrużonymi oczami.

Zarumieniła się, gdy przypomniało jej się ich ostatnie spotkanie w kawiarence.

— Cześć — powiedział.

— Cześć. — Spojrzała na niego z zakłopotaniem i zarazem wyzywająco. — Słuchaj, jeśli chodzi o przedwczorajsze przyjęcie...

Uśmiechnął się znowu, błyskając równą linią zębów.

— Ach, przyjęcie.

Był naprawdę przystojny. Szczupła sylwetka, mocna, ale smukła szyja. Oczywiście po doświadczeniach z Natem wygląd stracił już dla Kate znaczenie. Jeśli się jednak lubi facetów troszkę „wystrzępionych na brzegach”, nie można było uznać Fabiena za bagiennego potwora.

— Chyba jestem ci winna za taksówkę.

— Nie chcę o tym słyszeć. Poza tym była już opłacona. Na szczęście taksówkarz nie wiedział przez kogo.

— Zwinęłam taksówkę Madonnie! Wzruszył szczupłymi ramionami.

— *Eh bien!* Stać ją na to. Idź i powiedz jej, skoro tak cię to dręczy.

Kate wyszczerzyła zęby.

— W każdym razie dziękuję. I przepraszam za to, że cię zanudzałam swoimi problemami.

Przechylił głowę i skrzywił się lekko, jakby mówił: „Nie ma sprawy”. Popatrzyli na siebie w milczeniu. Serce Kate zaczęło s/.ybciej bić.

- Fabien! — zawołał nagle zmysłowy kobiecy głos.

W słońcu rozbłysła grzywa lśniących włosów, zgrabne ręce objęły Fabiena za szyję. Pomiedzy nimi stanęła, wypinając pierś, Nicole, barmanka z hotelowego baru. A raczej była barmanka.

Jeśli wyglądała pięknie, kiedy się złościła, to jeszcze piękniej wyglądała, gdy nie była zła, stwierdziła Kate. Jej ciemne wargi, pełne jak u Bardotki, poruszały się zmysłowo, gdy żuła gumę, błyskając białymi zębami. Spojrzenie wielkich brązowych oczu patrzących na młodego mężczyznę było trochę spojrzeniem właściciela, a trochę kpiarza.

- To Nicole — przedstawił ją Fabien.

Kate sztywno skinęła głową, ale jakoś zdołała ucisnąć wyciągniętą dłoń dziewczyny.

- My się już spotkałyśmy — powiedziała.

Nicole nie dała po sobie poznać, że już wcześniej widziała Kate. Zwyczajnie ją zignorowała, chichocząc i wdzięcząc się do Fabiena jak mała dziewczynka.

- Spotkałyśmy się w Hotel des Tours — dodała Kate. W oczach Nicole rozbłysła złość.

- To szambo. Najgorszy bar na świecie. Co za rodzina! Idioci! Potwory!

- Nie są tacy źli — zaprotestował Fabien. — Jesteś niewdzięcznicą — zganił Nicole. — Słyszałem, że jeden z tych „potworów” bardzo cię lubi. Nicole skrzywiła się.

- Ten wielki ohydny imbecyl?

- Nie wyglądasz się liczy — stwierdził Fabien.

- Na szczęście dla niektórych ludzi — burknęła Nicole. Kate zrobiło się żal Trolla. Nawet jego własna matka nie

powiedziałyby, że jest przystojny, ale tylko serce z kamienia nie wzruszyłoby się, widząc jego oddanie dla tej dziewczyny. Jednak Nicole rzeczywiście miała serce z kamienia.

— Pewnego dnia odziedziczy cały ten interes — zauważył Fabien.

— Interes! Nazywasz to interesem? Wolałabym już raczej odziedziczyć stragan z naleśnikami.

— Chyba nie wiesz, co mówisz. Widziałem kiedyś, jak taki facet od naleśników pakował się wieczorem w Nicei. Odjechał mercedesem.

Nicole popatrzyła na niego. Może i jest piękna, ale chyba brakuje jej poczucia humoru, pomyślała Kate. Poza tym jej zarzuty były nieprawdziwe. Bar w Hotel des Tours wcale nie był najgorszym lokalem w Sainte Jeanne, a już na pewno nie na świecie. Ten zaszczyt bez wątpienia przypadła Cafe de la Place.

— Muszę iść — mruknęła Nicole, obrzucając Fabiena spojrzeniem tak ognistym, że wypalało dziury nawet z odległości pięćdziesięciu kroków.

Kate przyjrzała się uważnie malarzowi. Wyglądał, jakby spotkanie z tą ognistą kusicielką wcale go nie poruszyło, ale możliwe, że w środku cały płonął. Trudno to było stwierdzić na pewno. Kiedy Nicole odeszła, podrapał się po głowie i uśmiechnął do Kate.

— O czym to mówiliśmy? A, tak. Smakowały ci napoje serwowane w Cafe de la Place?

— Szczerze mówiąc, pijałam lepsze — odparła i opowiedziała mu, jak ją potraktowano, kiedy zamówiła piwo.

Fabien sprawiał wrażenie przerażonego.

— Tak mi przykro.

— Nic takiego się nie stało.

— Wprost przeciwnie. Masz teraz zupełnie niewłaściwie wyobrażenie na temat Lazurowego Wybrzeża. Pewnie myślisz, że wszystkie bary są tu równie dziwaczne jak ten w Hotel des Tours, a obsługa kafejek równie nieuprzejma jak w Cafe de la Place. Prawda?

Kate nic na to nie odpowiedziała.

— No właśnie. Mógłbym cię gdzieś zabrać, żeby zatrzeć to wrażenie? Lubisz koktajle?

— Jak wszyscy — odparła Kate, chociaż w gruncie rzeczy nieczęsto je pijała.



Repertuar taty kończył się na mdłej mieszance lemoniady, likieru wiśniowego maraschino i advocata z zakurzonej starej butelki, która pojawiała się na stole raz do roku, w Boże Narodzenie. Ale kiedyś wypła kilka koktajli Screaming Orgasm w Huddersfield, po których bardzo się pochorowała.

Fabien rozpromienił się.

— Doskonale. Bar w Antibes to prawdziwy wypas.

— Wypas? Gdzie się nauczyłeś takich słów?

— Mówiłem ci, że chodziłem do szkoły w Anglii. Kiedy jesteś wolna? Dziś wieczorem?

Kate zawahała się. W jej głowie znów zabrzączał ostrzegawczy dzwonek. Ale przecież Fabien się jej nie oświadczał, tylko proponował drinka. A Kate wiedziała, że babcia radziłaby jej przyjąć zaproszenie. Zważywszy na wsparcie finansowe, jakie od niej otrzymała, czuła się zobligowana.

— Dobrze.

— Świetnie. Spotkamy się na placu koło szóstej. Pomachał do niej i odszedł, a Kate ruszyła w swoją drogę.

Potrzebowała kilku sekund, żeby przypomnieć sobie, dokąd właściwie zamierzała iść.

Pięć minut później stała przez biurem „Gazety Riwiery”. Na szczęście koszyk przy drzwiach wypełniały teraz świeże egzemplarze gazety. Kate zobaczyła, że miała rację, jeśli chodzi o ogłoszenia. Dotyczyły willi, szoferów, sprzątarek i opiekunek do dzieci. No i oczywiście czyścicieli basenów. Najbardziej fascynujące były ogłoszenia dotyczące jachtów — za ich wynajem oczekiwano tygodniowo sum, od których włosy stawały dęba. Ale były to łodzie wyposażone w skutery wodne, sprzęt grający, luksusowe kabiny i silniki z turbodopalaczami.

Nie tylko liczba ogłoszeń przypominała jej o poprzednim pracodawcy. Ortografia w „Gazecie” była jeszcze gorsza niż w „Wychodniku”. Na przykład wywiad z kimś, kogo tytuł

określał jako „Bardzo brytiską zyletę”... Nie, nie może być! Ależ to ona —jak żywa, tyle że jeszcze paskudniej sza: Champagne B. Oska, w tej samej skąpej koszulce, w której wystąpiła w „Tygodniku”. Prawdopodobnie była to ta sama fotografia. Kate zalała falą nienawiści. Ta głupia gwiazdeczka dotarła nawet do „Gazety”. Nie da się od niej uciec?

Jej spojrzenie przyciągnęło nazwisko na początku artykułu. „Wywiad przeprowadziła Kate Clog”. Chwyciła gazetę obiema rękami. To jej wywiad?

Najwyraźniej. Kilka pierwszych akapitów potwierdziło fakt, że słowo po słowie przepisano jej artykuł. Ale jak trafił do „Gazety”? Kate zmarszczyła brwi. Prawdopodobnie w „Gazecie” doszli do wniosku — było to zresztą zrozumiałe — że czytelników „Wychodnika” jest niewiele i wszyscy mieszkają daleko od Riwiery, więc po prostu można skopiować wywiad w całości. Zastanawiające jednak było to, jak tego dokonano. Jakim sposobem egzemplarz „Wychodnika” trafił do południowej Francji?

A jednak znalazł się tu, być może całkiem przypadkiem. Kiedy Kate szła tutaj, martwiła się, że nie ma ze sobą zeszytu z wycinkami, do którego wklejała swoje artykuły. Teraz już go nie potrzebowała. Dziwnym zrządzeniem losu naczelny „Gazety” nie tylko znał jej teksty, ale nawet je drukował. Patrząc na odbicie w szybie, poprawiła włosy, wyprostowała się i unosząc brodę, pchnęła szklane drzwi.

Biuro „Gazety” było małe, mniejsze nawet od biura „Wychodnika”, i jeszcze bardziej zabałaganione. Z wyjątkiem przekrzywionego kalendarza przedstawiającego plażę i odłażącego od ściany starego plakatu z festiwalu filmowego w Cannes nic nie wskazywało, że pisze się tu o olśniewającym Lazurowym Wybrzeżu. Na półkach stały pękające w szwach pudła z aktami, rozsadzającymi spinające je gumki, a dwa stare biurka, które wypełniały prawie cały pokój, zavalone były stosami gazet. Za jednym z nich wisiała wielka tablica ogłoszeń pokryta fotografiami i wycinkami prasowymi.

Naprzeciwko niej stało wielkie krzesło obrotowe, odwrócone

plecami do drzwi i biurka. Nad jego oparciem widać było tylko czubek siwawej głowy, unoszącej się i opadającej w rytm pochrapywania. Naczelny najwyraźniej spał.

Kate odkaszlnęła głośno. Żadnej reakcji. Odchrząknęła. Nadal nic. W końcu zapukała w biurko i zawołała: — Jest tu ktoś?

Usłyszała parsknięcie, po którym nastąpiło kilka kaszlnięć i krzesło obróciło się. Kate zobaczyła siedzącego na nim mężczyznę. — Crichton! — wykrzyknęła zdumiona.

Gdy jego nieprzytomne oczy zogniskowały się na jej twarzy, zerwał się gwałtownie. Naruszyło to równowagę stosów gazet, które zjechały z biurka, odsłaniając ogromną butelkę anyżówki. Przetoczyła się powoli, potracając pusty kieliszek stojący obok zniszczonej lampki. Dopiero po śniadaniu, a Crichton już dorwał się do butelki. Spojrzał na nią oskarżycielsko.

— Przestraszyłaś mnie.

— Przepraszam. Nie chciałam. Szukałam tylko naczelnego. Z pewną trudnością opadł z powrotem na krzesło, bo jego

siedzenie już się obróciło. Przez chwilę macał za sobą w poszukiwaniu oparcia na ręce.

— Właśnie go znalazłaś. Ja jestem naczelnym.

— Ty?!

— Zaskoczona, co?

— Nie o to chodzi — odparła Kate, chociaż była to prawda. Pomyślała, że jego nałogowe picie tłumaczy literówki w gazecie. — Sądziłam, że jesteś przewodnikiem wycieczek.

— Jestem, na ćwierć etatu. Nie sądzisz chyba, że z wydawania tego szmatławca można się utrzymać na Riwierze, co? To wszystko jest na krawędzi bankructwa. Żeby wyżyć, musiałem zaakceptować ten straszny nowoczesny wynalazek.

— Jaki nowoczesny wynalazek?

— Wielozadaniowość. Dlatego oprowadzam wycieczki. Ale tak naprawdę moje korzenie to dziennikarstwo.

Otworzył paczkę winstonów, wyjął papierosa, popukał nim w paczkę, włożył go do ust i zapalił zapalniczką w kształcie nagiej kobiety.

— Jakiego rodzaju dziennikarstwo? — zapytała z niedowierzaniem Kate.

Pewnie pracował w gazecie szkolnej, pomyślała. Crichton na sekundę zniknął za kłębam dymu.

— Terminowałem w „Timesie”. W londyńskim „Timesie”.

— Naprawdę?!

— Tak. — Przekrwione oczy Crichtona z rozmarzeniem zapatrzyły się w dal. — To były czasy.

Redaktorzy mieli własne, wykładane dębową boazerią gabinety z węglowymi piecykami, a po południu każdego dnia pojawiała się miła pani z herbatą... — Westchnął i pociągnął nosem.

Kate wychwyciła w tym nostalgicznym wyznaniu znajomą Wymyssową nutkę i postanowiła sprawdzić Crichtona. W końcu byli z Denysem w tym samym wieku.

— Zabawne, mój dawny szef też pracował w „Timesie”... — powiedziała, przyglądając mu się uważnie. Crichton rozpromienił się.

— To wspaniale! Jak się nazywa?

— Denys Wemyss.

Crichton zmrużył oczy i poruszył ustami, jakby bezgłośnie powtarzał nazwisko. Kate popatrzyła na niego. Najwyraźniej nigdy nie słyszał o naczelnym „Tygodnika”. To by było na tyle, jeśli chodzi o „Timesa”. Ale Crichton uderzył nagle z całej siły pięścią w stół, znowu wprawiając w ruch butelkę po anyżówce. — Wemyss, no jasne! — wybełkotał, schylając się, żeby złapać butelkę, nim stoczy się na podłogę. — Troszkę starszy ode mnie, ale pewnie, że go pamiętam. Lubił kobiety, ten stary Wemyss. Wtedy jeszcze oczywiście młody Wemyss.

— Kobiety? — powtórzyła zdziwiona Kate.

Wemyss nigdy nie wykazywał specjalnego zainteresowania kobietami w Slackmucklethwaite.

— O tak. Dziewczyny go uwielbiały. Był bardzo wytworny, więc nieźle mu szło. Podczas gdy ja — Crichton spojrzał na

swoje poplamione spodnie. — byłem raczej samotnikiem. Pracowałem jako korespondent działu kryminalnego. Denys Wemyss... No proszę, proszę. Ciekawe, co teraz porabia.

— Prowadzi lokalną gazetę w północnej Anglii.

— No to daleko zaszedł. — Crichton pokręcił głową. — Zawsze się bałem, że któryś z moich byłych kolegów dokona czegoś wielkiego. Jak nazywa się ta gazeta?

— „Tygodnik Slackmucklethwaite” — odparła Kate.

Pomyślała, że nie mogła wymarzyć sobie lepszego sposobu na rozpoczęcie rozmowy o swoim wywiadzie z Champagne.

— Co za zbieg okoliczności! Właśnie przedwczoraj przeglądałem gazetę, która podobnie się nazywała. — Wiem i właśnie dlatego tu jestem...

Ale Crichton znowu zniknął za chmurą dymu i wspomnień.

— Och, co to były za czasy w „Timesie”! Pisałem wtedy o naprawdę interesujących wydarzeniach. O ważnych rzeczach. O wielkich przestępstwach i sławnych ludziach. — Przygłodził rozwichrzone włosy i dodał: — To były prawdziwe historie, które miały ręce i nogi. Nogi aż po szyję, nie wspominając o wielkim tyłku i fantastycznych cyckach... Przepraszam — wymamrotał, widząc pełen dezaprobaty wzrok Kate. — To tylko dziennikarski żargon, ha, ha.

— Ha, ha. Denys używał zupełnie innego żargonu.

— To były czasy — powtórzył Crichton. Znowu westchnął i pociągnął nosem. — Nie ma dnia, żebym za nimi nie tęsknił... rozumiesz? — Spojrzał na nią niepewnie.

Kate pokiwała głową i zerknęła na butelkę anyżówki. Nietrudno było odgadnąć, dlaczego przeniesiono go z „Timesa” do darmowej gazetki żyjącej z reklam i dlaczego musiał oprowadzać po knajpach turystów z Birmingham.

— Po tym wszystkim pewnie jest tu dla ciebie trochę za spokojnie — zauważyła. — Chyba niewiele przestępstw się tutaj zdarza. W końcu są tu tylko plaże i gwiazdy filmowe, nie? A tak w ogóle to pewnie się zastawiasz, co tutaj robię...

— Plaże i gwiazdy filmowe? — Crichton popatrzył na nią zdziwiony. — Lazurowe Wybrzeże to znacznie więcej niż plaże i aktorzy.

— Wiem, że powstawały tu też wspaniałe dzieła sztuki.

— Chrzanić sztukę. — Crichton nerwowo zaciągnął się papierosem. — Oczywiście, że tutaj też popełnia się przestępstwa. Mają tu swoją kwaterę główną najwięksi i najohydniejsi oszuści.

— Naprawdę?

— Jasne. — Crichton uśmiechnął się. — Wszędzie gdzie tylko spojrzysz, robi się jakieś przekręty. Na przykład w każdą środę po południu na lotnisku w Nicei ląduje nieoznakowany biały samolot. Bardzo chciałbym wiedzieć, co się nim przewozi. — Energicznie zgasił papierosa. — Co więcej, dowiem się tego.

— Domyślasz się, co to może być?

— Jeszcze nie. Ale jestem na tropie, wierz mi. Możesz wyrzucić dziennikarza z „Timesa”, ale nie wyrzucisz „Timesa” z dziennikarza — dodał triumfująco. — I jest jeszcze coś...

— Inne samoloty?

— Inne przestępstwa.

— Na przykład łamanie praw autorskich przez ludzi, którzy przedrukowują artykuły z innych gazet? Crichton wytrzeszczył na nią przekrwione oczy.

— Coś ty powiedziała?

Kate złapała „Gazetę” i otworzyła ją na wywiadzie z Champagne.

— Po prostu zastanawiam się, skąd wzięłeś ten artykuł. Bo widzisz... to ja go napisałam.

Zapadła cisza. Crichton pociągnął nosem.

— No cóż... — wymamrotał po chwili.

— Pracowałam kiedyś w „Wychodniku”, to znaczy „Tygodniku”. U Denysa Wemyssa.

Zawstydzenie malujące się na twarzy Crichtona zamieniło się w zaskoczenie.

— Dobry Boże! Co za zbieg okoliczności. Więc to jest gazeta Denysa?

— Tak.

— A ty jesteś Kate Clog?

— Clegg. Prawda, co za niezwykły zbieg okoliczności? Trudno to uznać za etyczny sposób zdobywania materiałów... myślę, że się z tym zgodzisz — powiedziała Kate, starając się przybrać jak najsurowszą minę. Crichton w panice szukał następnego papierosa.

— O rety, strasznie cię przepraszam, ale szczerze mówiąc, przy takim budżecie i moim braku czasu... ehm... — Spojrzał na butelkę i spuścił wzrok. — A poza tym uznałem, że twój wywiad jest naprawdę dobry. Cholernie dobry. Szukałem właśnie jakiegoś ciekawego tekstu i trafiłem na ten „Szlak-by-to-godnik”...

— Gdzie go znalazłeś?

— W koszu przed biurem. — Crichton wypuścił gęsty obłok dymu. — Zwykle nie grzebię w śmieciach... — Oczywiście — mruknęła Kate.

W Crichtonie nie było nic z kloszarda. W najmniejszym stopniu.

— ...ale ta gazeta przyciągnęła mój wzrok. To chyba przeznaczenie.

— A skąd tu się wzięła? Crichton wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Ale bardzo mnie to ucieszyło. Zapadło milczenie. Kate wyczuła, że nadeszła odpowiednia chwila.

— Cóż — uśmiechnęła się do Crichtona — to dowodzi, że masz zdecydowanie za dużo pracy.

— Zdecydowanie — przyznał Crichton i pociągnął nosem.

— Och. — Nie spodziewała się, że tak łatwo się z nią zgodzi.

— Czasem aż mnie to przytłacza. Wyszukiwanie różnych ciekawych historii, pisanie o nich. — Zerknął na nią nerwowo. — Wprowadzanie tego całego kramu do komputera, zanoszenie dyskietek do drukarni... Na szczęście ogłoszenia piszą gdzie indziej, bo inaczej pewnie bym się całkiem wykończył.

— Nie masz żadnych pomocników?

Crichton wzruszył ramionami.

— Miałem. — Spojrzał na puste biurko obok. — Moją asystentką była *madame* Ducroca. Ale odeszła w zeszłym tygodniu.

— Dlaczego? Nie było cię już na nią stać?

— Cóż... i tak, i nie. — Crichton znowu westchnął. — Szczerze mówiąc, przydarzył mi się pewien wypadek.

— Co się stało?

Wyczuwała, że chodzi o coś niesłychanego.

Crichton zerknął szybko na tablicę, więc Kate też na nią spojrzała. Wisiało tam wiele fotografii, ale najbardziej niezwykła przedstawiała Crichtona z nieprzytomnym wzrokiem i stojącymi dęba włosami. Na jego czole coś napisano, chyba czerwoną szminką. Kate zmrużyła oczy. Wyglądało to jak słowo DUPA. — To ty?

Crichton odwrócił się i znowu spojrzał na tablicę.

— Ehm... właściwie to... tak.

— Dlaczego masz napisane na czole słowo „dupa”?

— Och, no wiesz, każdemu może się coś takiego przydarzyć — mruknął Crichton.

— Ale dlaczego akurat tobie? Potarł oczy.

— Byłem z wycieczką w Cannes. Wypiliśmy parę drinków i potem obudziłem się na Croisette z „dupą” na czole. Otoczony przez fotografów z międzynarodowych gazet.

— Fotografów z międzynarodowych gazet? Crichton ze znużeniem pokiwał głową.

— Pewnie przyjechali na festiwal filmowy. Wszyscy myśleli, że to tytuł nowego filmu i że to jakaś zakręcona forma promocji. — Pociągnął nosem. — Niestety jeden z nich uznał za stosowne przesłać mi kopię tego zdjęcia. Pech chciał, że list otworzyła *madame* Ducroca.

Ramiona Kate zdrząły od powstrzymanego śmiechu. Nie mogła okazać rozbawienia.

— Rozumiem. Więc teraz nie masz żadnej pomocy.



— Właśnie.

— I jeszcze musisz pogodzić to z oprowadzaniem wycieczek? — zapytała współczująco Kate.

— Nawet mi nie mów. — Crichton ukrył twarz w dłoniach. — Jutro mam ich zabrać do Nicei. Żadnej toalety w zasięgu wzroku poza tymi, z których możesz skorzystać tylko wtedy, gdy kupisz kawę w kawiarni. Potem lunch w Sospel: jedzie się tam drogą, która ma co najmniej sto ostrych zakrętów, u muszę dojechać na miejsce autobusem. Ostatni kierowca miał czołowe zderzenie, wyleciał przez okno i złamał sobie miednicę. Zaznaczam, że miał poważny problem z piciem.

— Jestem gotowa zrobić wszystko, żeby ci pomóc.

— Masz prawo jazdy na autokary? — zapytał z nadzieją Crichton.

— Miałam na myśli dziennikarstwo — odparła z irytacją Kate. — Wywiady, teksty reklamowe, redakcja. Powiedz tylko, co mam robić. Pracuję w tym zawodzie od lat. Jestem odpowiedzią na twoje modlitwy. I chyba jesteś mi coś winien, prawda? Za kradzież artykułu i zlekceważenie moich praw uutorskich. — Wprawdzie prawa autorskie miał Peter Hard-Ntone, ale nie było to w tej chwili najistotniejsze. Crichton w zamyśleniu zaciągnął się papierosem.

— Skoro tak to ujmujesz...

— Właśnie tak.

— Może mógłbym się tobą posłużyć. Oczywiście jako wolnym strzelcem, nie stać mnie na stały personel. — Jasne, jeśli tak wolisz. Jestem elastyczna.

— Ale teraz mamy festiwal filmowy i...

— To fantastycznie! — przerwała mu Kate. — Jeśli chcesz mieć ciekawe historie o gwiazdach, jestem twoją kobietą.

Piersie Brosnanie, Julio Roberts, oto nachodzi Kate. Babcia byłaby zachwycona. Crichton jednak wyglądał na zaniepokojonego.

— Chciałem powiedzieć, że dopóki trwa festiwal, będę musiał spędzać tam mnóstwo czasu.

Powinienem wyrabiać sobie znajomości i tak dalej. No wiesz... — urwał i pociągnął no-

sem. — Dobrze byłoby mieć kogoś, kto zajmie się tymi całym nudnym gów.. ehm... chlebem powszednim. Albo bagietką, jeśli wolisz.

Kate spojrzała na niego. Więc ma siedzieć na zapleczu? Ale w końcu lepsze nawet nudne sprawy niż żadne.

— Mam jednak parę innych tematów, które pewnie mogłabyś przejąć — dodał Crichton, żeby jej za bardzo nie zniechęcić. — Wróc tu jutro, to przejrzymy materiały. A teraz — wyszczerzył zęby, sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej nową butelkę anyżówki — co powiesz na powitalnego kielicha?

## Rozdział 16

Kate wyszła z biura „Gazety” na zalaną słońce rue du Midi pełna pijanego optymizmu. Wreszcie sprawy zaczęły się układać. Poza wieczorną randką z artystą przystojniakiem miała parę obiecanych tematów, a jeśli któryś z nich wypali, zdoła utrzymać się i skończyć powieść. Nie można było tego uznać za wymarzoną lukratywną posadę, ale zawsze to jakiś początek. Wyglądało na to, że podobnie jak Crichton będzie musiała pomyśleć o wielozadaniowości.

- *Mademoiselle!* — usłyszała nagle za plecami. Hrabina wyglądała niemal onieśmielająco w eleganckim

dopasowanym czarnym kostiumie z czarno-złotymi guzikami. Wesoła czerwona apaszka idealnie pasowała do jej cynobrowych ust i czerwonych paznokci. Miała eleganckie pantofle na wysokim obcasie, a gęste siwe włosy upięła w dystyngowany kok. I tylko jej zniekształcona twarz była daleka od doskonałości.

- Proszę na słówko, jeśli można — powiedziała starsza pani, kiwając na nią palcem.

Kate zawahała się. Miała lepsze rzeczy do roboty niż przybiegać na każde zawołanie wyniosłych arystokratek. Poza tym jak blisko musi podejść na to słówko? Po tych wszystkich kieliszkach, które wmusił w nią Crichton, pewnie okropnie jechało od niej anyżówką.

— Chciałabym, żebyś wypila ze mną kawę.

Przyszpilona spojrzeniem zdrowego oka hrabiny, Kate pomyślała, że chyba powinna przyjąć zaproszenie. Czemu nie? Kawa pomoże jej wytrzeźwieć i będzie doskonałą okazją, żeby rozejrzeć się po tajemniczym domu. Poza tym nie co dzień jakaś arystokratka szukała jej towarzystwa. Będzie miała jeszcze jedną historię do opowiedzenia babci.

Zaczęła iść za hrabiną, która skinęła głową pięciu starszym kobietom i stukając obcasami, ruszyła przez plac. Mimo wieku miała idealne łydki i kostki, o niebo lepsze niż kiedykolwiek mogłaby mieć sama Kate. Zastanawiała się, co kryje się za tym zaproszeniem. Pewnie coś zniknęło z torebki, którą kobieta podniosła z bruku.

Hrabina weszła po schodach, wyjęła olbrzymi klucz, otworzyła drzwi i machnęła ręką na Kate.

Wnętrze domu wyglądało zupełnie inaczej, niż sugerowała ozdobna fasada. Kate spodziewała się, że zobaczy zniszczone czasem kamienne płyty na niskim, wzmocnianym belkami suficie z blednącymi resztkami średniowiecznej farby, kominki ozdobione rzeźbionymi w kamieniu herbami i stojące obok nich fotele pokryte butwiejącym adamaszkiem. Tymczasem ujrzała drewniane podłogi i białe ściany. Bładofioletowa poświata sprawiała, że Kate czuła się tu niemal jak w kościele.

Pośrodku holu znajdowała się klatka schodowa, ale nie taka, jakiej Kate oczekiwała. Zamiast rzeźbionego, poczerniałego ze starości siedemnastowiecznego drewna zobaczyła przypominającą wielkie wiertło spiralę z zielonego szkła. Wysoko w górze był niebieski szklany dach, po którym krążyły czerwone witrażowe ptaki. Kate uświadomiła sobie, że to właśnie on jest źródłem fioletowej poświaty.

— Marc Chagall. — Hrabina uniosła palec. — Słyszałaś o nim?

Kate pokiwała głową, przypominając sobie psy, pary nowożeńców i kozy na niebie nad Paryżem.

— Malarz i witrażysta. Był moim przyjacielem. Zwróciłaś uwagę na moją kolekcję?

I wtedy dopiero Kate zauważyła obrazy. To, co do tej pory było jedynie rozmazaną plamą w kącie oka, okazało się dziesięcioma albo kilkunastoma płótnami, oświetlonymi z góry i lśniącymi jak klejnoty na białych ścianach. Podeszła bliżej, żeby się im przyjrzeć.

Zorientowała się, że to obrazy współczesnych artystów. Wszystkie były kobiecymi portretami różnej wielkości i w różnych ramach. Jeden z nich, przedstawiający ubraną w jasnozieloną sukienkę dziewczynę o czerwonych ustach i kręconych złotych włosach, wykonano techniką, którą Kate natychmiast rozpoznała.

— Ten obraz wygląda jak sitodruki Andy'ego Warhola — powiedziała.

— Bo to jest sitodruk Andy'ego Warhola.

Kolejny obraz, pełen kropek i komiksowych dymków, przypominał pop-art z lat pięćdziesiątych.

— Roy Lichtenstein — podsunęła hrabina. — A ten obok to Marie Laurencin.

Kate przyjrzała się płótnu Laurencin. Był to niezwykle portret. Przedstawiona na nim kobieta miała płaską, pozbawioną wyrazu twarz, jasne włosy i bardzo czarne oczy.

— To bardzo piękny obraz. Powiedziała pani, że kto go namalował?

Wyczuła dym i kiedy się odwróciła, zobaczyła, że starsza pani zaciąga się papierosem tak gwałtownie, jakby od tego zależało jej życie. Wszyscy w Sainte Jeanne kopcili jak kominy.

— Marie Laurencin. Przyjaciółka Picassa. Wiesz, że on mieszkał w Sainte Jeanne, na wybrzeżu, przy Juan-les-Pins? To miejsce odwiedzało wielu znanych malarzy. Renoir, Léger, Matisse... wszyscy tu tworzyli.

Kate pokiwała głową. Ta wyliczanka stawała się coraz bardziej znajoma.

— Wypijemy kawę w salonie — oznajmiła hrabina. Weszły po szklanych schodach. Gumowe podeszwy klapek

Kate ślizgały się na gładkiej powierzchni.

Salon był wielkości hali sportowej i miał podłogę z bladego drewna. W przeciwległych ścianach zainstalowano dwa kominki, tak małe, że wydawały się czarnymi prostokątami, obramowanymi wąskimi chromowanymi listwami. Jedynymi meblami były dwie kanapy pokryte czarną skórą, które stały na środku zwrócone do siebie plecami, zupełnie jak w galerii.

— Nie otwieram żaluzji, żeby chronić obrazy — powiedziała hrabina, wskazując wychudzoną ręką dokładnie zasłonięte okna.

Podobieństwo do galerii nie kończyło się na kanapach. Wszystkie ściany były obwieszane obrazami. W ramach i bez, portrety, krajobrazy, zwierzęta, martwe natury, abstrakcje i postaci, barwne i monochromatyczne — wszystkie domagały się uwagi patrzącego i wszystkie były wspaniale oświetlone wtopionymi w biały sufit reflektorkami. Nadmiar światła i kolorów przyprawił Kate o ból głowy. Nie mogła się już doczekać obiecanej kawy.

Ale o kawie najwyraźniej zapomniano. Starsza pani zaczęła szybko chodzić po salonie, wskazując obrazy i wymieniając nazwiska ich twórców.

— To jest Gertler.. to Nash... to Ben Nicholson... A to — machnęła pomarszczoną ręką w stronę jednego z kominków — ostatni nabytek w mojej rodzinie. Podoba ci się?

Kate wytrzeszczyła oczy, kiedy zobaczyła wielkie, pozbawione ram płótno. Jego tematem była nagość, ale nagość całkowicie bezkompromisowa i niepochlebna. A spośród wszystkich możliwych modeli wybrano właśnie... czy to naprawdę może być hrabina?

Prawdę mówiąc, obraz był odrażający. Artysta — Kate nie udało się odczytać podpisu — podkreślił wiek pozującej mu kobiety, malując ją w szarościach i wychudzoną jak szkielet. Jej wykrzywiona twarz została oddana w każdym szpetnym szczególe. Malarz bezlitosnym okiem wyłowił każdą zmarszczkę, każdy cal zwiędłego ciała. Najdokładniejszej analizie poddano kościste kolana, pomarszczone piersi, zapadły brzuch i — Kate przełknęła ślinę — wzgórek Wenery. Spuściła wzrok. Żadna z sytuacji towarzyskich, z jakimi do

tej pory miała do czynienia, nie przygotowała jej na kawę pod obrazem nagiej osiemdziesięcioletniej arystokratki.

— Wspaniałe, *non?* — dopytywała się starsza pani. Zapaliła następnego papierosa i głęboko się nim zaciągnęła. Kate pokiwała głową i mruknęła coś pod nosem.

— Podoba ci się mój dom? — zapytała hrabina.

— Bardzo.

— Nie każdemu przypada gustu.

— Mnie się bardzo podoba — stwierdziła szczerze Kate. Był obszerny, spokojny i tak oszczędnie umeblowany. Nigdy nie była w podobnym wnętrzu.

— Uwielbiam przestrzeń — powiedziała stara kobieta. — Wiele lat temu, kiedy mieszkali tu moi rodzice, dom był zapchany antykami, ohydnyymi starymi stołami i ponurymi starymi portretami. Wszędzie stare rzęchy: herby, wazy, obrazy, kinkiety, małe ozdobne lustreczka, mosiężne zegary. Brzydkie malowane szafeczki, krzesła zbyt spróchniałe, żeby na nich siadać, łóżka z baldachimami, na których człowiek bał się spać, bo zaraz przychodzili mu do głowy skrytobójcy.

Kate uśmiechnęła się. Ten opis bardzo przypominał jej pewnego dziwnego projektanta wnętrza.

— Co się z tym stało?

— Pozbyłam się tego. Wszystko było zniszczone, tylko zbierało kurz. Nie chciałam mieszkać z tymi gratami, więc je sprzedałam. Rodzina nie była zadowolona, ale powiedziałam im, że dom odziedziczyłam ja, a nie oni, więc mogę z nim zrobić, co zechcę. Potrzebowałam miejsca, żeby powiesić moje obrazy, które zbierałam od lat... — Urwała i zaczęła szukać następnego papierosa. — Nie chciałam żadnych mebli. Jeśli ktoś ma takie obrazy, po co mu meble? Albo w ogóle jeszcze coś. Proszę mówić za siebie, pomyślała Kate. Oddałaby wszystko za filiżankę kawy.

— Bardzo lubię Anglię — powiedziała ni stąd, ni zowąd hrabina.

— Była tam pani?

— Wiele razy — odparła starsza pani i zasypała Kate lawiną pytań na temat jej życia na Wyspach Brytyjskich.

Kate odpowiadała ostrożnie, nie chcąc, żeby hrabina patrzyła na nią z góry i zadzierała ten swój arystokratyczny nos, kiedy usłyszy, jak dziwacznie wyglądała jej praca w „Wychodniku”. Próbowała stworzyć elegancki obrazek dystygowanego parafialnego dziennikarstwa w miasteczku podobnym do tych, jakie malowano na pudełkach z czekoladkami.

Hrabina przerwała przesłuchanie, żeby wyciągnąć kolejnego papierosa.

— A teraz, kiedy jesteś w Sainte Jeanne, co zamierzasz robić? Kate umknęła wzrokiem w bok. Dobre pytanie. — Słyszałam, że jesteś pisarką—badła ją dalej starsza pani.

— Tak.

Skąd się o tym dowiedziała?

— Jakiego rodzaju?

— Piszę powieści. To znaczy na razie jest to jedna powieść.

— I możesz się z tego utrzymać? Kate wzruszyła ramionami.

— Robię poza tym jeszcze parę innych rzeczy — odparła ponuro.

— Gdzie?

— Jestem wolnym strzelcem w „Gazecie Riwiery”.

— „Gazeta Riwiery”!

Było jasne, że tygodnik Crichtona nie wzbudzał szacunku hrabiny.

Zapadła cisza. Stara kobieta przeszła przez salon, żeby jeszcze raz spojrzeć na akt.

— Zaprosiłam cię tutaj nie bez powodu — powiedziała, tak nagle odwracając się od obrazu, że Kate aż podskoczyła. — Chciałabym dać ci pracę. Dorywczo. Żebyś mogła pisać.

Kate zamrugnęła powiekami. Propozycja hrabiny kompletnie ją zaskoczyła.

— Rety. To... wspaniale!

— Jeszcze nie usłyszałaś, co to takiego. Nic wspaniałego. Potrzebuję sprzątaczkę. Potrafisz sprzątać?



Kate wyszczerzyła zęby. Czy potrafi sprzątać? Czy ocet i szczoteczka do zębów usuwają kamień z kurków? Czy kawałek pomidora nie pomaga wywabić przypalonych plam na dywanach? Czyż nie studiowała w Akademii Sprzątania Meszuge, najsłynniejszej uczelni tego typu na świecie? Jej absolwentom nawet najbardziej wymagający arystokrata o sokolim wzroku nic wytknąłby żadnego błędu. Nawet jeśli czasem dwa zarządzające nią bóstwa — czyli mama i babcia — znajdują pod łóżkiem pewne przedmioty... na przykład niedokończone powieści, których nie powinny znajdować. — Tak, potrafię sprzątać.

— Dobrze. W tym domu jest wiele pokoi, które bardzo się kurzą, a ja nie potrafię zająć się tym tak jak kiedyś. Wielu rzeczy już nie zauważam.

Kate rozejrzała się. Żadnych mebli. Wystarczy przelecieć szmatą podłogę, zajmie to nie więcej niż kilka minut.

— Nie ma sprawy. Z przyjemnością się tym zajmę. Dziękuję.

— Słyszałam, że potrzebujesz pracy — powiedziała szorstko hrabina. — Pomogłaś mi, gdy upadłam. A jak to mawiają Anglicy, dobre powraca dobrem.

Ale skąd o tym wiedziała? Czy to Makrela była źródłem tych informacji? Na pewno słyszała jej rozmowę z Celią. Ona albo klóraś z pozostałych osób, siedzących wtedy w hotelowym barze.

Kiedy ustalono godziny i zapłatę — naprawdę hojną — hrabina sprowadziła ją na dół. Kate wyszła na zewnątrz i odwróciła się.

— Ehm... Dziękuję.

Ale drzwi już się zamknęły.

Przeszła przez Place de l'Eglise w niemal euforycznym nastroju. Naprawdę nieźle się spisała. Rano obudziła się bez pracy, a teraz miała już dwie propozycje. Jeśli doda jeszcze do tego szczerą pomoc babci, powinna całkiem spokojnie się nlrzymać, pracując nad „Żigolakiem z północy”. Była to tak radosna myśl, że Kate uśmiechnęła się do pięciu starszych pań siedzących na długim murku, tworzącym schodek pod arkadami. Spojrzały na nią i skłoniły głowy.

— *Mademoiselle.*

Kościelny zegar wybił wpół do piątej. Kate spojrzała na jego czarno-biały cyferblat. Miała pracę i randkę z Fabienem za pół godziny. Jej serce poszybowało jak balonik na wietrze. Problemy finansowe zostały rozwiązane i w dodatku zaproponowano jej drinka w wytwornym lokalu. To był naprawdę szczęśliwy dzień.

Kiedy stała przed lustrem, walcząc z włosami i starając się nie patrzeć na całe odbicie, usłyszała pukanie do drzwi.

— Chwileczkę — wymamrotała ustami pełnymi wsuwek i spanikowana zerknęła na zegarek.

Za dziesięć szósta, a ona nie była jeszcze ubrana i miała dopiero połowę makijażu. Do pokoju zajrzała Celia.

— Och! Wychodzisz gdzieś, kochanie?

— Aha.

Widok przyjaciółki sprawił, że poczuła się jeszcze bardziej zaniedbana. Oczy Celi błyszczały, włosy lśniły, a ona sama promieniowała energią i radością jak dziewczyna z reklamy szamponu. Weszła do pokoju hałaśliwie jak Mallory Towers i rzuciła się na łóżko.

— Szczęściara! Ale ci zazdroszczę!

— Przecież masz Kena — wytknęła jej Kate.

Czuła, że jest jej niedobrze ze zdenerwowania: zrobienie się na bóstwo od stóp do głów w pół godziny zawsze było trudno wykonalne, ale na sam makijaż zwykle wystarczało jej dziesięć minut. Aż do teraz.

— Może i mam, kochanie. Ale on się skupił na swoich poszukiwaniach. Wychodzi i niemal przez cały czas go nie ma. Wiesz, jaki z niego maksymalista. — Celia uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Przepraszam cię, ale...

Za pięć szósta, a zrobiła dopiero jedno oko, nałożyła szminkę i jeszcze nie zdecydowała, które ze swoich pogniecionych

i nieco wilgotnych ubrań włoży. Spojrzała błagalnie na przyjaciółkę.

— Z kim wychodzisz? — zapytała podejrzliwie Celia. — Chyba nie z tym łajdakiem, twoim byłym?

— Nie. — Kate zerknęła z przerażeniem w lustro. Czy ta wielka czarna plama jest na jej czole, czy na szkle? — Z kimś, kogo tu poznałam.

— Serio?!

— Tak. I chodzi o to, że... — Kate spojrzała na ubrania, na których Celia się położyła. Z pewnością nie poprawi to ich wyglądu, pomyślała. — Słuchaj, próbuję się ubrać i...

— Rozumiem, kochanie, ale ja mam wspaniałe nowiny — przerwała jej Celia. — Nigdy nie zgadniesz, co robiłam, więc sama ci powiem. Załatwiłam nam pracę.

Spiralka do tuszu zadrżała w ręce Kate. — Pracę?

— Znalazłam coś idealnego dla nas obu — oznajmiła triumfalnie Celia.

Kate przygryzła wargę.

— Nie chcesz wiedzieć, co to takiego?

Tak naprawdę to Kate chciała tylko wiedzieć, jak ma wyjaśnić Celi, że ma już dwie prace i nie potrzebuje trzeciej.

— Ehm...

— No dobrze, powiem ci. Jako barmanka i kelnerka.

— Celia, chodzi o to, że...

— Będziemy pracować tutaj! — Podekscytowana Celia zabębniła dłońmi w łóżko.

— Tutaj?! — zdumiała się Kate. — W hotelu Zacisze? Chyba żartujesz.

Celia usiadła.

— Wcale nie, kochana. Rozmawiałam z tym staruszką... Pappym. No wiesz, tym, w którego Nicole rzuciła dzbankiem. Kate pokiwała głową. Wzmianka o czarnowłosej barmance natychmiast przypomniała jej o Fabienie. Na niego Nicole sama się rzucała.

— Zastąpimy ją — wyjaśniła Celia.

— Obie?

— Powiedziałam Pappy'emu, żeby przyjął nas dwie w cenie jednej, bo obie potrzebujemy pracy. Nie wykazał specjalnego entuzjazmu, ale on jest już naprawdę stary, biedaczysko.

— Ehm... — Kate otworzyła usta i natychmiast je zamknęła.

— Wiem, że jesteś zaskoczona, kochana. Ale posłuchaj mnie, dobrze? To miejsce jest kopalnią złota. Jak już zaczniemy pracować, stary hotel Zacisze raz na zawsze przestanie być burdelem na kółkach. Kate popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

— Trzeba im tylko trochę pomóc — mówiła Celia. — Najważniejsze składniki sukcesu są na miejscu. Przede wszystkim podają wspaniałe jedzenie.

— Tak, to prawda — przyznała Kate.

— Bajeczna lokalizacja, w samym środku osady. A wewnątrz baru jest bardzo stylowe.

— Jeśli masz na myśli to, że nie zmieniali wystroju od tysiąc sześćsetnego roku...

Celia machnęła ręką.

— Nigdy nie słyszałaś o niedbałym stylu?

Czy nigdy nie słyszała? Spojrzała na swoje odbicie w lustrze szafy. Była ucieleśnieniem tego stylu.

— Ludzie z Knightsbridge płacą fortuny dekoratorom wnętrz, żeby ich domy wyglądały jak ten bar na dole. Głupcy, pomyślała Kate, której znowu przypomniał się Marc de Provence.

— No i jeszcze na zewnątrz są przecież arkady. Te łuki i romantyczne podcienia tworzą niesamowitą atmosferę.

— Cóż...

Makreła rzeczywiście wносиła coś niesamowitego do atmosfery.

— Potencjał jest fantastyczny — ekscytowała się Celia. — Gdyby to miejsce wyglądało nieco bardziej zachęcająco, ludzie waliliby drzwiami i oknami.

— Sęk w tym „gdyby”.

Wskazówka minutowa na jej zegarku powoli zbliżała się do szóstej.

— Kiedy przejmujemy pałeczkę jako nowe przedstawicielki interesu, zadbamy, żeby to wszystko lepiej wyglądało. Na stołach rozłożymy obrusy w kratę. Będą świece, kwiaty i takie tam. Możemy nawet — dodała Celia — czasem uśmiechnąć się do gości. Będziemy stanowiły idealny zespół. Thelma i Louise restauracyjnego biznesu.

Kate nerwowo podwinęła palce u nóg.

— Mówisz poważnie?

— Jak cholera. Potrzebuję pracy, jeśli mam tu zostać. W Londynie nic na mnie nie czeka... poza moim adwokatem, rzecz jasna, który wydoi ze mnie ostatni grosz. Ty też potrzebujesz pracy, prawda?

Kate poczuła, że za chwilę puszcza jej nerwy.

— Ehm...

Fabien już pewnie czeka na placu.

— Musiałam jednak trochę popracować nad *monsieur* Vallonvertem — oświadczyła Celia.

— Nad kim? — zdziwiła się Kate.

Jakoś nie przyszło jej wcześniej do głowy, że ta szalona hotelarska rodzina może mieć jakieś nazwisko.

— Vallonvert. Pappy. Początkowo nie był zachwycony. Dopóki nie powiedziałam mu, że obie dobrze mówimy po francusku i znamy się na pracy w restauracji.

— Słuchaj, nie jestem pewna...

— Przecież opowiadałaś mi o tym w kafejce na lotnisku. — Celia popatrzyła na nią oskarżycielsko. — Mówiłaś, że pracowałaś we „Włoskiej robocie”, tak to się nazywało, prawda?

— No tak. — I powiedziałaś, że potrafisz obsłużyć niemal każdy automat do cappuccino.

Kate uniosła brwi.

— Tego nigdy nie mówiłam.

Obłądnie oszczędni właściciele pizzerii uznali, że najwięcej można oszczędzić na gorących napojach. Nie było w niej

żadnego ekspresu do kawy. Cappuccino robiło się, wkładając słomkę (specjalnie do tego celu kupioną) do filiżanki rozpuszczalnej kawy z mlekiem i dmuchając mocno, aby powstała piana. Właściwości sody nie były tam znane. Celia wzruszyła ramionami.

— Och, *licentia poetica*.

— Delikatnie powiedziane.

— Ale zgadzasz się, że to dobry pomysł?

— Właściwie to... — Usłyszała, że dzwon kościelny wybija szóstą.

Nie było czasu na kłótnie.

— Zgarniemy wszystkich ludzi z placu — przekonywała ją Celia. — Chodzą do Cafe de la Place tylko dlatego, że nie mają wyboru. Czy nie byłabyś zadowolona, gdyby pan Okropny stracił wszystkich klientów?

— Oczywiście, ale...

— Ale co?

Ale nie potrzebuję trzech posad, odpowiedziała jej w myślach Kate. Poza tym, że niepokojąco kojarzyły się z ciężką pracą, oznaczały też brak czasu na pisanie.

— Więc przyznajesz, że mogłybyśmy zmienić to miejsce? Kate popatrzyła na zegarek, a potem na przyjaciółkę.

— Prawdopodobnie ktoś mógłby... Och, do cholery, Celia. Wygrałaś. Możesz na mnie liczyć. Z przyjemnością.

Celia klasnęła.

— Cudownie! Ale jesteś tego pewna, całkowicie pewna? — Spojrzała na Kate niespokojnie. — Naprawdę nie chciałabym cię zmuszać do czegoś, czego nie chcesz robić.

— Nie zmuszasz, słowo. Nie wymyśliłabym nic lepszego. A teraz przepraszam, ale naprawdę muszę iść.

## Rozdział 17

Kiedy wyszła na plac, dokonała dość irytującego odkrycia — nie miała czym się tak denerwować ani gdzie spieszyć, bo Fabiena nie było widać. Wokół biegały dzieci, czekały psy, z okien wychylali się ludzie, spacerowicze przechadzali się w wieczornym słońcu, ale młodego malarza nie było wśród obecnych.

Czy ten samochód trąbił właśnie na nią? Kate osłoniła oczy dłonią i spojrzała na auto. Zza pokrytej białą skórą kierownicy uniosło się opalone ramię.

— Kate!

— Fabien?

Zaskoczyło ją, że klepiący biedę malarz w ogóle ma samochód. Już nie mówiąc o tym, że był to prześliczny, błękitny jak lód klasyczny kabriolet mercedesa z białymi oponami i błyszczącą w wieczornym słońcu karoserią.

— Wskakuj — powiedział Fabien, otwierając długie, lśniące drzwi auta.

Kate dostrzegła swoje odbicie w bocznym lusterku. Spięła włosy w kucyk i miała nadzieję, że będzie wyglądała w miarę dobrze. Założyła też okulary przeciwsłoneczne, łudząc się, że dokonają tego, czego nie zdołał sprawić pobieżny makijaż. Miały porysowane szkła i z jednej strony trzymały się na

wygiętym spinaczu do papieru. Nie przypominało to *La Dolce Vita*. Mimo to z radością wsiadła do samochodu o wnętrzu wyłożonym kremową skórą.

— Jaki wspaniały wóz! Nie miałam pojęcia, że... — urwała, uświadamiając sobie, że o mało nie palnęła gafy.

— Że malarz bez grosza może mieć coś takiego? — Na przesłoniętej ciemnymi okularami twarzy Fabiena rozkwitł szeroki uśmiech. — Ten samochód nie jest mój. Pożyczył mi go przyjaciel.

Kate natychmiast zaczęła się zastanawiać, kto to taki. Najwyraźniej Fabien ma bogatych kumpli.

— Jest bardzo elegancki.

Sam Fabien również wyglądał bardzo elegancko. Najwyraźniej się postarał. Jego włosy były przyczesane, a różowa koszula zdradzała przelotną znajomość z żelazkiem. Jej kolor podkreślał opaleniznę przedramion, tak samo jak okulary podkreślały piękno jego twarzy. Musiał niewiele jadać, ale szczupłość charta pasowała do niego. Poza tym artyści powinni być chudzi. Zawsze tak było: płonące gorączką oczy, praca po nocach, intensywność twórczego wysiłku. Kate nie potrafiła sobie wyobrazić grubego artysty.

— Gotowa? — zapytał Fabien.

Minął gapiące się i mruczące coś pod nosem starsze panie oraz kogoś, kto akurat wchodził na plac. Kiedy Fabien krzyknął „Hej!”, Kate podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Nicole. Może jej się wydawało, ale przez chwilę miała wrażenie, że była barmanka ma ochotę wskoczyć do samochodu i wydrapać jej oczy.

— Wyglądała na dość zdenerwowaną — rzuciła mimochodem.

Fabien pokrzykiwał na pieszych na rue du Midi, którzy nie schodzili z jezdni, dopóki maska prawie nie uderzyła ich w pośladki. Dopiero wtedy podskakiwali, rozdzielali się jak Morze Czerwone i gapili na mercedesa oraz jego pasażerów z mieszaniną oburzenia i podziwu.

— *Comment?* — Fabien jechał teraz stromą brukowaną drogą wychodzącą z miasteczka.



— Nicole wyglądała na dość zdenerwowaną — powtórzyła Kate. — A nawet na wściekłą.

— Nicole ciągle się wścieka. Słyszałaś, w jaki sposób odeszła z baru Hôtel des Tours? Wszystko potłukła. I jeszcze uderzyła starego Pappy'ego, właściciela!

— Pamiętam. Byłam tam wtedy.

Co więcej, pomyślała, teraz ją zastępuję.

Czy to fakt, że jej posadę zajęły dwie Angielki, tak bardzo zdenerwował Nicole? Jej reakcja wydawała się trochę dziecinna, bo przecież sama rzuciła pracę. Ale gdy w grę wchodzi gorący śródziemnomorski temperament, rozsądek niewiele ma do gadania. W dodatku jednym ze składników tego nieprzewidywalnego koktajlu była prawdopodobnie zazdrość o Fabiena, który spotykał się z Kate.

— Nie przejmuj się Nicole. — To *complètement folle...* kompletna wariatka. Lubi dramatyzować. Dojechali do podnóża miasteczka. Uwagę Kate natychmiast przyciągnął rząd tablic reklamowych, promujących osiedle eleganckich domów.

— Co to takiego? — zapytała Fabiena.

— To? — Spojrzał na reklamy i wyszczerzył zęby. — Les Jardins des Lavabos.

— Les Jardins de... — Zmarszczyła brwi. — *Lavabo* to toaleta, prawda? Ogród Toalet?

Fabien zaśmiał się, nie odrywając oczu od drogi.

— To osiedle nazywa się Les Jardins de la Lavande, czyli Lawendowe Ogrody. Ale mieli jakieś problemy z kanalizacją. Zwolnił nieco. — Powąchaj.

Kate wciągnęła powietrze. Nad drogą wisiał ostry siarkowy odór.

— Fuj.

— O tej porze dnia jest najgorzej, zwłaszcza w takie ciepłe wieczory jak ten. A właśnie wtedy każdy chciałby posiedzieć w ogrodzie.

Gdy zjechali niżej, Kate znowu spojrzała na tablice reklamowe. Na wszystkich były powiększone fotografie domów w Jar-

dins des Lavabos oraz opisy zalet osiedla. Mimo wciąż powtarzanego określenia „unikalny, indywidualny styl”, wszystkie domy wyglądały identycznie. Każdy miał podjazd z żółtej kostki i każdy wyglądał jak wielkie pudełko z ogromnymi wykuszowymi oknami. Były ohydne i bardzo przypominały Slack Palisades. Te dwa osiedla mogłyby być bliźniakami.

— Kto tam mieszka?

— Nikt.

— Nikt?!

Fabien pokręcił głową. Powiew znad przedniej szyby sprawił, że pasemka jego ulizanych włosów znowu zaczęły się podnosić.

— Oczywiście poza człowiekiem, który je zbudował, oraz jego żoną. Mieli ogromne problemy ze sprzedażą domów.

— Z powodu tego zapachu? Przytaknął.

— To zresztą wcale nie jest jedyna rzecz, która tu śmierdzi. Osiedle zbudowano na chronionej ziemi. Inwestor budowlany przekupił wydział planowania rady... przynajmniej wszyscy tak mówią.

Kate otworzyła usta. To wszystko coraz bardziej przypominało Slack Palisades. Może był tu także francuski odpowiednik Frei Ogden i francuska wersja pani Hardstone?

Nagle coś jej się przypomniało. Coś, co Fabien powiedział podczas przyjęcia na Cap Ferrat. Chyba dotyczyło to agresywnego magnata o tłustych włosach, który stał z Champagne B. Oską. Tego, który urządził pokerowe imprezy.

— Czy to osiedle wybudował ten... jak mu tam... Marty St Pierre?

— Tak.

Jechali dalej lśniącym błękitnym samochodem. To cudowne życie, pomyślała Kate. Tego właśnie spodziewała się po południowej Francji i tego jej dotąd tak bardzo brakowało. Popołudniowe słońce ostro świeciło, ale delikatna bryza zdmuchiwała

gorąco. Kate rozsiadła się na jasnej skórze, oparła wyciągniętą rękę na krawędzi drzwi i uśmiechnęła się do bocznego lusterka.

Wjechali na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Gdy nią pędzili, Kate zapatrzyła się na pełne parasoli i budek z napojami plaże, na mężczyzn w slipkach i kobiety w bikini.

Wszystkie znaki drogowe mówiły o wspaniałych miejscach: Antibes, Cannes, St Tropez. W przeciwną stronę jechało się do Nicei, Monako i Monte Carlo. To była prawdziwa odmiana po Slack Top, Slack Bottom i Slackmucklethwaite.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Fabiena.

— Nie musisz krzyczeć.

Rzeczywiście nie musiała. Zawsze wyobrażała sobie, że w kabriolecie wieje i trzeba głośno mówić — i bardzo zaskoczył i fakt, że w ogóle da się rozmawiać.

— Poza tym to niespodzianka — dodał.

Skreśli w stronę Antibes. Kiedy wjechali do portu, Kate oczarowała srebrzysta tafla wody, w której odbijał się las masztów łodzi. — Nigdy wcześniej nie widziałam morza w takim kolorze — zachwyciła się. Właściwie to prawie w ogóle nie widziała morza, a już z pewnością nie częściej niż raz do roku. Slackmucklethwaite lwio najbardziej oddalonym od morza punktem na wyspach brytyjskich. Z dzieciństwa pamiętała północne wybrzeże — z cienką odległą linią brązu nad horyzontem, linią błota koloru khaki. Na tej „plaży” ona, mama i czasem babcia dyskretnie próbowały przebierać się pod ręcznikiem, ale tylko przyciągały powszechną uwagę.

- Antibes słynie ze wspaniałego światła — powiedział I abien, przywołując ją z powrotem do kolorowej upalnej terażniejszości. — To dlatego tak wielu malarzy tu malowało.

Kate pokiwała głową, myśląc o obrazach w domu hrabiny. Patrząc na rzędy ogromnych lśniących jachtów, z białymi hurtami wynurzającymi się ze srebrnej wody, przypomniała sobie „Żigolaka z północy”. Aż ją palce świerzbiły, żeby chwycić za notatnik. Pokłady jachtów były po prostu stworzone

dla znudzonych, bogatych, wysmarowanych olejkami kobiet w średnim wieku, które by się na nich opalały. Albo może raczej piekły jak kaczkę — dla kogoś tak przystojnego i pozbawionego skrupułów jak Mark. Jedna taka siedziała nawet parę łodzi dalej. Kate przyglądała się jej, chcąc zapamiętać ten obraz. Niebieskie bikini i włosy w kolorze oberżyny — typowym kolorze menopauzy obok blondu i czerni.

— Trampki — mruknął Fabien.

— Co?

— Te jachty. Wyglądają jak gigantyczne trampki, nie sądzisz?

Kate już miała odpowiedzieć, że nie, wcale tak nie uważa, ale po chwili musiała przyznać, że jednak Fabien ma rację. Pękate konstrukcje z białego plastiku, kanciaste z tyłu i zwężające się ku przodowi, z pomalowanymi w pasy burtami, na których było mnóstwo małych okienek o wypukłych plastikowych szybkach, rzeczywiście przypominały sportowe buty.

W środku, z tego co udało jej się dostrzec przez plastikowe okienka, dominowało drewno tekowe i mosiądz. Były też tam obrazy w złożonych ramach, przedstawiające kwiaty i całe bukiety. No i nazwy wymalowane zakrętasami na piętach „trampek”: *Tylko w górę, Cyc do przodu, W porzo*. Najwyraźniej bogactwo właścicieli jachtów było odwrotnie proporcjonalne do ich gustu. Ale mimo to chętnie by się dała zaprosić na taką łódź. Oczywiście tylko w ramach zbierania materiałów do „Gazety”.

Powoli jechali przez port. Wszędzie było widać odstawione pary wybierające się na kolację.

Mężczyźni ubrani z niedbałą elegancją, w mokasynach na bosych stopach, kobiety błyskające złotem w uszach, na obcasach i torebkach. Śniadzi załoganci o kędzierzawych włosach i australijskim akcencie. Grubi Niemcy o różowej karnacji i bladzi Anglicy. Śliczne, mocno opalone miejscowe nastolatki. Kate zauważyła, że wiele kobiet z zainteresowaniem przygląda się Fabienowi.

Zostawiając port za sobą, wjechali pod łukiem do uroczego starego miasteczka.

— Tu pracował Picasso. — Fabien wskazał w górę, na kremowe blanki zamku, gdzie stał rząd patykowatych metalowych figur zapatrzonych w morze. — Pozwolono mu wykorzystywać Chateau d'Antibes jako pracownię.

— Szczęściarz — stwierdziła Kate.

Forteca o grubych murach prezentowała się wyjątkowo romantycznie jako miejsce pracy. Nie to co fabryka majtek.

— Właściciele zamku też mieli szczęście. Zostawił im mnóstwo obrazów.

Wiekowe miasteczko z cienistymi arkadami, brukowanymi uliczkami i rzędami malowniczych domków z okiennicami ustąpiło nadmorskiej drodze między luksusowymi rezydencjami. Na słupach nad dywanami prowadzącymi do imponujących lśniących drzwi frontowych były ciemnoczerwone daszki. Kate pomyślała, że ludzie, którzy tu mieszkają, nawet wracając z zakupów muszą się czuć tak, jakby szli na rozdanie Oscarów.

— Niektóre z tych drzwi są pozłacane — powiedział Fabien. — Pod kolor zębów właścicieli domów. Samochód pędził po nowiutkiej czarnej nawierzchni, która wydawała się miękka jak aksamit.

Wysokie mury i monitorowane bramy strzegły wielkich kremowych willi z licznymi balkonami.

— Mój Boże, tu aż pachnie pieniędzmi — mruknęła Kate.

— Mieszkańcy tych rezydencji żyją jak w raj. Niektóre z nich to najdroższe posiadłości na świecie.

— Jesteśmy na Cap Ferrat? — zapytała Kate, rozglądając się dokoła.

Szukała różowej willi, w której zaczęły się jej kłopoty. A może właśnie skończyły? — pomyślała, zerkając ukradkiem na Fabiena.

— Nie. Ale masz rację, tu jest bardzo podobnie. Znajdujemy się na Cap d'Antibes, gdzie też mieszkają gwiazdy. To znaczy te, które nie mają domów na Cap Ferrat.

— A kto tu mieszka?

Kolejna ciekawa historyjka do listu dla babci. Oczywiście jeśli znajdzie czas, żeby cokolwiek napisać. Było jeszcze tyle

innych rzeczy do zrobienia. Hrabina, praca z Celią i oczywiście dzisiejszy wieczór, przejażdżka po wspaniałym wybrzeżu i cudowne poczucie — dzięki samochodowi Fabiena — że prawie należy do tego magicznego świata.

— Przed wszystkim gwiazdy filmowe. — Fabien wzruszył ramionami. — Ale mieszkali też tutaj członkowie rodów królewskich, artyści, pisarze... Tam znajduje się Plage de la Garoupe — dodał, kiedy minęli znak drogowy. — Fitzgerald umieścił na niej akcję swojej powieści *Czuła jest noc*.

— I właśnie tam jedziemy?

— Nie. Plażę podzielono na kawałki należące do różnych restauracji i całe to miejsce straciło urok. Chyba że ktoś lubi patrzeć, jak ludzie w stringach zjadają sałatkę nicejską i żłopiają szampana po tysiąc euro za butelkę. Kate natychmiast zapragnęła to zobaczyć. Z pewnością takie miejsce też było ciekawe. Wspomniała materiał do jej powieści. Bała się, że przegapi coś naprawdę interesującego.

— Zaufaj mi — powiedział Fabien i uśmiechnął się do niej. — Tam, gdzie cię zabieram, jest o wiele przyjemniej.

W miarę jak jechali, wille stawały się coraz większe i coraz ozdobniejsze, a obsadzone palmami drogi dojazdowe były bardziej zacienione. Kate wyprostowała się, żeby zerkać ponad bramami na domy, ale Fabien za szybko jechał.

Kiedy się odwróciła, żeby spojrzeć przez szparę w jakimś murze, zauważyła doganiającą ich czarną limuzynę. — *Merde* — zaklął cicho Fabien, patrząc we wsteczne lusterko. — Mamy ogon.

— Co takiego?

— Tak nazywamy kierowców, którzy podjeżdżają pod sam zderzak, żeby człowieka nastraszyć i zmusić do szybszej jazdy. Ludzie często tak robią we Francji, zwłaszcza w tej okolicy. Na Lazurowym Wybrzeżu pełno jest aroganckich zabijaków.

— To okropne — wzdrygnęła się Kate. — A co, jeśli ktoś dopiero uczy się jeździć albo jest starszą osobą?

— No właśnie.

Gdy limuzyna podjechała bliżej, Fabien zerknął na nią. W oczach miał szelmowskie iskierki.

— Wiem, jak sobie z takimi poradzić, więc się nie martw. I trzymaj się mocno.

Spodziewała się, że gwałtownie przyspieszy, ale on zamiast tego sięgnął tylko do tyłu i przesunął dźwignię obniżając oparcie. Kate wylądowała płasko na plecach, z podbródkiem na wysokości deski rozdzielczej. Po chwili Fabien obniżył również oparcie własnego siedzenia. Leżąc, nadal trzymał mocno kierownicę.

Limuzyna zatrąbiła nerwowo.

— To ich zawsze wkurza — zachichotał Fabien. — Z tyłu wygląda to tak, jakby w samochodzie nie było kierowcy.

— Bo nie ma! — panikowała Kate. — Nie widzisz, dokąd jedziesz!

— Nie martw się, to będzie trwało tylko parę sekund. Ale według zegarka Kate minęła cała minuta, zanim Fabien — jak to określił — skrócił przewidywaną długość życia kierowcy limuzyny. Kiedy gwałtownie skręcił w boczną drogę, wielki czarny samochód ze straszliwym warkotem wystrzelił do przodu. Kate odniosła wrażenie, że siedzący za kierownicą mężczyzna jest bliski zawału.

Zawrócili i ruszyli dalej z poprzednią szybkością. Siedząc już prosto, Kate patrzyła na aksamitne niebieskie morze i na równie aksamitne niebieskie niebo, na którym zaczynały pojawiać się gwiazdy. Nad nimi, czekając na swój moment, wisiała delikatna błonka księżyca.

Wreszcie Fabien zwolnił i podjechał mercedesem pod wysoką żelazną bramę. Na końcu szerokiego podjazdu stał szary budynek otoczony ciemnozielonymi drzewami. Szerokie niskie schody prowadziły do przeszklonych drzwi.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił Fabien. — Hotel du Roc. Kate spojrzała na niego okrągłymi ze zdumienia oczami.

— To jest hotel? Wygląda jak pałac!

— Cóż, bo w pewnym sensie to jest pałac. Kiedy się w nim zameldujesz, piorą i prasują twoje ubrania, a potem oddają ci je

zawinięte w bibułkę. Każdy pokój ma osobnego służącego, który budzi cię rano, zbiera twoje ubrania z podłogi i przygotowuje ci pachnącą kąpiel. Nawet nie musisz się potem wycierać — rozkładają wielki puszysty ręcznik na fotelu obok wanny, więc wystarczy tylko, że wyjdiesz z wody i usiądziesz.

— Jak w niebie! — westchnęła Kate. Zupełnie inaczej niż w hotelu Zacisze.

— *Bonsoir*, Hubert! — powitał Fabien ubranego na szaro lokaja, który podszedł do samochodu, po czym wyjaśnił Kate: — Parkują samochody na parkingu podziemnym, bo właściciele hotelu uważają, że samochody stojące od frontu, na podjeździe, nie wyglądałyby dobrze.

— Nawet jeśli są tak piękne jak ten, którym przyjechaliśmy?

— Uwierz mi, to najtańszy wóz tutaj. — Zerknął na żółte ferrari, który właśnie przejeżdżało przez bramę. — Kiedy go odbierzemy, będzie jeszcze ładniejszy. Samochody też tu myją.

Hubert odjechał mercedesem. Gdy Fabien prowadził Kate po schodach do jasno oświetlonego holu o marmurowych podłogach, ogarnęło ją podniecenie i strach. Ludzie kręcący się wokół emanowali pewnością siebie, jaką dają pieniądze. Wyglądali, jakby każdy włos na ich głowach został osobno umyty i wysuszony.

— Często tu bywasz? — zapytała Fabiena.

— Moja matka zatrzymuje się tutaj, kiedy przyjeżdża mnie odwiedzić. To dlatego jestem bez grosza.

— A co, musisz płacić za nią?

— Nie, ale ona uwielbia koktajle w barach luksusowych hoteli. A teraz ja też, dzięki niej.

Była to najdziwniejsza rzecz, o jaką można oskarżyć matkę. I najbardziej stylowa.

— Musi być bardzo elegancką kobietą. Nie zaprzeczył.

— Sprawilem jej wielki zawód. Chciała, żebym pracował w Bourse, no wiesz, na paryskiej giełdzie, i dzięki temu stał się bogaty. Bardzo się rozczarowała, gdy postanowiłem zostać malarzem.

Poprowadził ją przez hol. Były w nim białe sofy, wysokie rzeźbione sufity, wielkie lampy o plisowanych abażurach i lśniący bar, w którym ubrani na biało barmani mieszały drinki i podawali je



gościom. Minęli kilka wielkich oświetlonych gablot z brylantami. A potem znowu znaleźli się na zewnątrz, w ciepłym wieczornym powietrzu.

— Popatrz, jaki wspaniały widok.

Domyślała się, że to ogród na tyłach hotelu, ale nigdy czegoś takiego nie widziała. Stali na szczycie szerokich niskich schodów, identycznych jak te od frontu. U ich stóp przez szmaragdowe trawniki ku lśnącemu morzu ciągnęła się szeroka jak pas startowy aleja. Z morza wynurzał się poszarpany przylądek.

— To Esterel — wyjaśnił Fabien. — Małeńkie pasmo gór neopodal Cannes.

— Tu jest jak w raju — powiedziała cicho Kate.

- Ale tutejsi ludzie to raczej nie anioły — mruknął, popychając ją ku zastawionemu stolikom tarasowi pod białym dachem. — Zresztą to kolejny powód, dla którego lubię to miejsce. Znalazłem tu mnóstwo pomysłów do swoich obrazów. Napijesz się czegoś?

— Poproszę.

Kiedy usiedli, wszyscy przy barze odwrócili się, żeby im się przyjrzeć.

— Każdy się spodziewa, że zaraz wejdzie tu George Clooney — prychnął Fabien. — Albo Elizabeth Hurley. Trwa festiwal filmowy i wielu aktorów zatrzymało się tutaj.

— Serio? Mieszkają tu? Fabien wzruszył ramionami.

— Oni mnie nie interesują. Znacznie ciekawszy są inni — szepnął, uśmiechając się szelmowsko — ludzie, którzy wcale nie są sławni. Są wśród nich bardzo dziwne pary. Zupełnie nie wiadomo, co je połączyło. A właściwie wiadomo, ponieważ zawsze są to te same dwie rzeczy.

Kate rozejrzała się. Korpulentny mężczyzna o bystrym spojrzeniu, około sześćdziesiątki, wpatrywał się w wyglądającą jak gwiazdeczka pop z Bośni młodziutką dziewczynę, która popijała

coś różowego i musującego. Przy następnym stoliku siedziała znudzona kobieta podobna do Lauren Hutton i wpatrywała się w drewniane szachy razem ze starszym mężczyzną, wyglądającym na bogacza.

— Jakie dwie rzeczy? — zapytała.

— Oczywiście seks i pieniądze. — Fabien popatrzył na parę siedzącą na samym froncie.

Młodemu chłopakowi o artystycznie zmierzwionych jasnych włosach towarzyszyła kobieta, która przypominała starzejącą się Bette Davis. Kate zafascynowały jej cienkie, wyrysowane na skórze brwi, krwistoczerwona szminka i niewiarygodnie chude kostki nóg na niewiarygodnie wysokich obcasach.

— Może to jego babka — podsunęła. Fabien pokręcił głową.

— Myślisz, że to żigolak? — zapytała podekscytowana Kate. Ucieleśniona wersja jej wymyślonego bohatera. Chciwie gapiała się na młodego mężczyznę, starając się zapamiętać każdy szczegół. Para sączyła szampana i prowadziła cichą rozmowę. Chłopak miał gładką twarz i równie gładki uśmiech, taki, który nigdy nie rozświetla oczu. Kelner w białej marynarce przesłonił jej widok.

— *Monsieur?* Jak zwykle? — zapytał Fabiena.

— Tak, Antoine.

— A dla *madame*?

— Poproszę to samo.

Kelner wrócił z tacą i zaczął stawiać na stoliku oliwki, orzechy i słone krakersy. Było tego tak dużo, że wystarczyłoby na małe przyjęcie koktajlowe.

„To samo co zwykle” Fabiena okazało się wielkim kielichem szampana, burzącego się od bąbelków. Na górze umieszczono cieniutki, dokładnie dopasowany do obwodu kieliszka plasterek cytryny. Kate upiła łyżeczek i poczuła, jak mocny alkohol wybucha w jej pustym żołądku niczym bomba.

— Rety! Ma kopa jak David Beckham.

Uniosła kieliszek i spojrzała przez zmrożony kryształ na złociste wieczorne niebo. Opadła na białą poduszkę oparcia

krzesła, wciągając w płuca mieszanek aromatu trawy, mocnych perfum i zawsze obecnego w takich miejscach zapachu elegancji i bogactwa.

— Widzisz? — Fabien zapalił papierosa, z zadowoleniem rozpierając się na poduszkach. — Riwiera to coś więcej niż Cafe de la Place... co się stało?

Zszokowana Kate zobaczyła, że bośniacka gwiazdeczka i jej starszy przyjaciel wśród chichotów wstają z krzesel, a przy ich stoliku pojawiają się nowi goście. Bardzo gruby i bardzo denerwujący mężczyzna o tłustych włosach, ubrany na czarno, któremu towarzyszyła szczupła blondynka w średnim wieku. Kate natychmiast domyśliła się, kto jechał za nimi w czarnej limuzynie. Marty St Pierre, magnat filmowy, gospodarz pokerowych imprez i inwestor budowlany, twórca nieszczęsnego osiedla luksusowych domów. Grubas wyglądał na wściekłego. Najwyraźniej nie tylko nieudane inwestycje budowlane łączyły go z Peterem Hardstone'em. Wredny charakter też.

Zresztą podobieństwa na tym się nie kończyły. Z bliska również żona Marty'ego St Pierre'a bardzo przypominała panią Hardstone. Należała do tej samej szkoły „z tyłu liceum, z przodu muzeum”. Jej twarz pokrywała gruba warstwa podkładu, a rozjaśnione pasemka we włosach były robotą drogiego kolorysty. Dwadzieścia lat temu była pewnie delikatną wielkooką dziewczyną, ale czas i grawitacja zmiękczyły linię szczęki i cofnęły piękny podbródek. Wymanikiurowane dłonie lśniły brylantami, a fabrycznie sprane dżinsy, które włożyła do bawełnianej koszulki z napisem „Popbitch” z kryształów górskich, wisiały nisko na biodrach. Całości dopełniała kusa dżinsowa kurtka.

Podszedł do nich kelner.

— Je pan dziś u nas kolację, *monsieur* St Pierre?

Jego zachowanie było bez zarzutu, ale Kate podejrzewała, że wiele by dał za to, aby odpowiedź była negatywna.

— Pewnie — odparł grubas, przycinając cygaro wielkości ntulego drzewka.

— Czy mógłbym prosić, aby zerknął pan do menu?

— Nie, nie mógłbyś. Musisz poczekać. Spodziewamy się jeszcze jednego gościa.

Kelner oddalił się bezszelestnie. Pani i pan St Pierre zaczęli się kłócić przyciszonymi głosami. Marty wyjął cygaro i z jego ust niczym ektoplazma wypłynął dym.

— Zamknij się, do cholery! — ryknął na żonę. Fabien uniósł brwi.

— *Champagne* 1! — wrzasnął do kelnera Marty.

No i się pojawiła, jakby to właśnie o nią chodziło grubasowi. Pewna siebie weszła na taras, odrzucając platynowe włosy i mówiąc coś głośno do srebrnej komórki. Była ostatnią osobą, którą Kate chciałyby zobaczyć. Zaraz po Nacie rzecz jasna. Przerażona Kate zerknęła ponad kształtnym ramieniem modelki. Ale w wejściu nie pojawiała się żadna zdradliwa przystojna twarz. *Champagne* przyjechała sama.

Kate wsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne. Nie chciała, żeby ją rozpoznano. Ponieważ słońce właśnie chowało się za wzgórzami, Fabien spojrzał na nią zdziwiony, jednak nic nie powiedział.

Trochę jej ulżyło, ale trochę się też rozczarowała. Chociaż nie chciała widzieć Nata już nigdy w życiu, pragnęła zemścić się na nim i upokorzyć go. Gdzie on się podziewał? W końcu przyjęcie odbyło się raptem dwa dni temu. Nadal musiał być w okolicy i szukać drogi do gwiazdorstwa. Być może właśnie robi zdjęcia próbne, pomyślała kwaśno.

— To ona! — syknął Fabien. — Kobieta, która przyszła na przyjęcie w czarnej plastikowej torbie.

Patrzył na *Champagne*. Była dziś jeszcze bardziej skąpo ubrana niż zwykle, o ile to możliwe.

Fragmenty ciała, których nie pokazywała, skrywały się za maleńkimi džinsowym szortami i karmazynowym topem bez pleców oraz parą różowych kłapek na szpilce.

— Pewnie myślisz, że jest piękna — mruknęła Kate.

— Raczej trochę wulgarna.

Państwo St Pierre przerwali kłótnię.

— Tutaj, *Champagne*! — zawołał grubas i pomachał pulchną dłonią.

— Marty! Kochanie! — zaszczębiotała modelka. — Do usłyszenia później, skarbenku — zagruchała do komórki.

Kate skrzywiła się. Nie miała wątpliwości, o jakiego skar-heńka chodzi.

Pani St Pierre rzuciła Champagne spojrzenie palące jak lampa lutownicza.

— A co ona tu robi?! — zapytała ostro męża.

— Przyszłam omówić kwestie związane z filmem — oznajmiła wyniośle Champagne, z niezmaconą pewnością siebie opadając na krzesło. — W sprawach pracy.

— Praca! — wykrzyknęła żona magnata. — Jedyne prace, inka znacie, to casting na kanapie i rozkładanie nóg.

Champagne odrzuciła włosy.

— Przyszłam porozmawiać o roli dla mnie...

Posłała Marty'emu spojrzenie tak gorące, że mogłoby wywołać samoczynne rozpalenie ogniska.

— To chyba jakiś żart — warknęła pani St Pierre.

— ...w nowym filmie Marty'ego *Łajdacy bez zasad* — dokończyła lodowatym tonem Champagne.

— Na pewno mają tam rolę w sam raz dla ciebie — stwierdziła żona magnata. — A co się stało z tym filmem o Bondzie, o którym tyle słyszeliśmy?

Champagne potrząsnęła głową.

— Och, to. W końcu nic z tego nie wyszło.

— Bo Tola Sencja grała jak dmuchana lala. Dlatego.

Marty St Pierre, który właśnie pociągnął wielki haust czerwonego wina, zakrztusił się i opryskał wszystko dokoła. Stolik oraz siedzący przy nim ludzie wyglądali jak po masakrze w dniu świętego Walentego. Grubas rzucił żonie mordercze spojrzenie.

Champagne miała całe piersi w czerwone kropki.

— Wcale nie grałam jak dmuchana lala — pisnęła oburzona, wycierając się serwetką. — Po prostu pojawiły się pewne... różnice. Tylko tyle.

— Różnice! — Pani St Pierre wytarła kropelkę wina z kącika oka. — Pewnie, że pojawiły się różnice. Czytałam o nich w „Hollywood Reporter”. Różnice w czasie: cztery godziny różnicy między przybyciem reżysera na plan i twoim. Różnice w grze: to, co on uważał za beznadziejne, ty uważałaś za grę w stylu Vivien Leigh. I najważniejsza różnica: główną bohaterką nie jest już Tola Sencja tylko Peachy Derrière 2. Grają Britney Spears, prawda?

Fabien uśmiechnął się krzywo, słysząc te słowa, a Champagne wyglądała, jakby chciała zatłuc żonę Marty'ego pustą butelką. Kate podniosła do ust swój kieliszek, w milczeniu wznosząc toast na cześć pani St Pierre. Najlepszy jak dotychczas wieczór w jej życiu robił się coraz lepszy.

## Rozdział 18

Zapukała do drzwi domu hrabiny, kiedy dzwony kościelne ogłosiły srebrzystą godzinę dziewiątą. Zastanawiała się, czy powinna przynieść ze sobą środki czystości. Może starsza pani powinna o to zadbać? Czuła się okropnie ociężała — pewnie przez te wszystkie zakąski koktajlowe, którymi się wczoraj opychała. Nie pamiętała, ile razy napełniano porcelanowe miseczki krakersami, orzeszkami i oliwkami. Ona i Fabien siedzieli na tarasie Hotel du Roc najdłużej ze wszystkich. Ku jej wielkiej radości po rozmowie na temat Toli Sencji państwo St Pierre znowu się pokłócili i zaraz potem wyszli. Na niebie pojawił się księżyc, światła łodzi marszczyły się na falującej wodzie zatoki, a oni z Fabieniem nadal rozmawiali. Właściwie to ona mówiła, on tylko słuchał. Trzecia — a może czwarta — kolejka szampana spowodowała lawinę anegdotek i zaowocowała opisem życia w jej rodzinnym mieście tak dokładnym, tak barwnym i tak obszernym, że Fabienowi odebrało mowę.

— Eekmuklethwaites... — mruknął pod koniec historii z tytułem *Biskupie, zapal światelko w tunelu* na pierwszej stronie „Tygodnika” — Chciałbym tam pojechać i trochę pomalować.

— Powinieneś. Temu miastu przydałoby się trochę farby. —

Kate zachichotała, przypominając sobie bardziej zaniedbane okolice miasteczka. — Żartuję — dodała szybko, gdy Fabien spojrział na nią ze zdziwieniem.

Kiedy odwiózł ją do Flôtel des Tours, pobiegła do swojego pokoju z anielskim chórem w duszy. To był idealny wieczór.

Ale radosne wieczory to smutne poranki, jak kiedyś zauważyła mama. Ten ranek był rzeczywiście smutny. Po niespokojnych snach o shakerach do koktajli wypełnionych farbą Kate zwlokła się z łóżka obolała: w ustach miała sucho, w głowie jej łupało, a twarz paliła pojeździe bez kremu ochronnego w kabriolecie na pełnym słońcu. Świadomość, że przez następne godziny będzie musiała pracować w trzech różnych miejscach, nie poprawiała jej samopoczucia. Ledwie czuła się zdolna do pracy w jednym.

Kiedy drzwi się otworzyły, powróciła do terażniejszości. Starsza pani, ubrana w powiewne szarości, z nieodłącznym papierosem w dłoni, spojrzała na nią posepnie. Nie zwracała sobie głowy powitaniem. Wpuściła Kate do cichego, zalanego fioletowym światłem westybulu i powiedziała tylko: — Tędy.

Zaczęła wchodzić po schodach z zielonego szkła. Kate zobaczyła, że jest tu jeszcze trzecie, a nawet czwarte piętro; lśniące schody prowadziły aż pod fioletowy dach Chagalla.

Hrabina zatrzymała się na trzeciej kondygnacji.

— Zaczynasz od sypialni. To główna sypialnia dla gości. Przepraszam na chwilę — dodała, gdy gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon. Kate zatrzymała się w progu. Podobnie jak reszta domu, sypialnia była jasna i obszerna. Stało w niej tylko biurko, krzesło i wielkie białe łóżko, a drzwi w ścianie prawdopodobnie prowadziły do garderoby. Naprzeciwko łóżka znajdowały się drugie drzwi, całe przeszklone i zasłonięte bawełnianą kotarą, która jeszcze pogłębiała wrażenie ciszy panującej w sypialni. Z zewnątrz przebijało przez szyby ostre słońce.

Kate słyszała, jak hrabina z ożywieniem rozmawia na dole. Weszła do pokoju, otworzyła drzwi balkonowe i wynurzyła się



mi jasne słońce. Tuż pod nią rozciągał się ogród, skąpany w przedpołudniowym słońcu. Dył to najbardziej uporządkowany ogród, jaki Kate kiedykolwiek widziała. Z gładkiego i lśniącego zielonego jak stół bilardowy trawnika wyrastały smukłe pnie sosen. Na jego krańcu widać było grupę betonowych kształtów, które Kate uznała za nowoczesne rzeźby: to tu, to tam stały łuki wyłożone kolorowymi kafelkami i najeżone szpikulcami, które wyglądały jak marmurowe rogi nosorożca. Na lewo od jednego z nich sterczał ogromny widelec z ciemnego żelaza, obok którego stała wielka gliniana urna. Pośrodku trawnika znajdowała się podłużna sadzawka, której dno wyłożono płytkami z niebieskimi i czarnymi rybami. Podobnie jak dom hrabiny, jej ogród także był świątynią nowoczesnej sztuki.

Za murami widać było schodzące ze wzgórza Sainte Jeanne. Kate przechyliła się nad smukłymi tralkami balustrady balkonowej, wystawiając twarz na podmuchy porannej bryzy i rozkoszując się słońcem. Zapach tymianku i rozmarynu wypełnił jej nozdrza. Wokół panował spokój.

Nagle włosy zjeżyły jej się na karku i strach spłynął zimnym prądem po kręgosłupie. Poczowała, że ktoś stoi za nią i ją obserwuje. Hrabina? Błyskawicznie się odwróciła, wstrzymując oddech. Była pewna, że zobaczy starszą panią w progu.

Ale nikogo tam nie było. Tylko fioletowe światło płynące z sufitu odbijało się od lśniącej drewnianej podłogi półpiętra. Kate podbiegła do drzwi, lecz nikogo nie ujrzała. Nawet jeśli ktokolwiek tu był przed chwilą — już zniknął.

Zobaczyła, że hrabina znowu wchodzi po schodach. Kiedy starsza pani zadyszana dotarła na półpiętro, pomachała na Kate, żeby weszła do kolejnego wielkiego pokoju pachnącego perfumowanym pudrem. - Moja sypialnia.

I tutaj widać było zauroczenie hrabiny nowoczesnością. Pośrodku stało ogromne łóżko przykryte białą kołdrą. Ściany od sufitu do podłogi zabudowano białymi półkami, zawalonymi książkami w twardych oprawach o białych grzbietach. Kate nie zdziwiło, że wszystkie dotyczyły sztuki.

— Odkurzysz książki i telewizor. Przez mistral strasznie się tu kurzy. To ten wiatr — wyjaśniła, gdy Kate spojrzała na nią pytająco.

— Telewizor...?

Dobrze wiedziała, co to jest mistral, ale nigdzie nie zauważyła telewizora.

Hrabina podeszła do półek, wymacała coś i pociągnęła. Kate zobaczyła, jak środkowa część regału przesuwana się, odsłaniając ogromny telewizor, na którego ekranie jaśniał błękitny napis *D VD*.

— Posprzątasz też łazienkę.

Znowu pociągnęła za coś i ściana na prawo od łóżka przesunęła się, odsłaniając obszerne pomieszczenie z umywalką, bidetem, sedesem i prysznicem. Srebrzystobiała przestrzeń oświetlona przez halogeny wpuszczone w sufit kojarzyła się Kate z przeżyciami z pogranicza życia i śmierci.

— I moją garderobę — dodała hrabina. — Trzeba przetrzepać ubrania, żeby nie zaległy się mole.

Podeszła do jedynej ściany w sypialni, która jak na razie nie odkryła żadnego sekretu. Kolejne pociągnięcie sprawiło, że półki odjechały w bok. Na ich miejscu pojawił się długi pręt z przezroczystymi pokrowcami na ubrania. Na każdym z nich przyczepiona była drukowana etykieta z nazwiskiem projektanta i datą. *Courreges 1972. Gres 1961. Chanel 1987. Cardin 1968. Schiaparelli 1955*. Jeśli chodzi o stroje, hrabina najwyraźniej miała ogromne zapasy.

— Nadal na mnie pasują — oznajmiła z dumą starsza pani. — Nawet to.

Z końca pręta zdjęła dopasowany w talii żakiet z bardzo mocno rozkloszowaną spódnicą.

— Poznajesz? — zapytała, świdrując wzrokiem Kate.

— Ehm...

— New Look.

Powiedziała to prawie z czułością, a jej zdrowe oko rozbłysło.

— Mój pierwszy dorosły strój, z tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Byłam nastolatką, gdy go kupiłam. Słyszałaś o New Look, prawda?

— To Christian Dior, tak?

Starsza pani znowu zaczęła szukać czegoś wśród wieszaków.

— Yves Saint Laurent — powiedziała, wyciągając czarny kostium. — Klasyka. I oczywiście — dodała, nurkując pod prętem i wynurzając się po chwili z czarnym aksamitnym pantoflem — są do tego odpowiednie buty. Piękne buty to sekret prawdziwej elegancji. Jeśli założysz niewłaściwe, cały wygląd traci. Kate schowała szybko stopy za ubraniami na wieszakach, żeby ukryć swoje klapki. Zastanawiała się, po co hrabina wydawała tyle pieniędzy na piękne ubrania. Z pewnością nawet najwspanialszy strój nie odwróciłby uwagi od jej zniekształconej twarzy.

- Elegancja... — westchnęła starsza pani. — Teraz to już całkiem zanikło. Dzisiejsze Francuzki mają *le complexe des Hilarante ans*. Myślą, że będą wyglądały młodziej, jeśli założą tenisówki i džinsy — dodała z lekceważeniem.

Ale Kate słuchała jej już tylko jednym uchem. Na ścianie na końcu pokoju zauważyła fotografię w srebrnych ramkach, przedstawiającą śmiejącą się dziewczynę w bikini. Jej blond włosy jaśniały niczym biały płomień w słońcu, oczy błyszczały szelmowsko, a perlisty śmiech niemal było słychać w pokoju.

- Kto to? Pani córka?

Starsza pani gniewnie wytrzeszczyła zdrowe oko.

- To ja. W wieku dwudziestu jeden lat. W pełnym rozkwicie.

Kate poczuła się niezręcznie. Ale co innego mogła powiedzieć? Nie było żadnego podobieństwa między zniekształconą twarzą, którą miała przed sobą, a tą piękną dziewczyną z fotografii.

- O tak — powiedziała cicho hrabina, patrząc na zdjęcie. — Byłam wtedy naprawdę śliczna. Musiałam oganiać się od artystów jak od much. — Gniew zniknął z jej głosu, mówiła to prawie z rozmarzeniem.

— Wszyscy chcieli mnie malować.

Kate ogarnęło współczucie. Najwyraźniej starsza pani fantazjowała. Być może tłumaczyło to, czemu miała służyć ta

kolekcja eleganckich ubrań. Prawdopodobnie stanowiły część gry, wspierały urojenia.

— Zapisałam ci tu wszystko, co masz zrobić, żebyś o niczym nie zapomniała — powiedziała hrabina i wyjęła z kieszeni spódnicy kilka kartek. — Powinno ci starczyć czasu.

Podowała Kate gęsto zapisane stronice.

— Wszystkie potrzebne środki czyszczące znajdziesz w piwnicy — dodała.

W porze lunchu Kate wyszła z domu hrabiny z bolącymi plecami, palącymi kolanami i każdym palcem tak czerwonym i obolałym jak jej poparzona słońcem twarz.

Na pierwszy rzut oka dom prezentował się schludnie, ale było to tylko złudzenie, wywołane rozległymi, oświetlonymi słońcem drewnianymi podłogami i niewielką liczbą mebli — tak naprawdę wszystko okazało się potwornie zakurzone. Niemal na każdej ramie leżało dobre pół centymetra kurzu. Kate czuła się, jakby robiła wiosenne porządki w National Gallery. W ciągu trzech godzin doszła dopiero do salonu na drugim piętrze. Wyższe kondygnacje, w tym zalane fioletem czwarte piętro oraz sypialnia hrabiny, musiały poczekać do następnego razu.

Zmęczona powlokła się rue du Midi, żeby stawić czoło pracy numer dwa.

Kiedy dotarła do biura „Gazety”, Crichton był już podpity.

— Klin — wyjaśnił, pociągając nosem i potrząsając kieliszkiem, w którym pozostało parę kropli anyżówki. — Trochę za bardzo zaszalałem wczoraj wieczorem z moimi Angolami.

— Co się stało?

— Dobre pytanie.

Wyjął paczkę winstonów, wziął jednego, popukał nim w paczkę i przypalił go zapalniczką w kształcie nagiej kobiety.

— Miałem jeść z nimi kolację w hotelu w Nicei. — Jego twarz zniknęła za gęstym obłokiem dymu. —

No i mieliśmy małe przedstawienie...

— Jakie przedstawienie?

— Kierownictwo powiedziało mi, że nie mogę tam jeść, jeśli nie założę krawata.

Znowu pociągnął nosem.

— Nie mogłeś pożyczyć?

— Pożyczyłem. I wszedłem w nim do jadalni. Wypuścił dym.

— Więc co było nie tak?

— Sama mi powiedz! — burknął, ale w jego głosie dało się wyczuć nutkę zakłopotania.

Kate spojrzała na niego podejrzliwie.

— Mów dalej.

— Cóż... szczerze mówiąc... — Pokręcił głową. — Niektórzy ludzie nie mają za grosz poczucia humoru.

— A co jeszcze miałeś na sobie?

— Ehm... cóż, muszę powiedzieć, że byłem już wtedy trochę wstawiony.

Wydmuchnął dym.

— No dobrze, ale co miałeś na sobie?

— Ehm... nic. — Pociągnął nosem. — Po prostu nic.

— Nic oprócz krawata, tak? — zapytała Kate, próbując to sobie wyobrazić.

— To było pandemonium — mruknął i znowu pociągnął nosem.

— Wyobrażam sobie.

— Klienci byli zachwyceni. Zareagowali na moje wejście z wielkim entuzjazmem. Ale kierownictwu hotelu chyba zabrakło poczucia humoru. Cholerne żabojady! Cóż... — Crichton wysączył resztkę anyżówki. — Każdy orze, jak może. Niektórzy muszą w krawacie. — Zaśmiał się i zniknął za chmurą dymu. Kate z ogromnym wysiłkiem zebrała resztki niedospianych myśli.

— Słuchaj, Crichton... w czasie naszego ostatniego spotkania powiedziałeś, że masz parę tematów, które mógłbyś mi przekazać. — Tak powiedziałem?

Potarł ziemistą twarz dłońmi i przeczesał wzburzone włosy. — Cóż, myślę, że rzeczywiście jest do zrobienia kilka wywiadów. Jeden jutro, a może dziś? Dziś, jeśli się nie mylę.

— Dziś?! — Kate spojrzała na zegarek.

To znaczy, że nie będzie miała czasu na przygotowanie się. Crichton wyjął kolejnego papierosa i popukał nim o paczkę.

— To żaden problem, prawda? Jesteś zawodowcem, no nie? A my, zawodowcy, potrafimy zrobić wywiad z marszu, jeśli trzeba. Kiedy pracowałem w „Timesie” ...

— Z kim ma być ten wywiad? — przerwała mu Kate.

— Poczekaj, poszukam...

Odłożył niezapalonego papierosa i zanurkował w stos papierzysk na biurku przed sobą. Połowa z nich natychmiast zjechała na podłogę.

— Mam! — oznajmił po chwili. Spojrzał na pogniecioną kartkę. — Och, to właściwie dopiero jutro.

— Co to takiego?

— Twój wywiad... jeśli zechcesz go wziąć — odparł Crichton. — Coś o domach.

— Świetnie — mruknęła Kate.

Serce w niej zamarło, kiedy pomyślała, że miałyby pisać o jakichś poduszkach i innych podobnych rzeczach w czyimś ślicznym domku. Ale po przyjęciu na Cap Ferrat, podczas którego nie udało jej się zdobyć nawet jednego wywiadu ze znaną osobą, nie wspominając już o tym, że Denys Wemyss ją wylał z „Tygodnika”, jej pewność siebie nieco zmalała. Musiało jej wystarczyć nawet takie skromne zadanie reporterskie. Poza tym miała jeszcze dwie inne prace. — Czyj to dom?

— Mandi St Pierre — odparł Crichton.

Kobiety, którą widziała w Hotel du Roc ubiegłego wieczoru i która dała wycisk Champagne.

— W porządku — powiedziała. To może okazać się ciekawe, pomyślała.

— Wiesz, kim jest jej mąż, Marty St Pierre? — zapytał Crichton, przykładając nagą dłoń do kolejnego papierosa.

Pokiwała głową.

— To inwestor budowlany. Osiedle za miasteczkiem należy do niego... jak je wszyscy nazywają? Toalety?

Crichton zakrztusił się dymem.

— Jesteś diabelnie dobrze poinformowana. Skąd znasz tę nazwę?

Kate wyszczerzyła zęby.

— Trzymam ucho przy ziemi. W końcu na tym polega moja robota, no nie? Jestem dziennikarzem, prawda? Powiedziała to żartobliwym tonem, ale spojrzenie Crichtona było śmiertelnie poważne.

Pochylił się do przodu jak konspirator.

— Mogę ci zaufać? Spojrzała na niego niepewnie.

— Dałeś mi pracę, a to oznacza u mnie całkowitą lojalność wobec ciebie.

Crichton z zadowoleniem pociągnął nosem.

— Chodzi o to, że ściany mają uszy...

Rozejrzała się po zapchanym do granic możliwości pomieszczeniu. Przy tych wszystkich rupieciach, które Crichton trzymał na półkach i które wisiały na tablicach oraz gwoździach na ścianach, nie było tu już miejsca na żadne uszy.

— Les Jardins des Lavabos... to znaczy de la Lavande. Najdroższe prywatne osiedle po tej stronie Cap d'Antibes. St Pierre utopił w nim fortunę. Właściwie kilka fortun, niekoniecznie należących do niego.

Kate pokiwała głową. — I co?

— Chce, żeby zamieszkali tam anglojęzyczni bogacze — dodał Crichton. — Zamożni Amerykanie. Kasiaści Brytyjczycy szukający sobie miejsca na emeryturę, tego typu ludzie. Niestety nikt się nie skusił. — Z powodu smrodu? Crichton pokiwał głową.

— I nie jest to jedyna śmierdząca sprawa w związku z tym osiedlem — oświadczył.

— Też tak słyszałam. — Kate również pochyliła się nad siołem jak spiskowiec. — Już sama sprawa planów była dość śliska, prawda? Podejrzenia o łapówki dla wysokich urzędników, naginanie prawa budowlanego, tego typu rzeczy.

Crichton wytrzeszczył oczy.

— Skąd o tym wiesz? — Walnął pięścią w biurko. — Nie, nic nie mów... Ty też się nim zajmujesz, prawda?

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Och, nie odgrywaj niewiniątka. To dlatego tu jesteś, prawda? Jesteś tajniakiem? Zbierasz informacje na temat Marty'ego St Pierre'a. Pracujesz dla Interpolu? — Crichton urwał, a potem dodał rozedrganym głosem: — Dla „Timesa”?

— Oczywiście, że nie.

— Wiem, że nie możesz mi tego powiedzieć — stwierdził. — Ale wystarczy mi świadomość, że wiosłujemy w tej samej łódce. Śpiewamy z tego samego śpiewnika.

— Co takiego?

— Możemy pracować razem — oświadczył.

Zaczął grzebać w szpargałach na biurku i po chwili wyciągnął zniszczoną teczkę z naklejką ostrzegającą przed promieniowaniem na okładce. Popatrzył z dumą do Kate.

— Zajmowałem się tym przez ostatnich kilka miesięcy. — Poklepał naklejkę. — To naprawdę wybuchowy materiał. St Pierre okazał się największym oszustem na całym wybrzeżu. Ale razem możemy go załatwić! — zawołał z entuzjazmem. Jego twarz straciła ziemisty kolor, biła z niej teraz jasność.

— Hmm... — mruknęła Kate, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

— To fascynujące — ekscytował się Crichton.

— Ehm... — Kate zamrugnęła.

Chwileczkę. Miała być reporterem od poduszek, a nie zajmować się międzynarodowymi sprawami kryminalnymi. Została w Sainte Jeanne, aby napisać powieść, a nie żeby dać się wciągnąć w pijacką teorię spiskową. Być może minęły dla niej czasy poważnego dziennikarstwa, ale z drugiej strony...

— Posłuchaj, Crichton... — zaczęła. Jednak on już się na dobre rozkręcił.



— To wszystko jest okropnie śliskie. Osiedle Jardins des Lavabos zbudowano na chronionych terenach. Można więc tylko zgadywać, jak St Pierre zdobył pozwolenie na budowę. Chyba że się pracuje w biurze planowania w Nicei.

Kate jęknęła. Historia się powtarzała. Przypominało jej to Petera Hardstone'a i radę miejską Slackmucklethwaite. Darren na pewno by się w tym odnalazł, ale ona nie chciała mieć z tą sprawą nic wspólnego.

— Tak się składa, że wygrzebałem kilka naprawdę ciekawych rzeczy — dodał Crichton, klepiąc teczkę. — Jeśli chodzi o przemyt, zagrywki Marty'ego St Pierre'a są po prostu bezczelne. W każdą środę po południu w Nicei ląduje nieoznakowany biały samolot. Obserwowałem jego przyloty i odloty. — Palce Crichtona tańczyły po korkowej tablicy. — I...

— ...i pewnie chciałbyś wiedzieć, co nim przewożą — dodała Kate.

Ona jednak nie chciała nic o tym wiedzieć. Nie zamierzała się tym zajmować. Nie chciała dać się wciągnąć w wygrzebywanie brudów Marty'ego St Pierre'a.

— Wspaniała sprawa! — Crichton rozpromienił się. — Wiesz, marzyłem o kimś, kto by mi w tym pomógł. O kimś, kto lak jak ja wie, jak zabrać się do kryminalnej sprawy. — Crichton! — krzyknęła z desperacją. Musi natychmiast skończyć tę rozmowę. Musi powiedzieć mu, że nie chce brać udziału w jego wariackich dochodzeniach.

— W końcu rozgryzienie międzynarodowej organizacji przestępczej to nie w kij dmuchał — powiedział. — Zwłaszcza jeśli co chwila muszę przerywać, żeby zabrać moich Angoli do Antibes na targ rzemiosła albo gdzie indziej. Ale z twoją pomocą będzie jak za starych dobrych czasów. Jak w „Timesie”... — Chwileczkę...

— Co za wspaniałe zbiegi okoliczności, że pierwszą robotą, jaką dla ciebie mam, jest wywiad z żoną Marty'ego St Pierre'a! I Jędziesz mogła rozejrzeć się w Jardins i trochę powęszyć, jeśli wiesz, co mam na myśli, ha, ha. — Ha, ha. Słuchaj no, Crichton... — Ale pewnie już sama sporo wybadałaś, prawda?

— Nie, do cholery, wcale nie!

— Nieważne. Nie ma się czym martwić, nawet najlepsi się potykają. Tu masz adres. — Podał jej pokrytą tłustymi plamami i kółkami od mokrego kieliszka kartkę. Odczytanie z niej czegokolwiek było prawdziwym wyzwaniem. — I weź też moją teczkę. Przejrzyj materiały, które do tej pory zebrałem.

— Słuchaj, nie sądzę, żeby to było konieczne. Crichton uderzył się dłonią w czoło.

— Głupek ze mnie, jasne, że to niepotrzebne. Pewnie doszłaś do tego samego co ja, jeśli nie dalej. Kate zazgrzytała zębami. — W każdym razie, gdybyś czegoś potrzebowała — szepnął konspiracyjnie — gdybyś chciała wiedzieć, co znalazłem, teczka będzie tutaj. — Poklepał szufladę na lewo od krzesła. — Wszystkie tecki trzymam pod autobiografią Esther Rantzen. To najlepszy środek odstraszający, jaki potrafiłem wymyślić, aby zniechęcić ludzi do grzebania. O niebo lepszy od zamka. Kate pochyliła się nad nim.

— Chciałabym wiedzieć tylko jedną rzecz...

— Co zechcesz. — Zniszczona twarz Crichtona promieniała. — Pytaj mnie, o co tylko zechcesz!

— Dlaczego badasz sprawę Marty'ego St Pierre'a? Co z tego będziesz miał oprócz mnóstwa kłopotów? — Według Kate ten zapijaczony ekscentryk zdecydowanie nie pasował do stereotypu reportera prowadzącego krucjatę.

Crichton wbił wzrok w biurko.

— Cóż...

— Śmiało, mów.

— No dobra. — Crichton podniósł znowu głowę. — Chcesz wiedzieć? Powiem ci. — Jego twarz stężała z napięcia. — Bo ten, kto wyciągnie brudy Marty'ego St Pierre'a na światło dzienne, ja i ty czy ktokolwiek inny, trafi na nagłówki międzynarodowych gazet. Ich naczelni uwielbiają historie o korupcji na Lazurówym Wybrzeżu. To będzie prawdziwa sensacja. Wszystkie londyńskie gazety będą się biły, żeby mieć mnie u siebie. Wtedy będę mógł wyrwać się stąd i wrócić tam, gdzie moje miejsce: do porządnej gazety.

Kate pomyślała, że sama też by to chętnie zrobiła.

— Pomożesz mi, prawda? Spojrzał na nią błagalnie.

Jęknęła. W głębi serca chciała pomóc temu nieszczęsnemu łajdakowi. I chociaż instynkt ostrzegał ją, żeby się w to nie pakowała, rozsądek mówił, że potrzebuje pieniędzy. Może i ma trzy prace, ale wszystkie — nawet ta u hrabiny — przynosiły skąpe dochody. Jej pierwsza wieczorna zmiana w Hotel des Tours zaczynała się za czterdzieści pięć minut.

Próbowała się zastanowić. Czy zaangażowanie się w tę sprawę rzeczywiście było niebezpieczne? Tak naprawdę Crichton prosił ją jedynie o to, żeby napisała coś o rezydencji żony inwestora budowlanego. Jeśli ograniczy się tylko do pytań o sprawy związane bezpośrednio z wystrojem wnętrza, na pewno nie wpakuje się w żadne kłopoty. A przy odrobinie szczęścia, Marty'ego St Pierre'a w ogóle nie będzie w domu.

— No dobrze — odparła. — Zrobię ten wywiad. Ale nic więcej.

— I to jest prawidłowe podejście! — Uśmiechając się radośnie, Crichton sięgnął do szuflady i wyciągnął butelkę. — A co powiesz na kielicha, żeby to oblać?

## Rozdział 19

— Ma pani jakieś obrusy, *madame* Mak... *madame* Vallonvert? — zapytała Makrelę Kate.

Jej pierwsza zmiana w Hôtel des Tours nie przebiegała zgodnie z planem.

Ten plan opracowała Celia: pięć minut na obgadanie strategii w jej pokoju, potem obie schodzą do baru, starając się wyglądać jak najporządniej i najbardziej profesjonalnie — jak prawdziwe kelnerki. Powiedziała Kate, że ich celem powinno być zwiększenie popularności restauracji przez poprawienie jej wyglądu, co na pewno przyciągnęłoby klientów i zwróciło ich uwagę na tutejszą wspaniałą kuchnię. Stosowna nagroda — zarówno finansowa, jak i w postaci satysfakcji, gdy Café de la Place straci klientów — na pewno sama się wtedy pojawi.

Kate była już w pracy od pół godziny, a nawet nie zdążyła nakryć stołów.

— *Les napes?* — powtórzyła.

Makrela spojrzała na nią znad swojej wiecznie kartkowanej księgi rachunkowej, westchnęła ciężko i omdlewającym gestem, który wyglądał, jakby miał być ostatnim na tym padole łez, wskazała na tyły baru i schodki prowadzące w dół.

Kate ostrożnie zeszła do przypominającej jaskinię piwnicy i w zapomnianym kącie znalazła wśród porzuconych krzeseł

duży wiklinowy kosz. Ku swojej wielkiej radości odkryła w nim czyste, porządnie wyprasowane bawełniane obrusy i serwetki w kratę. Widocznie kiedyś ktoś dbał o stoły w restauracji. Zaniósła stos płócien pod arkady, żeby je wytrzeć i przewietrzyć. Pod chłodne łuki zaglądały promienie złotego wieczornego słońca. Kiedy wcześniej przestawiała stoły i przynosiła krzesła porzucane po najdalszych krańcach placu, Pappy nawet nie ruszył palcem, żeby jej pomóc. Nieco otuchy dodawał Kate fakt, że jej nie powstrzymywał. Domyśliła się w końcu, że zamierzał zatrudnić przy tym Trolla, ale ponury wielkolud jeszcze nie przyszedł.

Gdy rozłożyła na stole pierwszy obrus, w drzwiach baru pojawiła się znajoma sylwetka.

— O rety — mruknęła Celia. — Szykują się kłopoty. A może raczej powinnam powiedzieć: człapią? Wystarczyło spojrzeć na minę Trolla, żeby się zorientować, że traktuje sprawę bardzo poważnie. Miał na sobie szorty, odsłaniające łydki o wrzecionowatym kształcie i kolana wielkości kalafiorów. Skrzyżował grube jak szynki ręce na piersi i patrzył w osłupieniu, jak Kate i Celia rozkładają na stołach obrusy. Stał tak przez chwilę, a potem burkliwie zapytał, co one wyprawiają.

— Próbuje zmienić wygląd tego miejsca — odparła Celia, wygładzając dłonią czerwoną kratkę. — Już jest dużo lepiej, nie uważasz? — dodała z uśmiechem.

Ale jego twarz nawet nie drgnęła. Celia strzepnęła kolejny obrus.

— Wiesz co, mój drogi — powiedziała do Trolla — skoro nic nie robisz, byłybyśmy bardzo wdzięczne, gdybyś poprosił szefa kuchni o widelce i noże. Chcę je rozłożyć razem z serwetkami.

„Uważać, materiał wybuchowy”, pomyślała Kate, patrząc na pełne złości i zdumienia oczka Trolla. Celia poczekała sekundę, może dwie, a potem odwróciła się.

— I przy okazji przynieś też parę kieliszków i świeczek. Troll wyglądał na zszokowanego.

— Ruchy — mruknęła Celia pod nosem i głośno dodała: — Nie mamy zbyt wiele czasu. Niedługo wszyscy wyjdą na wieczorny spacer po miasteczku i będą szukali miejsca, w którym mogliby zjeść kolację. Musimy wyglądać jak rozsądna alternatywa wobec tej okropnej Café de la Place.

Zegar kościelny właśnie ogłosił siódmą trzydzieści. Kilku przechodniów już się zatrzymało i zerkało na nich z zainteresowaniem. Ale Troll nawet nie drgnął.

— *Mais c'est incroyable!* — odezwał się za plecami Kate zaskoczony znajomy głos.

Odwróciła się i zobaczyła zniekształconą twarz hrabiny.

— Wy to zrobiliście? — zapytała starsza pani, wymachując pomalowanym na czerwono szponem nad stołami.

Zerkając przez ramię, Kate zobaczyła, że wrogość na twarzy Trolla zamieniła się w wyczekiwanie. Hrabina była szanowaną mieszkanką miasteczka i jej zdanie na temat zmian miało duże znaczenie. Kate pomyślała, że nawet jeśli to tylko szalona kobieta żyjąca urojeniami, jej dezaprobata miałyby katastrofalne skutki. Nerwowo przełknęła ślinę.

— Tak. To my. My to zrobiliśmy.

Zapadła cisza — o ile w ogóle można mówić o ciszy na Place de l'Eglise. Sojący w progu Troll przestępował z nogi na nogę.

Po chwili hrabina klasnęła w pokryte wątrobianymi plamami dłonie.

— *Mais c'est superbe* — wychrypiała. — No, no... obrusy, serwetki... wszystko! Od lat ta restauracja nie wyglądała tak dobrze. Prawda, Bernardzie? — zapytała Trolla.

Spojrzał na nią. Bojowe światółko w jego oczach przygasło.

— *C'est... inaczey* — przyznał.

— Potrzebujemy jeszcze sztuców, kieliszków i świeczek — powiedziała Kate, zmuszając się do promiennego uśmiechu. — Nie wiesz przypadkiem, gdzie są?

Popatrzył na nią, ale nic nie odpowiedział.

— Och, na pewno wie — wtrąciła się hrabina. — Zaraz je wam przyniesie. Prawda, Bernardzie?

Troll nie sprawiał wrażenia, że zamierza ruszyć się ze swojego miejsca. Po chwili jednak, mruczając coś pod nosem, zniknął na zapleczu.

Starsza pani uśmiechnęła się konspiracyjnie do Kate.

— Więc to tu pracujesz, gdy nie sprzątasz u mnie? Zanim zdążyła odpowiedzieć, pojawił się Troll.

Miał wściekły

wyraz twarzy i niósł koszyk na pieczywo pełen sztuczków.

— Jesteś aniołem! — krzyknęła Celia.

— Pracowita z ciebie dziewczyna — powiedziała hrabina do Kate. — Jestem bardzo zadowolona z tego, jak posprzątałaś dziś mój dom. Naprawdę, wykonałaś fantastyczną robotę.

— Dziękuję.

Za ich plecami rozległ się brzęk. To Troll przyniósł tacę z kieliszkami i świecami. Postawił ją na jednym ze stolików z takim hukiem, że Kate zadzwoniły zęby.

— Niech cię Bóg błogosławi — powiedziała Celia, ale on wycofał się ze skrzyżowanymi rękami i stanął w progu, posepnym wzrokiem obserwując przechodzących obok restauracji ludzi.

— Biedny Bernard. — Hrabina ściszyła głos. — Obawiam się, że nie jest zbyt szczęśliwy. Widzisz, moja droga, niefortunnie się zakochał. Kate pokiwała głową.

— Chciałabym prosić cię o przysługę. — Starsza pani spojrzała na Kate zdrowym okiem. — Muszę wyjechać na kilka dni. Moja siostra w Paryżu zachorowała.

— Przykro mi to słyszeć — odparła Kate.

— Hmm... — Hrabina pokiwała głową. — Najwyraźniej można ci zaufać, więc pomyślałam, że może mogłabyś zamieszkać w moim domu na czas mojej nieobecności. — Och.

Kate pomyślała, że dom starszej pani z pewnością jest wygodniejszy od jej pokoju w Hôtel des Tours. I te fascynujące obrazy. — Byłabym ci bardzo wdzięczna — dodała starsza pani.

— Hmm...

Na pewno byłoby tam znacznie ciszej — doskonale miejsce

do pracy, zwłaszcza na balkonie sypialni dla gości, wychodzącym na ogród.

— Oczywiście dodatkowo zapłacę.

— Och.

Wyprowadzając się z hotelowego pokoju, zaoszczędziłaby na kilku noclegach. Wszystko to razem było zbyt dobre, żeby mogła przepuścić taką okazję.

— Z przyjemnością — odparła.

— Dobrze. Wyjeżdżam jutro rano. Proszę, to klucz do mojego domu — powiedziała hrabina i odeszła, stukając obcasami po bruku.

Do Kate podeszła Celia.

— Kim jest twoja znajoma, skarbie?

— To ta starsza pani, o której ci wcześniej opowiadałam. Ta, u której sprzątam. Poprosiła mnie, żebym się do niej wprowadziła.

— Szybka jest. A Ken nadal pozostaje na etapie bukietów. Ale czy ona nie jest dla ciebie troszkę za stara? — Spadaj! Chce po prostu, żebym się wprowadziła i popilnowała domu.

— Jesteś pewna? Te jej akty, o których mi opowiadałaś, sprawiają, że zaczynam się zastanawiać.

Kate odwróciła się i popatrzyła na stoły, które teraz, gdy Celia je nakryła, wyglądały bardzo zachęcająco. Równie kuszące były zapachy dolatujące z kuchni.

— Szkoda, że nie mamy porządnego menu—mruknęła Celia, spoglądając na stojącego w progu Trolla. — Oczywiście poza nim. Menu w ludzkiej postaci... o ile słowo „ludzka” tutaj pasuje.

— Żadne z niego menu — odparła Kate. — Ludzie nigdy nie dostają tego, co zamawiają.

Spojrzały na siebie ponuro.

— Cóż — odezwała się w końcu Celia — jakoś sobie poradzimy. I tak restauracja wygląda już znacznie lepiej. Kate spojrzała na plac.

— Popatrz na tę parę! — zawołała z twarzą płonąca z podniecenia. — Chyba mają ochotę do nas przyjść!



Na brukowanej ziemi niczyjej pośrodku placu stało dwoje ludzi o skandynawskim typie urody i zerkano na stoliki ponad okularami bez oprawek. Kate i Celia uśmiechnęły się zachęcająco. Skandynawowie spojrzeli na siebie i podeszli bliżej. Celia skoczyła ku nim, żeby zaprowadzić ich do najbardziej rzucającego się w oczy stolika.

— Menu? Ach, tak — powiedziała sztucznie radosnym tonem Celia. — Zaraz poproszę Bernarda, żeby powiedział, jakie serwujemy dziś specjały.

Troll podszedł do stolika, ale w połowie jego warkliwych wyjaśnień, co być może przygotowuje szef, parze Skandynawów puściły nerwy. Poderwali się i czmychnęli przez plac do Cafe de la Place, a Troll wrócił na swoje stanowisko w progu baru.

Zaraz potem pojawiła się Nicole.

To było nieuniknione, pomyślała później Kate. Musiała się pojawić właśnie w tej chwili, w najgorszym momencie, kiedy na ich twarzach malowało się zniechęcenie i rozczarowanie.

Była ubrana na czarno i wyglądała jak seksowna młoda wdowa. Lśniące ciemne włosy opadały jej na ramiona, piersi bez stanika wyraźnie rysowały się pod obcisłym czarnym sweterkiem, a króciutka czarna spódniczka ledwie zakrywała długie opalone nogi.

— *Bonsoir*, Bernard — powiedziała, uśmiechając się do Trolla.

Wystrzelił z wejścia do baru i wbił w nią wzrok.

— *Bonsoir*, Nicole — przywitał ją chrapliwym głosem.

— Widzę, że interes dobrze się kręci — wycedziła, rzucając Kate i Celi ironiczne spojrzenie.

Troll wzruszył ramionami.

— Suka — syknęła Celia.

Nicole towarzyszyły dwie przyjaciółki — niższe, okrągłejsze i zwykłejsze dziewczyny, które stanowiły tło dla jej urody. Szepnęła coś do nich, zasłaniając usta opalonymi dłońmi, i wszystkie trzy zachichotały. Potem, drażniąc się z Trollem, posłała mu namiętne spojrzenie i wyszła, rozfalowana jak konik

morski, rzucając jeszcze jedno pogardliwe spojrzenie Celi i Kate.

— Ma jakiś problem czy co? — mruknęła rozdrażniona Celia.

— Nie mam pojęcia — odparła Kate.

Jeśli nawet ma, to na pewno ten problem nie przypomina naszych, pomyślała.

Było jasne, że mimo całej ich determinacji i energii restauracja nie zostanie odmieniona w ciągu jednego wieczoru. Trzeba było czegoś więcej niż obrusów w kratkę, aby zmienić kurs tego tankowca. Liczyły się tyłki klientów na krzesłach, a nie dało się ukryć faktu, że w restauracji wszystkie siedzenia były ich pozbawione. I wyglądało na to, że tak pozostanie.

Pod koniec wieczoru ze smutkiem zdjęły ze stolików czyste obrusy i nieużywane serwetki. Ten dzień zdecydowanie nie należał do sukcesów. Po Skandynawach zjawiła się para Niemców. Usiedli, ale kiedy zobaczyli podchodzącego do ich stolika Trola, natychmiast się poderwali i wyszli. Jedyne istotami zainteresowanymi kolacją okazały się komary, które Kate bez przerwy musiała odpędzać od siebie. Jej białe północne nogi były dla nich najwyraźniej odpowiednikiem *foie gras* albo zupy *pistou*, która marnowała się w kuchni.

— Trzeba czasu, żeby wieści o zmianach się rozeszły — stwierdziła z wymuszoną wesołością Celia, wrzucając czyste sztuce z powrotem do koszyka na chleb.

Kate podejrzewała jednak, że wieści już się rozeszły. Ale nie te najlepsze.

— Dobry wieczór.

Celia i Kate z nadzieją uniosły głowy. Czyżby klient? Nawet spóźniony to już coś. Ale zobaczyły tylko właściciela Cafe de la Place, który pytał ze współczuciem, czy zmiana wizerunku pomogła interesom.

— Jak to miło z pana strony — prychnęła Celia.

— Było spore zainteresowanie — powiedziała Kate, zdecydowana robić dobrą minę do złej gry.

— Ach, tak. Zainteresowanie. — Łasicowaty właściciel kafejki podłubał w zębach. — To nie do końca to samo co klienci, *non!* Według mnie najbardziej pożytecznym rodzajem zainteresowania jest taki, który przyczynia się do powiększenia zysków. Dobranoc, drogie panie.

Brama Les Jardins de la Lavande otworzyła się z dygotem. Kate ujrzała przed sobą alejkę z klockowatymi zielonymi żywopłotami, przypominającymi gąbkę, w którą na zajęciach układania bukietów w Instytucie Kobiet wkładało się goździki i chryzantemy. Nazywano ją Oasis. Babcia była zaskoczona — ale i ucieszona — że tak samo nazywa się popularna grupa rockowa.

— Może też lubią układać bukiety — powiedziała kiedyś. — Pewnie to bardzo mili i uprzejmi młodzi ludzie.

Żywopłoty zastępowały cyprysy Hardstone'a. No i pogoda była całkiem inna: upał i błękitne niebo zamiast chłodu i szarości. Ale pod każdym innym względem Jardins des Lavabos wyglądały identycznie jak Slack Palisades. Brzydkie linie, tanie materiały. Wszędzie ceglane podjazdy, ogromne okna, garaże lak wielkie, że można było trzymać w nich katamarany, pozbawione kominów szare dachy z nieładnej dachówki, a wszystko to ozdobione staromodnymi lampami i wiatrowskazami. Nad całym osiedlem niczym baldachim wisiał siarkowy odór — tak silny, że Kate łzawiły oczy.

Początkowo myślała, że to miejsce różni się od Slack Palisades brakiem rozpadlin w trawnikach, kiedy jednak szła główną aleją, od której pod kątem dziewięćdziesięciu stopni odchodziły podjazdy, zauważyła w nich kilka głębokich dziur. Najwyraźniej ktoś próbował rozwiązać problem ścieków, ale mu się nie udało. I tak jak w przypadku Slack Palisades, ziemia się zemściła.

Idąc, rozglądała się niespokojnie, wypatrując Marty'ego St Pierre'a, ale grubego finansisty ani jego równie wypasionego wozu nigdzie nie było widać. Właściwie to nikogo nie było widać. Osiedle było opustoszałe, tak jak mówił Crichton.

Posługując się analogią ze Slack Palisades, Kate domyśliła się, że największy i najbrzydszy dom z najobszerniejszym garażem to właśnie ten, którego szuka.

Frontowe drzwi otworzyła drobna Filipinka z groźną miną.

— Dziewczyna! — zawołała ze zdziwieniem.

— Zgadza się — potwierdziła Kate.

— *Madame St Pierre* spodziewać się mężczyzna.

— Mężczyzny? — zdziwiła się Kate.

Przecież Crichton rozmawiał z Mandy i wszystko ustalił. Czyżby coś mu się pomieszało i powiedział, że zjawi się osobiście?

— Od urządzania domu. Dekorator.

— Przyszłam zrobić wywiad z panią *St Pierre*. Nie mam nic wspólnego z urządzaniem wnętrz.

Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie.

— *Madame St Pierre* w ogrodzie, w ruina — powiedziała Filipinka i zniknęła za drzwiami.

W ruinie? Kate zastanawiała się, czy dobrze usłyszała. Może chodzi o altanę? Albo o jakiś letni domek, w którym Mandy brała masaże lub robiła coś innego, coś, czym zwykle zajmowały się żony inwestorów. Ruszyła we wskazanym przez Filipinkę kierunku. Przeszła przez betonowe patio zastawione plastikowymi meblami. Minęła basen o dnie w kolorze elektryzującego błękitu i wielki gliniany piec, którego pękata podstawa i wysoki komin kojarzyły się z penisem. Jediną rzeczą, która się poruszała, był wielki ozonator, pływający w basenie jak ośmiornica. No i automatyczne zraszacze trawników, których gwałtowne skręty budziły pewien niepokój.

Na końcu patio rosły ciasno posadzone cyprysy, przypominające pióropusz Siedzącego Byka. Kate przypuszczała, że miały osłaniać basen przed wzrokiem ciekawskich sąsiadów. Tyle że na sąsiedniej posesji nikt nie mieszkał. Między cyprysami biegła wąska ścieżka.

Kate weszła na nią i po chwili znalazła się w całkowicie innym krajobrazie. Na srebrzystych liściach tańczyło światło.

Nieco dalej zobaczyła opadającą w dół łączkę. Z nieprzystrzyżonej trawy umajonej żółtym janowcem i czerwonymi makami w niemal regularnych odstępach wyrastały grube, pokręcone pnie starych drzew oliwnych.

Kate wciągnęła w nozdrza słodki ziołowy aromat. Było to przepiękne miejsce. Najwyraźniej od dawna nikt się nim nie zajmował. Nigdzie nie było widać ani pani St Pierre, ani żadnych ruin. Kiedy już miała wracać do domu, zauważyła w gęstej kępie drzew oliwnych na odległym krańcu gaju coś, co wyglądało jak stos kamieni.

Kiedy uważniej się temu przyjrzała, okazało się, że to fragment zabudowań wiejskich: mała, częściowo zawalona stodoła. Spomiędzy bloków kamienia o barwie sierści złotego labradora wyskoczyła jaszczurka, a Kate pomyślała, o ile ładniejsze są te kamienie — nawet pokruszone — od cegieł, z których powstało Jardins des Lavabos.

Do budynku prowadziła umieszczona pod szerokim łukiem wypaczona brama, która pewnie zamykała się za wieloma rozklekotanymi wozami. To starsze i prostsze Lazurowe Wybrzeże wydało się Kate bardzo bliskie. Wiedziała, że Fabienowi leż by się tu spodobało.

Weszła do chłodnego wnętrza, ale znalazła w nim tylko cienie i snopy słonecznego światła wpadające przez szpary między dachówkami. Pośrodku nierównego klepiska zobaczyła drewniany słup i okrągły kamień. Zastanawiała się, co to może być.

Kiedy podeszła, żeby się lepiej przyjrzeć, od ciemnego stropu oderwał się fragment kamienia i upadł na jej stopę w klapku.

— Auuu! — krzyknęła.

Usłyszała sapanie i coś poruszyło się w części stodoły, którą przesłaniała zawalona ściana.

— To ty, Perseus? — zapytał wysoki kobiecy głos.

— Pani St Pierre?

— Aha. A kto pyta?

— Przyszłam porozmawiać o pani... ehm... pięknym domu.

Zza zrujnowanej ściany wyszła kobieta. Była to pani St Pierre, ale zupełnie inna od tej, którą Kate widziała na tarasie Hôtel du Roc. Tamta pani St Pierre była elegancka i pachnąca, miała lśniące włosy w pasemka, wysokie obcasy i większą ilość kosmetyków na twarzy, niż znalazłoby się w kosmetyczkach całego Essex, ta zaś ubrana była w workowatą koszulkę, miała włosy związane w kucyk i ani śladu szminki na ustach. Pod pachą trzymała zwinięte w rulon plany, a w ręku taśmę mierniczą.

— Mój piękny dom? — zapytała Mandi St Pierre. — A gdzie on niby jest?

— Tu, oczywiście. W Jardins des Lav... to znaczy de la Lavande.

Mandi skrzywiła się i popatrzyła na nią podejrzliwie.

— Och, tak. Zapomniałam, że masz przyjść. Jesteś z „Gazety”, tak?

— Zgadza się. Mam napisać coś pochlebnego o tym osiedlu — Kate uśmiechnęła się, sugerując, że nie słyszała o niczym, co rzucałoby na Les Jardins de la Lavande lub jego budowniczego jakikolwiek cień.

Mandi oparła dłoń na biodrze i pokręciła głową.

— To na nic. Nikt nie chce mieszkać w tym szambie. Zresztą nie ma się co temu dziwić.

Kate wyciągnęła notatnik. To, że małżeństwo państwa St Pierre nie było idylliczne, dało się zauważyć już w Hôtel du Roc. Ale zdziwiło ją, że Mandi St Pierre podziela ogólną niepochlebną opinię na temat luksusowego osiedla zbudowanego przez jej męża. Pomyślała, że chyba powinna jeszcze bardziej współczuć tej kobiecie.

— Nie pisz tego — powiedziała Mandi, gdy zobaczyła notatnik. — Marty dostanie szału, kiedy się dowie, że nazwałam to osiedle szambem.

— Oczywiście, proszę się nie martwić.

Kate również nie chciała doprowadzić Marty'ego do szału. Rzadko kiedy widywała ludzi, którzy tak wyraźnie mieliby wypisaną na twarzy groźbę długiej i bolesnej śmierci.

- Chociaż kiedy się tu jedzie, trudno je inaczej nazwać... — dodała Mandi. — Nic dziwnego, że miejscowi nazywają to miejsce toaletami albo pisuarem. Kate pokiwała głową.

— Zapach jest dość wyraźny.

— Wyraźny? Jest tak intensywny, że człowiekowi mało nos nie odpadnie. Tylko tutaj tak bardzo tego nie czuć. Kate pomyślała, że smród przestał ją drażnić, bo się do niego przyzwyczaiła, ale było to mało prawdopodobne.

— Pewnie to wszystko moja wina — mruknęła Mandi.

— To znaczy co?

— Smród i wszystko inne. Jardins de la Lavande okazało się kompletną klapą i Marty właśnie mnie o to obwinia. — Odgarnęła pasmo włosów za ucho. — Mówi, że to był mój pomysł, żeby tutaj budować.

— A był?

— W pewnym sensie. Kiedy kilka lat temu jechaliśmy przez Prowansję, zauważyłam romantyczny, walący się ze starości wiejski dom. Wyglądał przepięknie: jasny, porośnięty bluszczem kamień i tak dalej. Powiedziałam Marty'emu, że chciałabym tu mieszkać, więc kupił ten dom.

— To miło z jego strony — mruknęła Kate, zaskoczona tym nowym, łagodnym obliczem pana St Pierre'a. — Nie całkiem. Zanim się obejrzałam, zrównano go z ziemią i powstały plany Pisuaru. To te tereny zainteresowały mojego męża, nie dom.

— Och.

— A ta tłocznia oliwy — Mandi wskazała walące się kamienne ściany — jest wszystkim, co zostało z tamtej romantycznej ruiny. Chcę ją odbudować, chociaż Marty'emu się to nie podoba. Uważa, że to tylko strata czasu i pieniędzy.

Tłocznia. To tłumaczy stare oliwne drzewa na zewnątrz, pomyślała Kate. A machina stojąca pośrodku pomieszczenia musiała być urządzeniem do wyciskania oliwy. Doskonale rozumiała, dlaczego Mandi chce odbudować ten budynek. Wprawdzie była to ruina, ale bardzo piękna ruina. A jej otocze-

nie — srebrzyste liście, słońce, gęstwina opadającej łąki — wprost idylliczne.

— Odnowimy tłocznię i dobudujemy nowe pokoje — powiedziała po chwili Mandi.

— Myślałam, że Marty'emu St Pierre'owi nie podoba się ten pomysł.

— Bo nie podoba. Ale jest teraz trochę... hmm... zajęty — odparła pani St Pierre, z goryczą wykrzywiając usta, a Kate przypomniała się Champagne. — Pomyślałam więc, że moglibyśmy wykorzystać ten moment, żeby coś tu zrobić. My, to znaczy ja i mój dekorator, chociaż on nie lubi, żeby go tak nazywać. Mówi, że jest wizjonerem wewnątrz! — zaśmiała się Mandi.

— Jak się nazywa? — zapytała Kate, w której głowie rozdzwoniły się setki alarmowych dzwonek.

— Perseus Cholmondeley-Chatsworth.

— Och...

Więc to nie ten uciążliwy przyjaciel gwiazd, o którym myślała.

— To niesamowity facet — dodała Mandi. — Zaprzyjaźniony ze wszystkimi miejscowymi znakomitościami. Kiedy go widzę, zawsze wraca właśnie z lunchu u George'a Michaela albo herbatki u Joan Collins. Albo z przyjęcia u Eltona. Miałam szczęście, że go dorwałam. Stephanie z Monako też go szukała.

Kate nic na to nie odpowiedziała. Niesforna księżniczka Monako szukała dość dziwnych ludzi.

Kontakty towarzyskie Perseusa Cholmondeley-Chatswortha były podejrzanie podobne do koneksji Marca de Provence'a i jego opowieści o Beckhamach. Najwyraźniej popisywanie się przyjaźnią z gwiazdami było typowe dla dekoratorów wewnątrz.

— Ma dziwne nazwisko.

— Ale podobno bardzo znane. On sam też jest znany. Uczył się w Eton i Cambridge, a dorastał w Derbyshire, w wielkiej rezydencji z trzystoma pokojami. Podobno mieszkało tam mnóstwo duchów.

— Naprawdę?



Twarz Mandi rozbłysła uśmiechem.

— Był tam również nawiedzony kibel, który sam się spłukiwał, kiedy ktoś w rodzinie miał umrzeć.

— Coś takiego! — wykrzyknęła Kate.

Była coraz bardziej ciekawa tej barwnej postaci. Miała nadzieję, że Perseus Cholmondeley-Chatsworth niebawem się pojawi.

— Prawdopodobnie inspirują go wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w tej posiadłości — dodała Mandi. — Lubi wielkie sofy i złożone lustra, jedwabne zasłony, tego typu rzeczy. Myślę, /c to lekka przesada, ale podoba mi się. *Haute couture* dla domu, jak często powtarza.

W głowie Kate znowu rozdzwoniły się alarmowe dzwonki. Spojrzała podejrzliwie na Mandi.

— Jak wygląda ten dekorator? Czy ubiera się na fioletowo?

## Rozdział 20

— Fioletowo? — Mandy pokręciła głową. — Skąd, wygląda jak... nie wiem. Jak Sherlock Holmes. Bardzo brytyjski wygląd. Najwyraźniej tutaj to uwielbiają. Zresztą sama zobaczysz. Już tu jest.

— Witam, pani St Pierre! — zadudnił głos jak z książki P. G. Wodehouse'a.

Mandy wyszła go powitać, a Kate patrzyła ciekawie z progu tłoczni. Przez rozświetlone pole kroczyła jakaś dziwna postać w wielkiej czerwonej muszce, jaskrawej kurtce w musztardową kratę i bufiastych spodniach do golfa. Mimo upału gość miał na głowie czapkę z opuszczonymi nausznikami.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział. — Obawiam się, że jestem trochę wyczerpany.

Wróciłem z przyjęcia u El tona dopiero o drugiej nad ranem.

Im bliżej podchodził, tym bardziej obezwładniające wrażenie robiła jego marynarka. Kate patrzyła na niego z rozdziawionymi ze zdumienia ustami. Czy to się działo naprawdę? Najwyraźniej w tej części świata iluzja i rzeczywistość były względными pojęciami.

Postać wyciągnęła do niej upierścienioną dłoń.

— Jestem Perseus Cholmondeley-Chatsworth. Miło mi panią poznać.

Mimo tych uprzejmych słów wyczuła w jego głosie wyraźnie wrogi ton. Bez wątpienia spodziewał się zastać klientkę samą i nie spodobało mu się, że ma publiczność. Spojrzała na jego twarz, ale niewiele dostrzegła, poza tym, że w cieniu pod daszkiem czapki błysnął monokl.

— Nie jest panu za gorąco w tym nakryciu głowy? — zapytała.

— Nieszczerólnie — odparł sztywno. — Właściwie to jest całkiem chłodno.

Zaprzeczała temu ociekająca potem twarz.

— Zdejmij czapkę, Perr — powiedziała Mandi. — Musisz się w niej gotować.

Dekorator przytrzymał swoją koronę dłonią.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Ehm... chyba złapałem wszy.

— Wszy! — zawołała zde gustowana Mandi.

— Niestety tak — odparł Cholmondeley-Chatsworth. — Prawdopodobnie złapałem je od chrześniaków Hugh Granta, kiedy przedwczoraj jedliśmy razem lunch. Uparli się, żeby przymierzyć moją czapkę. Dzieciaki to małe zmyry, prawda?

Kate spojrzała na niego z niedowierzaniem. Pewnie po prostu był łysy i nie chciał się z tym zdradzić. Mandi westchnęła.

— Nie mam pojęcia — powiedziała smutno. — Marty nigdy nie chciał dzieci.

Kate znowu zrobiło się jej żal. Zauważyła, że Cholmondeley-Chatsworth powstrzymuje ziewnięcie. Nie ma co, szczyt delikatności.

— Właśnie mówiłam Kate, jakim jesteś geniuszem — oznajmiła Mandi.

Cholmondeley-Chatsworth pokiwał głową.

— To dziennikarka. Na pewno napisze coś pochlebnego na twój temat — dodała pani St Pierre. — Powinieneś dać jej swoją wizytówkę. Zawsze mówisz, że potrzebujesz rozgłosu. To twoja szansa. Perseus Cholmondeley-Chatsworth wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział sztywno:

— Nie mam wizytówek.

— Ani jednej? — zdziwiła się Mandi. — Wszystkie rozdałeś zaprzyjaźnionym znakomitościom?

— Pewnie tak.

Kate z niechęcią spojrzała na dekoratora. W błysku jego monokla kryło się coś nieprzyjemnego.

— Chyba mam gdzieś jedną... — mruknęła Mandi i zaczęła grzebać w kieszeni dzinsów.

Po chwili wyjęła z niej mały przybrudzony kartonik i podała go Kate.

Kremowa wizytówka miała ciemnozielone obramowanie. „Perseus Cholmondeley-Chatsworth, styl angielskich zamków dla eleganckich *châteaux*”.

Dekorator patrzył na Kate spod daszka czapki. Zastanawiała się, czemu jest do niej tak wrogo nastawiony. A może tylko jej się wydawało? Cóż, nie uda mu się jej stąd wykurzyć. Miała do zrobienia wywiad.

— Pani St Pierre opowiadała mi o planach odbudowy tłoczni — zaczęła.

Monokl błysnął złowrogo.

Mandi, wyczuwając napięcie, uśmiechnęła się szeroko do Perseusa i Kate.

— Nie wiem jak wy dwoje, aleja muszę się napić. Wracajmy do domu. Powinnam chyba — dodała, patrząc na Kate — oprowadzić cię po domu, żebyś mogła napisać ten swój artykuł.

To, czy dom Mandi uzna się za śliczny, czy nie, zależało, jak przypuszczała Kate, od tego, jak odbiera się schizofreniczną mieszankę stylów. Kuchnia wyglądała jak bunkier doktora No, a sypialnię gospodarzy zdominowała wielka kolorowa fotografia w grubych grafitowych ramach. Kate początkowo myślała, że półokrągłe pomarańczowe linie przedstawiają wydmy, w końcu jednak uświadomiła sobie, że to powiększone kobiece pośladki. Zastanawiała się, czy należą do Mandi.

Zaraz potem okazało się, że pani St Pierre musi wyjść do fryzjerki. Wywiad się skończył. Dowiedziawszy się, że Kate przyjechała autobusem i resztę drogi przeszła piechotą, Mandi zaproponowała, żeby Cholmondeley-Chatsworth podwiózł ją do Sainte Jeanne.

— Ale ja nie mam tam po co jechać — odparł niegrzecznie dekorator.

Nawet bardzo niegrzecznie jak na kogoś wychowanego w rezydencji, pomyślała Kate.

— Muszę wracać na Cap Ferrat — burknął. — Czekają na mnie Andrew i Madeleine Lloyd-Weber.

— Och, proszę się o mnie nie martwić — oświadczyła Kate. Z jakiegoś powodu ten człowiek od pierwszego wejrzenia ją znienawidził.

— Nadłożysz tylko kilka minut — przekonywała go Manili. — Sama bym cię podwiozła — powiedziała do Kate — ale moja stylistka jest w Cannes, a to w zupełnie przeciwnym kierunku. Więc od razu się pożegnam. Miło było cię poznać.

— Wzajemnie — odparła z uśmiechem Kate.

— Zaparkowałem na tyłach — sapnął z urazą Cholmondeley-Chatsworth.

W grobowym milczeniu ruszyli do samochodu.

— Dlaczego Mandi musi jechać do fryzjera limuzyną? — zapytała Kate, kiedy zobaczyła wielki wóz z przyciemnianymi szybami jadący żwirowym podjazdem. — Dla mnie byłoby to trochę za drogo.

Cholmondeley-Chatsworth spojrzał znacząco na jej potargane mysie włosy.

— To widać — wycedził.

Na tyłach domu Mandi stała zaparkowana mała brudna furgonetka. Dekorator niemal wepchnął Kate do środka.

— Wsiadaj — warknął. — Nie mam dla ciebie całego cholernego dnia.

Jechali bardzo szybko, ostro biorąc wszystkie zakręty. Kate złapała się klamki drzwi. Zrobiło jej się niedobrze. Kiedy w przedniej szybie mignęły dachy Sainte Jeanne, Cholmon-

deley-Chatsworth zaklął głośno i gwałtownie skręcił kierownicą, żeby nie wpaść na nadjeżdżający samochód. Furgonetka zarzuciła i dekorator uderzył głową we wsteczne lusterko. Kate krzyknęła, gdy wypadli na krawędź drogi. Cholmondeley-Chatsworth cofnął wóz i zawrócił.

— Co się stało? — zapytała, gdy osiedle zaczęło znikać za ich plecami. — Dokąd jedziesz? Och! Dekorator prowadził jedną ręką, a drugą wśród przekleństw usiłował złapać czapkę, która spadła mu z głowy po zderzeniu z lusterkiem. Jednak miał włosy, i nawet nie siwe. Były krótkie, ciemnorude i sterczały na wszystkie strony. Teraz, gdy odsłonił twarz, Kate nie miała wątpliwości, do kogo należą te drobne, zawzięte rysy.

— To ty, prawda?

Przyspieszył jeszcze bardziej, rzucając nerwowe spojrzenia w przekrzywione wsteczne lusterko.

— Nie wiem, o czym mówisz — warknął.

— Nie jesteś Perseus Cholmondeley-Chatsworth, tylko Marc de Provence, prawda?

Spojrzał na nią. Miał wykrzywioną oburzeniem twarz, identycznie jak wtedy, gdy widziała go w Slack Palisades. Oczy mu płonęły, a szczęki zacisnęły się w ten sam agresywny sposób. Jego wcześniejsza zabawna francuszczyzna może zamieniła się w arystokratyczną angielszczyznę, a fioletowy bratek w zieleń pana Ropucha, ale nadal był to Marc de Provence.

Roześmiała się.

— Tak, to ty. Daj spokój, przecież wiem.

— Wynoś się z mojej furgonetki, do cholery. Ale już! Zahamował gwałtownie, sięgnął do klamki drzwi po jej

stronie i otworzył je szarpnięciem. Kate wylądowała na poboczu. Podniosła się i otrzepała z kurzu.

Nic się jej nie stało, ale przeżyła szok. Czy naprawdę Marc de Provence wypchnął ją z samochodu tylko dlatego, że odgadła, kim jest?

Drepczyło ją jeszcze jedno pytanie. Czemu przestał być francuskim dekoratorem wnętrz, włożył czapkę z daszkiem i zamienił się w Perseusa Cholmondeley-Chatswortha? W dodatku

z absolutnie nienagannym angielskim akcentem. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, ale nie znalazła żadnego sensownego wyjaśnienia tego dziwnego zachowania.

Wiedziała jednak, że instynkt jej nie zawiódł. Zajmowanie się sprawami Marty'ego St Pierre'a czy nawet niegroźnej Mandi było kiepskim pomysłem. Napisze wywiad, zrobi swoje i zrezygnuje z pracy w „Gazecie”. Niezależnie od tego, co powie ('richton.

— Co ty tu robisz, skarbie? — usłyszała nagle i zobaczyła uśmiechającego się do niej Kena. Ciemne okulary wyglądały jak czarne plamy pośrodku jego czerwonej twarzy. — Opalasz się?

Spojrzała na niego nieufnie.

— Podwieźć cię? Jadę z powrotem do hotelu Zacisze.

W pierwszym momencie Kate chciała odmówić, ale z nieba lał się żar, a wewnątrz samochodu Kena sprawiało wrażenie chłodnego i wygodnego, mimo że był to najtańszy w wypożyczalni wóz z siedzeniami z imitacji dżinsu.

— Coś ty robiła w środku tego upału?

— Po prostu szłam.

Nie zamierzała mu o niczym mówić.

— Tędy? — zdziwiony Ken wskazał krzaki na poboczu. Jezu, ale też facet jest wścibski.

— Tak. Szukałam... hmm... natchnienia do mojej powieści. Przez chwilę jechali w milczeniu.

— Słuchaj — powiedział nagle, łapiąc za dźwignię zmiany biegów. — Co do Celi i mnie...

— To nie moja sprawa — odparła sztywno Kate.

— Wiem, że tego nie pochwalasz, ale...

— Słuchaj, znam Celię raptem pięć minut. A ciebie jeszcze krócej. Nie mogę was osądzać.

A jednak to robiła i werdykt brzmiał: ten człowiek to fantasta, postać w stylu Waltera Mitty. Jego wielkie poszukiwania, które przywiodły go na Riwierę, prawdopodobnie były jedynie szukaniem chętnych do domu na współwłasność. Nie był wart Celi.

Wyraz twarzy Kena, gdy na nią patrzył, sugerował, że dobrze

wie, co Kate o nim myśli. Kiedy się odezwał, w jego głosie słycać było niemal prośbę:

— Ona bardzo poważnie traktuje twoje zdanie, więc miałem nadzieję, no wiesz, że moglibyśmy być... hmm... przyjaciółmi...

Kate zamknęła oczy. Jej nerwy, zszarpane przymusowym katapultowaniem, nie wytrzymały już żenującej rozmowy z tym śmiesznym londyńskim cwaniaczkiem.

— Powiedziałam, że to nie moja sprawa. Oboje z Celią jesteście dorośli.

Ale w gruncie rzeczy w to wątpiła. Zwłaszcza gdy widziała ich razem.

— Jak chcesz.

Wjechali do Sainte Jeanne w milczeniu.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział lodowato Ken, wysadzając ją na placu.

— Dzięki.

— I jeszcze jedno...

— Co? — zapytała podejrzliwie Kate.

— Ten spacer w krzakach, który sobie zafundowałaś... — mruknął sarkastycznie.

— To było naprawdę inspirujące miejsce.

— Tak? Twoja książka musi być bardzo zabawna, skoro konsultujesz się z tamtejszym wysypiskiem śmieci — zaśmiał się Ken.

Gdy odjeżdżał, z niechęcią odprowadziła go wzrokiem.

Postanowiła wykorzystać popołudnie na przeprowadzkę do domu hrabiny. Kiedy już się tam urządzi i szybko przetrze kurze, będzie mogła poświęcić parę godzin na pisanie na cichym balkonie nad ogrodem. Miała nieczyste sumienie: „Żigolak z północy” od kilku dni nie zwiększył swojej objętości ani o jedną stronę. Ale przynajmniej udało jej się wysłać babci obiecany list.

Mimo kilkakrotnego powtórzenia informacji o chwilowej przeprowadzce Makrela przyjęła ją bez najmniejszego drgnienia



twarży — nie wiadomo, zrozumiała czy nie. Kate poszła na górę, spakowała się, zeszła z walizką i ruszyła przez plac, robiąc przy tym tyle hałasu, że pięć staruszek spojrzało na nią /. dezaprobatą. Nawet zabawiający przechodniów hiszpańscy gitarzyści odwrócili się gwałtownie, kiedy obok nich przechodziła. Kate obleciał strach, gdy muzycy o groźnych twarzach popatrzyli na nią. Na szczęście zaraz wrócili do gry.

Przeciągnęła swoje ziemskie dobra jakieś dwadzieścia metrów w stronę domu hrabiny, ale nie dotarła jeszcze do schodów, gdy usłyszała wściekłe warczenie — to właściciel kafejki przeganiał gitarzystów spod swojego lokalu. Po krótkiej, lecz zażartej kłótni śpiewacy ruszyli przez plac. Mruczeli coś pod nosem, mijając Kate siłującą się z walizką.

— Pomogę ci — powiedział niespodziewanie wyższy z nich. Odłożył ostrożnie gitarę i złapał rączkę sakwojażu. Kate spojrzała na niego z wdzięcznością, a jemu z wysiłku aż oczy wyszły na wierzch, gdy wciągał walizę na szczyt schodów.

— Co ty tam masz? Poćwiartowane zwłoki? — zapytał, rozcierając chude ręce.

Uśmiechnął się do niej, ukazując przerwy między zębami. ()odpowiedziała mu uśmiechem. Zauważyła, że ma błyszczące brązowe oczy, bladą twarz i szczupłą sylwetkę charta. Wyglądał na człowieka, który rzadko jada. — Dziękuję.

— Nie ma za co, *mademoiselle*.

Machnął ręką, kiedy chciała wręczyć mu napiwek. Wrócił do kolegi, ukłonili się obaj Kate i odmaszerowali, przerzucając gitary przez ramię.

Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Korytarz wejściowy tonął w ciszy i fiolecie. Dochodzące z placu hałasy, rozmowy i światło zostały kompletnie odcięte. Było w tych gładkich nowoczesnych przestrzeniach coś, co połykało wszystkie dźwięki. Nawet walizka bezgłośnie sunęła po drewnianej podłodze.

Kate spojrzała niepewnie na szklane schody. Szanse, że uda jej się wdrapać po nich bez narażania siebie i stopni na uszko-

dzenie, były raczej niewielkie. Ale przecież mogła zostawić swój bagaż na dole. Skoro hrabina wyjechała, Kate miała cały dom dla siebie.

Nagle poderwała gwałtownie głowę. Co to? Czyżby ktoś kręcił się na górze? Nadstawiła uszu, ale usłyszała tylko ciszę.

Zerknęła na obrazy wiszące na białych ścianach. Tyle różnych oczu — małe lub wąskie, przesadnie wielkie, czasem pojedyncze, cyklopowe spojrzenie portretu z profilu — i twarzy, zaciekawionych, wyzywających, krytycznych albo nawet przerażających.

Musi wziąć się w garść. Pewnie usłyszała wiewiórkę skaczącą po dachówkach. Albo kota. Albo coś w tym rodzaju.

Była po prostu nerwowo wykończona po tym zwariowanym poranku i nieplanowanym katapultowaniu z furgonetki. Potrzebuje odpoczynku. Powinna położyć się na tym wielkim białym łożu w sypialni dla gości. To będzie jej pokój przez najbliższe dni. Powiew ciepłego powietrza z ogrodu na pewno szybko ukołysze ją do snu. Gdy znalazła się w sypialni i podeszła do drzwi balkonowych, żeby je otworzyć, znowu poczuła, że włosy jej się jeżą na karku. Odwróciła się natychmiast do drzwi wychodzących na korytarz, ale nikogo nie zobaczyła.

Wypakowując w łazience starą jak świat kosmetyczkę, odkryła wiszące przy wannie wielkie grube ręczniki i leżące na umywalce mydło, cudownie pachnące kwiatem pomarańczy. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Mimo maminej wazeliny jej skóra nadal się łuszczyła. Kate westchnęła. Mało prawdopodobne, żeby dorobiła się mahoniowej opalenizny.

W tym momencie znowu coś usłyszała. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Skrzypnięcie i kroki, dokładnie nad jej głową. Wstrzymała oddech i spojrzała w lustro. Tym razem się nie myliła. Ktoś — albo coś — był na czwartym piętrze. Na zalanym fioletową poświatą ostatnim piętrze, które ona i jej szmatka do kurzu miały dopiero zbadać.

Czyżby to był włamywacz? Jakiś złodziej, który wiedział, że hrabina wyjechała, i postanowił wykorzystać okazję? Słyszała

w uszach bicie własnego serca. Każdy nerw krzyczał, że powinna uciekać. Ale starsza pani powierzyła jej swój dom i obrazy, które tak bardzo kochała. Kate doszła do wniosku, że nie ma wyboru. Musi pójść na górę i sprawdzić, co się tam dzieje.

Drzwi prowadzące do pokoju na najwyższym piętrze wyglądały zwyczajnie i niewinnie. Kate przyłożyła do nich ucho i zaczęła nasłuchiwać.

Na początku nie słyszała nic poza waleniem własnego serca. A potem... Tak... jakiś dźwięk. Skrzypienie. Jakby coś drapało szponami albo nożem.

Położyła drżącą rękę na klamce. Jedyna jej broń to zaskoczenie. Mogłaby zajrzeć szybko do pokoju — zanim to coś zdąży zareagować — a potem zbiec na dół i podnieść alarm. Z determinacją przekreśliła klamkę.

Najpierw zobaczyła potok oślepiającego światła, wlewający się przez liczne okna, zajmujące całą ścianę. Potem dostrzegła stojącego pośrodku pokoju mężczyznę w bladoniebieskiej koszuli, jaśniejącej na tle ciemnej opalenizny. Uśmiechał się, jakby nie było bardziej naturalnej rzeczy niż jego obecność w tym domu albo jej nagłe pojawienie się.

— Fabien! — zawołała zdumiona.

## Rozdział 21

— Nie wiedziałaś, że tu jestem? — Odsunął się od sztalug i spojrzał na nią. — Odile nie powiedziała ci, że czasem tu maluję?

— Odile?

— Hrabina d'Artuby.

Uśmiechnął się, odłożył umazany różową farbą pędzel i wytarł ręce brudną szmatką.

Odile. Kate zdumiała taka poufałość.

— Nie, nie mówiła mi o tobie. — Poczła krew napływającą do łuszczących się policzków. — Może zamierzała, ale cały czas rozmawiała przez telefon. Powiedziała tylko, że słyszała od znajomego, że szukam pracy. Przypadkiem nie od ciebie?

— Tak, wspomniałem jej o tym. Mówiła mi, że szuka kogoś do pomocy, a ja uznałem, że jesteś dokładnie taką osobą, jakiej potrzebuje.

— Nie wiedziałam, że ją znasz.

— Jak pewnie zauważyłaś, hrabina kocha sztukę. Zachęca mnie do malowania. — Klasnął w dłonie, a potem rozłożył je szeroko i skłonił się. — Skoro już tu jesteś, wejdź i obejrzyj moją pracownię.

Pokój wychodził na tę samą stronę co jej balkon — z okien widać było ogród i dachy miasteczka.

Jednak pod innymi

względami to przestrzenne, jasne poddasze bardzo różniło się od reszty domu.

Przede wszystkim było zagracone do granic możliwości. Wszędzie leżały jakieś szpargały.

Przysunięty do niegdyś nieskazitelnej, a teraz wymazanej farbą ściany stół na kozłach był zavalony stosami pism, kapeluszami i długopisami. Leżała tam też plastikowa czaszka i stało kilka wielkich zakurzonych kryształów. Wokół stołu nie było krzeseł. Fabien najwyraźniej nie lubił siedzieć.

— Niewiarygodny bałagan — mruknęła Kate. Fabien wzruszył ramionami.

— Wszyscy artyści to bałaganiarze — odparł. — Może powinienem się wstydzić, ale taki już jestem.

— Podniósł plastikową czaszkę i zaczął przerzucać ją z ręki do ręki. — Ach, biedny Horacy.

— Jorik — poprawiła go odruchowo Kate.

Cóż, nie mogła oczekiwać, żeby Francuz, nawet tak wykształcony jak Fabien, dobrze znał Szekspira. Spojrzał na nią zaskoczony.

— Tak, wiem, ale ja nazwałem ją Horacym.

Pod stołem leżał kłęb szmat. Pewnie wyciera w nie pędzle, pomyślała Kate, ale po chwili zauważyła, że leży tam także czerwona koszula, którą miał na sobie, kiedy pierwszy raz się spotkali.

— To chyba nie jest twoja szafa, co? Uśmiechnął się szeroko.

— Trzymam tu część ubrań. Jestem bałaganiarzem, sama widzisz.

W kącie stała patykowata postać z papier mâché, przedstawiająca kobietę trzymającą w jednej ręce jabłko, a w drugiej coś, co przypominało termofor. Na podłodze poniewierały się rowerowe kierownice i rolki płótna, wśród których leżała zniszczona drewniana rzeźba jakiegoś świętego. Pod ścianą stało niskie łóżko przykryte pogniecioną, niegdyś białą pościelą.

— Tak — mruknął Fabien, podążając za jej spojrzeniem. — Chyba trzeba uprać tę pościel. Moje włosy też przydałoby się umyć.

Kate zauważyła, że są upstrzone fioletową farbą. Pomyślała o Darrenie — zastanawiała się, jak mu idzie podbijanie świata. Na pewno śpiewająco. Najwyraźniej Fabien nie używał palety, mieszał farby na wszystkim, co mu wpadło w ręce — na talerzach, plastikowych torebkach, kawałkach starych gazet. Na podłodze i szafkach stały liczne zakurzone ogarki, które sugerowały, że czasem malował nocą. Na brudnym, oblepionym farbą meblu, który kiedyś pewnie był komodą, stał las pędzli w słoikach. Kate zauważyła rząd płócien opartych byle jak o ścianę i podeszła bliżej. Jedno z nich, jeszcze nie skończone, przedstawiało piejącego koguta. Śmiałymi plamami barw i oszczędną linią Fabien uchwycił samą esencję próżnego ptaka. Nie widać było słonecznych promieni ani podwórza, a jednak wyczuwało się kolorowy chaos pełnej życia zagrody.

— Chcesz zobaczyć, nad czym teraz pracuję?

Wziął ją za rękę — tak po prostu, bez ceremonii — i podprowadził do sztalug, przy których stał, gdy weszła do pracowni.

— Poznajesz ich?

Ujrzała ledwo zaczęty portret jakiejś pary. Widać było, że są zamożni, ale było też w nich coś śliskiego i tajemniczego. Po chwili rozpoznała zmrużone, oceniające oczy mężczyzny i różowy drink dziewczyny. Była to bośniacka gwiazdka pop i jej starszy kochanek.

— Doskonale ich uchwyciłeś — powiedziała z westchnieniem podziwu. — Jakie to wspaniałe umieć malować.

— Pisanie musi bardzo przypominać malowanie — stwierdził Fabien. — W obu wypadkach chodzi o równowagę i rytm. Kiedy opowiadasz jakąś historię, musisz ją skonstruować tak, jak konstruuje się obraz. Tak samo chodzi o uchwycenie kontrastu światła i cienia. Tyle że ty zamiast barwami posługujesz się słowami i pojęciami, dobrem i złem, humorem i smutkiem.

Oczy Kate zrobiły się okrągłe. Nigdy nie myślała o pisaniu w taki sposób.

— W obu przypadkach, żeby zrobić coś dobrze, musisz włożyć w to całe swoje doświadczenie. Musisz tym naprawdę żyć i umieć obserwować.

Kate zastanawiała się, czy kiedykolwiek żyła naprawdę albo naprawdę coś obserwowała. Miała wrażenie, jakby dopiero teraz zaczęła to robić.

— Napijesz się czegoś?

Wyciągnął butelkę wina ze starej poobijanej lodówki, która również stała pod stołem. Nalał trochę do dwóch różnych kieliszków.

— Nie mam niestety kompletu — mruknął, podając jej jeden z nich.

— Dziękuję.

Różowe wino okazało się chłodne i bardzo smaczne.

— Lepsze niż u Billy'ego, *non?* Billy'ego?

— Tam, gdzie jadałaś lunchy w Anglii. — Fabien pokiwał głową. — Opowiedziałaś mi o tym przedwczoraj w Hotel du Roc.

— Opowiedziałam ci o kafejce u Billy'ego? — zdziwiła się Kate.

— O *café* w Ockmucklethwaites. — Fabien wyszczerzył zęby.

— Slackmucklethwaite.

— Pamiętam wszystko. — Obliznął usta. — Gazetę, pizzerię. Doreen Bracegirdell i Instytut Kobiet. Gladees Arkwright w *Romeo et Juliette*.

— Opowiedziałam ci o tym?

Najwyraźniej bardziej się wtedy upiła, niż myślała. Jakie to żenujące. Bogu dzięki, że nie mówiła o niczym takim hrabinie.

— Tak. To było fascynujące. Odile też tak uważała, kiedy jej wszystko powtórzyłem.

— Powiedziałeś jej? O Gladys Arkwright i Doreen Braccgirdle?

Wyobraziła sobie zniekształconą twarz hrabiny krzywiącą się z niesmakiem.

— *Mais oui*. Dlaczego nie? Uznała, że musisz być bardzo interesującą osobą. Jest anglofilem, na pewno ci o tym powiedziała. Doskonale mówi po angielsku.

— Tak? Zawsze zwracałam się do niej po francusku. Fabien pokiwał głową.

— Często rozmawiamy ze sobą po angielsku, żeby poćwiczyć. Ja też uwielbiam Anglię. Jak powiedziałem ci w Hotel du Roc, chciałbym namalować twoje miasteczko. Eckmuckleth-waite.

— Slackmucklethwaite.

Z pewnością żartował. W końcu co mógłby tam namalować? Serowo-ziemniaczaną martwą naturę Billy'ego? Nagą Gladys Arkwright jedzącą lunch?

— Mógłbym namalować twoją babcię. Jak robi na drutach. Lubi to robić, prawda?

Kate popatrzyła na niego ze zdumieniem. Naprawdę miał pamięć jak słoń.

— Albo twoją matkę, gdy gotuje. Albo ojca siedzącego przed telewizorem. Albo tę kobietę z... jak to nazwałaś? *Z le cocktail des fruits!* *La tante Jeanne?*

— Ciotkę Joan.

Rzeczywiście opowiedziała mu tę rodzinną legendę? Pewnego razu lekarz kazał siostrze taty przejść na dietę. Kiedy przyjechała do nich za jakiś czas, narzekała, że chociaż surowo przestrzegала jego zaleceń i jadła owoce zamiast puddingów, nie straciła nawet funta. Okazało się potem, że podjadała puszkowany koktajl owocowy z kremem.

— I tego wujka od rolek papieru. Prawdziwy angielski ekscentryk.

Kate uśmiechnęła się. I to też? Wuj Graham miał zwyczaj zmieniać wieczorem rolkę luksusowego kolorowego papieru toaletowego na zwykły biały z supermarketu, ponieważ uważał, że wieszanie eleganckiego papieru w godzinach, gdy nikt obcy nie może tego docenić, nie ma sensu.

— Albo mógłbym namalować Slack Palisades. — Fabien zachichotał. — Champagne B. Oską. Nata Hardstone'a. Ale



może — dodał, zerkając na nagle spochmurniałą twarz Kate — to nie jest dobry pomysł.

— Nie — przyznała.

Jedyne połączenie Nata ze sztuką, jakiego mogłaby pragnąć, to albo utopić go w terpentynie, albo zatłuc na śmierć sztalugami. Wypiła sporo różowego wina, ale na wzmiankę o Nacie natychmiast wytrzeźwiała. Jeszcze bardziej trzeźwiąca była myśl, że skoro Fabien zapamiętał każdy szczegół z tego, co mu powiedziała w hotelu, pewnie pamięta też wszystko, co wygadywała na przyjęciu.

Przez cały czas, gdy rozmawiali, dłoń Fabiena tańczyła nad małym szkicownikiem. Kate domyśliła się, że malarz ją rysuje. Spięła się, próbując wciągnąć policzki i pokazać swój lepszy profil.

Fabien przerwał szkicowanie.

— Teraz pozujesz. Twoja twarz nie jest wtedy ciekawa. Rozluźnij się — powiedział. — I mów dalej.

— Ehm... — Kate gorączkowo szukała tematu, który nie zahaczałby o wuja Grahama albo ciotkę Joan. Albo o Nata Hardstone'a. — Lepiej opowiedz mi o hrabinie — poprosiła.

— Odile. — Ołówek Fabiena z cichym szmerem przesuwiał się po papierze. — To bardzo interesująca kobieta. Miała fascynujące życie.

— Naprawdę? — mruknęła Kate.

Była pewna, że zaraz usłyszy opowieść o pozowaniu malarzom. Bez wątpienia hrabina sprzedała Fabienowi tę samą bajkę.

— Tak, to bardzo interesująca kobieta — powtórzył Fabien. — Sama kiedyś była malarką. A także modelką. Była bardzo piękna. Każdy ją chciał malować.

— Słuchaj... te jej opowieści o pozowaniu. To musi być nieprawda. Ma przecież całkiem zniekształconą twarz.

Fabien szkicował w milczeniu.

— Pokazała mi zdjęcie. — Kate czuła się niezręcznie i było jej głupio, ale chciała wyjaśnić tę sprawę do końca. — Przedstawiało bardzo piękną dziewczynę stojącą na plaży. Powiedziała mi, że to ona, ale zupełnie jej nie przypomina.

— To była ona.

— Nie wierzę — odparła stanowczo Kate. — Dziewczyna na fotografii była olśniewająco piękna. A hrabina, cóż... jest...

— Miała wylew.

— Co takiego?

— Wylew. Parę lat temu. Wyzdrowiała, ale jej twarz została całkowicie zniszczona.

Kate przycisnęła dłonie do płonących policzków.

— O Boże. Żartujesz sobie.

— Niestety nie.

Nie śmiała na niego spojrzeć. Było jej okropnie wstyd. Wiedziała o wylewach tylko tyle, że spadają jak grom z jasnego nieba, niszczą ludziom życie, odbierają im zdrowie i robią z nich warzywa. Teraz się dowiedziała, że potrafią także zamienić wyczałowane przez słońce ślicznotki w jednookie wiedźmy.

— Ale jak? — szepnęła. — I dlaczego? Dlaczego to się stało?

Fabien wzruszył ramionami.

— Nikt tak naprawdę nie wie. Ale jestem pewny... i wiem, że ona też... że miało to coś wspólnego z jej paleniem. Jednak nie chce rzucić papierosów. Mówi, że to jej jedyna przyjemność i że błyskawica nigdy nie uderza dwa razy w to samo drzewo. Chciałbym wierzyć, że ma rację.

Kate przez cały czas nie podnosiła wzroku. To było zbyt okropne.

— Twierdzi, że palenie to jedyna jej przyjemność, ale ma także inne — dodał Fabien. — Lubi być malowana i nadal jest wspaniałą modelką. To jeden z moich ulubionych obrazów... patrz.

Podszedł do płócien i wyciągnął jedno z nich. Hrabina, bez makijażu i z włosami szczesnymi do tyłu, odsłaniała zniekształconą twarz, jakby rzucała wyzwanie całemu światu. Pędzel Fabiena podkreślił jej kości policzkowe i zarysował elegancką linię szczęk. Patrząc na ten portret, Kate wreszcie dostrzegła cień dawnej urody, zobaczyła kobietę, która kiedyś była naprawdę piękna. Poczowała gulę rosnącą w gardle.

— Cały czas ją maluję. Mam tego mnóstwo — powiedział Fabien i zaczął pokazywać Kate obrazy przedstawiające hrabinę.

Odile w żółtej sukience na błękitnym tle. Odile w czerwonej koszuli, stojąca pod ścianą wyklejoną tapetą w różyczki. Odile naga, o szarej skórze i piersiach jak pomarszczone mandarynki na wystających żebrach.

Kate poczuła, że wszystko zaczyna jej się wreszcie układać w głowie.

— Ten wielki akt na dole w salonie — powiedziała powoli — też jest twój.

— Tak, tamten jest mój. — Fabien pokiwał głową. — Ale nie namalowałem żadnego z pozostałych portretów Odile. Te w holu...

Kate spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— W holu? To wszystko jej portrety?

— Oczywiście. A myślałaś, że kogo?

Pewnie uznał ją nie tylko za okrutną, ale także za głupią. Próbując ukryć płonąca twarz, podeszła do okien. Jedno z nich było otwarte. Wychyliła się przez nie, wystawiając twarz na chłodną bryzę.

Oplotło ją dwoje opalonych rąk i złapało mocno. Wykręciła się z oburzeniem. Nie słyszała, kiedy Fabien podchodził. — *Attention* — powiedział. — Nie chciałbym, żebyś wypadła. — Pachniał terpentyną. — Mam dla ciebie coś jeszcze. — Co? — burknęła, próbując się wyprostować.

Ręce Fabiena przesunęły się po jej ramionach i plecach, lekko musnęły piersi. Spojrzał jej w oczy i przeszedł na drugi koniec pokoju, gdzie stały kolejne płótna.

— To — odparł, wyciągając jeden z obrazów.

Kate spojrzała na portret kobiety o jasnych włosach i szeroko rozstawionych oczach. Błada cera, drobne, ale pełne usta. Tak znajome jak jej własne odbicie.

— To ty — oświadczył Fabien. — Widzisz to, prawda?

Kate pokiwała głową, zbyt poruszona, żeby cokolwiek powiedzieć. Namalował ją. I zrobił to wspaniale. Najwyraźniej uznał jej twarz za ładną. Wyglądała niemal pięknie. Ale...

— Jak to zrobiłeś? — zapytała zdziwiona.

Spotkali się raptem kilka dni temu. Nie pozowała mu. Namalował ją z pamięci?

— To dziwna sprawa... — Fabien podszedł do niej. — Uderzyło mnie to, gdy zobaczyłem cię na przyjęciu. Namalowałem ten obraz wieki temu.

— Wieki temu? Ale przecież dopiero co mnie poznałeś.

— Wiem — mruknął, przysuwając usta do jej warg. — To było coś w rodzaju wizji. Zawsze prześladowało mnie kilka twarzy. Ta była jedną z nich.

Kate spóźniła się na swoją zmianę w restauracji.

— Przepraszam — powiedziała, patrząc ze skruchą na Celię.

— Nic się nie stało. Nie mamy natłoku gości, kochanie. Jak zwykle w restauracji nie było ani jednego klienta.

Za to naprzeciwko, w Cafe de la Place, kłębił się tłum ludzi. Jej właściciel patrolował granice swego imperium i wypatrywał szukających resztek zwierząt oraz grajków z gitarami.

— A właściwie gdzie byłaś? W nowej rezydencji?

— Aha, przeprowadzałam się. Straciłam rachubę czasu.

— Jasne. — Celia wyszczerzyła zęby. — I nawet mogę zgadnąć, czym jeszcze się zajmowałaś.

— Co masz na myśli? — zapytała wyzywająco Kate.

— Pewnie twój przyjaciel artysta pomagał ci się zadomowić — drażniła się z nią Celia.

Kate zaczerwieniła się. Kiedy Fabien ją pocałował, oznajmił, że następnego dnia zabierze ją na lunch w jakieś bardzo specjalne miejsce. Jednak nie chciała kusić losu i mówić o tym Celi. Jeśli ta sprawa również ma się skończyć katastrofą, wolałaby, żeby to była jej prywatna klęska.

— Cieszę się, że dobrze sobie radzisz — dodała Celia i uważnie przyjrzała się jej twarzy. Westchnęła.

— Chciałabym, żeby mnie i Kenowi układało się równie dobrze.

— A co się stało? — zapytała Kate.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, gdy przypomniała sobie swoją rozmowę z Kenem w samochodzie. Ale czy to jej wina, że nie mogła zrozumieć, co Celia widzi w tym typku?

— Biedaczek jest trochę przygnębiony.

— Ojej — mruknęła współczująco Kate, ale w duchu miała nadzieję, że może to przygnębienie go stąd wypłoszy. — Dlaczego?

Celia pokręciła głową.

— Te jego poszukiwania. Niewiele o tym mówi...

— Co ty powiesz! — prychnęła Kate.

— ...ale nie idą mu najlepiej. Chyba do niczego nie dojdzie.

— I nadal nie powiedział ci, czego tak uparcie szuka? O ile w ogóle czegoś szuka.

Przyjaciółka rzuciła jej gniewne spojrzenie.

— Cóż, w końcu mi powiedział. Jest coś... a właściwie ktoś. Ale obiecałam nic nie mówić. Boi się, że ściany mają uszy. — A ty mu uwierzyłaś? — Tak.

— Och. — Kate popatrzyła na nią z niedowierzaniem. — I ten ktoś jest właśnie tutaj? Kto to taki?

— Nie mogę ci tego powiedzieć. — Daj spokój! Powiedz! — Nie mogę. Obiecałam.

— Ale...

Celia odłożyła widelec i wyprostowała się.

— Posłuchaj, Kate, wolałabym, żebyś mnie o to nie pytała. Zresztą i tak nie uwierzyłabyś w ani jedno moje słowo.

Zapadło milczenie. Kate nie przepadała za Kenem, ale naprawdę szczerze lubiła Celię.

— Stoły wyglądają wspaniale — zauważyła pojednawczo. Oprócz sztućców i serwetek znalazły się na nich także małe szklane buteleczki z bukietami łąkowych kwiatów.

— Im to powiedz. — Celia skinęła głową w stronę baru.

Gdy Kate spojrzała w tamtym kierunku, zobaczyła Pappy'ego, Makrełę i Trolla skulonych w kącie wokół jednego ze stołów. Troll gestykulował z furją i walił pięścią w drewniany

blat, Pappy z naciągniętą na brwi wełnianą czapką mruczał coś do siebie, a Makrela gapiała się tragicznym wzrokiem w przestrzeń.

— Co im się stało? Celia wyszczerzyła zęby.

— Przeżyli właśnie największy szok w całym swoim życiu.

— Czemu? Zdenerwowały ich te kwiaty?

Wydawało się to mało prawdopodobne, nawet w Hôtel des Tours.

— To coś o wiele bardziej dramatycznego. — Celia z dumą spojrzała na przyjaciółkę. —

Zdenerwowali się, bo napisałam menu.

Dopiero teraz Kate zauważyła nieduże białe karty na stolikach.

— Mój Boże! Zrobiłaś to!

— Cóż, bardzo tego potrzebowaliśmy. Teraz, gdy stoły wreszcie wyglądają jak należy, była to jedyna rzecz, której nam brakowało. Ludzie muszą wiedzieć, jakiego rodzaju jedzenie podajemy i ile kosztuje. Jestem pewna, że tylko to oddzielało nas od sukcesu.

Kate zerknęła powątpiewająco na ponurą sylwetkę Trolla. Jedyna rzecz?

— Ale w końcu mamy menu. Teraz możemy już wycisnąć świat jak cytrynkę.

Kate wzięła jedną z kart, na której Celia po francusku i angielsku wypisała proponowane tego wieczoru dania. *Soupe au pistou, raviolis faits à la main, aubergines gratinées, fleur de courgette farcie.*

— Brzmi fantastycznie. Jak się tego dowiedziałaś? Szef kuchni nigdy nie mówił, co gotuje.

— Aż do dziś.

Przez kilka następnych minut Kate słuchała z otwartymi ustami opowieści Celi o tym, jak to pojawiła się w salonie Makreli i zasugerowała jej — „oczywiście tak uprzejmie, jak tylko się dało, kochana” — że wypróbowana metoda Trolla — warkliwe przedstawianie klientom niezrozumiałej i niezgodnej

ze stanem faktycznym listy potraw — nie jest najlepszym rozwiązaniem.

— Chyba jej tego nie powiedziałaś!

— Musiałam zrobić to bardzo dyplomatycznie. Powiedziałam, że nawet najbardziej utalentowani właściciele najlepiej prosperujących hoteli na świecie potrzebują spojrzenia kogoś z zewnątrz, żeby zobaczyć, gdzie można byłoby coś poprawić.

Kate zachichotała.

— A zważywszy na to, że pod każdym innym względem restauracja jest idealna, zapewne nie zaszkodziłoby, gdyby miała menu. Chociaż wydaje się to takie nudne, oklepane i typowe, wykaz potraw i ich cen mógłby się przydać klientom, którzy z reguły są pozbawieni wyobraźni, a najbardziej nudne i przyziemne jest w nich to, że się takiego wykazu spodziewają. Mówię ci, spędziłam kilka godzin nad słownikiem, żeby opracować tę perorę.

— I co na to Makrela?

— Chyba nie zrobiło to na niej specjalnego wrażenia. Pomarszczone powieki na rybich oczach Makreli podczas całej przemowy Celi były zamknięte, jakby właścicielka hotelu nie przyjmowała do wiadomości żadnych argumentów.

— Interesy na pewno się poprawią — dodała na koniec Celia, mając nadzieję, że może to poruszy starą kobietę, która taką miłością darzyła swoją księgę rachunkową.

Makrela uniosła powieki, odsłaniając twarde ciemne spojrzenie.

— Ale jak to zrobić? — zapytała. — Nie możemy wypisać potraw, bo sami nie wiemy, co będzie. Szef kuchni — wykrzywiła szerokie pomarszczone usta — nigdy nam nie mówi, co gotuje. Albo mówi co innego. Musimy siedzieć i czekać, jak cała reszta.

— Śmiechu warte — mruknęła Kate, kiedy Celia jej to opowiedziała. Pomyślała, że nawet kucharze z „Włoskiej roboty” potrafili się jakoś porozumieć z kelnerami. Nawet jeśli większa część tego przekazu sprowadzała się do wyzwisk.

Celia doszła do wniosku, że musi stawić czoło wielkiemu i przerażającemu szefowi kuchni.

— No i jak tam było? — zapytała z ciekawością Kate. — Poczerniałe sagany, brud i bałagan?

— Nic z tych rzeczy.

W kuchni było zaskakująco czysto i porządknie. Akry białych kafelków, stalowe płyty kuchenne i wielkie deski do krojenia. Samego szefa nie od razu zobaczyła. W końcu znalazła go drzemiącego za stołem skrzynek z warzywami, z nogami opartymi na wielkim kotle z oliwą. Nie przyjął życzliwie ani jej samej, ani propozycji, z jaką wystąpiła.

— Menu?! — wrzasnął, a jego różowa twarz stała się purpurowa. — Co masz na myśli?! Po co nam menu? Nigdy go nie potrzebowaliśmy!

Celia odchrząknęła i powiedziała, że właśnie dlatego interesy tak źle wyglądają. Turyści potrzebują menu.

— Turyści! — Szef kuchni splunął pogardliwie. — Co oni wiedzą o jedzeniu? Nic! Jadają w tym szambie po drugiej stronie placu. Nie pozwoliłbym tam jeść nawet mojemu psu!

— Nie wyjaśniłam mu — mówiła Celia do Kate — że biorąc pod uwagę miłość, jaką właściciel tej kafejki darzy zwierzęta, ten pies nie miałby szansy ujść z życiem.

— Więc co mu powiedziałaś?

— Że człowiek z jego talentem gastronomicznym ma obowiązek oświecić biednych, ciemnych głupców, którzy nic nie wiedzą o prawdziwym jedzeniu.

Szef kuchni sprawiał wrażenie mile połechtanego, dopóki nie powrócił temat menu. Znowu wściekle wytrzeszczył niebieskie oczy.

— Nie pracuję z wykazem potraw! — ryknął. — Jestem artystą!

— Oczywiście — powiedziała cierpliwie Celia. — Ale ze względu na te wszystkie powody, które wymieniłam, muszę wiedzieć, jakie dania dziś wieczorem przygotujesz. Dzięki temu więcej ludzi będzie mogło się rozkoszować twoim wspaniałym jedzeniem.

Szef kuchni wzruszył ramionami.



— Nie obchodzi mnie, ilu ludzi będzie rozkoszować się moim jedzeniem. Nie obchodzi mnie nawet, czyje będą jedli. Samo jedzenie to nic. — Pogardliwie machnął ręką i powtórzył: — Nic!

Słuchając tej opowieści, Kate coraz szerzej otwierała oczy ze zdumienia.

— Jego wygląd raczej nie świadczy o tym, że uważa jedzenie za mało ważne. Jest taki gruby...

— Jego zdaniem jedzenie się nie liczy. Ważne jest tylko gotowanie.

Kate pokręciła głową.

— Nic dziwnego, że interes tak źle idzie.

Celia przyznała, że po tej odpowiedzi szefa kuchni ogarnęła ją rozpacz. Jasne było, że w ten sposób do niczego nie dojdzie. I wtedy właśnie, kiedy już miała się poddać, podsunęły jej pewien pomysł warzywa.

— Przygotowujesz *zupę pistoul* — zapytała, widząc na stole wielką zieloną cukinię z pomarańczowymi kwiatami.

— Nadziewane kwiaty cukinii — burknął z urazą szef kuchni.

— Jagnięcinę?

Czy w tych białych styropianowych pudłach znajdowało się mięso?

— *Bourride* — sapnął kucharz.

— Do tego dodaje się zielony groszek, prawda?

— Do *bourride*? To zupa z ryby, wina, ziół...

Tą metodą Celia wyciągnęła z niego wszystkie dania, które zaplanował na wieczór.

— Genialnie! — zawołała Kate, pełna uznania dla przyjaciółki.

— Ale potem oczywiście musiałam jeszcze wyciągnąć od Makreli ceny — dodała Celia.

Opisała tę scenę. Kiedy przedstawiła właścicielce hotelu zdobyte z takim trudem menu, Makreła rozdziawiła usta ze zdumienia, wyrwała notatnik z rąk Celi i zaczęła czytać.

— To właśnie gotuje? Nigdy wcześniej nie widziałam listy przygotowywanych przez niego potraw — mruknęła, a potem bez szemrania wypisała ceny przy każdym daniu.

— Więc... Ta-dam, oto nasze menu! — oświadczyła z triumfem Celia, ale mina jej zrzędała, gdy spojrzała na pełną ludzi kafejkę naprzeciwko. — A mimo to nadal nikogo tu nie ma — stwierdziła ponuro.

Kate musiała przyznać, że było to okropnie frustrujące. Restauracja nie mogła już wyglądać bardziej zachęcająco. Ze starych, nagranych słońcem kamieni wiekowych arkad zwieszał się gęsty bluszcz. W malowniczych podcieniach jaśniały stoły, nakryte kolorowymi obrusami w kratę.

Plac też wyglądał idyllicznie, otaczające go stare kamieniczki promieniowały urokiem. Wieczne powietrze miało balsamiczny zapach, było przyjemnie ciężkie i rozedrgane srebrzystym dźwiękiem dzwonów, które dopiero co wybrzmiały. Wiekowe dachy stojących wokół placu budynków ozłociło pomarańczowe światło zachodzącego słońca, odbijające się od najwyższych okien i zamieniające dzwony w roztopioną miedź.

Wszystko poza restauracją było pełne życia i radości. Obok arkad zatrzymał się jakiś mężczyzna z psem na smyczy, żeby pogawędzić ze znajomym. Klaksony trąbiły, dzieci krzyczały, mężczyźni śmiali się, kobiety pokrzykiwały. Z okien ponad placem pobrzękiwały patelnie i ryczały telewizory. Z każdej strony dolatywały smakowite zapachy, walcząc o dominację. A najsilniejszy i najbardziej apetyczny wypływał właśnie z ich restauracji.

— To miejsce wygląda jak powinno i pachnie jak należy — rzuciła cicho Celia pod adresem przechodniów. — Mamy nawet cholerne menu. Dlaczego nie ustawiacie się w kolejkach? Co robimy nie tak? — Uśmiechnęła się zachęcająco do grupy japońskich turystów, którzy zatrzymali się, by obejrzeć wiekowe arkady. Kiedy podeszli bliżej, podekscytowana Kate zacisnęła pięści. Ale zaraz potem rozproszyli się jak ławica ryb przestraszona groźnym cieniem.

Albo widokiem Trolla. Kiedy przewodnik Japończyków wyciągał rękę po menu, z baru wyszedł Troll i obrzucił ich wrogim spojrzeniem. Nic dziwnego, że uciekli.

— To właśnie robimy nie tak —jęknęła Celia. — Na pewno przyciągnęlibyśmy klientów, gdyby...  
och, sama nie wiem.

— Jest zupełnie tak, jakby ktoś chodził po placu z dzwonkiem i wołał „Wynieście zmarłych” —  
mruknęła ponuro Kate.

— Narażałam własne życie, idąc do tego cholernego kucharza, żeby zdobyć menu — poskarżyła się  
jej przyjaciółka. — Że już nie wspomnę o rozmowie z Makrelą.

— Spisałaś się fantastycznie — zapewniła ją Kate.

— Co z tego, skoro to wszystko na nic — odparła Celia. Łzy rozczarowania napłynęły jej do oczu.

— Dopóki to indywiduum będzie się kręcić w pobliżu — rzuciła wściekłe spojrzenie w kierunku  
zaplecza, na którym zniknął Troll — nasza praca jest całkowitą stratą czasu.

— Niekoniecznie — uspokajała ją Kate. — Gdybyśmy mieli wielu klientów, pewnie nikt by go nie  
zauważył. To te puste stoły odstraszą ludzi.

Ale oczywiście Celia miała rację. Nawet najbardziej łaskawa ocena umiejętności współpracy Trolla z  
klientami nie mogła wypaść dobrze. W dodatku jako syn właściciela był nie do ruszenia i nie można  
mu się było sprzeciwić. Trzymanie go z dala od restauracji nie wchodziło w grę. Objęła pocieszająco  
przyjaciółkę, lecz Celia nie dała się tak łatwo uspokoić.

— Pappy wkrótce nas wyleje, a wtedy będę musiała wrócić do Londynu... — narzekała.

I w tej właśnie chwili na placu pojawiła się Nicole w obcisłej szmizjerce, która podkreślała każdą  
krągłość jej figury. Rzuciła rozbawione spojrzenie Kate i jęczącej Celi. Najwyraźniej przyszła  
napawać się upadkiem lokalu, w którym niegdyś pracowała.

— To znowu ona — syknęła Celia. — Nie ma nic lepszego do roboty?

— Cóż, to małe miasteczko i pewnie akurat nie dają nic ciekawego w telewizji.

Na widok dziewczyny z baru wyskoczył Troll. Nicole zawołała z szyderczym uśmiechem na opalonej twarzy:

— Pracowity wieczór, co, Bernard?

W odpowiedzi spojrział tylko na nią z bezmyślną tęsknotą. Śmiejąc się, Nicole odeszła.

Tymczasem Celia odzyskała nieco rezon.

— Och, weź się w garść — powiedziała do siebie.

Kate zastanawiała się ponuro, czy mają co brać w garść. Jej północny duch zdecydowanie odrzucił myśl o poddaniu się, ale północny zdrowy rozsądek mówił, że poganianie batem martwego konia to próżny wysiłek. Być może zbyt optymistycznie oceniły swoje możliwości. Sądząc po brzęku za plecami, Troll zbierał kieliszki ze stołów. Najwyraźniej już odpuścił sobie ten wieczór.

— Coś nie tak, moje panie?

Zobaczyły łasicowatego właściciela Cafe de la Place. Z przechyloną na bok w parodii współczucia głową i cieniutkimi brwiami uniesionymi z zaciekawieniem szczyrzył do nich zęby.

Nie był to miły uśmiech.

— Och, odchrzań się — warknęła Celia i weszła do baru.

— Wszystko w porządku — odparła dumnie Kate. — Dziękujemy.

— Skoro tak mówisz...

Uśmiechając się krzywo, wrócił do swojej tętniącej życiem kafejki. Kate obserwowała go z płonącymi oczami. To by było na tyle w kwestii odpuszczenia sobie. Poddać się i dać mu taką satysfakcję?

## Rozdział 22

Ponieważ patrzyła na oddalające się plecy właściciela kafejki, nie zauważyła podchodzącej do niej niechlujnej postaci.

— Rety — odezwał się ktoś bełkotliwym głosem — To ty, Kate?

Zamrugła i spojrzała. Stał przed nią naczelny „Gazety Riwiery”. Znowu występował jako przewodnik i towarzyszyło mu dwadzieścia osób w żółtych czapkach z daszkami. Lekko się zataczał.

— Crichton!

Najwyraźniej był w stanie wskazującym. Miał pogniecione spodnie, a jego biała lniana marynarka była poplamiona czerwonym winem. Uśmiechnął się niepewnie, podszedł jeszcze bliżej i szepnął Kate głośno do ucha:

— Poradziłaś sobie z Mandi St Pierre'em, prawda?

Kate przypomniała sobie, że postanowiła zbagatelizować to popołudnie.

— W porządku, dzięki.

Crichton wyglądał na rozczarowanego.

— Nic podejrzanego?

— Nic — skłamała Kate.

Oprócz przebranego dekoratora wewnątrz, który wypchnął mnie

z furgonetki, pomyślała. Nie zamierzała jednak mówić o tym Crichtonowi.

— Nic, nawet...

— Nie, serio. Naprawdę wszystko było w porządku.

— Och — mruknął zawiedziony Crichton.

Wyszedł spod arkad, odchrząknął i rozejrzał się wokół z pewnym zaskoczeniem.

— Muszę przyznać, że to wszystko wygląda bardzo elegancko. Nowe kierownictwo czy jak? — zapytał. — Och, chyba nie całkiem — dodał, widząc wytaczającego się z baru Trolła.

— Trochę tu poprawiliśmy — powiedziała pospiesznie Kate, wyczuwając szansę.

Miała nadzieję, że Crichton przyprowdzi do restauracji swoją grupę. Szybko przeliczyła głowy.

Przynajmniej dwadzieścia osób. Zajęliby wszystkie stoliki na zewnątrz. To byłby start, na jaki obie z Celią czekały.

— Mamy menu, sam zobacz. — Złapała jedną z kart Celi z pobliskiego stolika i wcisnęła Crichtonowi do ręki.

Turyści w żółtych czapkach stłoczyli się wokół niego.

— Mają tu domowej roboty ravioli — poinformowała swoich towarzyszy kobieta o akcencie ze środkowej Anglii. — Bardzo lubię te pierożki.

Stojąca obok niej przyjaciółka skinęła głową. Obie spojrzały znacząco na Crichtona.

— Są naprawdę dobre — powiedziała Kate.

Czuła, że za jej plecami zatrzymał się Troll i słucha. I bez wątpienia jak zwykle ma przyjazną, życzliwą minę.

— Jestem pewien — mruknął nieszczercze Crichton i klasnął w ręce. — No dobra, lepiej już się zbieramy. Rozległ się pełen niezadowolenia pomruk.

— Dokąd? — zapytała z rozpaczą Kate.

Czyżby właśnie wymykała jej się z rąk wielka szansa dla restauracji?

— Och, no wiesz... Przespacerujemy się po okolicy, a potem pójdziemy na kolację.

— A gdzie jecie?

— Ehm... — Crichton przestąpił z nogi na nogę. — Skoro już o to pytasz... w Cafe de la Place.

Na dźwięk tej nazwy napięte mięśnie brzucha Kate zwiotczały, ale natychmiast wzięła się w garść. To była prawdziwa okazja, nie podda się bez walki.

— Dlaczego właśnie tam? — zapytała. W końcu jaki sens ma owijanie w bawełnę. Była to kwestia życia i śmierci dla restauracji. — Tam jest okropnie.

Na chwilę zapadła cisza.

— Oczywiście, że jest — zgodził się z nią Crichton. — Zawsze tak było. Usługi są beznadziejne, ceny oburzające, a jedzenie takie, że świniom byś go nie podała.

W grupie wycieczkowiczów zapanowała konsternacja. „Jest okropna... beznadziejna... świnie” — powtarzali.

— Więc czemu tam idziecie? — naciskała Kate, zachęcona tą reakcją.

— No właśnie — mruknęła kobieta od pierożków. — Dlaczego tam?

Crichton spojrzał na nią. W każdej grupie zawsze trafia się jakiś buntownik, stwierdziła Kate, widząc, że Crichton się zastanawia. I Bogu za to dzięki, dodała w myślach.

— Bo nie mamy wyboru — odparł w końcu. — Przynajmniej w Sainte Jeanne.

Kate rozłożyła ręce, obejmując tym gestem stoliki pod arkadami, wesoło błyskające świeczki i zapach smakowitego icdzenia, czekającego w okienku kuchni.

— Macie wybór — powiedziała.

— Mamy — powtórzyła kobieta od ravioli. Crichton spojrzał na nią z irytacją.

— No tak, oczywiście, teraz już mamy. — Westchnął. — Ale wcześniej nie mieliśmy i jak zwykle musiałem zarezerwować miejsca w Cafe de la Place.

— Przyjdźcie tutaj na kolację — zasugerowała Kate. Rzuciła to od niechcienia, ale tak mocno zaciskała kciuki, że do oczu napłynęły jej łzy.

W tym momencie z kuchni doleciał wspaniały aromat. Kobieta od ravioli spojrzała ostro na przewodnika.

— Ale tam na nas czekają. — Crichton zerknął niespokojnie na kafejkę. — Naprawdę, powinniśmy... Kobieta od pierogów i jej przyjaciółka zaczęły czytać menu pozostałym wycieczkowiczom.

— Mamy bardzo rozsądne ceny — powiedziała Kate. — I oczywiście damy wam specjalną zniżkę jako grupie z rezerwacją— dodała szybko, ignorując dobiegający z tyłu złowieszczy brzęk kieliszków na tacy Trolla. — Na pewno u nas wypadnie wam taniej niż w Café de la Place — oznajmiła. Zakłopotane spojrzenie Crichtona potwierdziło jej podejrzenie, że słowo „zniżka” nie istniało w słowniku konkurencyjnej firmy. Podeszła do niego.

— Ile chcą od osoby w Café de la Place? Kiedy Crichton powiedział, Kate aż gwizdnęła.

— To czyste zdzierstwo!

— Cóż, mogę tylko zaznaczyć, że niewiele mam z tego.

— A co powiesz na to? — Kate wymieniła sumę, która chociaż znacznie niższa, nadal mieściła się w granicach zapłaty, jakiej w Hôtel des Tours spodziewano się za posiłek. Zwłaszcza jeśli pomnożyć ją przez dwadzieścia. Jak Makrela na to zareaguje, można było tylko zgadywać, ale Kate postanowiła na razie nie myśleć o konsekwencjach.

W każdym razie Crichton złapał przynętę. Jego przekrwione niebieskie oczy zabłyśły. Kate już zacisnęła zwycięsko pięści, gdy nagle zobaczyła, że światełko gaśnie.

— Tylko że...

Na twarzy Crichtona pojawiło się zakłopotanie. Pociągnął się za wąsy i popatrzył na kafejkę.

— Co? — Kate starała się nie zdradzić napięcia w głosie. Nie może się teraz poddać.

Spojrzał na nią przepaszająco.

— Naprawdę chciałbym, Kate. To miejsce rzeczywiście wygląda wspaniale. Ale nie powinienem.

— Co?!



Czyżby zwycięstwo miało jej się w ostatniej chwili wymknąć? I wtedy w nagłym olśnieniu zrozumiała, na czym polega problem.

— Zadzwoń do Cafe de la Place i odwołam rezerwację — powiedziała.

Na twarzy Crichtona odmalowała się ulga.

— Na pewno? Bo widzisz... jej właściciel może zachować się naprawdę opryskliwie.

— Na pewno. I zrobię to z wielką przyjemnością — odparła Kate, uśmiechając się do siebie. —

Bernard — dodała szybko, oilwracając się do Trola — musimy wydać obiad dla dwudziestu osób.

Bądź tak miły i powiadom kuchnię.

Rozległ się huk, gdy taca pełna kieliszków wylądowała na podłodze.

Wieczór okazał się wielkim sukcesem. Początkowe obawy Kate, że nadąsana Makrela i wściekły Troll wszystko popsują, nie sprawdziły się. W grupie Crichtona panowała tak radosna atmosfera, zwłaszcza po kilku butelkach miejscowego różowego wina, że nawet najbardziej ponurzy Vallonvertowie nie byli w stanie jej przygasić — tak samo jak naparstek wody nie zgasiłby ogniska. Po obiedzie różowe wino popłynęło potokiem, a Kate z uśmiechem patrzyła jak Troll, ze ściągniętymi z niezadowolenia brwiami, człapie po kolejną kawę z koniakiem. Pappy przygotowywał je niemal z zapalem, chociaż wciąż jeszcze daleko mu było do uśmiechu.

Obecność hałaśliwej grupy przyciągnęła innych klientów. Pary, które wcześniej pośpiesznie mijały restaurację, teraz przystawały i pytały o stolik.

Gdy po dziesiątej wieczorem ku zachwytowi Celii i rozczarowaniu Kate pod arkadami pojawiła się niska, krępa sylwetka Kena, zajęte były nie tylko stoliki wcześniej ustawione przed barem i w środku, ale nawet te wyciągnięte z piwnicy. Ken gwizdnął ze zdumienia.

— Chryste Panie, niech to cholera! Co wyście tu zrobiły? Nie sądziłem, że wam się uda!

Celia miała w policzkach dołeczki od uśmiechu.

— Wspaniale, prawda?

Objęła Kena i pocałowała go namiętnie.

Kate skrzywiła się i odwróciła. Zaraz jednak zrobiło jej się głupio, gdy się zorientowała, że Ken to widział.

Zerknęła na drugą stronę placu, gdzie podparty pod boki właściciel Cafe de la Place stał przed swoim opustoszałym lokalem i z furią na twarzy patrzył na tętniącą życiem restaurację. Poczowała dreszcz triumfu.

Ale jeszcze nie wygrały całej bitwy. Szef kuchni, wściekły, że tak podstępnie wyciągnięto od niego menu i w dodatku ktoś chciał jeść jego dzieła sztuki, wciąż przysyłał nie te potrawy co trzeba.

Trudno było przekonać klientów, że zupa *pistou*, którą przed nimi postawiono, to zamówione przez nich kwiaty cukinii, tylko przygotowane w specjalny sposób. Ale nie to było najtrudniejsze.

— Zamówiliśmy jagnięcinę — poskarżyła się Celi para z Penzance, spoglądając krzywo na przyniesionego im łososa. — Już ją państwo macie — odparła, nie tracąc pewności siebie. — Po staroprowansalsku łosoś to właśnie „morska jagnięcina”.

Na szczęście wszystko było pyszne. Poza tym zanim jedzenie pojawiło się na stole, większość osób zdążyła wypić już sporo wina i nie pamiętała już, co zamówiła.

Bardziej niebezpieczna była inna taktyka szefa kuchni — głośne tłuczenie garnkami i obrzydliwe przekleństwa, które doskonale było słyhać pod arkadami. Kiedy Kate zauważyła, że kilkoro klientów z zaskoczeniem spogląda w stronę zaplecza, zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jak rozwiązać ten problem. Ale przyszło jej tylko do głowy, że może powinna stanąć przed okienkiem kuchni i zacząć wykrzykiwać „La, la, la!”.

I wtedy na placu pojawiło się dwóch gitarzystów. Kate uznała, że można ich wykorzystać, i natychmiast — nie zważając na to, co sobie pomyśli Pappy, Makrela lub Troll — popędziła do nich. Kiedy poprosiła, żeby zagrali coś przed Hotel des Tours, spojrzeli na nią niepewnie.

— Tam nigdy nie ma klientów — powiedział starszy z nich.

— Teraz są. — Kate pokazała im siedzących pod arkadami ludzi, którzy jedli, pili, śmiali się i rozmawiali z ożywieniem.

Muzycy popatrzyli na siebie, kiwnęli głowami i podeszli do zatłoczonych stolików. Przesunęli palcami po strunach gitar, grając pierwszy akord. Pogawędki i śmiechy zamarły. Po chwili powietrze pełne było oklasków i śpiewów, bo goście przyłączyli się do muzyków. Za każdym razem, gdy gitarzyści przestawali grać i puszczała wśród siedzących sfatygowany kapelusz, wdzięczny tłum wypełniał go monetami. Klaskanie, przytupywanie, okrzyki i śpiew całkowicie zagłuszyły przekleństwa szefa kuchni.

— *Madame* — odezwał się gitarzysta, który wcześniej tego dnia wniósł walizkę Kate po schodach do domu hrabiny — bardzo dziękuję. Teraz będę mógł opłacić moją operację pleców.

Popatrzyła na niego zmartwiona, ale po chwili zorientowała się, że muzyk żartuje.

Oczywiście rodzina właścicieli w żaden sposób nie okazała, że zauważyła sukces, jaki tego wieczoru odniosła restauracja. ,^ni że zawdzięczają go wysiłkom Kate i Celi. Milczeli niemal jak trapiści. Ale Kate, która powoli zaczynała być ekspertem od nastrojów Vallonvertów, wyczuła w nich coś nowego. Nie byli niezadowoleni, lecz zszokowani.

Ten, kto wiedział, gdzie patrzeć, mógł dostrzec ślady aprobaty. Twarz Makreli, gdy brała karty kredytowe od dwudziestu zadowolonych turystów Crichtona, każdego po trzech daniach i przynajmniej jednej butelce wina, promieniowała zmęczeniem, co było u niej odpowiednikiem ekstazy. Wciąż miała taki sam wyraz twarzy, gdy przy świetle pojedynczej świecy zabrała się do studiowania swojej ukochanej księgi rachunkowej.

Ale na najwyraźniej szy dowód uznania zdobył się Pappy. Kiedy razem z Celią zaniósł do baru ostatnią tacę z brudnymi kieliszkami, bez słowa podsunął im dwa kieliszki armagnacu.

Kate stuknęła się z Celią i z zadowoleniem wypła trunek, czując, jak jej gardłem spływa ogień i wybucha w żołądku.

Tymczasem siedzący przy stoliku na zewnątrz Crichton — w zaawansowanym stanie odurzenia alkoholowego — z pewnym onieśmieleniem, ale i sporym entuzjazmem przyjmował hołdy dwóch wielbicielek ravioli. Najwyraźniej patrzyły na niego — jeśli nie na cały świat — przez różowe wino. — Wspaniale! — zawołał bełkotliwie do Kate, gdy wyszła z baru. — Jedzenie jest fantastyczne. Będziemy musieli napisać o tym w dodatku specjalnym „Gazety”.

— Byłoby miło.

— Ty musisz to napisać — oznajmił Crichton, wymachując kieliszkiem. — Wpadnij do mnie jutro po południu.

Kate zawahała się. Na jutrzejsze popołudnie zaplanowała wyprawę z Fabienem. Ale jeśli uwinie się ze sprzątaniami, powinna zdążyć zajrzeć do „Gazety”.

— Wspaniale — powtórzył Crichton.

To powiedziawszy, wyładował twarzą w cytrynowej tarcie.

Kiedy po zamknięciu restauracji Kate ruszyła przez plac do domu hrabiny, dostrzegła kątem oka, że ktoś szybko idzie w jej kierunku z Café de la Place. Poczowała, że ogarnia ją strach.

— *Madame?* — Głos mężczyzny był sarkastyczny i zgrzytliwy. W żółtawym świetle ulicznej lampy małe płonące oczka właściciela kafejki niemal wwiercały się w Kate. — Zadowolona z siebie, co?

— Cóż, to był udany wieczór — odparła spokojnie.

— Dla ciebie tak. Ale nie dla mnie. Nie po tym, jak zadzwoniłaś i spokojnie stwierdziłaś, że zabierasz mi wszystkich klientów.

Kate aż podskoczyła ze zdumienia, lecz próbowała to ukryć, udając, że tylko odrzuca włosy. Jakim cudem ją rozpoznał? Przecież zmieniła głos i powiedziała, że jest asystentką Crichtona.

— Myślałaś, że ci się uda? — szydził mężczyzna. — Podawać się za asystentkę Porterhouse'a!

Asystentkę Porterhouse'a! Wszyscy wiedzą, że opuściła swojego szefa, kiedy znaleziono go w rynsztoku z wypisanymi na czole świństwami.

Kate przycisnęła dłoń do ust. Mimo że sytuacja była nieprzyjemna — a może właśnie dlatego — przypomnienie nieszczęsnej fotografii znowu ją rozśmieszyło.

— To zabawne, prawda? — Zacisnął szponiastą dłoń na ręce Kate. Jak na karła ze świszczącym oddechem miał niespodziewanie dużo siły. — Lepiej uważaj, *mademoiselle* — syknął jej prosto w twarz.

W nocy ocknęła się nagle z rozkosznego snu. Pluskała się w błękitnym ciepłym morzu z kimś wysokim i opalonym, o potarganych włosach i bardzo ciemnych oczach. Nie mogła się już doczekać tajemniczej wyprawy z Fabienem. To już dziś. Po południu.

Ale na razie dużo brakowało do nadejścia tego „dzisiaj”, jeszcze nawet nie zrobiło się jasno. Wciąż trwała nieruchoma i ciepła noc. Było parno, chociaż zostawiła otwarte okno wychodzące na balkon. Może to upał ją obudził. Leżała w ciemnościach i słuchała własnego oddechu.

A może to światło jej przeszkadzało — przez okno wpadał jсны snop księżycowego światła, tnący ciemność jak wypolerowane lśniące ostrze. Firanki poruszała delikatna bryza. Wszędzie panował pachnący, perłowy spokój. Jednak kręgosłup zeszywniał jej z napięcia i nadstawiała uszu, jakby spodziewała się coś usłyszeć. I rzeczywiście usłyszała.

Zaczęła ogarniać ją panika i spocily jej się dłonie, nim uświadomiła sobie, że źródłem rytmicznego drapiącego odgłosu są jej własne rzesy ocierające się o bawełnianą kołdrę. Ale z niej idiotka.

Pewnie to przez trawienie zrobiła się taka nerwowa. Obie z Celią zjadły bardzo późną kolację. Szef kuchni do ostatniej chwili im nie odpuścił. Kate zamówiła zupę, a dostała faszerowaną paprykę.

Trzeba jednak przyznać, że w niczym nie przypominała ona twardych, chłodnych, zielonych i żółtych kul, sprzedawanych w plastikowych torbach po trzy sztuki w Slackmucklethwaite.

Podpieczone papryki stały się miękkie i słodkie, a wypełniający je farsz sprawił, że kubeczki smakowe Kate odtańczyły tango. Faszzerowana papryka natychmiast znalazła się na pierwszym miejscu listy pięciu najsmaczniejszych rzeczy, jakie jadła w swoim życiu. Następne danie było nie mniej wspaniałe: ravioli o cudownej lekkości podane w mięsny sosie, ze smażonymi ziemniakami tak pachnącymi świeżością, że Kate pochłonęłaby nawet całe wiadro. Ale to wszystko buzowało jej teraz w żołądku, nic więc dziwnego, że wyobrażała sobie różne rzeczy, prawda?

Ułożyła się z powrotem do snu i zamknęła oczy. Sekundę później znów poczuła niepokój. Pośród dzwoniącej w uszach ciszy usłyszała cichutkie skrzypnięcie. A potem kolejne... kroki na parkiecie? Kiedy powoli uniosła się na łokciach, zmroziła ją nagła pewność, że coś jest w pokoju.

— Kto tam? — zapytała drżącym głosem, próbując przebić wzrokiem aksamitną ciemność wokół łóżka.

Światło księżyca nie sięgało zbyt daleko od okna. Cisza aż świdrowała w uszach, a mimo to Kate stanęły wszystkie włoski na rękach i była przekonana, że nie jest sama.

I wtedy nagle zobaczyła zjawę.

Najpierw wyczuła jakiś ruch z boku łóżka. Drżenie w mroku. Ale kiedy to drżenie przeszło przez promień księżyca, aż podskoczyła z przerażenia. To było jak z gotyckiego horroru. Zakapturzona postać w płaszczu.

W pierwszej chwili zaśmiała się nerwowo. Z pewnością ktoś się po prostu przebrał. To jakiś żart.

— Ha, ha — rzuciła niepewnie. — Bardzo zabawne. *Tres amusant* — dodała, na wypadek gdyby to był Francuz.

Postać nie zareagowała. Stała nieruchomo w promieniu księżycowego światła, wysoka i mroczna. Kate rozpaczliwie próbowała zebrać zaspane i przerażone myśli. To musiał być jakiś żart. Ale kto mógł sobie w ten sposób zażartować? I po co? Zacisnęła pięści i całkiem już rozbudzona, w panice zaczęła rozważać różne możliwości. Czyżby straszyla ją Nicole? Na pewno była na nią zła — ale czy aż tak bardzo? A może właściciel Cafe de la Place? Nadal bolał ją nadgarstek, za który ją złapał. Czy

jeden uwieńczony sukcesem wieczór w restauracji pod arkadami — pewnie pierwszy od dziesięcioleci — mógł sprowokować go do takich działań? Potem przypomniała jej się czerwona, wykrzywiona ze złości twarz Kena, gdy odjeżdżał. Może to on próbował ją nastraszyć? Czyżby chciał się w ten sposób pozbyć osoby, która mogła zniechęcić do niego Celię?

— Ken! — warknęła na zjawę, która ruszyła do okna. — I )aj spokój. Wiem, że to ty. Nie uważasz, że to trochę dziecinne?

Gdy to mówiła, dotarło do niej, że zakapturzona postać jest znacznie wyższa od małego londyńczyka. I szczuplejsza.

Zjawa zatrzymała się w świetle księżyca i odwróciła do niej. Kate zajrzała w mrok kaptura i z przerażeniem zobaczyła bielejącą w nim czaszkę.

Z trudem przełknęła ślinę.

— Ken?!

Ogarnęło ją lodowate, przyprawiające o mdłości przecucie, że może jednak nie jest to ludzka istota. Sparalizowana strachem patrzyła jeszcze przez chwilę na czarną postać, po czym z piskiem zanurkowała pod kołdrę. Kiedy parę minut później wyjrzała stamtąd z rozpaloną twarzą, pulsującymi skrońmi i drżącymi rękami, zjawa już zniknęła. Cieniutkie zasłony w otwar-lych przeszklonych drzwiach marszczyły się na wietrze.

Kate wyskoczyła z łóżka. Wilgotne stopy kleiły jej się do podłogi, kiedy biegła przez pokój na balkon. Nigdzie nie było śladu nikogo ani niczego. Najwyraźniej zakapturzona postać rozplynęła się w powietrzu. Dygocąc na całym ciele, Kate wróciła do pokoju, zamknęła drzwi balkonowe i przekreśliła gałkę. Stała przy nich przez chwilę, przyciskając twarz do szyby i próbując zmusić serce, by zwolniło. Jednak ono najwyraźniej miało inne plany.

Musiało istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co widziała. Wypiła tylko jeden kieliszek wina do kolacji i trochę armagnacu od Pappy'ego. Nie miewała halucynacji i nie wierzyła w upiory. Co właściwie widziała? Jakaś niespokojną duszę,

wędrującą po pustym domu hrabiny? A jeśli tak, to czego ta dusza w nim szukała?

Zwalczyła pokusę, żeby wybiec na plac i tam doczekać świtu. Nie miałyby gdzie przysiąść, chyba tylko na kamiennych schodkach pod arkadami, lecz noce na Riwierze stawały się coraz chłodniejsze. Poza tym dała hrabinie słowo, że będzie opiekować się jej domem. Musi zostać.

Oczywiście teraz nie miała już szansy na sen, postanowiła więc wykorzystać resztę nocy na zrobienie czegoś pożytecznego. Krzątania i światło mogą zniechęcić do powrotu to coś, czymkolwiek było. Włączyła lampkę przy łóżku. Nim niebo rozjaśnił perłoworóżowy świt, nie tylko skończyła pisanie wywiadu z Mandi St Pierre — tak ogólnikowego, jak tylko się dało — ale napisała też nowy rozdział swojej powieści. Jej żigolak z północy, udający artystę, uwodził w nim na tarasie Hotel du Roc kobietę, która wygrała główną nagrodę na loterii. Kiedy wreszcie odłożyła długopis, była zmęczona i zadowolona z siebie.

Za balkonem wschodzące słońce zamieniało anteny telewizyjne w świetliste miecze, kiedy zdenerwowanie Kate wreszcie zamieniło się w spokojne zmęczenie. Po niebie krążyło kilka porannych ptaków, a pomiędzy wzgórzami lśniło opalizujące morze. Najwyraźniej los pobłogosławił ten dzień — zapowiadała się piękna pogoda.

Kilka godzin później Crichton z błyskiem w przekrwionych oczach spojrzał na Kate sponad rękopisu. — Gorący tekst, ale nie jestem pewien, jak przyjmą go czytelnicy. Mężczyznom może się nie spodobać. Chociaż założę się, że ich żony będą zachwycone.

Spanikowana Kate zajrzała do swojej torby. Wystawał z niej plik ręcznie zapisanych arkuszy formatu A4 z wypisanym wielkimi literami na pierwszej stronie tytułem: MANDI ST PIERRE. Zjawiwszy się w biurze „Gazety” w stanie lekkiego zamroczenia z powodu zmęczenia i niedospania, wręczyła skacowanemu, ale poza tym żwawemu Crichtonowi nie wywiad z Jardins des Lavabo, lecz najnowszy rozdział „Żigolaka z północy”.

— Och, szkoda — zaprotestował, gdy pospiesznie zabrała mu rękopis. — Dobrze mi się to czytało. Niesamowita historyjka. Zwłaszcza ten kawałek ze smarowaniem farbą olejną całego...



— Dziękuję — przerwała mu Kate i schowała „Żigolaka” do torby, po czym podała Crichtonowi wywiad z Mandi. — Ale lo ten tekst zamierzałam ci wręczyć.

Crichton przebiegł wzrokiem po liniijkach. Kate podwinęła palce schowanych pod stołem stóp. Czy jest coś gorszego od sytuacji, gdy ktoś na twoich oczach czyta twój artykuł?

— Ujdzie — oznajmił w końcu, rzucając kartki na biurko.

— A co jest nie tak? — zapytała z lekką urazą Kate. Zrobiła z tym fatalnym tematem, co mogła.

Jeszcze trudniej

będzie, gdy do domu Mandi St Pierre zabierze się Marc de Provence.

— Co się stało? — powtórzyła. Crichton wydmuchnął dym.

— Cóż... chyba wczoraj wieczorem nieco się zawiodłem. Kate zamrugwała. A co ma do tego Hôtel des Tours?

— Myślałam, że smakowało ci nasze *gigot d'agneau*.

— Miałem na myśli to — Crichton wyjął z ust papierosa — co powiedziałaś na temat Mandi St Pierre. Że nie zauważyłaś nic podejrzanego.

— Bo nie zauważyłam — odparła niepewnie Kate. Westchnął.

— Po prostu uznałem, że to trochę dziwne. Przy tych wszystkich dowodach, które zebrałem... I których nawet nie przejrzałaś, nawiasem mówiąc. Zważywszy na to, że jesteś zawodowym reporterem i w ogóle... Ale podejrzewam, że nie chcesz pomocy albo nie uważasz, żeby było warto... — Urwał i pociągnął nosem.

Kate poczuła wyrzuty sumienia. Chociaż wolała zachować dla siebie niepokojące wydarzenia poprzedniego popołudnia,

nie mogła zignorować faktu, że Crichton oddał jej ogromną przysługę, przyprowadzając do restauracji swoich podopiecznych. Sam jeden zdołał zaznaczyć to miejsce na mapie.

— Cóż... właściwie to... — zaczęła.

Słońce wisiało już wysoko na niebie. Niewiele ryzykowała, opowiadając Crichtonowi o duchu w sypialni. Teraz była już niemal przekonana, że tylko go sobie wymyśliła. Z pewnością były to jedynie gorączkowe fantazje jej przemęczonego umysłu. Ostatnio bardzo dużo się wokół niej działo — dość, żeby dostać lekkiego kręćka. W ciągu ostatnich dni zobaczyła więcej niż przez dziesięć lat w Slackmucklethwaite.

Zresztą na pewno to zignoruje, pomyślała. Nie było w tej historii nic, co pomogłoby mu wrócić do utraconego raję, do jego ukochanego „Timesa”.

Dlatego zupełnie nie była przygotowana na reakcję Crichtona, kiedy opisała zakapturzoną postać z nagą czaszką, która pojawiła się w jej sypialni.

— Cudownie! — wykrzyknął.

— Co w tym cudownego?

— Bo to kolejna zagadka do rozwiązania.

— Przecież masz już Marty'ego St Pierre'a — zauważyła Kate.

— Tak, ale zawsze znajdzie się miejsce na coś jeszcze — ekscytował się naczelny. — Założę nową teczkę, i w ogóle. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Więc naprawdę uważasz, że coś w tym jest?

— Oczywiście — odparł Crichton. Złożył palce i oparł na nich brodę. — Przynajmniej jedno jest dla mnie jasne. — To znaczy?

— Ktoś próbuje cię nastraszyć — oświadczył.

Kate spojrzała na niego przerażona. Wszystkie lęki, które jakoś udało jej się ukołysać i uspokoić, znowu się rozbudziły. Przyglądając się im, doszła do wniosku, że chyba najbardziej podejrzany jest niski londyńczyk o czerwonej twarzy. Więc to jednak Ken? Mimo wszystko?

— Nastraszyć mnie? Mnie? — wychrypiała.

— Droga Kate... — Crichton wyszczerzył zęby. — Jako dziennikarka powinnaś wiedzieć, że na tym świecie wszystko jest możliwe.

Zaczął coś notować.

— Trochę to naciągane — mruknęła Kate. Crichton nadal bazgrał w swoim notesie.

— Kto chciałby mnie straszyć? — zapytała. — A może to był prawdziwy duch... — dodała, starając się powiedzieć to normalnym głosem.

Crichton odłożył obgryziony długopis.

— O, to jest dopiero naciągane.

— Dlaczego? — zdziwiła się Kate.

— Każdy wie, że żaden *spiritus* \* nie chodzi po ziemi. Chyba że w tobie, pomyślała Kate. Crichton był pięćdziesięcioprocentowym dowodem na to, że jednak spirytus chodzi po ziemi.

— To mógł być po prostu jakiś żart — powiedziała. — Nic bardziej złowieszczego.

— Ja jednak uważam, że to coś znacznie bardziej złowieszczego — odparł Crichton, znowu notując.

— Ale co takiego?! — krzyknęła Kate. — I po co?

— Nigdy nie zapominaj, że przestępcy bywają bardzo pomysłowi.

Aż mu się uszy zaróżowiły z zadowolenia. Ale nawet w połowie nie tak pomysłowi jak ty, pomyślała Kate i spojrzała na niego z wściekłością. Odłożył pogryziony długopis.

— No proszę. Mamy wreszcie punkt zaczepienia. Będę mógł zacząć zadawać pytania.

— Komu?

Crichton wzruszył ramionami.

— Na pierwszy ogień pójdzie sklep z dziwnymi ubiorami, lo oczywiste. Dowiem się, kto ostatnio wypożyczał strój z mni-sim kapturem. Z czaszką może być ciężiej. — W zamyśleniu

\* *Spiritus* (łac.) — duch.

zakręcił długopisem. — Może sklep z artykułami medycznymi? Pełno jest takich na Riwierze. Każdy ma tu galopującą hipochondrię.

Podeksytowany zabębnił palcami po brodzie.

— Cieszę się, że jesteś zadowolony — syknęła sarkastycznie Kate.

— Zadowolony? Oczywiście, że jestem zadowolony! Mam coś, w co mogę wbić zęby. Zaczniemy dziś po południu! — oświadczył rozpromieniony.

— Problem w tym, że mam już plany na to popołudnie.

— Tak? — Crichton spojrział na nią zdumiony. — A co może być ważniejszego?

— Lunch.

— Lunch!?

— Obawiam się, że nie mogę go odwołać.

— Ach, wy młodzi — burknął dobrodusznie Crichton. — Już nie jest tak, jak za moich czasów w „Timesie”. Cóż, wobec tego zostanę sam na placu boju — stwierdził, lecz najwyraźniej ta perspektywa nie sprawiła mu przykrości. Uśmiechnął się szeroko. — To naprawdę wspaniały materiał. Uważam, że należy uczcić go kielichem. Co ty na to?

Kate powoli wracała do domu hrabiny, szurając nogami po bruku. Chociaż bardzo chciała przygotować się do lunchu z Fabieniem, nie spieszyło jej się z powrotem do domu. Zerknęła na Hotel des Tours.

W barze panował ruch, ludzie siedzieli także na zewnątrz. Turyści o błyszczących, świeżo umytych włosach sączyli wino razem z garstką stałych bywalców, którzy wcześniej stanowili jedyną klientelę hotelu. I którzy pewnie od lat nie siedzieli na zewnątrz.

Kate poczuła nagle gwałtowną potrzebę zastrzyku kofeiny. Weszła do baru. Siedząca przy ekspresie do kawy Makreła bez uśmiechu skinęła jej głową, co Kate, zamawiając cappuccino, słusznie zinterpretowała jako pełne powitanie.

— Tutaj!

Pośród dymu uniosła się czyjaś ręka. Kate spojrzała w tamtą stronę. Ken! Właśnie on. Główny podejrzany. Spiorunowała go wzrokiem. Odpowiedział machaniem.

Co za tupet! Machał do niej, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie i jakby wcale nie przechadzał się nocą po jej sypialni w przebraniu mnicha.

Nie odszedł daleko od nocnego zestawu kolorystycznego, pomyślała kwaśno. Miał na sobie czarną koszulę, czarne spodnie i — rzecz jasna — czarne okulary. Podeszła do niego, niosąc w jednej ręce cappuccino, a drugą odganiając z nogi zabłąkanego komara.

— Następnym razem zrobię to za ciebie — powiedział Ken, parodiując śmiech Sida Jamesa.

— Dzięki — warknęła.

Nie mogła nie zauważyć, że kończył właśnie wspaniale wyglądające późne śniadanie. Kilka złotych, chrupiących croissantów, świeży chleb, kremowe masło i smakowity dżem domowej roboty.

Najwyraźniej bardzo pobudzało apetyt.

Obrzucił ją badawczym spojrzeniem. — Wyglądasz na wykończoną.

— Bo jestem — odparła Kate. — Nie spałam za dobrze. Próbowала spojrzeć mu w oczy mimo okularów. Ale ich

szkła były tak ciemne, że nie miała szans.

— Tak? — wymamrotał Ken, wcinając croissanta. — Szczerze mówiąc, ja też.

— Naprawdę? — Kate zacisnęła usta ze złości. Na miłość boską, ten facet właściwie się przyznał!

— Zapytaj Celię. Przez całą noc kręciłem się i przewracałem z boku na bok.

Kate była pewna, że właśnie w tym momencie wymyślił sobie alibi. Trzeba przyznać, że Celia to dobry pomysł. Musiał bardzo zręcznie wykraść się i zakraść z powrotem do łóżka, żeby ją oszukać.

— Spędziłeś całą noc w łóżku?

— Oczywiście. A gdzieżby indziej?

Kate rzuciła mu spojrzenie, które mówiło: „Sam mi to powiedz”.

— Próbowałem podjąć decyzję, czy tutaj zostać. We Francji. Czy to ma jakiś sens.

Kate zdziwiła się. Z pewnością zabawy zeszłej nocy właśnie ją miały zachęcić do wyjazdu. Czyżby to był jakiś podwójny blef? Zmrużyła podejrzliwie oczy.

— Serio?

— Serio. A oto dlaczego. — Ken wskazał kartkę leżącą obok talerza.

Widniało na niej drżące pismo starszej pani; liczne pętelki i słabo dociśnięty długopis sugerowały kruchość dłoni piszącego.

— To list od mojej starej mamy.

— Och.

Czyżby dla odwrócenia uwagi dodał jeszcze coś do podwójnego blefu? Co do tego wszystkiego miała jego matka? Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nic z tego nie rozumiała.

Ken westchnął ciężko.

— Co się stało twojej starej mamie? — zapytała poirytowana Kate.

— Nie czuje się dobrze. Już od pewnego czasu nie było z nią najlepiej. Z jej mieszkaniem też jest coraz gorzej. Bojler padł. Uszła z niego cała para. Dzwoniłem do tej cholерnej rady miejskiej już pięć razy. — Zdjął okulary, a Kate zauważyła, że jego twarz jest rzeczywiście szara ze zmęczenia. Zwiesił głowę tak nisko, że brodą prawie opierał się o masło. — Szczerze mówiąc, księżniczko, sam zaczynam tracić parę. Wchodzisz na scenę i zaczynasz się zastanawiać, co tam właściwie robisz. Dlaczego jej to wszystko mówił? Nie ufali sobie specjalnie ani nie łączyła ich żadna bliska więź. Nagle przypomniała sobie swoją wcześniejszą teorię, że Ken jest aktorem. I to bardzo dobrym, sądząc po tym przedstawieniu.

Spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem. Potarł fioletowe worki pod jasnymi okrągłymi oczami, w których widać było zniechęcenie.

— Więc Celia nic ci nie powiedziała? — Wyglądał na zaskoczonego. — O tym, co tu robie? Pokręciła głową, nie bardzo już wiedząc, co było grą, a co nie. Ken zdradzał objawy wyjątkowego dołka. Nie bardzo to pasowało do kogoś, kto poruszyłby ziemię i niebo, żeby się jej pozbyć. I oczywiście zawsze istniała możliwość — a w tym momencie tak to wyglądało — że to nie Ken pojawił się w jej sypialni. Może nawet nie człowiek. Przełknęła z trudem ślinę, nie wiedząc, co gorsze. Ken powoli pokiwał głową.

— Chyba nie byłem tak do końca pewien, że Celia potrafi zachować tajemnicę. Dzięki niej człowiek może odzyskać wiarę w ludzi.

— Celia jest w porządku — stwierdziła lojalnie Kate.

— To cudowna kobieta. — Ken uniósł nieco głowę. — Właściwie to jedyny powód, dla którego jeszcze tu jestem.

Kate nic na to nie odpowiedziała. Ken popatrzył na nią i pokręcił głową.

— Chyba tobie też mogę to powiedzieć. Przynajmniej przestaniesz myśleć, że jestem jakimś fantastą i wariatem.

Kate speszyła się, a na jego błyszczącej czerwonej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Daj spokój, właśnie tak o mnie myślałaś, prawda? Widziałem to w twoich oczach. Masz bardzo wyrazistą twarz.

Kate wbiła wzrok we własne kolana. Nie zamierzała poddać się jego przyjacielkości. Niezależnie od tego, co myślała o nim Celia i jak naprawdę wyglądała sprawa ducha, nadal nie można było mu ufać.

— Jestem tutaj — Ken uniósł do ust kubek z kawą i opróżnił go — ponieważ jakiś obleśny typ oszukał moją mamę. Wygrała pół miliona funtów na loterii, a on wszystko od niej wyłudził. Wszyściutko. Z hukiem odstawił kubek na stół.

— Wszystko? — Kate zmarszczyła brwi. — Pół miliona funtów? Do diabła, jak on to zrobił?

— To cholerny oszust, rozumiesz? Udało mu się ją oczaro-

wać. Nie było to szczególnie trudne. Moja staruszka trochę zaszalała i zaczęła odstawiać wielką panią. Wszędzie jeździła taksówkami i wszystko kupowała u Harrodsa. Tam właśnie poznała pana Krętacza. W dziale warzywnym. Według gliniarzy to typowe miejsce do podrywu dla takich żigolaków.

Kate poczuła, że jej podejrzliwość słabnie. Praca w „Tygodniku” nauczyła ją, że często im dziwniej sja opowieść, tym bardziej prawdziwa się okazuje. Co więcej, podsunęło jej to pewien pomysł. Poza tym, że w ogóle musiała znaleźć czas na pisanie powieści, najtrudniejszym zadaniem było przeniesienie bohatera książki na Knightsbridge. I teraz nagle zobaczyła przed sobą odpowiedź. — O tak. U Harrodsa mnóstwo podejrzanych typów poluje na bogate starsze panie, które tracą zdrowy rozsądek. Pan Krętacz w ciągu kilku sekund oblażł moją mamę jak wysypka. Dała mu się kompletnie ogłupić. — Ken pokręcił głową. — Nic nie mogłem na to poradzić. Moja mama, niech ją Bóg jak najdłużej zachowa w dobrym zdrowiu, może i ma osiemdziesiąt lat, ale wciąż nie da sobie nic powiedzieć. Zanim się o wszystkim dowiedziałem, pan Krętacz już wprowadził się do eleganckiego nowego mieszkania, które wynajęła. Jest wdową i... no wiesz.

— Osiemdziesiąt lat! — Kate wytrzeszczyła na niego oczy. — Chcesz powiedzieć, że uprawiali seks?!

— Chryste, nie owijasz w bawełnę. Skoro już o to pytasz, nigdy nie byłem pewny, czy ten gość to Arthur, czy Martha, jednak z pewnością wiedział, jak czarować starsze panie. Zaproponowałem mamie, że przyślę kogoś, żeby go wysiudał, ale nie chciała. Powiedziała mi, że jestem zazdrosny, bo ona wreszcie dobrze się bawi po tych wszystkich latach bez taty, gdy musiała oszczędzać każdy grosz.

— Ze złością zgniótł resztki croissanta.

— I co dalej?

— Następną rzeczą, której się dowiedziałem, było to, że zwiął. I zabrał ze sobą wszystkie pieniądze. Widzisz, moja mama była staroświecką kobietą, więc trzymała je pod łóżkiem.



— Pół miliona funtów? Pod łóżkiem?! Ken pokiwał głową.

— Wiem. Mówiłem jej, że to niebezpieczne. Ale czy posłuchała? W każdym razie wtedy po raz ostatni słyszeliśmy o panu Krętaczu.

— To odrażające. Przecież to zwykła kradzież.

— Masz cholerną rację. I z tego co wiem, moja stara matka wcale nie jest jedyną osobą, którą ten koleś obrobił. — Ken zazgrzytał zębami. — W końcu się dowiedzieliśmy, że zamierza pojechać do Francji, ale Bóg jeden wie, gdzie się teraz podzie-wa. — Ken westchnął ciężko i zagapił się na kupkę dżemu na talerzu. — Parę razy prawie trafiłem na jego ślad, ale nie udało mi się go dorwać.

Zapadła cisza. Gdy Kate zaczęła to wszystko przetrawiać, poczuła, że ogarniają ją wyrzuty sumienia. Biedny Ken. Wyobrażała sobie, że to wariat z przerostem ego i psychopatycznymi skłonnościami do straszenia ludzi. A tak naprawdę okazał się troskliwym synem.

— Więc co się dzieje z twoją mamą? Gdzie jest teraz?

— Znalazła sobie mieszkanie w Limehouse. Musiała opuścić tamto eleganckie gniazdko. Nie ma już ani grosza. Jedyną dobrą rzeczą w tym wszystkim jest to — Ken znowu westchnął — że za bardzo jej odbiło, żeby to wszystko rozpamiętywała. Ale powiem ci jedno... — obnażył groźnie zęby —jeśli jeszcze raz spotkam tego gościa, powyrywam mu nogi z tyłka.

— Wypijmy za to — powiedziała z uśmiechem Kate, unosząc filiżankę cappuccino.

## Rozdział 23

Fabien wioził ją autostradą, nie opuszczając najszybszego pasa. Z prędkościomierzem wskazującym ponad sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, podczas gdy znaki drogowe dopuszczały jedynie sto siedemdziesiąt. We Francji chyba nie przepadają za ograniczeniami prędkości, pomyślała Kate, przytrzymując okulary przeciwsłoneczne na nosie.

Jednak bardziej niepokoiła się Crichtonem i jego teorią spiskową niż Fabienem i pedałem gazu. Naprawdę ktoś chciał ją nastraszyć? Teraz, kiedy przestała już podejrzewać Kena, ze wszystkich sił starała się ponownie uwierzyć, że wszystko to sobie tylko wyobraziła. Ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że w Sainte Jeanne jest ktoś, kto jej źle życzy i usiłuje ją wypłoszyć z miasteczka. Może to jednak wredny właściciel Cafe de la Place — jego złość nadal płonęła w siniakach na jej nadgarstku. Albo Nicole. Albo inny główny podejrzany — Marc de Provence, który już pokazał, jak daleko może się posunąć, aby ukryć swoją prawdziwą tożsamość. Ale jeśli to któreś z nich, w jaki sposób weszło na balkon? Albo na dach... czy skąd tam jeszcze można dostać się do środka. Kate obejrzała dokładnie tę stronę domu. Ani z dołu, ani z góry nikt nie mógł wejść na

balkon. W pobliżu nie rosły żadne drzewa, nie było też rynien.

Widząc w bocznym lusterku swoje zmarszczone czoło, doszła do wniosku, że musi przyhamować z tą paranoją. Poza wszystkim innym niepokój był mało twarzowy. *Carpe diem*, powiedziała sobie. A ten dzień był zdecydowanie wart schwytania. Błękitny, złoty i bardzo piękny. Nic nie może go jej zakłócić. Musi zostawić wszystkie zmartwienia za sobą, przynajmniej na czas tego popołudnia.

— *Merdel* — zaklął Fabien.

Usiłował wyprzedzić kilka wielkich białych wozów kempingowych najeżonych rowerami. Po chwili błękitny mercedes — teraz już wiedziała, że należy do Odile — triumfalnie wystrzelił do przodu.

W końcu opuścili autostradę. Biegnąca wybrzeżem droga prowadziła przez małe kremowe miasteczka pełne neonów — różowych reklamujących piekarnie i zielonych krzyży oznaczających apteki. Skały nad morzem zmieniły kolor — zamiast złocistego brązu jak w Antibes i Cannes miały teraz głęboki rdzawy odcień.

„Po jakimś czasie Fabien zjechał z drogi i stanął. Kate wysiadła, rozprostowała nogi i wciągnęła zapach morza. Zatrzymali się przy długim, sypiącym się murze, który wyglądał jak granica jakiejś posiadłości. Osadzona w nim brama była niemal całkowicie ukryta pod lśniącymi liśćmi winorośli. Jej popekana od słońca i soli powierzchnia mieniła się różnymi kolorami. Fabien odgarnął pędy winorośli, otworzył bramę, po czym z uśmiechem odwrócił się do Kate.

— Wejdz tam teraz i nie odwracaj się przez co najmniej pięć minut. Mam dla ciebie niespodziankę. Kate znalazła się w zaczarowanej krainie. Lśniące w słońcu liście krzewów kładły się na zabarwionym na różowo piasku, a skały o barwie ciemnego różu opadały w fale wielkiej błękitnej zatoki.

— Nie odwracaj się jeszcze! — zawołał Fabien.

Zdjęła klapki, żeby poczuć pod stopami ciepły piasek. Wciągnę-

nęła zapach soli i spojrzała na maleńkie miasteczko po drugiej stronie zatoki. Zastanawiała się, jak nazywa się to malownicze skupisko kremowych domków.

— Już! Możesz się odwrócić.

Kiedy to zrobiła, aż dech jej zaparło ze zdumienia.

— Nie wierzę...

— Podoba ci się? — zapytał Fabien, szczerząc zęby.

Nie mogła nic odpowiedzieć, bo dławiło ją w gardle. Jeszcze nikt nigdy nie wysilił się dla niej tak bardzo.

Fabien, zakładając nogę na nogę, usiadł na reżyserskim krzeselku w cieniu pinii. Przed nim stał mały składany stolik, który pewnie ukrył wcześniej w bagażniku mercedesa. Drugie krzeselko czekało na Kate. Otworzyła usta i zamknęła, nadal niezdolna cokolwiek powiedzieć.

— Podano lunch — oznajmił Fabien.

— Wygląda niesamowicie. — Pokręciła głową ze zdziwieniem. — Cała prowansalska ucztą.

— Zdecydowanie prowansalska, ale nie mogę twierdzić, że sam ją przygotowałem. Kupiłem to wszystko dziś rano na targu w Nicei.

Ten targ musiał być niezwykłym miejscem. Nawet za milion lat nie zdołałaby wynieść takiego łupu z targu w Slackmucklethwaite.

Stół zastawiono z artystycznym smakiem. Na talerzu w niebieskie paski piętrzyła się góra różowych krewetek — każda z maleńką plamką majonezu. Na drugim talerzu w kolorze ciepłej czerwieni leżały dwa malutkie pieczone kurczaki o brązowej skórce. Rzodkiewki i pomidory pięknie odcinały się od liliowej miski, a na jasnozielonym talerzu ułożono małe kozie serki. Obok talerzy leżały dwie złociste bagietki, których chrupiące końce aż się prosiły o ułamanie.

— Stół wygląda naprawdę wspaniale. — Rozejrzała się. — To wszystko wygląda wspaniale.

— Cieszę się, że *madame* jest zadowolona. Niełatwo znaleźć kawałek odosobnionej plaży w szczycie sezonu na Lazurowym Wybrzeżu.

— Więc jak ci się to udało?

— To miejsce należy do mojego znajomego. Wskazał widoczne ponad murem wzgórza.

— Mają tam śliczny stary *bastide*. Kiedyś była tu winnica. Zanim zbudowano drogę, ciągnęła się aż do samego dołu, do morza. Teraz to tylko plaża.

Nie przypominała jednak plaż, które Kate wcześniej widziała. Na żadnej z nich nie było sypiących się murków i niegdyś uporządkowanych rzędów winorośli. Zastanawiała się, jakie robiono tu wino.

Fabien wyjął dwie szklanki do koktajli.

— Aperitif? — zapytał.

— Och, poproszę.

Pochylił się, z wiklinowego koszyka schowanego w cieniu wyłowił małą srebrną piersiówkę i nalał do szklanek trochę gęstego różowoczerwonego płynu.

— Co to jest? Fabien uśmiechnął się.

— Świeży sok z granatów. A teraz dodatek. Odkorkował butelkę szampana i dolał go do szklanek.

— Mówiłem ci, że mam obsesję na punkcie koktajli. — podał Kate napój. — Powiedz mi, co o tym sądzisz. — Wspaniały. — Słodki sok zmieszany z mocno musującym winem rzeczywiście smakował wybornie. — Sam to wymyśliłeś?

— Chciałbym. Odkryłem go w Rzymie.

— Naprawdę?

— Nazywa się Verusbka — dodał Fabien. — To imię słynnej modelki z lat sześćdziesiątych. Właśnie dla niej wymyślono ten koktajl.

— Jakie to romantyczne.

— Jeszcze jeden?

— Poproszę. — Wzięła napełnioną szklankę i spojrzała na lśniąca zatokę. — Co to za wioska?

— Saint Tropez.

— To jest Saint Tropez? Ta maleńka miejscina?

— I w tym problem. Robi się tam bardzo tłoczno o tej porze roku.

Kate odwróciła się do niego.

— Moglibyśmy tam zajrzeć w drodze powrotnej?

— Potrzebowalibyśmy na to całego dnia. Samochodem można tam dojechać tylko jedną drogą i trzeba spędzić długie godziny w korkach. Lepiej mieć helikopter albo trampek. To znaczy jacht.

A po zatoce pływało mnóstwo „trampek”. Na błękitnych wodach kołysał się cały dział obuwia sportowego. Niektóre jachty były wielkości małego miasteczka. Kate zastanawiała się, ilu żigolaków z północy siedziało na ich pokładach.

— Bardzo chciałabym je zwiedzić — powiedziała błagalnie, myśląc o swojej powieści. Jaki wspaniały materiał mogłaby tam znaleźć. — Chciałabym zobaczyć trochę prawdziwego, staroświeckiego Lazurowego Wybrzeża.

Fabien uśmiechnął się do niej.

— Uwierz mi, stąd masz najlepszy widok na Saint Tropez. Połowa miasteczka to ogromny parking. A reszta to turyści szukający Brigitte Bardot.

Kate westchnęła. Gdy wyteżyła wzrok, zobaczyła plażę i kąpiących się w błękitnych falach ludzi.

— Ale wygląda na to, że wszyscy się tam dobrze bawią. Widzę pływających ludzi.

Upił łyk koktajlu.

— To zależy, co uznasz za dobrą zabawę. Mówią, że o tej porze roku morze w tych okolicach w pięćdziesięciu procentach składa się z moczu. Głównie z jachtów. Zakole zatoki wszystko zatrzymuje.

— Ohyda!

Pomyślała, że musi zrezygnować z obejrzenia Saint Tropez.

— Owszem. Wolałbym pokazać ci swoje Lazurowe Wybrzeże. Riwierę artystów.

— Z przyjemnością ją zobaczę — ucieszyła się Kate. Fabien z zadowoleniem pokiwał głową.

— Moglibyśmy zacząć od fundacji Maeght, wspaniałej kolekcji nowoczesnej sztuki w St-Paul-de-Vence. Potem zajechalibyśmy na lunch do Colombe d'Or...

— Och, tak.

Była podniecona jak pięciolatka.

— Jeszcze jeden? — Uniósł butelkę szampana.

Kiedy jej nalewał, wsunęła stopy w piasek, spoglądając na roztańczoną wodę. Pomyślała, że jeśli rzeczywiście chciała poznać staroświecki urok Lazurowego Wybrzeża, nie mogła znaleźć miejsca bardziej staroświeckiego i bardziej urokliwego od tego. Wykwintne jedzenie i cała plaża tylko dla nich. I ten szczupły mężczyzna o wrażliwej twarzy, postać jakby żywcem wzięta z książki Scotta Fitzgeralda.

Na jej bladoniebieski talerz posypała się różowa lawina krewetek. Fabien wziął jedną, obrał ze skorupki i zanurzył w majonezie.

— Otwórz usta.

Zanim zdążyła przełknąć pierwszą krewetkę, pochylił się i włożył jej do ust następną.

— Weź jeszcze jedną — zachęcał, pochylając się nad nią. Rozchyliła wargi i poczuła oblewający twarz płomień, kiedy

Fabien wsuwał jej w usta jędrne różowe krewetki. Przy ostatniej » powiódł powoli palcem po dolnej wardze Kate.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że przygląda jej się spod brwi. W milczeniu przysunął talerz z kurczakiem i nalał do kieliszków schłodzonego różowego wina. Jedli i pili w ciszy, którą zakłócał tylko suchy szelest liści i pomruk morza. Kate czuła, że pojawiło się między nimi napięcie. Powietrze wypełniało cykanie świerszczy i wyczekiwanie. Po kurczaku i sałatce Fabien znowu zanurkował do koszyka i wyciągnął przewiązane wstążkami pudełko. Wyjął z niego cytrynową tartę i położył ją na ciemnoniebieskim talerzu, ozdabiając wierzch gałązkami lawendy. — Z ogrodu Odile.

— Wygląda pięknie. Jak twoje obrazy. Szkoda, że nie mam aparatu.

— To jest twój aparat — powiedział i popukał się w głowę. Nóż błysnął w słońcu niczym Excalibur.

Tarta była kwaśno

-słodka, miała aksamitne nadzienie i cieniutki chrupki podkład. Rozkoszując się jej smakiem, Kate patrzyła na Saint Tropez. Zastanawiała się, czy ktokolwiek, choćby nie wiadomo jak bogaty, jadł tam teraz taki pyszny lunch jak ona. Albo równie romantyczny. Wątpiła w to.

Spojrzała na Fabiena i zobaczyła, że znowu się jej przygląda.

— Chciałbym, żebyś mi pomogła — odezwał się po chwili.

— W jaki sposób?

— Chcę zobaczyć cię nago.

— Och. — Kate zamrugwała.

Nigdy wcześniej nikt nie prosił jej o coś takiego. Wsunął do ust papierosa.

— Muszę się przekonać — wyjaśnił spokojnie — czy twoje ciało odpowiada wyobrażeniu, jakie mamTia jego temat.

Kate zmusiła swój oszołomiony alkoholem umysł, żeby jakoś ogarnął to wszystko. Fabien prosił, żeby się rozebrała. Wyglądało na to, że ma zamiar ją uwieść.

— Chcę również zobaczyć, jak reszta twojego ciała ma się do twarzy — dodał.

Och. Więc jednak jej nie uwodzi. Miał do tego niemal lekarskie podejście. Kate poczuła się nieco zawiedziona, ale jej ulżyło. Chciał spojrzeć na nią okiem artysty, a to oznaczało, że przede wszystkim będzie patrzył, jak rozkłada się światło i cienie. Ogarnęła ją pijana beztroska. Właściwie czemu nie?

Zwłaszcza że to dla dobra sztuki. Wyciągnęła rękę, żeby rozpiąć sukienkę. Po trzech guzikach przerwała i spojrzała na Fabiena. Jego twarz nie zmieniła wyrazu. Kate sięgnęła do czwartego guzika.

W końcu stanęła przed nim nago. Słońce grzało jej skórę, a ona czuła się dziwnie swobodnie.

Wyobrazila sobie siebie, swoją bladą skórę na tle rdzawych skał i włosy niczym złotawa flaga na tle lśniącego błękitnego morza. Fabien przez kilka minut nic nie mówił.

— Niesamowite — mruknął w końcu. — Wyglądasz dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem.

— To znaczy?

— Pięknie.



Wziął ją za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował.

Czuła się dziwnie nierealna. Pchnął ją delikatnie na piasek i położył się obok. Wino buzowało jej w głowie. Wygięła plecy, gdy dłoń Fabiena przesuwiała się powoli, lekko dotykając jej skóry. Okrążyła piersi, potarła sutki, sięgnęła między uda, badając każdą krągłość, każde sekretne miejsce, pieszcząc je i rozpalając tysiące płomyków tęsknoty. Kate obracała głowę, czując, jak przesypuje się pod nią piasek. Wzbierało w niej pożądanie, wszystkie zmysły wyostrzały się w ciepłe słońca, westchnieniach fal i słonym posmaku morza. Zaraz jednak poderwała się spłoszona.

— Ehm... Fabien...

Jej twarz znowu zapłonęła — powrócił potworny wstyd, który poczuła tamtego dnia, kiedy prosiła Nata o użycie prezerwatywy. Zęby Fabiena błysnęły. Zobaczyła w jego dłoni mały srebrny pakiecik.

— W porządku, nie ma sprawy.

Rozkoszowała się cudowną gwałtownością pchnięć i poprzez puls w uszach słyszała czyjeś jęki rozkoszy, ale zaraz uświadomiła sobie, że to jej własny głos.

Po chwili Fabien podniósł się na łokciach, spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się.

— Chodźmy popływać.

Pomógł jej wstać i ruszył szybko do wydłużonego jak jezior rdzawego pasma, zamykającego wodę między dwoma maleńkimi przylądkami z czerwonej skały. Patrzyła, jak nurkuje w błękitno-białych falach. Ostrożnie stanęła na brzegu i sprawdziła temperaturę. Pochyliła się, żeby rozetrzeć ramiona wodą — była chłodniejsza, niż się spodziewała.

— Pospiesz się — ponaglał ją. Miał ciemną gładką głowę, wyglądał jak foka pośród przewalających się fal. — Pływanie nago jest najlepsze. Stajesz się wtedy częścią żywiołu.

Kate ostrożnie weszła do morza, próbując przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz pływała nago.

Prawdopodobnie w wodach płodowych matki. Stawanie się częścią żywiołu nie było w stylu mieszkańców Slackmucklethwaite. Być może dlatego że ży-

wioły, zwłaszcza deszcz, same znajdowały sposób, żeby stać się częścią człowieka, czy tego chciał, czy nie.

Nagle duża mokra dłoń złapała ją za kostkę i pociągnęła mocno. Woda jak zimny jedwab otoczyła jej ciało, zalała piersi i wpłynęła między wciąż jeszcze drżące uda. Para silnych ramion wciągnęła ją głębiej w wodę. Kate zaśmiała się, złapała powietrze, krzyknęła i plusnęła w wodę. Krople rozprysły się między nimi niczym pióropusz. Po chwili oboje rzucili się na piasek.

— Szczęśliwa?

— O tak. A ty?

— Pewnie. Mam wszystko co potrzebne, żeby być szczęśliwym. Poznałem ciebie. Spędziliśmy razem cudowne popołudnie. A zeszłego wieczoru otrzymałem fantastyczną wiadomość od Odile.

— Odile?

Myśli Kate natychmiast powróciły do domu hrabiny. Ostatnia noc w nim spędzona nie była dla niej radosna. Znowu poczuła, że ogarnia ją strach.

— Znalazła dla mnie marszanda w Paryżu — powiedział Fabien, uśmiechając się szeroko. — Ma bardzo prestiżową galerię, która może całkowicie zmienić moje życie. Wreszcie zarobię trochę pieniędzy.

— To wspaniale — odparła Kate. — Ehm... a czy wiesz może, kiedy Odile wraca?

— Jeszcze nie wraca. Prosiła, żebym ci to powiedział. Jej siostra nie poczuła się lepiej.

— Och... — mruknęła rozczarowana Kate. Fabien pytająco uniósł brwi.

— Jakiś problem?

Gwałtownie pokręciła głową. Nie chciała mówić Fabienowi o nocnej wizycie w jej sypialni. W końcu to mało prawdopodobne, żeby po domu hrabiny przechadzały się zjawy. Gdyby tak było, Fabien raczej nie pracowałby nocami. Gdyby mu o tym powiedziała, uznalby, że zwariowała.

— Na pewno? — dopytywał się Fabien.

— Na pewno. — Uśmiechnęła się. — Serio, to nic takiego.

## Rozdział 24

Wieść, że w Restaurant des Tours widziano tłumy klientów, i to wcale nie w zamierzonych czasach, rozprzestrzeniła się po mieście niczym pożar. Mieszkańcy Sainte Jeanne chcieli zobaczyć to na własne oczy i przy okazji spróbować *tarte tatin* szefa kuchni.

Kiedy kwadrans po tym, jak zaczęła się zmiana Kate, Fabien podjechał mercedesem pod hotel, przyciągając pełne podziwu spojrzenia, wszystkie stoliki były zajęte. Kate wygramoliła się z samochodu i próbowała wślizgnąć do restauracji tak, żeby Celia jej nie zauważyła.

Nie udało jej się to.

— Bierz się do roboty, obiboku! — syknęła Celia, mijając ją z tacą pełną talerzy z zupą *pistou*. — Zajmujesz się stolikami na lewo od baru.

Wieczór przemknął błyskawicznie. Po pierwszej turze klientów zjawiała się druga, a potem nawet trzecia. Kate krążyła między arkadami i kuchnią, zbyt zajęta, żeby myśleć. Zauważyła tylko z lekką obawą, że po drugiej stronie placu przed opustoszałym lokalem stoi właściciel Cafe de la Place.

— Rety — mruknęła Celia, pędząc z talerzami *tarte tatin*, kiedy zegar wybił wpół do jedenastej. — Naprawdę musi mówić o nas całe miasteczko. Patrz, kogo licho przyniosło. Bogu dzięki, to twoja strona.

Ignorując kolejkę przy właśnie zwolnionym stoliku, po stronie Kate usiadł znajomy grubas ubrany na czarno. Towarzyszyły mu dwie panie: nerwowa kobieta w średnim wieku i znacznie od niej młodsza i piękniejsza blondynka rozmawiająca przez telefon.

— Aha — mówiła głośno do małej srebrnej komórki. — To taki typowo francuski lokal.

Małomiasteczkowy szyk, kochanie. Najmodniejsze obecnie miejsce na Riwierze. Oczywiście, że musieliśmy tu przyjść. Jest niesamowite, wiesz? Caprise wygląda przy nim jak przystanek dla ciężarówek. Są tu same gwiazdy. Jak się trochę pochylę, pewnie zobaczę Julię Roberts.

Tak naprawdę Champagne mogła zobaczyć jedynie parę z Hampshire, która zamawiała dobrze wysmażony stek. To tyle, jeśli chodzi o gwiazdy. Ale Kate nawet nie zwróciła na to uwagi. Jej oczy skupiły się na jednym człowieku. Na czwartej osobie przy stoliku państwa St Pierre. Nacie.

Miał na sobie białe dzinsy, idealnie pasujące do jego zębów, a na nogach srebrne klapki. Jego odsłonięta pierś była opalona na głęboki brąz. We włosach miał gęste jasne pasemka, prawdopodobnie od słońca, lecz Kate nie założyłaby się o to. Jego oczy płonęły zadowoleniem z poruszenia, jakie wywołał wśród pozostałych klientów.

Miotana burzą sprzecznych uczuć, Kate schowała się za jednym z fdarów.

— Co się stało? — zapytała Celia, mijając ją w pędzie. — Czemu się tu chowasz?

— To on. Nat. — Kate cała dygotała.

— O Boże. No jasne. Z Champagne B. Oską! — Celia z dezaprobatą zacisnęła usta.

— Niesamowita para, co? — Kate przełknęła ślinę.

— Daj spokój. Z przyjemnością bym im przyłożyła. Na przykład jednym z tych rzeźniczych toporów szefa kuchni.

— O Boże, Celia... — Kate miała zupełnie sucho w ustach. — Wiem, że to pewnie żałośnie zabrzmiało, ale nie chcę go widzieć.

— Dlaczego, kochanie, skoro możesz wywalić mu całe wieczorne menu na te zdradzieckie, ohydne kolana? — Celia stanęła na palcach i zerknęła w stronę Nata. — Te śliczne białe

dzinsy aż się proszą o porcję pomidorów. I pomyśl o gorącej *pistou* na tej męskiej piersi. Albo czerwonym winie. Wybierz, co chcesz.

Kate zawahała się. Od czasu do czasu wyobrażała sobie, jak zemści się na Nacie. Noże, broń palna, trucizna, ogień i woda; wymyślała dla niego różne bolesne sposoby umierania. Ale kiedy wreszcie nadszedł ten moment, zaczęła się wycofywać. Uderzyło ją tylko, jak bardzo nieprzyjemny jest dla niej jego widok. Te zdradliwe usta, to cyniczne, zadowolone z siebie spojrzenie, to żalosne, zgorzkniałe serce... Wyglądał lepiej niż zwykle i był jeszcze bardziej zapatrzony w siebie. Jak mogła kiedykolwiek uważać go za pociągającego?

— Pamiętaj, kochanie — powiedziała Celia — że zemsta najlepiej smakuje na zimno, ale na gorąco też nie jest najgorsza.

Kate uśmiechnęła się. Już nie pragnęła zemsty. Po cudownym popołudniu z Fabieniem, które zapowiadało początek wspaniałej nowej przyjaźni, wylewanie na kogoś zupy wydało jej się banalne. Zemsta na poziomie kreskówki. Chyba zresztą powinna być wdzięczna Natowi. Gdyby nie był takim egoistą i nie manipulował ludźmi, nigdy by nie spotkała Fabiena. Należało mu raczej współczuć, ponieważ musiał spędzać czas z takimi bezmózgimi kobietami jak Champagne i oprychami w rodzaju St Pierre'a. Ale nie współczuła. Uznała, że sobie na to zasłużył.

— Słuchaj, Celia, ja po prostu chcę zapomnieć o tym, co się stało. Ale nie mogę obsłużyć tego stolika. Naprawdę nie mogę. Celia spojrzała na nią badawczo. Kilka osób z kolejki pomrukiwało niespokojnie. Tymczasem Marty St Pierre wyciągnął potężne nogi i zaczął pukać w stolik.

— Co trzeba zrobić, do cholery, żeby obsłużyli tu człowieka?! — ryknął.

— Nie martw się — Celia ścisnęła rękę Kate. — Zamienimy się stronami. Ty załatwisz moją, a ja twoją. Sekundę później podeszła pewnym krokiem do St Pierre'a.

— Obawiam się, że tutaj obowiązuje kolejka — poinformowała go z lodowatą uprzejmością.

— My nie stoimy w kolejkach — odparł wyzywająco grubas, wyjmując cygaro z ust i patrząc na nią zimnymi, wrogimi oczami.

— Tak?

— A tak.

— Rozumiem.

— Więc co zamierzasz z tym zrobić? — warknął groźnie St Pierre.

— Marty, kochanie — mitygowała męża Mandi, uśmiechając się do Celi przesympatycznie.

Champagne zachichotała i wydeła usta.

— Och, Marty, jesteś taki zabawny.

Stojąca w bezpiecznej odległości Kate zobaczyła, że Nat zaśmiał się pochlebnie.

— Słuchaj, paniusiu... Wiesz, kim jestem?

— Wiem.

W restauracji zapadła cisza, wszyscy obserwowali tę scenę. Głos Celi brzmiał jasno i pewnie:

— Obawiam się, że działamy tu na nieco innych zasadach... kto pierwszy, ten lepszy. Nie ma żadnych rezerwacji. To jedyna sprawiedliwa metoda.

W kolejce rozległy się pomruki aprobaty. Marty St Pierre wstał. Górując nad drobną Celią, przysunął czerwoną gębę do jej twarzy.

— Paniusiu, jestem jedyną osobą w tej okolicy, z którą naprawdę nie chciałabyś zadzierać. — Z wściekłości aż się zaślinił. Kate patrzyła na niego z przerażeniem. — A teraz mnie posłuchaj. To ma być ten nowy modny lokal, tak? Więc lepiej traktuj mnie jak trzeba. Bo inaczej — podniósł głos niemal do wrzasku — zamknę was szybciej, niż się otworzyliście!

W restauracji wszyscy wstrzymali oddech. Kate, przesuwając się wzdłuż ściany, próbowała złapać wzrok Celi i dać jej znać, że powinna się wycofać, póki jeszcze może. Nikt by nie miał o to do niej pretensji. Nie mogła znieść myśli, że wpakowała przyjaciółkę w kłopoty.

Ale Celia nawet nie drgnęła. Patrzyła na St Pierre'a twardym wzrokiem.

— Nowy modny lokal? — powtórzyła z niedowierzaniem. — Nowy modny lokal!? Panie St Pierre, cieszę się, że ten

problem można tak łatwo rozwiązać. To zwykła pomyłka. Przyszedł pan do niewłaściwej restauracji.

— Niewłaściwej?! — ryknął Marty. Celia wskazała palcem Cafe de la Place.

— To właśnie jest lokal, o którym wszyscy mówią — powiedziała. — Tam będzie panu o wiele lepiej. Lepsze jedzenie, lepsze wino, wszystko jest tam lepsze. Ludzie przychodzą tu tylko dlatego, że nie mogą się tam dostać.

Rozległy się stłumione chichoty klientów, którzy uciekli z kafejki.

St Pierre burknął coś i zerknął na Cafe de la Place. Panował tam względny ruch — przyjęto w niej wszystkich gości, których nie zdołała obsłużyć hotelowa restauracja.

Marty uderzył fioletowymi, wielkimi jak bochny dłońmi o stół.

— Więc chodźmy tam! — ryknął.

Państwo St Pierre i ich goście ruszyli przez plac do kafejki, gdzie zachwycony właściciel już czekał, aby ich powitać. Celia posadziła klientów z początku kolejki przy pustym stoliku i ruszyła do baru.

— Chryste — jęknęła, sącząc brandy, którą przyniosła jej przyjaciółka. — Co za okropny typ.

— Jestem ci taka wdzięczna — powiedziała Kate.

— Nie ma sprawy. — Celia przymknęła na chwilę oczy. — Jakoś udało mi się go przepłoszyć. A teraz bierzmy się do roboty, dobra?

Kate popędziła do kuchni. Wściekły kucharz nakładał właśnie na talerze obiad dla pięcioosobowej rodziny z Finchley.

Kiedy po kilku minutach Kate wyszła, zobaczyła, że w restauracji wszystko wróciło do normy.

Gitarzyści robili furorę wśród paru zakonnic siedzących przy jednym stoliku.

— Chyba przyjechały z Northampton na rekolekcje. I może także na jakąś inną lekcję... — Celia, znowu w doskonałym humorze, zachichotała, mijając przyjaciółkę z talerzami parującego *bourride*. Chociaż Kate bardzo się starała, nie mogła skupić się na pracy. Kieliszki wyślizgiwały jej się z rąk, kromki chleba

upadały na podłogę, rozsypywała sztuce. Świadomość, że mężczyzna, który ją tak okropnie oszukał, siedzi po drugiej stronie placu, przeszkadzała jej i sprawiała przykrość.

Nie potrafiła się powstrzymać, żeby co chwila nie zerkać na odległą postać w bieli. Nat wyciągnął swoje długie nogi i skrzyżował ręce na piersi. Od czasu do czasu słyszała jego lizusowski śmiech, od którego wszystko wywracało się jej w żołądku. Oczywiście zachowywał się tak obrzydliwie dlatego, że chciał wkręcić się do filmu. Pewnie przez cały czas męczył St Pierre'a o rolę.

Donośny, ostry głos finansisty wibrował w wieczornym powietrzu niczym ryk silników odrzutowca. — Ile razy mam ci to powtarzać?! — wrzeszczał. — Zapomnij o tej pieprzonej tłoczni. To cholerna strata pieniędzy i czasu!

Rozmowy w hotelowej restauracji ucichły, gdy goście się temu przysłuchiwali. Biedna Mandi, pomyślała ze współczuciem Kate.

Ale biedna Mandi też miała już dość. Powoli wstała od stołu. W obu lokalach zapadła śmiertelna cisza.

Nawet gitarzyści przestali grać. I wtedy Mandi wybuchła.

— Sam się odpieprz! — krzyknęła. — Zrobię, co będę chciała, do cholery!

Złapała kieliszek i chlusnęła mężowi winem w twarz.

A potem wstała i ruszyła przez plac. Gdy weszła do Restaurant des Tours, wszyscy klienci zaczęli klaskać.

Po drugiej stronie placu z głośnym zgrzytem odsunięto krzesła od stolika. Marty, Nat i Champagne podnieśli się, zamierzając opuścić lokal.

— I tak jedzenie jest tu do bani — warknął St Pierre. — To szambo, jak cała reszta tej wiochy.

Kiedy Kate zobaczyła, jak Nat długimi krokami opuszcza plac, ulżyło jej i wreszcie mogła się rozluźnić. Więc to by było na tyle, pomyślała. Nieprzyjemne zakończenie nieprzyjemnego epizodu.

Miała nadzieję, że widzi go ostatni raz w życiu.

Rozmowy i muzyka powróciły. Nawet obsługująca stolik z paryżanami Makrela kołysała biodrami, gdy stawiała na blacie



*pate maison*. Pappy spacerował po placu, w czerwonym swetrze mimo ciepłego wieczoru, i rozkoszował się widokiem wypełnionej gośćmi restauracji. Wyraz jego twarzy niemal przypominał uśmiech. Kate patrzyła, jak kiwa odzianą w wełnianą czapkę głową właścicielowi Cafe de la Place, w którym wszystko się gotowało, i zastanawiała się, czy to wszystko nie jest tylko snem.

- A tak przy okazji, mam wspaniałe wieści — mruknęła

Celia, niosąca stos pustych talerzy po zupie. — Troll zniknął. Już od wieków nikogo nie nastraszył.

- Zniknął? — Kate zerknęła w stronę wejścia do baru.

Rzeczywiście, Trolla nie było na jego zwykłym stanowisku. — I dokąd poszedł?

— Bóg jeden wie — odparła Celia. — Według Pappy'ego ostatni raz go widziano, kiedy pomagał tej biednej pani St Pierre znaleźć toaletę. Chyba właśnie tego jej było trzeba, żeby się całkiem nie załamać. Ale o wilku mowa, idą tu.

Kate spojrzała na wejście do baru. Mandi St Pierre promieniała, patrząc na Trolla. Trzeba przyznać, że i on wyglądał o kilka stopni mniej ponuro niż zwykle.

— Dziękuję — mówiła do niego szkolną francuszczyzną. — Był pan bardzo wyrozumiały.

Rozmowa z panem to wielka przyjemność.

Kate przetarła oczy. Teraz już chyba naprawdę ma zwidy.

I omamy słuchowe. Troll wyrozumiały?

Było jeszcze ciemno, gdy się obudziła. Natychmiast zaczęła szukać zegarka. Wpół do piątej nad ranem. Godzina przed świtem. I znowu miała wrażenie, że nie jest sama.

W pokoju panowała absolutna cisza. Rechetanie ropuch w dolinie ucichło jakąś godzinę wcześniej.

Kate wyczuwała tylko ogromne, niemal namacalne napięcie panujące w sypialni. Jej urywany oddech odbijał się gorączkowym echem w ciemnej przestrzeni pod kołdrą.

Strach dudnił jej w skroniach i łomotał w uszach. Gdy na jej sercu zaczął kłaść się uniemożliwiający oddech ciężar, przypo-

mniała sobie, że sam strach jest znacznie bardziej przerażający niż wszystko, czego można się bać.

Powoli wysunęła głowę z dusznej, lecz bezpiecznej ciemności.

Myliła się. Sam strach był niczym w porównaniu z tym, co ujrzała.

Jak poprzedniej nocy, na tle słabego, ale powoli narastającego światła za przeszklonymi drzwiami widać było zakapturzoną sylwetkę. Kate patrzyła z fascynacją na wysoką mroczną postać, emanującą wrogością. Jak wcześniej zjawa i tym razem nie wydawała żadnych odgłosów. Z cienia pod kapturem wyzierały białe kręgi pustych oczodołów i bezzębny uśmiech.

Kate wiedziała, że powinna zachować spokój i porównać tę postać z pozostałymi podejrzanymi. Była wyższa od Marca de Provence'a? Mniej przygarbiona od właściciela kafejki? Mniej krągła od Nicole? Ale jej mózg odmówił współpracy, logika i przytomność umysłu rozpadły się na kawałki.

— Kto to? — wychrypiała. Jej gardło było zupełnie wyschnięte ze strachu.

Postać ani nie odpowiedziała, ani się nie poruszyła. Kate usiadła i spuściła nogę z łóżka.

— Kim jesteś? — Jej głos drżał. — Czego chcesz? Postać wydawała się rosnać. Kate zamarła, gdy uświadomiła

sobie, że zjawa zbliża się do niej. Sunęła powoli, bezgłośnie, a przerażona Kate kulila się na materacu. Podciągnęła nogi i przycisnęła plecy do ściany. Próbowwała oderwać wzrok od czarnej postaci, nie potrafiła jednak przestać patrzeć na to, czego tak naprawdę wcale nie chciała widzieć — na błyskające w cieniu kaptura kości.

Próbowwała krzyknąć, lecz nie wydusiła z siebie nic więcej poza łamiącym się piskiem. Ciemna postać była już tuż-tuż. Kate zobaczyła szeroki uśmiech czaszki. Pisnęła ze strachu i zanurkowała pod kołdrę, spodziewając się, że zaraz poczuje zimną, twardą i martwą kość na swoim żywym ciele.

Kiedy znowu wynurzyła się spod kołdry, miała sztywne i zdrętwiałe dłonie, tak mocno je zacisnęła na głowie. Prawdopodobnie leżała w takiej pozycji przez dłuższy czas. Wysławiała ostrożnie twarz i zobaczyła słońce rozlewające się po jasnej drewnianej podłodze. Powietrze na zewnątrz było błękitne i pełne ptasiego śpiewu. Zjawa zniknęła.

Po kilku minutach głębokiego uspokajającego oddychania Kate postanowiła wstać i zabrać się do roboty. Za dnia dom nie był przerażający. Praca pozwoli jej oderwać się od złowrogich myśli, a miała sporo do zrobienia. Minęło kilka dni, odkąd zafundowała rezydencji hrabiny porządne sprzątanie. Kręcąc się po domu, zauważyła, że wszędzie jest pełno kurzu. To przez ten suchy klimat, pomyślała. Leżał cienką warstwą na podłodze w salonie, pokrywał ramy obrazów i tańczył jak bąbelki w szampanie na złotych krawędziach snopów słonecznego światła wlewającego się przez okna. Nawet światło w szklanej klatce schodowej wydawało się przytłumione.

Tym razem Kate postanowiła sprzątać według ulepszonej metody mamy i babci, zaczynając od góry domu i schodząc ku dołowi. Najpierw pracownia Fabiena, który sam mówił, że należałoby tam posprzątać. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić. Na pewno uda jej się powstrzymać bałagan, przewalający się przez jego pracownię jak wzburzone fale Missisipi. W ten sposób podziękuje mu za wspaniały lunch, którym ją ugościł. Z mopem, wiadrem, ścierką do kurzu i całym arsenałem środków czyszczących ruszyła po schodach. Rozpierała ją radość. Czyż jest lepszy i bardziej praktyczny sposób podziękowania Fabienowi za najcudowniejsze popołudnie w jej życiu? Poukłada pędzle, poustawia farby i uporządkuje blat stołu na kozłach. Poświęci kilka najbliższych godzin na przemianę tego leja po bombie w spokojne, uporządkowane miejsce pracy. Posprząta tak porządnie, jak jeszcze do tej pory nie sprzątała.

Nigdy dotąd perspektywa spędzenia czasu przy ścierce do kurzu i szczotce nie wydawała się jej tak romantyczna. Prawie biegiem ruszyła na ostatnie piętro, zdecydowana polerować pracownię Fabiena, aż pokój będzie lśnił jak lustro.

Po dwóch wyczerpujących godzinach pracy przysiadła na obolałych piętach. Pomyślała, że babcia i mama byłyby z niej dumne. Tarła drewniany blat stołu, aż zaczął lśnić, odkurzyła

wszystko i wytarła, a potem zapakowała walające się wszędzie rupiecie do podniszczonych pudeł i skrzynek. Zaostrzyła stępione ołówki, ułożyła farby według kolorów tęczy i wyrzuciła stosy wysmarowanych farbami gazet, które leżały na brudnej podłodze. Poskładała zwoje kolorowego materiału, posortowała pocztówki, a wydarte z czasopism obrazki o pozaginanych rogach poukładała w schludnych stosikach.

Potem zabrała się do płócien. W porównaniu z resztą rzeczy w pracowni były całkiem porządnie poustawiane. Ale Kate doszła do wniosku, że można je ustawić bardziej pionowo, żeby zajmowały mniej miejsca. Przerwała na chwilę pracę, by nacieszyć się swoim portretem, który tak naprawdę wcale nie był jej portretem. „Zawsze prześladowały mnie pewne twarze — powiedział Fabien. — A ta była jedną z nich”.

Znowu zabrała się do pracy. Kolejne portrety Odile: uśmiechającej się, surowej, nagiej, ubranej. Szkic placu — najwyraźniej był to Place de l'Eglise — z trzema znajomymi postaciami z boku. Uśmiechnęła się do siebie. Było to ponure trio hotelarzy: Makrela, Pappy i Troll.

Jej zadowolenie okazało się krótkotrwałe. Kiedy odwróciła następne płótno, aż jej dech zaparło. Portret został namalowany z typową dla Fabiena beztroską, ale Kate natychmiast rozpoznała twarz o czarnych oczach i pełnych ustach. Smukłe, długonogie ciało, całkiem nagie, duże jędrne piersi. To była Nicole.

Kiedy pierwszy szok minął, Kate uważnie obejrzała obraz. Przedstawiona na nim dziewczyna była bardzo piękna i godna pożądania. Sposób, w jaki ją namalowano, był aż naładowany seksem.

Wyciągała się kusząco na tle wzburzonej pościeli, lekko wyginając plecy, i uwodzicielsko patrzyła na malarza. Wyraz jej twarzy nie przypominał spojrzenia typowej modelki. Królowa nigdy nie patrzyła w ten sposób na Luciena Freuda. A przynajmniej nikomu nic o tym nie było wiadomo.

Co zaszło między tą dwójką? Nicole była tu, naga, sam na sam z Fabieniem — właśnie w tej pracowni. Kate podejrzliwie spojrzała na szezlong, z którego wcześniej zdjęła pogniecioną pościel i złożyła z myślą o zaniesieniu do prania.

— Kate!

Nie słyszała, kiedy wszedł. Płótna uderzyły głośno o siebie, gdy odwróciła się tak gwałtownie, że aż zabolą ją mięśnie szyi. W progu stał Fabien. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

— Znalazłaś mój portret Nicole.

— Jest bardzo piękna — mruknęła Kate.

— Przepiękna — poprawił ją Fabien.

Powiedział to tonem pełnym czci. Zazdrosne uszy Kate usłyszały też w jego głosie żal. Natychmiast wyciągnęła najbardziej oczywiste i nieprzyjemne wnioski. Pewnie zerwali ze sobą niedawno. Kto z kim? Czyżby Fabien przeżył zawód miłosny? Ale czy mężczyźni ze złamanymi sercami urządzają innym kobietom takie popołudnia jak to wczorajsze? Przepływające jej przez głowę niczym jasna wstęga wspomnienia wydawały się kryć w sobie wiele możliwości. Jednak najwyraźniej były to tylko możliwości, nic więcej.

Kiedy patrzyła, jak młody malarz podziwia własny obraz, przyszło jej do głowy potworne podejrzenie — że wcale ze sobą nie zerwali. Wczoraj Fabien zabrał ją ze sobą tylko po to, żeby się nieco zabawić. W każdym rozumieniu tego słowa. Pewnie był to tylko gorący epizod — równie ulotny i niekonkretny jak morska bryza.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś takim jej wielbicielem — stwierdziła sztywno, przypominając sobie, jak obcesowo potraktował Nicole, gdy spotkali ją na ulicy.

A nawet niegrzecznie. Powiedział, że to wariatka. Teraz było jasne, że tylko blefował. Fabien wzruszył ramionami.

— Byliśmy razem, jeśli o to pytasz — powiedział. — Ale to już skończone.

Kate aż skreśliło z zazdrości. Skończone, tak? Naprawdę się spodziewał, że mu uwierzy? Czy związki z kobietami, które wyglądają jak Nicole, kiedykolwiek naprawdę się kończą? Wątpiła w to. Chyba że jest się Trollem i żaden związek w ogóle nie ma szans zaistnieć.

Jej gorzkie myśli przerwało głośne sapnięcie Fabiena, który zdumiony rozglądał się po pracowni.

— To niemożliwe — wymamrotał do siebie.

Twarz Kate przybrała wyraz powściągliwego oczekiwania. W końcu była to chwila jej triumfu.

Uczciwie sobie na nią zapracowała. Patrzyła, jak Fabien chodzi po pokoju, wyciąga pudła i grzebie w nich.

— Nie może być! — powtórzył. Teraz mówił już głośniej, prawie zrzędliwie.

Kate zamrugła. Coś w tym scenariuszu nie pasowało do jej wyobrażeń. Zamiast zachwycić się efektem jej wysiłków, Fabien wyglądał na zdenerwowanego. A nawet wściekłego.

Spojrzał na nią płonącymi oczami, ale nie był to płomień pożądania czy uczucia jak wczoraj.

— Czemu to zrobiłaś? — zapytał ściszym głosem. Zaczęła w niej narastać panika.

— Pomyślałam, że... lepiej będzie ci się pracować... Ja tylko... trochę posprzątałam...

— Posprzątałaś? Trochę?! — Niemal wypluł te słowa, jakby to była żółć.

Cała krew odpłynęła z jego twarzy — teraz bladej i zaciętej.

— Przecież mówiłeś, że taki tu bałagan. Złapał się za włosy.

— Tak, ale nie miałem na myśli... — Ręce mu opadły. -Wszystko zniszczone — stwierdził z rozpaczą.

— Zniszczone? — powtórzyła przerażona Kate. Zrobiło się jej niedobrze.

— Ale ja tylko chciałam ci pomóc. Ułożyłam farby. Naostrzyłam ołówki.

— Naostrzyłaś moje ołówki! — krzyknął Fabien. — Nic wiesz, że niektóre były specjalnie stępione?

A co do farb, to teraz już zupełnie nie wiem, gdzie co jest. I wyrzuciłaś gazety, które mi przypominały, ile jakiego koloru potrzeba, żeby uzyskać określony odcień.—Jego oczy błyszczały, a usta miał

zaciśnięte z wściekłości. — Czasopisma i materiały, które zbierałem, bo dostarczały mi tematów! — krzyknął znowu. — Nawet to sprzątnęłaś!

Kiedy tak stał, jęczał i wyrывał sobie włosy, Kate doszła do wniosku, że sprząatanie tego pokoju nie było dobrym pomysłem. Teraz to rozumiała. Ale miała dobre intencje, a Fabien zdecydowanie przesadzał.

— Nie miałam złych zamiarów — broniła się. — Myślałam, /e to ci się spodoba.

— Spodoba?! — wrzasnął Fabien. — Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? Zniszczyłaś moją pracownię! Teraz już nie mogę lu malować.

Uznała, że naprawdę przesadził z tą artystyczną histerią. Na miłość boską, w końcu spędziła tu na kolanach cały ranek. Czy lo się w ogóle nie liczy?

— Och, przestań dramatyzować — warknęła, wyprowadzona z równowagi kpiącym, triumfalnym spojrzeniem Nicole z obrazu na drugim końcu pracowni.

Fabien stanął przy stole, z przerażeniem gapiąc się na jego klinicznie czysty blat.

— Gdzie moja czaszka?! — ryknął. — Coś ty z nią zrobiła?

— Nic! — wrzasnęła Kate. — Nie widziałam tu żadnej cholernej czaszki. Poza tą, którą masz na karku.

Spojrzał na nią z lodowatą furją.

— Wynoś się — warknął. — Wynoś się stąd natychmiast. Dość już zniszczyłaś. Wynoś się!

— Z przyjemnością — odparła Kate.

Odwróciła się na pięcie i wypadła z pracowni, zostawiając cały arsenał środków czystości na lśniącej drewnianej podłodze. Kiedy ze złością zbiegała po schodach, usłyszała klekot i trzask — to Fabien z furją kopał butelki.

## Rozdział 25

— *Bonjour, mademoiselle!*

Wstrząs, jakiego doznała, słysząc to przyjacielskie powitanie Makreli i widząc jej szeroki uśmiech, sprawił, że omal nie spadła ze schodów, gdy czerwona ze złości wybiegała z domu hrabiny. Przez chwilę w oszołomieniu gapiła się na szerokie, zgarbione plecy starej kobiety, idącej przez Place de l'Eglise z ciężkimi, podzwaniającymi torbami. Najwyraźniej Makrela udawała się do banku.

— *Mademoiselle* — odezwał się nagle ktoś obok, gdy Kate szła szybko przez plac, wpatrując się w bruk, aby powstrzymać łzy wściekłości.

Podniosła wzrok i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyła Trolla, niosącego pudło z narzędziami. Miał na sobie zadziwiająco radosną żółtą koszulę. Wykrzywił usta w dziwaczny sposób i Kate domyśliła się, że miało to oznaczać uśmiech. A co wydawało się jeszcze bardziej niesamowite, płynął za nim zapach wody po goleniu.

Z ponurą miną ruszyła w stronę podcieni. Cały jej świat się zawalił. Nawet Vallonvertowie byli radośniejsi od niej — w każdej chwili spodziewała się zobaczyć Pappy'ego tańczącego kankana przed barem.

Ołowiany ciężar, który kładł się na jej sercu, był zupełnie inny od gorącej wściekłości, jaka ją ogarnęła, gdy odkryła



zdradę Nata. Było to trochę dziwne, bo przecież sytuacja wyglądała bardzo podobnie. Tylko taka idiotka jak ona mogła się łudzić, że Fabien jest inny. Właściwie prawie wcale go nie знаła. A już na pewno nie na tyle, żeby przewidzieć, że pod względem zdolności do uczuć i odpowiedzialności okaże się pustą skorupką, jak zwykła mawiać babcia.

Oparła się o ścianę i uniosła twarz, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Musi wziąć się w garść. Fabien to nic nadzwyczajnego — rozkoszne popołudnie na plaży najwyraźniej było jednym z wielu, które spędził z podobnymi do niej dziewczynami. Nic dziwnego, że wyszło mu to tak zgrabnie — te wszystkie rarytasy, krzeselka, stolik, koktajle i oczywiście prezerwatywa! Typowy Francuz. A bez wątpienia najbardziej typowa dla Francuzów była umiejętność doprowadzania dziewczyn do tego, że same wszystko z siebie zrzuciły.

Pociągając nosem, wcisnęła obie ręce do kieszeni džinsów. Opuszkami palców wyczuła w nich małe kamyki. Przypomniała sobie: to ziemia z północy, którą przysłała jej babcia. Nie miała wątpliwości, że pochodzi ze sklepu ogrodniczego i nie jest bardziej północna niż Fabien, ale nie w tym rzecz.

Uśmiechając się, spojrzała na wstążkę błękitnego nieba widoczną między domami. Jeszcze się nie poddała.

Powłokła się do biura „Gazety”. Miała nadzieję, że Crich-tonowi już przeszła cała ta ekscytacja zjawą w domu hrabiny. A jeśli nadal się nią ekscytuje, może odda jej jakiś własny ciekawy temat. Jak na razie nawet się nie otarła o festiwal filmowy. Poza przyjęciem, na którym była podczas pierwszej nocy, rzecz jasna.

Ku swojemu zdumieniu zobaczyła mały tłumek przed oknem biura. Co mogło tak zainteresować ludzi? W oknie nie wisały nawet stare zdjęcia jak w „Wychodniku”. Ale po chwili rozpoznała żółte czapki z daszkami. Była to wycieczkowa grupa Crichtona z Birmingham. Wszyscy zgrzani i spoceni — z pewnością stali tu już od dłuższej chwili.

— Czekacie na Crichtona? — zapytała. Kobieta od ravioli pokiwała głową.

— Nie wiemy, gdzie się podział. Miał nas dziś rano zabrać do muzeum perfum w Grasse. Bardzo chcieliśmy tam pojechać.

— Na pewno w końcu się zjawi, tylko musicie poczekać -uspokoila ich Kate.

— Czekać! — zawołała duża blondyna. — Czekamy już ponad pół godziny. Kazał nam przyjść koło jedenastej. Teraz już jest za dwadzieścia pięć dwunasta.

Jej słowa potwierdził pełen niezadowolenia pomruk. Crichtonowi groził bunt.

— Niech to cholera — dodała kobieta o oberżynowyci włosach. — Tak się cieszyłam na tę fabrykę perfum. Zamierzałam zrobić tam bożonarodzeniowe zakupy.

— Ale przecież dopiero jest maj — zdziwiła się Kate.

— Nawet mi nie mów. W tym roku późno się do tego zabrałam. Zwykle o tej porze wszystko już mam popakowane i opisane.

Wysoka blondynka spojrzała na zegarek i westchnęła.

— Wasz przewodnik na pewno zaraz przyjdzie — zapewniła je Kate. — Musi. Chyba że coś mu wypadło.

Może właśnie pojawiła się ostatnia szansa na wywiad na wyłączność dla „Gazety” z Catherine Zeta-Jones? Mało prawdopodobne. Jak do tej pory, próby Crichtona załatwienia dla gazety wywiadów z gwiazdami nie przyniosły żadnych sukcesów. Spoglądanie na jasną, ruchliwą rue du Midi nie poskutkowało pojawieniem się Crichtona. Niechlujna postać w poplamionej lnianej marynarce nie chciała się zmaterializować. Kate postanowiła wejść do środka i tam poszukać wyjaśnienia nieobecności naczelnego.

Ku jej zdziwieniu drzwi do biura były otwarte. W środku panował jeszcze większy nieład niż zwykle. Wszystko wskazywało na to, że Crichton wychodził w wielkim pośpiechu. Słuchawka była zdjęta z widełek, a obok przewróconego kubka z kawą na wynos leżała niedojedzona bułeczka z rodzynkami. Brązowy płyn kapał na stos nieotwartej poczty. Kate dotknęła

kawy palcem i odkryła, że jest jeszcze ciepła. Crichton najwyraźniej dopiero co tu był i z jakiegoś powodu wypadł z biura jak szalony. Dziwne. Zwłaszcza że spodziewał się przyjścia swojej grupy. Odkładając słuchawkę, zauważyła, że ktoś wyciągnął szufladę po lewej stronie biurka. Leżała przewrócona na podłodze w otoczeniu sterty papierów, książek i innych rupieci. Kate rozpoznała biografię Esther Rantzen, książkę, która zdaniem Crichtona lepiej od kłódki chroniła zawartość szuflady przed intruzami. Przegrzebała wywalone na podłogę papiery, ale nie znalazła wśród nich teczki z naklejką ostrzegającą przed promieniowaniem. Gdziekolwiek Crichton pojechał, musiał ją zabrać ze sobą.

Nagle zauważyła swoje imię na karteczce opatrzonej napisem „Do wysłania”, przyklejonej do broszury na temat jakiegoś muzeum pałacu Cascari, znajdującego się w Nicei. „Kate — nabazgrał Crichton na naklejce — coś do kolumny *Tu i ówdzie*”. Najwyraźniej następna zaplanowana dla niej robota również nie dotyczyła festiwalu filmowego. Miała opisać ponury gmach, na którego parterze według broszury mieściła się zrekonstruowana siedemnastowieczna apteka. Fascynujące.

Ale z drugiej strony miałyby co ze sobą zrobić. Fabien na pewno kopał jeszcze w ślepej furii płyny do mycia okien i podłóg, więc nie miała po co wracać do domu Odile. I prawdopodobnie tak już zostanie — kłótnia z Fabieniem raczej nie przysporzy jej sympatii hrabiny. Jak tylko Odile wróci, Kate straci pracę, a może nawet wcześniej.

Postanowiła nie myśleć o tym teraz. Najpierw musi pomóc szefowi, który dał plamę — jeszcze gorszą niż ta po kawie.

Podeszła do drzwi, po drodze zdejmując z tablicy zdjęcie z niecenzuralnym napisem na czole szefa. — Wejdźcie — powiedziała do wycieczkowiczów. — Nie stójcie na słońcu.

Szurając nogami, weszli do biura i całkowicie wypełnili niewielkie pomieszczenie. Kate odkryła w brudnej kuchni zapas zbrylonego mleka w proszku w zardzewiałej puszcze, starą

herbatę ekspresową i zapas plastikowych kubeczków. Kiedy dostali herbatę, nieco się udobruchali, zwłaszcza gdy Kate znalazła paczkę starych herbatników Jammie Dodgers, na której widniał adres: „Angielskie imperium spożywcze u Ethel, rue de Londers 3, Antibes”.

Czekali i czekali. W końcu, kiedy już całkiem stracili nadzieję na pojawienie się Crichtona, Kate zasugerowała im, żeby zwiedzili muzeum Picassa w Antibes. Wyteżyła pamięć, przypominając sobie jazdę z Fabienem, i zdołała im nawet wytłumaczyć, jak mają tam dotrzeć. Zadowoleni wyszli z biura „Gazety” i Kate została sama.

Nękana wspomnieniami pierwszego cudownego wieczoru z Fabienem, gdy w drodze do Hotel du Roc przejeżdżali pod blankami zamku Picassa, stała zamyślona w progu jeszcze przez dłuższą chwilę po odejściu grupy.

W końcu usiadła przy zaśmieconym biurku Crichtona. Zostawił zapalniczkę w kształcie nagiej kobiety, co było dość dziwne. Obok niej leżał pęk kluczyków samochodowych. To robiło się coraz bardziej interesujące. Dokądkolwiek udał się naczelny ze swoją tajną teczką, poszedł tam na piechotę. Kate wiedziała, że to kluczyki od zniszczonego, zakurzonego niebieskiego renaulta, którego Crichton parkował za rogiem. Samochód był tak brudny, że dowcipnisie ze Sainte Jeanne pisali w grubym kurzu na masce *Nettoyez-Moi*.

W zamyśleniu przyjrzała się kluczykom. Skoro Crichton był zajęty gdzie indziej, na pewno nie miałby nic przeciwko temu, żeby pożyczyła jego samochód i pojechała do muzeum Cascari, prawda? Zwłaszcza że właśnie uratowała mu tyłek. I tak nie pojeździłby dzisiaj samochodem — zbliżała się pora lunchu, a o tej godzinie zwykle nie był już w stanie prowadzić. Właściwie to nawet nie był w stanie chodzić.

Był słoneczny dzień i myśl o jeździe do Nicei nadmorską drogą kusila. Poza tym przyzwyczajanie się do jazdy po prawej stronie oderwie jej myśli od niedawnych smutnych wydarzeń. Wstała, wzięła kluczyki, zamknęła drzwi do biura i ruszyła do samochodu.

W Nicei zaparkowała przy Promenade des Anglais. Szła szeroką słoneczną aleją, owiewana wesołym wietrzykiem, i podziwiała błękitną zatokę. Poczuła, że ta wspaniała sceneria działa jak balsam na jej zboląłą duszę. Może sprawy ułożyły się źle, ale przynajmniej stało się to w naprawdę pięknym miejscu.

Broszurka informowała, że pałac Cascari znajduje się na Starym Mieście. Po kilku złych skrętach i źle zrozumianych wskazówkach znalazła się w labiryncie starych, wąskich uliczek, wijących się pomiędzy ciemnymi, wysokimi jak klify kamienicami. W oknach wyższych pięter wywieszane było pranie. Wyczuwało się tu atmosferę dawnych pirackich czasów i romantycznych przygód.

Uliczka, przy której stało muzeum, była jeszcze ciemniejsza od pozostałych. Kate pospiesznie ruszyła zimnym, wilgotnym zaułkiem, z obawą zerkając na wynurzające się od czasu do czasu z cieni postacie. Wysoko nad nią, w wąskiej przestrzeni między murami, które znajdowały się tak blisko siebie, że można by sobie podawać ręce nad ulicą, widać było gorące błękitne niebo. Zupełnie jakby się patrzyło z dna studni, pomyślała Kate.

W ponurym ciągu budynków pałac wyróżniał się ozdobnym frontem. Jego okna otaczały płaskorzeźby, a nad drzwiami znajdował się wielki kamienny herb. Jednak żaden zewnętrzny splendor nie mógł ukryć ponurości i grozy, jaką budził.

Weszła na sklepiony dziedziniec. Po prawej znajdowała się apteka. Kate zadrżała, widząc arzenik i wilczą jagodę wśród nazw wypisanych na porcelanowych naczyniach. Skojarzenia z gwałtowną śmiercią ostatecznie określały atmosferę tego miejsca. Tak samo jak niesamowity, przypominający upiора asystent w recepcji.

Broszurka, którą podał jej kościstymi żółtymi palcami, zawierała więcej informacji niż ta od Crichtona. Dowiedziała się z niej, że pałac Cascari został wybudowany przez Jeana de Cascara, bogatego siedemnastowiecznego kupca. Dom wzniesiono wokół głębokiego niezadaszonego atrium, gdzie — podobnie jak na ulicę, przy której stał — nigdy nie docierało słońce. Od brukowanego frontowego podwórza ciągnęły się

szerokie schody z białego marmuru, które wchodziły do budynku i prowadziły na wyższe piętra. Sufity klatki schodowej pomalowano w stylizowane czerwone i białe liście, przeplatane tarczami z krwiożerczym czarnym orłem. Był to herb Cascary, jak przeczytała w broszurce. De Cascarowi może nie brakowało pieniędzy, ale według Kate nie miał dobrego gustu. Wnętrza pokoi gościnnych były przeładowane ozdobami i złotem. Pewnie ich urządzeniem zajmował się jakiś siedemnastowieczny odpowiednik Marca de Provence'a, pomyślała. Subtelność na pewno nie leżała w jego naturze. Na klaustrofobicznych sufitach roilo się od postaci z legend. Po jednym z nich biegła pulchna naga kobieta, najwyraźniej przerażona i rozgorączkowana — nic dziwnego zresztą, bo obie jej ręce zamieniły się w konary. Wszystkie pokoje były zagracone i ciemne, panowała w nich dziwna duszna atmosfera. Przez wypukłe zielone szyby z pęcherzykami powietrza niewiele było widać z zewnętrznego świata. Samemu z pokoju nie można było wyrzeć, za to czuło się na sobie kamienny wzrok portretów. Wchodząc do przedpokoju, Kate znalazła się pod ostrzałem spojrzeń plutonu wściekłych mężczyzn i pomyślała, że nawet jeśli ich spojrzenia nie powędrowały za nią, to z pewnością powędrował ich gniew. Cały dom wydawał się promieniować tłumioną furją. W kaplicy — maleńkim, pozbawionym okien pomieszczeniu pomalowanym na cielisty kolor plastra opatrunkowego, pełnym starych połączonych relikwiarzy i butwiejących draperii — panowała szczególnie przytłaczająca atmosfera. Słodkawo-kwaśny zapaszek wędnących w wazonach kwiatów wypełnił nozdrza Kate. Na wysadzonym kryształami krzyżu wisiała postać obficie krwawiącego Chrystusa. Wspaniałość krzyża w żaden sposób nie zmniejszyła Jego cierpienia. Stojąc przed połączonym ołtarzem, Kate przełknęła ślinę, znowu czując czyjeś spojrzenie na plecach. Ale to niemożliwe. Zjawa nie mogła jej śledzić. Przeszedł ją dreszcz i szybko wyszła z kaplicy.

Znalazła się w brzydkim musztardowożółtym korytarzu, przechodzącym przez kilkoro drzwi na dziwnie długich zawiasach. Kate krzyknęła z zaskoczenia i strachu, gdy nagle znikąd pojawiła się jakaś postać, dołączyła do niej i zaczęła iść obok. Zaraz jednak z ulgą uświadomiła sobie, że wzdłuż jednej ze ścian ciągnie się lustro, a druga postać to tylko jej odbicie.

Pomyślała, że najwyższy czas wyjąć notatnik i wziąć się w garść. I skupić na czekającym ją zadaniu. Miała opisać najciekawsze pomieszczenia pałacu — zakładając, że w ogóle uda jej się takie znaleźć. Wyciągnęła długopis i rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co warto polecić uwadze zwiedzających. Musztardowe przejście prowadziło do wspaniałej, chociaż ponurej sypialni. Na jej końcu znajdowała się alkowa z rzeźbionymi połączanymi kariatydami. Za sięgającą od podłogi do sufitu ścianką z tafli starego szkła o fakturze spękane go lodu, umieszczonej w złoconych, pociemniałych ze starości ramach, stało łóżko z czterema kolumnkami i baldachimem w kolorze zakrzepłej krwi. Wchodziło się tam przez podwójne drzwi w szkło. Kate zastanawiała się, ile osób przeszło przez te drzwi, żeby zasnąć już się nie obudzić. Nigdy jeszcze nie widziała miejsca, w którym morderstwo byłoby bardziej prawdopodobne.

Jej serce znowu gwałtownie zabiło. Tym razem była pewna, że to nie oczy postaci z obrazów wwiercają się jej między łopatki. Ktoś — albo coś — stało za nią w pokoju.

Odwróciła się powoli. Nic.

Podeszła do wyjścia z sypialni i zerknęła na korytarz. Znowu nic. Ruszyła szybko z powrotem tą samą drogą, którą wcześniej przysła. Pokój z groźnymi portretami był pusty. Tak samo jak pokoje z sufitami, po których biegały dziewczice przeżywające ogrodnicze koszmary. Kate marzyła, żeby w muzeum pojawili się jacyś przyjaźni turyści, jowialni Amerykanie, żartujący z malowideł albo głośno komentujący sceny przedstawione na gobelinach.

Ale nikt się nie pojawił, nikt nie przerwał opatulającej wszystko wiekowej ciszy. Nawet dźwięki z ulicy nie zdołały

przebić się przez szczelnie zamknięte okna. Nie licząc upiora za biurkiem na parterze, najwyraźniej była w pałacu Cascari całkiem sama.

Zatrzymała się przy kolejnych drzwiach w przejściu. Były podparte, żeby się nie zamykały. Gdy wciągała w płuca duszny zapach kurzu, wyczuła za sobą nagły ruch. Coś ją złapało mocno za rękę nad łokciem i usłyszała piskliwy krzyk. Był to jej własny krzyk.

Zobaczyła różowe i pomarańczowe plamy przed oczami — spanikowała. Nagle odezwał się w niej instynkt samozachowawczy. Wyrwała się i zaczęła biec. Jej serce waliło jak oszalałe do wtóru stukającym o podłogę piętom. Ozdobne złocenia, gobeliny i malowane sufity Jeana de Cascara rozmazywały się Kate przed oczami, kiedy pędziła z powrotem przez pokoje gościnne. Czy naprawdę słyszała ciężki łopot za plecami, czy tylko jej się wydawało?

Miała nadzieję, że biegnie w kierunku schodów, ale wylądowała w kaplicy z wykrwawiającym się Chrystusem. Zawróciła do musztardowego korytarza i popędziła obok swojego odbicia. Miała ogromne, rozszerzone strachem oczy.

Ale teraz w lustrze poruszało się nie tylko jej odbicie. Razem z nią korytarzem biegła wysoka, odziana w długi czarny płaszcz postać, ściskająca kaptur przy szyi pod bielejącą w głębi czaszką. Zjawa z domu hrabiny.

Kate runęła do przodu, wzięła gwałtownie zakręt i wylądowała w ponurej sypialni. Za późno zdała sobie sprawę, że z tego pokoju nie ma drugiego wyjścia. Były tylko drzwi w szklanej ścianie, prowadzące do kojarzącej się z morderstwami alkowy.

Szybko rozejrzała się po pokoju. Czy nikt nie wiedział, co się tutaj dzieje? Nie zamontowali tu żadnych kamer? Ale nigdzie nie spostrzegła uspokajającego błysku obiektywu ani czerwonego światełka. Bardziej wyczuwając niż widząc zakapturzoną postać stojącą w progu sypialni, chwyciła rzeźbioną złotą klamkę podwójnych drzwi w szklanej ścianie. Po kilku energicznych szarpnięciach udało jej się je otworzyć.



W powietrzu unosił się zapach starego zakurzonego materiału. Okno na prawo od łóżka — jak obawiała się Kate — wychodziło prosto na studnię atrium. Pokój znajdował się na wysokości co najmniej trzeciego piętra, więc od ziemi dzieliło ją jakieś dwadzieścia metrów.

Przełknęła ślinę. Przez wiekowe szkło za plecami widziała zniekształcony kształt zakapturzonego napastnika. Zjawą zbliżała się szybko. Zrozpaczona Kate zaczęła majstrować przy klamce okna i po chwili gwałtownie je otworzyła. Poniżej ziała wilgotna przepaść wyłożonego brukiem atrium. Skok przez okno oznaczał pewną śmierć.

Ale na lewo od niej, pod kątem prostym do okna, boczna ściana atrium otwierała się na jedno z półpięter klatki schodowej. Musiałaby tylko przeskoczyć na nie z parapetu sypialni i przejść przez balustradę. Jednak kąt skoku był dość niewygodny. Spojrzała w przepaść. Jeśli zachwieje się albo nie da rady skoczyć dość wysoko i daleko...

Nigdy nie radziła sobie za dobrze z wysokościami i skakaniem. Ani ze sportem w ogóle.

Za jej plecami koścista ręka zagrzechotała o szklane przepierzenie. Kate wspięła się na parapet i skoczyła.

## Rozdział 26

Wylądowała prosto na głowie orła ozdabiającego mozaikę podłogową półpiętra. Z obolałą kostką — przy lądowaniu jej noga wykręciła się pod dziwnym kątem — popędziła w dół szerokimi marmurowymi schodami, a potem dziedzińcem na cienistą uliczkę. Usłyszała za sobą protesty upiornego urzędnika, który był przekonany, że przeprowadzi z nim wywiad, i teraz patrzył głęboko osadzonymi żółtawymi oczami, jak znika jego szansa na kwadrans sławy.

Kate biegła, utykając, aż opadła z sił.

Rzuciła się w płamę słońca, jakby to był azyl, i zatrzymała na chwilę, żeby ulżyć ciężko pracującym płucom i bijącemu jak szalone sercu. Ostrożnie poruszyła nogą w kostce. Skręciła ją, ale nie złamała. Stała na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic ze sklepami. To nieprawdopodobne, że życie toczyło się tu zwykłym rytmem, podczas gdy ona parę metrów dalej musiała uciekać przed pewną śmiercią. Uniosła twarz ku słońcu i popatrzyła na mijających ją przechodniów. Po pałacowej grozie cieszyła ją ludzka krzątanina i kolory.

Wokół niej wesoło łopotwały restauracyjne markizy, wyszywane cekinami T-shirty mrugały ze sklepowych wieszaków, na wystawie sklepu z winami stały błyszczące butelki, a przed

sklepem mięsnym połyskiwał złociście powoli obracający się rożen z przypiekającymi się kurczakami. Kate ze smutkiem przypomniała sobie popołudnie na plaży, kiedy jadła takiego kurczaka. I wtedy zobaczyła wysoką postać w czapce z daszkiem, odzianą od stóp do głów w charakterystyczną jaskrawą kratkę. Marc de Provence.

Żołądek podjechał jej do gardła. Więc to on był zjawą w kapturze? Tak desperacko chciał chronić swoją tożsamość — a może nawet kilka tożsamości — że gotów był ją zabić? Wydawało się to nieprawdopodobne. Czyżby ten śmieszny facecik przebrany za Cholmondeley-Chatswortha włożył jeszcze jedno przebranie — tym razem zakapturzonego mnicha? Ale dlaczego w takim razie ją ścigał, a najwyraźniej to robił? Na pewno zamierzał dokończyć to, co zaczął. Patrzyła ze zgrozą, jak przepycha się między turystami i ludźmi robiącymi zakupy. Ze strachu miała całkiem sucho w ustach. Chociaż nie mógł jej już zepchnąć z parapetu, na pewno wymyślił jakiś inny sposób. Może użyje strzykawki z trucizną. Albo broni.

Zaczęła z krzykiem uciekać. Utykając, wmieszała się w tłum. , Przepychała się między ludźmi, ignorując wściekle francuskie okrzyki, angielską złość i rzucane od czasu do czasu z amerykańskim akcentem: „Ej, paniusiu, patrz, gdzie idziesz!”. Wbiegła w ruchliwą ulicę przed sobą i wynurzyła się na rojnym rynku.

Z kolejnym bolesnym drgnieniem serca uświadomiła sobie, że pewnie tu właśnie Fabien kupił dla nich piknikowe rarytasy. Pędząc między straganami, widziała rozmazane stopy różnych prowansalskich specjałów. Targowisko wypełniał zapach jedzenia, blask słońca i niespieszni zakupowicze.

Kate mijała ich szybko. Czuła, że zaraz się pod nią ugną kolana, a kostka coraz bardziej rwała. Kate doszła do wniosku, że klapki nie są najlepszymi butami do uprawiania biegów. Mimo że Marc de Provence był ubrany jeszcze bardziej nieodpowiednio, szybko ją doganiał.

Przepychała się między stoiskami, rzucając przez ramię rozpaczliwe przeprosiny. Odwracając się do czasu do czasu,

zauważyła, że ścigający ją dekorator zbiera wszystkie gromy od tych, których potrafiła. Jakaś starsza kobieta zdzieliła go nawet wielką wiązką selerów, a sprzedawca ryb pogroził mu oblepioną łuskami pięścią. Pozostali ze zdumieniem gapili się na ekscentryczną postać Marca de Provence'a, mrużąc do siebie: *C'est un film anglais? De Sherlock 'Olmes, peut-être?*

Wśród morza kołyszających się głów zobaczyła nagle znajomą postać. Niskiego, krępego, łysiejącego mężczyznę z oczami ukrytymi za ciemnymi okularami. Przepychał się przez tłum w pośpiechu, rozglądając się wokół, jakby próbował kogoś znaleźć.

— Ken!!!

Były między nimi pewne nieporozumienia, ale teraz z pewnością jej pomoże. Patrząc z nadzieją w jego stronę, pożałowała każdej nieprzychylnej uwagi, jaką wypowiedziała na jego temat. Miała nadzieję, że naprawiła część szkód, gdy filiżankami cappuccino wzniesli toast po rozmowie o jego matce. Nie widywała go zbyt często od tego czasu, ale zdawała sobie sprawę, że jeszcze sporo pozostało do naprawienia.

— Ken! Och, proszę, odwróć się! Błagam!

Na pewno jej pomoże — choćby ze względu na Celię, jeśli nie ze względu na nią samą. Nie będzie przecież stał i patrzył, jak ktoś ją ściga, żeby zabić.

— Ken! — wrzasnęła, wymachując rękoma.

Ale jej głos utonął w zgiełku. Poza tym mnóstwo ludzi wymachiwało rękoma, wielu z nich próbowało zdzielić Marca de Provence'a. I wtedy Ken nagle się odwrócił.

— Tutaj ! — krzyknęła desperacko Kate.

Kiedy jednak spojrział w jej kierunku, zobaczyła na jego twarzy złośliwy grymas. A potem zasłoniło go dwóch wysokich mężczyzn. Najwyraźniej nadal miał do niej żal. Szukała pomocy u niewłaściwej osoby.

Wielkie dzięki, Ken, pomyślała. Przypomnij mi, żebym ci się zrewanżowała. Oczywiście jeśli tego dożyję. Ale czy tak naprawdę mogła mieć żal do kogokolwiek poza sobą?

Zataczając się, pobiegła dalej. Płuca ją paliły, kostka bolała coraz bardziej. Musi się zatrzymać i zastanowić, co powinna zrobić. Nagły zwrot w odpowiednim momencie może zmylić pogoń. Skreśliła ostro w odgałęzienie głównego ciągu, w hałaśliwą przestrzeń z żywymi kurczakami w drewnianych klatkach i straganami z przetworami w słoikach. Tutejszym sprzedawcom brakowało oglądy tych wcześniejszych, zarówno oni sami, jak i ich towar bardziej kojarzyli się ze wsią. W jednym z kramów urzędowała wielka kobieta, która wyglądała, jakby potrafiła wyginać pnie drzew. Sprzedawała pikle i salcesony, wśród których w samym środku leżała gotowana wieprzowa głowa.

Kate zorientowała się, że popełniła błąd. Nie skreśliła, jak miała nadzieję, w labirynt uliczek Starego Miasta. Wpadła w ślepy zaułek. Podobnie jak w przypadku sypialni pałacu Cascari, nie było stąd żadnego wyjścia. A niech to!

Odwróciła się i popędziła obok straganu z miodami, w którym siedział mężczyzna z ekscentrycznymi, sumiastymi wąsami. Żołądek jej się gwałtownie ścisnął z przerażenia, kiedy za kramem ze świecami i mydłami błysnął triumfalnie monokl Marca de Provence'a.

Kiedy rzucił się na nią, jej pole widzenia wypełniła jaskrawa krata. Zaraz potem coś z wielką siłą uderzyło ją w pierś. — Mam cię! — warknął dekorator.

Oboje polecili ciężko w stronę stoiska z wiejskimi specjałami, ciągnąc za sobą stragan z miodami. Gdy upadli wśród słoików, konfitur, jajek i kozich serów, brzęk tłuczonego szkła przypomniawszy Kate pierwsze spotkanie z Crichtonem w barze Hotel des Tours. Stragan zawalił się pod nimi i runęli na ziemię. Kiedy Kate otworzyła oczy, napotkała spokojne spojrzenie świni. Gotowana głowa, która wcześniej leżała na stoisku z salcesonami, teraz wylądowała obok jej własnej.

Leżąc w upstrzonej oliwkami kałuży miodu, Kate wyjrzała spod Marca de Provence'a i zobaczyła piorunującą ją wzrokiem sprzedawczynię o posturze drwala i wąsie, którym mogłaby konkurować ze sprzedawcą miodu. Kobieta ze złowrogą miną zaczęła podwijać rękawy.

— W nogi! — wysapał Marc de Provence, wstając i ciągnąc za sobą Kate.

W nogi?! Ale dokąd? I to z nim?!

— Dalej! — ponaglał ją dekorator. — Szybko! Zanim ta cholerna kobieta urwie nam głowy i zrobi z nich salceson.

Szarpnął ją w górę i pchnął do przodu.

— Nie mogę — jęknęła Kate. Miała nogi jak z galarety, a kostka paliła ją żywym ogniem. I wtedy usłyszała mrozący krew w żyłach ryk sprzedawczyni. — W porządku — mruknęła. — Może i mogę.

— Masz samochód, nie?! — krzyknął Marc de Provence, kiedy pędzili przez targ. — No to biegnijmy do niego, na miłość boską! Chwileczkę... jej prześladowca z pałacu Cascari prosił ją o podwiezienie? Człowiek, od którego starała się uciec, sam chciał uciec jej samochodem?

— Jasna cholera, chyba sobie żartujesz — wydyszała.

— Wcale nie żartuję. — Zaciągnął ją do zaułka, którego wylot przesłaniał częściowo wielki stragan z warzywami.

— Nie próbowałeś mnie zabić?

— Zabić cię? — Z wrażenia monokl wypadł mu z oka. — Pewnie, że nie próbowałem cię zabić.

— To dlaczego goniłeś mnie po muzeum przebrany za mnicha?

Marc de Provence rozdziawił usta.

— O czym ty mówisz? Nawet nie przechodziłem koło żadnego muzeum.

— Ale...

— Słuchaj, mam gdzieś, kto cię ściga. Mnie też ktoś ściga, jasne?

— Co... ta kobieta od salcesonów?

— Nie tylko ona. — Mówił teraz ściszym głosem. — To coś trochę poważniejszego. Ruszajmy, dobra? — Złapał ją za rękę.

— Ale co to mnie obchodzi? — zapytała ostro Kate, wrywając się z jego uścisku. — Wypchnąłeś mnie z samochodu. Dlaczego miałabym cię gdzieś podwozić?

Sekundę później poczuła na zebrach ucisk czegoś twardego.

— Dlatego — powiedział z leniwym, złym uśmiechem. — Nie podsuwaj mi pomysłu, żebym jednak cię zabił. A teraz do samochodu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Kate dyszała, zbyt przerażona, żeby porządnie złapać oddech. De Provence przegonił ją przez całą Promenade des Anglais.

Auto Crichtona ruszyło z piskiem opon. Wyglądało na to, że podobnie jak jego właściciel, potrafi sprostać wyzwaniom chwili pomimo swego żalostnego stanu.

Marc de Provence opadł na siedzenie pasażera i jęknął głośno.

— Chryste! Niewiele brakowało.

Ale kiedy zerknął we wsteczne lusterko, jego oczy zwięziły się z niepokoju.

— A niech to! — krzyknął. — Jedzie za nami. Dociśnij gaz do dechy, dobra?

Kto jedzie za nami?

— Nie wiem, dokąd mam jechać! — odkrzyknęła Kate. Rząd niskich sklepików i willi wychodzących na morze ustąpił rozległemu skalistemu klifowi, który otaczał port. — Na pas szybkiego ruchu!

Dogania nas! Złapał Kate za kolano i docisnął jej nogę do pedału gazu.

Renault śmignęło obok portu. Kate jak szalona kluczyła między samochodami, próbując je wyprzedzić i nabrać prędkości.

— Środkowy pas, środkowy! — wrzasnął Marc, dociskając jej nogę jeszcze mocniej.

Obciążenie chorej kostki sprawiło, że łzy napłynęły Kate do oczu. Przejechała skrzyżowanie na czerwonym świetle, wjechała na wzgórze i znalazła się na wąskiej drodze, opasującej nadmorskie wzgórze.

— Szybciej, szybciej! — popędzał ją dekorator, zerkając co chwila w lusterko. — Tędy, w górę — dodał, wskazując nerwowo znak z napisem „Haute Corniche”.

Znała tę nazwę. Ta najwyższa z trzech dróg Corniche, prowadząca skalistymi wzgórzami z Nicei do Monte Carlo, była

obowiązkowym punktem programu zwiedzania Riwiery. Kate nie przypuszczała, że obejrzy ją w takich okolicznościach.

Jeszcze nigdy nie jechała tak szybko krętą, wąską drogą. Ale nie miała wyboru, więc docisnęła pedał gazu i modląc się w duchu, ścinała zakręty jak Michael Schumacher. W miarę jak droga się wspiniała, błękitny brzeg Morza Śródziemnego, początkowo biegnący niemal przy samej drodze, odsuwał się i coraz bardziej obniżał. Jedyną rzeczą chroniącą samochód przed stoczeniem się z klifu była barierka ciągnąca się wzdłuż drogi. Dodatkowym zmartwieniem Kate były liczne, bardzo ostre zakręty. Nie można było oderwać wzroku od drogi, żeby zerknąć we wsteczne lusterko.

— Nadal jest za nami? — wy sapła.

— Oczywiście, do jasnej cholery! — krzyknął de Provence. — Mam znowu wyjąć broń? Ruchy, kobieto!

Kate zerknęła w lusterko i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła, że samochód, który jedzie za nimi, to małe niebieskie auto, z trudem radzące sobie ze stromizną drogi. Słońce kładące się na jego przedniej szybie uniemożliwiło jej zobaczenie kierowcy.

Na drodze pojawiła się ciężarówka. Skręcając gwałtownie, Kate z powrotem wjechała na środek jezdni. Z boku migwały drzewa, wille, zbocza z nagich skał i szafirowe morze w oddali. Kate przyspieszyła, ale niebieski samochodzik wciąż był widoczny we wstecznym lusterku.

— Pozbądź się go! — wrzeszczał de Provence. — Niech ci nie siedzi na ogonie. Albo... — Zrobił ruch w stronę kieszeni.

Kate jeszcze bardziej przyspieszyła.

Droga stawała się coraz bardziej stroma, a silnik renaulta brzmiał, jakby za chwilę miał eksplodować. Kate gwałtownie skrzyła kierownicę. Poczula, że opony tracą przyczepność, i zjechała na pobocze. Niebieski samochód przejechał obok nich. Nim ścigający zdołał wyhamować i zawrócić, wjechali tyłem na podjazd jednej z pobliskich willi i schowali się za domem. Po chwili zobaczyli, że niebieski samochód kieruje się z powrotem do Nicei.



— No dobrze — powiedziała Kate, opierając głowę o zagłówek. — Dotrzymałam mojej części umowy. Mogę już odjechać?

Dekorator uśmiechnął się do niej. Nie był to szczególnie uspokajający uśmiech.

— Obawiam się, że nie — odparł. — Chyba jednak będę musiał się ciebie pozbyć. Powiniennem przecież zniszczyć wszystkie dowody, prawda?

Kate przełknęła ślinę. Spojrzała na rozdarcie na suficie i wyglądającą zza poszarpanych brzegów dziury żółtą piankę. Zaczęła się trząść.

— Ale nie martw się — dodał Marc de Provence. — Nie zastrzelę cię, dopóki nie zawieszysz mnie tam, gdzie chcę. Jedź!

Zwolniła hamulec ręczny i wyprowadziła samochód z powrotem na drogę. Dopóki siedzi za kierownicą, jest bezpieczna. Ta myśl dodała jej nieco otuchy. Chociaż chciało jej się krzyczeć, cichutki głos w jej głowie ostrzegał, że powinna grać na zwłokę. Musi rozmawiać ze swoim prześladowcą. Nieraz słyszała, że zakładnikom udawało się wynegocjować w ten sposób własne życie. Wzięła głęboki wdech i spróbowała zapanować nad szczękającymi zębami.

— Skoro zamierzasz mnie zabić, równie dobrze możesz mi powiedzieć — zasugerowała tak spokojnym głosem, jak tylko potrafiła.

— Co takiego?

— Co się dzieje. O co w tym wszystkim chodzi.

— Och, to.

Zauważyła, że teraz mówił ze specyficznym akcentem. Pewnie swoim prawdziwym. To znaczy, że w rzeczywistości nie był ani Markiem de Provence'em, ani Perseusem Cholmondeley-Chatsworthe'em, chociaż i tak nie traktowała tej drugiej ewentualności poważnie. Ale wobec tego kim był? Ciężko jej było myśleć, że trafi do grobu, nie dowiedziawszy się chociaż tego.

— Nie jesteś Francuzem, prawda? — zaryzykowała. — I nie dorastałeś w rezydencji z trzystoma pokojami oraz nawiedzoną toaletą.

Spojrzał na nią, zastanawiając się przez chwilę.

— Nie — przyznał w końcu.

Kate poczuła pewną ulgę. Rozmawiał z nią, a to już dobrze. Musi to wykorzystać, pilnować, żeby nie zapadła cisza.

— Więc kim jesteś? Nie jesteś Markiem de Provence'em i z pewnością nie jesteś też Perseusem Cholmondeley-Chatsworthe'em.

— Nie — odparł. — Jestem Arthur Turtle z Beckenham. Pohamowała rozbawienie. Nie mogła pozwolić, aby poczuł się urażony. — I przed kim uciekasz?

— Przed niskim, grubym, łysym londyńczykiem, który nazywa się Ken Scoggins.

— Przed Kenem?!

De Provence — nie potrafiła zmusić się, żeby myśleć o nim jako o Turtle'u, nie w tym momencie — sprawiał wrażenie mocno zaskoczonego.

— Znasz go?

— Oczywiście.

Ken zostawił ją samą sobie i odwrócił się od niej w godzinie próby na targu. I dlatego teraz miała cholerne kłopoty. Niewątpliwie to dla niej dobra lekcja. W przyszłości mniej pochopnie będzie wyciągała niepochlebne wnioski na temat innych ludzi. Ale z miejsca, w którym się teraz znajdowała, nie było widać żadnej przyszłości.

— To znajomy mojej przyjaciółki Celi. Bardzo bliski. De Provence zmarszczył brwi. I nagle Kate wszystko zrozumiała. — To ty, prawda? — zapytała. — To ciebie szuka? To ty jesteś tym oszustem.

Popatrzył na nią z wyraźną urazą. — Cóż, nie ująłbym tego w ten sposób.

— To ty ukradłeś wygraną matki Kena?

— Ukradłem? Może raczej pożyczyłem...

— Wcale nie jesteś dekoratorem wnętrz, co? — Kate spojrzała na niego oskarżycielsko. — To wszystko było częścią

przebrania, tak? No pewnie. Tylko idiota mógłby uznać, że ten... jak go nazywałeś, barock and roll... to dzieło zawodowca.

Nozdrza de Provence'a rozszerzyły się i Kate poczuła, że znowu ogarnia ją strach. Nie wolno jej zapominać, że ma grać na zwłokę. Jeden fałszywy ruch i... Przełknęła ślinę.

— Miałam na myśli, że...

\_ Oczywiście, że jestem zawodowcem — przerwał jej de Provence. — Zawodowym dekoratorem wnętrz.

— Pewnie, że jesteś.

— Uczęszczałem na zajęcia z malowania w szkole dekoratorskiej przy Eaton Square, prowadzonej przez lady Violet Wincham. Dzięki hojności pani Scoggins.

— Którą spotkałeś w dziale z sałatkami u Harrodsa. — Nieprawda. — Właśnie, że tak.

— Właśnie, że nie.

De Provence wyjaśnił, że stało się to w dziale warzywnym, a nie sałatkowym. To tam wpadł na Elizę Scoggins, osiemdziesięciolatkę o ufarbowanych na fioletowo włosach, w której starych żyłach krew jeszcze wartko płynęła. Sporo wywnioskował z dwuznacznego uśmiešku, z jakim patrzyła na niego, kiedy wziął do ręki wyjątkowo dorodną ekologiczną marchewkę.

Kilka dni później przeprowadził się do jej mieszkania, a reszta to już historia. Eliza Scoggins też przeszła do historii, gdy tylko ją namówił, żeby opłaciła mu kurs w szkole przy Eaton Square i „pożyczyła” pozostałe fundusze na rozkręcenie biznesu. Na swoją obronę dodał, że pani Scoggins otrzymywała to, za co zapłaciła, dopóki był w pobliżu. Nie skąpił jej też swojej świeżo nabytej wiedzy w dziedzinie urządzania wnętrz. Na przykład zasugerował, żeby powiesiła wyżej nowo kupione żyrandole, tak aby przestał cały czas walić w nie głową.

Okazało się jednak, że rozkręcenie interesu wymaga większych nakładów, niż się spodziewał. Cały kapitał pani Scoggins wystarczył tylko na jeden sklep. Oczywiście po tym, jak większość pieniędzy poszła na spłatę pokaźnej sumy jego długów.

Kolejnym problemem, jak poinformował Kate de Provence, okazało się znalezienie odpowiedniego nazwiska, pod którym można by wystartować. Coś, co ludzie rozpoznawaliby i pamiętali. Rzecz jasna wszyscy poza rodziną pani Scog-gins. Jej syn nie był zachwycony ani obecnością, ani wpływem dekoratora na matkę i Marc de Provence podejrzewał, że nic się w tym względzie nie poprawiło, gdy „pożyczka” wyszła na jaw.

Wobec tego zmiana nazwiska stała się najważniejsza. Zastanawiał się nad tym przez jakiś czas. Od chwili, kiedy lady Violet Wincham wyznała mu po jednej z licznych wspólnie spędzonych nocy, że wcześniej była zwykłą Vi Bott. Trzeba jednak przyznać, że dorastała w bliskim sąsiedztwie arystokracji: księcia Wellingtona z jednej strony i markiza Granby'ego z drugiej. To nazwy pubów, wyjaśniła mu, chichocząc.

Odkrycie, że lady Violet wcale nie miała bardziej arystokratycznych korzeni od niego — a właściwe nawet mniej — podsunęło Arthurowi oszałamiający pomysł, żeby zafundować sobie błyskawiczny awans społeczny.

Lubiąca pompę lady Violet zasugerowała mu, żeby został Perseusem Cholmondeley-Chatsworthe'em, który propagowałby rezydencjalny styl i nosił tweedowe pumpy oraz myśliwską czapkę i monokl. Arthur wątpił jednak, czy zdoła udawać arystokratę w Anglii, w dodatku ekscentryka wyglądającego jak pomyłony Sherlock Holmes. Kiedy się nad tym zastanawiał, czekając na piwo w filii Unwins — wymyślił Marca de Provence'a. Udawanie Francuza w Anglii powinno być o niebo łatwiejsze. Mało który Brytyjczyk zna choćby jedno słowo w innym języku niż jego własny, a wielu z nich czasem nawet z własnym ma problemy. Nawet częściej niż czasem.

To, że jego nowe imię zostało wzięte od nazwy marki francuskiej brandy, nie miało najmniejszego znaczenia. „De” brzmiało przyjemnie arystokratycznie i sugerowało, że noszący to nazwisko wywodzi się od Wilhelma Zdobywcy, a nie — jak to było w przypadku Turtle'ow — z rodziny urzędników pocztowych. Potem wystarczyło już tylko założyć stronę internetową pełną zachwyconych komentarzy od nieistniejących gwiazd, których

sławne nazwiska nigdy nie były wymieniane „ze względu na zachowanie prywatności”. Udało mu się w ten sposób przyciągnąć uwagę twórców programu *Celebrity Channel*. Krawcy z Soho uszyli mu fioletowy strój, a intensywny kurs wideo „Różowa pantera” dopełnił dzieła — miał już francuski akcent. Jego znajomość języka sprowadzała się do garści wyrażen, które wplatał do angielskich zdań. Biorąc pod uwagę niechęć jego rodaków do obcych języków, słusznie ocenił, że taka znajomość francuskiego mu wystarczy. To znaczy dopóki nie natknął się na Kate.

Był już gotów do przyjmowania klientów — czy może raczej klientek — kobiet z pieniędzmi, ale bez jakiegokolwiek wiedzy o wnętrzach. Właśnie im miał sprzedawać swoje dekoratorskie pomysły.

Uznał, że barock and roli to najłatwiejsza koncepcja. Kilka metrów satyny, pudełko pinezek, zszywacz biurowy i już. Zdobycie mebli też nie było trudne. Z warsztatu w East End, w którym pracowali pomyleni tapicerzy, można było w ciągu kilku dni odebrać dowolną liczbę obitych brokatem sof i satynowych tronów. Zakład należał do męża jednej z jego pierwszych klientek. W Internecie znalazł złoczone lustra i kinkiety, które wyglądały, jakby pochodziły z siedemnastego wieku, a wykonano je w bułgarskiej fabryce.

Szybko jednak pojawiły się kłopoty. Żony, które marzyły o podobnych wnętrzach, miały zwykle mężów, którzy nie chcieli za to płacić. Najlepszym przykładem było Slack Palisades. Peter Hardstone do tej pory nie wyłożył całej należności za wykonaną pracę, a chłopak Champagne, piłkarz, upierał się, żeby de Provence kupił wszystkie farby w supermarkecie B&Q. W B&Q! Przecież on opracował własny zestaw odcieni — chociaż mieszał je w wiadrze w łazience. Na próżno wyjaśniał Igorowi Blavatsky'emu, że zamierza pomalować dom autorskimi Nocnymi Cieniami. Piłkarz wyśmiał go, jak to Rosjanin,

i stwierdził, że pewnie będzie to dekoratorska wersja Korei Północnej.

Ale to nic, po prostu nic w porównaniu z dniem, kiedy lady Violet zadzwoniła z nowiną, że szuka go syn Elizy Scoggins, Ken. Powiedziała, że dowiadywał się o niego w szkole dekora-torskiej, odkrył stronę internetową i wie wszystko o Marcu de Provencie. W dodatku dyszał żądzą mordu, odkąd dowiedział się o pożyczce Marca i o tym, że na koncie Elizy Scoggins zostało dokładnie trzydzieści pięć funtów.

— Więc od tej chwili — zakończył ponuro de Provence — miałem naprawdę, ale to naprawdę przechlapane. Musiałem opuścić Slack Top. I to szybko.

Niezbyt długo się zastanawiał, gdzie powinien jechać. Dokąd w końcu miał się udać młody mężczyzna — no dobra, stosunkowo młody, poprawił się, widząc spojrzenie Kate — w poszukiwaniu bogatych, znudzonych, łatwowiernych kobiet? Na południe Francji, rzecz jasna. Wybór nowego przebrania też nie nastęczał trudności. Udawanie ekscentrycznego angielskiego arystokraty będzie o wiele łatwiejsze we Francji, gdzie wszyscy się spodziewają, że Brytyjczycy ubierają się podobnie jak Sherlock Holmes.

Tak więc na Riwierze pojawił się Perseus Cholmondeley-Chatsworth. Natychmiast zaczął przeczesywać targi z antykami w poszukiwaniu nowych ofiar. Los chciał, że w ciągu kilku dni wpadł na Mandi St Pierre, która próbowała zdecydować się na jedną z dwóch wiekowych komód. I która, jak się okazało przy drugim albo szóstym drinku, akurat szukała dekoratora wnętrz. Miała posiadłość w świeżo zbudowanym luksusowym osiedlu, które tak bardzo przypominało Slack Palisades. Arthur Turtle nie wierzył własnemu szczęściu. To znaczy dopóki nie odkrył, że Jardins des Lavabos to taka sama nędzna pomyłka jak ich brytyjski odpowiednik, że St Pierre to gangster i że Mandi myślała nie o urządzeniu domu, ale o remoncie jakiejś walącej się rudery w ogrodzie. Remont wymagał umiejętności, których Arthur nawet nie potrafił nazwać, nie wspominając już o ich posiadaniu.

I wtedy spotkał go ostateczny cios. Przedwczoraj wpadł na ostatnią osobę, którą chciałby zobaczyć — Kena Scogginsa. Ken człowiek przysiągł, że zajrzy pod każdy kamień i znajdzie faceta, który bez mrugnięcia okiem oskubał jego matkę ze wszystkiego, co jednym ruchem opalanej na mahoń ręki podarował jej Dan Winton. De Provence wiedział, że Ken jest w okolicy, raz nawet ścigali się samochodami, o ile Kate pamięta.

\_ Jasne — syknęła. — Właśnie wtedy wypchnąłeś mnie z furgonetki.

— Cóż, dramatyczne środki w dramatycznej sytuacji... — odparł de Provence. — W każdym razie wpadłem na drania na cholernej rue coś tam. Od razu mnie poznał, pewnie przez tę idiotyczną czapkę. Od tego czasu przez cały czas uciekam.

— Teraz też uciekasz — mruknęła ponuro Kate. Niebieski samochód — już poznała wóz Kena — znowu pojawił się w tylnym lusterku i szybko ich doganiał. De Provence spojrział przez ramię i wrzasnął. — Jedź!

Kate popatrzyła na niego, zastanawiając się, co dalej. Jej njan udał się o tyle, że w ciągu ostatnich kilku minut rozmowy de Provence zaczął zachowywać się wobec niej jak człowiek. To było ryzykowne, ale może nadszedł czas, żeby ratować życie?

— Słuchaj — powiedziała, widząc szerszy kawałek pobocza. — Zatrzymam się na moment, a ty wyskoczysz i uciekniesz. Nigdy cię nie złapie.

De Provence pokręcił głową.

— Ja? Mam wyskoczyć? Sam?

Zaraz potem znowu poczuła na żebrach twardy zimny przedmiot. Zrobiło jej się niedobrze.

Zaryzykowała i przegrała.

— Zatrzymaj samochód — warknął. — I wysiadaj. Z rękoma w górze.

Dźgnął ją boleśnie w żebra.

— Dlaczego mnie w to wciągasz? — jęknęła zrozpaczona Kate, ale posłusznie wysiadła z wozu.

Rozejrzała się, mając nadzieję, że zobaczy jakiś samochód. Jednak nic nie jechało. Gdzie były te wszystkie ciężarówki i wozy kempingowe, kiedy człowiek ich potrzebował?

De Provence zaczął popychać ją w stronę polanki zasłoniętej od strony drogi kilkoma umęczonymi, zakurzonymi krzewami.

— Ponieważ Scoggins jest przyjacielem twojej przyjaciółki Celi, raczej mnie nie załatwi, dopóki ja mogę załatwić cię, prawda? Więc idź. I trzymaj ręce w górze.



## Rozdział 27

Od czasu do czasu tuż za krzakami przejeżdżał jakiś samochód. To było potwornie frustrujące. Raptem parę kroków od miejsca, gdzie z bronią wbitą w żebra stała Kate, prażąc się w popołudniowym słońcu i gapiąc na piaszczystą ziemię. Zastanawiała się, czy pety, gumy do żucia i jeszcze bardziej obrzydliwe zgniecione kawałki papieru toaletowego miały być „ostatnimi rzeczami, jakie będzie widzieć na tym łożu padole.

Niebieski samochód z Kenem w środku zatrzymał się w pewnej odległości od nich. De Provence od czasu do czasu szturchał Kate bronią w żebra. Na początku obaj przeciwnicy wrzeszczeli. Dekorator groził, że zastrzeli zakładniczkę i siebie, jeśli Ken nie odda natychmiast swojego wozu i nie pozwoli im uciec. Ale Ken odmówił i od tego momentu sytuacja pozostawała bez zmian. Ani Ken, ani de Provence nie mieli pojęcia, co teraz zrobić.

Po czole Kate ściekał pot. Od stóp wzgórza dobiegał warkot silnika samochodu, który z trudem wspinał się na górę. Za chwilę przejedzie wzdłuż krzaków i minie je. Kolejna stracona szansa. Ale co mogła zrobić? Nie miała przy sobie rac świetlnych ani nawet gwizdka.

— Nie ruszaj się — warknął Marc de Provence, szturchając ją mocno w żebra.

Kate wyraźnie czuła ucisk lufy na kości. Od przyjazdu do Francji musiała mocno schudnąć. Ale jaka z tego korzyść. Osiągnięcie figury marzeń wydawało się pozbawione sensu, skoro w każdej sekundzie mogła zakończyć żywot.

— Gotuję się w tym cholernym tweedzie — narzekał de Provence.

Spojrzała na niego. Spodziewał się, że będzie mu współczuła? W końcu ona też się gotowała.

Miała wrażenie, że już całe wieki stoi pod niemiłosiernie palącym słońcem. Warkot zbliżającego się silnika rozsadzał jej głowę. Kiedy samochód, wyraźnie cierpiąc, wspinał się pod górę, całe ciało Kate cierpiało razem z nim. Powieki jej opadały, w ustach zaschło i miała nudności. Jęknęła i Marc znowu szturchnął ją ostrzegawczo.

Samochód — furgonetka czy co to było — prawie już dojechał do polanki. Warkot tak boleśnie łomotał jej w uszach, że nie mogła się doczekać, kiedy auto ich minie. Ale silnik po prostu zgasł.

Pojazd zatrzymał się po drugiej stronie krzaków.

Podniosła głowę i poczuła, że Marc de Provence zeszywniał. Broń jeszcze mocniej wbiła jej się w bok. Po chwili usłyszała radio, które szybko zostało wyłączone, trzasnęły drzwi samochodu, po czym rozległy się wesole głosy, szuranie i trzask gałązek pękających pod stopami. Ludzie, z niedowierzaniem pomyślała Kate. W dodatku idą w ich kierunku.

A potem stało się coś nieprawdopodobnego — jakiś mężczyzna zawołał:

— Kate?

Był to znajomy głos, ale jej ogłupiały od słonecznego skwaru mózg nie potrafił połączyć go z osobą. Po chwili znowu się rozległ, tym razem bliżej.

— Kate? Co tu się do cholery dzieje?

Słyszając ostatnie pytanie, zorientowała się, że mężczyzna wszedł już na polanę i zobaczył Marca de Provence'a trzymającego ją pod bronią.

— Pomocy — wymamrotała nieprzytomnie.

W każdej chwili spodziewała się — ale już się tym nie

przejmowała — wybuchu, który w fontannie krwi roztrzaska jej żebra. Nie usłyszała jednak wybuchu ani nie zobaczyła krwi. Po prostu wszystko zniknęło w czerni.

Powoli otworzyła oczy. Leżała pośród miękkiej bieli w pokoju pełnym przyćmionego, rozproszonego światła. Umarła i znalazła się w niebie? Albo w piekle?

Coś — albo ktoś — przysuwało do niej twarz. Zobaczyła czarne, ohydnie obrysowane oczy, hebanowe kolce na głowie i usta koloru metalicznego błękitu. Ta twarz przypominała Kate malowane czaszki obnoszone podczas meksykańskiego święta zmarłych. Albo...

— Obudziła się! — wykrzyknął głos, który wreszcie rozpoznała.

— Darren?! — Uniosła rękę do obolałej głowy. — Dlaczego tu jesteś? Dlaczego leżę w łóżku?

— Dostałaś potwornego udaru słonecznego — powiedział kobiecy głos.

Ten głos należał do Celi.

Cate uśmiechnęła się z ulgą. Nic złego się nie stało, pomyślała. Po prostu zachorowała i przez cały czas leżała w łóżku w domu hrabiny. I miała halucynacje. Usiadła ostrożnie.

— Miałam niesamowity sen. Śniło mi się, że Marc de Provence wziął mnie jako zakładniczkę, trzymał na jakiejś polance i wtykał mi broń pod żebra.

— To wcale ci się nie śniło — odparł Darren. Zmarszczyła pulsujące bólem czoło.

— Słucham?

— Ale to nie była broń, tylko banan — dodał jej kolega. — Ten facet groził ci bananem.

— Bananem?!

— Zgadza się. Nieobranym i bardzo twardym.

— Jak mógł mnie zastrzelić z banana?

— Nie mógł. Próbował cię jedynie nastraszyć. Miał tylko banana, który został mu po lunchu. Nie zjadł go, bo był za

twardy czy coś takiego. Ale ponieważ nie wiedziałaś tego, pomyślałaś, że to broń. I tak właśnie miało być. Zresztą początkowo wszyscy myśleliśmy, że to pistolet — dodał Darren.

— Dopóki Ken nie odkrył, że to banan — powiedziała z dumą Celia.

Ken! Kate próbowała coś sobie przypomnieć. To wszystko było bardzo dziwne. Ken, który zostawił ją własnemu losowi na targowisku i potem ścigał Marca de Provence'a. Czy to miało coś wspólnego z loterią?

— Co właściwie Ken zrobił? — zapytała.

— Nie pamiętasz? — Celia wyglądała na zawiedzioną. — Pewnie właśnie wtedy zemdliałaś, kochana.

Cóż, kiedy nagle pojawił się Darren i jego przyjaciele...

— Zaskoczyliśmy Marca de Provence'a i Ken to wykorzystał — wtrącił się Darren. — Jak bohater filmu akcji. W życiu byś nie pomyślała, że facet w jego wieku potrafi coś takiego.

— Przepraszam bardzo — burknęła z oburzeniem Celia.

— To oczywiste, że jest w świetnej formie — dodał pośpiesznie Darren.

— Z pewnością, mój drogi.

— W każdym razie wyskoczył z samochodu i popędził przez polanę, a potem nagle zobaczyliśmy — Darren pstryknął palcami — że de Provence leży na ziemi, a na nim siedzi Ken... z jego bronią w ręku.

— Prawdziwy bohater! — westchnęła z podziwem Celia. — Jest taki odważny.

— I wtedy zorientowaliśmy się, że ta broń to banan.

— Ale przedtem Ken o tym nie wiedział — przypomniała mu Celia.

— Oczywiście, że nie — potwierdził Darren. — On też myślał, że to pistolet. Prawdziwy z niego bohater.

Kate nie była pewna, czy się z nimi zgadza. Uniosła się na łokciu.

— Słuchajcie, nie cierpię wkładać kija między szprychy i tak dalej, ale dlaczego wcześniej zostawił mnie na targu?

Widział, że Marc mnie goni, a mimo to całkiem mnie zignorował.

— Skąd, kochana. Ścigał Marca de Provence'a, chociaż chyba teraz powinniśmy nazywać go Arthurem Turtle'em. Zgubił go w bocznych uliczkach, a potem, kiedy ujrzał was oboje na targu, zrozumiał, że Turtle ściga ciebie, a on jego — wyjaśniła Celia. — Pewnie go nie zauważyłaś, bo... hmm...

— Jest niski, ale doskonale zbudowany? — podsunął jej Darren. Widać było, że bardzo uważnie dobiera słowa.

— Coś w tym stylu.

Kate spojrzała na Celię, czując wyrzuty sumienia. Najwyraźniej nadszedł czas, żeby przestać zakładać różne rzeczy na temat Kena. Jak na razie myliła się pod każdym względem.

— Fantastycznie — mruknęła.

— To Ken jest fantastyczny, kochana — oświadczyła Celia.

— A gdzie jest teraz Marc de Provence? Przepraszam, ale po prostu nie potrafię nazywać go Arthurem Turtle'em.

— Hmm... Ken się nim zajął, kochana. — Celia wyszczerzyła zęby. — Razem z Interpołem.

Kate dotknęła swojej obolałej głowy — za dużo się wydarzyło, żeby wszystko ogarnąć.

— Boli, kochanie? Ten zakłamany łajdak zmusił cię do stania godzinami na potwornym skwarze.

Majaczyłaś. Rzygałaś jak kot. Szkoda, że tego nie widziałaś...

— Ehm... dzięki, Celia, wyobrażam sobie.

— W każdym razie stałaś tam całe wieki. A potem nic nie chciałaś jeść.

Kate przesunęła pod kołdrą ręką po brzuchu. Albo raczej po miejscu, w którym powinien się znajdować. Urwisko żeber przechodziło w płaską równinę poniżej. Przebiegł ją dreszczyk miłego zaskoczenia. — Szef kuchni przygotował mnóstwo wspaniałych, delikatnych rzeczy, żeby pobudzić twój osłabiony apetyt, ale ledwo cokolwiek tknęłaś.

— Szef kuchni?

— Kochanie, naprawdę martwił się o ciebie. Okazało się, że to okropny hipochondryk i nic tak skutecznie nie wzbudza jego współczucia jak porządna choroba. A tak przy okazji, wszyscy z restauracji przesyłają ci całusy.

— Całusy?

— Tak, całusy. Serio. Nie mogą się doczekać, kiedy wrócisz. Ehm... Nicole pomagała podawać, gdy chorowałeś — dodała jakby nigdy nic Celia.

Kate była zszokowana.

— Nicole?!

— Szczerze mówiąc — zaczęła ostrożnie Celia — całkiem dobrze sobie radzi. Ma podejście do klientów.

— Tak. — Kate pomyślała o spektakularnych krągłościach Nicole i niemal równie spektakularnie krótkich spódniczkach. — Wiem, co masz na myśli.

— Muszę ci powiedzieć, że bardzo chciałaby wrócić do Hotel des Tours. Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, czy nie poprosić jej, żeby została. Potrzebujemy jeszcze jednej pary rąk, kiedy w restauracji jest taki ruch, a Bernard całymi dniami przesiaduje gdzieś indziej.

— Bernard? Teraz, gdy Nicole wam pomaga?

— Och, dla niego to już skończona sprawa. Historia. Pojawi! się ktoś nowy.

— Ktoś nowy?

— Jestem tego pewna.

— Kto?

Przypomniała sobie Trolla, kiedy ostatni raz go widziała. Szczerzył zęby, pachniał wodą po goleniu i niósł pudło z narzędziami. Dokąd? Komu?

— Możesz mi nie wierzyć, skarbie, ale dokądkolwiek chodzi, zawsze wraca z uśmiechem na twarzy. Słuchaj, kochana — Celia wstała — skoro już się trochę ożywiłaś i nie boimy się, że mogłabyś umrzeć, zajrzę do restauracji. Sprawdzę, czy Ken nie wrócił i czy szef kuchni nie upichcił czegoś dla

ciebie. Jestem pewna, że chętnie skubnęłabyś co nieco, prawda, kochanie? — Uśmiechnęła się szelmowsko. Kiedy wyszła, Kate spojrzała na Darrena, który patrzył na nią z zakłopotaniem. Nic nie rozumiał z ostatniej wymiany zdań.

— Skąd wiedziałeś, że tam jestem? — zapytała. Niemożliwe przecież, żeby akurat tamtędy przejeżdżał, akurat

się zatrzymał i odkrył, że jego była koleżanka z pracy stoi za krzakami sterroryzowana bananem wbitym w plecy.

— Właściwie to zupełny przypadek — odparł Darren. — Nasza furgonetka już od pewnego czasu ledwo ciągnęła. Padła tuż przy tych krzakach.

— Ale co ty tu w ogóle robisz?

— Byliśmy tutaj na tournée. — Jego ciemne oczy zabłyśły. — Chyba nie zapomniałaś?

Kate uderzyła się dłonią w wilgotne czoło.

— O Boże. No tak, Smażalnia.

Mordownia i koncert Denholme Velvets. Nat Hardstone, Slackmucklethwaite — miała wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się tysiąc lat temu. — Jak wam idzie? Jesteście już gwiazdami?

— Nie całkiem.

— Dlaczego? Opowiadaj! Darren wzruszył ramionami.

— Cóż, dobrze nam idzie jako zespołowi, który gra covery Velvet Underground. — Westchnął. — Ale szczerze mówiąc, nie jestem pewny, czy reszta Europy ma takie samo poczucie humoru.

— Och, Darren. — Kate przygryzła usta, wyobrażając sobie jego rozczarowanie. — Tak mi przykro.

— Nie musi ci być przykro. Wszystko jest w porządku. W końcu ułożyło się idealnie.

— Ale to miał być twój wielki sukces, i w ogóle. Darren pokiwał głową, a potem wyszczerzył zęby.

— I możliwe, że tak będzie. Tyle że nie w branży muzycznej.

— Serio? A w jakiej?

Starym, dobrze znanym gestem Darren przeczesał szczupłą dłonią najeżone włosy.

— W dziennikarstwie. Myślę, że właśnie odkryłem niesamowitą historię.

Kate usiadła prosto i objęła kolana. Jej oczy zaślnęły.

— Opowiadaj!

Darren niepewnie zerknął na drzwi, które Celia zostawiła uchylone.

— No, dalej! Albo nie mów, sama zgadnę. Chodzi o Petera Hardstone'a?

— Cśś! — Darren ponownie spojrzął na drzwi.

— Więc to tak! Znowu nad tym pracujesz. Jego oczy rozszerzył strach.

— Uważaj... ściany mają uszy. Kate uśmiechnęła się szeroko.

— Gadasz całkiem jak Crichton — stwierdziła. Szkoda, że Darren go nie zna. Na pewno by się dogadali. — Próbowałem skontaktować się z Crichtonem — powiedział nieoczekiwanie Darren. — Ale zniknął. Nagle Kate przypomniała sobie wnętrze biura „Gazety”, kiedy ostatnio tam zajrzała. Otwarte drzwi, rozlana kawa, wrażenie pośpiechu.

— Zniknął?!

— Tak. Nie widziano go od kilku dni. To trochę frustrujące, bo według moich źródeł pracował nad tą samą sprawą co ja.

— Jakich źródeł? Jaka praca? Po co ci Crichton?

— Nie mogę powiedzieć — syknął Darren, pochylając się nad Kate. — Ale miałem nadzieję, że się dogadamy z Crichtonem. Będziemy razem pracować. Stworzymy zespół. Najwyraźniej jednak współpracuje już z nim ktoś z Londynu.

— Ehm, niezupełnie.

— Skąd wiesz?

— Bo chodzi o mnie. Darren roześmiał się.

— Ciebie?

— Nie pytaj. — Przysunęła się do Darrena tak blisko, że prawie dotykali się twarzami. Pewnie będą miała biały nos od jego makijażu, pomyślała. — Ale Crichton badał sprawę Mar-



ty'ego St Pierre'a, nie Petera Hardstone'a — powiedziała. — Miał na niego teczkę...

— Tak, wiem. Bardzo chciałbym zobaczyć te materiały. — Darren zabębnił długimi, czarnymi paznokciami o nocną szafkę.

— Ale po co?

— Po co? Bo rozpaczliwie szukam kogoś, kto mi pomoże. Rozpracowywanie międzynarodowej organizacji przestępczej to ciężka robota.

— Międzynarodowej organizacji przestępczej? Przecież zajmujesz się Peterem Hardstone'em, nie? — Kate miała wrażenie, że kręci się w kółko.

— Zgadza się.

— Więc co ma do tego Marty St Pierre?

Darren odchylił się i z brzękiem bransoletek założył obie ręce na kark.

— Wszystko.

— Jak to wszystko? — zapytała ze zdziwieniem. Jej kolega usiadł wygodniej na krześle.

— Firma Hardstone'a idzie na dno. Za dużo kasy utopił w Slack Palisades. Ścigają go za podatki od ziemi, już nie wspominając o cle i akcyzach. A teraz sprawdzają jego kontakty z Bracegirdle'em, radą i wydziałem planowania. Hardstone siedzi w szambie po uszy.

— I stara się to ukryć — dodała Kate, przypominając sobie rozmowę z Natem. — Fałszował zyski w księgach firmy, stosował wszelkie możliwe sztuczki. Ale niedługo przejmą jego majątek banki, chyba że szybko wymyśli jakiś program ratowania firmy. Darren wytrzeszczył oczy.

— A skąd ty, do cholery, wiesz o tym wszystkim?

— Od Nata Hardstone'a — przyznała się Kate.

— Wielkie dzięki, że mi powiedziałaś — burknął Darren. — W każdym razie od tego czasu sprawy zaszły znacznie dalej. — Ale co ma do tego wszystkiego Marty St Pierre?

— To brat Hardstone'a, Martin.

— Brat?! — krzyknęła Kate. — Dlaczego wobec tego nie nazywa się Hardstone?

— Musiał zmienić nazwisko i wyjechać z kraju po kilku paskudnych sprawach ze Scotland Yardem parę lat temu.

— Więc obaj w tym siedzą?

— Aha. Międzynarodowe media, nieruchomości, produkcja filmów. A przynajmniej tak wygląda przykrywka. Nadal badamy, co tak naprawdę robili.

— Teraz rozumiem, dlaczego oba osiedla są tak podobne -mruknęła Kate. — Myślałam, że to zbieg okoliczności.

— To takie samo gówno.

— W przypadku Pisuaru nawet całkiem dosłownie.

— Wygląda na to, że Hardstone'om zabrakło wyobraźni -stwierdził Darren. — Radzili sobie, póki chodziło o gazety i fdmy oraz przemyt narkotyków i broni.

— Co? — wykrzyknęła Kate.

— Tak, tym też się zajmowali. Ale nieruchomości to zupełnie inna sprawa. Slack Palisades i Pisuar załatwiły firmę. Hardstone i St Pierre rozpaczliwie próbują zdobyć pieniądze, żeby ją ratować. Nieźle się miotają. Zwłaszcza odkąd wiedzą, że pewni ludzie zaczęli składać całą tę historię do kupy. „Pewni ludzie”. Kate przełknęła ślinę, przypominając sobie splądrowane biuro Crichtona. Słuchawkę zdjętą z widełek. Szufladę, którą ktoś wyciągnął i opróżnił na podłogę. Akta z ostrzegawczą naklejką, które zniknęły bez śladu. Przypomniała też sobie, co przytrafiło się Frei Ogden.

— Nie myślisz chyba, że zaginięcie Crichtona ma coś wspólnego z tym wszystkim? Że Hardstone i St Pierre dowiedzieli się o teczce i... Darren uniósł brwi.

— Możliwe — mruknął ponuro. — Możliwe, że Hardstone albo St Pierre zwietrzyli, co Crichton kombinuje. Kate opadła na poduszki. Biedny naczelny. Gdzie się teraz podziewał? Czy pociągał nosem i wydmuchiwał dym, przegrzebując papiery, gdy w drzwiach pojawił się jeden z Hard-stone'ów? Wyobraziła go sobie, związanego i zakneblowanego, w bezlitosnym uścisku St Pierre'a albo jego równie brutalnego brata.

— W końcu mają mnóstwo do ukrycia — dodał Darren. — Na przykład przemyt, którym zajmuje się St Pierre. To niemal niewiarygodne. Możesz to sobie nazwać, jak chcesz. Podobno każdej środy po południu na lotnisku w Nicei ląduje nieoznakowany samolot. I...

— Och, Boże, tylko nie to — jęknęła Kate. — Crichton też chciał się dowiedzieć, co przewożą. A teraz zniknął.

Ale Darren sprawiał wrażenie, jakby w ogóle tego nie słyszał.

— Tak... — Z podnieceniem zabębnił palcami w kolano. — Sprawy wreszcie zaczynają nabierać kształtu. Zgodnie z moimi informacjami obaj Hardstone'owie planują coś naprawdę wielkiego i bezczelnego, żeby zdobyć pieniądze i uratować firmę.

— Co to takiego? — zapytała Kate.

— Nie wiem. Ale się dowiem. Spojrzała na niego z troską.

— Darren, oni są niebezpieczni. Zwłaszcza Marty St Pierre. To zły i okrutny facet. Uwierz mi, poznałam go. I właśnie sobie przypomniałam, co przydarzyło się Frei.

— Och, daj spokój — rzucił pogardliwie Darren. — To najlepsza historia mojego życia.

— Ale może być też ostatnią historią twojego życia. — Kate z wysiłkiem dźwignęła się z łóżka. — Proszę, Darren — powiedziała — trzymaj się od niego z daleka. Od nich obu. Chyba że chcesz, aby przydarzyło ci się to samo co Crichtonowi. Oni są bardzo niebezpieczni, a jeśli znaleźli się w rozpaczliwym położeniu, nie będą przebierali w środkach. Zdepczają jak muchę każdego, kto wejdzie im w drogę.

— Ona ma rację — rozległ się za nimi dźwięczny głos.

## Rozdział 28

— Odile? — Zdziwiona Kate zerknęła w półmrok nad ramieniem Darrena.

Hrabina podeszła do nich, stukając cicho obcasami. W delikatnym świetle sączącym się przez zasłony srebrzyły się zmarszczki na jej twarzy.

— Masz rację — stwierdziła. — Ci ludzie są bardzo niebezpieczni i trzeba ich powstrzymać. Zanim stanie się coś strasznego.

— Kto to jest? — Darren spojrzał na zniekształconą twarz Odile, a potem z powrotem na Kate.

— Ehm... moja gospodyni — odparła Kate. — W pewnym sensie.

— A co ona wie o sprawach Hardstone'a i St Pierre'a?

— Nie mam pojęcia — odparła ściszym głosem Kate. — Sam ją o to zapytaj.

— Wiem dość — przerwała im po angielsku Odile — żeby odgadnąć, co chcą zrobić. Domyślam się, co planują. Coś wielkiego i naprawdę bezczelnego.

Popatrzyła na Darrena, przyjrzała się niebieskiej szmince, bransoletkom, najeżonym włosom i obcisłym czarnym dżinsom, ozdobionym niezliczonymi ćwiekami i łańcuchami.

Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

— Wie pani?

Kiwnęła głową. Kiedy pochyliła się nad łóżkiem, Kate poczuła dyskretny zapach drogich perfum. — Moja kochana, muszę ci coś pokazać. Wam obojgu — dodała, zerkając na Darrena. Uśmiechnęła się do Kate. — Czujesz się już dość dobrze, żeby przejść się kawalek?

Kate spuściła nogi z łóżka. Z ulgą odkryła, że ktoś przebrał ją we flanelową piżamę w czerwone i niebieskie paski, o zbyt krótkich nogawkach i za szerokich plecach. Pewnie zrobiła to Celia. Łatwo było odgadnąć, do kogo należał ten nocny strój. Odile przyjrzała się z rezerwą.

— Tędy — powiedziała.

Stukając obcasami, wyszła z sypialni, a Kate za nią. Za jej plecami rozległo się pobrzękiwanie, gdy Darren wstawał z krzesła.

Podążyli za ubraną w eleganckie brązy i czarną kratkę hrabiną i przeszli przez półpiętro do jej sypialni. Odile jednym ruchem odsunęła regały, odsłaniając wejście do garderoby.

Darren gwizdnął, widząc rzędy przezroczystych toreb z ubraniami.

— Sama klasyka — sapnął.

Dzwoniąc bransoletkami podszedł do wieszaków i z podnieceniem zaczął czytać etykiety.

— Nie miałam pojęcia, że znasz się na modzie — zdziwiła się Kate.

— Uczyłem się o tym na zajęciach z historii sztuki przed maturą.

— Domyślałam się, że się tym zainteresujesz — przerwała im Odile. — Zresztą to oczywiste, gdy się spojrzy na twoje ubranie. Masz absolutnie niepowtarzalne wyczucie stylu — dodała.

Darren był zachwycony.

— A jaki okres poznawałeś na kursie? — zapytała hrabina, wyławiając z paczki papierosa.

— Współczesny. Tak się składa, że uczyłem się też o ludziach, których obrazy ma pani na dole, w korytarzu. Laurencin, Lichtenstein... ta kolekcja musi być trochę warta.

Odile kiwnęła głową, mrużąc oczy przed dymem.

— Trochę. Ale właściwie to tylko przykrywka. Jak ta kolekcja ubrań. Stara sztuczka, żeby zmylić złodziei. Posłuż się czymś mniej wartościowym, żeby...

— ...odwrócić uwagę od czegoś naprawdę cennego? — wpadła jej w słowo Kate, czując, jak narasta w niej podniecenie.

Hrabina znowu kiwnęła głową.

— Tylko że w tym wypadku chyba mi się to nie udało — dodała cicho.

Szybkim krokiem przeszła na drugi koniec pokoju i zdjęła swój portret ze ściany. Pod nim znajdował się mały panel, rozbłyskujący czerwonymi i zielonymi światełkami. Po przyciśnięciu guzików ściana przesunęła się, odsłaniając następny pokój. Nie było w nim okien. W drewnianej podłodze odbijał się prosty biały sufit. Pokój był całkiem pusty, jeśli nie liczyć obrazów. Na ścianach wisiało około dziesięciu ogromnych płócien. Wielkich, kolorowych, śmiałych — nie do pomylenia z żadnymi innymi obrazami. — O mój Boże — sapnęła zaskoczona Kate. Natychmiast rozpoznała ich autora.

Darren spojrział na hrabinę.

— To Picasso, prawda?

Odile kiwnęła głową i wydmuchnęła dym.

— Ale... to znaczy... jak... skąd... — Darren urwał.

— Skąd tyle ich mam? Dał mi je Picasso, rzecz jasna. A kilka z nich kupiłam. Nie lubił za dużo rozdawać, o nie! — Hrabina uśmiechnęła się i zapatrzyła w dal zdrowym okiem. — Był moim przyjacielem. Pozowałam mu. Do tego obrazu, tego i tego... — Kiedy je wskazywała, w świetle lamp zamontowanych nad obrazami rozbłysły jej pierścionki.

Kate i Darren spojrzeli na obrazy. Jeden z nich przedstawiał ciemnowłosą kobietę z profilu. Na tej samej stronie twarzy znajdowało się dwoje ogromnych oczu o niebieskich i zielonych rzęsach, czerwone usta i czarne brwi. Na kolejnym obrazie tę samą ciemnowłosą i ciemnooką kobietę przedstawiono jako kwiat — jej twarz była kielichem, a ciało łodygą. Mimo to rozpoznali na nich Odile.

— O wiele bardziej przypominają mnie obecną niż z tamtych czasów — stwierdziła hrabina, wskazując na swoją zniekształconą twarz.

— Kiedy panią malował? — zapytała Kate.

W jej głowie kłębiło się wiele innych, bardziej osobistych pytań. Czy Picasso był miły, czy okropny? Byli kochankami? Przecież ten wielki malarz słynął z romansów. A Odile była naprawdę piękna.

— W latach pięćdziesiątych, kiedy przyjechał do Juan-les-Pins. Darrenowi aż grdyka chodziła, tak bardzo był poruszony.

— Muszą być warte...

— Miliony — powiedziała Odile. — Dziesiątki milionów. Darren chodził w tę i z powrotem przed rzędami obrazów jak królewski rzeczoznawca.

— Pochodzą ze wszystkich okresów jego twórczości, prawda? Wspaniała kolekcja.

— I niestety przez cały czas jej wartość rośnie.

— Niestety?! — wykrzyknęła ze zdumieniem Kate. — A co jest niedobrego w posiadaniu dzieł wartych dziesiątki milionów?

Starsza pani wzruszyła ramionami. — To zależy, jak na to spojrzeć. Widzisz, nie przejmuję się za bardzo pieniędzmi. Chciałam tylko wieszać moje piękne obrazy na ścianach, a potem po prostu na nie patrzeć. Ale teraz to już niemożliwe. Wszystko, czego się dotknął Picasso, jest warte fortunę. Gdyby ktoś wiedział, że mam te obrazy, już nie mogłabym ich tak zwyczajnie oglądać. Musiałabym pozakładać alarmy, umieścić je w gablotach, postawić przy nich uzbrojonego strażnika... albo przewieźć do skarbcza w banku. — Westchnęła. — Teraz rzecz jasna rzeczywiście muszę to zrobić.

— Dlaczego? — zapytała Kate. — Bo ktoś już o nich wie. — Kto?

Zapadła cisza, którą przerwał zduszony okrzyk Darrena.

— Wiem! — Oddychał z podniecenia tak szybko, że groziła mu hiperwentylacja. — Rozumiem. To o nie chodzi, prawda? To tego szukali bracia Hardstone'owie. To jest ich wielki plan.

— Masz na myśli... — Kate spojrzała na niego.

— Obrazy Picassa, rzecz jasna! — krzyknął Darren. — Hardstone'owie planowali kradzież dzieł sztuki. Ukradliby te obrazy, a potem sprzedali po cichu prywatnym kolekcjonerom. Założę się, że to miała być kradzież na zamówienie. Obrazy zniknęłyby bez śladu, nawet nie ocierając się o domy aukcyjne. Mam rację, prawda? — zwrócił się do Odile.

— Przypuszczam, że tak — odparła i eleganckim czarnym butem potarła nieistniejącą plamę na polakierowanej drewnianej posadzce.

— Tak! — Darren podskoczył. — W końcu zagadka została rozwiązana. Chryste, szkoda, że Crichton tego nie widzi.

— Ja też żałuję — powiedziała ze smutkiem Kate. Uświadomiła sobie nagle, że chyba wyjaśniła się jeszcze

jedna zagadka. Prawdopodobnie prześladowająca ją zjawą miała jakiś związek z obrazami. Spojrzała na Odile.

— Ktoś próbował mnie straszyć w pani domu. Crichton miał rację również i co do tego.

— Jestem ci winna przeprosiny, kochanie — odparła Odile. — Podejrzywałam, że ktoś wie o obrazach, zanim jeszcze wyjechałam do Paryża. Pamiętasz, jak mnie pierwszy raz spotkałaś?

— Kiedy przewróciła się pani na bruku... och, rozumiem. Wcale się pani sama nie przewróciła, tak? Hrabina pokręciła głową.

— Nie, ktoś uderzył mnie w głowę, zachodząc od tyłu. — Poklepała się w ciemność. — Na szczęście mam bardzo twardą czaszkę. A oni się zbyt spieszyli, żeby zrobić to porządnie. Właśnie przetrząsali moją torebkę w poszukiwaniu kluczy do domu, gdy wyszłaś zza rogu.

— Rozumiem — powiedziała Kate. — Ale przecież sporo ryzykowali. Ktoś mógł ich zobaczyć. W końcu to się stało w biały dzień.

— Moja droga, zapominasz, że właśnie była pora lunchu. — Odile uśmiechnęła się lekko. — Wszyscy mieli ważniejsze sprawy na głowie. Chyba teraz rozumiesz, dlaczego poprosiłam,



żebyś zatrzymała się u mnie. Uznałam, że młodsza, silniejsza osoba zniechęci złodziei.

— Wielkie dzięki — mruknęła Kate. — Zostawiła mnie pani na pastwę Hardstone'ów.

W oczach starszej pani pojawiła się prośba o wybaczenie.

— Nie wiedziałam wtedy, kim są złodzieje. To wszystko nie trzymało się kupy, dopóki nie usłyszałam tego, co powiedział twój przyjaciel. Ale jeśli on ma rację, a jestem pewna, że ma, sytuacja jest poważna. Marty St Pierre to bardzo nieprzyjemny człowiek.

Jakbym sama o tym nie wiedziała, pomyślała Kate.

— Wie pani, co się stało z Crichtonem?

— *Exactement*. Moja droga, naprawdę nie chciałam, żeby ci się przytrafiło coś złego.

To już jest nas dwie, dodała w myślach Kate.

— Ale jak Hardstone dowiedział się o obrazach? — zastanawiała się na głos. — Skoro były ukryte od kilkudziesięciu lat... Kto jeszcze o nich wie? — Spojrzała podejrzliwie na hrabinę. — Fabien?

To jasne, musiał wiedzieć. Odile na pewno mu o nich powiedziała. A to, że wieść się rozeszła, ostatecznie potwierdzało, że nie warto mu ufać. Teraz nawet hrabina, jego największa fanka, z pewnością to dostrzeże.

— Fabien? — powtórzyła Odile. — Oczywiście, że im nie powiedział.

— Skąd ta pewność?

— Bo nie miał pojęcia o obrazach. Nigdy mu ich nie pokazałam, chociaż miałam ochotę. Jest bardzo utalentowanym artystą. Któregoś dnia będzie wielkim malarzem, jestem tego pewna.

Kate zmarszczyła brwi.

— Ale skoro jest taki fantastyczny, to czemu mu pani o nich nie powiedziała?

— Bo takiego sekretu nie da się zachować. W końcu by się wydało. Fabien ma gorący temperament...

— To prawda — przyznała Kate. Hrabina uniosła brwi.

— Powiedział mi o waszej sprzeczce. Mam nadzieję, że szybko się dogadacie.

Kate nie odpowiedziała.

— Szkoda by było — dodała Odile. — Uważam, że pasujecie do siebie.

Jasne, pomyślała Kate. Ja też tak myślałam, dopóki się nie dowiedziałam, że Fabien pasuje też do Nicole i Bóg jeden wie do ilu jeszcze kobiet. Ale nie powiedziała tego, mając nadzieję, że Odile zmieni temat.

Hrabina jednak najwyraźniej nie zamierzała tego zrobić.

— Miałaś całkowitą rację, kochana. Jego pracownia to hańba. Nawet Picasso nie był takim bałaganiarzem. Kate zobaczyła, że Darren patrzy na nią pytająco.

— Jedyna osoba, która wie o moich obrazach, to Odette, moja siostra. Ona też pozowała Picassowi. Tamten pośrodku to jej portret. Ten ze stopą wychodzącą z głowy i ręką z ucha. Ale ona też nikomu nie powiedziała. Przynajmniej do niedawna.

— Dlaczego? — zaciekawiła się Kate. — Co się zmieniło?

— Zachorowała i to już trwa kilka tygodni. Dopóki nie pojechałam do Paryża, nie wiedziałam, że gada jak najęta. Bez przerwy mówi o przeszłości i sama nie zdaje sobie sprawy, ile sekretów przy tym zdradza. — Odile z dezaprobatą zacisnęła usta. — Nie trzeba było wiele czasu, żeby wieści o tych obrazach się rozniosły. Usłyszeli o nich kolekcjonerzy, usłyszały galerie. Moja siostra nadal ma wielu znajomych w świecie sztuki. Nie wszyscy są mili i uczciwi.

— O kurczę! — wyrwało się Darrenowi.

— Dlaczego pani nam o tym wszystkim mówi? — zapytała zdziwiona Kate.

Odile zgarbiła się.

— Nie mogę już zatrzymać tej kolekcji, więc nieważne, kto o niej wie. Niedługo wszyscy się dowiedzą. — Z pewnością! — Darren oblizał lśniąca niebieskie usta i zatarł ręce. Bransoletki zabrzęczały hałaśliwie. — Kiedy przyłapię Hardstone'ów na gorącym uczynku, wszyscy poznają moją wersję wydarzeń.

Hrabina spojrzała na niego.

— Niezupełnie to miałam na myśli.

Darren oklapł, jakby spuszczone z niego powietrze.

— Nie? Nie chce ich pani złapać?

— Nie, zamierzam przekazać kolekcję państwu. Dziś po południu zadzwonię gdzie trzeba.

Darren rozdziawił niebieskie usta.

— Odda je pani?

— Tak. Razem z resztą obrazów w domu. Sam dom też. Jego wnętrze, jak pewnie zauważyłeś, to modernizm. — Hrabina klasnęła w pokryte wątrobowymi plamami i ozdobione brylantami dłonie. — I tak zawsze chciałam zrobić z niego muzeum sztuki nowoczesnej.

— Jak Musée Ile de France na Cap Ferrat — zauważyła Kate. — Właścicielka tej rezydencji też przekazała ją razem z całą zawartością państwu.

— Właśnie, kochana. Oczywiście Ile de France to nie mój styl, ale idea jest taka sama. Chcę, aby ten dom i ogród stały się mekką nowoczesnej sztuki, podobnie jak fundacja Maeght w St-Paul-de-Vence. A dzięki moim obrazom Picassa na pewno (jkaże się jej godnym rywalem.

Fundacja Maeght. Jedno z cudownych miejsc, do których Fabien obiecał ją zabrać. Potem mieli wstąpić do Colombe d'Or na lunch. Cóż, teraz już nic z tego nie będzie. Odwróciła twarz, ukrywając przed wzrokiem Odile malujący się na niej żal.

— Ale te obrazy są warte... — jęknął oszołomiony Darren.

— Nie obchodzi mnie, ile są warte — przerwała mu z irytacją hrabina. — Nie myślisz o niczym innym prócz pieniędzy? — No dobrze, a co z Hardstone'ami? — zapytał Darren. — Nie chce pani, żeby mieli proces? Nie chce ich pani wsadzić do więzienia?

Odile niecierpliwie tupnęła nogą.

— A co to zmieni? Lazurowe Wybrzeże i tak zawsze będzie pełne oszustów. Dopóki żaden z nich nie dobierze się do moich obrazów, nic mnie nie obchodzą.

— Ale tak nie można — upierał się Darren. — Nie może ich pani tak po prostu oddać.

— Dlaczego? Tu już nie są bezpieczne. Czemu wszyscy nic mieliby zobaczyć tego, co trzymałam u siebie przez tak długi czas tylko dla własnej przyjemności? Poza tym nie zostanę tu już na tyle długo, żeby się nimi cieszyć.

— A co, wybiera się gdzieś pani? Przeprowadza się?

— Oczywiście, że nie! — warknęła Odile, a Darren odskoczył do tyłu, dzwoniąc biżuterią. — Po prostu jestem starą kobietą. I za dużo palę. Bardzo możliwe, że zostało mi już niewiele czasu na tym świecie...

— Zostało mi już niewiele czasu na tym świecie?! — burknął ktoś w progu. — Co to za niemądre gadanie?

Wszyscy gwałtownie się odwrócili, żeby zobaczyć, kto to taki.

— Nic ci nie jest — mówiła nowo przybyła do hrabiny. — Nic, czego nie naprawiłby porządny posiłek. Tylko popatrz na siebie. Nic dziwnego, że czujesz się mizernie. Jesteś taka chuda, że znikasz, jak staniesz bokiem. Więcej mięsa widziałam na patyku od lizaka.

Zdumiona Odile otworzyła usta, a Kate zrobiła krok do przodu, pocierając oczy.

— Babcia?

Najwyraźniej halucynacje powróciły. To nie mogła być jej babcia. Chociaż zjawa wyglądała zupełnie jak ona. Stała raptem parę kroków dalej na półpiętrze, ubrana w znajomy niebieski płaszcz przeciwdeszczowy, trzymając pod pachą znajomą białą torbę. Jej strój dopełniał kremowy kapelusz z przezroczystym czepkiem przeciwdeszczowym.

— Oczywiście, że to ja. — Babcia dziarsko weszła do pokoju, błyskając nogami w herbacianych rajstopach. — Niech to, ależ tu ciepło — dodała, zdejmując kapturek przeciwdeszczowy. — Zawsze go biorę na wszelki wypadek, ale tu wcale nie zamierza padać.

— Ale skąd... — Kate rozdziawiła usta jeszcze bardziej niż hrabina.

— ...wiedziałaś, gdzie cię szukać? Miałam twój adres, prawda? Z listu. Jedyne, jaki mi wysłałaś. Od tamtego czasu nic. Nic! Mimo tych wszystkich gorących obietnic.

— Przepraszam — wymamrotała Kate, świadoma, że Darren i Odile patrzą na nią.

— Więc zebrałam cztery litery w troki i przyjechałam tutaj — dodała babcia, opierając szerokie, mocne dłonie na szerokich, mocnych biodrach.

— Nie wiedziałam nawet, że masz paszport.

— Och, zawsze pilnuję, żeby był ważny. — Starsza pani mrugnęła do Kate. — Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Poszłam do biblioteki, zajrzałam do Internetu...

— Internetu? — Kate zatkęła.

Zawsze sądziła, że celem babcinych wizyt w bibliotece jest dział z Harlequinami.

— ...i znalazłam w miarę tanie loty. Dwadzieścia pięć funtów, nie tak znowu tanio, ale nieważne. Przecież nie zabiorę pieniędzy ze sobą, w całunie nie ma kieszeni. — Starsza pani obrzuciła Kate krytycznym spojrzeniem. — Niech to, ale schudłaś!

Kate uśmiechnęła się niezbyt przytomnie.

— Tak myślisz?

— Zmizerniałaś — potwierdziła babcia. — Ale do twarzy ci z tym. I twoje włosy nieco zjaśniały od słońca. Wyglądasz jak zupełnie inna osoba.

— I tak właśnie się czuję — odparła Kate ze smutkiem. — To twój jedyny bagaż, babciu? — Wskazała na wielką białą torbę.

— Tak. Nigdy nie obciążam się w podróży. To jedna z rzeczy, których się nauczyłam w czasie... ach, nieważne. Dowiedziałam się, że wyprowadziłaś się z hotelu. Pewien miły, świetnie zbudowany młody człowiek pokazał mi, gdzie jest ten dom. Bernard, tak się chyba nazywał.

Troll! Babcia i on rozmawiali ze sobą? To było więcej, niż był w stanie przyjąć skołowany mózg Kate.

— Był z bardzo miłą kobietą. Mandi, tak się chyba przed-

stawiała. Wygląda jak słodka idiotka, ale tak naprawdę to rozsądna osoba.

Mandi? Z Trollem? To właśnie o to chodziło z tymi jego tajemniczymi wędrówkami ze skrzynką narzędzi? Czyżby pomagał Mandi wyremontować tlocznię?

— Bardzo dobrze o tobie mówiła — dodała babcia. „Kim jest Mandi?” — zapytał bezgłośnie Darren. Ale Kate tylko patrzyła na babcię z otwartą buzią.

— Zaskoczona moim widokiem? Iii-hii! — Starsza pani zatarła dłonie. — Cóż, w ogóle nie pisałaś. No, prawie w ogóle. I nie dzwoniłaś. Co miałam zrobić?

— Mama wie, że tu jesteś?

— Twoja mama myśli, że jestem na corocznej wycieczce emerytów do Blackpool.

— A jak ona się miewa? — zapytała Kate z niepokojem.

— Zamartwia się, ty matolku. Od waszej kłótni przez telefon ani razu nie spała dobrze.

— Serio? — Kate z trudem przełknęła ślinę.

Zawsze, gdy pojawiał się temat mamy, czuła, że niewiele brakuje jej do płaczu. I teraz też do jej oczu napłynęły łzy. Zamrugowała.

— Oczywiście się do tego nie przyznała — mruknęła babcia. — Jest uparta jak osioł i zawsze będzie obstawała przy swoim. Tak samo jak ty. Ale właśnie dlatego tu jestem. Ktoś musiał przełamać ten cholerny impas. I dowiedzieć się, czy jeszcze żyjesz.

— Nadal jest zła z powodu „Żigolaka z północy” ... to znaczy tej mojej książki? — dopytywała się Kate.

Książki, której nie tknęła od wieków i prawdopodobnie tak już zostanie. Nie była warta utraty najbliższych i najukochańszych.

— Zła?

Starsza pani zdjęła kapelusz, odłożyła go na toaletkę i potrząsnęła siwymi lokami.

— Oczywiście, że nie. Już dawno jej przeszło. Za bardzo się o ciebie martwiła, żeby się gniewać. Właściwie to przedwczoraj — babcia zachichotała — przyłapałam ją na czytaniu twojej powieści. Ale kiedy mnie zobaczyła, natychmiast zamknęła zeszyt.

Ulga, jaką poczuła Kate, szybko zniknęła, gdy zobaczyła, że starsza pani odwraca się do Odile i mówi do niej po francusku.

Naprawdę wariuję, pomyślała. Bo co innego tłumaczyłoby tę szaloną fantazję? Czy to możliwe, żeby babcia właśnie proponowała hrabinie, że ugotuje dla niej *un vrai pudding de Yorkshire avec boeuf rôti, et comme dessert un Richard avec des boutons — ou Spotted Dick 3, comme on dit en Anglais — servi avec...*

— Jak się nazywa po francusku krem z jajek i mleka? — zapytała starsza pani.

— *Crème anglaise* — odparła oszołomiona Kate i przypomniała sobie żarty ojca, który nazywał ten deser kremem z farfocłami.

Miała nadzieję, że babcia tego nie pamięta. Starsza pani kiwnęła głową.

— A tak. Krem z farfocłami — mruknęła i znów odwróciła się do Odile. — *Bon. Je vais le préparer pour vous. Il sera un repas vraiment...* palce lizać.

— Palce lizać? — powtórzyła niepewnie Odile.

— Nie wiedziałam, że mówisz po francusku — wymamrotała Kate, patrząc na babcię z podziwem. Starsza pani uniosła podbródek, odsłaniając kilka centymetrów pomarszczonej szyi.

— Nie wiesz o mnie mnóstwa rzeczy, skarbie. Kate uśmiechnęła się.

— Cały czas tak mówisz. Ale bardzo chciałabym się dowiedzieć, gdzie nauczyłaś się francuskiego.

— We Francji, rzecz jasna. A gdzieżby indziej?

— Zawsze myślałam, że nigdy nie wyjeżdżałaś z Yorkshire.

— Myślenie ma przyszłość, prawda? Kate zaśmiała się, słysząc ten znajomy żart.

— Kiedy? — dopytywała się. — Kiedy byłaś we Francji?

---

3 *Spotted Dick* — dosł. „cętkowany Rysio”, rodzaj puddingu z rodzynkami.

— Och... Bóg był jeszcze młodym chłopakiem. Przed twoim urodzeniem. Nawet przed urodzeniem twojej mamy.

To musiało być jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu, pomyślała Kate.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że to było w czasie wojny... Jej dziadkowie zawsze byli dziwnie powściągliwi, jeśli chodzi o opowieści o tym, co robili w godzinie największej chwały ich kraju.

— Jak mówiłam, to było dawno temu. Nieważne kiedy — odparła babcia i zacisnęła usta.

Ale Kate dopytywała się dalej:

— Więc byłaś wtedy we Francji... Jako pielęgniarzka? W Pomocniczej Służbie Morskiej Kobiet?

Babcia przecząco pokręciła głową.

Jednak Kate dalej przegrzebywała całą swoją wiedzę o tamtych latach. Zaopatrzenie? Uprawa warzyw dla żołnierzy? Ale skoro jednak babcia była we Francji...

— Chyba już wiem, pani Gawkroger — wtrącił się Darren — Pewnie była pani w tych oddziałach specjalnych dla kobiet, które lądowały na spadochronach we Francji i pomagały ruchowi oporu.

Najwyraźniej żartował sobie. Odile spojrzała na niego ostro, mrużąc zdrowe oko. Babcia nic nie powiedziała, tylko jeszcze mocniej zacisnęła usta.

— Babciu? — szepnęła Kate, kiedy ta niewiarygodna możliwość do niej dotarła. — Naprawdę tak było?

Babcia skacząca z samolotów! Czołgająca się po leśnym poszyciu w koku z lat czterdziestych, z nożem za pasem i tajnymi papierami w staniku! Samotna w obcym kraju, w czasach, w których o przetrwaniu decydował spryt i własna przedsiębiorczość... tak jak chciała, aby spróbowała jej wnuczka.

— Nic ci nie powiem — odparła babcia. — Ale niezależnie od tego, co o tym myśli twoja matka, miałam ciekawsze życie niż większość ludzi.

Kate zawirowało przed oczami. Tego już było stanowczo za dużo. Wszystko, co się ostatnio wydarzyło — ucieczka przed ścigającą ją w pałacu Cascari zjawą, sterroryzowanie bananem,



ujawnienie przez hrabinę nieznanymi obrazów Picassa — było niewiarygodne. Ale odkrycie, że jej pragmatyczna, ukochana, lecz małomiasteczkowa babcia okazała się bohaterką wojenną, było najbardziej niezwykle.

— Babciu! Powinnaś o tym napisać! — zawołała.

— Powinna pani, pani Gawkroger — zawtórował jej Darren.

— Po co miałabym o tym pisać?

— Ludzie zarabiają miliony na książkach o mniej ważnych sprawach.

— I co z tego?

— Nigdy wcześniej nic o tym nie mówiłaś!

— Teraz też nie mówię.

— Ale powinnaś.

— E tam, za dużo ludzi o tym opowiada. Człowiek włączy telewizor albo zajrzy do gazety i bach, od razu coś na ten temat jest. Ta cholerna wojna... Można by pomyśleć, że jeszcze się nie skończyła.

Wszędzie te ohydne teksty o nazistach i takich tam. Wszędzie. Jak mamy iść do przodu, skoro gadamy o tym prawie tyle samo co wtedy? Kate zauważyła, że Odile kiwa głową i mruga.

- Ale to część naszej historii — upierała się. — A właściwie historii całego świata.

Babcia znowu zacisnęła usta, dając do zrozumienia, że zakończyła temat.

— To jest ten młody człowiek, którym się zachwyciłaś w liście? — zapytała, spoglądając na Darrena tak krytycznie, że aż cały się skulił i jego bransoletki zabrzęczały niespokojnie. — François czy jak on tam się nazywa? — Fabien — wymamrotała Kate, mając nadzieję, że Odile, która sprawiała wrażenie osoby pogrążonej we własnych myślach, nie słyszy tego. — Nie, babciu, to nie on.

— Och. — Babcia popatrzyła na nią uważnie. — Chyba ci nie przeszło, co? Sprawiał wrażenie miłego chłopaka.

— Bo był. To znaczy jest — wtrąciła się Odile. — Zgadzam się z panią — dodała, patrząc na babcie.

— Szkoda, że już się nie spotykają.

— Bardzo chciałam go poznać — powiedziała babcia.  
— Polubiłaby go pani — stwierdziła Odile. Kate zerknęła na Darrena.  
— Więc kim jest ten młody człowiek? — zapytała starsza pani. — I skąd zna moje nazwisko?  
— To mój kolega z pracy, babciu. Darren skłonił z szacunkiem głowę.  
— Poznałeś go już — przypomniała jej Kate. — Pracuje w „Tygodniku”. Wpadał do nas czasem na herbatę.  
— Ale pewnie wtedy miałem włosy innego koloru — dodał Darren.  
— W porządku, skoro to nie jest twój chłopak — mruknęła babcia. — Nie wyobrażam sobie, że mogłabyś wzdychać do kogoś, kto wygląda, jakby włożył palec do kontaktu.  
Odile wyglądała na rozbawioną, a Darren na oburzonego. Starsza pani zaczęła rozpinać płaszcz.  
— Lepiej go zdejmę, bo inaczej będzie mi zimno, kiedy stąd wyjdę. Chodź, skarbie — powiedziała do hrabiny. — Zaprowadź mnie do kuchni i bierzmy się do roboty. Mówię ci, od razu poczujesz się lepiej, kiedy zjesz coś porządnego. „Niewiele zostało mi czasu na tym świecie...” — Urwała, a potem wykrzyknęła z oburzeniem: — Nie wierzę własnym uszom!  
Odile uśmiechnęła się do niej.  
— Jesteś bardzo miła. Zainteresował mnie ten twój „cętkowany Rysio”.  
— Nic dziwnego, że doprowadziłaś się do takiego stanu — stwierdziła babcia. — Poza tym, że nie jesz, to jeszcze nie masz w domu mebli. Musisz sprawić sobie kilka wygodnych foteli. I kilka ładniejszych obrazów. — Przepuściła przed sobą Odile i z dezaprobatą popatrzyła na obrazy Picassa.  
— Po tych miałabym koszmary.  
— Ja też — odparła ze słabym uśmiechem Odile.

## Rozdział 29

— Kochanie! — wykrzyknęła Celia. — Jeszcze nie zauważyłaś?

W Restaurant des Tours zaczął się już późny poranek. Kate pomagała Celi nakryć stoły do lunchu, który od niedawna restauracja także wydawała. Jak zwykle myślała o Fabienie, chociaż bardzo starała się powstrzymać.

Mimo że próbowała podsycać w sobie płomienie urazy, trudno jej było nie myśleć o młodym malarzu z melancholią. A nawet z żalem. Czy powinna była tak wybiegać po tej kłótni o sprzątanie? Trzeba przyznać, że Fabien zachował się wyjątkowo niegrzecznie, ale z drugiej strony, jeśli specjalnie utrzymywał taki bałagan w pracowni, to czyjego reakcja na jej nalot była aż tak zaskakująca? Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Wszystko zostało skończone i posprzątane — i to dosłownie.

— Czy co zauważyłam? — Kate rozejrzała się. — Och, racja. Chodzi ci o to, że ten stary zgred kupił nowe parasole?

Po drugiej stronie placu właściciel Cafe de la Place właśnie przyjmował dostawę wielkich parasoli.

— Takie same jak nasze.

Ponieważ liczba stałych bywalców zdecydowanie przewyższała teraz liczbę miejsc pod arkadami, Restaurant des Tours zainwestowała w wielkie białe parasole i przy okazji ogłosiła,

że odtąd podawane będą także lunchy. Celia bardzo starannie dobrała odpowiedni rozmiar, kształt i właściwy rodzaj obciągniętych materiałem tekowych pałków, mających chronić klientów przy stolikach na zewnątrz przed skwarem. To, że w Cafe de la Place zrobiono to samo, było raczej powodem do radości niż złości. Sukces restauracji hotelowej przyczynił się też do wzrostu liczby klientów, napływających do lokalu naprzeciwko. Ale potrzeba było trochę czasu — i kilku ostrych słów Celi — nim właściciel kafejki zrozumiał, co to może dla niego znaczyć.

— Z pewnością wziął sobie do serca twoją radę — zauważyła Kate, patrząc, jak mężczyzna wyciąga parasole z plastikowych opakowań.

Nie mogąc znieść widoku marnującej się szansy na dobry interes, kilka dni wcześniej Celia pomaszrowała do konkurencji i powiedziała właścicielowi kafejki, że zamiast beczynnie siedzieć, powinien wykorzystać okazję i zarabiać, póki restauracja hotelowa jest otwarta. Doszło do ostrej wymiany zdań, ale kiedy mężczyzna nieco ochłonął, odezwał się w nim zdrowy rozsądek. Zwolnił nieudolnego szefa kuchni i zatrudnił adepta miejscowej szkoły cateringowej, który przygotowywał dla wszystkich klientów „dania prowansalskie po nowatorsku”. Kate nie całkiem była przekonana do takich wynalazków jak „nagie pierożki”, czyli nadzienie bez ciasta. Niemniej nowe, lżejsze menu Cafe de la Place, zaprojektowane zgodnie z sugestią Celi, idealnie dopełniało solidniejsze propozycje Restaurant des Tours. Od tego czasu interesy w kafejce bardzo się ożywiły. I chociaż nie można było powiedzieć, że jej właściciel całkowicie się zreformował, w jego zachowaniu zaszły znaczące zmiany. Parę razy nawet wykrzywił się do Kate w uśmiechu, a kiedy Celia zwróciła mu uwagę, że to może denerwować klientów, przestał kopać zwierzęta.

Kate patrzyła, jak stojąc w słońcu montuje parasole. Nawci z daleka widać było, że jest to tańsza wersja tych, które kupiła Restaurant des Tours. Jak w ogóle mogła myśleć, że ten żalosny facet byłby w stanie tak bardzo ją przestraszyć?

Chociaż nadal pozostawał jednym z podejrzanych, miała wątpliwości, czy był wystarczająco sprawny fizycznie. Mężczyzna z takimi żyłakami nie dogoniłby jej w muzeum Cascari. Zresztą duch przestał

się pojawiać — przynajmniej na to wyglądało. Informacja, że obrazy Picassa mają zostać przekazane państwu, z pewnością dotarła już do Hardstone'ow.

Kiedy Odile wróciła, nie miała po co zostawać w jej domu, a babcia z radością zgodziła się zastąpić wnuczkę. Kate natychmiast się wyniosła, nie tylko z powodu duchów. Gdyby dłużej tam mieszkała, mogła przypadkiem wpaść na Fabiena. A nie miała na to ochoty.

Babcia nie wspominała o zjawie. Za bardzo była zajęta wyśpiewywaniem peanów na cześć młodego malarza.

— Dlaczego nie możecie się pogodzić? — pytała wnuczkę.

— Bo on nie chce mnie widzieć.

— Nie gadaj głupot! — fuknęła z niesmakiem staruszka. — Chyba trzeba was stuknąć ze sobą głowami.

Szkoda, że nigdy się nie dowiem, jak to naprawdę było z tym duchem, pomyślała Kate. Najpierw z listy został skreślony Ken, a potem Marc de Provence. Nawet Nicole odpadła, kiedy Celia powiedziała, że od chwili, gdy barmanka odeszła z Hotel des Tours, pracowała nocami w dwudziestoczterogodzinnym barze teksańskim przy drodze do Antibes. Ale jeśli zjawa była sprawką Hardstone'ow, to dlaczego miała zupełnie niepodobną do nich sylwetkę? Może to któryś z ich zauszników.

— Nie mówię o tym cholernym właścicielu kafejki — powiedziała Celia. — Nie zauważyłaś niczego innego? — zapytała, machając ręką nad stołem, który właśnie nakrywały.

Kate westchnęła.

— Kieliszki wyglądają wspaniale...

Lśniły jak słońce, trzeba było to przyznać. Przyjęcie pięciu starszych pań do pomocy przy coraz większej liczbie naczyń do zmywania było pomysłem babci, która w ciągu kilku godzin od przybycia stała się szóstą członkinią sabatu i odkryła, że

staruszki nie miałyby nic przeciwko temu, żeby trochę zarobić. Niektóre pomagały też przy siekaniu warzyw szefowi kuchni i wzbogaciły menu o kilka własnych starych domowych przepisów. Wszędzie gdzie Kate spojrzała, życie nabierało rumieńców dzięki najmniej spodziewanym osobom. Tylko ona nic pasowała do tego wszystkiego.

— No? — dopytywała się Celia.

— Dlaczego tak machasz? O rety, Celia! — Wzrok Kate padł w końcu na to, na co powinien. Na rękę przyjaciółki lśni! wielki brylant. — Pierścionek!

— Piękny, prawda? — Celia zarumieniła się z zadowolenia. — Od Kena.

— Skąd go wytrzasnął? Z londyńskiej Tower?

— Wcale nie zdziwiłabym się, gdyby tak było, kochana -zaśmiała się Celia. — Od kogoś z Hatton Garden, kto był mu winien przysługę. Dostarczono go wczoraj pocztą kurierską.

— Więc się pobieracie?

— Taaaak! — wykrzyknęła podekscytowana Celia. — Jak tylko uzyskam rozwód. A potem zostajemy w Sainte Jeanne. Ken powiedział, że teraz, kiedy zakończył sprawę z mamą, chętnie sprawdziłby się w prowadzeniu tutejszego baru. Ja oczywiście nadal będę się zajmowała restauracją.

— Wspaniale — mruknęła ponuro Kate. — Moje gratulacje. Zaraz jednak uśmiechnęła się do przyjaciółki.

— Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? — zapytała Celia, patrząc na nią podejrzliwie. — Może się mylę, ale mam wrażenie, że nie przepadasz za Kenem.

— Początkowo tak było, po części dlatego, że myślałam... — zaczęła Kate, ale zawahała się. Z podobnych powodów, dla których nie powiedziała o duchu Fabienowi, nie mówiła też o nim przyjaciółce.

— Co takiego myślałaś? — Celia wbiła w nią wzrok. — Że to fantasta?

— Nie, chodziło o coś innego... wiem, że się całkiem co do niego myliłam.

— Więc w czym rzecz?

— Nie uwierzysz mi.

Kate uśmiechnęła się niepewnie. Koszmar już się skończył. Chyba teraz może powiedzieć o wszystkim Celi?

— Spróbuj.

— Cóż, kiedy mieszkałam u hrabiny, wydarzyło się coś niesamowitego...

Kiedy mówiła o zjawie, twarz jej przyjaciółki spoważniała.

— Miała na sobie szeleszczącą czarną szatę?

— Zgadza się. Och, Celio, to było przerażające. Nawet sobie nie wyobrażasz.

— Z czaszką zamiast twarzy?

— Tak. Strasznie się bałam.

— I od tego czasu się nie pojawił? Kate pokręciła głową.

— Cóż, chyba mam dla ciebie interesującą wiadomość, kochana. — Mrużąc oczy, Celia spojrzała ponad ramieniem Kate na plac. — Ktoś, kto odpowiada twojemu opisowi, idzie właśnie w tym kierunku. Co więcej, idzie w towarzystwie twojej babci. — Żartujesz sobie!

Kate obróciła się gwałtownie, zapominając, że trzyma tacę z kieliszkami. I nie zauważając, jak szkło z ogłuszającym brzękiem spada na podłogę.

— Nie do wiary. Do cholery, to nie do wiary!

Przez plac, tak jak powiedziała Celia, maszerowała babcia. Była ubrana w niebieski płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz, a jej twarz miała ponury wyraz. Dużą, silną ręką trzymała mocno za ramię kogoś ubranego od stóp do głów w czarną szeleszczącą szatę. Kogoś, kto trzymał pod pachą czaszkę. Kogoś, kto wyglądał na wściekłego i jednocześnie przestraszonego. Kogoś o włosach barwy ciemnego miodu, pełnych, czerwonych, nadąsanych ustach i kościach policzkowych, które pewnie można byłoby dostrzec nawet z księżycą.

— Nat! — wychrypiała zaskoczona i wściekła Kate. — Nat lardstone! Cholera! To był on!

— Uważaj na swoje słownictwo, młoda damo — zbeształa

ją babcia, gdy doszła do restauracji. — Dość już nasłuchiwałam się takiego języka od tego tu lorda Fauntleroya.

— Ale... jak? — wykrztusiła Kate. — Jak on to robił? Jak wchodził?

— Mówi, że przez drzwi balkonowe.

— Przecież to na piętrze, całe mile od ziemi! — zawołała Kate. — Na miłość boską, jakim cudem? Spojrzała ostro na Nata. Na jego przystojnej aroganckiej twarzy nie było ani śladu skruchy. Wyglądał tak samo jak za pierwszym razem, gdy go spotkała przed biurem „Tygodnika” i razem poszł i do Billy'ego. Zdarzyło się to całe wieki temu, tak to tera/ odbierała. Powinna była się od razu zorientować, że nie można mu ufać. Wskazywały na to wszelkie znaki na niebie i ziemi, ale ona była ślepa. Za Natem ciągnęła się chmura emocjonalnego niepo koju. Czyż nie rozbił małżeństwa opiekuna studentów?

I wtedy nagle sobie przypomniała. „Trzeba być dobrym we wspinaczkach, jeśli chcesz wchodzić i wychodzić z różnych sypialni, nie?”.

— On jest dobry we wspinaczkach — powiedziała powoli. — Dlatego udało mu się tam wejść. Więc to Nat kręcił się po domu, kiedy myślała, że jest sama? Oczywiście, że tak. Prawdopodobnie w czasie jakiegoś rekone sansu, kiedy bezszelestnie zakradł się do środka, zwędził czaszkę Fabiena. Babcia spiorunowała swojego więźnia wzrokiem.

— I pomyśleć, że uważałam cię za takiego miłego chłopca, kiedy przyszedłeś do naszego domu — warknęła. — Pewnie zwiodła mnie twoja wełniana czapka.

Kate nic z tego nie rozumiała. Co to wszystko miało znaczyć!'

— Twój ojciec miał rację — powiedziała babcia do Kate. -Nie polubił tego hrabiego zadufka.

— Czulem to — mruknął Nat.

— A ty się zamknij! — Starsza pani spojrzała na niego groźnie. — Mam już ciebie powyżej uszu.

— Powinnam była posłuchać taty... —jęknęła Kate. — Albo Darrena. On też go nie znosił.

— Tak? — W oczach babci błysnęła aprobata. — Może nie jest takim dziwakiem, na jakiego wygląda.



— Nie jest — odparła Kate. — Szkoda, że go nie posłuchałam.

— Do diabła, nikogo byś nie posłuchała — stwierdziła starsza pani. — Zadurzyłaś się w tym fircyku po uszy. To było jasne jak słońce.

Kate spojrzała na Nata. Popatrzył na nią ponuro, a potem spuścił wzrok.

Mimo że babcia była o dobre pół metra niższa od Nata, trzymała go w żelaznym uścisku. Nie potrafił jej się wyrwać.

— Co się stało? Jak... — zapytała Kate.

— Jak go złapałam? Dobre pytanie. Zeszłej nocy siedziałam sobie na łóżku, zajęta swoimi sprawami, w wałkach i tak dalej. Właśnie skończyłam kawałek sweterka i już miałam kłaść się spać, kiedy w pokoju pojawił się jakiś przerażający zakap-turzony mnich. Nastraszył mnie jak jeszcze nikt w życiu. Wzięłam się w garść i krzyknęłam, żeby się wynosił, ale on tylko gapił się na mnie. Więc wstałam, złapałam jeden z drutów i kilka sekund później leżał już na plecach na podłodze.

„ . — Obezwładniłaś go? — Kate zatkało. — Jakim cudem, do cholery?

— Uważaj na swoje słownictwo! Nie jesteś jeszcze za duża, żeby cię nie mogła przełożyć przez kolano — ostrzegła ją starsza pani, po czym dodała: — Cóż, to nie było zbyt trudne. Nie z taką miernotą jak on. — Rzuciła Natowi pogardliwe spojrzenie. — Swego czasu walczyłam ze znacznie większymi od niego mężczyznami. Żołnierzami.

— Co takiego?! — wykrzyknęły zgodnym chórem Celia i Kate.

— To część mojego szkolenia wojskowego — oświadczyła babcia. — Obezwładnianie wroga.

— Twojego... — Kate nie była w stanie nic więcej wykrztusić.

To rzeczywiście prawda?

— Nie chcę o tym mówić. I tak już powiedziałam za dużo.

— Więc tak spędziła pani noc? — zapytała Celia. — Trzymając go na podłodze i grożąc mu drutem?

— Oczywiście, że nie — zachnęła się babcia. — Zaciągnęłam go za włosy do łazienki i zamknęłam drzwi na klucz. Idealne miejsce do trzymania więźnia. Żadnych okien, solidne drzwi. Potem położyłam się z powrotem do łóżka, żeby się porządnie wyspać.

Celia popatrzyła oskarżycielsko na Nata. Odpowiedział jej prowokującym spojrzeniem.

— Co ty sobie wyobrażałeś? — zapytała go. — Czemu się tak przebrałeś? Myślałeś, że Kate nadal jest w domu hrabiny?

— Nie ma sensu o nic go pytać — wtrąciła się babcia. — Powiedział, że będzie rozmawiał tylko ze swoim adwokatem. Ale wcześniej wyciągnęłam z niego całą historię. Ze szczegółami. Techniki przesłuchań to też część mojego szkolenia — dodała, patrząc na Kate.

— Więc o co chodziło? — dopytywała się Celia, widząc, że Kate jeszcze nie odzyskała mowy. — Dlaczego nawiedzał moją biedną przyjaciółkę?

— Cóż, to trochę skomplikowane. — Babcia wycelowała pomarszczony kciuk w Nata. — Ten piękniś zjawiał się tutaj, bo chce zostać aktorem, a jego stryj siedzi w filmowym biznesie...

— Marty St Pierre — sapnęła Kate.

— Właśnie. Ale jego ojciec...

— Peter Hardstone.

— ...nie był zbyt zadowolony z tego, że jego syn tu przyjechał. Stryj obiecał, że wszystko załatwi i bratanek będzie mógł zostać. Ale pod warunkiem że wykona dla niego pewne aktorskie zlecenie.

— Przebierze się za ducha i mnie nastraszy — domyśliła się Kate.

— Właśnie — potwierdziła babcia.

— Wtedy wyprowadziłabym się z domu i jego stryj spokojnie mógłby...

— ...zwiąć z tymi potwornymi obrazami Odile — dokończyła starsza pani i przewróciła oczami. — Nie rozumiem tego,

po prostu nie rozumiem. *When Did You Last See Your Father?* 4 to dopiero porządny obraz!

— Najwyraźniej nie wiedzieli, że wyprowadziłam się od Odile — zauważyła Kate.

— Nie. Jego stryj zdecydował, że warto jeszcze raz spróbować, zanim w domu zainstalują nowoczesne alarmy. Nie miał pojęcia, że zamiast ciebie ja tam zamieszkałam.

— Więc co teraz? — zapytała Celia.

— Dostarczymy go stosownym władzom — oznajmiła babcia. Uniosła podbródek. — Bernardzie, gdybyś był tak miły...

Pod arkadami coś się poruszyło. Kate i Celia odwróciły się i ujrzały, że w drzwiach baru pojawia się Troll. Patrzyły, jak podchodzi do babci, kiwając z szacunkiem głową, i przejmuje więźnia. Gdy Nat zobaczył potężną sylwetkę i groźną twarz swojego nowego strażnika, w jego błękitnych oczach błysnął strach.

— Odile zadzwoniła już do kogo trzeba — wyjaśniła babcia. — A Bernard zgłosił się na ochotnika, że odstawi naszego przyjaciela na posterunek policji. Potem, o ile się nie mylę, ten młody człowiek wyląduje z powrotem w domu u tatusia.

— Jeśli tatuś jeszcze będzie w domu — mruknęła Celia. — Bo pewnie sam wkrótce wyląduje na posterunku.

Oszołomiona Kate spojrzała na Nata, stojącego z ponurą miną na placu. Mężczyzna, dla którego porzuciła wszystko, co знаła, przez którego straciła pracę i omal nie utraciła rodziny. Mężczyzna, który ją porzucił i zdradził, a potem śmiertelnie przestraszył w domu hrabiny i w muzeum Cascari. Wiedziała, że powinna go nienawidzić.

Ale kiedy tak stał pod palącym prowansalskim słońcem w absurdalnym mnisim kapturze, aresztowany przez osiemdziesięcioletnią staruszkę, prezentował się naprawdę żałośnie. A nawet śmiesznie. Wydarzenia, które zapoczątkował, przyniosły wiele cierpienia i omal nie doprowadziły do tragedii, jednak

trudno było nie zauważyć ich zabawnej strony. Spędził noc w łazience babci, a wcześniej musiał jej wszystko powiedzieć, sterroryzowany drutem do robótek...

Jej ramiona zaczęły się trząść. Potem roześmiała się Celia. Po chwili przyłączyła się do nich babcia i na końcu nawet Troll. Nat stał w skwarze, płonąc ze wstydu, a wszyscy wokół niego śmiali się, nie mogąc się powstrzymać — dołączyła do nich także grupka rozbawionych przechodniów. Kate wiedziała, że to najbardziej okrutna zemsta. Dla kogoś, kto traktował siebie tak poważnie jak Nat, publiczne wyśmianie było najprzykrzejszą rzeczą na świecie.

Było późne popołudnie tego samego dnia. Gdy razem z Celią nakrywały stoły, Kate zobaczyła samolot wzbijający się w słoneczne niebo. Zastanawiała się, czy na jego pokładzie siedzi Nat. Kiedy postanowiła nie wysuwać oskarżeń, zdecydowano, że ma zostać deportowany. Celia uznała, że jej przyjaciółka zwariowała, jednak według Kate odesłanie Nata do ojca i zrujnowanie mu filmowej kariery było wystarczającą karą. Poza tym nie chciała go już więcej widzieć — ani na sali sądowej, ani gdziekolwiek indziej.

Skończyły nakrywać w milczeniu.

— Nie zapytasz mnie? — odezwała się po chwili Celia.

— O co?

— O to, o co zamierzałaś zapytać, zanim nam przerwano.

— Ehm...

— Gdzie się pobierzemy — podsunęła jej Celia.

— Gdzie się pobierzecie? — zapytała posłusznie Kate.

— Tutaj, rzecz jasna. W kościele przy placu. — Celia wyszła spod arkad i spojrzała na lśniącą w słońcu brzoskwiniową wieżę kościelną. — Bernard wszystko za nas załatwił.

— To miło z jego strony, że wam pomógł. Ten francuski żargon kościelny pewnie jest dość skomplikowany.

Celia pokręciła głową.

— Mój francuski jest wystarczająco dobry, żeby się dogadała w kościele, kochana — prychnęła. — W końcu chodziłam do szkoły zakonnej. Ale ponieważ Bernard sam zamierza się ożenić, pomyślał, że przy okazji załatwi te sprawy również dla nas.

— Bernard się żeni?!

— Tak, nie wiedziałaś? Jego wybranka to Mandi.

— Żeni się z Mandi? Mandi St Pierre?

— Słodkie, prawda? — zaszcebiotała Celia. — To właśnie jej pomagał przy remoncie.

Przebudowywali jakąś zawaloną ruinę, wygodkę czy coś w tym rodzaju przy jej domu w Jardins des Lavabos.

Kate odebrało mowę.

— Najwyraźniej pośród cementu i piachu też może rozkwitnąć miłość — dodała radośnie Celia.

Jej słowa legły ciężarem na sercu Kate. Wszędzie naokoło nawet najmniej prawdopodobni ludzie odnajdywali swoje połówki. Wszyscy poza nią. — Ale Mandi jest mężatką — mruknęła.

— Już nie, kochana. Albo wkrótce przestanie nią być. Prawdopodobnie zagroziła mężowi, że powie władzom wszystko, co wie o jego podejrzanych interesach, jeśli jej nie da szybkiego rozwodu.

— I to zadziało?

Kate próbowała wyobrazić sobie tę scenę. Krucha Mandi stająca do walki z wielkim Martym St Pierre'em. Jakby mysz pisnęła na słońcu.

— Nie tylko to, kochana. Władze i tak już wszystko wiedzą. Ale domyślam się, że Bernard wkroczył na scenę z bardziej przekonującymi argumentami.

To już bardziej pasowało. Bernard był jeszcze większy od St Pierre'a. I z pewnością silniejszy, bo magnat filmowy przynajmniej w dwóch trzecich składał się z tłuszczu.

Kate zagapiła się na odchodzącą Celię, która machając pustą tacą, zniknęła na zapleczu.

Dwa śluby! Czyżby wszyscy w tej miejscinie — a przynajmniej w tej przeklętej restauracji — nagle się szczęśliwie

zakochali? Wkrótce pewnie także Pappy i Makrela odnowią przysięgę małżeńską podczas ceremonii na plaży w blasku księżyca, z girlandami kwiatów i serenadą. Najwyraźniej zadowoleni z przekazania pieczy nad interesami Celi, często wspominali ostatnio o wzięciu urlopu.

— Założę się, że Makrela weźmie ze sobą swoją księgę rachunkową jako wakacyjną lekturę — podkpiwała Celia, kiedy mówiła o tym przyjaciółce. — Doskonały wybór. Trzymający w napięciu dramaty i potężna dawka powalającego optymizmu w jednej zwięzłej kolumnie.

Kate skończyła z serwetkami i spojrzała ponuro na plac. Naprawdę szczerze cieszyła się ze szczęścia przyjaciół. Ale czemu nikt z tych szczęśliwie zakochanych nie pamiętał o bliźnich, którym szczęście w miłości sprzyjało odrobinę mniej? Jednak nie mogła zaprzeczyć, że obie przyszłe panny młode, Mandi i Celia, odpracowały swoje w gułagach nieszczęśliwych małżeństw.

Nie była zazdrosna. Nie, naprawdę nie. Ale chyba można jej wybaczyć, że jest nieco rozgoryczona, gdy wszyscy oprócz niej znajdują sobie życiowych partnerów. A jeśli nie partnerów, to przynajmniej serdecznych przyjaciół. Weźmy choćby babcię i Odile. Gdy hrabina zaoferowała starszej pani darmowe lokum, babcia przestała napomykać o konieczności szybkiego powrotu do Mieszuge. Stara mieszkanka północy i jeszcze starsza arystokratka z południa były nierozłączne od dnia, w którym się poznały. Kate ciągle wpadała na nie w mieście — szły ramię w ramię, chichocząc jak dziewczynki albo rozmawiając cicho, jakby knuły jakąś intrygę. Z jakiegoś powodu zachowywały się tak zwłaszcza wtedy, gdy widziały Kate.

— *Bonsoir*, Kate.

Słyszając chrapliwy głos, podniosła wzrok. Była to Nicole, która przyszła na wieczorną zmianę. Jak zawsze wyglądała prześlicznie. Kate spojrzała na nią ostrożnie. Zawsze kiedy widziała tę dziewczynę, przypominał jej się obraz Fabiena, co doprowadzało ją do furii.

Oślaniając oczy przed słońcem i blaskiem uśmiechu Nicole,

kiwnęła w odpowiedzi głową. Nie ufała tej nowej, pełnej wdzięku masce, która bez wątpienia nie miała nic wspólnego ze szczerą sympatią barmanki wobec koleżanek, a wszystko z niechęcią do zajazdu Teksas.

— Jak leci? — zapytała Nicole, ocierając się swoimi wysokimi jak Mount Everest kośćmi policzkowymi o płaskie równiny twarzy Kate.

Kate niechętnie odwzajemniła pocałunek, myśląc, że wolała starą, złośliwą Nicole od tej nowej, miłej i uprzejmej. Przynajmniej człowiek wiedział, na czym stoi.

— Wiedziałaś, że Bernard się żeni? — zapytała.

Dziewczyna uniosła ciemne brwi. Kate zauważyła z zazdrością, że są idealnej szerokości. Pewnie Nicole nie musiała ich malować ani wyskubywać, bo swój idealny wygląd miała zapisany w genach. Nic dziwnego, że Fabien się w niej zakochał.

Spodiewając się pogardliwego odrzucenia głowy, zdziwiła się, widząc na pięknej twarzy cień żalu.

— Coś o tym słyszałam — odparła Nicole. — To moja wina — dodała. — Kochał się we mnie od tylu lat, a ja pozwoliłam, żeby mi się wymknął.

„Kate spojrzała na nią, zastanawiając się, co spowodowało tę zmianę. Wcześniej nie była ani trochę zainteresowana Bernardem. Może chodziło o pieniądze?

— To dobry facet. Byłby niezłym mężem — mruknęła Nicole. — I oczywiście kiedyś to wszystko odziedziczy — dodała, wskazując głową na Hotel des Tours.

Kate pomyślała, że trafiła w dziesiątkę.

— Teraz, kiedy restauracja tak dobrze prosperuje, hotel jest o niebo więcej wart. To kopalnia złota — powiedziała, nie mogąc oprzeć się pokusie, żeby nie przekręcić noża w pięknych plecach dziewczyny.

— A Fabien to mniej pewny koń, prawda?

Broda Nicole drgnęła. — Fabien?!

— Fabien.

— Fabien! — Nicole zaśmiała się. — Jego interesuje tylko moje ciało.

— Tak właśnie myślałam — wycedziła Kate.

— Ale nie tak, jak sądzisz — odparła Nicole. — Już nie. Teraz tylko do obrazów. — Zmarszczyła brwi. — A dlaczego o to pytasz? Właśnie ty?

— Co masz na myśli, mówiąc „właśnie ty”?

Ta dziewczyna o wszystkim wiedziała, domyśliła się Kate.

O popołudniu na plaży, o katastrofie ze sprzątaniami. Nie potrafiła wyobrazić sobie Nicole na kolanach, szorującej podłogę. Ani tych ślicznych dłoni zaczerwienionych od wody i mydlin. Zarumieniła się.

Jak bardzo Nicole i Fabien musieli się z niej śmiać! Niemal słyszała chrapliwy, szyderczy głos Nicole, która mówi: „Brzydka angielska gosposia...”. Albo coś równie kaśliwego. I równie prawdziwego.

— Cóż, Fabien... — Nicole zamilkła, lecz po chwili dodała: — On naprawdę bardzo cię lubi. Choć nie mam pojęcia czemu.

Odrzuciła głowę i odeszła w głąb baru.

Kate poczuła, że coś w niej drgnęło. Uświadomiła sobie, że to jej serce, nadmuchane nadzieją. Ale jaki sens ma taka nadzieja? Po tym wszystkim, co sobie powiedzieli, Fabien nigdy się do niej nie odezwie.

Prawie z wdzięcznością przywitała ogłuszający strzał gaźnika samochodowego, który rozerwał jej ponure myśli na kawałki. Wszystkie śpiące na placu psy uniosły głowy i zaszczekały, okazując w ten sposób swoje niezadowolenie. Kate osłoniła dłonią oczy i zerknęła na plac, żeby zobaczyć, kto przyjechał.

— Hej! — krzyknął znajomy głos.



## Rozdział 30

Był to głos Darrena.

Oślepiając parą nowych lustrzanych okularów, wyskoczył z wiekowego samochodu Crichtona i ruszył do Kate. Ze starych głośników auta dudnił *Axel F.* z filmu *Gliniarz z Beverly Hills*, co nawet pasowało do sytuacji.

— Hej — powtórzył Darren, widząc wyraz jej twarzy. — Jak powiedział barman do pewnego sapera, skąd ta mina?

— Wszystko w porządku — burknęła Kate.

— Pewnie — odparł Darren. — A nawet jeśli nie, niedługo będzie. Muszę pokazać ci coś niesamowitego. Właściwie to aż dwie niesamowite rzeczy. Wsiadaj do samochodu. No, już.

— Nie mogę — odparła Kate. — Jest pora lunchu.

— Chrzanić to. Popatrz tylko, co przywiozłem! Zanurkował do samochodu i wynurzył się ze znajomą wyglądającą gazetą. Machnął nią przed oczami Kate.

Zmarszczyła brwi.

— To „Tygodnik”.

I to miało być takie niesamowite? Dlaczego Darren sądził, że chciałaby zobaczyć „Tygodnik Slackmucklethwaite”? Ale on nadal wymachiwał gazetą, więc w końcu ją wzięła, rozłożyła i spojrzała na pierwszą stronę.

— Cholera! — wykrzyknęła.

— Właśnie.

Spojrzała znowu na gazetę, kręcąc głową.

— „Ujawniono oszustwa w Palisades” — przeczytała na głos jeden z tytułów. — „Znienawidzony inwestor budowlany staje przed sądem”. — Z niedowierzaniem popatrzyła na Darrena. — Chodzi o Petera Hardstone'a, tak?

— Czytaj dalej.

Kate posłuchała go. Sekundę potem znowu poderwała głowę. To o jego machlojkach związanych z nieruchomościami! Ale wydrukowała to jego własna gazeta? Nie rozumiem.

Darren wyrwał jej „Tygodnik”. — Jeśli pojedziesz ze mną, wszystkiego się dowiesz

— Z tobą? Dokąd?

— Poczekaj, to zobaczysz.

Kate zerknęła przez ramię. Celi i Nicole nigdzie nie było widać. Stoliki zostały nakryte, a przez najbliższą godzinę nie pojawią się jeszcze żadni klienci. Co więcej, szef kuchni miał pluton siedemdziesięcioletnich pomocnic.

— Dobra — odparła. — Ale muszę wrócić za pół godziny. Po kolejnym głośnym jak wystrzał z działa wybuchu gaźnika Darren z piskiem opon wyjechał z placu. Kiedy popędzili, podskakując na bruku, drogą wyjazdową z Sainte Jeanne, Kate zapytała:

— No więc, co jest grane? Dlaczego Hardstone puścił tę historię? Przecież zatwierdza wszystkie pierwsze strony. „Znienawidzony inwestor”... jak mógł coś takiego puścić?

Wyciągnęła „Tygodnik” spod nóg Darrena, gdzie go cisnął. Renault zarzucił gwałtownie, najpierw w stronę dwóch kobiet o potężnych łydkach, które wspinały się pod górę z zakupami, a potem w stronę dwóch kotów. Koty wyglądały na jeszcze bardziej oburzone od kobiet.

— Tu jest wszystko — mruknęła z niedowierzaniem Kate, czytając artykuł na pierwszej stronie. — Wszystko, nad czym pracowałeś. Slack Palisades, łapówki dla rady, niesolidne budownictwo, szemrane interesy, wszystko. — Znowu spojrzała

na gazetę. — Nawet powiązania z Martym St Pierre'em... Pisuary... Wszystko.

— Zgadza się. Zrobiła się z tego spora sensacja. Zajął się tym wszystkie wielkie dzienniki. — Nie spuszczać wzroku z drogi, Darren uśmiechnął się szeroko do przedniej szyby.

Kate zorientowała się, że jadą w stronę drogi prowadzącej na wybrzeże. Tej, którą tak niedawno jechała z Fabieniem.

Wszystkie dzienniki... Mimo podniecenia Kate poczuła kwaśny smak frustracji.

— Cholera — jęknęła. — Latami harujemy, żeby dorwać temat, który dostałby się na pierwsze strony w całym kraju, a wystarczy, że tylko na chwilę się odwrócimy, i ktoś inny zgarnia całą pulę. Drukując historię, nad którą pracowałeś!

— Zgadza się — odparł spokojnie Darren.

— Nie masz nic przeciwko? — zdziwiła się Kate. — To cię nie wkurza?

— Spójrz na stronę ze wstępniakiem — powiedział Darren, uśmiechając się szelmowsko.

— Ze wstępniakiem?! Ale przecież Hardstone kazał Denysowi z niego zrezygnować. — Kate przekartkowała gazetę. — Jest — sapnęła. — Znowu drukują wstępniak. A to co? — Zobaczyła nagłówek, ciągnący się przez dwie strony. „Uroczyste zobowiązanie wobec naszych lojalnych czytelników”.

— Przeczytaj — mruknął Darren, podskakując z powodu wybojów na siedzeniu kierowcy.

Przeczytała. Kilka sekund później uniosła twarz. Jej oczy były rozszerzone ze zdziwienia.

— Napisali tu, że Denys i pozostali redaktorzy, którzy „dzięki kilku wyrozumiałym, obdarzonym wyobraźnią i zaangażowanym dyrektorom banków” zdołali wykupić lokalną gazetę od Hardstone Holdings, zapewniają czytelników, iż zamierzają powrócić do zaangażowanego dziennikarstwa z dawnych wspaniałych dni, kiedy „Tygodnik Slackmucklethwaite” znany był pod dumnym tytułem...

— „Grom z Północy”! — wykrzyknęli oboje jednocześnie.

— I popatrz na to — powiedziała Kate, uderzając palcem

w coraz bardziej pogniecioną pierwszą stronę gazety — wróciło stare hasło: „Toczymy batalie w imieniu mieszkańców naszego miasteczka”. Kochany stary Denys! Więc wykupił gazetę!

— Hura! — Darren uderzył się w chude uda w czarnych dżinsach. — Kiedy się zorientował, że Hardstone wkrótce zostanie aresztowany i „Wychodnik” przejdzie pod zarząd likwidatora, zareagował jak błyskawica.

— A gdy tylko przejął kontrolę nad pismem, rzucił się do walki o lokalne interesy. Żegnaj, „Dywanomanio” i „Makaro-niarnio”!

— Tak. To smutne, prawda?

— „Znienawidzony inwestor”... To sama prawda, ale tekst jest trochę za mocny jak na Denysa. I dlaczego jest wyróżniony? — Kate przeciągnęła palcem po następnej kolumnie artykułu. — O mój Boże! Już wiem! „Budzące szereg wątpliwości metody prowadzenia interesów przez Hardstone'a poddano dokładnym badaniom w zeszłym tygodniu, kiedy przez słuchaczy programu *Dziś* Radia Four został wybrany Najbardziej Znienawidzonym Szefem w Wielkiej Brytanii”. No, no! — Oparła głowę na chybotliwym zagłótku. — Niesamowite.

— Hardstone'owie siedzą po uszy w szambie — oświadczył Darren. — Dostaną to, na co sobie zasłużyli, niezależnie od tego, co o tym myśli hrabina.

Jechali teraz wzdłuż wybrzeża. Droga z jednej strony była obsadzona palmami, a z drugiej ciągnął się rząd wielkich, podobnych do tortów weselnych hoteli. Nie przypominało to Antibes — temu miejscu brakowało przytulności tamtego małego starego miasteczka. Było wspanialsze i znacznie większe.

— Nie rozumiem tylko jednej rzeczy... — Kate popatrzyła na Darrena. — Nie wiedziałam, że Denys orientuje się w sprawach dotyczących Slack Palisades, nie wspominając już o działalności Marty'ego St Pierre'a i całej reszcie. Skąd się o tym dowiedział?

— Nie spojrziałaś na podpis na pierwszej stronie? Popatrzyła na gazetę.

— „Nasz specjalny korespondent z południowej Francji, Crichton Porterhouse”... Crichton!

— Zna Wemyssa — wyjaśnił Darren, uśmiechając się szeroko. — Pracowali kiedyś w „Timesie”.

— Ale to było wieki temu.

— Niedawno ze sobą rozmawiali.

— Tak?

Kate zmarszczyła brwi, przypominając sobie opuszczone biuro, słuchawkę zdjętą z widełek. Czyżby Crichton, wiedząc, że jest ścigany, zadzwonił do Wemyssa i opowiedział mu całą historię, nim Hardstone uderzył?

Darren zwolnił i zaciągnął ręczny hamulec samochodu, który zaprotestował z piskiem.

— A tak w ogóle to jesteśmy na miejscu. Hotel Carlton, Cannes.

Ale ta wspaniała nazwa nie zrobiła na Kate wrażenia. Zupełnie zapomniała, że to epicentrum wciąż jeszcze trwającego festiwalu filmowego. Myślała o zupełnie innych sprawach, a zwłaszcza o jednej. Biedny Crichton. Wszystko, na co pracował, w końcu się urzeczywistniło. Ale przegapił dzień swojego triumfu.

Potyając się, wysiadła z samochodu, ledwie zauważając, gdzie się znajduje. Po jednej stronie majaczyły palmy i morze, po drugiej stał jakiś okazały budynek o lśniącym tynku — tylko tyle do niej dotarło, gdy ruszyła za Darrenem. Z brzękiem bransoletek wskoczył na niskie schodki i przebiegł przez taras pełen ludzi, spośród których jedna, może dwie osoby wydały się Kate znajome.

Przy najbliższym stoliku grupka mężczyzn w okularach bez oprawek próbowała zrobić wrażenie na wymalowanych blondynkach o nijakich, lalkowatych twarzach.

— Mój scenariusz opowiada — mówił jeden z nich — o zabawnych stronach wojny w Afganistanie.

— Rety — wymamrotała jedna z blondynek, żującą gumę. — A kiedy to było?

Darren odwrócił się do Kate.

— Boże, jacy ci ludzie są głupi... Och, moja droga, czemu pociągasz nosem?

— A jak myślisz? — burknęła, walcząc z łzami. — Biedny Crichton... cały czas o nim myślę. Wiem, że marzył o tym, żeby jego historię wydrukowano we wszystkich dziennikach. Tego właśnie chciał. Ale... — urwała, zagryzła usta i spuściła wzrok.

— Masz absolutną rację — odezwał się ktoś na wysokości jej łokcia. — Jestem tym tak podekscytowany, że prawie wychodzę z siebie.

Zaskoczona Kate usłyszała pociągnięcie nosem i zgrzyt zapalniczki.

— Crichton!

— Przyznaję się bez bicia, to ja. — Crichton wyszczerzył zęby pośród papierosowego dymu. Jego potargana czupryna lśniła w słońcu. Założył nogę na nogę i radośnie kiwał znoszonym butem w stronę Kate. — Miło cię znów widzieć. Muszę powiedzieć, że to wspaniały widok dla moich zboląłych oczu. Kate popatrzyła na niego. Rzeczywiście jego oczy wyglądały na zbolące — były jeszcze bardziej przekrwione niż zwykle. Nic dziwnego, zważywszy na wszystko, co przeszedł, pomyślała. I co widział.

— Gdzieś ty był? — jęknęła, odsuwając białe metalowe krzesło i opadając na nie. — Tak się o ciebie martwiliśmy. Myśleliśmy, że... — urwała — ...że masz kłopoty — dokończyła po chwili.

Crichton pociągnął nosem.

— I chyba naprawdę miałem.

— Co się stało? — Oczy i głos Kate były pełne troski. — Co oni ci zrobili?

— Nie wiem, czy to opowieść dla kobiecych uszu. Kate uśmiechnęła się.

— Proszę, powiedz — nalegała. — Nie zapominaj, że j jestem dziennikarką. Możesz mi wszystko opowiedzieć, nie zaszokujesz mnie tak łatwo.

— Na pewno? — Przekrwione niebieskie oczy Crichtona były pełne wahania.

Kate pokiwała głową, choć wzdrygała się nieco przed tym, co za chwilę miała usłyszeć. Wpaść w brutalne łapy Hardstone'ów to z pewnością nic przyjemnego. Miała nadzieję, że nie oznaczało to klamer na sutkach i wstrząsów elektrycznych.

Crichton wyjął kolejnego papierosa i popukał nim o paczkę.

— Musisz zrozumieć, że na początku byłem nieprzytomny...

— Oczywiście.

Bez wątpienia uderzono go w głowę jakimś tępym narzędziem, pomyślała.

— ...ale kiedy oprzytomniałem, uświadomiłem sobie, że jestem goły jak święty turecki. Rozebrali mnie do rosołu. Związali i zakneblowali.

Kate pokiwała głową, patrząc na niego wilgotnymi i rozumiejącymi oczami. Słyszała, jak brzęczą za nią bransoletki Darrena, gdy macha na kelnera. Crichton wydmuchnął dym i pociągnął nosem.

— Oczywiście byłem zamknięty. Nie mogłem wyjść.

— No tak.

Zastanawiała się, gdzie go trzymali. Wyobraziła sobie wilgotną pieczarę z plamami krwi na ścianach. Pewnie gdzieś na wzgórzach.

— Dwa koktajle z szampanem i duży jameson z lodem — powiedział do kelnera Darren.

Kate zacisnęła usta. Jak on mógł w takiej chwili myśleć o czymś tak trywialnym? W obecności kogoś, kto przecierpiał tyle co Crichton?

— Jak długo siedziałeś zamknięty? — zapytała delikatnie. Crichton spojrział na nią zaskoczony.

— Och, tyle co zwykle.

Kate zmarszczyła brwi. Czyżby istniał jakiś międzynarodowy limit torturowania i przesłuchiwania?

— Cóż, zawsze jest tak samo, prawda?

Pojawiły się drinki. Naczelnym natychmiast złapał szklanekę, ale Kate swoją odsunęła.

— Crichton — powiedziała — koniecznie musisz o tym napisać. To straszne, wiem, ale to będzie fantastyczny tekst. Nie tylko dla „Tygodnika” czy „Gazety”. Jestem pewna, że

„Times” też byłby zainteresowany czymś tak dramatycznym. To przecież doskonała kontynuacja poprzedniej historii.

Darren wydał z siebie jakiś dziwny odgłos. Crichton wyglądał na zszokowanego.

— Napisać o tym? Och, nie, chyba nie mógłbym. To... zbyt osobiste.

Spojrzała na niego z podziwem. Tyle skromności w obliczu tak bohaterskich czynów. I pomyśleć, że opisała go babci jako starego, niechlujnego pijaka.

— No więc — zapytała cicho — jak uciekłeś?

— Właściwie to nie była ucieczka. Po prostu leżałem tam, aż sprzątacze mnie znaleźli.

— Sprzątacze? Crichton pociągnął nosem.

— Tak. To rzeczywiście było nieco żenujące. Musieli wezwać policję, żeby mnie zabrano, bo nie miałem ubrania. W przeciwnym razie siedziałbym całkiem nagi wśród dojeżdżających do pracy na Waterloo.

— Na Waterloo!

— A co w tym dziwnego? To przecież stacja linii Eurostar, no nie? Zatrzymują się na niej pociągi. Wydmuchnął dym.

— Owszem, ale co tam robiłeś z Hardstone'ami?

— Hardstone'ami? — Crichton spojrzał na nią zaskoczony. — A co do cholery miałbym z nimi robić? Zaczynała się coraz bardziej głupio czuć. Widząc, że Darren uparcie odwraca twarz, domyśliła się, że powstrzymuje się od śmiechu.

— Więc Hardstone'owie cię nie torturowali? — wymamrotała.

— Torturowali?! Ehm... nie bardzo. A właściwie wcale. Boże, skąd taki pomysł? — Crichton pokręcił głową i sięgnął po whisky.

Darren zakrztusił się swoim koktajlem. Kate unikała jego wzroku.

— No dobrze. Zacznijmy od początku — powiedziała do Crichtona. — Dlaczego zaginałeś?



— Ach. — Crichton zaciągnął się winstonem. Wyglądał na zawstydzonego. — Widzisz, miałem zabrać bandę moich Angoli do Ventikibla...

— Dokąd?!

— Do Ventimiglia. To miasteczko przy włoskiej granicy. Mają tam wspaniały targ... — Odchrząknął.

— Ale zapomniałem załatwić bilety, które trzeba było wykupić dzień wcześniej. W pośpiechu wybiegłem z biura, żeby pojechać na stację w Nicei. Na szczęście podwiózł mnie burmistrz, który ma 0 wiele szybszy samochód.

— Ale teczka zginęła — syknęła Kate.

— Postanowiłem zabrać ją ze sobą.

— Dlaczego? Zwykle zostawiasz ją pod Esther Rantzen. Darren wytrzeszczył oczy.

— Pod Esther Rantzen? — powtórzył zdziwiony.

— To prawda — przyznał Crichton. — Ale kiedy powiedziałaś mi o tym twoim duchu, dotarło do mnie, że sprawy nabierają rumieńców. No to ją zabrałem. W końcu każdy mógł tam wparować i ją wziąć.

— Właśnie — wycedziła przez zaciśnięte zęby. — Więc pojechałeś na stację...

— Och, tak. Więc pojechałem na stację, żeby załatwić bilety. Kto by się tam spodziewał bandy szkockich kibiców rugby? Nie uwierzysz, było z nimi nawet dwóch starych łajdaków, których znałem jeszcze z college'u w Durkham. — Upił kolejny łyk whisky. — W każdym razie poszliśmy na szybkiego kielicha i poleciało... wiesz, jak to jest.

— Nie wiem — odparła wściekła Kate. — Twoja grupa czekała przed biurem, spodziewając się, że zabierzesz ich do Grasse.

— Serio? — Crichton stropił się. — Pewnie tak... ojej. Cóż, niewiele stracili. Grasse to okropne miejsce. — Odchrząknął zawstydzony. — W każdym razie obudziłem się w pociągu Eurostar jadącym do Londynu. Nagi, z rękoma w kajdankach, zakneblowany i z napisem na czole, którego nie da się powtórzyć.

— Jakim? — zapytał natychmiast Darren. Crichton wzruszył ramionami.

— Gliniarze to wytarli. — Uśmiechnął się przeprasząco. — Ech, ci rugbiści. Banda świrów. Skończeni wariaci.

— Imbecyle — dodała kwaśno Kate. — Mów dalej.

— Więc wylądowałem w kiciu w Londynie bez ubrania, pieniędzy i cholernego paszportu. — Pociągnął nosem. — Chłopcy z posterunku pozwolili mi zadzwonić do kogoś, kto wpłaciłby kaucję, i pierwszą osobą, która przyszła mi do głowy... bo widzisz, od wieków nie jeździłem do kraju... był Denys Wemyss. Pewnie dlatego, że rozmawialiśmy o nim — dodał, zerkając na Kate.

Kiwnęła głową.

— I?

— Zawsze można było na niego liczyć. Zachował się po prostu wspaniale. Wyciągnął mnie z kicia, zabrał do tego Slakemuckle-coś-tam czy jak to się nazywa i trochę się mną zajął. Przez ten striptiz złapałem lekką gripę. Klimatyzacja w Eurostar zawsze działa bez zarzutu. Któregoś wieczoru zaczęliśmy rozmawiać z Denysem o gazecie... wykupił ją od zarządu, jak wiesz... opowiedział mi o przekrętach Hardstone'a. Dzięki Darrenowi miał już połowę historii, ale szukał brakujących powiązań, żeby dać to na pierwszą stronę nowego wydania. Kiedy mi obiecał, że będę jedynym autorem — uśmiechnął się przeprasząco do Darrena — z przyjemnością mu pomogłem. A potem wróciłem i oto jestem.

Wydmuchnął dym i pociągnął nosem. Kate wbiła wzrok w marmurową posadzkę tarasu.

— Teraz już wszystko rozumiem. — mruknęła.

— Nie pijesz swojego koktajlu? — zapytał Darren. — Grzeje się i szkoda by było, żeby się zmarnował. — Weź go sobie.

Darren jednym haustem opróżnił kieliszek i wstał.

— Chodź, Crichton, czas leci. Musimy zrobić wydanie na ten tydzień.

Kate podniosła wzrok.

— Pracujesz teraz w „Gazecie”?

Darren pokiwał głową, jego fioletowe włosy zakołysały się wesoło w słońcu.

— Jeszcze tylko przez kilka dni. Potem wracam do „Tygodnika”.

— Nie mówisz poważnie.

— Oczywiście, że poważnie. A dlaczego nie? Teraz tyle się tam dzieje. Mówi się o nas w całym kraju, a naczelny chce tyle sensacyjnych historii... to znaczy chce walczyć o tyle lokalnych spraw, ile zdołamy ogarnąć. Dlaczego mam nie wracać? Dostałem już kilka telefonów od krajowych dzienników z propozycją pracy jako wolny strzelec. — Zamilkł na chwilę. — Ty też powinnaś się zastanowić nad powrotem do „Tygodnika” — dodał.

— Do „Tygodnika”? — Kate spojrzała na niego. — Denys mnie nie zechce. Był wściekły, kiedy zniknęłam. Chociaż wcale nie wiedziałam, że nie mam pozwolenia na ten wyjazd — dodała ze złością.

— Och, przeszło mu już wieki temu. Z radością przyjąłby cię z powrotem. Jesteś przecież świetnym reporterem, znasz się na swojej robocie.

Kate z trudem przełknęła rosnącą w gardle gulę. Chociaż to było cudowne — ale i trochę dziwne — mieć babcię w Sainte Jeanne, nie potrafiła sobie wyobrazić, że zostanie tu na zawsze. W przeciwieństwie do Celi nie chciała prowadzić restauracji. W przeciwieństwie do Mandi nie marzyła o zamieszkaniu w romantycznych ruinach. „Gazeta Riwiery” też nie była szczytem jej marzeń. Tak naprawdę to chciała pisać. Najlepiej powieści. Jednak mimo malowniczego widoku z hotelowego balkonu, mimo że miała czas na pisanie niezależnie od wszystkich innych obowiązków, „Żigolak z północy” z jakiegoś powodu nie zdołał nabrać kształtów pod gorącym, błękitnym, śródziemnomorskim niebem.

I nagle zrozumiała dlaczego. To nie tak, że straciła chęć i umiejętność pisania, jak się obawiała. Po prostu potrzebowała chłodnego, smętnego nieba północy — a także codziennej bliskości ludzi, których obecność traktowała jako oczywistą.

I może w ogóle zabrała się do tego od niewłaściwej strony. Może wcale nie chciała pisać o zigolakach i gorącym seksie, ale wolała wykorzystać pełen humor, przyziemny, mądry i cudowny materiał, jakiego mnóstwo miała w Slackmucklethwaite.

I oczywiście w „Wychodniku”. Chociaż nie miała wątpliwości, że nadal będą się w nim ukazywały dziwaczne teksty, była szansa, że z nowym, pełnym zapału Denysem ta stara dumna gazeta błysnie wśród innych. Na przykład kurcze fermy Slack mogłyby wreszcie dostać za swoje, a już samo to warte było powrotu. Darren miał rację. Niegdyś pogardzana gazeta wydała jej się nagle znacznie bardziej interesująca niż siedzący w pobliżu facet, zadziwiająco przypominający George'a Clooneya.

Nowe artykuły zmuszą krajowe dzienniki do zwrócenia uwagi na „Tygodnik” i na pewno pojawi się okazja, żeby zacząć karierę w Londynie. Albo nawet w samym „Tygodniku”. Może zdoła pogodzić pracę dla Denysa z pisaniem powieści, niezależnie od tego, o czym w końcu ta powieść będzie. Teraz, kiedy cała rodzina już o niej wiedziała, sekret i tak przestał być sekretem.

— Chodź, Cri. — Darren pociągnął naczelnego za rękaw. — Czas brać się za klej i nożyczki.

— Jesteśmy skomputeryzowani — przypomniał mu urażony Crichton.

— Mówiłem w przenośni. Ale muszę przyznać, że te twoje komputery sprawiają, że „Wychodnik” wygląda jak siedziba NASA.

To jeszcze nie koniec powodów do powrotu, uświadomiła sobie Kate. Wszyscy jej przyjaciele w Sainte Jeanne byli szczęśliwie zakochani: Celia i Ken, Mandi i Troll. Gorzej, mieli się pobrać. A jej pozostały tylko ruiny związku z Fabie-nem. Naprawdę nie miała po co tu zostawać.

— Czekaj — powiedziała, odsuwając krzesło. — Może i masz rację z tym powrotem do „Tygodnika”. Chcę porozmawiać na ten temat. Moglibyście podrzucić mnie z powrotem?

Oczy Darrena rozszerzyły się.

— Ehm, właściwie... — wymamrotał i z zakłopotaniem spojrzął na Crichtona.

— ...tak się składa, że nie możemy — dokończył za niego naczelnny. — Musisz tu zostać.

— Tutaj?!

Rozejrzała się po osłoniętym przed słońcem tarasie, popatrzyła na pełną cherubinów i balkonów fasadę hotelu, na delikatne szkło i drogie naczynia stołowe, w których kelnerzy właśnie podawali lunch. Przy najbliższym stoliku siedziała kobieta o olśniewająco jasnej skórze i rudych włosach, która wyglądała jak Nicole Kidman, lecz Kate nie zwróciła na nią uwagi.

— Dlaczego? — zapytała zdziwiona.

— Tak kazała twoja babcia. I pani hrabina — wyjaśnił Crichton.

— Och... — To miejsce zupełnie nie było w stylu babci, ale podbechtywana przez Odile, miewała ostatnio różne dziwne zachcianki. — Przyjdą tu na lunch?

— Nie powiedziały — odparł ostrożnie Darren. — W każdym razie pozdrów je ode mnie, jak je spotkasz. Powiedz też Odile, że nasz wywiad z nią na temat przekazania państwu obrazów Picassa i muzeum nowoczesnej sztuki pójdzie w tym tygodniu. To powinno pogonić kota prasie żabojadów — dodał, wyszczerzając zęby. — „Gazeta Riwiery” daje pierwszą wielką historię w swojej karierze.

— To wspomniała nowina! — wykrzyknął Crichton. — Musisz wiedzieć, że mój tekst o obrzuceniu burmistrza Vence'a jedzeniem podczas przyjęcia z fondue dotarł aż do „Le Figaro”.

Kate odprowadziła ich wzrokiem, kiedy wychodzili z tarasu. Gdy do jej stolika podszedł kelner, odprawiła go machnięciem ręki. Mężczyzna siedzący naprzeciwko niej bardzo przypominał George'a Clooneya. Zerknęła ponad obsadzonym palmami bulwarem na lśniące morze. Z żalem pomyślała: jak tu pięknie! Ale to nie znaczyło, że nie chciała wyjechać.

Miała mnóstwo powodów, żeby nie móc doczekać się powrotu do domu. Jakimś cudem mama jej wybaczyła, a „Tygodnik” — co zakrawało na jeszcze większy cud — odpalił na

nowo z takim rozmachem, jakby wystartował Apollo 13. Wprawdzie jej życie miłosne już zawsze będzie się toczyło obok pasa startowego, ale jakoś się z tym pogodzi. Fabien będzie tylko odległym wspomnieniem. Pewnie zresztą już jest.

Tak. Po lunchu z babcią i Odile wróci do Hotel des Tours i spakuje się. Jej przygoda dobiegła końca. A na razie nacieszy się ostatnimi chwilami pobytu na Riwierze. Posiedzi tutaj i poczeka na dwie starsze panie, rozkoszując się słońcem na plecach i bryzą na twarzy. I po prostu porozpływa się. Zamknęła oczy z zadowoleniem i ulgą, bo wreszcie podjęła decyzję. W końcu nie było to takie trudne.

Przeświecone słońcem powieki pulsowały czerwienią. Podniecenie ostatnich dni zemściło się na niej. Była zmęczona. Bardzo, bardzo zmęczona.

Wyczuła, że ktoś stoi obok niej.

— Nie — mruknęła zasnana. — Już mówiłam. Nie chcę następnego koktajlu z szampanem. Czekam na kogoś.

Kiedy z powrotem zapadła w półsen, zobaczyła przed sobą twarz Fabiena.

— O Boże, przepraszam — powiedziała do niego. — Twoja pracownia... nie chciałam jej zniszczyć. Chciałam ci tylko pomóc.

— Wiem, wiem — mruknął Fabien w jej sennych marzeniach. — Ja też cię przepraszam.

— Wybiegłam wtedy jak idiotka — jęknęła Kate. — Nie powinnam była. Myślałam, że... no wiesz. Że ty i Nicole...

Jego ciemne oczy patrzyły na nią czule.

— To zrozumiałe, że tak pomyślałaś, widząc ten obraz. Potem do mnie dotarło, jak musiałaś się poczuć, kiedy go oglądałaś.

Kate podobał się ten sen. Wszystkie nieporozumienia się wyjaśniły. Jakie przyjemne było to marzenie

— na jawie nigdy nie odważyłaby się mówić tak szczerze.

Uśmiechnęła się.

— Więc dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Uniósł ciemną brew.

— Przecież cię wcale nie widywałem, bo starannie mnie unikałaś. — Westchnął. — Poza tym za bardzo się wściekłem z powodu pracowni. A także dlatego, że wybiegłaś z domu Odile, jakby czas, który razem spędziliśmy, nic dla ciebie nie znaczył.

— Dokładnie to samo pomyślałam o tobie! — wykrzyknęła Kate.

— Byłem zbyt dumny, żeby przyjść do ciebie i przeprosić — dodał z żalem Fabien. — Zachowałem się jak idiota.

— A ja byłem idiotką, jeśli chodzi o Nicole. Gdy pomyślałam, że ją kochasz.

— To prawda — przyznał Fabien. — Kochać taką wiedźmę! Byliśmy kiedyś razem, mówiłem ci o tym. Ale szybko się zorientowałem, że zależy jej tylko na pieniądzach.

Kate znowu się uśmiechnęła.

— Była wściekła, gdy sobie uświadomiła, że straciła szansę u Bernarda. A wraz z nim hotel, który wreszcie zaczął przynosić zyski.

— Bernardowi udało się uciec — mruknął Fabien. — Ale Nicole nie musi się martwić. Na pewno dorwie jakiegoś bogatego producenta, w końcu festiwal filmowy nadal trwa. Teraz do Restaurant des Tours przychodzi mnóstwo filmowców. Musi tylko trochę bardziej zadrzeć spódnicę.

— Nie da rady zadrzeć jej już wyżej... Mówisz, festiwal filmowy? — Kate rozejrzała się wokół, mrugając oczami.

Naprzeciwko niej siedział George Clooney w całej swojej okazałości: przystojny, genialny i sączący herbatę. Sam George Clooney! I Nicole Kidman — to była naprawdę Nicole Kidman! — przy następnym stoliku, niecierpliwie krusząca bułkę. Kate spojrzała na front hotelu. Te lśniące ciemne kopuły na tle nieskazitelnie błękitnego nieba... ozdobne balkony na słynnej fasadzie i lazururowe litery układające się w napis: „Hotel Carlton”.

Obok niej jak dym papierosowy przepływały urywki rozmów:

— ...skórę na twarzy ma już naciągniętą jak membrana na bębnie, a mimo to zgarnęła główną rolę. Mówią, że dorwała się do producenta, ale wiesz, że on tak naprawdę jest kobietą?

Tutaj biło serce festiwalu — tu zawierano wszystkie umowy. Epicentrum najwspanialszego festiwalu świata. I dlatego właśnie tu i teraz było najszybkowniejsze miejsce na świecie. Podniecenie rozlało się po całym ciele Kate. To wszystko działo się naprawdę!

A to znaczyło...

O Boże.

Zerknęła w bok. Przy stoliku siedział Fabien we własnej osobie — nieco szczuplejszej niż zwykle, ale w trzech wymiarach.

— Och... — wymamrotała. Zakłopotanie zaczerwieniło jej policzki.

Fabien jednak nie patrzył na nią, lecz na kopuły Carltona.

— Czy wiesz, że podobno były wzorowane na biuście kochanki pierwszego właściciela hotelu? — powiedział. Rozejrzała się wokół. Nicolas Cage! Judi Dench! Champagne B. Oska... O nie.

Przerażona Kate spuściła wzrok. — Nie mam pojęcia — zaczęła zdenerwowana — gdzie podziewa się moja babcia. Miałyśmy się spotkać tutaj na lunchu. Z hrabiną.

Pospiesz się, babciu, ponaglała staruszkę w myślach. Poza tym, że wybawiłaby ją z kłopotliwej sytuacji, miałyby okazję zobaczyć kilka sław. Jennifer Lopez! Christopher Biggins! Christopher Biggins?! Fabien z zakłopotaniem spojrział na swoje ręce.

— One nie przyjdą — powiedział. W oczach Kate zamigotała panika.

— Dlaczego? Coś się stało?

— Nie przyjdą, bo nie miały przyjść. To było zaaranżowane. — Fabien uśmiechnął się szeroko. — Pomysł twojej babci i Odile. Uważały, że sama nie przyjdiesz do mojej pracowni, więc Darren cię tu przywiózł, a ja przyjechałem za nim i... *voilà!*

— Zaaranżowane... — powórzyła Kate. Jej babcia i Odile bawiące się w kupidyna? — Po co? — zapytała Fabiena.

— Bo mam dla ciebie nowinę. Odile złożyła u mnie zamówienie. To największe zamówienie, jakie kiedykolwiek otrzymałem.



Widząc na jego twarzy radość i dumę, Kate poczuła, jak serce jej się ściska.

— To fantastycznie. Moje gratulacje! Tak się cieszę!

Ale czy świat naprawdę potrzebował jeszcze jednego aktu niemal dziewięćdziesięcioletniej kobiety?

— To dobrze, że się cieszysz, bo chodzi o twój portret.

— Mój? — Kate zakreśliło się w głowie. — Żartujesz chyba! Po co Odile mój portret?

— Uważa, że jesteś bardzo piękna. I ja też tak myślę, jak wiesz.

Zawstydzenie Kate stopniało, zastąpione rozedrganym podnieceniem. Miał namalować jej portret.

Będzie sławna. Jeśli wszystko, co Odile powiedziała na jego temat, okaże się prawdą— kto wie w jakiej galerii może zawisnąć w przyszłości ten obraz? Będzie Giacondą swojego Leonarda.

FornarinąRaphaela. Albo matką Whistlera — nie, to może akurat nie najlepszy przykład. Rzuciła triumfalne spojrzenie Champagne B. Oskiej, wpychającej się właśnie ze swoim frontem z turbodoładowaniem na faceta, którego twarz wyglądała, jakby zderzył się z ciężarówką. Pewnie jakiś ważniak z celuloidowego szczytu. Ale jeśli chodzi o nieśmiertelność wizerunku, to ona wygrała.

Spróbuj mnie przebić, pomyślała uradowana.

— Więc zgadzasz się?

— Tak! — pisnęła.

Mądra stara Odile. I równie mądra stara babcia. Więc to o tym cały czas szeptały. I na pewno nie portret był tu najważniejszy — przede wszystkim chodziło im o to, jak ich pogodzić. Prawdopodobnie pomyślały, że pozowanie do portretu to najlepszy sposób, aby zmusić dwoje młodych ludzi, żeby spędzili długie godziny sam na sam. W dodatku jedno z nich będzie wtedy roznegliżowane. Jeśli nie całkiem nagie.

— To fantastycznie — sapnęła. I wtedy przypomniała sobie. Wstrzymała oddech i spojrzała na niego z żalem. — O mój Boże, Fabien, to wcale nie jest fantastyczne. Przepraszam, ale...

— Ale co? — Popatrzył na nią z niepokojem. — Kate, przysięgam, że nic nie było między mną a Nicole. Nic, co miałoby jakieś znaczenie. Nic takiego jak... —Złapał ją za rękę.

— Och, Fabien, to słodkie, że tak mówisz. — Przełknęła ślinę. — Ale naprawdę nie mogę. Była prawie wściekła z rozczarowania. Dlaczego właśnie teraz musiał jej o tym powiedzieć, właśnie w tej chwili? Kiedy już zdecydowała — i co więcej, ta decyzja ją uszczęśliwiła — że nie ma tu dla niej żadnej przyszłości.

— Dlaczego? — zapytał zrozpaczony Fabien. Spojrzała na niego ze smutkiem. Mogłaby oczywiście zostać jeszcze tydzień. Dwa tygodnie. Miesiąc. Ale jaki to ma sens? Podjęła decyzję i odwleknięcie nieuniknionego wyjazdu tylko wszystko utrudni.

— Nie mogę.

— Dlaczego nie? — powtórzył Fabien, ze zdenerwowania podnosząc głos.

Siedzące przy sąsiednim stoliku modelki o bezbarwnych twarzach spojrzały na niego.

Kate wzięła go za rękę, szukając odpowiednich słów. Wiedziała z bolesną pewnością, że nie może, choćby miało jej to złamać serce, odrzucić własnej kariery zawodowej dla jakiegokolwiek związku. A już na pewno nie dla takiego, który trwał tak krótko. Nie teraz, gdy w końcu zrozumiała, jak ważne jest jej dziennikarskie powołanie. Nie wspominając już o domu i rodzinie.

— Dlatego, że wracam do domu — odparła cicho

— Co?!

— Przepraszam, Fabien, ale tak właśnie postanowiłam — oświadczyła. — Sainte Jeanne... jest naprawdę piękne. Prześliczne. Tylko że to nie mój dom.

— Ale... ale... — Fabien jękał się, szukając słów. Serce Kate ścisnęło się z żalu.

— To cudowna wiadomość — powiedział nieoczekiwanie.

— Cudowna?!

— Tak, bo widzisz... ten portret... to nie tylko ty. Kate pochyliła się ku niemu.

— Mówisz zagadkami — stwierdziła. — Chyba cię nie rozumiem. Jak to nie tylko ja? Co masz na myśli?

Fabien uśmiechnął się do niej.

— No wiesz, Odile bardzo ujęły te wszystkie historie, które opowiedziałas mi o swojej rodzinie. O mamie, tacie, babci.

O ciotkach i wujach.

Zdumiona Kate zagapiła się na niego.

— Taaak?

— Chce mieć grupowy portret. *Les Cleggs*.

— Masz na myśli... moją rodzinę? — szepnęła. Kiwnął głową.

— To będzie największy i najważniejszy obraz mojego życia.

I zanim powiesz, że nie przyjadą na Riwierę, odpowiem ci, że nie muszą.

— Nie?

— Odile chce, żebym ich namalował w domowym otoczeniu... jak się ten wasz dom nazywa?

Kate otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Była zszokowana.

— Mieszuce.

— Właśnie. Więc jeśli twoja rodzina się zgodzi, chciałbym to zrobić.

— Och, Fabien! Fab...

Pochylił się i zaczął ją całować. Robił to bardzo długo i Bardzo powoli. A kiedy przerwał dla zaczerpnięcia tchu, dodał:

— Tak się cieszę. Wiesz, że zawsze chciałem zobaczyć Eckmucklethwaites.

— Slackmucklethwaite.

— Poza tym muszę poznać przyszłych teściów. I wyrobić sobie o nich własną opinię.

— Teściów? — Uśmiechnęła się szeroko. — To zależy.

— Od czego?

— Od tego, jaką opinię Slackmucklethwaite będzie miało na twój temat.

— *Parfait*. Chodźmy się spakować.